

Jennifer Blake

WALC O PÓŁNOCY

Rozdział I

Silny wiatr zatrzasnął drzwi za Amelią Peschier Declouet. Ucichły odgłosy deszczu bębniącego o posadzkę lodzii. Amelia zatrzymała się chwilę na plecionym dywaniku, by zdjąć przemoczony kaptur płaszcza i wytrzeć z błota półbuty. Krople deszczu srebrzyły się refleksami na jasnobrązowych włosach, poskręcanych w loki. Takie same krople zdobiły niczym paciorki ciemne brwi i rzęsy i osiadły na mającej kształt serca twarzy o różanej cerze. Amelia stała teraz w salonie, gdzie nad marmurowym blatem stołu wisiało masywne lustro w ramach chippendale, ale nie zerknęła w nie. Strzepując w roztargnieniu krople wody, skierowała się na lewo, w stronę drzwi do saloniku pani Declouet. Właśnie stamtąd dobiegały odgłosy rozmowy.

- Naturalnie muszę odmówić, moja droga ciociu Zofio. Trudno mi uwierzyć, że taki pomysł w ogóle mógł przyjść ci do głowy. Jeszcze bardziej zdumiewający jest fakt, że zdecydowałaś się posłać po mnie i coś podobnego mi sugerować!

- Jesteś przeczulony na punkcie honoru, *cher*, dlatego czujesz się urażony. Jeśli tylko rozważysz wszystko bez emocji, z pewnością dostrzeżesz...

Pani Zofia Declouet przerwała w środku zdania, gdy Amelia wpadła z impetem do środka. Na pomarszczoną jak krepa i naciągniętą na wystających kościach policzkowych skórę starszej kobiety wystąpiły gorączkowe wypieki. Rzuciła szybkie spojrzenie w stronę mężczyzny, który, zwrócony do niej twarzą, siedział wygodnie w fotelu po drugiej stronie marmurowego kominka. Wstał sprężyście i lekko mrużąc ciemnoniebieskie oczy przeniósł wzrok na Amelię.

Wyczuwała napiętą atmosferę panującą w tym przestronnym pokoju o kremowych ścianach, w którego oknach wisiały eleganckie, jedwabne zasłony w kolorze szampana, a wytworności dodawały fantazyjne lustra w obramowaniach ze złotych liści, a także meble z różanego drewna, ustawione na skraju dywanika z Aubusson. Podniecenie, z jakim Amelia pragnęła coś obwieścić, topniało, w miarę jak spoglądała to na teściową, to na jej gościa.

- Wybaacz, *M'mere* - powiedziała niskim, czystym, choć nieco zadyszczonym głosem. - Sądziłam... to znaczy... spodziewałam się zastać tutaj Juliana.

- Och, Julian zjawić się może w każdej chwili, *ma chère*. - Odzyskawszy panowanie nad sobą, starsza pani zmusiła się do uśmiechu. - Podejź bliżej. Pamiętasz zapewne Roberta? Jest kuzynem Juliana.

- Poznaliśmy się chyba podczas uroczystości ślubnej? - Amelia podeszła z ręką wyciągniętą do powitania.

- Oczywiście - powiedziała pani Declouet ze śmiechem, który z całą pewnością nie brzmiał naturalnie. - To właśnie Robert był druhną Juliana.

Amelia mgliście pamiętała sylwetkę wysokiego mężczyzny, który stał przy Julianie owego pamiętnego dnia przed trzema miesiącami. Welon przesłaniał jej cały widok, a poza tym wokół było tak wiele nowych twarzy. Nie znała wówczas dobrze nawet swojego narzeczonego, a cóż dopiero mówić o jego kuzynie! Od tamtej pory wiele słyszała o Robercie Farnumie. Odpowiedziała uprzejmie:

- Tak, istotnie.

Ujął jej dłoń. Silne, stwardniałe od pracy palce zamknęły się wokół jej ręki. Kiedy skłonił nieco niedbale głowę, strumień szarego światła zagrał na falach jego ciemnych włosów. Przez chwilę migotał też w głębinie ciemnoniebieskich oczu, zdradzając, jak intensywnie były w nią wpatrzone.

Amelia przez dłuższą chwilę wytrzymała ten wzrok. Przez jej palce przeniknęło ciepło, które pulsując wędrowało w górę ramienia, by w końcu wyrazić się przyspieszonym biciem serca. Nagle zdała sobie sprawę z potęgi męskiego magnetyzmu, siły woli i determinacji. Nigdy czegoś takiego nie zaznała przy Julianie ani nawet przy Stefanie, swoim pierwszym narzeczonym. Znieruchomiała, zabrakło jej powietrza, nie była w stanie się odwrócić ani spojrzeć w bok, a już zupełnie nie mogła odwzajemnić konwencjonalnych uprzejmości. Z jakiejś niepojętej przyczyny czuła się obezwładniona i całkowicie bezbronna.

- Nie tak dawno Robert był na Północy w interesach - odezwała się Madame Declouet, zmieniając temat. - Chodziło o jakieś urządzenie do jego cukrowni.

Amelia nieco zbyt gwałtownym ruchem cofnęła dłoń. Z wdzięcznością podjęła temat:

- Tak, właśnie Julian mi o tym wspominał. Mam nadzieję, że udało się panu szczęśliwie doprowadzić całe przedsięwzięcie do końca?

W kącikach ust zaignął mu uśmiech, choć oczy i tym razem pozostały poważne.

- Proszę, mów mi po imieniu. A co do interesów, owszem, wszystko przebiegło pomyślnie.

Powiedział to tak zwyczajnie, że nie można było podejrzewać go o przechwałki. Jednakże Amelia odniosła wrażenie, że Robert Farnum nieczęsto doznaje porażek. Obrzuciła go spod rzes badawczym spojrzeniem. Miał ciemną skórę, ale bez tej oliwkowej świeżości charakterystycznej dla francuskich Kreolów, za to zabarwioną odcieniem brązu właściwym komuś, kto zwykł przebywać godzinami w promieniach niemalże tropikalnego słońca południowej Luizjany. Czarne i gęste brwi zdobiły czoło nad głęboko osadzonymi, ocienionymi rzęsami oczyma. Nos miał klasyczny, prosty, a powyżej dość wydatnej szczęki ładnie zarysowane, jakby wyrzeźbione usta. Prosty surdut z ciemnoniebieskiego sukna dobrze leżał na jego szerokich ramionach. Pod spodem białą płócienną koszulę

rozchyłoną przy szyi przytrzymał szeroki pas z koziej skóry. Przy pobrudzonych błotem miękkich, wywiniętych u góry butach lśniły kształtne srebrne ostrogi z gładkimi kółkami. Pokrewieństwo Roberta i jej męża rzucało się w oczy; obaj byli tego samego wzrostu, mieli podobną cerę, równie szerokie ramiona. Różnica między nimi polegała na sposobie bycia.

- Mam na imię Amelia, kuzynie Robercie - odpowiedziała, pragnąc ułożyć oporne usta w zdawkowy chociaż uśmiech i sprawić, by jego imię zabrzmiało z odpowiednim francuskim akcentem.

- Twój płaszcz, *ma chère* - powiedziała pani Declouet. - Ścieka z niego woda na dywan. Dokąd chodziłaś w taką ulewę?

Amelia odwróciła się z ulgą.

- Och, *M'mere* - odpowiedziała, zwracając się do matki męża w sposób, który starsza pani szczególnie lubiła, ponieważ wiązał się z okresem dzieciństwa Juliana - o tym właśnie chciałam ci powiedzieć. Wracam znad rzeki. Sir Bent powiada, że woda podnosi się i jeszcze przed wieczorem wystąpi z brzegów. Prawdopodobnie zaleje niżej położone pomieszczenia w budynku, jeżeli nie postawi się zapory z worków wypełnionych piaskiem. Zmobilizował paru mężczyzn z czworaków, ale jest ich jeszcze za mało, a pan Dye zginął gdzieś bez śladu.

Pani Declouet zmarszczyła czoło.

- Niewdzięcznik. Nie ma go nigdy, kiedy jest potrzebny.

Patryk Dye, nadzorca na plantacji Belle Grove, był pewnym siebie Irlandczykiem, którego przeświadczenie o własnej wartości znacznie przewyższało poczucie obowiązku. Amelia, mimo usilnych starań, nie zdołała go polubić. Teraz akurat był potrzebny, by zorganizować budowę prowizorycznej zapory i dopilnować wykonania tej pracy.

- Może pojechał do miasteczka? Gdyby po niego posłać, pewnie zdążyłby jeszcze wrócić na czas.

- Równie dobrze może być gdzie indziej.

- Jakie zatem mamy jeszcze rozwiązanie?

To, że Amelia przyszła do starszej pani, a nie do swego męża, nie wywołało żadnego komentarza. Julian w ogóle nie interesował się prowadzeniem plantacji i pewnie zachowałby całkowitą obojętność wobec perspektywy zalania domu błotem. Bądź co bądź właśnie z myślą o takich sytuacjach cała konstrukcja została zbudowana na ponad dwuipółmetrowych palach, pełniących funkcję podwyższonego fundamentu. Najniżej położone izby były pierwotnie wykorzystywane jako magazyny i mieszkania służących. Główne pomieszczenia, zajmowane przez członków rodziny, znajdowały się na pierwszym piętrze. Ewentualne szkody nie byłyby wielkie. Julian nie troszczyłby się więc o to, jakie spustoszenie mogłoby powstać dookoła oraz jakiego nakładu pracy wymagałoby doprowadzenie wszystkiego do porządku.

Pani Declouet smutnie potrząsnęła głową.

- Zostawcie to mnie - odezwał się nagle Robert Farnum.

- Tobie? - Amelia odwróciła się gwałtownie i obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

Jednocześnie starsza pani powiedziała:

- A co będzie z The Willows?

Nie zważając na zdziwienie Amelii, Robert Farnum rzekł do ciotki:

- Przecież moja posiadłość stoi na wzniesieniu, jak dobrze wiesz. Porozmawiam z Sir Bentem, ale nie przypuszczam, by woda tam doszła. Nigdy dotąd nie zdarzyło się nic podobnego.

- Zatem byłybyście ci wdzięczne, gdybyś mógł to dla nas uczynić, *mon cher*.

- Na pewno mogę. - Robert odwrócił się i skierował kroki ku drzwiom.

- Poczekaj! - zawołała za nim Amelia. - Zaprowadź cię do Sir Benta.

Przystanął z ręką na gałce lekko uchylonych drzwi.

- Sam go znajdę.

- A ty, moje dziecko, powinnaś zdjąć mokre rzeczy - zauważyła pani Declouet tonem delikatnej przygany.

Amelia skrzywiła lekko twarz w wyrazie niezadowolenia. Odrzuciła do tyłu poły płaszcza i przeniosła wzrok z teściowej na stojącego w drzwiach mężczyznę. Niebieskie oczy Roberta Farnuma skierowane były na nią, badały ją od czubka głowy poprzez wysmukłą kibić - teraz bardziej widoczną z powodu przemoczonego ubrania, które oblepiało ciało - aż po czubki bucików wystających spod rąbka obwisłego materiału spódnicy. Woląła uznać, iż nie zauważył, że odkryła na sobie jego badawczy wzrok, lecz rumieniec i tak oblał jej twarz. Zapomniała o wszystkim, co miała jeszcze do powiedzenia, jej ciało ogarnęło mimowolne drżenie.

- Ciocia Zofia ma rację... przynajmniej jeśli o ciebie chodzi - stwierdził kategorycznie, a potem, rzuciwszy surowe spojrzenie ciotce, szybko wyszedł z wyrazem ulgi na twarzy.

W sypialni Amelia oddała płaszcz pokojówce, która nadeszła przywołana odgłosem dzwonka. Dziewczyna krzyknęła ze zdziwienia, gdy ze ściśniętej poły płaszcza woda spłynęła do dużego dzbanka na brudną wodę; zaraz jednak zamilkła, kiedy Amelia ostrzegawczo wskazała głową drzwi prowadzące do sypialni męża. Szerokie, rozsuwane drzwi mogłyby połączyć dwa pomieszczenia, lecz teraz, jak zwykle o tej porze, były zamknięte. Julian nigdy nie wstawał przed jedenastą, a czasami w ogóle nie podnosił się z łóżka przed południem.

Dziewczyna spoważniała w jednej chwili.

Właściciel Belle Grove mógł nie troszczyć się o prowadzenie plantacji, pozwalał rozpieszczać się wszystkim, poczynając od matki, na starym Sir Bencie kończąc, jednakże z pewnością nie należał do ludzi, których należało bezkarnie niepokoić.

W głębokiej ciszy Amelia dała się rozebrać i otulić miękkim flanelowym szlafrokiem, ozdobionym wstążką i koronkami. Kiedy dziewczyna zaczęła uwalniać jej włosy ze spinek, by szybciej wyschły, odprawiła ją z uśmiechem, postanawiając zrobić to sama. Rozczesała włosy tak, że spływały swobodnie na plecy, i z szyldkretowym grzebieniem w dłoni podeszła do okna. Na dworze nadal padał deszcz, tak samo równo i tak samo uporczywie jak przez ostatnie tygodnie, od kiedy nadeszła wiosna. Czasami Amelii wydawało się, że deszcz pada bez przerwy od dnia jej ślubu.

Robert Farnum. Nie, nie miała z tamtego dnia żadnych wyraźnych wspomnień, związanych z jego osobą. Cała jej uwaga koncentrowała się wówczas na mężczyźnie, którego miała poślubić. Jakże wtedy była podekscytowana, jakże zdenerwowana! Wszystko odbyło się tak szybko. List pani Declouet z propozycją tego mariażu nadszedł do ciotecznej babki Ton-Ton w listopadzie, a nim nastął luty, tuż przed wielkim postem, byli już po ślubie. Wielki post stanowił pretekst do pośpiechu; nikt nie pobierał się w tym pełnym powagi okresie. Czekanie zaś oznaczałoby przesunięcie zawarcia małżeństwa na czas po Wielkanocy, kiedy wszyscy zajęci są przygotowaniami do wyjazdu z Nowego Orleanu na wieś.

Amelia mieszkała wówczas z cioteczną babką, panią Antoinette Peschier, w domu jej krewnych w Felicianas. Nawet nie myślała o małżeństwie, a ponieważ niedługo miała skończyć dwadzieścia cztery lata, już niemal pogodziła się z myślą o staropanieństwie.

Kiedy miała siedemnaście lat, zaręczyła się ze Stefanem Baudierem. Był to związek zrodzony z miłości. Stefan był synem najlepszego przyjaciela jej ojca, łagodnym młodym mężczyzną, opiekuńczym, dobrze ułożonym, troskliwym. Przy nim promieniała szczęściem. Cóż, kiedy potem nastąpił cały łańcuch tragicznych zdarzeń. Jej ojciec zaraził się gorączką złota i wyjechał do Kalifornii. Listy od niego były fascynujące, aż nagle przestały przychodzić. Niedbała kartka, wysłana przez jakiegoś lekarza wraz z mizernym zawiniątkiem drobiazgów, niewiele mówiła na temat okoliczności jego śmierci. Był to dopiero początek. Pieniądze, które ojciec zabrał ze sobą na sfinansowanie poszukiwań, pochodziły z pożyczki zabezpieczonej hipoteką na domu i ziemi, no i, rzecz jasna, nigdy nie zostały zwrócone. Kiedy nadszedł ostateczny termin płatności, Amelia i jej matka, pogrążone w żałobie, zamieszkały z Ton-Ton; poza nią nie miały bliższych krewnych.

Matka nigdy już nie doszła do siebie po podwójnej stracie: męża i domu. W ciągu miesiąca przygasła, zbladła, a gdy dwa lata oficjalnej żałoby - jeden rok w czerni, drugi w purpurze i szarości - dobiegły końca, zmarła na skutek wycieńczenia. Przynajmniej tak to określił lekarz, Amelia jednak знаła prawdę.

W kolejnym roku żałoby, po którym ona i Stefan mieli się pobrać, rodzice wysłali go do Europy w wielką podróż, trwającą nie jeden rok, ale całe dwa lata. Wrócił starszy, bardziej dojrzały, z odrobiną kosmopolitycznego poloru, spragniony uczynić wreszcie z Amelii pannę młodą. Nadchodziło lato, na wsi nie miało to jednak większego znaczenia; przygotowania do ślubu zaczęły nabierać tempa. Stefan zamówił we Francji specjalną ślubną bransoletę według własnego projektu i na tydzień przed uroczystością wybrał się do Nowego Orleanu, by odebrać drogocenną przesyłkę. Był czerwiec 1853 roku. Przed końcem lata malaria, przerażająca „żółta śmierć”, pochłonęła w samym mieście dziesięć tysięcy ofiar. Stefan znalazł się pomiędzy nimi.

Przez następne dwa lata Amelia chodziła w żałobie, aż któregoś dnia nadszedł tamten list. Babka Ton-Ton znała panią Declouet z dawnych czasów, gdy jeszcze ta ostatnia nazywała się inaczej. Obie przybyły do Felicianas jako młode mężatki przed czterdziestoma laty, kiedy okolica była jeszcze całkiem dzika. Zaprzyjaźniły się, dzieląc obawy i trudy codziennego życia. Po śmierci męża pani Declouet wyprowadziła się, potem zaś wyszła za mąż ponownie, ale obie kobiety nadal utrzymywały kontakt, choć tylko listownie.

Aranżowanie małżeństwa w kręgu kreolskiej arystokracji, pomiędzy potomkami francuskich i hiszpańskich osadników zamieszkałych w Luizjanie, nie było niczym wyjątkowym. Związek dwóch rodzin stanowił sprawę zbyt poważną, by pozostawić ją w rękach dzieci. Nawet w okresie zalotów istniały pewne kwestie, które musiały być starannie rozważone przez dorosłych: możliwości utrzymania żony przez młodego mężczyznę, wielkość posagu narzeczonej, społeczna pozycja rodziny, pokoleniowa czystość krwi, która nie mogła zawierać nawet śladu *café au lait*. Zdarzało się, że związek, oparty z pozoru na miłości, był wynikiem starannie przemyślanych manewrów obu matek. Potem, choćby wszystko przebiegało pomyślnie, nigdy nie pozostawiano młodzieńca sam na sam z dziewczyną, nawet na moment oświadczyń, a skromny pocałunek dopuszczalny był jedynie po oficjalnych zaręczynach. W takiej sytuacji nie wydawało się niczym dziwnym, że pani Declouet zaprosiła swoją przyjaciółkę Ton-Ton oraz wnuczkę jej brata. Zamierzała bliżej przyjrzeć się młodej kobiecie jako kandydatce na żonę dla swego syna Juliana.

Początkowo Amelia nie chciała się zgodzić. Była dość zadowolona z życia, jakie dotychczas wiodła, mieszkając razem z cioteczną babką, składając wizyty, przyjmując odwiedziny, pomagając w zwykłych pracach domowych. Znała Stefana tak długo, tak bardzo związała z nim swoje życiowe plany, że kiedy odszedł, nie pragnęła już innego mężczyzny.

Ton-Ton nie okazała jednak zrozumienia. Wręcz przeciwnie - wybuchła gniewem. Amelia nie mogła przecież

ciągle nosić żaloby i żyć przeszłością. Nie powinna też sądzić, że jest potrzebna ciotecznej babce, jakby ta nie miała pięciorga własnych dzieci i piętnasciorga wnucząt gotowych o nią zadbać. Byłoby głupotą przepuścić tego rodzaju okazję - dowodziła - ponieważ następna mogła się już nie trafić. Żona Juliana Decloueta niewątpliwie miałyby zapewniony dostatni byt i szacunek otoczenia. Nie zabrakłoby jej biżuterii i sukien sprowadzanych z Paryża, najwygodniej szych powozów, zagranicznych podróży, zwłaszcza do Francji, z którą kandydata na męża Amelii nadal łączyły rodzinne koneksje. Zimowy sezon towarzyski spędzały w domu, położonym w rezydencjalnej dzielnicy Nowego Orleanu, przyjmując możnych i wpływowych gości, chodząc do opery, uczestnicząc w najświetniejszych uroczystościach. Wiosną i jesienią odpoczywały w Belle Grove, nad brzegiem Teche, nie opodal St. Martinville. W porze letnich upałów zaś przenosiły się na Isle Derniere, wyspę położoną przy południowym wybrzeżu Luizjany, będącą miejscem wakacyjnego wypoczynku miejscowej socjety. A gdyby perspektywy te nie były dość kuszące, powinna pomyśleć o posiadaniu męża i o miłości, jaką będzie mogła darzyć dzieci narodzone z tego związku. Czego więcej powinna pragnąć od życia młoda kobieta?

Szacunku, delikatności, troski? Wydawało się, że akurat tego mogła oczekiwać. Julian był mężczyzną bardzo atrakcyjnym, elokwentnym i pełnym wdzięku. Kiedy ujrzała go po raz pierwszy, pomyślała, że pewnie zdoła go pokochać. Ich zaloty ograniczyły się zaledwie do dwóch spotkań, i to, jak nakazywał obyczaj, pod surowym okiem przyzwoitki. Nawet oświadczyzny odbyły się w obecności jej babki. Kiedy Amelia je przyjęła, została wynagrodzona jedynie delikatnym pocałunkiem w czoło, ale w ciemnych oczach narzeczonego dostrzegła obietnicę i szczerą sympatię. Pomyślała sobie wtedy, że mroczne lata w jej życiu dobiegły kresu.

Ceremonia zaślubin, uroczystość niezwykle poważna, była dla niej czasem próby. Bardzo obawiała się owych pięciu dni odosobnienia przewidzianych nakazem tradycji, ale okazało się, że niepotrzebnie. Julian wielkodusznie okazał zrozumienie i sam zasugerował, żeby wykorzystali ów okres na wzajemne poznanie się, a przy tym nie musieli się kępować atmosferą intymności. Sypiali zatem osobno w sąsiednich sypialniach. Jakże Amelia była mu wdzięczna za to zwleknięcie, za wzgląd na jej panięskie obawy! Serce jej przepelniała nadzieja, że znajdzie szczęście w małżeństwie!

Jednakże zanim naprawdę mogli podjąć wspólne życie, należało odbyć całą turę zwyczajowych odwiedzin, wizyt składanych krewnym, zamieszkującym to w górze, to znowu w dole rzeki pomiędzy mokradłami, i pozwolić podejmować się w ich domach. Julian nalegał, żeby najpierw kupić Amelii nową garderobę, ponieważ suknie, jakie sprawiła sobie do wyprawy, uważał za nieeleganckie i pozbawione wyrazu. Uznał, że zbyt długo chodziła w żalobie, aby wiedzieć, co jest modne.

Nie sposób mu było odmówić wybornego gustu. Towarzyszył jej podczas każdej wizyty do krawcowej, służąc pomocą w wyborze materiałów, które pasowałyby do jej cery, przeglądając z nią egzemplarze „La Mode Illustree” czy też analizując stroje modnie ubranych lalek, dostarczanych bezpośrednio z Paryża. Pomimo to nie był jeszcze usatysfakcjonowany, więc ciągnął ją do modystek po czepki, kapelusze i welony, które miały ją chronić przed promieniami słońca; do szewców po delikatne pantofelki; do jubilerów po drobiazgi, które ostatecznie pozwoliłyby uznać każdy z jej licznych ubiorów za dzieło skończone. Nigdy jeszcze tak o nią nie dbano, nie rozpieszczano jej i nie psuto. Miała wrażenie, że jest dla niego kimś nieskończenie cennym.

Nadeszła wreszcie noc, podczas której obudziła się i znalazła go przy swoim łóżku. Ogarnął ją dreszcz podniecenia, gdy położył się obok. Jego pocałunki były gorące i słodkie, dotyk delikatny. W końcu już się nie bała, gotowa naprawdę zostać jego żoną. Wziął ją w ramiona, pieścił, zdjął z niej nocną koszulę. Na tym jednak poprzestał.

Odsunął się i leżał, wpatrując się w mrok. Nie rozumiała jego zachowania. Obawiała się, że z braku doświadczenia uczyniła coś niewłaściwego, co go odstraszyło. Wyciągnęła dłoń, usiłując niedorzecznie na nowo rozpalic jego pożądanie, lecz powstrzymał ją. W końcu rozplakał się, próbując na próżno stłumić szloch, zdławić ból, którego nie mogła pojąć. Jej twarz także stała się wilgotna od łez. Przyszedł do niej jeszcze dwa razy: na pokładzie parowca, którym płynęli po ostatnich poślubnych wizytach, i gdy powrócili do Belle Grove, by spędzić tu wiosnę. Nic się jednak nie zmieniło.

Amelia odwróciła się od okna. Z trudem rozczesywała szczotką splątane, mokre włosy. Powietrze w pokoju było chłodne i nasycone wilgocią. Marzyła o ogniu na kominku. Postąpiła krok w kierunku dzwonka, ale ostatecznie się rozmyśliła. Nie, w żadnym razie nie mogła zostać w swoim pokoju, kiedy przybierały wody, by zalać Belle Grove. Musiała coś zrobić, aby pomóc, cokolwiek. Odkryła już, że stałe zajęcie jest doskonałym antidotum na natrętne i przygnębiające myśli. Nie chodziło przy tym o to, że żalowała zamążpójścia. Julian był dobrym kompanem, gdy akurat na to miał ochotę i pozostawał na plantacji, zamiast do białego rana szukać rozrywek w pobliskim St. Martinville.

Niektórzy mogliby uważać, że jest niemądra, przywiązując takie znaczenie do fizycznej więzi między mężczyzną a kobietą, że powinna być zadowolona, iż los uwolnił ją od tego obciążenia. W minionych latach wielokrotnie miała okazję słyszeć o tym z ust starszych kobiet, które odwiedzały cioteczną babkę Ton-Ton i gawędziły wieczorami przy herbacie, zapominając czasem o ściszeniu głosu ze względu na panięski stan Amelii. Ona sama raczej nie podzielała tego zdania. Zdarzały się chwile, w których ogarniało ją bolesne pragnienie, aby znaleźć się w ramionach mężczyzny, poczuć męską siłę i przeciwstawić jej swą własną.

Kochała swojego męża, kochała naprawdę. Czasem nawet żywiła wobec niego uczucia opiekuńcze. Miał wiele godnych uznania cech: rozważę, szczodrość, no i dar wymowy. Był przystojny: ciemnowłosa, wysoki, nosił się z arystokratyczną elegancją. A jednak bywało i tak, że jego wymuszone dobre maniery, czar uśmiechu stawały się przykre. Czasem chciała go sprowokować, uczynić coś swawolnego albo psotnego, cokolwiek, żeby tylko zburzyć tę jego wystudiowaną obojętność, przyciągnąć uwagę i rozproszyć własny niepokój wywołany poczuciem braku kobiecości, który ogarniał ją w chwilach słabości.

Jego uczuć wobec siebie nie była pewna. Obawiała się, że jeśli nawet istniały, to tłumiała je nadmierna troska o jej wygody.

Nagle znieruchomiała. Czy to możliwe, że właśnie o niej i Julianie toczyła się przed chwilą rozmowa w salonie teściowej? To tłumaczyłoby zakłopotanie starszej pani i uważny wzrok Roberta Farnuma. Bądź co bądź niecodziennie widuje się mężatkę dziewicę. Z całą pewnością taka kobieta zasługuje na co najmniej dwa badawcze spojrzenia, które miałyby pomóc wysnuć przypuszczenia co do takiego stanu rzeczy.

Z wrażenia rumieniec wystąpił jej na policzki. Nie, niepodobna! Choć teściowa z pewnością świadoma jest sytuacji. Starsza pani potrafiła nieraz znaleźć okazję do poruszenia tej delikatnej kwestii. Nie można też wykluczyć, że wiedzieli wszyscy domownicy. Pokojówki, które sprzątały pokój, musiały sobie uświadomić, że sypiała sama, ponieważ prześcieradło i powłoki nie były zmięte, kiedy rano wstawała z łóżka; pudełeczko z oczyszczonym gęsim tłuszczem o różanym zapachu, pozostawione na nocnym stoliku, by w razie potrzeby złagodzić dolegliwości pierwszych zbliżeń, wyglądało na nietknięte. Czasami, powodowana dumą, mięła prześcieradła i wgniatała drugą poduszkę.

Nie, ta sytuacja była nie do zniesienia! Nie powinna nawet myśleć, że teściowa mogłaby poruszać taki temat z kuzynem Julianą; w jakim zresztą celu? Coraz bardziej ponosiła ją wyobraźnia. To, że sama tak boleśnie znosiła swe niezwykle położenie, nie oznaczało wcale, że stała się przedmiotem niestosownego zainteresowania innych. Rozmowa między panią Declouet i siostrzeńcem jej męża z pewnością miała jakiś związek ze zwykłymi, nudnymi sprawami dotyczącymi plantacji. A zainteresowanie okazane przez Roberta nie było niczym innym jak tylko wyrazem zwykłej ciekawości.

Kiedy chwilę później Amelia wyszła ze swojego pokoju, miała na sobie marszczoną suknię z różowej popeliny i trzy halki. Nie włożyła natomiast stelażu, by nie krępować sobie ruchów. Z włosami zaplecionymi w warkocz i ułożonymi w małą koronę wokół głowy czuła się schludnie; była gotowa podjąć jakieś pożyteczne działanie. Prosto z sypialni przeszła do salonu, a następnie skierowała się w stronę drzwi wychodzących na werandę i zewnętrzne schody położone z tyłu domu.

Belle Grove zostało zbudowane na samym początku dziewiętnastego wieku, kiedy wszystkie pomieszczenia, kominy i wewnętrzne klatki schodowe były opodatkowane. Z tej racji dom miał klatki schodowe na zewnątrz, jedną od frontu i drugą z tyłu, ale ani jednej wewnątrz; zaledwie dwa kominy, lecz za to aż cztery paleniska.

Styl domu wyraźnie nawiązywał do architektury Indii Zachodnich. Pan Declouet, na którego zlecenie wzniesiono budowlę, uciekł z Santo Domingo, kiedy wybuchło tam powstanie niewolników. Zamieszkał w pobliżu St. Martinville, ponieważ miał tu sławnych, choć dalekich krewnych, między innymi Aleksandra Decloueta, komendanta Poste de Attakapas w pierwszych latach osadnictwa na tych terenach. Prócz bardzo wysokiej piwnicy jego dom miał pochyły dach z sześcioma mansardowymi oknami, trzema od tyłu i trzema od frontu. Dwie wysunięte galerie kryły się pod okapem dachu podtrzymywanym przez kwadratowe ceglane kolumny na dole i toczone, okrągłe na górze. Z tyłu biegły dwa rzędy łodzi: górnych i dolnych. Francuskie okna, ze szczebliną na szczycie, otwierały się z większości frontowych pokoi w stronę galerii, stanowiącej część mieszkalną pod gołym niebem. Niższą galerię wykorzystywano w podobny sposób.

Wewnątrz nie było głównego holu. Każdy z siedmiu pokoi na drugiej, głównej kondygnacji łączył się z sąsiednim poprzez drzwi, co ułatwiało przepływ powietrza. Salon obejmował centralną część domu; stąd drzwi wychodziły zarówno na łodzie, jak i na galerię. Po lewej stronie salonu mieściła się sypialnia pani Declouet oraz jej salonik. Druga sypialnia została oddana do dyspozycji Chloe, chrześniaczki starszej damy. Sypialnie po prawej stronie należały do Amelii i Juliana; do niego ta z tyłu, do niej ta w środku. Z przodu zaś znajdowała się jeszcze jedna, nazywana pokojem panińskim. Stały tutaj meble jak w każdej sypialni, a w przyszłości miała ona służyć jednej z córek Juliana i Amelii, gdyby rodzina im się powiększyła. Jedyne wejście do tego pomieszczenia wiodło przez pokój Amelii, co stanowiłoby nie lada przeszkodę przed potajemnymi wizytami ewentualnych konkurentów do ręki młodej panny. Synowie zaś zamieszkaliby na drugim piętrze w obszernym pomieszczeniu z mansardowymi oknami, ale tylko do czasu osiągnięcia wieku, w którym ich swawolne zachowanie nie okazałoby się zbyt obraźliwe dla zamieszkujących dom kobiet. Zostaliby wówczas przeniesieni do *garçonnières*, jednego z owych małych, stojących oddzielnie dwukondygnacyjnych budynków, utrzymanych w jednakowym stylu Indii Zachodnich, a położonych w głębi posesji po obu stronach głównego domu i oddawanych do dyspozycji gościom płci męskiej.

- Amelio! Poczekaj, proszę, jeszcze chwilę, dobrze?

Amelia właśnie miała schodzić po stromych schodach, ale na dźwięk głosu się zatrzymała. Jej kształtne, pełne usta wygięły się w uśmiechu, ożywiając posępny brząz oczu z nierównymi szaroniebieskimi pierścieniami wokół

tęczówek. Chloe, nieco pulchna, siedemnastoletnia dziewczyna, ubrana w szeroką suknię z błękitnego jedwabiu, żeglowała w jej kierunku od strony salonu, potrząsając połyskującymi przy uszach kolczykami. Wpadła w ramiona Amelii z takim impetem, że obie runęłyby na schody, gdyby w ostatniej chwili Amelia nie przytrzymała się barierki.

- Ależ ze mnie niezgara! Któregoś dnia skręcę sobie kark, jak mi to już chyba z tysiąc razy przepowiadał Julian. Proszę tylko *le bon Dieu*, bym przy tej okazji nie złamała karku komuś innemu.

- Wcale bym się nie dziwiła - szybko potwierdziła Amelia.

Dziewczyna roześmiała się.

- Tak, ale czyż to wszystko nie jest ekscytujące? Naturalnie mam na myśli powódź. Odkąd tutaj jestem, nigdy jeszcze nie widziałam czegoś podobnego.

Amelia popatrzyła przed siebie, ponad balustradą lodzii, ponad *garçonnières* i przybudówkami, na miejsce, gdzie padający deszcz dziurawił srebrzystą powierzchnię wody wypełniającej kanały, które oddzielały fale błękitnozielonych trzcin, ciągnących się daleko, jak okiem sięgnąć, na równinie za Belle Grove. Ten widok tchnął pozornym spokojem. Bezbarwnym tonem odparła krótko:

- Bardzo.

Chloe tupnęła nogą w geście udawanego zniecierpliwienia. Jej oczy rozbłysły, a wygięta dolna warga nadała twarzy nadąsany wyraz.

- Pewnie, że bardzo! A Jerzy umiera z niepokoju, ale, rozumiesz, nie z powodu niebezpieczeństwa grożącego ludziom! Troszczy się o jakiegoś tam Erosa, głupiec! Pobiegł nawet do Roberta, aby prosić go o worki z piaskiem dla ochrony tego ohydztwa!

- Moja droga Chloe, jak możesz tak mówić?

- Mogę, i to bez żadnych skrupułów, zapewniam cię. Wszystko, co odwraca ode mnie uwagę ukochanego, jest w moich oczach najgorszym, skończonym ohydztwem!

Chloe była nie tylko chrześniaczką pani Declouet, ale też jej daleką powinowatą. Starsza dama przygarnęła dziewczynkę, gdy ta miała około dziesięciu lat, za przyzwoleniem rodziców, którzy dość chętnie uwolnili się od jednego ze swych piętnaściorga dzieci. W minionych latach opiekowano się nią w przekonaniu, że kiedyś zostanie żoną Juliana. Jednakże wychowywanie tych dwojga razem było błędem. Wprawdzie dorastali niby brat i siostra, ale w niczym nie potrafili się zgodzić. Przejawiali wobec siebie głęboką pogardę. Chloe już przy pierwszym spotkaniu zaakceptowała Amelię, przede wszystkim z wdzięczności, że ta uwolniła ją od małżeństwa z Julianem. Julian natomiast nie przepuszczał żadnej okazji, by wytknąć Chloe wszelkie niedoskonałości, od pyszałkowatego sposobu bycia do nierówno przyszytej falbany. Pomimo wszystko łączyła ich pewna więź uczuciowa, będąca zapewne przyczyną, dla której Julian bezlitośnie naigrawał się teraz ze słabości dziewczyny do Jerzego Parkmana, angielskiego specjalisty od projektowania i zakładania parków. Zatrudniono go, żeby przekształcił część gruntów Belle Grove w coś, co przypominałoby ogród botaniczny.

- Moim zdaniem Eros jest cennym dziełem sztuki - powiedziała Amelia łagodząco i odwróciwszy się, zaczęła schodzić po schodach.

- Jakie to ma znaczenie, kiedy Jerzy będzie tam ryzykował życie, podczas gdy ja zostałam tutaj bez żadnej ochrony.

- Zgadzam się z tobą, że to przykro być opuszczoną dla figury z brązu, tylko że nam nic nie grozi.

Chloe podążała tuż za Amelią.

- Przeiębi się i umrze - powiedziała płaczliwie.

- Eros?

- Jerzy, rzecz jasna! Chociaż dłaczego nie miałby się przeiębić, gdyby tylko żył, skoro jest tak zupełnie... zupełnie rozebrany.

- Jerzy? - zapytała Amelia, starając się, by jej głos zabrzmiał możliwie niewinnie.

- Nie, Eros! - wykrzyknęła Chloe, oblewając się żywym rumieńcem i zerkając spod oka na Amelię. - Jerzy zachoruje na zapalenie płuc, ja to wiem - dodała z westchnieniem.

- Pomyśl tylko, jaki będzie wdzięczny, kiedy zaczniesz go pielęgnować.

Twarz Chloe rozpromieniła się, jej oczy rozbłysły. Potrząsnęła głową.

- On się przyzwyczaił do deszczu w Anglii i uważa, że nasza wiosna jest całkiem ciepła. Sądzę, że w ogóle nic mu nie będzie.

- Ja zaś mam nadzieję, że żaden z pracujących mężczyzn nie przeiębi się na śmierć w tym deszczu; na pewno jednak wszyscy przemokną do suchej nitki.

- Większość pracy wykonują robotnicy przyzwyczajeni do robót w polu. Kuzyn Robert też ciągle jeździ konno z jednego krańca The Willows na drugi, poluje na kaczki albo jelenie.

Przechodziły teraz od podnóża schodów przez dolną lodzie do pokoju stołowego mieszczącego się w podwyższonej piwnicy. Podobnie jak salon na górze, także to pomieszczenie zajmowało całą szerokość budynku. Sąsiadowało ze spiżarniami, izbą, do której przynoszono potrawy przed podaniem i gdzie przechowywano zabrudzone naczynia, dopóki posiłek się nie skończył, wreszcie z pokojami sypialnymi lokaja i niani. Pokój

stołowy nie był teraz zajęty. Obszedłszy ogromny mahoniowy kredens z zawieszonym nad nim owalnym lustrem, dwie młode damy wyszły na galerię.

Deszcz zaczął, rozpryskując się na ceglanej posadzce. Za zasłoną srebrzystych strug w odległości około dwustu metrów, za drogą, która biegła wokół domu, poruszały się ciemne sylwetki pracujących mężczyzn. W ich działaniach dużo łatwiej teraz niż wcześniej tego samego dnia można było dopatrzeć się i celu, i determinacji. Wokół nich krążył na koniu mężczyzna, jeżdżąc tam i z powrotem, gestykulując, pokazując na coś, usiłując przekrzyczeć głucho odgłosy pioruna. Bliżej domu, na łące, od której plantacja wzięła nazwę, potężne dęby poruszały się delikatnie na wietrze, kołysząc brodami z hiszpańskiego mchu. Z gołębników w kształcie wieżyczek po obu stronach galerii wzbily się do lotu i zaczęły krążyć spłoszone niecodziennym ruchem ptaki - jasnoszare kształty na tle siwego nieba.

Z racji bardzo krętego biegu rzekę nazywano Teche, które to słowo w języku Indian Choctaw oznaczało węża. Koryto było bardzo szerokie, sięgało może sześćdziesięciu metrów. W zamierzonych czasach tędy płynęła Missisipi, ale potem bystry strumień zwany Atchafalaya zagarnął dla siebie wielką rzekę, by znowu ją utracić na rzecz obecnego jej biegu. W odróżnieniu od tamtych rzek bardzo powolne nurty Teche nigdy nie były regulowane. Ponieważ w ciągu setek lat poziom wody drastycznie się obniżył, a rozlewisko było głębokie, już same wysokie brzegi zdawały się stanowić wystarczające zabezpieczenie przed powodzią, oczywiście z wyjątkiem zupełnie nadzwyczajnych okoliczności. Tego roku wiosenne roztopy w wyżej położonych partiach dorzecza Teche zaczęły się późno i były szczególnie obfite. Płynąca na południe woda wypełniła po brzegi wszystkie koryta rzeczne, zagłębienia, stawy i mokradła. Jakby tego było mało, od kilku tygodni bezustannie padał deszcz.

Od Belle Grove do rzeki teren obniżał się lekko, lecz główny budynek i przybudówki posadowione były na wzniesieniu, na którym rosły obwieszone mchem dęby i magnolie o powykrzywianych w kierunku wody gałęziach. Mogło się wydawać, że zaporą z worków wypełnionych piaskiem zamknie dom i jego przybudówki w kręgu o końcach ginących we wzniesieniu, nie dopuszczając doń wody, gdyby przelała się nad brzegami.

- Czy zdążą skończyć w porę? - powiedziała Amelia jakby do siebie.

- Jeżeli w ogóle coś jest możliwe, to kuzyn Robert na pewno tego dokona - odparła natychmiast i bez cienia wątpliwości Chloe.

- To raczej dziwny człowiek - zaryzykowała Amelia.

- Czego tu oczekiwać po kimś, kto jest synem *un coquin Americain*.

Mianem amerykańskich łotrów obdarzano wszystkich mężczyzn z Kentucky, którzy niegdyś wczesnym świtem wyruszyli łodziami w dół rzeki do Nowego Orleanu, aby tam sprzedać swoje wyroby. Mało wytworne manieiry, hałaśliwe rozrywki nowobogackich, skłonności do awanturniczych rozrywek, które czasem rujnowały całe majątki, sprawiły, że rezydenci dawnej francuskiej kolonii - zwłaszcza ci spośród arystokracji - nimi pogardzali.

- I mimo wszystko jest jakoś skoligacony z Winere'm.

Amelia spojrzała w stronę dziewczyny okazując jedynie odrobinę zaciekawienia. Ale i to wystarczyło.

- Och, powiadam ci, to był wielki skandal. Wyobraź sobie istną królową piękności Solange Declouet, sławę Nowego Orleanu i dumę rodziców, i - nieokrzesanego olbrzyma z Kentucky w tym swoim prowincjonalnym czarnym ubraniu, Jonatana Roberta Farnuma. Otóż ten olbrzym dostrzega na galerii naszą ciemnowłosą piękność i staje oniemiały z zachwytu. Potem próbuje wejść do środka, ale go nie wpuszczają, woła do niej z dołu, a ta niemal omdlewa, kiedy matka ze służącą wciągają ją do środka. Potem on jest wszędzie tam, gdzie ona. Jej najpoważniejszy adorator wyzywa go na pojedynek i przegrywa, trafiony na wylot w łokieć. Nasz bohater przekupuje służącą, która przekazuje wiadomość. Solange spotyka się z nim w katedrze, dokąd często chodzi się modlić. Jest zauroczona. Tymczasem trwają pospieszne przygotowania do jej ślubu z rannym konkurentem. Ona zarzeka się, że nie pragnie małżeństwa, i postanawia pójść do zakonu, by stać się oblubienicą Chrystusa. *Americain* dowiaduje się o tym, porywa ją, a ich związek sankcjonuje duchowny w odległym Poste Natchitoches. Po narodzinach syna jej rodzina pogodziła się z młodym małżeństwem.

- Tym synem jest Robert?

- Oczywiście.

- A plantacja? The Willows były jej posagiem? Są przecież położone w sąsiedztwie posiadłości Declouetów.

- Ach, nie. *Americain*, podobnie jak jego syn, był człowiekiem urodzonym pod szczęśliwą gwiazdą. Po prostu kupił tę ziemię od kogoś, żeby jego Solange mogła cieszyć się sąsiedztwem swojej rodziny.

- A potem przybyła *M'mere*, młoda wdowa, i poślubiła brata Solange - uzupełniła Amelia.

- Nie sądzę. Wydaje mi się, że ona już tutaj była, po zawarciu drugiego małżeństwa. Nie była już taka młoda, kiedy Julian przyszedł na świat. Prawie za stara na dziecko.

- Rozumiem. Wydaje się, że Robert... żyje w przyjaźni z *M'mere*.

- Nic w tym dziwnego. Jego matka zmarła podczas kolejnego porodu, kiedy miał pięć albo sześć lat, a wkrótce potem jego ojciec oraz mąż *M'mere* zginęli obaj w wypadku na łodzi podczas polowania na kaczki. Ciotka przygarnęła go, by stał się towarzyszem zabaw Juliana. Robert traktuje ją jak drugą matkę: serdecznie i z wdzięcznością.

- Tak, rzeczywiście. Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego Julian i Robert pozostają w zażyłości. W dodatku są prawie

rówieśnikami.

Chloe skinęła głową.

- Są bliskimi przyjaciółmi.

- Tak bliskimi, że żadnemu nie spieszyło się do małżeństwa. - Amelia z uwag wypowiedzianych w jej obecności wiedziała dobrze, że Robert Farnum nie ma żony.

- A powiedz: po co brać sobie na kark rodzinę? Mężczyźni mają swoje tancerki, śpiewaczki operowe, swoje *placées*, koniecznie z domieszką krwi murzyńskiej. Czym jest żona, dzieci i radości domowego ogniska wobec tych podniet? Niektórzy mężczyźni wolą nawet utrzymywać bliskie kontakty z bezduszną figurą z brązu. - Chloe klasnęła gniewnie w dłonie, a potem, odwróciwszy się w stronę Amelii, szybko podniosła je do ust. - Ach, co ja wygaduję! Mówię tak tylko ogólnie, *ma chère*.

- Nigdy nawet nie przypuszczałam, że oni... by którykolwiek z nich... pozostawał wcześniej w celibacie - zauważyła Amelia, mając nadzieję, że jej głos brzmi zupełnie spokojnie.

Twarz Chloe pojaśniała.

- A więc nie jesteś zszokowana, to dobrze. Wiele kobiet tylko udaje, a ja tego nie cierpię. Jeśli chodzi o tego drugiego, oczywiście nie wiem nic pewnego, ale słyszałam to i owo. Robert nigdy nie miał *placée*. W przeszłości wolał śpiewaczki operowe, chociaż parę lat temu była i pewna zamężna kobieta. Podobno próbowała popełnić samobójstwo, polykając truciznę na szczury, kiedy jemu znudził się już ten związek.

- To niegodziwe rujnować komuś drugiemu życie rodzinne - powiedziała Amelia.

- O, tak. W każdym razie Julian nigdy tego nie robił. On miał jedynie swoją *placée*, młodą dziewczynę, podsunętą mu przez matkę, kiedy jego ojciec nie mógł już tego widzieć. Ale możesz się nie obawiać. Oddalono ją przed ślubem i nigdy więcej jej nie ujrzy.

- Rozumiem. - Nie przyszłoby jej do głowy, że Julian był związany z metresą, kobietą, którą brał w objęcia, która mogła urodzić mu dzieci, co jej może nigdy nie będzie dane.

- Wolałabyś, bym ci o tym nie mówiła? - zapytała Chloe, marszcząc czoło, zaniepokojona. - Przepraszam cię z całego serca, ale nie mogę się powstrzymać. Pomyślałam, że skoro już coś obito ci się o uszy, byłoby lepiej, gdybyś wiedziała wszystko.

- Ale ty sama przecież nie powinnaś o tym mieć zielonego pojęcia.

- Ponieważ jestem jeszcze za głupia, jak powiedziała by Armere. Przecież nie umiałabym postępować w życiu, gdyby tego rodzaju wiedzę zachowywano przede mną w tajemnicy.

W tym momencie uwagę Chloe przyciągnął mężczyzna wychodzący chwiejnym krokiem zza domu. Był to Jerzy. Dźwigał duży przedmiot z brązu, byle jak owinięty jutowym workiem, i zmierzał mniej więcej w kierunku *garçonnières*. Odwróciła się w tamtą stronę, by zawołać do niego i pomachać dłonią. Jerzy zmienił kierunek i ruszył ku galerii.

Amelia wymieniła pozdrowienia z Anglikiem i pomogła mu uwolnić się od ciężaru, ale kiedy Chloe zaczęła mu robić wymówki, przeniosła wzrok na pracujących w deszczu. Spojrzenie jej piwnych oczu podążało za mężczyzną, który, siedząc na koniu, ściągnął lejce, drugą rękę oparł na udzie i mówił coś do jednego z robotników. Ubranie błyszczało wilgocią, przywierało do szerokich ramion i umięśnionej sylwetki zwężającej się w pasie. Nagle mężczyzna wyprostował się i odwrócił w siodle, przesunął kapelusz na tył głowy i popatrzył wprost na nią. Spłoszona Amelia uciekła wzrokiem w bok, odwróciła się i wycofała do środka.

Rozdział II

Amelia zajęła się swoimi zwykłymi domowymi obowiązkami. Sprawdziła, czy pokojówki sprzątnęły we wszystkich sypialniach - oprócz, rzecz jasna, w pokoju Juliana - czy łóżka są posłane, pojemniki na odpadki i nocniki opróżnione, dywany starannie zamiecione. Pomieszczenie kamerdynera wymagało uprzątnięcia, ale z tym należało poczekać. Brakowało rąk do pracy, ponieważ dwóch mężczyzn wykonujących zwykle najcięższe prace domowe przebywało przy rzece, a Karol, dostojny Aszanti, który służył jako kamerdyner, był zajęty pilnowaniem, by pokojówki nie wychylały się nadmiernie poza barierkę galerii i by ich pierzaste miotłki do odkurzania nie były skierowane w stronę pracującego zespołu. Wcześniej wydzieliła poszczególne racje żywnościowe dla czworaków, a także do kuchni na cały dzień. Wszystkie klucze, których używała do otwierania różnych pomieszczeń magazynowych i spiżarni, wisiały na misternym srebrnym łańcuszku u jej pasa. Omówiła z kucharką menu na cały dzień, a potem wyruszyła w stronę rzeki. Z porannych obowiązków pozostała jej tylko wizyta w izbie chorych, polegająca zwykle na opatrywaniu zranień, poparzeń, przynoszeniu ulgi cierpiącym na rozmaite bóle i ogarniętym gorączką. W tym celu korzystała z bardzo zniszczonego podręcznika medycyny domowej, który otrzymała od teściowej wraz z pękiem kluczy.

Liczba obowiązków złożonych przez teściową na jej barki w ciągu ostatnich tygodni wydawała się zadziwiająca. Poza tym nie bardzo to pasowało do władczego usposobienia pani Declouet. Amelia zastanawiała się nad powodem tego stanu rzeczy. Być może była poddawana próbie, która miała wykazać, czy w ogóle zdolna jest podołać wielorakim zadaniom i ciężarom związanym z prowadzeniem dużej plantacji. A może teściowa nie czuła się tak dobrze, jak mogłoby się wydawać? Sposób poruszania się starszej pani po domu był majestatyczny, ale przecież powolny. Jej maniery przy stole były nienaganne, lecz zjadała ledwie odrobinę z bogactwa dań, jakie

przed nią stawiano. Każdego popołudnia udawała się na odpoczynek do swojego pokoju na, jak to określała, chwilę wytchnienia. Kiedy zjawiała się ponownie, robiła wrażenie, że wprawdzie spała twardo, jednakże bez jakiegoś dobroczynnego efektu. Amelia, która zwykle miała lekki sen, wiele razy budziła się w nocy, słysząc odgłos kroków teściowej, chodzącej tam i z powrotem w swojej sypialni.

Wyszedłszy na górną galerię w poszukiwaniu pokojówki, która miałyby usunąć tłuste odciski palców, dostrzeżone na blacie wyłożonego marmurem stołu, Amelia przystanęła i spojrzała w dół na pracujących mężczyzn. Zadrżała lekko, kiedy na zewnątrz przywiał ją podmuch przenikliwie zimnego wiatru, niosącego mgłę z mokrego pyłu i ciskającego deszczem o podłogę z cyprysowych desek. Jakże żałośnie wyglądali ci mężczyźni, kiedy grzęzli w błocie, nakładając łopatami mokrą, czarną ziemię do jutowych worków, zarzucając je na plecy i niosąc na wznoszącą się powoli zaporę. Taki wysiłek wymagał siły i energii. Amelia uświadomiła sobie, że będą potrzebowali dużo jedzenia, a koło południa coś gorącego do picia. Nie zapowiadało się, aby mogli pozwolić sobie na dłuższą przerwę i wrócić pod dach.

Tym razem wizytę w izbie chorych należało odłożyć. Amelia odwróciła się i skierowała kroki ku tyłowi domu i zewnętrznym schodom, które wychodziły na ceglana ścieżkę przed *garçonnière* oraz kuchnię położoną w dolnej kondygnacji mniejszego budynku.

Zbliżało się południe, kiedy znowu była gotowa do opuszczenia domu. Ponownie miała płaszcz zarzucony na ramiona i ceratową parasolkę w dłoni. Na środku salonu przystanęła, zaintrygowana dźwiękiem uderzeń metalu o metal, szuraniem butów i jakimś ruchem na frontowej galerii. Zmarszczyła lekko czoło i odwróciła się w tamtym kierunku.

Zatrzymała się w przejściu. Górna galeria została chwilowo zamieniona na salę do ćwiczeń szermierczych. Był tam Julian, ubrany tylko w rozpinaną koszulę i wąskie spodnie, ściągnięte paskami pod stopami, oraz w podobnym stroju Tige - jego przeciwnik i służący w jednej osobie, syn kamerdynera. Szpady miały na końcach zabezpieczające kulki, i może dlatego obaj młodzi mężczyźni nie nosili osłon ani na twarzy, ani na klatce piersiowej. Umiejętnościami górował w pojedynku Julian, ale za to Tige'a charakteryzowała rozwaga, determinacja i przewaga fizyczna. Potyczka w żadnym razie nie była nierówna, ponieważ Tige i Julian wspólnie odwiedzali *solle d'armes* wspaniałego mistrza szermierki, Mulata, Bastile'a Croquere'a. Młody panicz zawsze pragnął mieć przy sobie odpowiedniego partnera i tak to obmyślił, żeby Tige uczył się sztuki szermierskiej razem z nim.

Julian rzucił krótkie spojrzenie w kierunku żony.

- Dzień dobry, kochanie. Wyglądasz olśniewająco w ten ponury dzień.
- Dziękuję, Julianie. Wiesz, że woda się podnosi?
- Wiem - odparł, trochę zadyszany, bo właśnie wybronił się przed atakiem Tige'a, który próbował wykorzystać jego pierwszy moment nieuwagi. - Zapewne uważasz, że powinienem być przy Robercie i ratować nas wszystkich?
- Zdaje się, że twój kuzyn panuje nad sytuacją.
- Mnie również tak się wydaje - odrzekł, uśmiechając się lekko, a jednocześnie z łatwością sparował dobrze wyprowadzony cios przeciwnika - ale czy przypadkiem nie zamierzasz dołączyć do jego kompanii zamiast mnie?
- W żadnym razie. Jeśli chcesz wiedzieć, po co mi parasolka, to odpowiadam, że zamierzam dopilnować, aby ludzie ci dostali coś do jedzenia i picia.
- Bardzo chwalebna misja. Będą cię błogosławić, to pewne. Pozostaniesz już dla nich na zawsze *petite maitresse*.
- Najprawdopodobniej. Jadłeś już śniadanie?
- Oczywiście. Mam niewielkie potrzeby, które łatwo zaspokoić.

Obosieczne słowa, ironiczne nuty - to nie było nic nowego. Amelia nauczyła się nie traktować ich poważnie. Uważała, że nie odnoszą się do niej, lecz do niego samego. Julian nagle spowaźniał i z furią natarł na swojego służącego całą serią uderzeń ostrą krawędzią szpady, by w końcu zakreślić ostrzem przeciwnika i zwyciężyć. Tige stęknął, szpada wypadła mu z dłoni, a on stanął z opuszczoną bezwładnie ręką.

- Jeszcze raz! - zażądał Julian, a kiedy Amelia odwróciła się, służący podniósł szpadę, machnął nią w charakterystycznym geście szermierczego pozdrowienia przed swoją brązową twarzą o nieregularnych rysach i ponownie przybrał postawę do walki.

Kuchni nie umieszczono w głównym budynku przede wszystkim dlatego, by podczas długiego lata uniknąć ciepła, które dawał stale płonący ogień, i by uchronić ściany przed zabrudzeniem tłustą sadzą, a także zapobiec możliwości wzniesienia pożaru. Jednakże za każdym razem, kiedy Amelia musiała przychodzić tu podczas takiego słotnego dnia jak ten, miała poważne wątpliwości, czy było to słuszne rozwiązanie.

Po wejściu do kuchni strząsnęła z parasola krople wody i rozłożyła go do wyschnięcia na podłodze. Dopiero teraz podniosła głowę i rozejrzała się. W powietrzu unosił się smakowity zapach jabłek i cynamonu, duszonego mięsa i czosnku. Kucharka, potężna kobieta w białym fartuchu, przykrywającym częściowo niebieską sukienkę, i z wzorzystą chustą obwiązaną dookoła głowy, poruszała się lekko pomiędzy paleniskiem a solidnym kuchennym stołem. Inna stała przy drzwiach nad balią pełną gorącej mydlanej wody, a jeszcze inna na brzegu stołu odlewała tłuszcz z żeliwnego garnka. Naprzeciwko stał murzyński chłopiec z kawałkiem szarlotki w jednej ręce i węgla drzewnego z paleniska w drugiej. Rysował, a pod jego małą dłonią nabierała kształtu kobieca głowa, obwiązana

chustą, której końce sterczały jak uszy kota. Zadziwiające, jak niezwykle trafnie kilkoma prostymi kreskami uchwycił podobieństwo.

- Czy wszystko już gotowe, Marto? - zapytała Amelia, kiedy potężna kobieta odwróciła się, by ją przywitać.

- A jakże, *mam'zelle*. Gotowe i poukładane w powozie. Tylko kto to zawiezie, nie mam pojęcia. Właśnie przed chwilą przyszedł pan Dye i zabrał ze sobą Zeke'a, tego co to w stajni opiekuje się mułami. Karol jest porządnym człowiekiem, najlepszym lokajem pod słońcem, ale on służy w domu, a poza tym bardzo boi się zwierząt. Wszyscy inni są tam, gdzie pan Robert.

Amelia nie protestowała, kiedy tytułowano ją *mam'zelle*. Jedynie obcym kobietom w towarzystwie mężów nadawano tytuł *madame*. Do wszystkich kobiet w gospodarstwie domowym, nawet do staruszek z prawnukami na kolanach, zwracano się *mam'zelle*, chociaż ją nazywano ponadto *petite maitresse*, małą panią, podczas gdy matkę Juliana wielką panią - *grande maitresse*.

- Może mężczyźni będą mogli sami przyjść do kuchni po kilku naraz.

Kucharka potrząsnęła głową.

- Pan Robert na to nie pozwoli. Nikt nie odejdzie, dopóki praca nie zostanie zakończona. Tak będzie lepiej, bo nie ma czasu gonić za tymi, którzy nie wrócą. A gdyby nawet się zgodził, pewnie byłby niezadowolony z poczynań pana Dye'a podczas swojej nieobecności.

Dye, przybysz zza oceanu, wrócił mniej więcej przed godziną. Amelia zauważyła, że nadjechał. Widziała też jego spotkanie z Robertem Farnumem. Nie mogła wprawdzie słyszeć, o czym mówili, ale domyślała się, że nadzorca nie ucieszył się ze sposobu powitania.

- Ja pojadę - powiedział nagle chłopiec siedzący przy stole.

Nosił imię Isa. Wstał, odłożył węgiel i patrzył na nie wyczekująco. Przybył do Belle Grove z matką jeszcze jako niemowlę. Jakiś czas później jego matka umarła podczas kolejnego porodu, a osierocony chłopiec przeniósł się z jednej izby do drugiej w czworakach na tyłach domu. Liczył dziewięć albo dziesięć lat, był bardzo bystry, ale jego ciało szpeciła wykrzywiona trwale noga. Nie mógł dotrzymać kroku innym dzieciom z czworaków, miał trudności z wykonywaniem nielicznych obowiązków, jakie przypadały im w udziale, często więc znajdował schronienie w kuchni, gdzie kucharka tolerowała go dopóty, dopóki nie wszedł jej w drogę. Amelia zauważyła, że chłopiec obserwuje ją od momentu wejścia do kuchni. Kilka razy odprowadził ją nawet do domu. Pewnego razu kucharka pokazała jej rysunek wykonany węglem na blacie stołu: bez wątpienia był to portret *petite maitresse*.

Amelia uśmiechnęła się do chłopca i skinęła głową.

- Dobrze - powiedziała. - I ja też.

Trasa do pokonania wydawała się nie taka znowu długa, kiedy już wszystko zostało powiedziane i zrobione, a muł w zaprzęgu zdawał się dostatecznie potulny, nawet jakby znudzony, i nic sobie nie robił z deszczu spływającego powoli po jego brązowych bokach. Amelia w przeszłości wielokrotnie powoziła dwukółką ciotecznej babki, wypuszczając się do sąsiadów z posłaniem, które niewarte było zaprzęgnięcia powozu. I tym razem nie przewidywała poważniejszych problemów.

Rzeczywiście: miała jedynie kłopot z pozbyciem się parasolki i pochwyceniem lejc. Wreszcie odłożyła ją na bok, podniosła kaptur przy swoim płaszczu, odkrywając jednocześnie, że deszcz zmalął do równomiernego kapuśniaczka. Z tyłu wozu Isa pilnował emaliowanych dzbanków z kawą, garnków z zupą, koszyków z ciastem, boczkiem i szynką. Uderzyła lejcami o grzbiet zwierzęcia i skierowała się na drogę, która biegła z tyłu domu, przy małym letnim domku i pomiędzy drzewami w kierunku rozlewiska.

Mężczyźni widzieli, jak nadjeżdżają, ale żaden nie odłożył łopaty ani też worka. Wreszcie pierwszej grupie pozwolono podejść do wozu, gdzie przystanęli i jedli łączywie, popijając kawą i gorącą zupą, zanim ta zdążyła ostygnąć. Kiedy posilała się reszta, Robert Farnum zeskoczył z konia i krocząc wzdłuż owalnej linii worków z ziemią, trącał je to tu, to tam uderzeniem buta. Zapora wznosiła się na wysokość trzech worków ułożonych w poprzek. Nie wyglądała imponująco, wzięwszy pod uwagę trud wszystkich pracujących tu ludzi.

Amelia okręciła lejce wokół dźwigni hamulca i zeszła na ziemię. Podeszła do tyłu wozu i gestem poprosiła chłopca o podanie jej blaszanego kubka i serwetki. Owinąwszy szarlotkę i zrolowaną szynkę w płótno, naalała do kubka gorącej kawy, odwróciła się i ruszyła w stronę kuzyna męża.

Nim zdążyła podejść, stanął przed nim Sir Bent, stary, zgarbiony Murzyn, i powiedział coś przyciszonym, poważnie brzmiącym głosem. Kiedy Amelia się zbliżyła, zdjął na powitanie kapelusz i skłonił przed nią siwą głowę, lecz nie przestał mówić.

- Nie podoba mi się to, *M'sieu*. To jej nie powstrzyma. Tama musi być o dziesięć, dwanaście centymetrów wyższa, ja to wiem. Myślę o tym zwałisku drzew w górze rzeki. Co będzie, jeśli się jeszcze powiększy? Co będzie, gdy najpierw powstrzyma napór wody, a potem ustąpi?

Robert słuchał uważnie, nie przerywając. Starszy mężczyzna był znany ze swych zdolności przewidywania pogody. Czy to z racji wieku i doświadczenia, czy też z powodu szóstego zmysłu, który pozwalał na trafne przepowiednie, zdobył sobie uznanie, przynajmniej tu, w Belle Grove.

- Bzdura - powiedział ostrym tonem ktoś za plecami Amelii. - Stary głupiec usprawiedliwia swoją pomyłkę. Tyle dodatkowej pracy wykonano na darmo!

- Nie, *M'sieu Dye*, nie zrobiłbym tego - zaprotestował Sir Bent. Jak wszyscy niewolnicy na plantacji zwracał się do nadzorca po nazwisku. Tego rodzaju rezerwa była raczej wyrazem braku zaufania niż szacunku.

Przybysz zza oceanu był Irlandczykiem o mahonioworudych włosach, wydatnym nosie i wąskiej górnej wardze, bezwiednie nadającej jego uśmiechowi szyderczy wyraz. Wzrostem jedynie odrobinę ustępował Robertowi Farnumowi, ale był od niego masywniej zbudowany. Z pewnością mógł uchodzić za przystojnego mężczyznę. On sam uważał się za zdobywcę kobiet.

Robert przyglądał się chwilę Irlandczykowi.

- Być może jednak Sir Bent ma trochę racji, jeśli chodzi o to drzewne zwalisko. Tam, w górze, było coś takiego, przynajmniej do niedawna.

Zwaliska powstawały z drzew rosnących na lekkim gruncie rozlewiska i ziemi naniesionej jego dopływami. Kiedy spomiędzy korzeni woda wymyła ziemię, drzewa przewracały się i płynęły z prądem, dopóki nie powstrzymała ich jakaś łacha bądź ostry zakręt.

Patryk Dye wzruszył ramionami.

- Możesz w to wierzyć. Wiesz jednak, że zwykle rozsadzają to na kawałki albo splawiają.

- Nie zawsze. - Głos Roberta brzmiał spokojnie i władczo.

- Rób, jak chcesz. Nadal twierdzę, że to wszystko byłoby dodatkową i całkowicie zbędną pracą. - Irlandczyk odwrócił się do Amelii ze spóźnionymi słowami powitania. Jego orzechowobrzazowe oczy wędrowały po sylwetce, zatrzymując się na zaokrągleniach piersi, zarysowanych pod rozchylnym płaszczem, by wreszcie spocząć na jedzeniu, które trzymała w rękach. Dotknął runda szerokiego kapelusza. - Pani, jakież to wielkoduszny gest dostarczyć nam tutaj coś do jedzenia! Czy to dla mnie?

Po raz pierwszy spotkała się z tym mężczyzną pod nieobecność Juliana. Spojrzenie, jakim ją obrzucił, i ledwie dostrzegalna, ale przecież wyczuwalna w jego głosie nuta lekceważenia wywołały w niej przypływ gniewu.

- Nie - odpowiedziała chłodno. - Dla kuzyna Roberta.

Robert gwałtownie odwrócił się do niej.

- Przepraszam, nie zauważyłem.

Kątem oka Amelia dostrzegła wyraz przykrego rozczarowania, jaki pojawił się na twarzy nadzorca. Ten mężczyzna zasłużył sobie na nauczkę - pomyślała, ale już za chwilę zapomniała o nim, podając Robertowi kubek. Wiedziała, że krawędź, za którą pochwyił, była bardzo gorąca. Mimo to długo trzymał naczynie, wpatrując się w piwne oczy Amelii.

- To znaczy - powiedział - wiedziałem, że jesteś tutaj, ale nie wiedziałem, że mi to przyniosłaś. Dziękuję.

Nagle poczuł gorąco, cicho jęknął i chwycił za ucho kubka palcami drugiej ręki. W kąciку warg Amelii pojawił się cień uśmiechu, lecz zdołała przywrócić twarzy poważny wyraz. Podając jedzenie zawinięte w serwetkę, powiedziała:

- Nie ma za co. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Odeszła od mężczyzn, wróciła do wozu i zaczęła przekładać kosze, ustawiać dzbanki i pojemniki tak, żeby się nie przewracały w drodze powrotnej. Potem rozejrzała się za Isą. Stał w pewnym oddaleniu, przy krawędzi koryta rzeki, gdzie do powierzchni wody skłaniały się gałęzie cyprysów i wierzb. Odwrócony do niej plecami, rzucał w wartki nurt kawałkami drewna, oderwanymi od spróchniałej gałęzi. Zawołała go, ale jej głos nie przebił się przez szum płynącej wody i padającego deszczu, który ponownie się wzmógł. Zerknęła na muła. Zwierzę najwyraźniej było niespokojne: przestępowało z jednego kopyta na drugie, cofało się i szarpało do przodu, strzygło długimi uszami i strząsało z nich wodę, patrząc na ciemne, błotniste rzeczne wiry. Lejce na szczęście były zabezpieczone. Amelia odwróciła się, chwyciła skraj spódnicy i ruszyła w kierunku Isy.

Uderzył piorun; niski, dudniący dźwięk trwał długo, wibrowała ziemia. Amelia podniosła głowę, marszcząc czoło. Chwilę trwało, zanim uświadomiła sobie, że odgłos nie pochodził z góry, lecz z prawej strony. Z tyłu za nią mężczyźni zaczęli porzucać motyki i łopaty. Odwrócili się i patrzyli w górę rzeki. Rozległy się krzyki. Przez zakręt przetaczała się żółta, kipiąca masa wody. W błotnistej kipieli niby zapalki kręciły się, obracały ciemne, proste, namoknięte drewniane kłody.

Mężczyźni rzucili się do ucieczki. Amelia widziała, jak Isa z trudem się odwraca, a potem otwiera usta do krzyku, i kuśtykając na chorej nodze, zmierza w jej kierunku. Pnie zbliżały się, pchane ścianą wody, gotowe zniszczyć wszystko na swej drodze. Kiedy Amelia zerwała się do biegu, pęd powietrza zwał jej z głowy kaptur. Materiał spódnicy trzepotał o kostki, hamując ruchy. Biegła, rozbryzgując błotnistą wodę. Oddychała z trudem. Brzeg rozlewiska wyglądał na niewiarygodnie odległy, tak odległy jak ostatnie rzędy trzciny rozciągających się po drugiej stronie. Amelia uniosła spódnicę na wysokość kolan i zdwoiła wysiłki. Chwilę później otaczała już chłopca ramieniem, na wpół niosąc go, a na wpół ciągnąc.

Słyszała huk wody. Z daleka dochodziły do niej krzyki mężczyzn przedzierających się w górę wzniesienia położonego za domem, ryk muła i głuchy odgłos, gdy zwierzę kopało w wóz. Isa poszarzał na twarzy. Jedną ręką wczepił się w materiał jej wełnianego płaszcza. Bolała go wykręcona noga, wiedziała o tym, ale nic na to nie mogła poradzić. Rozrywało jej płuca, brakowało tchu. Do pokonania pozostało zaledwie kilka metrów. Muł przy odrobinie szczęścia zdążyłby uciec przed wodą. Jeżeli nie, i tak na wozie musiało być bezpieczniej.

Lejce zwisały teraz luźno; dostrzegła to, kiedy dźwigała Isę na miejsce do siedzenia. Pochwyciła je jedną ręką, podczas gdy drugą zacisnęła na osłonie koła, stopę postawiła na opuszczonym stopniu. Muł zaryczał, uderzył kopytami o ziemię i szarpnął do przodu. Lejce wypadły jej z palców, wóz zaś, zablokowany hamulcem, niebezpiecznie przechylił się na jedną stronę. Amelia nie zdołała się utrzymać i runęła do tyłu. Uderzyła o ziemię z siłą, która na chwilę pozbawiła ją oddechu. Nagle zobaczyła nad sobą wóz. Przetoczyła się na bok, a pojazd, podrygując i podskakując, potoczył się za uciekającymi ludźmi. Isa patrzył na nią przez ramię z ustami otwartymi do krzyku. Widziała, jak jego czarna głowa znika, gdy upadł na podłogę wozu. Jednakże samego krzyku nie słyszała; stopił się z grzmiotem wody. Była oszołomiona upadkiem, straciła na chwilę orientację. Pod sobą czuła drżenie ziemi. Chwiejnie stanęła na nogach.

Ciągle przybierająca woda zbliżała się nieuchronnie. Woda wylewała się ponad stromymi brzegami, pieniała, sięgając już do kostek Amelii. Kobieta zrobiła krok w kierunku białej sylwety budynku, kiedy dosięgnęła ją bardziej gwałtowna fala. Zachwiała się, a woda zabulgotała wokół jej kolan. Nagle poczuła, jak czyjeś ramię obejmuje ją w pól, zaciska niczym obręcz, miążdży żebra. Zanosząc się szlochom, chwyciła za ramiona mężczyznę, który wychylał się z siodła i trzymał ją w objęciach. W tej samej chwili ujrzała ciemną, nasiąkniętą kłodę, pchaną szybko naporem żywiołu. Robert Farnum dźwignął się, z przekleństwem, jakby właśnie coś go zabiło, podczas gdy ona została bezlitośnie przyciśnięta do końskiego grzbietu. Uderzył strzemionami w koński bok tak, że zwierzę ruszyło naprzód gwałtownym skokiem. Teraz mężczyzna wyprostował się, przyciągając ją do siebie i przerzucając przez łęk siodła.

Amelia oddychała ciężko, po twarzy biły ją padające spod kopyt konia kawałki kory i grudki ziemi. Jednakże wyraźnie czuła mocny uścisk mężczyzny, twardość jego klatki piersiowej i napiętych mięśni ud. Powietrze więzło jej w gardle. Szarpnęła się mocno, by spojrzeć w kierunku wierzchołka wzniesienia, gdzie przy odległym końcu budynku robotnicy zatrzymali wóz ciągnięty przez muła. Niektórzy mężczyźni siedzieli na gałęziach dębów, inni pędzili wzdłuż pagórka do swoich czworaków.

I im w końcu udało się wydostać z kipieli. Reszty osób nie było widać zza budynku. Dotarli do szczytu pochyłości i Robert ściągnął wodze, by zatrzymać konia. Oboje trwali bez ruchu długą chwilę. Amelia miała wrażenie, że serce wyskoczy jej z piersi, tak mocno biło, i jednocześnie czuła na swoim ramieniu uderzenia serca Roberta. Drżała na całym ciele, mimo że przecież była już bezpieczna. Z nieba lał lodowaty deszcz, ściekał z jej włosów okrytych przedtem kapturem, a między ich ciałami panowało wilgotne ciepło, które stawało się coraz bardziej intensywne, ogarniając w równym stopniu oboje.

Amelia powoli podniosła wzrok, by napotkać spojrzenie ciemnoniebieskich oczu Roberta Farnuma. W ich głębi palił się jakiś płomień, którego nie umiałyby nazwać, przywodzący na myśl doskwierający ból. Deszcz utworzył sobie na ogorzalej twarzy mężczyzny małe strużki, które wnikały w gęste brwi, obrysowywały mocną szczękę i napięte mięśnie policzków, wpełzały pod rozpięty kołnierzyk koszuli i wpadały w zagłębienia przy szyi. Mężczyznę i kobietę połączyła przemożna więź, bynajmniej nie spowodowana napięciem mięśni ramienia Roberta Farnuma, który czuł się, jakby ogarnęło go niesamowite ciepło promieniujące od siedzącej przed nim Amelii.

A ją przeszedł dreszcz. Zmusiła się, by się wyprostować i odsunąć od niego. Spuściła oczy. Nie do końca panowała nad głosem, gdy powiedziała:

- Muszę ci podziękować.
- Nie ma za co.

Obojętny ton odebrała jak policzek. Rzuciła mu krótkie zdziwione spojrzenie. Jego twarz pozostawała całkowicie bez wyrazu, tyle tylko, że on sam patrzył nie na nią, lecz gdzieś w bok.

- A jednak muszę podziękować. Gdyby ciebie tam nie było...
- Na szczęście byłem. I cieszę się, że mogłem służyć pomocą. Dajmy już temu spokój, kuzynko Amelio.

Pomyślała, że celowo podkreślił łączące ich powinowactwo.

- Jak sobie życzysz. Ja o tym nie zapomnę.

Skłonił głowę, a potem ruchem brody wskazał na frontowe wejście do domu.

- Zdaje się, że już najwyższy czas pomóc ci zejść.

Teraz dopiero Amelia spostrzegła, że są obserwowani. Z galerii przyglądali się im Julian, Tige oraz dwie pokojówki. Julian najwyraźniej czekał, kiedy zostanie zauważony, bo gdy Amelia spojrzała w tamtą stronę, uniósł szpadę w szermierczym pozdrowieniu. Również ona podniosła dłoń, zmuszając się do uśmiechu. Tymczasem Robert skierował wierzchowca w stronę domu, okrążył róg i wjechał w wodę, która przed galerią podniosła się na jakieś trzydzieści centymetrów. Pęd rzeki, wstrzymany zrazu na zwalisku drzew, przerwał tamę z worków wypełnionych piaskiem i ziemią. Teraz woda chlupotała wokół kolumn Belle Grove i zalewała pomieszczenia w podwyższonej piwnicy. Wydawało się, że już zaczęła opadać, ale jeżeli Sir Bent miał rację, mogła przybrać ponownie. Czekala ich powódź.

- Niezwykle brawurowe wybawienie - odezwał się Julian.

Czy myliła się, czy rzeczywiście zabrzmiała w jego głosie uszczypliwa nuta? Amelia obserwowała męża przez cały czas, kiedy się zbliżali. Stanęli dopiero pod samą galerią. W końcu powiedziała:

- Z pewnością.

- Widziałem, co się dzieje, ale nie byłem w stanie pomóc. Nigdy w życiu nie czułem się bardziej bezradny! Jestem twoim dłużnikiem, kuzynie.

Robert wzruszył ramionami.

- To jedynie zbieg okoliczności, że akurat tam byłem.

- Ależ nie! - Usłyszeli spokojny głos pani Declouet, która właśnie wchodziła na galerię, by po chwili zatrzymać się przy barierce. Jej głos brzmiał kategorycznie:

- Tak miało się stać. *Le bon Dieu* wyraził w ten sposób swoją wolę.

Robert odwrócił głowę w stronę starszej kobiety. Jego oczy zamieniły się w dwie wąskie, niebieskie szparki.

- Czy to nie bluźnierstwo, ciotko?

- Ja w to wierzę.

- Co wcale nie oznacza, że mógłbym to zaakceptować.

- Nie możesz, nawet jeśli również Julian jest tego samego zdania?

Robert odwrócił się gwałtownie. Wbił wzrok w kuzyna, który, wysoki i wyprostowany, stał ze szpadą przy boku.

- To prawda?

Usta Juliana rozchyliły się w ponurym uśmiechu.

- Zawsze uważałem, że z *M'mere* należy się zgadzać.

W ich słowach krył się jakiś podtekst, którego Amelia nie mogła uchwycić. Wyczuwała jedynie jego istnienie. Poruszyła się, patrząc na schody wznoszące się z lewej strony przy dolnej galerii, i coraz bardziej drętwiała, usiłując odsunąć się od Roberta Farnuma.

- Dosyć - powiedziała starsza pani, przenosząc spojrzenie z wyrazem nagany z jednego mężczyzny na drugiego. - Amelia jest przemoczona, Robercie. Tak samo jak ty. Najwyższy czas, byście weszli do środka.

- Podwożę żonę Juliana na koniec schodów, jeżeli on zechce podejść i pomóc jej zejść.

- Nie ma potrzeby - wtrąciła Amelia pospiesznie. - Mogę pójść sama.

- Nalegam jednak.

Nie pozostawiając jej czasu na dalszy spór, skierował konia na zalaną wodą galerię i przejechał wzdłuż niej do podnóża schodów. Tam zatrzymał konia i gdy Amelia miała zsunąć się na dół, przytrzymał ją mocniej. Tymczasem Julian odłożył szpadę i szedł sprężysto, z właściwym sobie wdziękiem w dół. Posłał kuzynowi ostre spojrzenie, potem wyciągnął ręce, by pochwycić Amelię w pasie. Robert wychylił się w siodle i przytrzymał ją dla równowagi. Usłyszała, jak z sykiem nabiera powietrza.

Kiedy Julian postawił ją na schodach, odwróciła się i popatrzyła na Roberta, przypominając sobie o tamtym wirującym, gnany wodnym nurtem pniu.

- Jesteś ranny.

- Nie, to tylko otarcie.

Ze szczytu schodów *M'mere* powiedziała:

- Natychmiast chodź tutaj na górę. Należy cię opatrzyć.

- Pozwól, że pomogę ci zejść - powiedział Julian, sięgając po lejce i podając dłoń.

- Sądzę, że zrobię najlepiej, wracając do The Willows.

- Nie bądź głupcem. Chyba że czekasz, abym sam ściągnął cię z konia.

- Spróbuj!

Julian spoznał na wyprostowaną, sztywną sylwetkę Roberta, na linię ściągniętych ramion. Opuścił ręce wzdłuż tułowia.

- W tych okolicznościach nie mam wątpliwości, że dałbym radę. Nikt jednak nie zamierza zmuszać cię do czegokolwiek. Wybór należy do ciebie.

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem; para niebieskich oczu jednego wpatrywała się w brązowe oczy drugiego z nich. Amelia przyglądała się im, zmarszczywszy czoło. Zastanawiała się, na czym polega prowadzona przez nich gra słów. Sądziła, że chodziło o nią, ale nie mogła uchwycić sensu. Być może jednak po tych wszystkich wydarzeniach po prostu zaczęła ponosić ją wyobraźnia. Chwilę później ostatecznie przekonała się, że tak właśnie było, ponieważ Robert skinął głową, pozwolił, by Julian objął go ramieniem, przerzucił nogę nad łękiem siodła i zsunął się w dół. Poczowała dotknięcie dłoni teściowej. Odwróciła się, unosząc nieco skraj ciężkiej od wody spódnicy, i ruszyła w górę schodów wspierana przez starszą panią. Za nimi, podtrzymywany przez Juliana, wchodził Robert.

Rozdział III

Następnego dnia rano deszcz przestał padać. Nastąpił błogosławiony spokój, choć nadal wisiały nisko ciężkie chmury, przez które jedynie od czasu do czasu przebijały promienie słońca. Przez cztery dni utrzymywał się wysoki poziom wody. Dla Amelii był to czas próby. Miała tysiąc spraw do załatwienia, by pobyt w Belle Grove uczynić znośnym dla wszystkich mieszkańców. Musiała pokonać niezliczone trudności, żeby wszystko doprowadzić do końca. Duży stół, krzesła, kredens, podręczny stół głównego lokaja należało uratować z niższej kondygnacji, podobnie jak porcelanową oraz kryształową zastawę. Kiedy już przeniesiono drewniane przedmioty, trzeba było osuszyć je i usunąć wszelkie ślady wilgoci, a następnie złożyć w kącie salonu. Jedzenie, przygotowane

zawczasu przez przewidującą Martę, jeszcze przed obiadem trzeba było przetransportować z kuchni i ustawić na prowizorycznych ławach łodzi. Ponieważ kuchnia znajdowała się na dole i przez to była bezużyteczna, wszystkie potrzebne naczynia, garnki i utensylia kuchenne przeniesiono do wolnego pokoju w *garçonnière*, gdzie palenisko kominka musiało posłużyć do gotowania.

Wyższe piętra *garçonnières* były na tyle suche, że Jerzy nie doświadczył żadnej niewygody, podobnie jak starannie owinięta figura Erosa. Dowiedziawszy się od teściowej, że chociaż Robert zwichnął sobie ramię oraz miał rozległe stłuczenia, to żadna z tych dolegliwości nie wymagała troskliwej pielęgnacji, Amelia postanowiła dotrzymać Anglikowi towarzystwa. Wydała polecenia, aby kuzynowi Juliana przygotować pokój w *garçonnière*, a nie w głównym budynku.

Robotnicy zamieszkujący czworaki byli całkowicie bezpieczni, ponieważ zbudowano je na metrowych palach. Opróżniono tylko izbę chorych. Pacjentów bez przeszkód przeniesiono do wysprzątanej izby w pomieszczeniach dla najemników. Konie i krowy stanowiły odrębny problem. W żadnym razie konie do zaprzęgów i pod wierzch ani muły pociągowe nie mogły stać w wodzie po kolana, podobnie krów nie można było przecież trzymać po to jedynie, by je oddać pod rzeźnicki nóż.

Wskutek nalegań Roberta najcenniejsze konie odesłano razem z dwoma stajennymi do The Willows, resztę zaś zwierząt robotnicy wyprowadzili w głąb wyżej położonej części liczącej dwa tysiące akrów plantacji.

Zbiorniki, z których czerpano wodę do domu i czworaków, były zagrożone, istniało niebezpieczeństwo ich zanieczyszczenia. To z kolei wymagało ustawicznej kontroli, żeby każda kropla wody przeznaczona do wypicia lub gotowania została przegotowana. Mimo wszystko w czworakach zdarzyło się kilka przypadków zakażenia. Amelia miała tylko nadzieję, że nie dojdzie do epidemii żadnej z chorób zakaźnych.

Dzieci z czworaków uwielbiały spędzać czas od wschodu do zachodu słońca na świeżym powietrzu, a to brodząc w wodzie po kostki, a to pływając w starej pirodze. Usłyszawszy pewnego ranka radosne okrzyki dochodzące z dołu głównego budynku, Amelia zeszła i znalazła kilkoro z nich taplających się w pokoju stołowym, wiosłujących tam i z powrotem przez drzwi do zalanej spiżarni. Czuła się trochę jak jędza, przeganiając je, pozbawiając ich radości, lecz miała świadomość, że zrobiła to dla ich dobra.

Groziło im poważne niebezpieczeństwo. Węży wodne, przepłoszone ze swoich kryjówek wzdłuż rozlewiska, nierzadko wpływały do domu, znajdując schronienie w rozmaitych ciemnych zakamarkach i szczelinach. Dwa płazy odkryto owinięte wokół francuskiego kryształowego świecznika, jednego znaleziono w *chasse-mouches* i jednego na wachlarzu zawieszonym u sufitu, jeszcze innego zauważono na balustradzie przy tylnych schodach. Julian i Robert, a nawet Jerzy, już następnego dnia po tych wydarzeniach zabawiali się strzelaniem z pistoletów do węży, licytując się kto jest lepszy i robiąc zakłady. Robert miał rękę na temblaku, ale i tak osiągnął taki sam wynik jak jego kuzyn, Anglik niewiele im ustępował.

Strzelanie nie było ich jedyną rozrywką. Zarzucali sieci na raki i nałowili ich tyle, że Marta miała wkrótce nad ogniem pełen kocioł tradycyjnej zupy. W dolnym pokoju *garçonnière* grywali w bilard, brodząc wokół stołu z podwiniętymi do kolan spodniami lub ślizgając się w błocie, w które powoli zamieniała się rzadka zawiesina. Wiele godzin pochłaniała im gra w karty, a także w szachy, bierki i domino. Czasami po obiedzie udawało im się namówić Amelię, by zagrała coś na fortepianie Pleyela, podczas gdy oni śpiewali do jej akompaniamentu albo, po wyjęciu z rąk pani Declouet bądź Chloe robótek ręcznych, prosili je do tańca. Julian aranżował często wymyślne szarady, wyrafinowane wersje ulubionych dziecięcych zabaw, albo bawił się w amatorski teatr, wykorzystując do tego celu stare ubrania ze strychu oraz scenariusze starannie napisane odręcznym pismem przez Chloe. Chloe, obdarzona niewątpliwym talentem aktorskim, była w tym znakomita. Udatnie wcieliła się w krwawą Lady Makbet, a w *Szkole skandalu* była tak porywająca, że Jerzy, patrząc na nią, zacisnął sobie na szyi krawat, jakby z wrażenia chciał popełnić samobójstwo.

Kłopot był jedynie z Isą. Po ataku rozszalałego żywiołu chłopiec nie mógł się opanować. Tak długo rozpaczął, że woda zabrała Amelię, aż wreszcie pozwolono mu do niej przyjść, by mógł się przekonać na własne oczy, iż powódź nie uczyniła jej żadnej krzywdy. Od tej chwili nie dał się odsunąć, a kiedy próbowano go odesłać do czworaków, walczył rozpaczliwie jak topiony kot: drapał i gryzł, kopał i uderzał głową. Amelia w obawie, że zrobi sobie krzywdę, dała znak, by zostawiono go w spokoju. Tamtego popołudnia chłopiec nie odstępował jej ani na krok. Stał za jej krzesłem przy obiedzie, siedział u jej stóp w salonie. Próbował nawet wejść za nią do sypialni, ale spotkawszy się ze stanowczym sprzeciwem, zwinął się w kłębek przed drzwiami i tak przespał noc.

Pomyślała, że jego nadzwyczajne przywiązanie osłabnie z czasem w sposób naturalny, lecz myliła się. Isa stał się jej cieniem, zawsze tuż za nią, kiedy się odwracała, i zawsze obok, kiedy siadała. W końcu wzięła się na sposób i zaczęła posyłać go z rozmaitymi poleceniami, ale chłopiec zawsze wracał natychmiast po wypełnieniu zadania. Julian zrazu tylko dla żartu nazywał go jej giermkciem. Stopniowo zaczęła akceptować go w takiej roli, a wkrótce stał się jej wręcz potrzebny.

Isa był przy niej, kiedy woda zaczęła opadać, a ona, zebrawszy dwóch służących i cztery pokojówki, posłała ich do wygarniania i wyrzucania błota z dolnych pomieszczeń, nim jeszcze zdążyłoby stwardnieć. Nagromadzony szlam wygarniano przez drzwi na frontową galerię, następnie z wiader wylewano wodę na cyprysową podłogę i szorowano do czysta. Drewno podłogi było tak niewrażliwe na wilgoć, że poza niewielkim napęcznieniem nie

doznało uszczerbku. Jedynie w kilku miejscach tuż nad podłogą poodpadały fragmenty tynku, ale z ich naprawą, uzupełnieniem i pobielaniem nie mogło być problemu. W ostatecznym rozrachunku szkody okazały się niewielkie.

Błoto na frontowej galerii stanowiło odrębny problem. Pod wpływem wiatru zgęstniało, pozlepiało się i stwardniało, aż jego powierzchnia zaczęła przypominać klepisko. Sprzątnięcie tego wszystkiego stało się zajęciem dla gromadki dzieci z czworaków, choć one same potraktowały to jako zabawę. Otrzymały szmaty, skrobaczki, wiadra z wodą i pozwolono im swobodnie bawić się w błocie. Dzieci piszczały, ślizgały się, obrzucały nim od stóp do głów, ale kiedy Amelia wróciła niedługo później, postęp prac był widoczny.

- Iso - powiedziała głosem na tyle doniosłym, by przekrzyczeć dziecięcy gwar - biegnij i powiedz Marcie, żeby przygotowała bułeczki i mleko dla mojej załogi, a dwie dodatkowe dla ciebie, za twoją dzisiejszą ciężką pracę.

Dzieci, podskakując, otoczyły ją w jednej chwili całą gromadką, szarpiąc za fartuch, który nosiła na dziennej sukni z niebieskiej popeliny.

- Ja pójdę! Ja! Ja! - krzyczały podniecone niespodzianką. Ich dłonie pozostawiały błotniste plamy na jej nieskazitelnie białym fartuchu, ale nie zwracały na to uwagi. Zmierzwiała i tak mocno poskręcane włosy to tego, to tamtego, śmiejąc się, zarażona szczerą, żywą radością.

- Isa jest moim giermkim - powiedziała tonem łagodnym, chociaż stanowczym. - Do niego należy ten obowiązek. A wy, im szybciej skończycie, tym wcześniej dostaniecie swoje bułeczki.

Isa obdarzył ją uszczęśliwionym uśmiechem, wyprostował się i poszedł w kierunku kuchni, prawie wcale nie utykając. Pozostałe dzieci rozproszyły się i już po chwili wrywały sobie szmaty i skrobaczki, po czym tak zapamiętale zaczęły się oblewać wodą, że czym prędzej musiała uciekać. Mała, może czteroletnia dziewczynka potknęła się i przewróciła, brudząc sobie uszytą domowym sposobem sukienkę i uderzając w policzek. Amelia podeszła szybko, ledwie dziecko zaczęło płakać. Pochwyciła je za ramiona, postawiła na nóżki, przykucnęła i brzegiem fartucha wytarła dziewczynce twarz i jeden z krótkich, czarnych warkoczyków. Mała przestała płakać. Włożyła sobie palec do ust, potem nagle uśmiechnęła się. Amelia poczuła, że i jej usta rozchylają się w uśmiechu. Powodowana impulsem, objęła dziecko i lekko przytuliła. Przez chwilę małe, ciemnobrązowe ramionka otaczały jej szyję w mocnym uścisku, potem uwolniły ją, a dziewczynka oddaliła się w podskokach, nucąc przy tym melodyjnie:

- Piękna pani, piękna pani.

Kiedy Amelia się podniosła, poczuła pod powiekami łzy, chociaż nie umiałaby określić przyczyny wzruszenia. Oślepiąca łzami, nie zauważyła stojącego w drzwiach mężczyzny, dopóki nie znalazła się blisko niego. Robert Farnum nie usunął się na bok, by mogła swobodnie wejść, lecz stał oparty jedną ręką o framugę, podczas gdy druga dłoń ginęła w czarnym jedwabnym temblaku. Patrzył na nią z zainteresowaniem w swych ciemnoniebieskich, prawie granatowych oczach.

Nie po raz pierwszy w ciągu ostatnich kilku dni z zaskoczeniem odkrywała, że jest obiektem jego uwagi. W żadnym razie nie mogła postawić mu zarzutu, że chodzi za nią jak Isa, a jednak zdawał się być wszędzie tam, dokąd właśnie zmierzała. Nie było w tym jednak nic denerwującego. Pod wpływem jego spojrzeń zaczęła nagle zastanawiać się nad swoim wyglądem, co nie zdarzyło się, od kiedy ukończyła piętnaście lat. W rezultacie rano długo nie potrafiła dobrać sobie odpowiedniego stroju i starała się poruszać z wdziękiem, mimo że jednocześnie pogardzała sobą za to. Teraz rumieniec oblał jej policzki, serce zaś zdawało się podchodzić do gardła, jak gdyby została przyłapaną na gorącym uczynku.

- Lubisz dzieci - rzekł z nagłą.

- Ależ nie, ja tylko... Tak, chyba większość kobiet lubi dzieci, prawda? - Zdała sobie sprawę, że mocno zaciska dłoń. Szybko włożyła je do kieszeni fartucha.

Wyciągnął rękę i zanim zdążyła się cofnąć, koniuszkiem palca otarł łzę z jej gęstych rzęs. Powiedział łagodnie:

- Ty jednak bardziej niż inne.

Nieoczekiwanie obudziło się w niej wspomnienie sprzed kilku dni, kiedy trzymały ją mocno ramiona tego mężczyzny, kiedy czuła na swoich plecach dotyk twardego torsu i żar ich rozpalonych ciał. Było w tym wówczas poczucie bezpieczeństwa i jeszcze coś więcej, czego nie mogła do końca pojąć albo też nie śmiała nazwać.

- Co z twoim ramieniem? - zapytała, uciekając wzrokiem w kierunku rozbawionych, piszczących dzieci.

- Jest trochę sztywne, ale na ogół dobrze.

- Wydawało mi się, że jedziesz dzisiaj do The Willows. - Tego dnia rozmawiano o tym przy śniadaniu. Pani Declouet była jednak temu przeciwna.

- Zdążyłem już wrócić.

- Mam nadzieję, że wszystko w porządku.

- Prawie. Niektóre zabudowania trochę podmokły, ale nie ma żadnych poważniejszych zniszczeń.

Właśnie w tym momencie spoza chmur wyjrzało słońce, zalewając złotym światłem stok przed domem, przynosząc tak upragnione ciepło. Nagle Amelia poczuła upajający zapach floksów i goździków, rosnących wzdłuż ściany budynku, i słodką woń traw dotkniętych promieniami słońca.

Przelknęła ślinę.

- To miłe, że zechciałeś wrócić. Zapewne w twoim domu jest cała masa pilnych rzeczy do zrobienia.

- Mój nadzorca jest człowiekiem z głową na karku i do tego godnym zaufania. Natomiast Belle Grove znajduje się w znacznie gorszym położeniu, przynajmniej jeśli chodzi o pola. Teraz, kiedy woda zaczęła opadać, należałoby je osuszyć, zanim powstaną większe szkody w stojącej trzcinie. Cukrownia i wszystkie urządzenia wymagają dokładnego przejrzenia, podobnie jak stajnia i prawie każdy budynek tutaj, na miejscu. Będzie mnóstwo pracy na najbliższe dni, a nawet tygodnie.

Wynikało z tego jasno, że Robert nie miał zaufania do Patryka Dye'a. Nie wierzył, żeby ten bez dozoru zrobił wszystko, co należało. Nie uważał też, aby Julian potrafił poprowadzić prace we właściwym kierunku. Bez wątplenia jej mąż w niewielkim tylko stopniu interesował się stanem swojego majątku. Kiedy tego dnia późnym rankiem podniósł się z łóżka, jego myśli koncentrowały się wyłącznie na ulubionej łodzi, którą powódź zerwała z cumy.

- O tak, *M'mere* jest niezwykle wdzięczna za pomoc właśnie teraz. Ja... Gdybyś zechciał mi wybaczyć... Ja również mam wiele do zrobienia.

- Och, przepraszam - powiedział z poważną miną. - Nie zamierzałem odrywać cię od twoich obowiązków.

Czy to ironia zabrzmiała w jego głosie? Nie wiedziała, ale też nie starała się odgadnąć.

Isa, czy to dzięki wyróżnieniu, którego dostąpił za sprawą Amelii i tytułu jej giermka, czy też na skutek większej pewności siebie, jakiej nabrał znalazłszy własne miejsce w Belle Grove, w ciągu następnych dni zdawał się zyskiwać uznanie i w pewnym stopniu akceptację całej gromady dzieci z czworaków. Nadal nie odstępował swojej *petite maitresse*, posłusznie wypełniając wszystkie jej zlecenia, ale czasami, późnym wieczorem, dawał się namówić na udział w zabawie z innymi dziećmi.

Pewnego późnego popołudnia, tuż przed zmrokiem, kuśtykając w pośpiechu po schodach, przybiegł do Amelii, która siedziała na galerii, czytając w gasnącym świetle dnia. Tego popołudnia parowiec płynący do Breaux Bridge zatrzymał się, dostarczając dwa ostatnie wydania „Le Courier De Teche”, a ponadto całą zaległą pocztę. Amelia podniosła wzrok znad listu do redakcji od pewnego czytelnika, biadającego nad licznymi w okręgu rozbojami i morderstwami, kiedy Isa zatrzymał się przed nią tak gwałtownie, że niemal runął na podłogę.

- Ojej, *mam'zelle!* Proszę iść ze mną, szybko, szybko! Pan Dye! On krzywdzi naszą Lally!

- Karci ją? - Lally była spokojną, ładną dziewczyną o jasnobrązowym odcieniu skóry, uważanym za „jasny”. Niedługo miała skończyć szesnaście lat, a jej rola polegała zwykle na opiekowaniu się dziećmi, gdy inne kobiety szły do pracy w polu. Dotychczas nigdy nie sprawiała kłopotów, a przynajmniej Amelia nic o tym nie wiedziała.

- *Mais non, mam'zelle!* Każe przyjść jej do swojej izby, a ona nie chce.

Amelia odłożyła gazetę i podniosła się z posępnym wyrazem twarzy. Dzieci z czworaków były niemymi świadkami nagannych skłonności nadzorcy, a i same kobiety nie czyniły tajemnicy z pewnych faktów. Nauczyła się już przymykać oko na takie ludzkie słabości, jakby nie były godne jej uwagi, ale tym razem sprawa przedstawiała się zgoła odmiennie. Mimo wszystko zapytała:

- Jesteś pewny, że Lally nie chciała?

- Ona wrywa się i krzyczy, ale inni boją się pomóc. Chodźmy, *mam'zelle!* Proszę, szybko!

Słyszając za sobą oddech Isy, zbiegła schodami na dół, szumiąc spódnicą i halkami. Ruszyła ścieżką wzdłuż *garçonnieres*, wędzarni, a potem stajni i stolarni, do czworaków. Usłyszała krzyki i błagania Lally, zanim dotarła do pierwszej z chat. Chwilę później dostrzegła Patryka Dye'a na błotnistej dróżce, która wiodła do domu nadzorcy. Mężczyzna ciągnął dziewczynę za ramię. Chusta Lally, którą podczas pracy obwiązywała sobie głowę, zsunęła się jej do tyłu, i włosy, bardziej delikatne i proste niż większości kobiet, opadły w nieładzie na twarz. Usta miała spuchnięte, a miejsce, gdzie były przecięte, znaczył krwawy ślad. Dziewczyna z całej siły opierała się, zmuszając prześladowcę do zatrzymania się, a następnie próbowała uwolnić się od uchwytu jego palców na swoim ramieniu.

- Natychmiast puść tę dziewczynę!

Amelia, oddalona o kilka metrów, wcale nie miała zamiaru nic mówić. Słowa jakby same wymknęły jej się z ust, nabierając ostrego, pełnego niechęci tonu. Ku jej zdziwieniu Irlandczyk posłuchał. Nie, tego się nie spodziewała.

Lally rzuciła się w stronę spokojnie zbliżającej się Amelii, padła na kolana i wczepiła w spódnice swej pani.

- Proszę mi pomóc - szlochała. - Błagam w imię Marii Dziewicy!

Nadzorca ruszył w ich kierunku z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Amelia uniosła głowę, spojrzała surowo i jednocześnie zasłoniła sobą dziewczynę. Mężczyzna zatrzymał się.

- Niech pani posłucha, z łaski swojej. Nie dzieje się tutaj nic takiego, o co pani musiałaby się martwić. To jest całkowicie prywatna sprawa pomiędzy mną a tą dziewczynką.

- Jestem innego zdania. Powiedziano mi, że zamierzał pan siłą narzucać się tej dziewczynie.

Patryk Dye posłał I się, który również schował się za Amelię, mordercze spojrzenie.

- Sprawa ma się zupełnie inaczej. Mała była całkiem chętna, ale najpierw oczekiwała potwierdzenia pewnych obietnic.

- Nie, nie, nieprawda! - krzyknęła Lally, podniósłszy na Amelię oczy pełne łez.

- Jakiego rodzaju obietnic, panie Dye? - zapytała Amelia głosem, w którym dźwięczała pogarda.

- Ach, ona zapewne nie przyzna się do tego, ale liczyła na to, że zostanie moją gospodynią, że skończy z dotychczasową pracą i będzie mogła snuć się po domu, nie robiąc kompletnie nic. One wszystkie tylko tego

pragną.

- I właśnie to pan im wszystkim obiecuje?

- Niczego im nie obiecuję. To dla nich i tak łaska. Wiedzą o tym.

Pyszalkowatość i bezczelność jego słów wywołały w Amelii przyływ wściekłości.

- Lally zdaje się całkowicie nie zależeć na pańskich obietnicach. Proszę nie dotykać jej więcej.

Parsknął śmiechem.

- Myślę, że w takiej sprawie układać się mogą jedynie mężczyźni. Porozmawiam z pani mężem. I to najlepiej w cztery oczy.

- Pan chyba mnie dobrze nie zrozumiał... - zaczęła Amelia.

- A ja sądzę, że niewiele pani wie o tym, jak to jest, kiedy mężczyzna pragnie kobiety. No bo i skąd ma pani wiedzieć?

Amelia gwałtownie zaczerpnęła powietrza; wpatrywała się w mężczyznę szeroko otwartymi oczyma, niezdolna uwierzyć, że jego uwaga znaczy to, co zdawała się znaczyć. Nie mógł przecież znać sytuacji między Julianem a nią. To było niemożliwe. A zatem cóż innego kryło się za tymi słowami? Jej dłonie drżały z gniewu. Zaciskała je mocno, tak mocno, że aż zbieleły jej kostki. Przez krótką chwilę żałowała, że nie wypadało jej użyć mało stosownych, ale za to bardziej dobitnych słów, a potem otworzyła poblądłe usta i odezwała się z lodowatą uprzejmością:

- Jest pan zwolniony. Spakuje pan swoje rzeczy i opuści plantację w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin.

- O nie, moja pani, tak się nie stanie - odparł stanowczo nadzorca.

Na te słowa odezwał się głęboki, surowy męski głos:

- Byłbyś uprzejmy powtórzyć to, Dye?

Oboje byli tak pochłonięci ostrą wymianą zdań, że nie zauważyli, jak mężczyzna na koniu zbliżał się w ich kierunku. Wprawdzie Isa spostrzegł go i ciągnął Amelię za rękaw, by zwrócić jej uwagę, ale bezskutecznie. Kiedy Robert zaczął mówić, odwróciła się gwałtownie; oczy błyszczały jej gniewem. Spojrzenie jego niebieskich oczu wyrażało podziw. Po chwili Robert odwrócił się w stronę drugiego mężczyzny.

- A zatem?

- Chciałem tylko powiedzieć, że jedynie sam Declouet mógłby mnie zwolnić. Mój kontrakt na cały sezon został odnowiony i nie ma w nim mowy o...

- Dosyć!

Nadzorca zacisnął usta. Przyglądał się Robertowi spod zmrużonych powiek. W głębi jego oczu paliły się iskierki urazy, ale było oczywiste, iż nie pragnie walczyć z Robertem. Jego arogancja zmieniła się w udawaną brawurę. Amelia przyglądała się temu z rosnącym zadowoleniem, chociaż nie dała tego po sobie poznać.

Robert zsiadł z siodła. Przerzucił lejce przez głowę konia i uformował coś w rodzaju uwięzi, którą przełożył do lewej ręki. Nadal oszczędzał to ramię, ale temblak zdjął już przed dwoma dniami, mógł zatem podać Amelii prawą dłoń.

- Czy mogę odprowadzić cię do domu?

- Oczywiście - odparła, a następnie dodała pospiesznie: - Lecz ta dziewczyna pójdzie ze mną.

- Teraz nie ma już takiej potrzeby.

Amelia posłała mu wymowne spojrzenie.

- Jest taka potrzeba. Lally, wstań.

Dziewczyna przestała płakać. Powoli, zerkając z obawą na nadzorcę, podniosła się z kolan.

- To duży błąd podważać w ten sposób mój autorytet - nie rezygnował nadzorca. Namiętym wzrokiem obrzucił ciało Lally, ukryte pod bezkształtną bawełnianą koszulą i luźną spódnicą.

- Pan sam to uczynił, nadużywając go - odrzekła Amelia, odwróciła się i ujęła Roberta pod ramię.

Patryk Dye trzymał się w niewielkiej odległości od nich i Amelia obawiała się, że znowu będzie próbował ich zatrzymać. Nie zrobił tego jednak, co przypisywała sile surowego spojrzenia, jakie Robert rzucił mu przez ramię. Poszli przodem, prowadząc konia, a za nimi podążało dwoje służących, nadzorca zaś pozostał z tyłu z dłońmi opartymi na biodrach. Pamiętając wyraz oczu Patryka Dye'a, Amelia nie miała wątpliwości, że uczyniła z niego swego wroga.

- Trudno sobie wyobrazić większą bezczelność - powiedziała, kiedy już znacznie się oddalili. - Dziwię się, że Julian zatrudnił go na następny sezon.

- Robotnicy pod jego nadzorem są wydajni, poza tym naprawdę zna się na uprawie trzciny. Dla niektórych nic więcej już się nie liczy.

- Nie zniosę go dłużej! - Ramię Roberta pod jej dłonią było nagie. Wcześniej zdjął płaszcz i zawinął rękawy do łokci, ponieważ dzień był bardzo ciepły. Jednakże przed wejściem do domu musiałyby nałożyć wierzchnie okrycie, gdyż dzentelmen nigdy nie pokazywał się bez niego. Może także dlatego odbierała jako szczególnie intymne wrażenia płynące od opuszków jej palców, których drżenie powstrzymywała wysiłkiem woli: ciepło jego skóry oraz gra mięśni.

- To prawda, że jedynie Julian może go zwolnić. Zamierzasz poprosić go o to? - Popatrzył na nią uważnie.
- Tak.
- Wobec tego sądzę, że również ja będę miał kilka słów do powiedzenia na temat zachowania tego mężczyzny. Mogę wspomnieć, że chociaż zna się może na uprawie trzciny i dozorze, to nie rozumie tej ziemi, nie szanuje jej potrzeb. I że nie chciałbym mieć w swojej posiadłości człowieka, który śmie używać wobec damy takiego tonu, jaki miałem okazję przed chwilą słyszeć.
Przepętniały ją mieszane uczucia: złość i rozpacz, ulga i głupi dziewczęcy niepokój, wywołany obecnością mężczyzny przy jej boku. Wykrztusiła tylko:
- Dzień...dziękuję.

Półtorej godziny później Amelia weszła do salonu. Przeszła przez pokój i wyjrzała przez otwarte na zewnątrz drzwi. Oparła głowę o framugę i zapatrzyła się w dal na rzekę, która teraz znowu toczyła swe wody w dawnym korycie. Pod wiosennym wieczornym niebem rechotały żaby, dając chóralny koncert. Wiał łagodny wiatr, niosąc zapach kwiatów. Mrok na galerii był kuszący albo też mógł taki być, gdyby miała się w nim z kimś pograć.

Odwróciła się, podeszła do fortepianu. Usiadła na stołku, podniosła wieko i przebiegła palcami po klawiaturze. Palce jakby same odnalazły chopinowskie nuty. Potrzebowała czegoś, co mogłoby ją ukoić, uciszyć te wszystkie niepokoje duszy, wątpliwości, które budziły podejrzenie, że przed trzema miesiącami popełniła błąd. Pozwoliła myślom błądzić swobodnie w poszukiwaniu jakiegokolwiek odprężającego tematu.

Tego wieczoru zabrała Lally do swojej sypialni, gdzie natychmiast zaczęła przygotowywać ją do roli osobistej służącej. Już dawno pani Declouet powiedziała Amelii, aby wybrała sobie kogoś, ale ta do tej pory nie znalazła ku temu okazji. Lally miała odpowiednie umiejętności, była inteligentna, a jej spokojne usposobienie idealnie odpowiadało Amelii. Dziewczyna po umieszczeniu na dole, w pokoju przeznaczonym dla niani, mogła spać bezpiecznie w nocy, a i później nie należało spodziewać się żadnych problemów.

Amelia w wielkim pośpiechu uporała się z toaletą. Po kąpieli w wysokiej balii przebrała się w suknię z różowego jedwabiu, o licznych, zachodzących na siebie falbanach. Pragnęła znaleźć jak najwięcej czasu na rozmowę z Julianem jeszcze przed posiłkiem. Pomimo pośpiechu Lally znakomicie wywiązała się ze swych nowych obowiązków, okazała się prawdziwą mistrzynią w układaniu włosów. Rozwinęła i rozplotła prosty koczek ze skręconych warkoczy i za pomocą szczypiec rozgrzewanych nad lampą wyczarowała kaskadę loków otaczających twarz. Podczas wszystkich tych czynności dziewczyna sprawiała wrażenie szczęśliwej w nowej roli.

Bardzo rzadko Amelia zdobywała się na odwagę, by zapukać do drzwi łączących jej pokój z pokojem Juliana, lecz tym razem uważała, że wobec niedawnych wydarzeń ma ku temu poważny powód. Jej mąż zdziwił się, ale powitał ją przyjaźnie. Odprawił Tigę'a. Wysłuchał jej w milczeniu, wciągając jednocześnie buty, które, jak wszystkie inne, miały z boku osobiście przez niego zaprojektowane mosiężne sprzączki z wrytymi inicjałami. Zadał kilka pytań, lecz zdawał się nie słuchać odpowiedzi. W końcu wzruszył ramionami i powiedział, że Robert rozmawiał już z nim o całym zajściu. Wyraził opinię, że oboje niepotrzebnie zrobili dużo hałasu o nic. Oczywiście uważał, że powinna zatrzymać przy sobie dziewczynę, jeżeli tego właśnie chciała, ale nie należało od niego oczekiwać, że weźmie na siebie kłopot szukania nowego nadzorca w samym środku sezonu.

Wcześniej była niemal pewna, że zdoła przekonać męża, i że będzie dla niego bez znaczenia, czy tamten człowiek pozostanie na plantacji, czy też nie. Teraz jednak nie chciał już dłużej rozprawiać na ten temat ani dać wiary, jak bezczelny potrafił być nadzorca. Stwierdził, że skoro zdobyła się na to, by powiedzieć mu o insynuacjach Patryka, gotowy był dać się przekonać, lecz nie wyobrażał sobie, jak nadzorca potrafił ten problem wyrazić słowami. W jaki sposób mężatka dochodzi do wniosku, że brak zainteresowania nią ze strony męża staje się przedmiotem ordynarnych żartów innego mężczyzny?

Nie była to jednakże jedyna przyczyna, dla której zamilkła. Nie opowiadała o scenach w sypialni nikomu poza teściową, a i to po dociekliwym wypytywaniu. Nie mogła sobie wyobrazić, aby starsza pani opowiedziała o całej sprawie człowiekowi pokroju Patryka Dye'a ani nawet Robertowi. Pozostawał zatem Julian. Gdyby on napomknął nadzorcy o braku u niej kobiecych powabów, to teraz ze zrozumiałych względów nie chciałby o tym słyszeć.

Podniosła głowę na odgłos kroków dobiegających od strony schodów na lodzie. Robert, wchodząc sprężysto po schodkach jak na człowieka otwartych przestrzeni przystało, dotarł do progu i wkroczył do środka. Miał na sobie strój wieczorowy z czarnego sukna, biały jedwabny krawat zdobity lnianą koszulę. Ostry kontrast kolorów nadawał jego smagłej cerze bardziej złocisty odcień. Był mężczyzną prawdziwie dystyngowanym, przystojnym w pewien niedbały sposób, jeżeli ktoś przywiązywał do tego wagę. Niewątpliwie w przeszłości musiało to zauważyć wiele kobiet.

W pokoju panował teraz mrok. Robert wziął lampę, która stała zapalona na okrągłym mahoniowym stole pośrodku pokoju, przeniósł na fortepian i ustawił na obszytej frędzlami serwecie, rozłożonej na pokrywie instrumentu. Amelia uśmiechem wyraziła wdzięczność za dodatkowe światło, a on zaraz odszedł. Pomyślała, że wyszedł na galerię. Po pewnym czasie, zatopiona w delikatnych dźwiękach sonaty, a potem innego utworu, zapomniała o Robertcie.

Muzyka stanowiła jedną z umiejętności wymaganych od niej jako damy, ale nie uważała, żeby jej gra była więcej

niż poprawna. Pomagała jej jednak przetrwać smutne lata po śmierci ojca, matki i Stefana. Babka Ton-Ton nie aprobowała zbyt otwartego okazywania uczuć bez względu na to, czy chodziło o smutek, radość, złość, czy też o szczęście. Amelia mogła natomiast wyrażać uczucia poprzez grę. Ponoć to bardziej uchodziło damie.

Damie. Jakże nienawidziła tego słowa będąc młodą dziewczyną. Jakże sztywna z tych wszystkich ogłupiających konwenansów, które ją ograniczały, krepując jej energię jak liczne warstwy grubych halek. Teraz była już tak do nich przyzwyczajona, że nie dostrzegała ich ciężaru, nie przywykła natomiast do wykorzystywania ich, nawet tylko czasami, jako ochronnej zbroi.

Myślała o Julianie i jego odmowie zwolnienia Patryka Dye'a, o znudzonym tonie, jakim to oznajmił. Po raz pierwszy, od kiedy skończyła dziesięć lat, żałowała, że jest kobietą, że nie ma męskiej władzy, by przeprowadzić własną wolę. Równie dobrze mogłaby być mężczyzną, jeżeli miałyby wieść życie zgodnie z jej obecnymi przewidywaniami. Nie poniosłaby żadnej straty.

Ostatnie dźwięki Appassionaty Beethovena uleciały w powietrze, kiedy uniosła dłonie znad klawiatury. Nagle wyczerpana, odwróciła się na stolku i uniosła głowę. I właściwie nawet nie zdziwiła jej obecność Roberta po drugiej stronie pokoju. Siedział wygodnie na pokrytej brokatem sofie, z wyciągniętymi nogami i rękami złożonymi na piersi. Spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu spoczywało na niej z taką samą uwagą jak podczas tamtego pierwszego wieczoru w saloniku pani Declouet. Przeniósł wzrok na kaskadę loków, którym światło nadawało błękitny odcień; powędrował wzdłuż zaokrąglenia policzków do białych ramion i delikatnego cienia, który znaczył granicę między wypukłościami piersi, by dotrzeć wreszcie jeszcze niżej, ku smukłemu wcięciu w pasie, łączącemu się ze spódnicą w kształcie szerokiego dzwonu. Wydawał się tak spokojny, jak spokojny mógł być mężczyzna, który panuje nad sobą w sposób absolutnie doskonały. Nagle uniósł głowę.

Amelia opuściła powieki, umknęła wzrokiem, ale przedtem zdążyła coś dostrzec. Zdążyła dojrzeć w głębi jego oczu kobaltowy płomień pożądania. Tak mocno ją to zaabsorbowało, że podskoczyła przerażona, gdy w drzwiach zjawił się Julian.

- Skoro koncert skończony - powiedział, przeciągając głoski - może udałoby mi się kogoś namówić na kieliszek sherry?

Obiad ciągnął się bez końca. Julian znalazł swoją łódź, zaczepioną o drzewo w dole rzeki. W trzech czwartych wypełniała ją woda. Zabrał ze sobą czterech mężczyzn, którzy do tej pory zajęci byli kopaniem w polu rowów odprowadzających wodę, by podnieść ją i przyholować do Belle Grove. Cała rozmowa krążyła wokół łodzi. Mówił o koniecznych naprawach, farbach i złoceniach, jakich użyje do jej odnowienia, o pomysły na żagle w kremowo-błękitne pasy, cienkich draperiach, które miały kołysać się na wietrze i chronić damy przed promieniami słońca. Chloe zauważyła, że łodzie ją nudzą, i dlatego, z jej punktu widzenia, nie musi wcale sprawiać sobie tak wiele kłopotu. Julian odparował, że chociaż byłaby to okrutna próba, ma wrażenie, iż zdołałby znieść trudy dnia bez jej towarzystwa.

Groźbę kłótni zażegnał Jerzy, który obiecał Chloe, że z całą pewnością sprawi jej przyjemność spędzanie czasu w ogrodzie jego projektu. Zainspirowała go tama z worków wypełnionych piaskiem, a także gruba warstwa szlamu, która pozostała po powodzi. Przed domem, w zagłębieniu po ziemi wybranej do zapory, powstałby zwierciadlany staw. Miały tam rosnąć lilie, a wokół brzegów - inne rośliny wodne. Bajkowy efekt wiosną mogły zapewnić pastelowe azalie sprowadzone z Chin oraz spirea płożąca się wzdłuż stoku od strony domu i wokół stawu. Na zimę proponowałby zielen igiel sosnowych i liści magnolii, a poniżej połyskujące listowie i delikatne kwiecie kamelii.

Gdyby pani Declouet miała takie życzenie, mógłby tam powstać klasyczny ogród francuski, ze ścieżkami wyłożonymi cegłą, obsadzony żywopłotem i ożywiony rzeźbami od frontowej strony domu, choć krajobraz angielski bardziej by pasował do nadrzecznego położenia Belle Grove.

Chloe przyznała mu rację, wydając okrzyki zachwytu, co bardzo Anglikowi pochlebiło, lecz już chwilę później z podobnym ożywieniem rozprawiła o zapowiadanej przyjeździe do St. Martinville trupy operowej z Nowego Orleanu. Podobne występy nie były niczym niezwykłym. St. Martinville, mimo że niewielkie, było prawdziwą Mekką w czasie sezonu letniego, ponieważ plantatorzy masowo przybywali tutaj ze swoich okolicznych posiadłości, ciągnących się wzdłuż Teche od Berwick Bay do Breaux Bridge. Zwabiało ich świeże powietrze tych okolic, jakże różne od wilgotnego, upalnego i niezdrowego klimatu Nowego Orleanu! Julian z entuzjazmem włączył się do dyskusji na temat gwiazd trupy operowej, które widział w mieście zimą. W rezultacie, zanim zakończył się posiłek, postanowiono udać się do opery.

Wszyscy wstali od stołu, który wcześniej został przeniesiony na swoje stare miejsce, po czym razem przeszli schodami na górę do salonu. Jak niosła wieść, w niektórych amerykańskich posiadłościach przy rozlewiskach rzeki kultywowano zwyczaj polegający na tym, że mężczyźni pozostawali przy stole, dopóki nie zabrano ostatniej potrawy, by wypić trochę brandy lub porto. Jednakże żaden Francuz nie przedłożyłby powabów butelki nad uroki dam. Cynicy utrzymywali, jakoby chwilowa separacja była jedynie pewnym udogodnieniem, pozwalającym odmiennym płciom na załatwienie naturalnych potrzeb po długich posiłkach złożonych z wielu dań i suto popijanych winem. Kreole, którzy w normalnym funkcjonowaniu organizmu nie widzieli żadnego powodu do zakłopotania, byli tym rozbawieni. Przecież wszyscy są tylko ludźmi, czyż nie?

Amelia dała się namówić na uprzyjemnienie wieczoru grą na fortepianie. Pragnąc poprawić sobie nastrój,

rozpoczęła od wiązanki ulubionych utworów Stefana Fostera. Zajęta szukaniem wśród nut czegoś innego, nie zauważyła, kiedy Julian i Chloe zaczęli się kłócić. Podniosła głowę, by zobaczyć swego męża stojącego tuż obok.

- Dlaczego miałbym cię słuchać?! - wykrzyknął. - Co najmniej połowa z tego, co masz do powiedzenia, to pretensje. Toż to szczyt pobłażliwości dla samej siebie - te twoje lamenty nad własną tuszą, gdy jednocześnie żyjesz w luksusie i niczego więcej nie pragniesz. Możesz już tylko wyobrazić sobie, że znajdujesz się w sytuacji przypominającej jakiś twój ulubiony romans, że stajesz się bohaterką tragicznych przygód zakochanej pary!

- Julianie! - wykrzyknęła pani Declouet karcącym tonem.

- Skoro już rozpoczęliśmy rozmowę na temat naszych słabości, spójrz na siebie - odrzekła dziewczyna z wyniosłą pogardą. - Parasz się wystawianiem przedstawień i bawisz w uprawianie sztuki. Ha, ha, sztuki! Nie dorastasz do pięt nawet żalostnemu Adrienowi Persacowi, który maluje tylko domy, a ludzi wycina z „Harpera” albo „Godeya” i przykleja na wierzchu!

- Jakież to z ciebie wzór energii i wyobraźni, skoro potrafisz jedynie rzucać oszczerstwa? A co z twoją ostatnią pracą na temat Berlina, która, zaledwie w połowie skończona, leży od trzech miesięcy gdzieś pod sofą?

- Dosyć! - Matka Juliana wstała i nagle opadła do tyłu z zamkniętymi oczyma i ręką przyciśniętą do serca.

- *M'mere!*

Julian znalazł się przy niej w jednej chwili, ściskając rozpaczliwie własne dłonie. Chloe chwyciła za wachlarz, który miała przyczepiony do nadgarstka, pochyliła się nad starszą panią i zaczęła wachlować ją tak energicznie, że koronka na czepku pani Declouet zatrzepotała nad jej pobladłą twarzą. Robert podszedł do barku i nalał do kieliszka nieco brandy. Wróciwszy przystawił kieliszek do ust ciotki, nalegając, żeby wypić. Amelia wstała od fortepianu, sięgnęła po lampę i przeniosła ją do bocznego stolika, żeby zapewnić tam więcej światła. Jerzy, z wypiekami na twarzy, jako mężczyzna nad wyraz wrażliwy, trzymał się z daleka.

- Przetnij koronki - powiedział Julian z twarzą ściągniętą w grymasie niepokoju.

Ponieważ Chloe tkwiła w bezruchu, Amelia zrobiła krok do przodu i odpięła niezwykle misterną broszkę, rozluźniając kołnierzyk bluzki przy szyi teściowej.

Starsza pani przełknęła mały łyk brandy i skrzywiła się. Kiedy jej twarz odzyskała naturalną barwę, otworzyła oczy.

- Nie postąpiłam najrozsądniej. Chyba za szybko wstałam.

Julian uśmiechnął się, wydając westchnienie ulgi.

- Tak też mi się wydaje.

- Zaraz dojdę do siebie, nie musisz tak się denerwować. Jeśli chcesz sprawić mi przyjemność, mój synu, to może coś nam przeczytasz. Na przykład „Evangeline” tego tam - Longfellowa.

- Naturalnie, *M'mere*.

Julian odszukał mały tomik za szkłem biblioteczeki i otworzył na początku, przybrawszy odpowiednią pozę przy fortepianie. Pozostali, posłuszni woli pani Declouet, poszukali sobie miejsc do siedzenia: Chloe na sofie przy starszej damie, Robert na granicy światła w fotelu przy drzwiach, Jerzy obok niego.

Amelia opadła na mały fotel przy sofie, ale specjalnie odwróciła go tak, aby ukryć twarz w mroku. Przez otwarte drzwi dobiegał z zewnątrz chóralny rechot żab, który wydawał się szczególnie głośny, ponieważ poza tym wokół panowała cisza. Gdzieś koło twarzy Amelii przeleciał brzęczący komar. Wieczorny wiatr zaszeptał w liściach dębów i chwilę później zamarł całkowicie. Julian zaczął spokojnym, miękkim głosem:

- Wiekowy las...

„Evangeline” ukazała się przed siedmiu albo ośmiu laty. Opowiadała historię francuskich Akadyjczyków, których w 1755 roku Anglicy wypędzili z Nowej Szkocji. Ponieważ wielu z owych Akadyjczyków w poszukiwaniu francuskojęzycznych sąsiadów oraz ziemi pod uprawę osiedliło się w Luizjanie wzdłuż brzegów rozlewiska, w tym także Teche, zainteresowanie tym literackim utworem było zrozumiałe. Długi, liryczny poemat opowiadał również o Evangeline i Gabrielu, dwojgu młodych kochankach pragnących się pobrać, którzy zostają brutalnie rozdzieleni i umieszczeni na różnych statkach. Evangeline wędruje w poszukiwaniu utraconej miłości. Kiedy odnajduje wreszcie Gabriela, jest już zakonnica, a on leży na łożu śmierci.

Powszechnie uważano, że poemat wywodził się z legendy krainy mokradeł, którą młody Luizjańczyk Edward Simon przekazał w czasie studiów w Harvardzie pisarzowi Nathanielowi Hawthorne'owi. Z kolei Hawthorne opowiedział ją przyjacielowi, Henry'emu Wadsworthowi Longfellowowi, a ten wykorzystał ją jako osnowę swego dzieła. Narzeczem nazywali się w istocie Emmeline Labiche i Louis Arceneaux. Minęły trzy lata, zanim para połączyła się znowu w Poste des Attakapas, które od czterdziestu lat znane było pod nazwą St. Martinville. Emmeline zabrała ze sobą suknię ślubną, zapakowaną starannie w pudło, ale po przybyciu do Luizjany dowiedziała się, że Louis, sądząc, iż stracił ją na zawsze, poślubił inną. Dziewczyna, przepelniona bólem, rozczarowana, wyczerpana trudami długiej podróży z Nowej Szkocji, umarła i została pochowana na katolickim cmentarzu za kościołem pod wezwaniem św. Marcina.

Julian był obdarzony pewnym dramatycznym talentem. Jego głos to wznosił się, to opadał, grając na emocjach i nadając wzruszającej historii pozory prawdy. Kiedy ucichły ostatnie słowa poematu, Chloe zaczęła pociągać nosem i wycierać oczy wierzchem dłoni. Pani Declouet wydała z siebie długie westchnienie. Zaraz potem wszyscy zaczęli

rozchodzić się do swoich sypialni.

Odłożywszy nuty na fortepian, Amelia wychodziła jako jedna z ostatnich. Julian, wstawiając książkę na półkę biblioteczkę, zerknął kilka razy w stronę żony. Pozostali w salonie tylko we dwoje, kiedy zmierzała już do drzwi swojej sypialni.

- Amelio?

Odwróciła się, otwierając oczy ze zdziwienia.

- Tak?

- Przykro mi, że musiałem być tak nieustępliwy w sprawie Patryka - powiedział, podchodząc i stając tuż przed nią. - Jest do zastąpienia, tylko kłopot w tym, że nie istnieje żadna gwarancja znalezienia lepszego następcy.

Równie dobrze można trafić na gorszego.

- Przypuszczam.

- Wiem, że nie przepadasz za nim, lecz nie widzę potrzeby, byś stykała się z nim w jakiegokolwiek sprawie.

- Czy mam go ignorować, ilekroć spotkam przy czworakach?

- Jeżeli uznasz to za stosowne. Jak długo będziesz go tolerowała, tak długo nie potrzebujesz być wobec niego uprzejma.

- On zdaje się przestrzegać podobnej zasady.

- Co masz na myśli? - zapytał Julian, marszcząc czoło.

- Dzisiejsze zachowanie Patryka Dye'a było bardzo niestosowne.

- Jego maniery pozostawiają wiele do życzenia, ale chyba nie oczekujesz niczego innego. Jest w końcu tylko zwykłym nadzorcą, a nie dżentelmenem.

Skinęła głową z namysłem.

- Jeżeli ty jesteś zadowolony, ja muszę być również.

- Och, Amelio - powiedział, chwytając ją za ramiona i przesuwając swe silne dłonie szermierza w dół, by zamknąć je na jej łokciach. - Wiedziałem, że okażesz rozsądek. W końcu taka drobnostka w istocie nie jest warta kłótni.

Zarówno tonem głosu, jak i uśmiechem wyrażał usprawiedliwienie. Starał się użyć swego wcale niemałego wdzięku, żeby przychyliła się do jego zdania. Doceniała te wysiłki w takim samym stopniu, w jakim nie zgadzała się z jego opinią. Potrząsnęła głową.

- Twoje zdanie jest chyba tutaj najważniejsze.

- No tak. Dobranoc, *ma chère*. - Zanim ją uwolnił, pochylił się i przycisnął swe twarde usta do jej czoła.

Kiedy wychodził na lodzie, skąd prowadziło główne wejście do jego sypialni, obserwowała go ze zmarszczonymi brwiami. Jakież to dziwne z jego strony! Nieczęsto przecież całował ją, chyba że z żartobliwą galanterią w dłoń. Na palcach jednej ręki mogła policzyć, ile razy poczuła na swoich ustach dotyk jego ust - dotyk zawsze najbardziej efemeryczny z możliwych. Pomimo to ten pocałunek zawierał serdeczne ciepło, błogosławieństwo, i - o tak - ślad zaborczości.

Rozdział IV

Lally czekała na Amelię w sypialni. Kiedy dziewczyna zajęta była rozpinaniem guzików, ściąganiem sukni, rozwiązywaniem pasków od stelaża, zdejmowaniem halek, rozpinaniem z haczyków gorsetu, Amelia pozwoliła swoim myślom powrócić do Juliana.

Gdyby łączyły ją z mężem normalne stosunki, miałyby prawo sądzić, że jest o nią po prostu zazdrosny. Wyraźnie zaniepokoił się tamtego dnia podczas powodzi, gdy zobaczył ją w ramionach kuzyna. Ciągła obecność Roberta zdawała się wzmacniać jego rozdrażnienie. A przecież wiedziała od teściowej, że nie było niczego niezwykłego w udziale siostrzeńca jej męża we wspólnych posiłkach oraz korzystaniu przez niego z *garçonniere*.

W chłopięcych latach nie było absolutnie niczym dziwnym, że jadali tam, gdzie zastała ich pora zasiadania do stołu, i że sypiali tam, gdzie akurat byli w momencie zapadnięcia zmroku. Tak często zamieniali się ubraniami, że z czasem trudno było wskazać, które rzeczy do kogo należały. Nawet teraz zdarzały się długie okresy, kiedy bawili się razem dobrze podczas spotkań przy alkoholu, opowiadając sobie o wyprawach na dziką zwierzynę albo ryby, wspominając chłopięce wycieczki i psoty. Lecz równie często ich rozmowę przerywały chwile niezręcznego milczenia, podczas których wpatrywali się w swoje kieliszki albo czasem czarne oczy Juliana spoczywały na kuzynie z wyrazem jakiegoś żalu. Czyżby przyczyną był fakt, że Robert po powrocie tak gorliwie zaczął zarządzać Belle Grove? Przecież sam Julian zajmował się tym niechętnie. A może chodziło o zainteresowanie kuzyna, choć głęboko skrywane, jego żoną?

Nie uważała się za próżną. Wiedziała, że ma w sobie coś, co przyciągnęło uwagę Roberta. Jednakże nie martwiła się tym nadmiernie. W końcu kuzyn jej męża był człowiekiem honoru. Jeśli chociaż trochę znała się na ludziach, to wiedziała, że nie ma najmniejszego powodu obawiać się, iż tamten przekroczy granicę ogólnie akceptowanego zachowania. Bez wątplenia cały problem był krótkotrwały i bez odpowiedniej zachęty z jej strony powinien rozwiązać się sam. Oczywiście takiej zachęty nie należało się spodziewać.

Amelia stłumiła ciężkie westchnienie. Podniosła do góry ramiona, aby Lally mogła naciągnąć jej przez głowę białą koszulę nocną, uszytą z połyskującego i wyjątkowo miękkiego batystu. Suto marszczony dół ze

skomplikowanym haftem, wykonanym przez siostry urszulanki, łączył się z wysokim staniczkiem, zmarszczonym przy szyi i haftowanym podobnie jak dół. Dokładnie tuzin koszul w tym samym stylu otrzymała od teściowej jako część wyprawy ślubnej.

Lally rozpuściła jej włosy, które sięgały nieco poniżej pasa, szczotkowała je, dopóki nie ułożyły się w jasnobrazową kaskadę z niebieskawym odcieniem. Następnie służąca odwinęła pościel na łóżku i kiedy Amelia znalazła się w środku, opuściła zasłonę chroniącą przed moskitami. Zmniejszyła płomień w lampie, po czym wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Wkrótce odgłosy jej kroków ucichły i w domu zapanowała cisza.

Amelia, leżąc w półmroku, uświadomiła sobie po chwili, że dostrzega smugę światła pod rozsuwanymi drzwiami do sypialni Juliana. Pomyślała, że mąż z pomocą Tige'a przygotowuje się do nocnego spoczynku, lecz chociaż nasłuchiwała uważnie, z sąsiedniego pokoju nie doszedł do niej żaden dźwięk. Odwróciła się twarzą w stronę okna, z którego przez szyby i różowe jedwabne zasłony sączyło się księżycowe światło.

Taki sam różowy materiał zwisał z drążków przy łóżku, ściągnięty na boki przy wezgielciu, podczas gdy jedwabne zwoje tworzące kopułę wewnątrz baldachimu były przejrzyste błękitne, bo taki był tradycyjnie kolor *ciel de lit* dla nowożeńców. Pokój sprawiał wrażenie przestronnego. Wśród sprzętów wyróżniał się ogromny francuski *armoire* z różanego drewna. Ponadto sypialnię zdobiły porcelanowe naczynia ustawione na marmurowym blacie umywalki, pomalowanym w różę i splecione liście winorośli, toaletka o krawędziach pokrytych złotym brokatem, schodki przy łóżku, w których mieściła się skrytka na nocne pantofle, oraz para stolików nocnych, po jednym z każdej strony łóżka. Przy otwartym oknie stał obity aksamitem fotel w stylu Ludwika XVI. Amelii nagle zrobiło się duszno pod zasłoną chroniącą przed moskitami. Odsunęła ją na bok, ześlizgnęła się z wysokiego łóżka i podeszła do fotela.

Usiadła w nim na podkurczonych nogach, przykrywając je fałdami koszuli nocnej. Ułożyła wygodnie głowę na oparciu fotela i wciągała głęboko do płuc świeże powietrze, przesycone zapachem róż i kapryfolium. Za oknem księżyc srebrzył liście potężnych dębów i obsypywał brody hiszpańskiego mchu diamentowym pyłem. Poprzez gałęzie drzew dostrzegała połyskujący strumień, którego zakole ginęło za domem.

Nagle wyteżyła wzrok, dostrzegłszy kątem oka, że coś poruszyło się w ciemności. Pod drzewami stał mężczyzna; jego twarz i ręce majaczyły niewyraźnie, ubranie zaś wtapiało się w mrok. Wszedł w strugę księżycowego światła, kierując się w stronę wody, i zniknął w ciemności.

Julian czy Robert? Nie wiedziała. Sądząc po wzroście i sylwetce, mógł to być zarówno jeden, jak i drugi. Tylko że Robert zwykle był już na nogach od wczesnych godzin rannych, natomiast Julian regularnie kładł się późno i długo spał.

Jeżeli był to jej mąż, cóż robił tam, na zewnątrz? Tonący w mroku ogród z całą pewnością nie należał do miejsc chętnie przez niego odwiedzanych. Być może skusiło go łagodne powietrze nocy, bujność przyrody o tej porze roku? Gdyby tak było, rozumiałyby to doskonale. O tak, rozumiałyby.

Poderwała się z fotela, zdecydowanie odwróciła od okna i weszła na powrót do łóżka. Przyglądała włosy, rozłożyła je na poduszce i mocno zacisnęła powieki. Po pewnym czasie odprężyła się i zasnęła.

Obudziło ją czyjeś dotknięcie. Jakież było ciepłe i cudownie delikatne! Wywołało w niej dreszcz pożądania, który pobudził zmysły, rozproszył sen i pozostawił ją rozpaloną i przytomną. Otworzyła oczy. Księżyc zaszedł i pokój tonął w ciemności. Jakiś cień majaczył przy niej na wysokim łóżku. Odczuwała czyjąś obecność, ledwo odbierając ją wzrokiem. Ręka mężczyzny dotykała jej piersi, ostrożnie obejmując wrażliwe półkule i pieszcząc brodawki poprzez cienki materiał koszuli nocnej.

Poruszyła się, uniosła dłoń, aby pochwycić przybysza za ramię.

- Julian? - szepnęła.

Zgasił to słowo, pochylając się nad nią i zamykając jej usta pocałunkiem. Jego wargi, twarde i gładkie, paliły jak ogień. Parzącymi poruszeniami języka smakował słodkie i bezbronne kąciki, badał wilgotną linię zamkniętych w oporze warg. Nie był to opór zbyt silny. Amelia, zneconą nowym, nie znanym jej dotykiem męża i zdradzieckim pełzaniem błędnym omdlenia, wahała się jedynie chwilę, nim rozchyliła usta.

Z mimowolnym westchnieniem natychmiast wykorzystał tę zrazu nieśmiałą, jakby chwilową uległość. Wgłębił się w wilgotne i delikatne zakamarki ust, drażniąc, wzmagając palące pragnienie, aż z wahaniem, pobudzona głębokim impulsem, znalazła językiem jego język. Łóżko zaskrzypiało cicho, gdy mężczyzna ułożył się u jej boku. Wziął ją w ramiona tak mocno, że wyczuwała bicie jego serca. Wyciągnęła dłoń, by powieść nią wzdłuż jego przedramienia, a potem zacisnąć ją powoli na twardych splotach mięśni.

Oddychając nierówno, unosił lekko głowę. Żarliwymi pocałunkami znaczył ślad wzdłuż zarysu jej szczęki, w górę łagodnego łuku policzka i dalej aż do czoła. Musnął ustami zamknięte powieki, dotknął językiem słonawych rzęs, zakrył delikatnym pocałunkiem niewielką przestrzeń pomiędzy brwiami. Wciągnął głęboko nozdrzami zapach czystych włosów i nakrochmalonej poszewki poduszki, na której leżała, by po chwili z determinacją spragnionego, który szuka wody, dotrzeć jeszcze raz do jej ust.

Odnalazł nową, namiętą przyjemność w smaku i dotyku kobiecego ciała. Amelia uświadomiła to sobie, usiłując jednocześnie stłumić głęboko tkwiące w niej obawy. Przywarła do niego, przesuując dłońmi po jego ramionach i karku. Oddychając szybko w podnieceniu, zaplatała palce w jego szorstkich włosach. Uderzyła w niego jednymi

półkulami piersi, by resztą ciała zetknąć się z niewiarygodnie twardą, rozjarzoną i napiętą męskością. Poprzez batystową koszulę czuła wyraźnie jego nagość, pragnienie posiadania jej. Serce biło jej jak młotem, gdy w przyptywie uniesienia uświadomiła sobie, że tym razem nie spotka jej rozczarowanie i nie będzie ronić łez.

- Amelio...

Wypowiedziane zachrypniętym głosem jej imię zabrzmiało jak błagalna prośba, a zarazem usprawiedliwienie. Ciepłe i nieco szorstkie palce jeszcze raz odnalazły łagodne wzniesienia jej piersi i ich miękką osłonę. Potem powędrowały ku małym perłowym guzikom koszuli nocnej. Zapięcie szybko ustąpiło pod ich wprawnymi ruchami. Powoli, ostrożnie odsuwał delikatny materiał. Na nagiej skórze czuła powiew chłodnego powietrza, ciepło oddechu, a następnie muśnięcie ust na łuku szyi. Dotknięcia języka w jej zagłębieniu wzbudziło w Amelii dreszcz. Zadrżała jeszcze mocniej, kiedy przesunął się na jędrne wyniosłości jej piersi, które unosiły się w rytm szybkiego bicia serca.

Wydała z siebie cichy jęk, niemalże protest, gdy kochanek cofnął się, lecz on jedynie przesunął się, ściągnając jednocześnie w dół jej nocną koszulę i oswobadzając ramiona. Zanurzył twarz pomiędzy jej piersiami, wciągnął w nozdrza ich słodycz, a następnie zaczął się wspinać wargami na jeden ze szczytów, obsypując go delikatnymi pocałunkami. Amelia wstrzymała oddech. Cała zdawała się płonąć. Potem, kiedy poczuła żar ust na swej brodawce, wygięła ciało w łuk.

Nie przypuszczała, że mogła odczuwać takie wrzenie krwi w żyłach. Nie domyślała się, do czego potrafiła pchnąć ją własna natura. W udzielanych jej naukach wszystko to należało do sfery kobiecych obowiązków, skąd miała wiedzieć, że kobieta może odczuwać przyjemność? Kobiety z czworaków zapewniały o tym, lecz przecież damy były inne. Ale czy naprawdę?

Uniosła drżącą dłoń, dotknęła twarzy kochanka, powiodła po jej płaszczyznach i wypukłościach, wsunęła koniuszek palca do ust, które przytrzymały brodawkę obdarzaną pieśczętą języka. Niezwykła rozkosz narastała w niej, wypełniając biodra.

On zaś, ożywiwszy jedną brodawkę, stwardniała i wilgotną, natychmiast poszukał drugiej. Amelia była tak pochłonięta doznaniem, jakie w niej wzbudzał, że niemal nie dostrzegła, kiedy zsunął jej koszulę jeszcze niżej, zgarnął powstałe fałdy i nie naruszając prześcieradła, wyciągnął spod niej cienki batyst. Czuła się naga jedynie przez chwilę, gdy zdjął z niej ostatnią zasłonę, nocną koszulę, którą przewiesił na boku łóżka. Ogarnęły ją dreszcze, nie z chłodu, lecz z emocji. Zanim zdążyła się poruszyć, zaatakował jej usta swoimi, a jego ręce poczęły znowu łagodnie poznawać jej ciało.

Obejmował jej pierś, kciukiem drażnił sutki, potem miękko przesunął dłoń do wyraźnie zaznaczonego wcięcia w pasie. Rozstawionymi palcami z łatwością objął połowę kibici, by po chwili zamknąć je na łagodnym łuku biodra. W odpowiedzi na tak intymny kontakt Amelia wstrzymała oddech. I trwała nieporuszona, kiedy opuszkami palców przesunął po jej brzuchu, dotarł do jedwabistego trójkąta u złączenia nóg i w końcu wkradł się między jej uda.

Dotykem nieustępliwym i zdradzieckim obudził gorące pożądanie. Dreszcz przebiegł przez całe jej ciało. Przysunęła się bliżej, ogarnięta pragnieniem stopienia się z nim w jedno. Jakże słodkie były jego usta, a pewność, z jaką jej dotykał, działała jak balsam. Twardość jego umięśnionej sylwetki stanowiła najdoskonalsze dopełnienie miękkości jej ciała; zagłębienia mężczyzny idealnie pasowały do jej krągłości. Jego serce biło tuż przy jej sercu, w mocnym uścisku ramion kochanka wyczuwała nieugiętą siłę. W ekstazie oddania rozchyliła uda, otwierając dostęp ku swemu wilgotnemu wnętrzu. Kiedy spróbował zawładnąć nim, jęknęła przeszyta bólem.

Napotkał jej nienaruszony hymen. Znieruchomiał, wydając z siebie dźwięk, który był może stłumionym krzykiem. Cofnął ręce, a jego pocałunki stały się delikatniejsze, jakby prosił o wybaczenie.

Amelia odwróciła głowę.

- Gęsi tłuszcz. Tam, na stoliku - wyszeptła z ustami przy jego policzku.

- Niepotrzebny - brzmiała równie cicha odpowiedź. Zanim zdążyła zaprotestować, uniósł się nad nią, pochylił i złożył odrobinę ciepłej wilgoci tam, skąd promieniował jeszcze ból.

Naturalna wilgoć, jej własna i pochodząca od niego, wystarczyła w zupełności. Gdy moment później znowu przyciągnął ją do siebie, bez trudu pokonał przeszkodę, a krótkotrwały ból został szybko rozproszony kojącym rytmem jego poruszeń. Przejęta wdzięcznością, przywarła do niego; potem, w miarę jak rozkosz w niej narastała, coraz gorliwiej wychodziła mu naprzeciw, pragnąc mieć go w sobie coraz głębiej. Krew szaleńczo pulsowała w jej żyłach, skórę zraszały krople potu. Każde jego uderzenie zmieniało się w falę dreszczy biegnących przez jej ciało, każde przyjmowała z ochotą. Do bólu wezbrały jej piersi i usta. Czuła napływające do oczu łzy, łzy uniesienia i radości po minionej obawie, że na zawsze mogła być pozbawiona tego szczęścia. Były to również łzy spełnienia i miłości. Miotła głową po poduszce, przyciskała dłonie do umięśnionych, twardych ramion, kiedy on wytrwale unosił się nad nią.

Wreszcie uległa odwiecznej magii - żywej, żarłocznej eksplozji cudów. Dostąpiła przemiany w rytuale kobiecości. Nie istniało nic poza tym mężczyzną i tą chwilą, i poza nią samą obejmującą to wszystko w uniesieniu tak wielkim, że aż zabarwionym cierpieniem. Krzyknęła, gdy poczuła w sobie strumień spełnienia i kiedy mężczyzna ścisnął ją boleśnie, uniósł się nad nią, jeszcze raz zatopił głęboko, a potem znieruchomiał.

Nie przestała płakać. Łzy cisnęły się do oczu, wypełniały je po brzegi i znacząc za sobą mokry ślad staczały w

dół, by zginać we włosach. Płakała bezgłośnie, próbując zapanować nad nierównym oddechem, starając się nie zdradzić. Przelykała ciężko ślinę, ale łzy płynęły nadal.

Jej kochanek odprężył się, przekreślił na bok, przytulił ją do siebie. Wyciągnął spod jej głowy jedwabiste pasma włosów, odsunął je z twarzy i ułożył na ramionach. Dotknął ręką jej policzka, przycisnął usta do czoła, potem musnął powieki i rzęsy. Czując słony smak, cofnął się.

- A to co, *chère*?

Potrząsnęła głową.

- Nic...

- Bolało cię? - zapytał cicho, z nutą winy w głosie.

- Nie - odpowiedziała pospiesznie. - Tylko... tylko wspomynam... że ty... że my... że wcześniej nigdy...

Przyłożył palec do jej ust.

- Ssz, wydaje mi się, że rozumiem.

Może dlatego, że to powiedział, albo dlatego, że obejmował ją czule i gładził jej włosy, po chwili przestała odczuwać bolesny skurcz w gardle i łzy wyschły na jej policzkach. Opuściło ją całe napięcie, leżała teraz spokojnie przy jego boku, głowę opierała na męskim ramieniu, nogi miała splecione z jego nogami. Przesunęła dłonią po piersi kochanka, obsypanej miękkimi kędziorami. Pod opuszkami palców czuła wyraźnie uderzenia jego serca. Zapach mężczyzny wypełniał jej nozdrza. Czuła się bezpiecznie w tych ramionach. Odetchnęła głęboko.

- Czy trudno było ci dotrwać? - zapytał cicho. Zdobyła się na lekkie skinienie głowy.

- Następnym razem nie będziesz tak długo czekała.

Uplęnęła chwila, zanim dotarło do niej znaczenie tych słów, ale i tak nie miała pewności, czy rozumie je właściwie. Odchyliła do tyłu głowę i wpatrywała się w zlewającą się z mrokiem sylwetkę, zaintrygowana nieco nutą rozbawienia w głosie, brzmiącym trochę dziwnie jak na Juliana. Szybko jednak wszystkie jej wątpliwości rozprzeczły się, ponieważ ustami zamknął jej wargi, zdecydowanie pochwycił ją za biodra i przysunął je ku tej części własnego ciała, która ponownie była rozpalona i twarda.

Jakiś czas później, krótko po północy, opuścił ją. Ześliznął się z łóżka, pochylił, by podnieść z podłogi swoją bieliznę, czy też może koszulę. Zaprotestowała sennie i została nagrodzona pospiesznym, najzwyczajszym pocałunkiem. Usłyszała odgłos oddalających się kroków, następnie zaś piskliwy dźwięk najpierw rozsuwanych, potem zasuwanych drzwi, które wiodły do sąsiedniej sypialni.

- *Mam'zelle* dobrze dzisiaj wygląda.

Amelia siedziała przy toalecie, zerkając na służącą, która układała jej włosy. Sądząc po błysku w jej oczach, dziewczyna najwyraźniej domyślała się wszystkiego, jednakże ukrywała to pod maską nieśmiałej serdeczności. Już widok poplamionych prześcieradeł świadczył najwyraźniej o tym, co wydarzyło się nocą w tym pokoju. Skarciła się w myślach za zbytne rozleniwienie po radosnym spełnieniu, które nie pozwoliło jej wstać i usunąć tak wiele mówiących śladów. Starła się jednak zrobić, co tylko było w jej mocy, by jakoś naprawić ten błąd.

- Dziękuję, Lally. Sądzę, że wiesz, dlaczego.

- Słucham, *mam'zelle*? - Służąca pozostała uosobieniem niewinności.

- Nie będę ukrywała przed tobą moich prywatnych spraw, ponieważ jesteś stale przy mnie. Jednakże byłabym bardzo niezadowolona, gdybym dowiedziała się, że plotkuje się na mój temat w czworakach.

- Och, *mam'zelle*, ja nigdy tego nie zrobię. Tak wiele pani zawdzięczam! Jakżebym mogła odplacić się opowiadaniem czegokolwiek za pani plecami?

- Wiedziałam, że mogę liczyć na twoją lojalność.

- Ależ tak, *mam'zelle* - zapewniła gorąco dziewczyna, przerywając na chwilę zaplatanie warkocza. - Zawsze!

Kiedy służąca wyszła z zawiniątkiem prześcieradeł do prania, Amelia jeszcze raz spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze, które stało w kącie pokoju. Rzeczywiście wyglądała dobrze. Na policzki wystąpił jej delikatny rumieniec, oczy nabrały blasku; skóra, widoczna powyżej najmodniejszej linii dekoltu lawendowej, oblamowanej szarą wstążką sukni z muślinu, miała perłowy odcień. Amelia promieniała radością życia, zdawało się jej, że przyszłość, jakże różna od pustych dni przeszłości, jest pełna obietnic.

Odwróciła się i ruszyła w kierunku drzwi, odczuwając ocieranie się złączonych ud w sposób, jakiego nie doznawała nigdy wcześniej, mimo że przecież były jak zawsze otulone pantalonami. Kołysząc biodrami i szleszcząc spódnicą i halkami, po raz pierwszy w swoim życiu miała uczucie, że jest naprawdę kobietą. Uczucie to było dziwne, ale wyraźnie odczuwalne, a świadomość tego objawiła się w lekkim uśmiechu w kącikach jej ust.

Kiedy otworzyła drzwi, Isa niemal wpadł do środka. Od świtu siedział na podłodze, opierał się plecami o drzwi i cierpliwie czekał. Teraz szybko wstał, podniósł gruby siennik, na którym spał, wygładził go, złożył starannie i dopiero wtedy wsunął sobie pod ramię. Na jej znak popędził gorliwie do przodu, otworzył drzwi na lodzie, potem cofnął się, przepuszczając swoją panią przodem. Zatrzymał się, żeby schować siennik do drewnianej skrzynki, w której trzymano całe mnóstwo rupieci - kapelusze do konnej jazdy i pejcze, parasolki i ceratowe kaptury - następnie zaś pobiegł na złamanie karku schodami w dół, by ją wyprzedzić i otworzyć drzwi do pokoju stołowego.

Ledwie przekroczyła próg, rozległo się szuranie krzesel, gdy na jej widok podnieśli się Julian oraz Robert.

Amelia zatrzymała się zdziwiona. Zwykle spożywała śniadania sama z teściową, dlatego tylko ją spodziewała się zastać. Robert zazwyczaj jadał dużo wcześniej, a często czekał jeszcze przed drzwiami do kuchni na ciasto i miód do porannej kawy, ażeby następnie przelknąć to wszystko na stojąco, wskoczyć na konia i pognać galopem przez plantację. Zdarzało się, nie tak wcale rzadko, że zasiadał do drugiego, znacznie obfitszego śniadania z Julianem, jeśli jej mąż zdołał przyjść na posiłek przed południem, natomiast niezwykle rzadko towarzyszył jej przy stole z samego rana.

- Dzień dobry - powiedziała, kierując spojrzenie swych roześmianych oczu na Juliana, który stał przy jednym końcu stołu. Isa podsunął jej krzesło. Usiadła, podczas gdy mężczyźni na powrót zajęli swoje miejsca.

Julian zdawkowo odwzajemnił słowa powitania. Przy tym wydawało się, jakby unikał wzroku Amelii. Odpowiedź Roberta była zwyczajna, lecz krótka. Skrzywienie ust nadawało jego twarzy nieco ponury wyraz, kiedy przenosił wzrok z kuzyna na nią. Natomiast twarz Amelii straciła trochę ożywienia. Niezręczną ciszę przerwała pani Declouet, pytając, jak spała, i wygłaszając szereg uwag na temat ciepłego poranka.

Isa włożył białą płócienną kamizelkę służącego, która leżała przygotowana dla niego na krześle przy wejściu. Była taka sama jak te, które nosili inni służący - ich przyciszone głosy dochodziły właśnie ze spiżarni. Na bocznym stoliku napełnił kawą jedną z filiżanek i ostrożnie przyniósł ją Amelii, która pomogła mu właściwie ustawić naczynie na stole. Potem wziął jej talerz i zdjawszy srebrne pokrywki znad podgrzewanych pojemników, wybrał dla niej dwie maślane bułeczki, plaster szynki, obraną i podzieloną pomarańczę. Kiedy ustawił to wszystko przed nią, podziękowała przelotnym uśmiechem. Sztynnym ruchem uniosła filiżankę do ust i upiła łyk gorącej, aromatycznej kawy.

Brak reakcji ze strony Juliana, jakiegokolwiek oznaki zadowolenia ze wspólnych przeżyć ostatniej nocy, był dla niej prawdziwym rozczarowaniem. Ale w końcu czego się spodziewała? Że porwie ją namiętnie w objęcia? Że prześle żarliwe spojrzenie kochanka? Nie, niczego aż tak widomego, lecz z pewnością liczyła na jakiś znak zapewnienia, że stosunki między nimi uległy diametralnej zmianie.

Choć z drugiej strony rezerwa Juliana mogła oznaczać po prostu, iż nie lubił publicznego okazywania uczuć. To dowodziło jedynie, jak mało znała swojego męża, jak niewiele dowiedziała się o nim od ślubu. Był człowiekiem skrytym, a od dnia powrotu do Belle Grove wiódł swe własne, niemal całkowicie oddzielne życie. To z pewnością miało się zmienić.

Uspokoiła się i odezwała wystarczająco głośno, żeby jej głos dotarł do drugiego końca długiego stołu:

- Wstałeś dzisiaj wcześniej, Julianie.

- Nie spałem dobrze - odrzekł powoli wyraźnie opryskliwym tonem.

- Naprawdę? Spałbyś lepiej, gdybyś więcej przebywał na świeżym powietrzu, na przykład jeżdżąc konno.

- W twoim towarzystwie?

Zadowolenie, że podjął grę słów, rozproszyło cienie z jej piwnych oczu.

- Owszem, gdybyś miał ochotę.

- Dzisiaj?

- Jestem pewna, że znalazłbyś czas.

- Niestety, muszę cię rozczarować. Właśnie dzisiaj rano muszę zająć się doglądaniem naprawy Zefira.

Tak nazywała się jego łódź. Amelia opuściła wzrok na swój talerz i zaczęła bawić się kawałkiem bułki.

- Rozumiem.

- Za to Robert spał tak wyśmienicie, że wstał dość późno i jeszcze nawet nie wyjechał na swoją codzienną inspekcję. Z pewnością byłby rad mieć ciebie za towarzyszkę.

- Z przyjemnością - odrzekł Robert bez chwili zastanowienia.

Rzuciła kuzynowi męża szybkie spojrzenie, zauważając jednocześnie, że pani Declouet z niepokojem spogląda na syna.

- Może innym razem - odparła Amelia opanowanym głosem. - Wła... właśnie sobie przypomniałam, że koniecznie trzeba zabrać się do krojenia koszul. Widziałam, że niektórzy robotnicy wyglądają już tak, jakby mieli na sobie łachmany.

- Twoje poczucie obowiązku zawstydzą, mogłoby stać się wzorem dla innych - skomentował jej wypowiedź Julian, prostując się na krześle i odsuwając od siebie talerz z nietkniętym jedzeniem. - Mam szczęście, posiadając tak pracowitą żonę.

- W istocie, i przy tym jakże wyrozumiałą! - zauważyła *M'mere* ostrym tonem.

Jej syn nie zwrócił na to uwagi. Ironia kryjąca się w jego oczach, kiedy spojrzał prosto w twarz; Amelii, była niepokojąca.

- Staram się - powiedziała.

- Jakże uprzejmie! - mruknął Julian.

Nagle rozległo się głośne szurnięcie. To Robert odsunął krzesło, rzucił na stół serwetę i szybko wyszedł z pokoju. Pani Declouet zerwała się również i pod błahym pretekstem pospieszyła za nim. Julian zmarszczył czoło, gdy za tamtymi zamknęły się drzwi, potem westchnął i przeczesał dłonią włosy.

- Muszę prosić, abys wybaczyła mi kiepski humor, *ma chère* - powiedział. - Nie jesteś niczemu winna, dlatego źle

postąpiłem, demonstrując przed tobą zły humor.

Minęła chwila, zanim była w stanie odpowiedzieć.

- Nic się nie stało.

- Ależ stało się. Nie chciałbym, abyś mnie znenawidziła.

- Nie potrafiłabym - odrzekła z głębokim przekonaniem.

- Cieszyłbym się, gdyby tak było. - Podniósł się nagle i zdecydowanym krokiem wyszedł z pokoju.

- Julianie! - zawołała za nim, ale się nie zatrzymał.

Nie wiedziała, jak długo siedziała bez ruchu, z ręką zawieszoną w powietrzu. Oprzytomniała dopiero wówczas, kiedy podszedł do niej Isa. Chłopiec skłonił głowę, wziął filiżankę, zaniósł ją do bocznego stolika, opróżnił i napelnił świeżą kawą. Gdy odebrała ją z powrotem, z wdzięcznością napiła się gorącego napoju. Zostawiwszy na talerzu szynkę i ostygłe bułeczki, podniosła się z krzesła i ruszyła przez tylne wyjście na zewnątrz w kierunku czworaków.

Ten dzień wydawał się długi i wyczerpujący. Amelia była przez cały czas zajęta, próbując nie myśleć o nocy, która minęła, ani o tych, które dopiero miały nadejść. Doglądała pracy kobiet, które kroily i zszywały letnie ubrania dla mężczyzn - jeden z dwóch kompletów ubrań, szytych przez kobiety z czworaków każdego roku. Ponieważ na plantacji pracowało siedemdziesięciu pięciu robotników, zadanie nie było łatwe. Uznawszy, że wszystko idzie dobrze, odwiedziła izbę chorych, później zaś wróciła do domu przygotować prace związane z wiosennymi porządkami.

Chociaż do lata było jeszcze daleko, na południowych obszarach Luizjany słońce prażyło coraz mocniej. Nie należało się spodziewać, aby przed jesienią trzeba było rozpalać w piecach, tak więc z wszystkich palenisk musiano usunąć popiół, później zaś je oczyścić. Dywany, zanim, obsypane tytoniem przeciw molom, mogły spocząć na strychu, należało wynieść i wytrzeć. Ściany oraz sufity wystarczyło starannie omieść, drewniane elementy konstrukcji jak zwykle pobielić wapnem, a ramy obrazów i złozenia odkurzyć. Okna i lustra po prostu myto oraz polerowano, meble nacierano olejem, marmurowe powierzchnie czyszczono mydłem, mosiężne wykończenia rozjaśniano octem i sodą. Oczywiście, jak to zwykle bywa, wtedy, gdy jest najwięcej pilnych prac do wykonania, zawsze zjawiają się goście.

Tym razem było to trio złożone z samych kobiet, które zajęły otwartym powozem. Dwie damy, Lulu i Maria Oudry, były wdowami i przyjaciółkami pani Declouet. Towarzyszyła im wnuczka starszej z nich, panna Luiza Callot, rozchichotana dziewczyna, nieco młodsza od Chloe. Dwie starsze kobiety spowite były w sztywną i szeleszczącą żalobną czerń, która sprawiała, że ich twarze wyglądały nieprawdopodobnie blado, a oczy przypominały maleńkie kawałki obsydianu. Luiza, w dziewiczej bieli, sprawiała wrażenie nad wyraz skromnej. Kiedy już dwie matrony zasiadły w salonie, wyjaśniły, iż zabrały ze sobą Luizę, by zapewnić jej młodsze towarzystwo. Jej rodzice obecnie podróżowali po Alabamie, lecz mieli wkrótce powrócić i zabrać córkę ze sobą, a przy tej okazji złożyć wizytę Zofii i Julianowi oraz omówić z nimi pewien dość obiecujący interes.

Chodzi o to, że pan Callot był pośrednikiem handlowym, który współpracował z producentami trzciny i bawełny. Jego firma zajmowała się sprzedażą cukru, produkowanego od pewnego czasu przez plantację. Nadto z racji dalekich koneksji obie rodziny żyły przyjaźnie, odwiedzając się często w Nowym Orleanie podczas sezonu zimowego.

Główny ciężar konwersacji spadł na najbardziej zbliżoną wiekiem do Luizy Chloe i matkę Juliana, zabawiającą obie matrony.

Starsze panie rozmawiały o wspólnych znajomych, którym z powodu rozmaitych chorób śmierć zaglądała w oczy albo którzy w różnym czasie odeszli już z tego świata. Luiza zaś mówiła głównie o sobie i swoich ostatnich podbojach na sali balowej. Amelii w najmniejszym nawet stopniu nie interesował ani jeden, ani drugi temat, zatem nie czuła się wcale źle, iż pozostawała nieco na uboczu. Jednak to na nią spadł kłopot wydania poleceń służbie, by podano ciastka i lemoniadę. Musiała też zgodnie z konwenansami dotrzymać gościom towarzystwa. Czas ten spędziła z igłą w ręku, cerując adamaszkowy obrus, aż wreszcie wizyta dobiegła końca.

Jakiś czas później odkryła, że Robert również ich opuścił. Wrócił do The Willows, następnie zaś przysłał służącego po rzeczy, których niemała ilość stopniowo nagromadziła się w *garçonnière*. Nadal miał pilnować spraw plantacji i chociaż zmuszony był do nieustannego krążenia między The Willows a Belle Grove, uznał, że tak będzie najlepiej. Pani Declouet nie dawała poznać po sobie, że wie coś na temat przyczyny jego nagłej decyzji. Amelia podejrzewała, że teściowa zna powód. Sama natomiast przypuszczała, choć było to trudne do uwierzenia, że chodziło o zaborczy stosunek Juliana do niej.

Amelia zawsze uważała się za kobietę o raczej przeciętnej urodzie. Cioteczna babka często podkreślała nietrwałą naturę zewnętrznego wyglądu i wagę zalet duszy. Nigdy nie pochwałała próżności. Amelia uważała swą karnację za trochę bladą, mając świadomość, że brakowało jej żywości, jakiej mogłyby jej przydać włosy kasztanowate lub blond. Nie miała powodu sądzić, iż zachowanie męża wypływało z żarliwego uczucia do niej. Jeżeli natomiast była to sprawa zazdrości, to tylko takiej, która przypominała postawę kogoś, kto sam nie ma i nie pozwoli, by miał ktoś inny.

Nie świadczyło to najlepiej o Julianie, nie można też tego było uznać za komplement pod adresem Amelii. Nie

podobała się jej konkluzja, do której doszła, ale obecna sytuacja wyraźnie na nią wskazywała.

O zmroku Amelia stała oparta o balustradę na górnej galerii, przyglądając się różowej i lawendowej poświacie zachodzącego słońca na powierzchni rozlewiska i gołębiom zataczającym na niebie ostatnie kręgi przed powrotem do gołębnika. Przed nią rozciągał się szmat świeżo zaoranej ziemi, na której Jerzy Parkman poczynił pierwsze przygotowania do budowy zwierciadlanego stawu. Nieco z boku widziała Anglika i Chloe, spacerujących pod drzewami. Jerzy, wymachując z zapałem rękoma, z całą pewnością znowu roztaczał przed dziewczyną swoje wizje botanicznego raję.

Za sobą słyszała skrzypienie węgla o podłogę galerii. To Isa rysował. Powinna kazać mu przestać i posprzątać po sobie wszystkie ślady węgla, ale nie miała w sobie ani dość energii, ani ochoty, żeby sprawić chłopcu przykrość. Taki był pochłonięty swym dziełem i tak rozbrajająco dumny z rezultatu.

Jeden z gołębi opuścił się niżej, zatrzepotał skrzydłami, przysiadł na poręczy i zaczął przesuwać się bokiem coraz bliżej. Upierzenie miał szare z białymi końcami na lotkach i paskiem migoczącej zieleni, purpury i niebieskiego wokół szyi, natomiast łapki oraz pazurki - czerwone. Chloe czasem rano karmiła gołębie pokruszonym chlebem lub okruskami grzanek i z pewnością ptak tego oczekiwał. Przekrzywił łebek, gruchając przy tym, zachowując się możliwie najprzymilniej i przedstawiając cały repertuar gołębih możliwości. Amelia roześmiała się cicho.

Isa podniósł wyżej głowę i jego uzbrojona w węgiel dłoń poczęła wykonywać pewne i szybkie ruchy. Po chwili wizerunek gołębia zdobił podłogę. Amelia zerknęła nań, potem podeszła i stanęła za chłopcem, wreszcie przykucnęła.

- Isa, jesteś wspaniały - powiedziała. - A pomyśleć, co mógłbyś zdziałać, gdybyś więcej ćwiczył... ależ oczywiście! - Patrzył do góry w jej błyszczące ciemne oczy, podczas gdy ona ciągnęła: - Biegnij natychmiast do Lally. Powiedz jej, że potrzebuję pudełka z farbami. Znajdzie je w górnej szufladzie komody. Potem poszukaj Karola i przekaz, że poleciłam, aby dał ci arkusz papieru pakowego.

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Czy będzie pani malować, *mam'zelle*?

- Uważasz, że potrafiłabym? - zażartowała.

- *Mam'zelle* umie robić wszystko.

Ujęła ją jego wiara w nią. Powstrzymała mimowolny uśmiech.

- Brałam lekcje parę lat temu, ale nie, nie zamierzam malować. W przeciwieństwie do ciebie.

Ze zdumienia otworzył szeroko oczy.

- *Mam'zelle*?

- Może przestałbyś już zadawać te wszystkie pytania, i poszedł po rzeczy, o które cię prosiłam.

Nigdy dotąd nie widziała, aby poruszał się tak szybko. Zaczęła szczerze obawiać się, że w swoim zapale chłopiec może potknąć się i spaść ze schodów. Myślała czasem, że jego ułomność bardziej martwi ją niż jego. Jednakże nic nie mogła zrobić.

Powoli zapadał mrok i Amelia zapaliła lampę w salonie. Rozłożyła farby i papier w kręgu światła, podczas gdy Isa pobiegł po naczynie z wodą do rozcieńczania akwareli. Pokazała mu, jak należy posługiwać się pędzlem i wodą, jak uzyskać na papierze kolor nieba, i udzieliła kilku innych wskazówek, które zapamiętała. Potem stanęła z boku i przyglądała się pracy chłopca. Ruchy jego ręki były szybkie i precyzyjne. Na twarzy pojawił się wyraz zachwytu. Byli tak pochłonięci malowaniem, że aż drgnęli na dźwięk męskiego głosu.

- Zdolny uczeń, ale czy jesteś pewna, że to rozsądne?

- O, kuzyn Robert! - wykrzyknęła. - Sądziłam, że wróciłeś do The Willows.

Uśmiechnął się smętnie.

- Wróciłem, ale *M'mere* wezwała mnie pilnie w sprawie interesów, i oto znowu jestem na obiedzie.

- Na obiedzie? To już jest tak późno?

- Niestety tak.

- A ja nie przebrałam się jeszcze. Musisz mi wybaczyć. - Odwróciła się do Isy, polecając chłopcu pozbierać wszystko i iść do kuchni na posiłek. Pozwoliła mu usługiwać przy stole, jeśli miał ochotę, ale nie czułaby się dobrze, gdyby wiedziała, iż robi to o pustym żołądku.

Chłopiec zamknął pudełko z farbami i wsunął je pod ramię, potem wyszedł, niosąc naczynie z wodą w jednej ręce i wilgotną jeszcze pracę między kciukiem a palcem wskazującym drugiej ręki. Amelia skinęła głową w kierunku Roberta i ruszyła do swojego pokoju.

- Poczekaj, proszę.

Odwróciła się z pytającym uśmiechem.

- To nie moja sprawa, ale czy uważasz, że postępujesz właściwie, traktując chłopca na szczególnych prawach?

Uśmiech zgasł na jej ustach.

- Co masz na myśli?

- To, że zmieniasz go w maskotkę, rozpieszczasz, pozwalasz przebywać blisko siebie w domu.

- Uważasz, że powinien być odesłany do innych, zmuszony do pracy w polu, do ciężkiej, całodziennnej pracy? - Jej oczy spoglądały coraz bardziej surowo, połyskiwały stalowym blaskiem. W słowach zabrzmiało oburzenie.

- Nie - odrzekł stanowczo - ale co się z nim stanie, kiedy znudzi ci się ta zabawa? Albo później, gdy już nie będzie dzieckiem? Gdy nie będzie mu wolno biegać za tobą jak małemu psiakowi?

- Jeżeli sugerujesz, że chcę go skrzywdzić...

- Wiem z doświadczenia, że takie rzeczy się zdarzały.

- Czy widziałeś, żebym ja kiedykolwiek to zrobiła?

- Chyba nie, lecz twoje postępowanie może okazać się czymś jeszcze gorszym. Chłopiec jest bystry i utalentowany, ale nie wolno ci go uczyć. Mogłoby się zdarzyć, że nie wytrzymasz tego, i co wtedy? Komu przyda się jego wiedza, kogo będzie obchodzić jego sztuka? Pozna jedynie, co to zawiedziona nadzieja i rozgoryczenie. Jakaż to nagroda za jego miłość i zaufanie?

Odwróciła się od niego z szelestem spódnicy i halek, ale nie odeszła. Powiedziała przez ramię:

- Ja... Może masz rację. Ale czy mam go teraz ignorować, pozwolić, aby dzieci na powrót go poszturchiwały i śmiały się z niego? To byłoby równie okrutne!

- Niełatwo teraz orzec, jakie rozwiązanie byłoby najlepsze.

- Raczej nie pozostanie niewolnikiem, ponieważ w pracy byłby niewiele wart. W Luizjanie jest wielu wolnych Murzynów.

- Większość z nich uwolniono przed laty, zanim cały proces utknął z powodu prawniczych formalności.

Ironią losu było to, że ostatnie lata działania abolicjonistów - namawiających niewolników do szukania wolności w sposób nielegalny - przyniosły prawo, które niebawem utrudniło nadawanie wolności zależnie od woli właściciela. Niedługo zdarzało się nawet, że niewolnik sam opłacał swoje uwolnienie albo robili to jego krewni lub też wyzwalano go w uznaniu za waleczność i inne szczególne zasługi. Obecnie najpewniejszym sposobem uzyskania wolności było postanowienie w testamencie właściciela.

Amelia odezwała się po długiej chwili ciszy:

- Robię tylko to, co uważam za najwłaściwsze.

- Oczywiście. Nie zamierzałem cię urazić.

- Jestem o tym przekonana. - Obdarzyła go spokojnym spojrzeniem, po czym wyszła.

Później, a raczej znacznie później, już po skończonym obiedzie, kiedy w domu zapanował spokój, drzwi pomiędzy jej sypialnią a sypialnią męża otworzyły się lekko. Julian zbliżał się ku niej krokiem spokojnym i swobodnym. Rozsunął moskitierę. Amelia czuła, jak łóżko ugina się lekko pod jego ciężarem. Wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie.

- Wybacz mi - szepnął, nim ustami musnął jej szyję, a potem znalazł jej usta. - Wybacz.

Przywarła do niego z cichym westchnieniem. Wyciągnęła ręce, by zamknąć je na jego barkach. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, serce biło żywiej, pobudzone przeczuciem spełnienia. Lecz z jakiejś niezrozumiałej przyczyny, może dlatego, że ciągle jeszcze wspominała szczerą rozmowę sprzed obiadu, twarz, którą widziała w wyobraźni, zanim odpędziła od siebie ten wizerunek, nie była twarzą jej męża. Była to twarz jego kuzyna, Roberta Farnuma.

Rozdział V

Plan wyprawy do opery stopniowo rozrastał się przez dodawanie coraz to nowych elementów, by w końcu przekształcić się w projekt całodniowej wycieczki. Niedzielny ranek miał rozpocząć się od mszy w kościele św. Marcina, po której czekało śniadanie z przyjaciółmi w hotelu Broussard, niedaleko nabrzeża. Po południu, jak to było w zwyczaju w Nowym Orleanie, miał się odbyć spektakl operowy z widowiskowymi, romantycznymi „Hugenotami” Meyerbeera w programie. Na koniec wyprawy przewidziano bal, któremu patronowało kilka osób, także Julian.

Ponieważ mieli spędzić w mieście wcale niemało czasu, uznali, że najlepiej będzie zatrzymać się w hotelu, aby mieć wygodne miejsce do przebierania się oraz odpoczynku. Co więcej, jeżeli chcieli zdążyć do kościoła na mszę przed ostatnim uderzeniem dzwonów, musieli zamieszkać w pobliżu. Ostatecznie postanowiono wyjechać do St. Martinville w sobotni wieczór.

Zarówno damy, jak i dżentelmeni potrzebowali służących. Hotel Broussard cieszył się dobrą opinią, niemniej jednak pani Declouet wolała zabrać ze sobą własne prześcieradła, ciężkie i znaczone monogramami, a także poduszki, kilka narzut i parę innych mniej lub bardziej potrzebnych drobiazgów, które w obcym miejscu pozwoliłyby stworzyć domową atmosferę. Kucharz hotelowy znał się na rzeczy, ale do wypieków brakowało mu lekkiej ręki Marty, dlatego należało zabrać zapas bułeczek i ciastek, jak również doskonałej szynki z Belle Grove, kiełbas, przetworów, galaretek. Karol również musiał jechać, by anonsować i wprowadzać gości, nie wspominając o Isie, bez którego nie mogłaby się obyć Amelia; bo czyż w mieście nie będzie najprzeróżniejszych wiadomości do przekazywania?

W rezultacie w sobotnie popołudnie przed domem ustawiła się dość imponująca kawalkada. Pierwszy na drodze stał wóz ze służbą, załadowany zapasami i czekający na odjazd z wyprzedzeniem na tyle dużym, żeby wszystko było gotowe na przyjazd państwa. Następny był elegancki, nowy i lekki studebaker Juliana, wykończony polerowaną, ciemnozieloną farbą oraz złoceniami na wszystkich krawędziach. Za nim czekała poważna, dostojna victoria z odchylanym dachem. Tuż obok stał osiodłany koń Roberta i spokojnie szczypał sobie trawę.

Amelia obserwowała z galerii, jak Robert unosi dłoń i daje sygnał do odjazdu woźnicy z pierwszego pojazdu. Promienie słońca delikatnie zagrały na jego ciemnych włosach, kiedy odwrócił się do wierzchowca i odwiązywał lejce ze specjalnego słupka. Wsunął nogę w strzemiono, a gdy wspinał się na siodło, pod jego skórzanymi bryczesami do konnej jazdy wyraźnie zadrżały mięśnie ud. Potężny koń przysiadł na tylnych nogach i gwałtownie rzucił łbem, lecz Robert, trzymając się w siodle wspaniale i swobodnie, szybko nad nim zapanował zdecydowanym ściągnięciem wodzy.

- *Mam'zelle?*

Amelia odwróciła się i zobaczyła służącą teściowej, Paulinę, która stała w drzwiach prowadzących z sypialni starszej pani na galerię.

- Słucham?

- Proszę o wybaczenie, ale *grande maitresse* chciałaby mówić z panią.

Właśnie mieli wyjeżdżać i pani Declouet powinna być gotowa do zejścia na dół.

- Czy coś się stało?

Kobieta, starsza siostra kucharki Marty, niewiele młodsza od swej pani, potrząsnęła tylko głową. Odsunęła się na bok, by Amelia, przechodząc przez francuskie drzwi, nie pogniotła krynoliny.

Pani Declouet ubrana była w suknię z szarego jedwabiu. Na ramionach miała czarną jedwabną pelerynę, na głowie - czarny czepek, zwany *bavolet*, z koronką opadającą na kark. Klęczała przy swoim *prie-dieu*, małej, wyściełanej ławeczce z podpórką na ręce. Jej usta poruszały się w cichej modlitwie jeszcze przez parę chwil, potem starsza pani przeżegnała się i stanęła na nogi.

- Nie zamierzałam kazać ci czekać, *ma chère* - powiedziała, a skóra jej twarzy zmarszczyła się jeszcze bardziej w uśmiechu. - W podróży zawsze lepiej oddać się pod opiekę *le bon Dieu*, nieprawdaż?

- Tak, *M'mere* - odparła Amelia, widząc, że teściowa oczekuje od niej jakiejś odpowiedzi.

- Jednakże zanim wyjedziemy, chciałabym wręczyć ci mały upominek.

- Ależ dziękuję, nie chciałabym... tak wiele już od ciebie otrzymałam...

- Potraktuj to jedynie jako dowód mojej miłości i wdzięczności za szczęście, które przyniosłaś mojemu synowi. - Na wysokim łóżku pod baldachimem leżała duża waliza, a obok niej mała szkatułka. Starsza pani ujęła ją w dłonie i podniosła wieczko.

- Jestem jego żoną, to mój obowiązek...

M'mere jakby tego nie słyszała. Odsunęła przykrywkę, następnie wyjęła ze środka pudełeczko pokryte niebieskim aksamitem. Ujęła dłoń Amelii i wsunęła weń pudełeczko.

- Okazałaś niezwykłą wyrozumiałość i cierpliwość. Chciałabym podziękować ci za to. Proszę, nie sprawiaj mi przykrości odmową.

Amelia zerknęła na pudełeczko, które trzymała w ręku. Dręczyła ją wątpliwość, czy jej wyrozumiałość była tak wielka, jak sądziła pani Declouet. W ciągu ostatniego tygodnia Julian przychodził do niej prawie codziennie. Każdego razu jednoczyła się z nim w doskonałej rozkoszy i oddawała niewyobrażalnym uniesieniom. A kiedy spotykali się następnego dnia, odnosiła wrażenie, jakby to wszystko się nie zdarzyło. Nadal był gburowaty i niecierpliwy, chociaż czasami zdarzało mu się żartować z niej jak dawniej, nieco złośliwie, a jednak serdecznie. Tak bardzo jego zachowaniu brakowało ciepła, że zaczęły ją gnębić natrętne myśli, iż służy mu jedynie jako podręczne naczynie na nasienie, że jego wizyty są tylko wypełnianiem obowiązku. Dlatego też, będąc z nim, usiłowała przez wzgląd na własną dumę i honor zachować chłód, powstrzymać namiętności, jakie w niej budził. Daremnie. Nie potrafiła. Ilekroć jednak pozostawiał ją w ciemności, odchodząc, jak gdyby spanie przy jej boku do świtu było zadaniem, któremu nie mógł sprostać, czuła się osamotniona.

- Otwórz to, *ma chère!*

Amelia posłusznie podniosła wieczko. Wewnątrz na białej satynie leżał naszyjnik, wysadzany perłami, szafirami i brylantami, a obok - kolczyki do kompletu. Była to biżuteria przeznaczona dla młodej kobiety, dla panny młodej, o czym świadczyło połączenie maleńkich pereł, symbolu młodości, z bardziej wyrafinowanymi kamieniami.

Amelia podniosła oczy pełne łez.

- Och, *M'mere!*

- *Tiens!* Nie róbmy sprawy z takiego drobiazgu. Włóż to, proszę, do opery i oczywiście później na tańce. Tak będzie najstosowniej, wierz mi.

Starsza pani była zadowolona z jej reakcji, a jej nieco przygasłe piwne oczy promieniały ciepłym blaskiem. Amelia wygięła usta w wymuszonym uśmiechu i powiedziała po prostu:

- Dziękuję, *M'mere*.

- Absolutnie nie ma za co. A teraz musimy już iść, zanim Julian i Robert wezmą szturmem schody, żeby nas stąd zabrać.

Julian wolałby odbyć podróż na swojej łodzi, która stała przycumowana do naprawionego nabrzeża naprzeciwko domu. Miejsca pomalowane na biało jaśniały z daleka, żagle w kremowo-błękitne pasy były owinięte dookoła masztu, draperie zaś i markizy - starannie zwinięte, by nie wyblakły na coraz ostrzejszym słońcu. Na pokładzie nie starczyłoby miejsca dla wszystkich, a ponadto zakola rozlewiska wydłużyłyby trasę. Na dodatek Chloe

zdecydowanie odmówiła udziału w tego rodzaju wyprawie. Na wodzie czuła się fatalnie i nie miała zamiaru, dla zaspokojenia kaprysu Juliana, przybyć do hotelu z pobladałą chorobliwie twarzą.

Bez wątpienia podróż łodzią miałyby tę przewagę nad jazdą victorią, że nie narażała na zakurzenie. Na drodze panował niemały ruch i w powietrzu wisiały brązowobure kłęby, pokrywając grubą warstwą porastającą brzegi trzcinę i dęby w pobliżu domów, które mijali. Miejscami kurz stawał się tak gęsty, że kobiety były zmuszone przysłonić usta chusteczkami. Chloe narzekała, że to wina Juliana, ponieważ wysforował się do przodu ciężkim powozem, na dodatek z Robertem przy boku, zostawiając je z tyłu na pastwę duszącego pyłu. Było w tym trochę racji, choć przecież nie oni jedni jechali drogą.

Niedaleko St. Martinville natknęli się na dom, wokół którego aż roiło się od powozów, bryczek i karet. Ludzie z trudem przeciskali się pomiędzy nimi, jadący musieli omijać to miejsce szerokim łukiem. Podekscytowane dzieci bawiły się w berka, mężczyźni stali grupkami, śmiejąc się i popijając alkohol z kubków, które przechodziły z rąk do rąk, podczas gdy na odkrytej werandzie domu siedziały starsze kobiety, trzymając i kołysząc małe dzieci. Pod jednym z drzew nad ogniem wisiały trzy duże kotły, a przy nich kręciły się młodsze kobiety w białych fartuszkach przewiązanych w pasie. Pod rozłożystą koroną innego drzewa skrzypcowe trio stroiło instrumenty. Wiatr niósł odgłosy śmiechu i zapach gotowanych darów morza.

- Co tu się dzieje? - zapytała Amelia.

- To *fais do-do*, przyjęcie w akadyjskim stylu - odpowiedziała pani Declouet, kłaniając się statecznie starszej kobiecie, która odwzajemniła się równie godnym skinieniem głowy.

- Przychodzą wszyscy - dodała Chloe. - Jedzą, piją, słuchają muzyki, a kiedy dzieci idą spać, dorośli i pary narzeczonych tańczą przez resztę nocy. Wszyscy razem pójdą na poranną mszę, a dopiero później rozjadą się do domów.

W Felicianas nie było tylu Akadyjczyków, nazywanych przez Amerykanów Kajunami, co tutaj nad rozlewiskami Lafourche lub Teche. Amelia słyszała już o *fais do-do*, ale po raz pierwszy przyglądała się czemuś takiemu z bliska.

- Zdaje się, że będą mieli wcale dobrą zabawę.

- O tak, bardzo dobrą - przytaknęła Chloe. - Tak samo jak my!

Wbrew przewidywaniom młodej dziewczyny sobota upłynęła spokojnie. Rozgościli się w apartamencie, który składał się z szeregu sypialni przylegających do małego salonu. Amelia odetchnęła z ulgą, gdy okazało się, że ma pokój wyłącznie do swojej dyspozycji. Po wcześniejszym obiedzie wyszli na górną galerię hotelu - zbudowanego z czerwonej cegły na planie kwadratu - aby cieszyć oczy widokiem Teche, toczącej swe wody po ich prawej stronie. Natychmiast zostali wciągnięci do rozmowy przez sąsiadów, wśród których znajdowały się dwie starsze damy Oudry oraz wnuczka jednej z nich, panna Callot. W pobliżu kręcili się członkowie zespołu operowego, którzy również zatrzymali się w hotelu.

Po pewnym czasie Jerzy, najwidoczniej mający już dość przyglądania się, jak Chloe wprost chłonie słowa dość przysadzistego tenora, wyprowadził ją na przechadzkę do grobu Emmeline Labiche, znanej powszechnie jako pierwowzór postaci Evangeline z książki Longfellowa. Julian ulotnił się w zamiarze sprawdzenia, jakie inne rozrywki ma do zaoferowania miasto. Pani Declouet wdała się w długą dyskusję z paniami Oudry nad wzorem nowego sukna, które miało przyozdobić ołtarz w kościele. Natomiast Robert zaczął opowiadać pewnemu plantatorowi o zbiorach trzcin i nowej maszynie do cukrowni, którą zakupił ostatnio aż w Filadelfii. Jednakże kilka minut później zjawił się służący plantatora z wiadomością od jego żony, że jedno z dzieci ma kłopoty z zaśnięciem w obcym pokoju, i Robert został sam.

Amelia obserwowała, jak kuzyn Juliana wstał z krzesła, podszedł do balustrady, zatrzymał się i zapatrzył w stronę rzeki, opierając się barkiem o kolumnę. Odczekała kilka chwil, następnie podniosła się i wolnym krokiem pokonała niewielką odległość, by dotrzymać mu towarzystwa. Wzdłuż poręczy przy balustradzie wiły się ciemnozielone pnącza, a samą balustradę pokrywały małe, białe gwiazdki jaśminu. Wciągnęła głęboko ich zapach, kiedy stanęła przy Robercie, ocierając się o nie skrajem sukienki. Odwrócił się, by przesłać jej nikły uśmiech, potem znowu przeniósł wzrok na rozlewisko.

Żółto-brązowe, spokojne wody Teche toczyły się powoli w niewielkim oddaleniu. Trudno było sobie wyobrazić, że nie tak dawno wystąpiły z brzegów i zalały ulice miasta. Rząd domów wzdłuż brzegu stał za zasłoną z trzcin i hiszpańskiego mchu, porastającego opadające ramiona dębów. Tuż przed hotelem rosło wiekowe drzewo nazywane Dębem Evangeline, upamiętniające rzekomo miejsce, do którego niegdyś przybyła łodzią Emmeline Labiche u kresu swej długiej i niebezpiecznej podróży z Nowej Szkocji. Tutaj ponoć miała się dowiedzieć od Louisa, że nie dochował jej wiary. Lekka bryza szeptała w listowiu, trącała paprocie, które porastały niższe rozwidlenia gałęzi, i kołysała szarymi serpentynami mchu.

Amelia zwilżyła usta. Nie patrząc na Roberta, powiedziała:

- Czy wiesz, że hiszpański mech jest indiańskim symbolem żałoby?

- Tak?

- Podobno dawno temu pewna księżniczka i wojownik żyli nad brzegiem Teche. Kochali się bardzo i mieli połączyć się węzłem małżeńskim. Potem księżniczka zachorowała i umarła. Została pochowana pod dębem.

Wojownik, pogrążony w rozpacz po stracie ukochanej, poprosił o jej warkocze i powiesił je na drzewie nad jej grobem. Po jakimś czasie warkocze posiwiły ze starości, a wiatr poroznosił kosmyki od drzewa do drzewa. W końcu wszystkie drzewa w krainie Teche, od źródeł po ujście, okryły się żałobą.

- Uroczą legenda - powiedział tonem raczej ciepłym, ale zabarwionym pobłażliwą nutą.

- Opowiedział mi ją Sir Bent.

Skinął głową w kierunku dębu przed hotelem.

- Czy wiesz, co Akadyjczycy mówią o Emmeline i Louisie oraz o ich drzewie?

- Że spotkali się pod nim? - Zerwała liść z jaśminowego pnącza i zaczęła go bezwiednie zwijać między palcami.

Potrząsnęła głową z uśmiechem.

- Nie. Chodzi o zakończenie całej historii. To urodzeni optymiści i wolą szczęśliwe zakończenia. Prawo kościelne głosi, że małżeństwo jest sakramentem, który jedynie śmierć może rozerwać, dlatego nie mogli tej pary zachować przy życiu. Ale opowiadają, że cienie zakochanych spotykają się pod drzewem, że jeśli wsłuchać się uważnie w szum wiatru, można usłyszeć, jak śmieją się... i kochają.

Kiedy wypowiadała ostatnie słowa, w jego głosie pojawiło się coś, co przyspieszyło bicie jej serca. Starła się, by jej odpowiedź zabrzmiała swobodnie:

- Takie zakończenie bardziej przypada mi do gustu, choć dałabym głowę, że sam je wymyśliłeś. To do ciebie podobne, ale bynajmniej nie świadczy o tobie źle. Starsz się być uprzejmy, co przecież zaliczam do twoich cnót.

- Cnót? - Odwrócił się do niej i uniośł brwi, co nadało jego twarzy wyraz konsternacji i jakby pogardy.

- Nie podoba ci się to określenie? Ja jedynie staram się jakoś powiedzieć ci, że to miło z twojej strony występować w charakterze eskorty *M'mere* podczas tej wycieczki. Z pewnością mógłbyś znaleźć sobie bardziej interesujące zajęcie.

- Mylisz się. Nie ma mowy o uprzejmości tam, gdzie chodzi o ciotkę Zofię. Odkąd jestem na tym świecie, tak wiele od niej otrzymałem, że nigdy nie zdołałem się jej odwdziżyć. Ilekroć mnie potrzebuje, zawsze jestem na jej usług. Tym razem bawię się zresztą całkiem nieźle. Cieszę się, że wziąłem udział w tej wyprawie.

Tym samym potwierdził opinię Chloe na temat jego oddania sprawom Belle Grove. Nie powiedziała tego głośno, zapytała jedynie:

- Czyżby? Byłam przekonana, że niechętnie opuszczasz The Willows.

Odwrócił się, oparł plecami o kolumnę, wpatrując się uważnie w Amelię.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Ostatnio bardzo rzadko bywałeś w domu. Obawiałam się, że zastałeś tam mnóstwo rzeczy wymagających twojego nadzoru, mnóstwo zaniedbań przez to, że zostałeś u nas podczas powodzi.

- Mamy bardzo pracowitą porę roku - odrzekł wymijająco, wzruszając ramionami.

- A zatem nie zaprzeczasz, że starałeś się unikać nas? - Przechyliła głowę na bok, obserwując z ukosa jego twarz o odcieniu jasnej miedzi. Dostrzegła, że zmarszczył czoło i brwi.

- Użyłaś chyba zbyt mocnego słowa, nie sądzisz?

- Doprawdy?

- Często jeżdżę przez pola do Belle Grove.

Skinęła głową.

- Widziałam cię z łodzi pewnego ranka, ale wówczas nie zaszedłeś do domu.

Uśmiech złagodził dotychczas surowe rysy jego twarzy.

- Sądziłem, że może już wyczerpałem limit wizyt, które są mile widziane.

- Nie mówisz tego poważnie - odparła, potrząsając głową. - Czy aby na pewno ty... czy Julian i ty nie posprzeczaście się z jakiejś przyczyny?

- Niczego takiego nie powiedziałem.

Natychmiastowa odpowiedź zabrzmiała spokojnie. Nie mogła jednak dojrzeć wyrazu jego oczu na wpeł przysłoniętych powiekami. Przełknęła ślinę.

- Odnoszę wrażenie, że nie mówisz całej prawdy. Może to ja cię obraziłam?

- W żadnym razie - odrzekł łagodnie.

Głęboka barwa jego głosu wprawiła ją w drzenie. Zdobyła się na uśmiech.

- Zatem mam nadzieję...

- Pozwól - powiedział nagle, wyciągając dłoń, by dotknąć łagodnej wyniosłości jej piersi tuż ponad dekoltem sukni.

Oszołomiona, wstrzymała oddech. Cofnęła się w pośpiechu, mając wrażenie, że opuszki jego palców parzą jak rozpalone żelazo. Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a szaroniebieski odblask w ich piwnych głębinach nabrał intensywności. Zdawało się jej, że widzi, jak rumieniec przyciemnia mu twarz, jednakże w gasnącym świetle dnia nie sposób było mieć pewność. Cofnął gwałtownie rękę, ona zaś powędrowała spojrzeniem w dół za czubkami jego palców.

- O, pajak - powiedziała, zdając sobie jednocześnie sprawę, że nie panuje nad głosem, który zabrzmiał cicho i niepewnie. Nie potrafiła rozeznaczyć się w swych uczuciach: czy była to ulga, czy też zawód. Jednakże rozpoznała na

pewno nagły przyływ pożądania, który wzbudziła w niej bliskość tego mężczyzny.

Zatem była rozwiązła nie tylko w łóżku, ale również pośród innych ludzi i wobec mężczyzny, który nie był jej mężem. Jakże to możliwe? Ślubną przysięgę składała przecież świadomie i w najlepszej wierze. Nigdy nie podejrzewała się o słabość ulegania pozamałżeńskim pokusom czy też o szczególną wrażliwość na potrzeby ciała. Mimo to przy Julianie działo się z nią coś, o czym niegdyś nie śmiała nawet myśleć, a teraz czuła wobec Roberta identyczne gorące pożądanie. Czyżby była do tego stopnia zdeprawowana, że po wielu jałowych latach odczuwała taką namiętność wobec każdego mężczyzny?

- Chyba przeszedł z pnącza. - Cisnął małego, brązowego owada za barierkę. - Mówiłaś...?

Minęła chwila, zanim odpowiedziała:

- Nic takiego. Właśnie... właśnie wyrażałam nadzieję, że będziesz nas częściej odwiedzał. *M'mere* zawsze czeka na ciebie z niecierpliwością.

- A ty? - zapytał przechylając głowę.

- Oczywiście ja też - odrzekła i odeszła ze sztucznym, wymuszonym uśmiechem. Dotarła do swojego krzesła przy teściowej. Usiadła i obejrzała się. Robert patrzył na nią. Dłoń, którą jej dotykał, trzymał przy boku zaciśniętą w pięść, ale jego twarz była bez wyrazu.

Msza następnego dnia rano okazała się, tak jak się spodziewano, wydarzeniem uroczystym i wzruszającym. Kościół św. Marcina był całkiem nowy, zbudowany nieco ponad dwadzieścia lat temu, chociaż w okolicy już od 1765 znajdowała się wiejska kaplica pod tym samym wezwaniem. Zgrabny otynkowany budynek, z masywnymi drzwiami i oknami, z arkadami w klasycznym rzymskim stylu, miał z przodu wieżyczkę o doskonałych proporcjach, pod architrawem ozdobny motyw w kształcie stylizowanych krzyży, z tyłu zaś kopułę z jasnego drewna. Wewnątrz zachwyciły precyzyjnie wykończone figurki ukazujące drogę krzyżową. Dach wspierał się na czterech doryckich kolumnach, które po obu stronach wynosiły się ponad rzędami wysokich ławek. Nad ołtarzem znajdowało się ogromne malowidło Jeana Francois Moucheta przedstawiające postać św. Marcina. Wspaniałą marmurową chrzcielnicę wspólnota parafialna otrzymała w darze od Ludwika XVI.

Miejscowy proboszcz, ojciec Jan, miał wszystkie cechy, jakie powinien posiadać duchowny. Był uczynny, troskliwy, przejęty sprawami wspólnoty, ale zawsze surowy, kiedy należało potępić grzech.

Amelia wyszła z kościoła wewnątrz uspokojona. Była też trochę głodna. Na wszystkich czekało w hotelu wyśmienite śniadanie: podsmażana szynka, bekon, ciepłe wypieki. Były też wafle poprzekładane masłem i syropem z trzciny cukrowej, biszkopty, podrumienione ziarna kukurydzy, kawa gęsta od śmietanki, gorąca czekolada i mleko. Rozsądek podpowiadał, by wypocząć przed nocnymi tańcami, tyle że Chloe miała inne plany.

Ani Robert, ani Julian, ani także Jerzy nie wzięli udziału w porannej mszy. Anglik wraz z Robertem czekali ze śniadaniem do powrotu dam. Jednakże ten ostatni z drugą kawą i gazetą usunął się do saloniku. Julian zniknął gdzieś również i nawet Tige nie potrafił powiedzieć, dokąd się udał. Przyparty do muru, zdradził, że gdzieś w okolicy miały się odbyć walki kogutów. Czym prędzej dodał, iż pan Julian nie wybrał się daleko, ponieważ nie kazał zaprzęgać powozu. Chloe, uradowana ostatnią wiadomością, natychmiast poleciła zaprząć konia do bryczki i podstawić pojazd przed frontem hotelu.

Jerzy był bardzo bliski zniweczenia jej zamiarów. Kategorycznie odmówił powożenia po ulicach miasta z Chloe przy boku i Amelią w roli przyzwoitki. Uważał, że dżentelmenowi nie uchodziło korzystanie bez pozwolenia z cudzego powozu, zwłaszcza że ów dżentelmen miał pozycję niewiele wyższą od pozycji pracownika najemnego. Na nic zdały się protesty, grymasy i lzy Chloe. Pozostał niewzruszony. Zaprzeczył też, jakoby na plantacji pełnił funkcję artysty. Uważał, że korzysta ze szczodrości właściciela Belle Grove i nie wolno mu nadużywać jego cierpliwości.

Wreszcie sprawa została przedstawiona do rozstrzygnięcia pani Declouet, która nie tylko obiecała wyjaśnić całą rzecz Julianowi, kiedy ten wróci, ale wręcz poleciła Jerzemu zabrać jej chrześniaczkę, aby sama mogła w spokoju odpocząć.

Chloe, kiedy już postawiła na swoim, zdecydowanie zmieniła nastrój. Podczas jazdy wskazywała na najokazalsze domy w miasteczku, opatrując to zabawnymi, często nie pozbawionymi złośliwości uwagami na temat pochodzenia i upodobań ich mieszkańców. Poprowadziła powóz starannie wyrównaną ulicą biegnącą przy teatrze operowym, który działał tu od przeszło sześćdziesięciu lat. Minęli dwa banki, budynek sądu oraz dwie szkoły: męską i żeńską. Wrócili pod hotel, ale kilka domów dalej skręcili na zwodzony most, który łączył brzegi Teche, nie stanowiąc przeszkody dla parowców płynących w górę strumienia do Breaux Bridge. W tej okolicy zgodnie z obietnicą Chloe miały znajdować się domostwa jeszcze bardziej godne obejrzenia niż wszystkie widziane poprzednio.

Jerzy nie zdradzał najmniejszego zadowolenia z udziału w eskapadzie. Na nic się zdały wysiłki Chloe wmówienia mu, że Julian uzna za śmieszne jego skrupuły. Z drugiej jednak strony pod wpływem bliskości ukochanej - siedzieli we trójkę ściśnięci na jednym siedzeniu - jej pogodnego szczebiotu oraz delikatnego zapachu perfum stawał się coraz bardziej obojętny na wszystko, cokolwiek mógłby powiedzieć Julian po swoim powrocie. Chloe jeszcze raz miała okazję usłyszeć słowa dezaprobaty z ust Jerzego, kiedy wjechali na krętą drogę odchodzącą od rzeki.

Dziewczyna roziskrzonymi czarnymi oczyma zaczęła rozglądać się dookoła.

- Jaka niezwykła okolica! Chyba nie byłam tu jeszcze... ojej!
- O co chodzi? - zapytała Amelia, nachylając się, by zobaczyć twarz Chloe, przysłoniętą rondem słomkowego kapelusza z różową jedwabną wstążką.
- A jednak już wcześniej musiałam widzieć to miejsce.
- Tak?
- Towarzyszyłam *M'mere*. Jesienią o zmierzchu. Nie widziałam wyraźnie drogi. Przyjechałyśmy kareta, a przewodniczką była Paulina.

Wszystko to brzmiało tak nieprawdopodobnie, że Amelia, zmarszczywszy czoło, powiedziała:

- Nie rozumiem.
- Ja też nie - oświadczył Jerzy.
- Przyjechałyśmy właśnie tą drogą i zatrzymałyśmy się w pobliżu domu z żalobną chorągwią przy drzwiach. *M'mere* weszła do środka, ja zostałam w powozie. Chyba nie domyślała się, że wiem, gdzie jesteśmy. Pewnie niczego bym nie pojęła, gdyby Paulina nie wymieniła paru słów z woźnicą. Tutaj właśnie *M'mere* składała wizytę kondolencyjną. Dom jest własnością *placée* Juliana. Wtedy zmarł jej młodszy brat. Samobójstwo.

Amelia pospiesznie odwróciła głowę, by rzucić okiem na dom, który mijali. Budynek z cyprysowego drewna był niewielki i bardzo skromny. Do wnętrza wchodziło się przez stosunkowo obszerną werandę. Aby dostać się do sypialni na poddaszu, należało wspiąć się po schodach i przejść przez klapę w suficie werandy. Całość wieńczył wysoki, skośny dach z cyprysowych deszczulek i gliniany komin. Domek, położony w pewnej odległości od drogi, w sąsiedztwie dębu z jednej strony i pod koroną mahoniowca z drugiej, sprawiał wrażenie schludnego, miłego i przy tym całkowicie pozbawionego wyrazu.

- Moim zdaniem zajechaliśmy za daleko - stwierdził Jerzy, lekko się rumieniąc na twarzy.

Przy najbliższej okazji zawrócił i skierował bryczkę z powrotem w stronę miasta. Jednocześnie zaczął z ożywieniem opowiadać o pewnym kapitanie statku, którego spotkał tego ranka na galerii. Wyglądało na to, że ów człowiek właśnie powrócił z dalekich Chin, gdzie zetknął się z innym kapitanem, który przyjmował na pokład swego statku ogromną ilość różnorodnych krzewów i roślin zdobytych na tamym egzotycznym lądzie. Rozmieszczano je starannie w taki sposób, by miały zapewnioną wilgoć podczas długiego rejsu do południowego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, gdzie otwierał się dla nich nowy rynek zbytu. Jerzy rozmawiał już ze starszą panią Declouet, a ona łaskawie się zgodziła, aby jako jej przedstawiciel udał się do Nowego Orleanu, dokąd statek miał niedługo zawinąć, z upoważnieniem do zakupu tylu roślin, ile, jego zdaniem, będzie potrzebne Belle Grove.

Amelia słuchała go z roztargnieniem, pogrążona w myślach o kobiecie, która była metresą męża. Również Chloe sprawiała wrażenie nieobecnej duchem. Jerzy, niemal zmuszony do monologu, przeszedł do rozważań na temat prawdopodobieństwa znalezienia na pokładzie statku azalii, kamelii oraz innych egzotycznych roślin, Chloe zносиła to jeszcze przez kilka minut, wreszcie odwróciła się w jego stronę.

- Nie masz żadnych skrupułów, żeby pytać *M'mere*, gdy chodzi o twoje drogie rośliny. Dlaczego więc nie miałbyś znowu zapytać Juliana o zgodę na nasze zaręczyny, nawet gdybyśmy nie mogli na razie zostać małżeństwem?

Jerzy spojrzał z nieszczęśliwą miną na Amelię, która udawała, że nie słyszy.

- Julian wyjaśnił przecież, że rozważy sprawę jeszcze raz po roku, jeżeli ty do tego czasu nie zmienisz zdania. Jakież cel miałbym mieć w tym, by na niego naciskać?

- To tylko taka wymówka, bo mu się wydaje, że ja nie wiem, czego naprawdę chcę. Myśli, że jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji. Spróbuj mu to wytłumaczyć.

- Cała rzecz sprowadza się do pewnej niefortunnej okoliczności, o której już ci mówiłem. Jestem jednym z młodszych synów, a zatem moje perspektywy nie wyglądają najlepiej. Byłbym zarozumiałcem, gdybym usiłował przekonać twojego opiekuna, że te sprawy nie mają znaczenia. Dziwię się tylko, że jeszcze nie pokazał roi drzwi i nie nazwał człowiekiem o wybujałych ambicjach.

- Jakże możesz mówić o wybujałych ambicjach? Czyż nie jesteś synem lorda? Nawet ja ci nie wierzę, że Jesteś biedny. Przybyłeś z Anglii do Ameryki, przemierzyłeś cały kontynent, a do nas przywędrowałeś z jakiejś dzicy w Wisconsin!

- Moje zasoby pochodziły ze spadku - odparł znudzonym tonem kogoś, kto kolejny raz opowiada tę samą historię. - Postanowiłem, że wykorzystam je na poznanie twego kraju i zebranie materiału do książki o tutejszej florze. Liczyłem, iż praca ta wyrobi mi reputację botanika oraz otworzy dostęp do tych ludzi w Anglii, których stać na wynajęcie architekta krajobrazu. Zostało mi już naprawdę niewiele, a małe są widoki na uzyskanie następnych środków.

- Za wiele myślisz o pieniądzach - upomniała go Chloe. - Dla nas najbardziej liczy się rodzina, twojej zaś nic nie można zarzucić. Ja otrzymam duży posag, a w Belle Grove jest bardzo wiele miejsca.

- Oczekujesz ode mnie, że zgodzę się żyć na koszt twoich krewnych?

- Cóż w tym złego? Nierzadko tak się zdarza, a oni nic nie będą mieli przeciwko temu.

- Ale ja nie mogę się zgodzić - otwarcie powiedział Jerzy.

- Przecież nadal mógłbyś pracować nad ogrodami, jeżeli koniecznie chciałbyś robić coś użytecznego. Mógłbyś

też napisać książkę. Ja pomagałabym ci szukać nowych próbek i przepisywać tekst. Tak naprawdę nic by się nie zmieniło, tyle że byłabym twoją żoną.

W odpowiedzi Jerzy pokręcił jedynie głową.

Chloe, zła i rozczarowana, opadła na siedzenie, które lekko się pod nią ugięło.

- Obawiasz się Juliana. Uważasz, że jeśli go obrazisz, może cię stąd wyrzucić, zanim ukończysz ten swój ukochany ogród. Nic innego cię nie zaprzęta, nie przejmujesz się niczym poza ziemią i roślinami, poza roślinami i ziemią!

- Bądź rozsądna...

- Jak mam być rozsądna, skoro nie chcesz zdobyć się na żaden wysiłek, by zapewnić nam obojgu szczęście? Nie chcę być starą panną, która nie ma nic innego do roboty oprócz tkania gobelinów. Chcę być twoją żoną!

- Nie powinienem być w ogóle rozmawiać z tobą na ten temat przed uzyskaniem zgody twoich krewnych. Gdybyś nie знаła moich uczuć, nie byłabyś teraz tak nieszczęśliwa.

- Nieszczęśliwa? Jestem wręcz zdruzgotana! Ale to nie twoja wina, lecz Juliana, bo każe nam czekać. Obiecuj, że porozmawiasz z nim. Obiecuj!

- Chloe, moja droga, proszę! Przez ciebie Amelia czuje się niezręcznie. Poza tym zapewne nie pragniesz wzbudzać zainteresowania swoją osobą w taki sposób, w jaki robisz to teraz.

- W porządku! - wykrzyknęła, prostując się. - Jeśli ty nie chcesz porozmawiać z nim, ja to zrobię!

Rzucił jej surowe spojrzenie.

- Jak chcesz. Tylko nie wspominaj, że jesteś moją emisariuszką. Nie dalej jak przed dwoma miesiącami Julian dał mi słowo, że zimą rozważy moją prośbę ponownie. Jestem przekonany, że dotrzyma słowa.

Chloe nie odezwała się już więcej, ale zarówno Amelia, jak i Jerzy nie zaryzykowałiby osądu, że tym samym dziewczyna zrezygnowała ze swych zamiarów. Siedziała wyprostowana, ze wzrokiem skierowanym przed siebie, dopóki nie dojechali do hotelu Broussard. Tam bez słowa zeszła na ziemię i zaczęła wchodzić po schodach. Amelia podążyła w ślad za nią, pozostawiając w powozie Jerzego, który długo jeszcze siedział nieruchomo i patrzył prosto przed siebie. Potem nagle zsiadł i polecił odprowadzić bryczkę do stajni.

Zainteresowanie operą i teatrem pojawiło się w Luizjanie wraz z pierwszymi francuskimi kolonistami. Wolni od purytańskich uprzedzeń wobec tego rodzaju ziemskich przyjemności, z chęcią uczestniczyli w namiastkach wielkiej sztuki prezentowanych przez wędrownie trupy aktorskie. Właśnie w Nowym Orleanie powstało pierwsze na amerykańskiej ziemi towarzystwo utrzymujące stałą operę. Dopiero znacznie później miasta Wschodniego Wybrzeża uznały, że stać je na wspieranie tego rodzaju przedsięwzięcia.

Muzyka panowała tutaj wszechwładnie. Fragmenty ulubionych arii operowych słyszało się na ulicach i podwórzach Francuskiej Dzielnicy. Śpiewała je praczka, idąc rozkołysanym krokiem z koszem bielizny na głowie, nucił mały chłopiec, sprzedający ryby na targu. Gorące dyskusje na temat umiejętności śpiewaków często doprowadzały do pojedynków. Primadonny i najlepszych tenorów obsypywano na scenie w akcie uwielbienia deszczem kwiatów, podejmowano w najlepszych domach, spontanicznie oklaskiwano w restauracjach, zasypywano podarunkami. Kiedy przedstawienie osiągało apogeum emocjonalnego napięcia i muzycznego piękna, młode damy nierzadko mdlały, a niejedną zatwardziały hulaka ukradkiem ocierał łzy. Nigdzie na świecie nie zdarzały się bardziej żarliwe i trwające dłużej owacje, nigdzie z takim uporem nie żądano bisów.

Jednakże opera była też zawsze wydarzeniem towarzyskim. Stwarzała kobietom okazję do włożenia swych najpiękniejszych sukien, mężczyznom do zaprezentowania wytwornych manier, a młodym pięknościom do próby zwabienia swym urokiem mężczyzn, by któryś z nich zechciał usiąść przy nich w łożu podczas antraktu. Owe przerwy wykorzystywano również na wymianę pozdrowień, plotek, ocenę toalet wszystkich obecnych, spacerowanie i popijanie ponczu. Wszyscy jednak znowu byli na swoich miejscach, gdy kurtyna ponownie szła w górę. Letnie przedstawienie galowe w St. Martinville było podobne.

Dobór odpowiedniego stroju do opery spędzał paniom sen z powiek. Za sprawę niemal tej samej wagi uważano odpowiednią fryzurę, której kształt zależał zarówno od wyobraźni damy, jak i od fantazji i umiejętności służącej lub wezwanej specjalnie fryzjerki. Ponieważ do opery wszystkie kobiety ubierały się w biel, suknia nie mogła być skromna i prosta. Pewien przybysz, przebywający swego czasu z wizytą w Nowym Orleanie, zauważył, że kobiety w łożach francuskiej opery wyglądają jak ogromny bukiet białych róż, w istocie, rzadko która kobieta decydowała się na ignorowanie panującego obyczaju.

Suknia Amelii była uszyta z połyskującego muślinu. Suto marszczony dół składał się z sześciu warstw wąskich falban obszytych różową koronką. Krój góry przypominał kształtem serce, szerokie, bufiaste rękawy opadały z ramion. Włosy Amelii ułożone były w kaskadę loków z powplatanymi wstążkami, szyję zaś i uszy zdobiły klejnoty подарowane jej przez teściową. Ponieważ suknia miała długie rękawy, a na zewnątrz było ciepło, Amelia nie musiała zabierać ze sobą szala. Wzięła jedynie wachlarz i jedwabną chusteczkę, po czym weszła do salonu.

Pani Declouet i Chloe jakby na sygnał wyszły z pokoju, który wspólnie zajmowały. Chloe, zgodnie z ostatnią modą, miała twarz i ramiona blade dzięki użyciu białego, perłowego pudru. Włożyła suknię z białej satyny z koronkową spódnicą, przyozdobioną bukietkami maleńkich róż na wysokości kolan, pasa oraz przy dekolcie.

Starsza pani ubrała się w najbledszy odcień perłowej szarości, jak przystało na jej wiek i wdowi stan, lecz na ramiona zarzuciła biały jedwabny szal z jedwabnymi frędzlami.

- Bardzo ładnie - powiedziała do Amelii, z błyskiem satysfakcji w swych starych, pięknych oczach na widok naszyjnika synowej. Wyszła przed Amelią oraz Chloe z pokoju, po czym poprowadziła je schodami na frontową galerię, gdzie już czekali mężczyźni.

Robert odwrócił się, a gdy jego oczy spoczęły na Amelii, pojawił się w nich wyraz nie skrywanego zachwytu. Ruszył naprzód, ale nagle stanął, zorientowawszy się, że uprzedził go Julian, który już szedł w jej kierunku.

- *Ravissante* - powiedział Julian, chwytając jej dłoń i unosząc ją do swoich ust. Patrzył na żonę z dumą, na chwilę mocniej zacisnął palce na jej ręce, potem odwrócił się do kuzyna.

- Nie uważasz, Robercie?

- Jakżebym mógł sądzić inaczej? - brzmiała natychmiastowa odpowiedź. Robert pochylił głowę w geście znamionującym podziw, lecz jego uśmiech zdawał się wyrażać tylko uprzejme potwierdzenie słów Juliana. Kiedy odwrócił twarz w stronę kuzyna, Amelii wydało się, że dostrzega pomiędzy mężczyznami wymianę wyzywających spojrzeń.

Obaj byli zdumiewająco do siebie podobni w ubraniach z czarnego sukna i białych koszulach - męskich uniformach na wieczór - i z całą pewnością należeli do najprzystojniejszych mężczyzn na galerii. Przejrzyste światło kończącego się popołudnia wydobywało jednak też różnice między nimi. Elegancja Juliana była bardziej wyszukana, o czym świadczyły satynowe wyłogi surduta i bardziej kunsztowny węzeł krawata. Jego ciemne oczy kryły w głębi jakby rozbawienie. Miał ruchliwe usta, które zaciskał, gdy przenosił spojrzenie z Roberta na żonę. Jego twarz znaczyły linie i cienie zmęczenia, a bladość cery podobna była do bladości policzków Chloe. Twarz Roberta miała barwę brązu, była surowa i właściwie obojętna, choć dolna warga rysowała się wyraziście i zmysłowo.

Ignorując wyraźnie całe towarzystwo, Jerzy podszedł zdecydowanie do Chloe i podał jej ramię. Pani Declouet wsunęła dłoń pod łokieć Roberta, uderzając go lekko wachlarzem w nadgarstek za zaniedbanie obowiązków. Odwrócił się do niej ze słowami przeprosin na ustach i gotowym komplementem. Jego naturalny uśmiech w odpowiedzi na naganę był rozbijający. Julian położył dłoń Amelii na swoim ramieniu, po czym wszyscy razem opuścili hotel, zmierzając pieszo w kierunku budynku opery, skąd leniwy wietrzyk unosił dźwięki strojonych instrumentów.

Meyerbeerowskich „Hugenotów”, wystawionych w to popołudnie, oklaskiwali miłośnicy opery z południowej Luizjany od siedemnastu lat, od czasu gdy dzieło zostało zaprezentowane w Nowym Orleanie w kwietniu 1839 roku. Fakt, że publiczność zawsze składała się w przytłaczającej większości z katolików, a przedstawienie było tragedią opowiadającą historię prześladowania protestantów w siedemnastowiecznej Francji, nikogo nie dziwił. Urok dzieła polegał na sposobie inscenizacji, na jej przepychu, na pełnej dramatyzmu ekspresji oraz romantycznej partyturze. Cisza w momencie unoszenia kurtyny, westchnienia i pomruki w trakcie rozwoju akcji, oklaski i okrzyki zachwytu następujące po ariach były wystarczającym świadectwem powagi, z jaką obecni traktowali przedstawienie.

Czas do pierwszego antraktu upłynął szybko. Nadeszła pora prezentowania siebie i przyglądania się innym, a w przypadku niezamężnych kobiet, jak na przykład Chloe, także prób zwabienia przez nie do swoich łóż odpowiednich kandydatów na mężów. Wszyscy młodzi mężczyźni, którzy pojawili się na przedstawieniu, jak zwykle poddani byli dokładnej obserwacji, by następnie można było odpowiednio ocenić popularność poszczególnych dziewcząt. Toteż Chloe zrobiła niespodziankę, gdy po opadnięciu kurtyny i zapaleniu światła wstała.

- Dokąd idziesz? - zapytała pani Declouet ostrym tonem.

- Pomyślałam, że pospaceruję z Julianem i Amelią, jeżeli nie będą mieć nic przeciwko temu.

Starsza pani zerknęła na Amelię i Juliana, którzy stali przy wyjściu z łoży, następnie przeniosła wzrok z powrotem na chrześniaczkę.

- Ale co pomyślą sobie ludzie, gdy nie zastaną cię tutaj?

Chloe wzruszyła pulchnymi, białymi ramionami.

- Nie dbam o to.

- Gdybyś miała ochotę na poncz, może *M'sieu* Parkman mógłby...

- *M'sieu* Parkman może pozostać tutaj dla towarzystwa, ponieważ jestem przekonana, że Robert ma do złożenia parę wizyt.

Robert, nieco pochyłony do przodu i oparty plecami o tylną ściankę łoży, zmierzył długim, spokojnym spojrzeniem Jerzego, który siedział z oczami wbitymi w ziemię, następnie przeniósł wzrok na dziewczynę.

- Moja droga Chloe, bądź tak dobra i przestań organizować mi czas. Jestem zadowolony z miejsca, w którym się znajduję.

Chloe tupnęła nogą.

- Ja tylko chcę porozmawiać z Julianem!

- Nie tak głośno - syknęła starsza pani. - I spróbuj zachowywać się w miarę przyzwoicie. Wszyscy patrzą na nas.

Julian poruszył ręką w geście zniecierpliwienia.

- Jeżeli uważasz ten moment za najważniejszy, to chodź, lecz ostrzegam cię: nie jestem w nastroju na żadną z twych scen.

Pulchna, czarnowłosa dziewczyna skwapliwie zaakceptowała owo nie najlaskawsze zaproszenie. Kiedy wyszli do foyer, chwyciła swego opiekuna pod ramię. Już po chwili uśmiechała się i gawędziła beztrudnie na temat przedstawienia oraz ludzi, którym się kłaniali, spacerując tam i z powrotem. Wyraz rezygnacji na twarzy Juliana powoli zamieniał się w sardoniczny uśmiech. Wreszcie dziewczyna zatrzymała się w odległym kącie w pobliżu wejścia.

Julian pierwszy zmienił temat.

- W porządku, Chloe. Możesz uważać, że jestem już w dostatecznie dobrym humorze, by cię wysłuchać. Cóż takiego ważnego chciałaś mi powiedzieć?

- Jeżeli zamierzasz w dalszym ciągu zachowywać się tak samo, równie dobrze mogę niczego nie mówić! - Chloe była najwyraźniej oburzona.

- Słusznie. Zatem wracamy?

- Nie, nie! Po... pomyślałam sobie, że ponieważ jesteś szczęśliwy w małżeństwie z Amelią, to może inaczej spojrzysz na moje pragnienie poślubienia Jerzego. Bardzo się kochamy i nie istnieje powód, dla którego powinniśmy żyć osobno.

- Pomijając fakt, że twój wybranek nie ma środków, by utrzymać żonę.

- Dobrze wiesz, że jest to jedynie wymówka. Moglibyśmy żyć wygodnie w Belle Grove.

- Czy nadal darzyłabyś szacunkiem mężczyznę, który gotów przystać na takie rozwiązanie? Mężczyznę, który będąc żonaty zdałby się na miłosierdzie jej krewnych?

- Wszystko, co mówisz, brzmi tak poniżające, a przecież takie wcale być nie musi! Zresztą Jerzy wcale się nie godzi. On jest w pełni świadomy, ile komu zawdzięcza, lecz coż mamy począć? Nie chcę czekać, aż zdobędzie uznanie jako projektant krajobrazów.

- Rzeczywiście, do tej pory już dawno byłabyś starą panną.

- To okropne, co mówisz! Tylko dlatego, że nie jest plantatorem, prawnikiem albo kimś równie nudnym i poważanym!

- Tyle że teraz jest, jak mi się wydaje, nikim.

- Pożałujesz tych słów, kiedy zastąnisz jako twórca najwspanialszych parków publicznych i prywatnych ogrodów!

- Z pewnością, jeśli tego dożyję. - Julian pozostawał niezmiennie uprzejmy, lecz w Chloe narastał gniew.

- Proszę bardzo, kpij dalej! Jerzy jest artystą, czego o tobie w żaden sposób powiedzieć nie można! Czyż możesz uważać się za człowieka użytecznego z tym swoim piciem i szermierką albo też udawaniem dżentelmena, podczas gdy Robert prowadzi najważniejsze sprawy Belle Grove?

- Dosyć! - rzucił surowo Julian.

- Uważasz się za artystę, bo może jesteś elokwentny, podobno wspaniale urządzasz przedstawienia i gry i ponieważ krążysz łodzią po rozlewisku, kontemplując chmury. Ale tak naprawdę nic nie robisz. Nie masz żadnych planów, żadnego celu i jeszcze śmiesz rzucać oszczerstwa na Jerzego!

- Powiem więcej - odrzekł, ściągając usta na poczerwieniałej twarzy. - Ośmielam się twierdzić, iż nigdy nie poślubisz tego angielskiego strojnisia. Nigdy nie wyrażę na to zgody, nawet jeśli zdoła on zebrać się na odwagę, żeby samemu ponownie zapytać. Choć, rzecz jasna, zyskałby przez to nieco szacunku w moich oczach.

- Nie o Jerzego tu chodzi. Uważasz, że wszyscy w Belle Grove należą do ciebie, że wszyscy powinniśmy znosić każdy twój kaprys. Twoim zdaniem nie mamy prawa do własnych sądów. No i zapewne nie wolno nam mieć własnych uczuć, gdy uznasz je za niestosowne. Ja nie jestem twoją własnością. Nigdy nie byłam i nie będę. Zamierzam wyjść za Jerzego, a jeżeli będziesz próbował powstrzymać mnie, pożałujesz.

Zapadła chwila ciszy. Chloe ze łzami wściekłości w oczach wpatrywała się w Juliana, oddychając przyspieszonym rytmem. Pełne napięcia milczenie przerwało chrząknięcie Roberta, który nie zauważony podszedł do nich.

- Sam nie chciałbym przerywać tak wspaniałego pokazu temperamentu, ale wasze głosy przeniknęły przez ścianę łoży i *M'mere* jest zaniepokojona. Błaga, abyście powrócili na swoje miejsca. Nie śmiem wam niczego narzucać, ale chyba posłuchacie, jeśli nie chcecie natychmiast wracać do Belle Grove z omdlałą ciotką. Zofią w powozie.

Jednocześnie, jakby dla podkreślenia jego słów, rozległo się bicie dzwonów przed podniesieniem kurtyny, zapowiadające drugi akt przedstawienia.

Rozdział VI

Nie opuścili budynku opery przed zakończeniem spektaklu; dopiero tym bowiem zwróciliby na siebie uwagę. Nie przeciągali też pobytu w St. Martinville, kiedy już wieczorna część rozrywek dobiegła końca.

Bał był udany. Przygrywał kwartet smyczkowy. Wczesna kolacja, podana na bocznych stołach w holu, była wprawdzie smaczna, lecz nie nadzwyczajna. Chloe ostentacyjnie ofiarowała Jerzemu trzy tańce, potem zaś wirowała na parkiecie z licznymi młodymi mężczyznami o twarzach skupionych, choć zarumienionych od wypitego szampana. Julian dwukrotnie zapraszał Amelię, by beztrudnie i z werwą prowadzić ją dookoła parkietu.

Następnie zaproponował taniec matce, co spotkało się z uśmiechem, a zarazem reprimendą za zuchwałość. Kiedy po chwili Amelia rozejrzała się, już go nie było.

Robert trzymał się od niej z daleka. Wcześniej padł ofiarą jednej z gospodyń wieczoru, która podstępnie nakłoniła go do płasów z własną córką, wstydliwą blondynką, nieruchomo wpatrującą się w jego krawat. Zaraz potem wycofał się do saloniku dla mężczyzn, gdzie z coraz większą werwą rozdawano karty do pokera. Wyciągnął go stamtąd pan Broussard, który dobrowolnie podjął się tej misji, gdy pani Declouet obwieściła, że jest zmęczona i pragnie odpocząć we własnym łóżku. Amelia, której nie wolno było tańczyć z nikim poza własnym mężem albo krewnym, ochoczo zgodziła się opuścić to miejsce i wraz z teściową wracać do Belle Grove.

Ich rachunek został uregulowany wcześniej, bagaże popakowane przez służbę i umieszczone na wozie, który wyruszył do Belle Grove już w trakcie przedstawienia. Nie pozostawało więc nic innego, jak tylko posłać po powóz i udać się w drogę powrotną. Juliana nie można było odnaleźć, przeto Jerzy musiał towarzyszyć damom. Nie miał nic przeciwko temu, ponieważ niespodziewanie otworzyła się przed nim znakomita okazja, by podczas długiej podróży w mroku być niezwykle blisko Chloe i trzymać ją za rękę pod sutymi fałdami jej sukni. Miał również szczęście służyć młodej damie ramieniem, by mogła wesprzeć na nim swą głowę podczas ostatniej części podróży. Chloe, wyczerpana emocjami, na zmianę to mówiła coś do Anglika sennym głosem, to zapadała w drzemkę.

Pani Declouet trzymała głowę na pluszowym obiciu oparcia i wpatrywała się w mrok rozjaśniony światłem księżyca. Na jej twarzy obok zmęczenia malował się nikły wyraz niepokoju. Amelia starała się nie podsłuchiwać rozmowy Chloe i Jerzego ani nie zwracać uwagi na rytmiczne uderzenia kopyt konia, na którym tuż obok powozu jechał Robert. Wpatrywała się uważnie w swe dłonie złożone na kolanach i zastanawiała się, co mogło przytrafić się Julianowi. Ktoś wspomniał o jeszcze jednej walce kogutów, ale przy drodze do Nowej Hiszpanii znajdowało się dość dużo tawern i domów gry. Pomyślała też o domku *placée* Juliana, również dogodnie położonym, lecz szybko odrzuciła tę myśl. Bo czyż Chloe nie wspominała, że owa kobieta została odprawiona tuż przed jego ślubem? Nie miał powodu odwiedzać tamtej, skoro nocą przychodził do sypialni żony. Zapewne niedługo ruszy za nimi w drogę, kiedy tylko odkryje ich nieobecność w sali balowej hotelu.

Kiedy dotarli do Belle Grove, Chloe spała głęboko i trzeba ją było zbudzić. Robert pomógł ciotce wysiąść, a następnie wejść po dość stromych schodach. Jerzy zaś starał się nie dopuścić, by sama Chloe się potknęła. Za nimi dopiero szła Amelia. W salonie wszyscy życzyli sobie dobrej nocy i udali się na spoczynek.

Lally już czekała. Pomogła swej pani zdjąć ubranie i włożyć koszulę nocną oraz wykończony koronką batystowy szlafrok. Rozpuściła i rozczesła jej włosy, potem zaś zaproponowała przyniesienie z kuchni szklanki ciepłego mleka. Amelia potrząsnęła głową, uśmiechnęła się i odprawiła dziewczynę. Nim jednak służąca doszła do drzwi, przywołała ją z powrotem.

- Nie widziałam nigdzie tutaj Isy. Czy wrócił z tobą bez żadnych kłopotów?

- O, tak, *mam'zelle*. Ale jak to Isa. Zmęczyły go te wszystkie nowości, z którymi się zetknął. Nie mógł też przeboleć, że nie służył pani w wyprawie do opery i zapadł w kamienny sen jeszcze w czasie drogi powrotnej. Karol położył go na sienniku w kuchni.

- Ach, tak. Dziękuję.

Służąca dygnęła i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi. Amelia wpatrywała się w nie przez dłuższą chwilę. Potem wstała, by zdmuchnąć płomień lampy. Zerknęła na wysokie łóżko ze stopniami, na przejrzystą draperię chroniącą przed moskitami, następnie skierowała się w stronę okna. Otworzyła je na całą szerokość, pchnęła żaluzje.

Nocne powietrze było łagodne i ciepłe, przesycone zapachem róż, kapryfolium oraz nieco ostrzejszą wonią magnolii. Księżyc wchodził w fazę pełni, a że pora była późna, miał się ku zachodowi i rzucał jedynie blade światło. Panował bezruch. Korony drzew nie poruszały się i tylko gałęzie i liście srebrzyły się lekko. Letni domek w ich głębokim cieniu przypominał niewyraźną plamę o rozmytych konturach.

Oparłszy głowę o ramę okienną, Amelia odetchnęła głęboko. Czuła się nieco zmęczona, lecz nie była śpiąca. Dokuczał jej niepokój, dręczyło jakieś wewnętrzne napięcie. Nie wiedziała, co wywołało ten stan. Miała wrażenie, że chodziło bardziej o ogólną atmosferę wokół niej niż o konkretny powód. Oczywiście doszło do sprzeczki, wcześniej zaś do tamtej dziwnej wymiany spojrzeń pomiędzy Julianem a Robertem. Zniknięcie męża zapewne również wpłynęło na stan jej ducha. Mimo wszystko wydawało się jej, iż żaden z tych faktów nie podziałał na nią zbyt mocno. Ani też - zapewniała sobie gorąco - nie poruszyła jej wczorajsza scena z Robertem.

Nie. Po prostu w najbardziej naturalny sposób reagowała na nadmiar różnorodnych wrażeń. Przymknęła oczy i, tym razem w wyobraźni, ponownie wsłuchiwała się w muzykę operową. Na nowo odczuwała jej namiętną i patetyczną moc, słyszała solowe głosy, które swym pięknem poruszały najczulsze struny jej duszy.

Czyż nie o to chodziło? Czy tak bardzo poruszyła ją muzyka, że teraz tęskniła za swoim kochankiem? Czyżby aż tak kochała męża, tak była przez niego rozbudzona, że teraz tęskniła do jego pieszczot? Była to myśl osobliwa, jednakże nie odrzuciła jej. Lubiła sposób, w jaki Julian jej dotykał, emocje, jakie w niej wywoływał. Ekscytowała ją moc i twardość męskiego ciała. Z przyjemnością tuliła się doń, czuła grę mięśni pod skórą, szukała ciepła spragnionych warg.

Oderwała się od okna i przeszła na środek pokoju. Dłuższą chwilę wpatrywała się w drzwi do sypialni Juliana. Po pewnym czasie westchnęła, opuściła ramiona. Kobieta, która z własnej woli idzie do swego męża, nie jest chyba niemoralna? Tak czy inaczej jej mąż jeszcze nie wrócił.

Przeniosła wzrok na drzwi do salonu. Ruszyła w ich stronę. Otworzyła je i weszła do mrocznego pomieszczenia. Pod drzwiami do sypialni teściowej widać było pas światła. Wyteżyła słuch i wydawało się jej, że słyszy odgłosy kroków starszej kobiety, przemierzającej pokój tam i z powrotem. Zatem i ona nie spała. Może martwiła się nieobecnością Juliana, a może uczuciem Chloe do Jerzego? Pani DeClouet należała do tych kobiet, które niepokoją się o swoich bliskich. Była to ujmująca cecha, tyle że sprzyjająca bezsenności.

Drzwi łączące salon z galerią były zamknięte. Amelia przeszła na przeciwległą stronę, ale również tych, które wychodziły na lodzie, nie udało jej się otworzyć. Przez moment stała bez ruchu, potem zdecydowanie zawróciła, przemierzyła swoją sypialnię, chwyciła za gałkę przy rozsuwanych drzwiach. Nieomal spodziewała się ujrzeć za nimi Tigé'a, ale pokój męża był pusty i pogrążony w ciemności. Drzwi prowadzące na zewnątrz, bezpośrednio na tylną lodzie, stały otworem. Tędy wszedłby Julian po swoim powrocie. Amelia zastanawiała się przez chwilę, czy Karol nadal czuwał, lecz zaraz przypomniała sobie, że teściowa zwolniła go już wcześniej. Oczywiście Julian miał przy sobie klucze i w razie potrzeby opuściłby za sobą ciężką zasuwę. Amelia wysliznęła się na zewnątrz i starannie zamknęła za sobą drzwi.

Bezszelестnie stąpała bosymi stopami po cyprysowych schodkach. Bez pantofelków, marszczonej spódnicy i ciężkich halek miała wrażenie, jakby oswobodziła się z pęt; była lekka i wolna jak nocny wietrzyk pod jej nocną koszulą. Ceglana posadzka dolnej lodzii była chłodna i lekko porowata. Trawa porastająca podwórze między *garçonnières* powilgotniała od rosy, więc Amelia uniosła skraj koszuli nocnej i szlafroka. Obszedłszy z lewej strony zbiornik na wodę, skierowała swe kroki między główny budynek i *garçonnière*, by wyjść na boczny dziedziniec.

Z daleka dobiegło do niej zawodzące wołanie. Zatrzymała się nasłuchując. Czowała, jak ramiona pokrywają się gęsią skórką. Po chwili wołanie dotarło do niej ponownie i wtedy odetchnęła z ulgą, śmiejąc się cicho. To sowa polowała na myszy, wydając przy tym te niesamowite dźwięki. A może w taki sposób wabiła partnera? Amelia nie była pewna. Uspokajała ją jednak świadomość faktu, że w pobliżu przebywało jeszcze jedno stworzenie, które nie spało. W oddali za przybudówkami majaczyły zarysy czworaków z cyprysowymi gankami i kominami z cegieł. Tam również panowała cisza i nic nie mąciło spokoju. Czasami mężczyźni udawali się na nocną wyprawę do kobiet z sąsiedniej plantacji i, jak przypuszczała, zdarzały się też wizyty gości w czworakach Belle Grove. Jednakże nie obawiała się specjalnie, że mogłaby paść ofiarą napaści. Ktokolwiek odkryłby jej obecność w tym miejscu, zadbałby o to, by nie być widzianym. Inne postępowanie spotkałoby się z karą zbyt poważną, by ryzykować.

Wkrótce światło księżycy zgasło za horyzontem. Mrok stał się bardziej nieprzenikniony. Amelia ruszyła naprzód pod osłoną kojącej ciemności. Szła zwrócona twarzą do wilgotnego wiatru, wdychając niesione nim zapachy. Coraz mocniejszy aromat róż i kapryfolium działał jak narkotyk na jej zmysły. Rozkoszowała się pięknem i wolnością, atrybutami tej nocy. Odchyliła do tyłu głowę, pozwalając jedwabistym falom włosów spływać na plecy, a połom szlafroka swobodnie owijać się wokół nóg, gdy stąpała po wilgotnej ziemi.

Letni domek w głębi po prawej stronie był rozmazaną plamą pod koronami drzew, niewyraźnym drogowskazem. Pewnym krokiem skręciła w tamtą stronę. Szła między drzewami, dotykając nisko wiszących gałęzi, wiodąc opuszkami palców po chropowatej powierzchni pni starych dębów.

Małą, prostokątną budowlę tworzyły pobielone wapnem kratownice, przymocowane do konstrukcji z cyprysowych krokwi, i dach z gontów. Do wnętrza z ceglana posadzką prowadziły dwa wejścia; dookoła biegła ława do siedzenia. Domek służył jako znakomity punkt widokowy na odnogę strumienia, ocienione miejsce letniego odpoczynku i cel spacerów zimą. Po jednej stronie przy treliazu rósł rozłożysty krzew dzikiej róży, a obok bujne kapryfolium pięło się do góry, sięgając dachu. Splątany gąszcz roślinności tworzył przyciemnioną i wypełnioną zapachami przestrzeń.

Amelia weszła do wnętrza tylnym wejściem i przeszła przez środek w kierunku jaśniejszego prześwitu z przodu. Z oddali dobiegał cichy szmer płynącej rzeki, lecz tylko od czasu do czasu dostrzegała odbłask wody. Skrzyżowała ramiona, oparła się o pionową belkę i skierowała w mrok puste spojrzenie. Pozwoliła myślom błądzić bez konkretnego celu, nie mając ani chęci, ani woli, by nad nimi panować.

Gdzieś za nią rozległ się szelest. Odwróciła głowę, ale dźwięk nie powtórzył się. Pomyślała, że to może ptaki, które często wily sobie gniazda w gęstwinie róży i kapryfolium. Albo żaba, albo też jaszczurka. Po chwili odprężyła się i znowu skierowała wzrok w stronę połyskliwej powierzchni wody.

- Nie bój się - zabrzmiał przy jej uchu głęboki szept, a wokół niej zamknęły się silne męskie ramiona. - To tylko ja.

Wyprostowała się, sztywniejąc jednocześnie. Ale uścisk, w którym była zamknięta, nie osłabł. Jedna silna dłoń trzymała jej łokieć, druga zamykała się delikatnie na wyniosłości jej piersi.

- Julian! My... myślałam, że nadal jesteś w mieście.

- Właśnie wróciłem.

- To widzę - ucięła krótko, dotknięta nutą kpiny w jego głosie, lecz chwilę później już nie była pewna, czy nie drwił sam z siebie.

- Wyruszyłem w drogę natychmiast, jak tylko się dowiedziałem, że wracacie do domu. Czyż nie zasłużyłem na nagrodę?

Czule szeptane słowa płynęły wprost do jej ucha. Poczwała na policzku ciepło warg, wędrujących powoli ku jej ustom. Odchyliła nieco głowę.

- Mógłbyś liczyć na nią, gdybyś nie zostawił mnie podczas tańców na pastwę losu, a sam nie udał się gdzieś za swoimi sprawami.

- Wolałabyś zapewne, bym zachowywał się jak zadurzony żółtodziób? Mężczyźnie, *mon coeur*, nie przystoi zbyt otwarcie okazywać, że do tego stopnia uległ urokowi... własnej żony.

Kiedy rozchyliła ze zdziwienia usta, natychmiast wykorzystał ten moment, zamykając je pocałunkiem i otaczając ją stalową obręczą ramion. Jakież mogła mieć sens walka z nim? Ulegając przyływowi pożądania, przywarła do niego.

Gniotły ją guziki jego surduta i koszuli. Czwała woń wykrochmalonego płótna, wody kolońskiej, ciepło i zapach męskiego ciała. W ustach wyczuwała słaby posmak brandy, który wraz ze słodyczą spragnionych ust kochanka wprawiał ją w oszołomienie. Poglądził dłonią jedwabistą kaskadę jej włosów, zacisnął na nich palce, by za chwilę rozłożyć je ponownie na plecach Amelii i przyciągnąć ją zdecydowanym ruchem do siebie.

Pożądała go. Pragnęła czuć go blisko siebie, uwięzić go w sobie w dzikim oddaniu. Oderwała wargi od jego ust i ukryła twarz w łagodnym łuku jego szyi. Muskał wargami jej włosy i trzymał ją w objęciach tak silnych, że z trudem oddychała. Wyraźnie wyczuwała, jak mocno bije mu serce i jak sztywnieje, gdy stara się zapanować nad żądzą posiadania jej. Jego pierś najpierw wezbrała głębokim oddechem, potem powoli opadła. Rozluźnił nieco uścisk.

Wycofywał się naprawdę, choć z trudem. Wyraźnie to czwała i z jej gardła wyrwał się cichy okrzyk protestu. Przywarła do niego, wplątując palce w gęstwinę jego włosów. Z zamkniętymi oczyma i drżącymi rzęsami uniosła usta do pocałunku.

Ze spokojnym westchnieniem wypowiedział jej imię - słowo usprawiedliwienia i przeprosin. Po chwili jednak znowu ją całował, gwałtownie, zachłannie. Było to zawładnięcie, które łamie każdy opór. Wyzwolił w niej burzę uczuć. Musiała wspiąć się na palce, tak mocno pociągnął ją ku sobie. Wyprężyła się, Ignąc do niego. Zadrżała, gdy materiał jego surduta otarł się o szczyty jej piersi, sprawiając, że nabrzmiały i stwardniały na końcach. Bolesnie zacisnął swą dłoń na łuku jej biodra.

Świat wokół niej zakotłował się, jakby cierpiała na zawroty głowy. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że kochanek, trzymając ją w ramionach, powoli odwrócił się i skierował w głąb altany. W jeszcze większej niż na zewnątrz ciemności przykleknął na jedno kolano, pociągając ją za sobą. Zdjął surdut, by rozłożyć go na posadzce, a z ramion Amelii ściągnął szlafrok, by prowizoryczne posłanie uczynić wygodniejszym.

Oboje położyli się bez słowa. Muskał językiem jej brwi, badając koniuszkiem języka ucho, delikatnie ściskając zębami płatek. Przerwał na kilka uderzeń serca, aby smukłymi palcami rozpiąć guziki kamizelki i koszuli, a potem znów obsypać ją pieszczotami.

Zafascynowały go jej kształty pod przejrzystym batystowym materiałem koszuli nocnej. Opuszkami palców powiódł po ramieniu. Obdarzył pieszczotą płytkie zagłębienie u podstawy szyi, wspiął się dłonią na przykryte cienką tkaniną łagodne wzniesienie, które wznosiło się niżej. Odnalazł dolinę, oddzielającą je od bliźniaczego pagórka, zszedł do jej dna, obwiał wystający skraj żeber i natknął się na małą wklęsłość pępka. Badał dotykiem gładki brzuch, silne smukłe uda. Kontynuował wędrówkę w dół, dotarł do kolan i, bez chwili przerwy, przeslizgnął się na wrażliwą i gorącą miękkość wyżej.

Oddychała coraz szybciej. Każdy nerw jej ciała był napięty. Płonęła. Czwała we wnętrzu bolesne, domagające się spełnienia pulsowanie. Wsunęła dłoń pod jego koszulę, powiodła palcami przez miękkie kędziorki włosów, ciesząc się ich bujnością. Dotknęła jednej brodawki i poczuła, jak stwardniała. Potem przeniosła rękę na silne mięśnie, pokrywające żebra, wreszcie sunąc wierzchem dłoni po powierzchni brzucha, zakradła się palcami pod pas spodni.

Cofnął się. Wyswobodził z surduta i koszuli, a następnie rozpiął spodnie. Zdjął je, uwolniwszy wcześniej stopy z pantofli do tańca kilkoma machnięciami nóg. Amelia usiadła, a on pomógł jej ściągnąć przez głowę nocną koszulę. Na skórze poczuła powiew chłodnego powietrza. Zadrżała, lecz już po chwili jego ramiona znowu obejmowały ją, dopasowując łagodne zaokrąglenia i wgłębienia jej ciała do jego silnej i zwartej sylwetki. Pochwycił ją mocniej, jakby pragnął wycisnąć na swoim ciele jej ślad. Przyłgnęła do niego, złapana w potrzask gwałtownego uścisku, pograżając się coraz bardziej w zapamiętaniu, ulegając powstrzymywanej jeszcze gwałtowności mężczyzny.

Nie dbała o to, że połączenie poza zaciszem sypialni mogłoby zostać ocenione jako świadectwo zdeprawowania. Nie obchodziło jej, czy ktoś widział ich albo słyszał. Tak samo nie zwróciłaby uwagi, gdyby nagle wezbrały wody Teche i miały ich pochłonać albo jakby stary chory świat zawirował po raz ostatni. Nic nie miało znaczenia poza tym dzikim uniesieniem, poza tą szaleńczą euforią.

Wydając z głębi gardła ochrypy okrzyk, sięgnął ręką, uniosł jej kolano i oparł je na swoim boku. Zrazu poczuła lekki ból, ale po chwili już był w niej, wypełniał ją, nacierał coraz mocniej i coraz głębiej. Wrażenie spełnienia

było tak intensywne, zaspokojenie tak doskonałe, że była bliska upojenia, prawie ekstazy. Teraz sama zaczęła poruszać się, ulegając nowej fali pożądania, wychodząc na spotkanie męskiej sile.

Odczuła ją w potężnym napięciu mięśni ramion, które ją dźwignęły i ułożyły na plecach, w porażających uderzeniach, które czuła w sobie. Cała dygotała, nieustannie narastało w niej podniecenie, niby pąk kwiatu, który rozkwita czy też wybucha bezgłośnie feerią niewysłowionych wrażeń.

Była częścią mężczyzny, a on częścią niej: nierozdzielni, stopieni, dwie połowy jednej całości. Nie istniało nic rzeczywistego, nic ze świata marzeń, co nie zawierałoby się w tym cudownym połączeniu. Bo po cóż innego miała istnieć noc? Jakiemu celowi mógł służyć zapach kwiatów, jeżeli nie wzmocnieniu tej magii? Zmagali się ze sobą, spleceni, przy wtórze gorących, urywanych oddechów, za zasłoną ciemności i w kąpielu z zapachów róż i kapryfolium. Szukając ukojenia, odnaleźli radość, zdążając po rozkosz, otarli się o niezwykłość, która, czuli to, otoczyła ich ciasnym kręgiem.

Zahuczwała sowa; niedaleko zabrzmiało jej żałobne zawodzenie. Poprzez ażurową ściankę przeniknęła łagodna bryza, zaszepotała na ich wspólnym, wilgotnym ciele. Płatki przekwitłych kwiatów róży wystających poza treliazy zdrząły i spływały wolno na ceglana posadzkę. Zastygli w bezruchu. Głowa Amelii spoczywała na męskim ramieniu, a jego twarz była zatopiona w gęstwinie jej włosów. Ich ciała stykały się biodrami.

- *Je t'aime* - szepnął z czcią. - Kocham cię.

Otworzyła oczy.

- Och, Julianie...

Na ułamek sekundy zeszywniał, potem szybko położył palec na jej ustach. Kiedy posłusznie milczała, podniósł głowę i na krótko przycisnął usta do miejsca, gdzie przedtem był palec. Uwolnił ramię i przesunął się na jedną stronę. Kiedy uniosła się również, słyszała, jak w mroku znajduje i wkłada spodnie oraz buty.

- Co robisz? - zapytała.

Nie odpowiedział, tylko wyciągnął dłoń, by pomóc jej wstać. Sięgnął po resztę rzeczy i wręczył jej. Kiedy przycisnęła je do piersi, pochylił się, by jedną ręką chwycić ją pod kolana, drugą położyć na plecach i unieść na wysokość klatki piersiowej.

- Co robisz? - powtórzyła głosem drżącym od śmiechu, a może nie tylko.

Musnął wargami jej czoło i odezwał się niskim głosem, który zabrzmiał tuż przy jej uchu.

- Odnoszę cię tam, gdzie twoje miejsce.

- Zamierzasz... och, postaw mnie na ziemię.

W odpowiedzi wyszedł z letniego domku. Ignorując słowa protestu, ruszył między drzewa po zroszonej trawie. Minał róg głównego budynku przy *garçonniere* i skierował się na lodzie. Nie zatrzymując się, wszedł schodami na wyższą kondygnację wprost pod jedyne drzwi, które pozostawały nie zamknięte. Tutaj zatrzymał się. Amelia przekreśliła gałkę i pchnęła drzwi.

Zawahał się przez moment w swojej sypialni. Amelia pomyślała, iż zastanawia się, czy nie zaprosić jej do własnego łóżka. Jednakże chwilę potem podszedł do rozsuwanych drzwi, które wiodły do jej pokoju. Pchnął je barkiem, a one otworzyły się lekko, posłusznie. Pewnym krokiem wszedł do środka i zdecydowanie skierował się do jej wysokiego łóżka. Położył ją na nim, potem wziął od niej ubranie, które nadal trzymała.

W obawie, by się nie wycofał, chwyciła go palcami za nadgarstek. Cichym głosem powiedziała:

- Nie odchodź.

Czy drgnęły ścięgna jego ramienia, czy tylko jej się wydawało? Odpowiedział lekko wzdychając:

- Jakżebym mógł?

Przesunęła się na łóżku, robiąc mu miejsce obok siebie. Upuścił na podłogę ubrania, które trzymał w ręce, i zwlekał jeszcze tylko tak długo, jak długo zajęło mu zdjęcie spodni i butów. Skrzypnęły wiązania łóżka, kiedy oparł się kolanem na materacu. Potem wyciągnął się obok niej. Objął ją i przesunął sobie jej głowę na ramię. Pozwolił dłoni spoczywać na krągłym biodrze, gdy tymczasem muskał ustami jedwabście miękkie, pachnące włosy przy jej skroni.

Otoczyła ramionami jego plecy, przycisnęła go do siebie. Na jej piersi napierała jego klatka piersiowa, uda trzymała między jego udami. Ich ciała pasowały do siebie w sposób doskonały i całkowicie naturalnie, jakby były dla siebie stworzone. Uśmiechając się w ciemności na tę myśl, przywarła do niego jeszcze silniej, przycisnęła usta do miejsca, gdzie u podstawy jego szyi bił plus, dotknęła je językiem i poczuła smak soli. Jej uśmiech pogłębił się, gdy wyczuła, jak silnie na to zareagował.

- Zaśnij, *chère* - szepnął.

- Nie jestem śpiąca.

Powędrował dłonią wzdłuż jej kibici, by zatrzymać się na krągłości piersi. Pocierając lekko kciukiem brodawkę sprawił, że stała się znów twarda.

- Ja także nie.

Nasycona, niemalże na skraju wyczerpania, zasnęła jakiś czas później, czując jego dłoń na swoich włosach i palce odgarniające kosmyki z twarzy. Nie wiedziała, kiedy od niej odszedł.

Słońce świeciło jasno, gdy Amelia wyszła z domu, eskortowana jak zwykle przez Isę. Miała na sobie niebieską skórzaną amazonkę; pleciony sznur zdobił mankiety jak u muszkietera, a szamerunek tworzył ozdobne zapięcia żakietu. Wstała dostatecznie wcześnie, by rozdzielić żywność z magazynu i wędzarni, zjeść śniadanie, zaakceptować menu na ten dzień, a także sprawdzić, jak postępują prace przy szyciu letnich ubrań. Zamierzała jeszcze zajrzeć do mleczarni, położonej w niewielkiej odległości od domu, następnie zaś rzucić okiem na pielienie ogrodu warzywnego, który uprawiano na codzienne potrzeby kuchni. Przedtem jednak postanowiła odbyć małą, orzeźwiająca przejażdżkę.

Jej wierzchowiec, kasztanowaty wałach, czekał przy frontowych drzwiach. Skinawszy głową, podziękowała stajennemu, który przytrzymał jej konia. Służący był najwyraźniej zawiedziony, że nie będzie jej towarzyszył. Nie jechała przecież daleko i w razie potrzeby mogła wysłać po pomoc Isę. Weszła na specjalny stopień i wskoczyła na siodło, zahaczając kolanem o wystający wysoko łęk. Poprawiła skraj spódnicy, aby przykryć but wsunięty w strzemiono. Przytrzymała jedną ręką lejce, drugą dopasowała płaski kapelusz z zawadiackim piórkiem i odwróciła się do Isy, któremu właśnie pomagano dosiąść pony.

Była zmęczona. Mięśnie bolały ją jak nigdy dotąd. Wcale jej to nie dziwiło, gdy z cieniem uśmiechu na ustach przypomniała sobie pełną wrażeń noc. Jednakże jej niedyspozycja nie miała fizycznego charakteru. Rozczarował ją fakt, że rano nie znalazła Juliana przy swoim boku. Czuli się na poły zdradzona jego ukradkowym odejściem po tym, co wydarzyło się między nimi w nocy.

Rano była prawie zdecydowana wpaść do jego pokoju, obudzić go, zażądać wyjaśnień. Powstrzymała ją szczególna nieśmiałość. Bo jakże różniło się jego postępowanie w ciągu dnia od sposobu, w jaki zachowywał się nocą! Zaledwie przed kilkoma godzinami wypowiadał czułe słowa, które brzmiały wtedy szczerze, a w świetle dnia zdawały się nabierać zgoła innego znaczenia. Gdyby miał znowu spojrzeć na nią z tą swoją zwykłą udawaną serdecznością, nie zniosłaby tego.

Skreśliła w drogę dla powozów, która biegła skrajem podwórza wydzielonego do suszenia bielizny, dalej zaś obok wędzarni, warsztatu bednarskiego i kaplicy, by wreszcie zginać między polami uprawnymi. Ostatni budynek - niewielki, chełpiący się małą wieżyczką na szczycie, chociaż dzwon zawieszono na słupie przy drzwiach - powstał dzięki pani Declouet. Wprawdzie starsza dama zachodziła tu czasem, aby się pomodlić, to jednak kaplica służyła głównie niewolnikom. Diecezja bardzo nieregularnie przysyłała tu jakiegoś duchownego, by wysłuchał spowiedzi i odprawił mszę. Amelia jednym spojrzeniem oceniła, że po ostatnich deszczach zewnętrzne ściany wymagają pobielenia, i zanotowała w myślach, że będzie musiała wydać odpowiednie polecenia.

Z przyjemnością jechała wśród pól, słuchała szelestu roślin. Lekki poranny wiatr gnał przez zielony bezmiar, trącał trzcinę i kołysał nią niby falami oceanu. Słońce skrzyło się na łąkach jak na powierzchni wody. Nie było gorąco, choć mogło się jeszcze ocieplić w ciągu dnia. Lato dawało o sobie znać coraz wyraźniej. W przeciągu kilku tygodni należało się spodziewać nadejścia upałów. Trzeba też było zacząć myśleć o wyjeździe na Isle Derniere. Z niecierpliwością czekała na te dni. Nigdy nie widziała ani zatoki, ani oceanu. Felicianas, położone nieco wyżej od Nowego Orleanu i z daleka od rzecznych rozlewisk, uchodziło w jej dawnym otoczeniu za miejsce wyjątkowo zdrowe. Może przede wszystkim dlatego, że ani ona, ani jej cioteczna babka nie mogły sobie pozwolić na doroczny wyjazd nad morze czy też do jakiegoś miejsca bogatego w źródła lecznicze, na przykład do Saratogi, White Sulphur Springs czy Salt Springs. Podobno morskie kąpiele dobroczynnie oddziaływały na organizm i niektórzy znajdowali w nich przyjemność. Należało tylko mieć stosowny ubiór. Musiała pamiętać, by wspomnieć teściowej o konieczności uszycia kostiumu.

Uprawy zostały jedynie w niewielkim stopniu zniszczone przez powódź. A nawet na niej skorzystały, bo woda, wycofując się, pozostawiła żyzny muł. Trzcina sprawiała wrażenie mocnej, zielonej i niezwykle jak na tę porę roku wybujałej. Gdyby oparła się silniejszym wiatrom, które mogły przecież nadejść, zniosła ewentualne choroby albo poranne przymrozki, żniwa zapowiadałyby się niezwykle obiecująco.

Amelia dostrzegła grupkę ludzi pracujących daleko w polu. Jednocześnie usłyszała ryczenie muła, a od czasu do czasu czyjeś wołanie. Właśnie tam, w oddali, zaczynały się pola kukurydzy, którą uprawiano na karmę dla żywego inwentarza oraz pożywienie dla ludzi. Robotnicy orali ziemię pomiędzy rzędami młodej kukurydzy i wyrwali trawę. Jakiś mężczyzna na koniu tkwił nieruchomo na drodze, obserwując pracujących. Zrazu myślała, że to Patryk, ponieważ wydawało jej się, że rozpoznaje jego niski głos, potem jednak zorientowała się, że trzymał się w siodle bardzo dobrze, miał prostą sylwetkę. Po chwili dostrzegła nadzorcę, który stał pod drzewem.

Jeźdźcem był nie kto inny, tylko Robert. Odwrócił głowę, kiedy dotarło do niego parskanie konia, i uniósł rękę w geście pozdrowienia. Amelia pomachała mu pejczem, lecz nie podjechała bliżej, tylko zawróciła ścieżką, która miała zawieść ją z powrotem w kierunku domu, tyle że od strony ogrodu warzywnego i mleczarni.

- *M'sieu* Robert jest dobrym człowiekiem - usłyszała za sobą głos Isy.

Niemalże zapomniała o chłopcu. Odwróciła się do niego z uśmiechem.

- O tak, z pewnością.

- Nie tak jak *M'sieu* Dye.

- Nie - zgodziła się i twarz jej spochmurniała.

- Dlaczego więc nie zatrzymaliśmy się, aby z nim porozmawiać?

Zmarszczyła czoło, ale nie usłyszała w jego głosie żadnego niepokojącego tonu. Chłopiec był po prostu ciekawy.

- Jest akurat zajęty, a ja nie zamierzam mu przeszkadzać. Sama również mam co nieco do zrobienia.

- On bywa w dużym domu, ale nie zawsze. Jeśli przyjdzie dzisiaj, pokażę mu rysunek żółwia, który pływa w sadzawce *M'sieu* Jerzego.

Chłopiec uśmiechał się figlarnie. Amelia wiedziała, że nie powinna go ani zachęcać, ani prowokować, ale nie potrafiła powstrzymać się, by nie odpowiedzieć miłym uśmiechem. Tego ranka Anglik byłby poważnie zmartwiony, gdyby odkrył, że prócz drewnianej kłody pośrodku stawu, na której wygrzewało się w słońcu żółwie trio, na błyszczącej powierzchni wody unosił się także mały gumowy kalosz. Kuzyn Robert, była przekonana, doceniłby żart.

Nieważne, jak to wyglądało z boku, ale naprawdę wcale nie unikała tego mężczyzny. W żadnym razie. Mimo wszystko chyba nie było ku temu powodu? Wtedy dotknął jej i bez wątpienia zareagowała dość jednoznacznie, co potwierdzało tylko, że jest normalną kobietą o zupełnie zwyczajnych reakcjach. Nie zamierzała nadawać temu wszystkiemu zbyt wielkiego znaczenia ani drzeć z emocji. Bynajmniej. Bo i po co? Była pewna, że w tamtym zdarzeniu Robert nie dostrzegł niczego szczególnego. Zatem również ona powinna wymazać je z pamięci. Przyjając, iż nic się nie wydarzyło. Zresztą i tak chyba już trochę o tym zapomniała, co w znacznej mierze zawdzięczała Julianowi.

W mleczarni tego dnia ubijano masło. Amelia nadzorowała kobiety przy wyparzaniu maślnic, pokryw i ubijaków, przy wyciąganiu mleka z cysterny, do której zwykle opuszczano je w wiadrach dla schłodzenia. Nie odeszła dopóty, dopóki śmietanka nie znalazła się w maślnicach i nie rozpoczął się długi proces ubijania.

W ogrodzie przyjrzała się dokładnie równym rzędom warzyw, które sąsiadowały z uprawą truskawek i nieregularnymi plamami ziół oraz gęstwiną malin przy płocie. Angielski groszek i kapusta prawie dojrzały, natomiast na pewno można już było zbierać nasiona ze szpinaku oraz sałaty. Szalotka nadawała się do wyrwania, ale gorczyca, rzodkiew oraz irlandzkie ziemniaki mogły poczekać, chociaż te ostatnie nie powinny zbyt długo tkwić w ziemi, ponieważ stawały się za duże do gotowania. Fasola i dynie nadal jeszcze rozwijały się i potrzebowały kilku dni, aby dojrzeć do spożycia. Po nich miała nadejść pora na fasolkę szparagową. Amelia podeszła do starszego mężczyzny, który peł chwasty na jednej z grządek, i poleciła mu przynieść do kuchni, jeszcze przed południowym posiłkiem, zieleninę, cebulę oraz ziemniaki. Potem zawróciła w stronę domu.

Zostawiła konia przy stajni i z Isą przy boku ruszyła dość szybko przed siebie. Po chwili zwolniła nieco, ponieważ chłopiec z trudem za nią nadażał. Przy kuchni posłała go, by napił się wody i przekazał polecenie przyniesienia kawy tam, gdzie będzie przebywała pani Declouet. Starsza dama wprawdzie nieczęsto wychodziła na zewnątrz, ale z ciekawością wysłuchiwała relacji o wszystkim, co działo się w Belle Grove.

Idąc przez dolną lodzie, zerknęła przez otwarte drzwi pokoju stołowego w stronę frontowej galerii. Dwoje położonych naprzeciwko siebie drzwi było otwartych na łagodne, świeże powietrze. Skośne promienie słońca nie docierały na galerię, więc na jej podłodze ścielił się cień. W pewnym momencie Amelia usłyszała strzępy rozmowy. Uniosła nieco skraj sukni i poszła w tym kierunku.

W pokoju jadalnym było znacznie ciemniej niż na zewnątrz. Przystanęła na chwilę, by przyzwyczać wzrok do mroku. Stół był nakryty do lunchu; w ciszy rozlegało się wściekle brzęczenie muchy przyklejonej do pułapki z lukru rozlanego na szkle. Talerze zostały porozkładane do góry dnem, żeby nie chodziły po nich muchy; podobnie szklanki, z wyjątkiem jednej. Amelia wyciągnęła rękę, by ją odwrócić, potem obeszła stół, kierując się do wyjścia.

- Powtarzam jeszcze raz: nie chcę czekać!

- Nie tak głośno, moja droga Chloe, obudzisz ją. Moim zdaniem należy okazać cierpliwość. Nie ma pewniejszego sposobu, żeby osiągnąć to, czego pragniesz.

Pierwszy głos należał niewątpliwie do Chloe. Drugi, stanowczy, jednakże tak cichy i spokojny, że ledwie przekraczał granicę szeptu, stał się Amelii niezwykle bliski w ciągu ostatnich dni. Wyszła na frontową galerię z radosnym błyskiem w oczach i otworzyła usta do powitania.

Nagle stanęła. Chloe z kwaśną miną siedziała w fotelu na biegunach; ramiona miała skrzyżowane na piersiach. Pani Declouet spoczywała z głową ułożoną wygodnie na oparciu fotela, z zamkniętymi powiekami, okryta szalem. Wysoki, ciemnowłosy mężczyzna stał tyłem do słońca, oparty plecami o barierkę. Jego rysy ginęły w cieniu. Nie był to jednak Julian, lecz Robert.

Sparaliżowało ją pewne podejrzenie, podejrzenie tak straszliwe w swych konsekwencjach, że na chwilę straciła i słuch, i wzrok. Wszystko doskonale do siebie pasowało, układało się w logiczny ciąg, wykorzystywało sprzyjające okoliczności, a do tego wymagało tyleż przemyślnego oszustwa, lekceważenia jej godności i uczuć, że było wprost nie do pojęcia.

Mogłaby przysiąc, że przed chwilą usłyszała głos należący do tego samego mężczyzny, który minionej nocy w letnim domku wyznał jej miłość, i przychodził do niej przez wszystkie poprzednie noce.

Rozdział VII

Robert wyprostował się, jego ciemnoniebieskie oczy spoczęły na bladej twarzy Amelii. Chloe uniosła głowę i też spojrziała w jej stronę.

- Mój Boże - powiedziała dziewczyna - wyglądasz, jakby ktoś cię uderzył.

Amelia z wielkim trudem się opanowała. Nawet zdobyła się na niepewny uśmiech.

- Myślę, że to skutek słońca.

- Co... co? - Pani Declouet dźwignęła głowę, mrużąc oczy. Dojrzała sylwetkę Amelii. - Czy to ty, *chère*? Chodź, opowiedz mi, co dzisiaj robiłaś.

Musiała choć na chwilę zostać sama. Gorączkowo szukała wymówki.

- Dobrze, za chwilę. Muszę jeszcze iść umyć ręce. Po... poleciłam przynieść kawę. Mam nadzieję, że zostaniesz, Ro... Robercie.

Zwróciła twarz z wymuszonym, nikłym uśmiechem w kierunku teściowej i Chloe. Choć spojrzała także w kierunku mężczyzny, który tam stał, starała się uniknąć jego wzroku. Gwałtownie odwróciła się i szybko pokonała przestrzeń dzielącą ją od schodów.

Z wyższej galerii weszła do salonu i klucząc w pośpiechu między meblami, doszła do swoich drzwi. Wpadła do środka, zamknęła je za sobą i dopiero teraz się zatrzymała. Wzięła głęboki, uspokajający oddech, wolno wypuściła powietrze. Po chwili zmusiła się, by podejść do umywalki. Gdy napełniała wodą miskę, drżały jej ręce. Lekko skropiła sobie twarz. Sięgnąwszy po obsyty frędzlami ręcznik, osuszyła policzki, spoglądając na siebie w lustrze szeroko otwartymi, pełnymi niepokoju oczyma.

Nie! W żadnym razie! To niemożliwe, nie do pomyślenia. Przecież już wcześniej zdarzyła się jej taka sama niemądra pomyłka, czyż nie? Kiedy po raz pierwszy po ślubie miała spotkać Roberta, trafiła na moment, gdy w salonie prowadził rozmowę z teściową. Odniosła wtedy wrażenie, iż słyszy głos Juliana. Zatem zamartwiała się niepotrzebnie tylko dlatego, że obaj mieli podobną barwę głosu.

Ale czy rzeczywiście niepotrzebnie?

Odrzuciła ręcznik, odwróciła się i utkwiała wzrok w drzwiach do sypialni męża. Zrobiła krok w ich kierunku, potem drugi. Potem szybko, jakby w obawie, że może zmienić decyzję, rozsunęła je i znalazła się w sąsiednim pokoju.

Ciężkie draperie przy francuskim oknie nie przepuszczały wiele światła dziennego ani porannego powietrza, więc w pokoju było duszno i panował półmrok. Julian leżał na brzuchu w poprzek łóżka, ze skłębionym wokół pasa prześcieradłem. Nie miał na sobie koszuli nocnej, gdyż powyżej pasa był nagi, zdawało się jej jednak, że dostrzega brzeg kalesonów wystających spod prześcieradła. Odgłos rozsuwanych drzwi obudził go, bo kiedy podeszła bliżej, otworzył jedno oko. Zobaczywszy Amelię, szybko je zamknął.

Wyciągnęła rękę, by pochwycić go za ramię i lekko nim potrząsnąć.

- Julianie?

Ponownie uniósł powieki. Westchnął.

- Tak, *chère*?

Zwilżywszy usta, zapytała:

- O której godzinie wczoraj wróciłeś?

Chwilę zastanawiał się, potem odchrząknął, podniósł głowę i oparł ją na przedramieniu. W końcu powiedział:

- Nie bardzo pamiętam. W każdym razie na pewno nie wypada zadawać mężowi tego rodzaju pytań o tak wczesnej porze i jeszcze oczekiwać odpowiedzi, nie łagodząc jego skołatanych nerwów nawet jednym łykiem *café au lait*.

- Kawę otrzymasz na pewno, jak tylko mi powiesz, jak długo po naszym wyjeździe pozostałeś w mieście i co robiłeś po swoim powrocie.

- To jakiś test, *ma chère*? - zapytał, spoglądając uważniej na jej twarz, a potem na rękę, które zacisnęła przed sobą. - Czy ostatniej nocy zrobiłem coś niemądrego?

Opuściła wzrok, potrząsnęła głową.

Uniósł się, sadowiąc wygodniej na łóżku. Jego głos przybrał bardziej surowy ton.

- Uraziłem cię w jakikolwiek sposób?

- Nie, nie - odparła pośpiesznie.

- Zatem może powiedziałem coś, czego nie powinienem? Jeżeli tak, spróbuj mnie wytłumaczyć. Obawiam się, że wczoraj może nieco za dużo wypilem.

Podniosła oczy, aby napotkać jego skupione spojrzenie.

- Wcale nie wydajesz się odurzony.

- Schlebiasz mi, *chère*. Czasami jestem po prostu nieporadny. Jeżeli rozczarowałem cię pod jakimś względem, proszę o wybaczenie, ponieważ, zapewniam, na pewno nie było to zamierzone.

Mówił cichym, spokojnym głosem, który brzmiał szczerze. Czy był to ten głos? Nie była pewna. Ale też w żaden sposób nie mogła zaprzeczyć. Odetchnęła głęboko.

- Czy pamiętasz cokolwiek z wydarzeń ostatniej nocy?

- Coś niecoś - powiedział, wytrzymując spojrzenie jej piwnych oczu, by w końcu rozchylić w uśmiechu delikatnie zarysowane usta.

Jakże to było dla niego charakterystyczne! Skąd mogła wiedzieć, co miał na myśli? W odpowiedzi uśmiechnęła się niepewnie. Zapytała szybko, żeby nie rozmyślić się w ostatniej chwili:

- Dlaczego więc opuściłeś mnie?

Zmarszczył brwi, ale wydawało się, że w jego zmrużonych oczach nie było cienia wątpliwości.

- Potem, gdy...?

- Tak.

Zrobił pełną dezaprobaty minę, poczym potarł dłonią o zarost, który ocieniał mu twarz.

- Pragnąłem zaoszczędzić ci tego widoku w świetle poranka. Poza tym, taka jest prawda, za bardzo przywykłem do sypiania samotnie.

Ostatnia uwaga zabrzmiała dość nonszalancko. Jeśli upił się poprzedniej nocy - pomyślała - to skutki nie zasługiwały na szczególną naganę. Odsunawszy od siebie tę myśl, powiedziała:

- Przykro mi, że cię obudziłam. Gdybyś chciał zejść na dół, to jest tam Robert. Zamierzamy właśnie usiąść do kawy.

- Myślę - powiedział wolno - że jakoś zdołam przeżyć ten dzień bez widoku mojego drogiego kuzyna. Wypiję kawę tutaj.

- Jak chcesz - odrzekła i ruszyła w stronę drzwi.

- Amelio?

Odwróciła się.

- Słucham.

- Już nic - rzekł i opadł na poduszki; przymknął powieki.

Amelia najpierw zadzwoniła po Tige'a, potem przebrała się w bladozłotą suknię z dołem rozłożonym na stelażu i powróciła na dolną galerię. Znowu panowała nad sobą, powrócił jej dobry nastrój, niemalże promieniała radością. Zaraz po przyniesieniu kawy nadszedł Isa ze swoim rysunkiem przedstawiającym żółwie. Wyciągnęła go na środek i zachęciła, aby pokazał swoją pracę nie tylko Robertowi, ale także innym. Chłopiec wstydził się, ale przede wszystkim dlatego, że do zebranych przy kawie dołączył również Jerzy. Odpreżył się jednak, kiedy Anglik zareagował śmiechem na żart dotyczący swojej osoby.

Amelia kilka razy łapała się na tym, że jej spojrzenie bezwiednie wędruje ku Robertowi. Jednakże on sam nie zwracał na nią uwagi, dowcipkując z Jerzym na temat żółwiej sadzawki i żartując z ciotki, że powodem jej częstych drzemek w ciągu dnia są noce spędzane na hulankach. Amelia dziwiła się sobie, że mogła tego przystojnego, zachowującego rezerwę mężczyznę posądzać o udawanie Juliana tylko po to, by uwieść mu żonę. Tym bardziej że zgodnie z tym, co opowiadała Chloe, mógł wybierać wśród sporego grona pięknych kobiet. Amelia nie miała powodu, by wątpić w słowa młodej dziewczyny. Powinna była też pamiętać, że z wyjątkiem ostatniej nocy Julian przychodził do jej sypialni z własnego pokoju. Gdyby Robert chciał zająć jego miejsce, tamten musiałby na to wyrazić zgodę, a przecież był człowiekiem dumnym i zaborczym. Co więcej, nie istniała taka możliwość, że zdarzenie z ostatniej nocy było wyjątkowe. Mężczyzna, który kochał się z nią wówczas, był bez wątpienia tym samym, który z ogromną delikatnością pozbawił ją dziewictwa. Dotykał i całował za każdym razem w ten sam sposób. Co do tego nie miała wątpliwości.

Przypomniała sobie o niepokoju, jaki wzbudził w niej Robert przed dwoma dniami swym dotykiem, ale postanowiła nie przywiązywać do tego wagi. Wtedy po prostu taka musiała być reakcja jej nerwów. Odmienna myśl byłaby poniżająca i wprowadzałaby do jej umysłu zamęt.

Gdy Robert w końcu wstał, szykując się do odejścia, Amelia przyglądała się, jak całuje ciotkę w policzek, obejmuje krótkim uściskiem Chloe, lecz kiedy przed nią skłonił głowę w pożegnalnym geście, nie podała mu dłoni.

Nawet gdyby chciała rozmyślać o swoich niemądrych podejrzeniach, i tak nie miała na to czasu. Tego popołudnia na podjazd przed głównym budynkiem zajechał powóz. Tęgi i energiczny mężczyzna o szpakowatych włosach pomógł zejść na dziedziniec kolejno czterem damom, podając każdej rękę. Były wśród nich przyjaciółki pani Declouet, obie panie Oudry. Towarzyszyła im panna Luiza wraz z rodzicami, którzy przyjechali odebrać ją po dłuższym pobycie u babki. Przed powrotem do miasta zamierzali spędzić na prowincji tydzień lub, gdyby okoliczności tego wymagały, nawet dwa.

Akurat Julian był na miejscu, aby przywitać gości i pomóc zabawić dżentelmena. Ponieważ pan Callot był pośrednikiem, który handlował większością towarów niezbędnych plantatorom oraz odbierał od nich wszystkie plody, obaj mieli o czym ze sobą dyskutować.

Juliana nie tyle interesowała uprawa trzciny, ile zyski, jakie mogła przynieść. Przyniesiono miętówkę na niższą galerię, i kobiety, aby uciec od rozmowy o interesach, wycofały się na wyższą kondygnację z wysokimi szklankami lemoniady lub nalewki pomarańczowej w dłoniach. Nie wiadomo kiedy upłynął czas zwyczajowo przeznaczony na wizyty. Starsze damy jakby tego nie zauważyły, pochłonięte rozmową. Chloe i Luiza chichotały bez przerwy w drugim końcu galerii, skąd dochodziły takie mniej więcej oświecające fragmenty konwersacji: „Ma bardzo szlachetne czoło”, „A jego maniery - zachwycające” i „...tak niebezpiecznie, że można umrzeć z wrażenia; stawał do pojedynku w obronie honoru co najmniej czternaście razy i za każdym razem to on upuszczał pierwszej krwi przeciwnikowi!” Amelia usiłowała prowadzić rozmowę z panią Callot, ale ta potrzebowała jedynie słuchacza. Nie dość, że sylwetką o potężnym biuście przypominała bojowego koguta, to jeszcze na dodatek miała apodyk-

tyczny charakter. Nie minęły dwie godziny, a już zdążyła nazwać St. Martinville prowincjonalną dziurą. Do tego wyraziła pogląd, że Julian jest zapewne człowiekiem okropnie ospałym, ale może nie do tego stopnia, by jego żona nie mogła mu tego wybaczyć. Ponadto stwierdziła, że niewolnicy z prowincji nie dorównują niewolnikom wychowanym i wyćwiczonym w mieście. Następnie obdarowała Amelię własnym przepisem na pomarańczową nalewkę, który różnił się jedynie odrobinę większą ilością laudanum. Wyraziła zaniepokojenie z powodu braku kandyzowanych fiołków, jej ulubionego przysmaku na podwieczorek; orzekła otwarcie, że byłoby lepiej, gdyby Isa, zamiast siedzieć u stóp Amelii, zajął się bardziej pożytecznym zajęciem, na przykład przepędzeniem kur z frontowego dziedzińca na podwórze położone za budynkiem, gdzie jest ich miejsce.

Odgłos męskich kroków na schodach Amelia powitała jak zapowiedź wybawienia. Okazało się, że była zbyt wielką optymistką. Julian, odkrywszy, że on i jego gość nie tak szybko przedyskutują interesujące ich zagadnienia, nie tylko zaprosił całe towarzystwo na obiad, ale jeszcze wysłał wóz po ich bagaże i osobistą służbę, ażeby mogli pozostać na noc.

Mimo wszystko czas obiadu nie był już taką męką, ponieważ ożywiła go rozmowa o Isle Derniere: o przejażdżkach konnych i piknikach, spacerach wzdłuż brzegu i zbieraniu muszli, muzyce i tańcach w hotelu. Pani Callot uważała, że kobiety nie powinny kąpać się w morzu, nawet gdyby było to korzystne dla zdrowia, jak twierdzili niektórzy, poza tym bardzo bała się sztormów, które czasem się tam zdarzały. Jednakże nie udało się jej ostudzić entuzjazmu córki. Pan Callot jadł spiesznie i z apetytem zupę zółwiową, szynkę, indyka w sosie z ostryg, jaja siekane razem z zieleniną i przykryte plastrami smażonego boczku, ziemniaki z pietruszką, mamałygę oraz rozmaite kremy. Do wszystkich dań serwowano odpowiednio dobrane czerwone i białe wina. Natomiast później do suszonych fig, rodzynek i migdałów podano maderę. Podczas posiłku pan Callot mówił na ogół niewiele, wspominał tylko kilka razy o lukullusowych ucztach, nawiązując wyraźnie do prostoty potraw, o które zadbała Amelia. Jednakże chwalił piwnice Juliana i pozwolił sobie ulec namowiem do spróbowania po obiedzie brandy, ale tylko w niewielkiej ilości, nie większej niż pół kwarty.

Kiedy nadeszła pora snu, pojawił się problem, gdzie umieścić gości. Wszystkie pokoje na piętrze były pozajmowane, poza pokojem panińskim. Amelia zaproponowała, że przeniesie się do mniejszego pokoju, oddając swoją sypialnię państwu Callotom, ale kupiec, mrugnawszy porozumiewawczo do Juliana, oświadczył, że nie chce zakłócać małżeńskiego życia niedawno poślubionej pary. On i jego żona ostatecznie mieli zająć mniejszy pokój i nie czynić z tego żadnego problemu. Tak stanowczo nalegał, że Amelii nie pozostawało nic innego jak tylko się zgodzić. Tym samym oznaczało to, że goście musieli paradować przez jej sypialnię, ilekroć zechcieliby opuścić swój pokój albo doń wejść.

Rozlokowanie starszych dam było łatwiejsze. Miały zająć pokój Chloe, który stykał się z salonikiem pani Declouet. Luiza i Chloe, jako najmłodsze, a przeto i bardziej ruchliwe, mogły skorzystać z pokoju na poddaszu. Wzruszywszy z rezygnacją ramionami, Amelia wydała odpowiednie dyspozycje do przygotowania pokoi. Chodziło w końcu tylko o jedną noc.

Lecz wizyta przeciągnęła się na następny dzień, potem jeszcze na kolejny. Minął tydzień. Julian zrazu wstawał wcześniej, by zabawić gości; a to zabrał pana Callota powozem, by mu pokazać pola uprawne, potem zaś wyposażenie cukrowni, a to urządził wycieczkę barką w dół rozlewiska. Jednak pod koniec tygodnia, spostrzegłszy, że jego gość chętniej siedzi na galerii popijając miętówkę, powrócił do starych zwyczajów. Natomiast pani Callot wykazała znacznie większą żywotność. Chodziła z Amelią wszędzie, nie przestając mówić swoim słowiczym głosikiem nawet na minutę. Stała zwracała uwagę na własne, z reguły lepsze sposoby wykonywania rozmaitych czynności - poczynając od smażenia konfitur, a na karaniu nieposłusznych niewolników kończąc. Chloe i Luiza bez przerwy szeptały gdzieś po kątach ku rozczarowaniu Jerzego, który w tym czasie przygotował duże połacie gruntu pod sadzonki krzewów. Za to dziewczęta niepokoiły panią Declouet, która coraz częściej kryła się w swoim pokoju, by odpocząć.

Kiedy atmosfera stała się na tyle napięta, że wymagała rozładowania, Amelia powzięła okrutną myśl. Postanowiła wydać Roberta na pożarcie wilkom, sugerując, żeby dziewczęta w towarzystwie stajennego udały się konno do niego w odwiedzin. Intryga zaowocowała kilkoma godzinami spokoju, lecz wywołała też pewne reperkusje. Panny nie tylko zabrały ze sobą Roberta na obiad, lecz ponadto wpadły na pomysł zorganizowania *soirée*, nie widząc przy tym powodu, by Amelia nie miała na to przystać.

Długim spojrzeniem, jakim ją obdarzył, chwilą bezruchu, nim ujął jej dłoń i schylił głowę w geście powitania, Robert znowu przypomniał jej o tamtej szaleńczej myśli. Zarumieniła się, i to nie tylko dlatego, że nagle zdała sobie sprawę, iż przyglądał się jej baczniej, niż można było oczekiwać. Była przekonana, że dostrzegł jej rejteradę podczas ostatniego spotkania. Oczywiście nie domyślał się przyczyny. Mimo wszystko poczucie winy z powodu niedorzecznych podejrzeń sprawiło, że uśmiechnęła się do niego cieplej niż zwykle.

Oboje stali na dolnej galerii. Dziewczęta poszły na górę, by się przebrać do obiadu, nie bacząc na dość wczesną jeszcze porę. Oprócz Isy, jej stałego cienia, nie było przy nich nikogo.

Lekka zmarszczka na czole Roberta między niebieskimi oczami zdradzała namysł, gdy spojrział na nią z góry, przytrzymując jednocześnie jej dłoń w uścisku swych palców.

- Czy na pewno nie masz nic przeciwko nakryciu dodatkowo dla jednej osoby? Gdybym naraził cię na nadmierny

kłopot, po prostu powiedz, a odejdę.

- Nie, proszę. Wiesz przecież, że zawsze jesteś oczekiwanym gościem. - Uśmiechnęła się ponownie. - Zdaje się, że wyczerpuje mnie każde słowo, które muszę wypowiedzieć do naszych gości, dlatego oczekuję dzisiaj od ciebie pomocy w podtrzymaniu konwersacji.

- Potrzebna świeża krew?

- Coś w tym rodzaju - przyznała ponuro.

- O waszych gościach szumią już i moje wierzyby. Poza tym Chloe miała bardzo wiele do powiedzenia o minionym tygodniu. Wspomniała również, że ty zasugerowałaś, aby przywieźć do mnie Luizę.

- Przykro mi, jeżeli okazało się to dla ciebie kłopotliwe.

- Owszem, było kłopotliwe. Wiesz, że prowadzę kawalerskie gospodarstwo i nie mam wiele do zaoferowania, by odpowiednio przyjąć młode damy. Ale nie przejmuj się. Jeśli to w jakiś sposób pomogło, cieszę się, że mogłem okazać się przydatny.

Na tym oczywiście nie skończyła się jego użyteczna rola. Był dominującą postacią tego popołudnia i wieczoru. Prawił szarmanckie komplementy starszym paniom i długo rozprawiał z panem Callotem o interesach. - Wprawił w odrętwienie Luizę jednym albo dwoma długimi spojrzaniem spod zmrużonych powiek, nasyconymi zmysłowością w stopniu znacznie większym, niż zwykł to czynić w odniesieniu do płci przeciwnej. Posłużył Amelii jako tarcza przed słownymi atakami pani Callot, kwestionując każde stwierdzenie nieszczęsnej kobiety i badając drobiazgowo niczym prokurator wszystkie zalety jej sposobów prowadzenia gospodarstwa domowego. Za to nie zdołał w żaden sposób zapobiec rozwojowi planów urządzenia *soirée*, tyle tylko, że udało mu się bardzo zrećnie zmienić tę ideę w pomysł zorganizowania pożegnalnego przyjęcia na cześć państwa Callotów i pań Oudry.

Nadto jego obecność przypomniała Amelii, że Julian nie przyszedł do niej ani jednej nocy, od kiedy przyjechali goście. Próbowwała tłumaczyć sobie, że przyczyną jest zbyt bliska obecność obcych osób, które mogły w każdej chwili przejść przez jej sypialnię. Nie próbowała zadawać mężowi żadnych pytań, ponieważ obawiała się, że swoją dociekliwością mogłaby zniszczyć kruchą więź, jaka się między nimi powoli rodziła.

Tego wieczoru z przykrością przyglądała się odjazdowi Roberta, tak bardzo była mu wdzięczna za pomoc i otuchę. Na koniec jednak zapowiedział, że nie omieszką przybyć za dwa dni na pożegnalne *soirée*. Poszła do sypialni, myśląc już o wszystkich sprawach, które należało załatwić następnego dnia: napisać i rozesłać przez posłańca zaproszenia, przygotować potrawy i trunki, dobrać muzykę, sprzątnąć i udekorować dom, pomyśleć o własnej toalecie. Po raz pierwszy podejmowała się przygotowania takiego przedsięwzięcia i chciała, by wypadło okazale. Dobrze, że miała Roberta i Juliana, którzy potrafili ożywić każde spotkanie towarzyskie. Liczyła, że przy ich pomocy przejdzie przez to wszystko bez większego wysiłku. W końcu zasnęła z myślą o prawdziwej uczcie dla smakoszy, jaką zamierzała wydać głównie po to, by wprawić w zadziwienie pana Callota.

Następnego dnia rano, jeszcze przed wschodem słońca, poszła do wędzarni i magazynów, aby sprawdzić zapasy. W chłodnej piwnicy pod domem przejrzała długi rząd czteroipółkilogramowych głów cukru, beczki z mąką, puszki z oliwą, skrzynki brandy i whisky. Poprzesuwawszy świece, pakowane w skrzynki po dwanaście tuzinów każda, oraz wyrabiane na plantacji, pocięte na kawałki mydło, rzuciła okiem na stojaki, w których leżakowało butelkowane wino, na półki z suszonymi owocami, przetworami i piklami. W końcu z satysfakcją skinęła głową i wyszła do pokoju stołowego, tam poczekała na Isę, następnie zamknęła za nim na klucz drzwi od spiżarni. Idąc w kierunku lodzii, na kawałku papieru robiła sobie notatki.

W pewnej chwili spojrzała w górę i zobaczyła Tigę'a, który niósł po schodach mosiężne naczynie z ciepłą wodą do golenia, co oznaczało, że Julian już nie spał. Skinęła służącemu głową, skończyła notatki, a potem ruszyła jego śladem.

Na górze ujrzała Patryka Dye'a, który stał z pochyloną głową przed drzwiami do pokoju Juliana, jak gdyby dopiero co wyszedł ze środka. Po chwili usłyszała szlachetny brzęk złota i zobaczyła, że nadzorca zajęty jest przeliczaniem złotych monet.

- Czy jest coś, w czym mogłabym panu pomóc, *M'sieu Dye*? - zapytała lodowatym tonem.

Był tak pochłonięty swoim zajęciem, że nie słyszał, kiedy nadchodziła. Wyprostował się gwałtownie, jego dłoń błyskawicznie zacisnęła się na monetach. Szybkim ruchem umieścił złoto w sakiewce, którą trzymał w drugiej ręce. Sakiewkę wsunął do kieszeni, a wyjął z niej scyzoryk. Wyciągnął ostrze i ostrym czubkiem zaczął usuwać brud spod poźółkłych paznokci. Potem uśmiechnął się do Amelii, choć jednocześnie spoglądał na nią z pewną ostrożnością.

- Nie, moja droga pani Declouet, nie istnieje nic, co mogłabyś dla mnie uczynić, w każdym razie nic, co chciałabyś dla mnie uczynić.

Zesztywniała jeszcze bardziej, słysząc te słowa zawierające wyraźną aluzję, i uniosła brwi.

- Życzy pan sobie widzieć mojego męża?

Nacisk, z jakim wypowiedziała ostatnie słowo, nie wywołał żadnego skutku. Nadzorca wolno potrząsnął głową, z powrotem wsunął do kieszeni nóż i dopiero wtedy się odezwał:

- Właśnie z nim rozmawiałem.

- Zatem nie wolno mi dłużej odrywać pana od jego obowiązków.
- Taaak... - powiedział, przeciągając słowo, wsparł dłonie na biodrach i taksował ją powoli wzrokiem od stóp po czubek głowy, by w końcu zatrzymać spojrzenie na jej piersiach wznoszących się i opadających w rytmie podyktowanym narastającym w niej gniewem - z pewnością należysz do kobiet, które mogłyby to uczynić.
- Pańskie zachowanie zaczyna być w najwyższym Stopniu obraźliwe, panie Dye. Proszę stąd odejść!
- Ojoj, prawdziwa dama na włościach, no nie? A co zrobisz, jeśli nie posłucham? Powiesz mężowi? Kiedyś to nie pomogło, a teraz?

Dłonie schowane w kieszeniach fartucha zacisnęła w pięści. Była świadoma, że za nią Isa cofa się w kierunku drewnianego kufra, zerkając na schody, jakby wyglądał pomocy albo szykował się do ucieczki.

- Myli się ten, kto sądzi, że Julian zlekceważy zniewagi pod adresem swojej żony.
- Jesteś pewna? Jesteś pewna, że Julian Declouet choć trochę dba o to, co przytrafia się jego cnotliwej pannie młodej?

Wstrząs, jaki wywołały obraźliwe słowa tego mężczyzny, spowodował, że poczuła pulsowanie krwi, a następnie ogarnęła ją furia. Miała ochotę uderzyć w tę jego prymitywnie ładną twarz, ale ostatecznie wybrała słowny oręż.

- Jestem naprawdę jego żoną, panie Dye, a nie cnotliwą panną młodą. Jeśli pan sądzi, że to nic nie znaczy dla takiego mężczyzny, jakim jest Julian, to jeszcze wielu rzeczy pan nie rozumie!

Zrazu twarz mu się wydłużyła ze zdziwienia, potem parsknął śmiechem.

- Więc wreszcie ma to za sobą? No, no. Niedobrze. A już sobie myślałem, że któregoś dnia przyjdzie mi cię pocieszyć. Chociaż z drugiej strony nadal nie jest za późno, aby dać ci pojęcie o tym, czego ci brakuje.

Chwycił ją za ramię i brutalnie do siebie przyciągnął. Jego gorące, wilgotne usta musnęły kącik jej ust. Krzyknęła, przejęta odrazą. Szarpnęła głową w bok, starając się jednocześnie uwolnić. Próbowwała kopać, ale krępowało ją kilka warstw halek.

Za sobą usłyszała trzaśnięcie drewnianego wieka, tupot stóp, potem nastąpiła cała seria świszczących uderzeń, które dosięgały pleców i boku nadzorcy.

- Proszę uciekać! - krzyczał Isa, smagając mężczyznę dwukrotnie od siebie większego szpicrutą, którą wydobyl z skrzyni. - *Petite maitresse*, proszę uciekać!

Patryk odepchnął Amelię tak, że potknęła się i uderzyła o barierkę. Z przekleństwem na ustach odwrócił się do chłopca. Zamierzył się i pięścią uderzył go w skroń. Isa zakręcił się w miejscu i padł na podłogę.

- Ja cię oduczę podnosić rękę na białego człowieka, ty czarny pomociu! - krzyknął nadzorca, zaciskając palce na szpicrucie.

Amelia rzuciła się na niego z tyłu, chwytając go za uniesione ramię, wbijając paznokcie przez koszulę w miękką skórę na brzuchu. Spróbował strząsnąć ją z siebie, a potem nagle zamarł na widok otwierających się drzwi do sypialni Juliana.

- Na Boga, co tutaj się dzieje?

Julian stanął w progu, zawiązując pasek szlafroka. Wokół szyi miał wilgotny ręcznik, który Tige zawsze zakładał mu do golenia. Jego włosy były splątane, a twarz zarumieniona od gorącej wody.

Amelia puściła Patryka i odstała na bok. Drżącą dłonią odgarnęła kosmyk włosów, który uwolnił się z warkocza ułożonego w koronę.

- Ten mężczyzna obraził mnie, dotykał mnie i uderzył Isę.

- Co zrobił? - zapytał Julian. W jego oczach rozpały się złe błyski, gdy odwrócił się w stronę nadzorcy.

Patryk roześmiał się, jedną ręką rozcierał podrapany brzuch.

- Chciałem tylko uświadomić jej jedną rzecz.

Julian zrobił tak szybki ruch, że odgłos uderzenia wierzchem dłoni rozległ się szybciej, niż nadzorca zdążył sobie uświadomić, co się stało. Jego głowa gwałtownie odskoczyła do tyłu, tak silne było uderzenie. Podniósł rękę i przyłożył do kącika ust, w których pojawiła się krew. Zmarszczył brwi w wyrazie wściekłości, a zarazem niedowierzania.

- Moja żona - powiedział Julian cicho - nie potrzebuje instrukcji od ciebie ani od żadnego innego mężczyzny. Dotknij jej jeszcze raz, a zabiję cię.

- Czyżbyś zapomniał już o tym i owym? - rzucił wyzywająco Patryk, zerkając z ukosa na Amelię.

- Jeśli chcesz, przypomnij mi, ale na polu walki.

Miękki zwykle jak aksamit głos Juliana brzmiał teraz tak władczo, że nadzorca szeroko otworzył oczy.

- O tym nie myślałem.

- Pomyśl. Powinienem do tego zmierzać, ale cierpiałbym traktując honorowo człowieka, który w tak oczywisty sposób dowodzi, iż nie jest dżentelmenem.

Nadzorca zwilżył usta.

- Nie staję do pojedynków. Są zakazane przez prawo.

Julian uśmiechnął się.

- Prawo w tym stanie jest ślepe na praktykę, *mon ami*. A przynajmniej nierychliwe. Szeryf rzadko przystępuje do swych obowiązków, zanim strony opuszczą pole walki.

- Mógłbym powiedzieć parę rzeczy...

- Ale nie zrobisz tego, chyba że będzie to absolutnie konieczne, prawda? Na tym skończymy. Jeszcze tylko przeprosz damę, to znaczy moją żonę, i jej małego obrońcę.

- A jakże, niedoczekanie!

- W przeciwnym razie...

Amelia nie wsłuchiwała się w tę wymianę zdań. Przyklękła przy Isie. Chłopiec miał zraniony policzek i guz z tyłu głowy, ale na szczęście oczy przytomne i silny uchwyt dłoni, gdy pomagała mu wstać. Dotarli do niej dopiero ostatnie wypowiedziane słowa i na ich dźwięk podniosła głowę.

Mężczyźni mierzyli się nawzajem wyzywającymi spojrzeniami. Twarze obu stężały w wyrazie determinacji. Nagle Patryk Dye poddał się. Zrobił krok w kierunku Amelii, kiwnął nieznacznie głową.

- Proszę wybaczyć mi, pani Declouet. Sądzę, że pani... i chłopiec... zechcecie mi darować.

Nie czekając na odpowiedź, minął Amelię ze ściągniętą i pokrytą krwistym rumieńcem twarzą. Zbiegł schodami na sam dół. Po jakimś czasie zobaczyli go, jak z dłońmi zaciśniętymi w pięści i opuszczoną głową kroczy w stronę czworaków.

- Nic ci nie jest, *ma chère*?

W ciemnych oczach Juliana pojawił się wyraz z troską. Amelia zapragnęła rzucić mu się w ramiona — wtedy poczułaby się naprawdę bezpiecznie. Zamiast tego skinęła tylko głową.

- Jeżeli ten mężczyzna choćby spojrzeniem okaże ci brak szacunku, chciałbym o tym wiedzieć.

- Dobrze, oczywiście.

- Wiesz... Może byłoby rozsądnie, gdybyś odpoczęła chwilę, położyła się, wypła kieliszek wina...

- To nie jest konieczne. - Być może dobrze się stało, że nie pozwolił jej na chwilę słabości, choć tak bardzo pragnęła znaleźć się w jego ramionach. Czowała się teraz znacznie lepiej. Wróciły jej siły i znowu panowała nad każdym drgnieniem podrażnionych nerwów.

- Jak sobie życzysz - powiedział. - A teraz wybac mi, proszę, pójdę się ubrać.

- Naturalnie, idź... Julianie?

- *Cherie*?

- Chciałabym porozmawiać o jutrzejszym przyjęciu.

Jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Zostaw to mnie.

Tak była uradowana tym obrotem sprawy, że uśmiechnęła się szczerze i lekko. Stała bez ruchu, aż za jej mężem zamknęły się drzwi, potem poprowadziła Isę do salonu. Tutaj od razu podeszła do kredensu i naląła do kieliszków odrobinę wina dla Isy i mimo wszystko dla siebie. Niepokojąca myśl zaświtała jej później, kiedy już wyszła z kieliszkiem wina na galerię i zaczęła smakować orzeźwiający, zarezerwowany wyłącznie dla kobiet półsłodki trunek. Pozycja obecnego nadzorcy była w Belle Grove nadzwyczaj uprzywilejowana. Nie tylko w sposób dla niej niepojęty został wtajemniczony w jej prywatne sprawy, to jeszcze po tym, co zrobił - mimo gwałtownej przecież reakcji Juliana - nie padło ani jedno słowo o jego zwolnieniu.

Nie było sposobności wypymania Juliana o Patryka Dye'a. Przez następne trzydzieści sześć godzin pochłaniało go bez reszty wypełnianie obowiązków gospodarza. W dodatku od chwili tamtego przykrego wydarzenia zachowywał jakąś szczególną rezerwę. Chociaż być może zaczęło się to wcześniej - chyba gdy przestał odwiedzać jej sypialnię. Miała nadzieję, że znajdzie dla niej kilka minut na rozmowę po południu przed przyjęciem, ale jak na złość pani Callot wpadła w szal pakowania. Wołała o papier, żądała pożyczania kufrów, przydała mnóstwa dodatkowego prania i prasowania, by wszystko było gotowe do wyjazdu wczesnym rankiem następnego dnia. Ciągłe wybuchały kłótnie, które trzeba było łagodzić. Jakże jednak miało do nich nie dochodzić, kiedy zabiegana służba usiłowała przygotować swych państwa do przyjęcia, a każdy akurat potrzebował to bali, to sznurów do suszenia bielizny, to znowu żelazka albo lokówki, przy czym zawsze przedmiotów tych właśnie używali służący pani Callot? Potem nastąpiły gorące chwile związane z przygotowaniem stołu. Na koniec nadeszła pora wkładania wieczorowych strojów. Amelia tak była szczęśliwa, widząc oznaki rychłego wyjazdu gości, że ani razu nie okazała irytacji, kiedy ją niepokojono.

Lally traktowała swe nowe obowiązki z ogromną powagą. Amelia była zdecydowana włożyć pierwszą rzecz ze swej garderoby, jaka wpadłaby jej w ręce. Pokojówka zawczasu wyjęła z szafy jedną z sukien wybranych i kupionych przez Juliana w Nowym Orleanie: fioletowoniebieską z jedwabiu, której staniczek skrojony był w kształcie litery „v”, głębokie falbany zdobiły szeroki dół, a sięgający ramion beżowy kołnierz był poprzątkany wstążkami w kolorze kwiatów lawendy. Lally przyczepiła mały bukiet odpowiednio dobranych miniaturowych różyczek do miejsca, w którym kołnierz pięknej sukni stykał się ze staniczkiem. Drugi bukiet wpięła we włosy Amelii, zakręcone z tyłu głowy w ósemkę. Odeszła krok do tyłu i z takim triumfem spojrzała na swą panią, że Amelia nie mogła jej poskąpić ciepłych słów pochwały. Wypowiadała je tym chętniej, że rzeczywiście swym dziełem Lally znakomicie wytrzymała konkurencję ze światowymi służącymi pani Callot.

Amelia miała również powody, by pogratulować Marcie i jej pomocnicom. Obiad dla dwunastu par z sąsiednich plantacji oraz St. Martinville, Roberta i osób rezydujących w Belle Grove okazał się prawdziwym sukcesem. Jego

obfitość była oszłamiająca; podano dwa rodzaje zup, dwie sałatki z ryb i krabów, trzy różne pieczenie, bogactwo dań warzywnych, rozmaite pieczywo, pickle i przetwory. Wspaniała kompozycja z pieczonego ptactwa nawiązywała do przepychu rzymskich uczt. Danie to składało się z gołębia włożonego w przepiórkę, przepiórki umieszczonej w perliczce, perliczki w kaczce, kaczki w kapłonie, następnie w gęsi i na koniec w indyku; każdy ptak został obrany z kości i pokrajany w plastry.

Na kredensie stała szarlotka, ciastka, puddingi, posypane cukrem i pokryte warstwą śmietany świeże czarne jagody. Zgodnie postanowiono przesunąć deser na późniejszą porę, kiedy wszyscy nie będą zbyt najedzeni, by mogli w pełni docenić jego smak.

Do tańca przygrywało trzech mieszkańców czworaków: dwóch na skrzypcach, jeden na bandžo. W niektórych utworach do zespołu dołączała Amelia przy fortepianie. Wcześniej meble w salonie zsunięto pod ścianę, zdjęto dywan, a podłogę wywoskowano i wypolerowano. Szeroko otwarto zewnętrzne drzwi i francuskie okna. Zaczęto od kadryla, potem zagrano polkę, wreszcie walca. Bardzo młodzi ludzie, przyjaciele Chloe i Juliana, bywalcy rozmaitych przyjęć, pikników i wycieczek, wybuchali śmiechem i wykrzykiwali wesołe komentarze, mijając się w tanecznym pędzie. Taniec, być może z tej racji, że stwarzał okazję, by dotykać się w sposób w innych sytuacjach zabroniony, albo dlatego, że stanowił ujście dla niespożytej młodzieńczej energii, był ich namiętnością i największą radością. Mogło się wydawać, że nie wiedzą, co to zmęczenie, gdy połączeni w pary wirowali dookoła, a długie suknie dorastających panien zamiatały podłogę. Amelia przyglądała się im, przebiegając palcami po klawiaturze. Po raz pierwszy czuła się jak matrona. Nigdy nie była taka beztraska jak oni, chyba z powodu lat żaloby i długiego okresu narzeczeństwa. Patrząc na młodzieńczą werwę, miała wrażenie, że sama jest znużona i bez energii.

- *Madame*, czy uczyni mi pani ten honor?

Julian pochylił się przed nią w ukłonie. Ujął jej dłoń i nie czekając na odpowiedź, pociągnął ją ku sobie. Na środek parkietu weszli przy dźwiękach walca. Jego ruchy miały niewymuszony wdzięk doskonałego tancerza; prowadził ją zarazem lekko i pewnie. Bezbłędnie dostosował do niej długość swojego kroku, znakomicie wyczuwał rytm. Miała wrażenie, że płynie w jego objęciach, że niosą ją melodyjne dźwięki utworu. Patrzył na nią, a jego twarz nie zdradzała żadnych śladów napięcia, chociaż może gdzieś w głębi oczu widać było cień jakiegoś bólu.

Zatańczyli znowu, potem jeszcze raz. Wirując w ramionach męża, Amelia zauważyła, że Robert już po raz trzeci tańczy z Luizą. Młoda dziewczyna, nadzwyczaj ożywiona, zaborczo zaciskała palce na jego dłoni. Raz po raz wybuchała perlistym śmiechem i poruszała się z takim animuszem, że stelaż pod materiałem jej sukni kołysał się i podskakiwał, odsłaniając kostki nad jedwabnymi pantofelkami na lekko wygiętych obcasach. Amelia posłała Robertowi rozbawione spojrzenie, na które odpowiedział kwaśną miną. Wyglądało na to, że już zupełnie przygasła wabiąca iskra w jego oczach, ale stało się: jego partnerka postanowiła odpowiedzieć czułością. Pani Callot, zamiast rozprawiać jak zwykle o tym czy o owym, przyglądała się temu z uśmiechem pełnym aprobaty na swej pełnej, bladej twarzy.

Kiedy wybrzmiała ostatnia nuta tańca, Robert odprowadził Luizę na miejsce między jej rodzicami, odwrócił się i podszedł do Amelii, która z wachlarzem w dłoni stała wraz z Julianem przy francuskim oknie. Skinął głową i przywołał na twarz uśmiech.

- Wybacz, kuzynie - powiedział do Juliana - ale czy byłbyś tak uprzejmy i pożyczył mi żony?

Amelia poczuła, jak Julian tężeje. Zerknęła na niego kątem oka, potem przeniosła wzrok na Roberta, który nagle przestał się uśmiechać. Pragnąc przerwać pełne napięcia milczenie, powiedziała żartobliwym tonem:

- Czyżbyś był w tarapatkach i potrzebował kogoś jako obrońcy, Robercie?

- Nie. Raczej kogoś, kto potrafiłby odciągnąć ścigające zwierzyne charty. Czuję się jak zając, którego wypłoszyły z bezpiecznych krzewów.

- Charty - powtórzył Julian, odprężywszy się wyraźnie - ale chyba samice?

- Zgadza się.

Amelia przechyliła głowę.

- Możesz wziąć w objęcia swoją prześladowczynię.

- Nie, dziękuję. Mógłby się zdarzyć jeden uroczy napad śmiechu za dużo i byłbym zmuszony udusić...

- Suke? - podpowiedział Julian szyderczym tonem.

- Ja tego nie powiedziałem - zaprotestował Robert i, nie czekając na pozwolenie, podał Amelii ramię, po czym oboje weszli między tańczące pary.

To z powodu tańca brakowało jej tchu; z tej samej przyczyny jej serce biło przyspieszonym rytmem, czuła ciężar w piersiach, a jej policzki oblewał ciemny rumieniec. Poza tym nie przywykła do tego rodzaju wysiłku, dlatego czuła się odrobinę słaba i miała lekki zawrót głowy, gdy wirowała w mocnych objęciach Roberta. Uniosła głowę, by napotkać uważne spojrzenie jego oczu. Zadrzała i czym prędzej uciekła wzrokiem w bok.

- Winien ci jestem przeprosiny.

- Słucham?

- Nie zapytałem, czy ty masz ochotę tańczyć ze mną. Jeśli nie chcesz, powiedz tylko, a odprowadzę cię z

powrotem do Juliana.

Zdobyła się na beztroski ton.

- Nie bądź śmieszny. Dlaczego miałabym ci odmówić?

- Nie wiem. Może nadeszła moja kolej, żeby zapytać, czy cię nie obraziłem. - Mówił głębokim, spokojnym głosem.

- Jeżeli nie zmienisz nastroju, wtedy może rzeczywiście nadejdzie. Należymy do tej samej rodziny, a ja doskonale wiem, ile my tutaj, w Belle Grove, mamy tobie do zawdzięczenia. Chyba nie musimy robić nadmiernych ceremonii i nie będziemy roztrząsać drobnych nieporozumień.

- Jestem ostatnim człowiekiem, który dążyłby do tego. Jednakże tak bardzo zrosłaś się z plantacją, że zapominam czasem, iż dopiero od niedawna jesteś pośród nas i być może nie zawsze rozumiesz nasze zasady postępowania.

- To chciałam usłyszeć.

Tym razem jej głos brzmiał zdecydowanie. Mogło się wydawać, że Robert akceptuje jej otwartość. Jednakże jakiś czas później miała pożałować, iż zbyt szybko ucięła ten temat.

Stało się to w przerwie między tańcami, kiedy Sir Bent odłożył skrzypce, by odpocząć i napić się czegoś. Starsi spośród gości zeszli na dół do pokoju stołowego w poszukiwaniu swego odłożonego deseru, podczas gdy młodszy wybrali poncz w salonie albo spacer w nocnym chłódzie po górnej galerii. Amelia, rozłożywszy suknię, usiadła na brzegu drewnianego kufra w łodzi. Przez chwilę była sama. Nagle ogarnęło ją poczucie winy. Jako gospodyni powinna czuwać, czy w jej domu dba się o gości, zwłaszcza zaś o tych, którzy byli właśnie w pokoju stołowym. Dobrze, że na dole przebywała pani Declouet, w salonie zaś Julian. Może to wystarczało.

Jej nadzieje potwierdziły się, gdy usłyszała słowa głośno wypowiedziane przez męża. Podniosła się i nasłuchując zatrzymała w drzwiach do salonu. Chodziło o grę, coś w rodzaju ciuciubabki. Ciuciubabka - na początku zabawy w osobie Juliana - miała z zawiązanymi oczami zostać obrócona dookoła, żeby stracić orientację. Poszukiwania planowano odbywać przy zgaszonym świetle. Zatem i ciuciubabka, i pozostali uczestnicy zabawy mieli napotykać podobne przeszkody. Ponadto osoba złapana była zobowiązana dać fant i wystąpić w roli ciuciubabki.

Kiedy nadzwyczajne zalety takiej zabawy stały się oczywiste, rozległy się głosy aprobaty ze strony mężczyzn oraz gorszące okrzyki radości ze strony młodych dam. Kilka starszych kobiet, obecnych jako przywoitki, spojrzęło na siebie, unosząc do góry brwi, ale żadna głośno nie wyraziła sprzeciwu. Już po chwili znalazła się opaska, zgaszono świece w żyrandolu i w kilku kandelabrach. Nie było żadnego kłopotu z określeniem kierunku, z którego dochodził chichot Luizy. Dały się słyszeć westchnienia i kilka wymamrotanych przekleństw, kiedy niektórzy nieoczekiwanie wpadali na meble albo na siebie nawzajem. Większość próbowała przemykać się bezgłośnie, ale zdradzali się szuraniem butów lub pantofelek po gołej podłodze, szelestem halek, spódnic i nogawek spodni w tętniącej życiem ciemności.

Amelia odwróciła się i powoli przeszła do miejsca, gdzie przy ścianie łodzi kończyła się balustrada. Nie była w nastroju do zabawy, która wydawała się jej mało rozsądna, choć zarazem dość niewinna, ale która bez wątplenia musiała się zakończyć z chwilą odkrycia przez dorosłych z pokoju stołowego, że zgaszono światło. Znadto jednak była zmęczona, by się o to martwić. Marzyła o tym, by wieczór dobiegł końca i by mogła wreszcie znaleźć się w łóżku.

Nie dźwięk ją zaniepokoił, lecz czyjaś obecność. Odwróciła głowę, by ujrzeć zbliżającą się sylwetkę mężczyzny o masywnych ramionach, widoczną w poblasku światła padającego na podwórze z okien pokoju stołowego. Najwidoczniej Julian dostrzegł ją na zewnątrz - pomyślała, rozchylając usta w lekkim uśmiechu. Uniosła nieco skraj sukni i zaczęła cofać się ostrożnie w stronę kąta. Mężczyzna zmienił nieco kierunek i podążył teraz dokładnie za nią w gęsty mrok.

Chwilę później mężczyzna pochylił się nad nią, wyciągnął ramiona, by przytulić ją do siebie. Jego dłonie, czułe i jakże znajome, przesunęły się po niej, zatrzymały na wcięciu w pasie, po czym powędrowały wyżej, by zamknąć się na jej piersiach. Głosem nieco ochryplym powiedział:

- Amelio, *cherie*, to będzie mój fant.

Ustami opadł na jej wargi, rozpalając je żarem namiętności. Objął ją mocniej, zatracając się w pocałunku, rozkoszując się ochoczą uległością ust Amelii. Rozkwitało w niej pożądanie. Przylgnęła do niego, czując, jak uwierają ją guziki jego kamizelki. Tak silne było jej pragnienie, że wyginając ciało w łuk, straciła równowagę, a przed upadkiem uchroniła ją siła jego ramion.

Nagle obok nich rozległ się trzask zapalanej zapalki. Ułamek sekundy później zrazu mały, żółty ogienek strzelił do góry jasnym, rażącym w oczy płomieniem. Amelia odskoczyła do tyłu. Na wpół oślepiona, odwróciła się, jednocześnie uświadamiając sobie, że mężczyzna przy jej boku jest całkowicie spokojny. Powędrowała wzrokiem ponad drżącym płomykiem w górę ręki mężczyzny, który go trzymał, ku jego twarzy.

Julian.

Jej mąż trzymał w dłoni opaskę.

Ona zaś znajdowała się w objęciach Roberta.

Rozdział VIII

Amelia leżała w łóżku, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w moskitierę. Wspaniale, jedwabście

połyskujące włosy rozsypywały się na poduszce wokół głowy. Tym razem nie miała wątpliwości. Nie mogło być mowy o pomyłce. Mężczyzną, który miał ją w małżeńskim łóżku, był Robert. Mężczyzną, który kochał się z nią w altanie, był Robert. Mężczyzną, który doskonale poznał jej ciało, który posiadał je centymetr po centymetrze, który rozpałił w niej namiętności i obdarzył najbardziej wysublimowaną formą radości, był Robert.

Czuła się skalana.

Jakim prawem oszukał ją w ten sposób? Jak mogło do tego dojść? Dlaczego?

Jak to się stało, że sama pozwoliła mu wejść do swojego łóżka? On i Julian byli do siebie podobni. Były jednak między nimi poważne różnice. Przypominała sobie, że tamtej pierwszej nocy pomyślała, iż jej mąż stał się bardziej pewny siebie, a nawet, o tak, odmieniony. Ale czy mogła wcześniej wpaść na ślad tej zmiany? Niepojęte było to, że Robert ośmielał się wykorzystywać ją w podobny sposób, że ryzykował naruszenie surowych konwenansów, które ich pętały. Tak bardzo niestosowne było to zachowanie, wręcz nie do pomyślenia. Może więc na tym polegała tajemnica jej łatwowierności.

Powiedział, że ją kocha. I to było kłamstwo największe ze wszystkich. Czy trzeba było posuwać się tak daleko w tym oszustwie?

Stała się cudzołożnicą. Zgrzeszyła, choć była bez winy.

Nie, nie, nie! Nie mogła przecież w to wierzyć, nie wolno jej było w to wierzyć. Normalni, zwykli ludzie nie postępują w ten sposób. Oszukiwała samą siebie. Wyjaśnienie było proste: za jej stan odpowiedzialne są świeżo rozbudzone namiętności. Było jedynie dziełem przypadku, że pocałunki męża oraz Roberta były do siebie podobne. Bez wątpienia większość pieszczoł jest do siebie podobna. Nie miała doświadczenia w tych sprawach, ale jakąż mogła istnieć różnica w zmysłowym połączeniu ust?

Robert i ona ulegli wzajemnie magnetycznej sile. Zamierzał ledwie ukraść jej pocałunek, nic więcej. Albo wszystko sprowadzało się do zwykłej zabawy, wymyślonej zresztą przez Juliana. Dlatego Robert poszedł jej śladem w ciemnościach. Nie sugerował chyba nic więcej, kiedy zobaczył jej zaskoczona twarz? Jak on to powiedział? „Głupia i okrutna zabawa. Nie powinniśmy się zakładać. Najmocniej proszę cię o wybaczenie”.

Ale wtedy chyba musiał coś powiedzieć? Same okoliczności wymagały dołożenia pewnych starań, by ją przebłagać. Nieważne, w jaki sposób.

Już od pełnych pięciu dni dręczyły ją wątpliwości. Mało spała pierwszej nocy po *soirée*, a i później niewiele więcej. Żegnała wszystkich gości, nie myśląc już wcale o tym, że powoli powraca spokój i prywatność, za czym tak tęskniła. Pragnęła poznać prawdę, ale tak bardzo przerażało ją to, co mogłaby odkryć, że co noc przy łóżku pozostawiała zapaloną lampę. W każdym razie była zdecydowana ujrzeć twarz mężczyzny, który przyjdzie do niej teraz, kiedy jej pokój znowu należał tylko do niej.

Nikt jednak nie przychodził.

Zupełnie nie wiedziała, co ma myśleć o całej sytuacji. Jeśli Juliana odstręczyło jej zachowanie albo jeżeli krępowało go własne postępowanie, to rzeczywiście mógł jej unikać. Dowiedziała się od Lally, że od czasu tamtego wydarzenia większość nocy spędzał w St. Martinville, a powracał do Belle Grove wczesnym rankiem. Popołudnia mijały mu na szermierce, ćwiczeniach w strzelaniu do celu, na malowaniu podczas niedalekich wypraw łodzą. Oddawał się najprzeróżniejszym zajęciom, ale w miejscach oddalonych od domu.

Z drugiej strony Robertowi, jeżeli rzeczywiście to on był jej kochankiem, mogło nie odpowiadać uwodzenie jej w świetle lampy. Nie sądziła, aby oprócz sumienia mogła istnieć jakaś inna przyczyna, która trzymałaby go od niej z daleka.

Knot lampy, która stała na stoliku przy łóżku, zaskwierczał i płomień zachwiał się. Amelia odwróciła głowę, by zerknąć na małą lampę z szybkami w kolorze intensywnego różu, podstawą i małym kominem o tej samej barwie. Łagodne, różowe światło, jakie rzucała, rozproszone przez zasłonę przeciwko moskitom, padało na jej policzki i podświetlało wyniesienia piersi ponad linią dekoltu koszuli nocnej, nadając skórze miękką, delikatną odcień. Jeszcze raz płomień zatańczył, a knot zaskwierczał cicho.

Czyżby zabrakło nafty? To niemożliwe. Przecież Lally uzupełniła zapas tego dnia rano. Amelia leżała, przyglądając się przez chwilę płomieniowi, ale odgłos się nie powtórzył. W końcu odwróciła się i zamknęła oczy. Uniesionym ramieniem osłoniła je od światła. Zawsze sypiała w ciemności i nie przywykła jeszcze do spania w oświetlonym pokoju. Kusilo ją, by zgasić lampę. Skoro nikt nie przyszedł w ciągu ostatnich pięciu dni, należało się liczyć z tym, że w ogóle się nie pojawi.

Nie była to miła myśl bez względu na podejrzenia i dręczące ją wątpliwości. Miałaby już nigdy nie znaleźć się w ramionach kochanka? Nie odczuć jego pieszczoł i narastającej ekscytacji, jaką przynosiły? Czy przypadkiem sama przez własne zachowanie nie skazywała się na jałową egzystencję? Ta myśl była nie do zniesienia, cóż jednak powinna uczynić?

Mogła pogodzić się z tym, co jej zgotował los. Jeżeli dopuszczała się cudzołóstwa, to na pewno nie z własnej woli. Ktoś inny zdecydował za nią. W tych okolicznościach, tak jak je pojmowała, pozostało jej jedynie starać się odgadnąć przyczyny. Jakże miała prawo osądzać z góry, że nie były poważne? Czy wolno jej było cokolwiek niweczyć? Nic nie wskazywało na to, żeby ktoś tak ułożył bieg spraw, by czerpać z tego osobiste korzyści. Ale skąd miała wiedzieć, czy tak jednak nie było?

Kiedy w końcu zasnęła, dręczyły ją niespokojne sny, wypełnione mrocznymi obrazami i odczuciem nie zaspokojonego pożądania. Przewracała się z boku na bok, aż jej włosy pookręcały się wokół niej niby więzy, a nocna koszula podwinęła do góry. Obawiała się ciemności, lecz naprawdę prześladowała ją plama światła, która stawała się jeszcze jaśniejsza, zalewając świat blaskiem, nim nagle bez powodu zgasła. Doznała ulgi. Ułożyła się na boku, ściskając mocno poduszkę w rozkołysanej, rozszepowanej ciemności.

Pierwsze dotknięcie nie było silne, ot, zaledwie muśnięcie, za to wrażenie, jakie przyniosło, było niby mała iskra. Następne, mocniejsze, rozbudziło w jej ciele słodkie podniecenie, które po chwili z niewiarygodną szybkością zamieniło się w morze płomieni. Poruszyła się; na skórze poczuła dotyk nagiego ciała, na piersi - ciężar czyjejś dłoni. Miała wrażenie, że nogi i ręce ma skrępowane. Jej umysł pozostawał jeszcze w otępieniu, lecz już pulsował w rytm pragnienia, które ją przenikało. Wydając z siebie cichy jęk, odwróciła się, by poddać usta władzy gorącego i chciwego pocałunku. Otoczyły ją silne ramiona i przyciągnęły ku twardemu ciału. Mężczyzna trzymał ją przez chwilę w uścisku, potem uniósł się ponad nią. Najpierw jej nocna koszula powędrowała do góry, a następnie jego kolana znalazły się między jej udami. Posiadł ją, składając jednocześnie twarz na łagodnym łuku jej szyi.

Obudziła się w przypiływie wilgotnej fali pożądania. Bezwolna wobec jej naporu, wyciągnęła ręce, by otoczyć nimi mężczyznę, by przesunąć dłońmi wzdłuż jego boku, wokół napiętych mięśni pleców. Ale on spoczywał teraz bez ruchu.

Nie tego pragnęła. Przyłgnęła do niego, sięgając ustami nieco szorstkiej skóry jego twarzy.

Unosząc się nad nią, gwałtownie wciągnął powietrze i nadał im obojgu rytm, który swą triumfującą siłą popchnął ich w szaleństwo nieokiełznanej rozkoszy. Poddali się jej: potężnej burzy namiętności graniczącej z brutalnością i zabarwionej poczuciem winy. Porwała ich w swój wir, unosząc coraz wyżej i wyżej. Przeobrażeni, połączeni w jedność, wzbijali się ponad doczesne troski śmiertelników. Nie mieli wieku ani imion, przeszłości ani przyszłości, nie wiązały ich już żadne więzy. Należeli jedynie do nocy i do siebie, poddali się władzy rozkoszy, która zagarnęła ich gwałtowną falą i powiodła do krainy spełnionej szczęśliwości.

Jakiś czas później kochanek zsunął się z niej i ułożył z boku. Amelia poruszyła się, rozciągając skurczone mięśnie. Patrzyła nieruchomo w mrok, oddychając równo i spokojnie. Potem przewróciła się, wyciągnęła rękę i rozsunęła zasłonę przeciwko moskitom. Po omacku trafiła dłonią na lampę, która stała na nocnym stoliku. Różowa szybka była jeszcze ciepła. Pokrętko, którym regulowało się długość knota, znajdowało się w takim położeniu, jakby ktoś je maksymalnie przekręcił.

W szufladzie nocnego stolika znajdowało się cynowe pudełko zapalek. Sięgnęła tam, do małej szuflady. Zagrzechotało okucie w kształcie leżki.

- Proszę, nie! - rozległ się ochryply szept. - Nie rób tego.

Przez długą chwilę leżała bez ruchu, nasłuchując bicia własnego serca, potem odezwała się:

- Muszę. Czyżbyś tego nie rozumiał?

Zamiast odpowiedzi poczuła, że materac obok niej unosi się. Usłyszała szelest rozsuwanej zasłony chroniącej przed moskitami, a następnie ubrania.

Odchodził od niej. Uniosła się wyżej na łóżku, wyciągnęła szufladę, po omacku znalazła pudełko. Pierwsza zapalka złamała się, gdy potarła nią pośpiesznie o brzeg pudełka. Druga strzeliła iskrą, ale zapłonęła. Amelia uniosła rękę, lecz poprzez przejrzystą tkaninę zasłony dojrzała jedynie ciemniejszy prostokąt między rozsuniętymi skrzydłami drzwi. Wyraźnie słyszała odgłos przekręcanej gałki przy drzwiach wychodzących na zewnątrz.

Opuściła zapalkę, nie troszcząc się o lampę. Odrzuciwszy na bok skraj nocnej koszuli, opuściła nogi i ześliznęła się na podłogę. Podbiegła do otwartych drzwi, minęła je i po chwili była już przy wyjściu na zewnątrz.

Nagle zatrzymała się. Stała z włosami opadającymi powoli na ramiona. Znalazła w końcu odpowiedź, która nie mogła już budzić żadnych wątpliwości. Julian nie uciekałby, nie zbierał w pośpiechu ubrań i nie wybiegał w ciemną noc jak przestępca. Czy mimo wszystko miałby powód do ucieczki? Przecież należała do niego, był jej mężem. Zatem nie sposób już było dłużej zamykać oczu na prawdę. Choć wiele przeciwko temu przemawiało, choć wydawało się to nieprawdopodobne, to jednak mężczyzną, który ją przed chwilą opuścił, który opuszczał ją za każdym razem, był nie kto inny, tylko Robert.

To było nie do zniesienia. Musiała porozmawiać z Julianem.

Postanowienia poczynione nocą nie zawsze łatwe są do spełnienia za dnia. Kiedyś miała już podobny zamiar, i co z tego wyszło? Usłyszała wymówkę sugerującą, że jest nielojalna, ponieważ brała pod uwagę możliwość posłużenia się przeciwko niej intrygą.

Jak wprost zapytać męża, czy pozwolił innemu mężczyźnie wchodzić do jej sypialni? Czy należało oczekiwać od niego uczciwej odpowiedzi, jeżeli jego honor jako mężczyzny oraz subtelna harmonia w ich małżeństwie mogły zależeć od ukrywania przed nią prawdy? A czy ona sama rzeczywiście pragnęła potwierdzenia?

Gdyby położyła kres potajemnym schadzkom, mogłaby udawać, że nic się nie wydarzyło. Tak, chyba właśnie znalazła najrozsądniejsze wyjście z sytuacji. Będzie zachowywać się tak, jak gdyby nie odkryła prawdy. A poprawne maniere powinny wystarczyć, aby nadal grać rolę żony Juliana.

Na dobrą sprawę nie miała żadnego wyboru. Unieważnienie małżeństwa w związku z tym, że nie zostało skonsumowane, najwyraźniej jawiło się jako nierealne. Z kolei rozwód, nawet gdyby został zaakceptowany przez

Kościół, wiązał się ze skomplikowaną procedurą, z udziałem sądu stanowego włącznie. Przyczyny rozwodu podlegały w takich przypadkach ujawnieniu. W konsekwencji wybuchłby skandal. Należałoby mu stawić czoło. W dodatku nie istniała żadna gwarancja, że uzyska rozwód, jeżeli Julian sprzeciwi się i zechce wykorzystać swe wpływy i pieniądze. No i co potem? Jakie życie czekało ją jako kobietę formalnie wolną, ale duchowo związaną z przeszłością?

Oczywiście mogła wrócić do ciotecznej babki Ton-Ton, która poznawszy prawdę, pozwoliłaby na to bez zastrzeżeń i znowu stałaby się jej opiekunką. Ale czy naprawdę chciała ponownie zostać podopieczną wiekowej kobiety, kiedy zaznała już komfortu bycia panią własnego domu? Mimo wszystko lubiła Juliana, który, jeśli tylko dołożył starań, potrafił być wspaniałym towarzyszem. Wydawało się jednak, iż istniała bardzo niewielka szansa, żeby zaczął ją darzyć względami nieco odmiennej natury. Dlaczego zatem nie miałyby żyć w spokoju jako jego żona dopóty, dopóki udawałoby się jej powstrzymać Roberta przed potajemnymi odwiedzinami? Ale czy zdołałaby zapobiec im bez pomocy Juliana, bez rozmowy z nim?

Podobne myśli nawiedzały ją falami przez cały ranek i popołudnie następnego dnia, nie przekształcając się w żadną konkluzję. Przez pewien czas myślała, że powinna zachować lojalność wobec swego małżonka; chwilę później karciała się za tchórzostwo, ponieważ nie zdemaskowała Roberta, kiedy miała ku temu okazję, nie wyrwała się z jego ramion, nie uderzyła go. Próbowала sobie tłumaczyć, że była zaskoczona, nie miała pewności, zarazem jednak wiedziała dobrze, iż przyczyną była też jej własna słabość. Była bezradna wobec pożądanego, wobec zachwycającej mocy jego dotyku, odurzającej słodyczy pocałunków.

Jej uczucia i myśli były tak poplątane, że kiedy wyszła na podwórze i zobaczyła barkę Juliana przybijającą do nabrzeża, zawahała się między wybiegnięciem mu na spotkanie a pozostaniem w miejscu. Jej mąż leżał na poduszkach, spoglądając do góry na żagiel w kremowo-błękitne pasy, teraz lawendowy w promieniach gasnącego słońca, podczas gdy Tige manewrował małym statkiem. Usiadł, dostrzegł ją i uniósł dłoń w zdawkowym pozdrowieniu. Kiedy łódź uderzyła o nabrzeże, wskoczył na burłę, a następnie na drewniany pomost, pochwycił rzuconą mu linę i zawiązał ją na specjalnym kołku. Potem odwrócił się do Amelii.

- Masz jakieś zmartwienie?! - zawołał.

- Nie, nie - odpowiedziała, uświadamiając sobie, że może to wyglądać, jakby celowo wyszła mu naprzeciw. - Po prostu spaceruję.

- Cieszę się, że znalazłaś czas. Zwykle jesteś taka zapracowana. - Zbliżył się, po czym ona odwróciła się i przy boku męża ruszyła z powrotem w stronę domu.

Była trochę zdziwiona, ponieważ nigdy nawet nie przypuszczała, że on zwraca uwagę na to, co robiła.

- Niewiele dzisiaj zdziałałam, oprócz przyjęcia kilku wizyt.

- Pozwolę sobie w to wątpić - powiedział oschle - ale nieważne. Wszystko układa się bez problemów? Nie było więcej kłopotów z Dye'em?

- Wszystko w porządku. - Już prawie zdążyła zapomnieć o Patryku i ostatnim incydencie z jego udziałem. Od tamtej pory zaprzętała ją jedna główna troska; nie miała czasu na inne zmartwienia.

- To dobrze.

Przeszli ramię przy ramieniu kilka metrów.

- Julianie?

Jego uśmiech był swobodny i naturalny, kiedy spojrzał na nią z wyrazem oczekiwania na twarzy. Słowa, które chciała wypowiedzieć, przelatywały jak błyskawice w jej umyśle. Przejęta obawą, by go nie urazić, nie była w stanie ich uporządkować. Uciekła się do pierwszego bezpiecznego tematu, jaki przyszedł jej do głowy.

- Niedawno przyjechał posłaniec od Morneyów. Zostaliśmy zaproszeni na bal kotyliionowy, który urządzają za dwa tygodnie.

- To miłe.

W jego oczach pojawiło się pytanie, jakby podejrzewał, że coś innego chciała mu powiedzieć. Pospieszyła czym prędzej rozwiązać te wątpliwości.

- Sądząc po licznych zaproszeniach, jakie widziałam w koszu posłańca, cała okolica będzie tam gościć. Czy mimo to chciałbyś się wybrać?

- Czemu nie? Oni nie pogardzili naszym *soirée*, zatem byłoby czymś niestosownym, gdybyśmy im nie pozwolili podejmować się w rewanżu. Poza tym potrzeba nam rozrywki dla poprawy samopoczucia.

- Jeśli tak uważasz, prześlę zawiadomienie o przyjęciu zaproszenia - powiedziała, a po sekundzie dodała jeszcze:

- W czworakach wystąpiło kilka przypadków febry. Zaczęłam podawać chininę.

Spojrzał na nią surowo.

- Powinnaś być ostrożna. Nie możesz ryzykować zdrowia teraz, kiedy...

Stanął w miejscu, jak gdyby w ostatniej chwili powstrzymał się przed wypowiedzeniem do końca zdania, którego część już z siebie bezwiednie wyrzucił.

Odwróciła się do niego.

- Kiedy co?

- Musisz wiedzieć, że stan twojego zdrowia jest dla mnie ważny.

- Ale dlaczego akurat teraz?

Uśmiechnął się z oczyma skupionymi na jej twarzy.

- Z przyczyny oczywistej dla każdej młodej mężatki po kilku miesiącach od uroczystości ślubnej, *cherie*.

- Och! - zawołała cicho, gdy pojęła, o co mu chodzi. - Rozumiem. - Chciał zwrócić jej uwagę, aby nie narażała zdrowia w okresie, kiedy mogła spodziewać się dziecka.

- Ostatnio wyglądałaś wyjątkowo ładnie. Promieniałaś wprost szczęściem. Przyszło mi do głowy, że może masz mi coś do powiedzenia na ten temat?

Sama teraz rozważała ten problem. Czas minął już dawno, mimo wszystko nie miała pewności. Nigdy nie liczyła, czy okres występował regularnie. Nie było takiej potrzeby, przynajmniej jeszcze przed kilkoma tygodniami. Pojawiała się możliwość, której konsekwencji nie chciała rozpatrywać. Po chwili odrzekła:

- Nie, nie sądzę.

- To niedobrze.

W jego cichym głosie zabrzmiał szczery żal. Nie potrafiła sobie wyobrazić, dlaczego miało to dla niego znaczenie. Może zmęczyło go udostępnianie Robertowi wejścia przez swój pokój, a może nie chciał już dłużej być rogiaczem. Nie zdążyła spytać, bo oto stali już przy drzwiach. Skłoniwszy głowę swym jak zwykle czarującym gestem, Julian odszedł, by wziąć kąpiel i przebrać się przed kolacją.

Posiłek przebiegał w spokojnej atmosferze i nie trwał długo. Julian dosyć szybko wstał od stołu, stwierdziwszy, że ma ważne spotkanie w mieście. Amelia wzięła do łóżka książkę i leżała czytając, dopóki nie upewniła się, że odjechał. Następnie wstała i kawałkiem wstążki obwiązała gałki u rozsuwanych drzwi tak, żeby nie można było ich otworzyć. Pomyślała, że będzie w nocy czuć, aby przekonać się, czy ktoś nie spróbuje szarpać za nie, ale dosyć szybko zasnęła. Kiedy obudziła się ponownie, świeciło słońce.

Weszła do pokoju stołowego i stanęła jak wryta. Był tam Robert. Swobodnie wyciągnąwszy przed sobą nogi w wysokich butach, siedział wygodnie na krześle i trzymał w ręku filiżankę kawy. Podniósł się, gdy dostrzegł Amelię w drzwiach, i wysunął dla niej krzesło.

Nastąpiła chwila niezręcznego wahania. Amelię opuściło jej zwykle opanowanie. Nie była w stanie odezwać się ani nawet poruszyć. Stała wpatrzona w Roberta, czując, jak z policzków odpływa jej krew. Pani Declouet podniosła oczy znad listu, który właśnie czytała, uniosła jedną brew. Chloe właśnie mówiła coś półgłosem do Jerzego, ale zaraz zamilkła, spojrzała do góry i zmarszczyła czoło. Jerzy ciężko przełknął ślinę; w jednej chwili przygasło spojrzenie jego jasnoniebieskich oczu.

- Dzień dobry, *ma chère* - powiedziała starsza pani uspokajającym tonem. - Mamy wspaniałą wiadomość. Rośliny z Chin przybyły do Nowego Orleanu i pierwszy wybór ma należeć do mnie. - Pomachała listem. - Otrzymałam to dzisiaj rano od agenta okrętowego za pośrednictwem specjalnego posłańca. Jerzy niezwłocznie wyjedzie obejrzeć te skarby.

- Cieszę się - odparła Amelia. Ledwie ją było słyszeć, ale przynajmniej mogła mówić i poruszać się w sposób, który od biedy powinien uchodzić za zwyczajny, mimo że przenikało ją drżenie. Starła się nie patrzeć na Roberta, gdy siadała na krześle, które jej podsunął. Wyczuwała jego badawczy wzrok, jak gdyby była naznaczona jakimś piętnem. Kiedy Isa, jak to miał w zwyczaju, przyszedł jej śladem, by napełnić filiżankę kawą, natychmiast skorzystała z okazji i odwróciła się od kuzyna męża.

Pani Declouet jeszcze bardziej pogodnym tonem zaczęła opisywać zadania i marszrutę Jerzego; miał wsiąść na parowiec w St. Martinville, by popłynąć w dół rzeki do Bayou Boeuf, stamtąd zaś nowo wybudowaną linią kolejową, przeprowadzoną przez Bayou Boeuf w lutym tego roku, dostać się do Nowego Orleanu. Koleją przez tak zwane drżące prerie oraz między „diabelskimi moczarami”, z oszałamiającą prędkością czterdziestu pięciu kilometrów na godzinę, docierało się na miejsce w czasie o połowę krótszym niż trasą wodną zakolami i rozlewiskami martwych odnóg Missisipi.

Chloe niechętnie godziła się z myślą o krótkim nawet rozstaniu z Jerzym. Najwidoczniej się obawiała, że może okazać się podatny na wdzięki miejskich piękności. Daremnie próbował jej tłumaczyć, że interesują go jedynie rośliny i dowieszenie ich cało do Belle Grove. Nie uspokoiło jej to. Znowu zaczęła go błagać, by przed wyjazdem porozmawiał z Julianem, jak gdyby jego zgoda na trwalszy związek mogła powściągnąć inklinacje jej ukochanego do podróżowania.

Ponieważ Jerzy wyglądał na coraz bardziej udęczonego, Robert, który ponownie zajął swoje miejsce, zapytał, czy rok podróży to nie za długo dla krzewów, które musiały jeszcze znieść transport w promieniach letniego słońca Luizjany. Anglik momentalnie rozpogodził się i zrobił mu długi wykład na temat szans przetrwania krzewów transportowanych w wypełnionych ziemią donicach i beczkach. Rośliny, po które jechał, nie tylko miały przetrwać w dobrym stanie podróż z Chin, ale potem jeszcze wytrzymać przeszczepy, różne sposoby nawadniania, odmienną intensywność nasłonecznienia, dzięki czemu powinny w efekcie przystosować się do nowych warunków.

Amelia była zajęta swoimi myślami, nie próbując nawet włączyć się do rozmowy. Kruszyła bulkę i jadła czarne jagody ze śmietaną, które Isa przyniósł jej w chwili, kiedy szukała gorączkowo pretekstu, by wymknąć się, jak tylko nastąpi moment przerwy.

Robert sam wybawił ją z kłopotu. Zanim zorientowała się, co zamierza, przeprosił, wypił ostatni łyk kawy,

chwycił za kapelusz, który leżał na stole, i skierował się w stronę drzwi. Obserwowała go, jak idzie, a na jej twarzy malowała się ulga i bezwiedne cierpienie. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze. Wnikliwe spojrzenie jego oczu odnalazło ją, po czym znieruchomiał. Ponieważ nie spuściła wzroku, musiała wytrzymać owo intensywne w wyrazie, nieme pożegnanie. Pod skórą na jego policzku pulsował mięsień, a linia ust wyrażała smutek. W głębi granatowych oczu można było wyczytać zrozumienie jej osamotnienia.

W jaki sposób miała przejść przez resztę swojego życia, spotykając Roberta na każdym kroku? Nie można było tego uniknąć, ponieważ Belle Grove traktował prawie jak swój dom. Widzieć go, wiedzieć, co się między nimi wydarzyło, i nigdy o tym nie mówić, nigdy tego nie potwierdzić - przekraczało jej siły; była tego pewna.

Spotkanie to tak bardzo ją rozstroiło, że ledwie dostrzegła, kiedy Jerzy wyszedł nadzorować przygotowania do swojego wyjazdu, a Chloe wymknęła się z chusteczką przyciśniętą do oczu. Jej zamyślenie przerwała dopiero pani Declouet, kiedy wyciągnęła rękę i zacisnęła chłodne palce wokół nadgarstka Amelii.

- A teraz, *ma chère*, powiedz, co cię dręczy. Dolega ci coś?

- Nie, nic - zaprzeczyła pospiesznie Amelia, przestraszona, że teściowa nawiąże do sprawy, którą po południu poruszył Julian.

- Nie możesz przecież udawać, że jesteś taka jak dawniej.

- Wdzięczna jestem za troskliwość, ale ja tylko... popadłam w stan głupiej melancholii - powiedziała, dzielnie starając się skłonić do uśmiechu.

- Czy Julian wyprowadził cię z równowagi? - zapytała starsza pani, mrużąc oczy.

- Ależ nie.

- Wobec tego... - pani Declouet zawahała się, potem podjęła na nowo: - Wobec tego może pokłóciłaś się z Robertem?

Amelia podniosła głowę.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Wprawdzie jestem już głupią starą kobietą, ale miałam wrażenie, że polubiłaś Roberta, a przed chwilą mogło się zdawać, że twoje uczucia uległy zmianie. Jeżeli uważasz, że mimo wszystko trudno znieść ci jego obecność, mogłabym z nim porozmawiać, poprosić go, by nie odwiedzał nas tak często.

Czy teściowa wypowiedziała te słowa z jakiegoś szczególnego powodu? Czyżby podejrzewała, co się wydarzyło, i zamierzała znaleźć pretekst, aby trzymać Roberta z daleka od Belle Grove?

- Mimo że Robert jest członkiem rodziny? - zapytała Amelia, starając się, by jej głos zabrzmiał możliwie beztrąsko. - Gdybym tego sobie życzyła, byłoby to z mojej strony okrutne, prawda? Poza tym nie ma najmniejszej potrzeby, by postąpić w taki sposób, zapewniam. Ja i Robert jesteśmy przyjaciółmi, a przez małżeństwo - także kuzynami, i... i między nami wszystko układa się dobrze. Tylko dzisiaj trochę jestem rozstrojona.

Pani Declouet nie wydawała się w pełni zadowolona z jej odpowiedzi; mimo wszystko nie drażyła dalej. Jakiś czas później Amelia zostawiła ją samą i poszła do swoich zajęć.

Dzień minął szybko, ale nie tylko dlatego, że Amelia wypełniła go wszystkimi możliwymi pracami, jakie potrafiła sobie znaleźć. Inna przyczyna tkwiła w lęku wywoływanym oczekiwaniem, co przyniesie najbliższa noc.

Przebrała się w nocną koszulę, nałożyła szlafrok i pozwoliła Lally rozczesać włosy. Pokojówka i Tige ostatnio bardziej zaprzyjaźnili się ze sobą i bez trudu można było dowiedzieć się, że Julian kolejny raz jest nieobecny w związku ze swoimi sprawami w mieście. Ta wiadomość nie uspokoiła Amelii. Kiedy Lally odeszła, zaczęła przemierzać pokój tam i z powrotem, szeleszcząc batystową nocną koszulą. Co jakiś czas przystawała, by upewnić się, że dom pogrąża się w ciszy.

Wielokrotnie zerknęła na drzwi do pokoju Juliana i wstążkę, która broniła przejścia. Silny mężczyzna mógłby sforsować przeszkodę jednym mocniejszym szarpnięciem, a sprytny - jednym ruchem noża wsuniętego w szczelinę między skrzydłami drzwi. Był to raczej symbol niż rzeczywiste zabezpieczenie, oznaka niechęci do dalszego uczestniczenia w farsie. Jeśli Robert miał w sobie choć odrobinę delikatności, powinien rozpoznać znak i zastosować się do jego przekazu.

Przesunęła opuszkami palców po rzeźbionej powierzchni kolumny stojącej w rogu łoża z baldachimem. Pozwoliła dłoni opaść na obramowanie i wzdłuż jego krawędzi dotarła do następnej kolumny. Aż do bólu zacisnęła dłoń na ostrym brzegu rzeźbionej ozdoby.

Nagle rozwarła palce i znieruchomiała. Co sprawiło, że była taka niespokojna? Obawiała się, że Robert przyjdzie, czy niepokoiła się, że może się nie pokazać?

Zanurzyła palce we włosy. Zachowywała się niemądrze. Nie ona była panią sytuacji. Ani nie pytano jej o zgodę, ani tym bardziej żadnej zgody nie wyrażała. Jeżeli z ujawnienia albo unicestwienia tego stanu rzeczy miałyby wynikać cierpienie, nie na nią spadnie wina. Jeśli znalazła w tym radość, uległa jej z czystym sercem i w dobrej wierze.

Z jakiej przyczyny miałyby pozostawać w osamotnieniu, wydeptywać dziury w dywanie i zadrećcać się w rozpacz? Nie było tu ani odrobiny jej winy. Padła ofiarą oszustwa i manipulacji. Do tak niegodziwych wybiegów nie posuwano się nawet przy wysiłkach otrzymania potomstwa od obiecującej klaczy. Czy wobec tego dobrowolnie powinna skazywać się na samotność albo milczeniem osłaniać innych?

Ogarnęła ją złość. Powodowana impulsem, odwróciła się i pomaszzerowała do zabezpieczonych drzwi. Powoli, z rozmysłem odwiązała wstążkę i rozsunęła drzwi. Następnie podeszła do nocnego stolika i z malej szuflady wyjęła pudełko zapalek. Pochyliła się, by zgasić lampę, która paliła się przy łóżku, po czym przecięła pokój i przeszła między skrzydłami otwartych drzwi do sypialni męża.

Sąsiedni pokój był pusty. Tige nigdy nie czekał na powrót Juliana. Przyczyna była teraz jasna, ale kiedy dowiedziała się o tym po raz pierwszy, uznała, że pozwalając lokajowi spać, Julian po prostu okazuje mu szczególne względy. Zamknawszy za sobą drzwi, pozostała w mroku.

Znała dobrze ten pokój, nie tylko z krótkich wizyt u Juliana, ale także dlatego, że zachodziła tutaj często, aby sprawdzić, czy pokojówki dobrze wykonują swoją pracę. Teraz powoli przesunęła się w kierunku umywalki, na której przy jednej ze ścian obok występu komina stała duża lampa z malowanym porcelanowym kloszem. Amelia odłożyła pudełko zapalek i ostrożnie zdjęła z lampy klosz oraz szklaną osłonę. Wysunęła pokrętłem nasycony naftą koniec knota. Znalazła w ciemności fotel, po czym przysunęła go jak najbliżej umywalki. Jeszcze raz wzięła do ręki pudełko z zapalkami i usiadła wygodnie, przygotowana na długie czekanie.

Rozdział IX

Minęła godzina i połowa następnej. Amelię zaczęły nachodzić wątpliwości co do sensu tego, co robiła, ale oddaliła je. Woląca nie rozmyślać, koncentrując się w zamian na każdym odgłosie wewnątrz domu i w jego pobliżu. Tej nocy nie było wiatru. Na zewnątrz wszystko zastygło w letnim bezruchu, a ciszę wypełniały rechot zab i cykanie świerszczy.

Nasłuchiwała nocnych odgłosów, więc bez trudu zorientowała się, że pierwsze ciche skrzypnięcie dobiegło od strony tylnych schodów. Zerwała się na nogi, wyjmując jednocześnie z pudełka zapalkę. Wszystkie jej zmysły były rozbudzone aż do bólu. Mimo to nie usłyszała już żadnego innego hałasu, dopóki gałka od drzwi wychodzących na lodzie nie drgnęła i nie zaczęła się obracać.

Otworzyły się bez jednego nawet skrzypnięcia, odsłaniając szary prostokąt, na tle którego pojawiła się sylwetka wysokiego mężczyzny, a następnie zamknęły. Mężczyzna zaczął iść w głąb pokoju, poruszając się ze zwinnością pantery. Nogawki jego spodni ocierały się o siebie z cichym szelestem, znacząc w ciemności kierunek, w którym się poruszał. Musiał odsunąć jedno ze skrzydeł drzwi, ponieważ lekko pisnęły na mosiężnej szynie. Jednym ruchem przekroczył próg.

Tyle wystarczyło.

Amelia potarła zapalką o brzeg pudełka i drżącą dłonią pospiesznie przytknęła do knota żółty płomyk. Teraz już nie bardzo wiedziała, co dalej robić. Jednocześnie zaczęła się obawiać, czy mężczyzna nie spróbuje zrejterować, a co gorsza, czy nie wybierze drogi przez salon i nie potknie się o Ise, który jak zwykle spał niemal na progu jej sypialni. Nic takiego się nie stało.

W przejściu między sypialniami, oparty silną ręką o drzwi, stał Robert. Patrzył wprost na nią, wyprostowany, z twarzą bez wyrazu.

Nie mogła wprost w to uwierzyć. Na przekór argumentom, którymi wcześniej przekonywała samą siebie, teraz uświadomiła sobie, że w istocie wtedy nie wierzyła w taką ewentualność. Zrobiło jej się słabo. Patrzyła na niego oskarżycielskim wzrokiem, dopóki płomień zapalki nie dosięgnął jej, palców. Syknęła i odrzuciła ją gwałtownym ruchem.

Głosem tak cichym i bezbarwnym, że ledwie wznoszącym się ponad ciszę, zapytała:

- Mógłbyś wyjaśnić mi, co tutaj robisz?
- Myślę, że wiesz. - Jego głos był spokojny, ale końce palców, którymi ścisnął skrzydło drzwi, zbieleły mu.
- Zamierzałeś zająć miejsce należne Julianowi. Rozumiem to, ale nie pojmuję motywów.
- Nie uczyniłem tego z własnego wyboru...
- Och, co do tego mogę dać wiarę! - Wraz z przyływem gniewu jej głos stał się bardziej ostry.
- Co nie znaczy - dodał po namyśle, z błyskiem w głębi oczu - że nie sprawiało mi to ogromnej przyjemności.
- Był to postępek nikczemny.

Minęła chwila, zanim odpowiedział, tym razem z nutą rozdrażnienia w głosie.

- Wolałabyś pozostać czystą, nietkniętą panną młodą?
- To nie ma nic do rzeczy! - krzyknęła, poruszając się gwałtownie. - Chcę przede wszystkim poznać powód tej maskarady, przyczynę, która się za tym kryła.
- Nie tak trudno zgadnąć.

Uniosła brodę.

- Podejrzewam, że chodzi o następcę, przyszłego dziedzica Belle Grove.
- Zgadza się.
- A ty wynająłeś się do udziału w tym przedsięwzięciu? Uważałam cię za człowieka honoru! - Zwróciła ku niemu twarz, jej oczy patrzyły z pogardą.

W jednej chwili cała krew odpłynęła z jego opalonej i wysmaganej wiatrem twarzy.

- Ja także za takiego się uważałem; teraz już nie mam pewności. Natomiast w tej sprawie, tak to teraz widzę, jestem takim samym pionkiem jak ty.

- Powinieneś był odmówić! Mnie nie dano wyboru.

- Zrazu odmówiłem.

Sposób, w jaki wypowiadał słowa przez ściśnięte gardło, pobudził jej pamięć. To było w saloniku, tamtego pierwszego dnia po jego powrocie na plantację. Tak, w dniu powodzi. Odrzucił jakąś sugestię, ale wtedy rozmowa natychmiast urwała się, kiedy ona weszła do środka. Dobrze pamiętała swoje odczucie, że była przedmiotem dyskusji, i pełną napięcia atmosferę.

- *M'mere* - powiedziała cicho, jakby tylko do siebie.

- *M'mere* - przyznał.

- Jak ona mogła? - zapytała łamiącym się głosem.

- Ona i mój wuj poświęcili wszystkie swoje siły temu miejscu, budując coś trwałego dla Juliana, dziedzictwo dla potomnych lub, jeśli wolisz, częśćkę swej nieśmiertelności. Jak rodowe posiadłości w Anglii czy Francji miało być przekazywane kolejnym pokoleniom... ale powstało niebezpieczeństwo, że nie będzie już więcej następców.

- Przecież dziecko, które ty i... to znaczy, które ja mogłabym urodzić, nie byłoby z nią spokrewnione.

- Za to byłoby krewnym jej męża, poprzez syna Jego siostry, czyli mnie.

- Dlaczego więc nie przekazać Belle Grove bezpośrednio twoim dzieciom? - zapytała, ciągle nie panując nad głosem.

- I dopuścić, aby stopiło się z moim majątkiem? Poza tym jestem kawalerem, zatem nie ma żadnej gwarancji, że we właściwym czasie pojawią się dzieci, aby ciotka mogła je ukształtować jak swoje własne.

- We właściwym czasie?

- Zapewne zauważyłaś, iż nie czuje się najlepiej. Nie mówi o tym, ale ostatniej jesieni odwiedziła wielu lekarzy. Właśnie dlatego...

- Właśnie dlatego w takim pośpiechu zaaranżowała małżeństwo Juliana ze mną - dokończyła.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie. Nie do zniesienia jest raczej obecna sytuacja. Trzeba to przerwać. Trzeba! Słyszysz?

- Słyszę, tak samo jak będą słyszeć wszyscy mieszkańcy tego domu, jeżeli...

- Nie dbam o to! Czy ty nie rozumiesz? Jestem cudzołożnicą! Może nic to nie znaczy dla ciebie i twojej zamężnej metresy, ale w moim przypadku jest inaczej!

- Mojej... jak to powiedziałas? - Ściągnął brwi i zmarszczył czoło.

Zignorowała jego gniewne pytanie, starając się wyrazić w słowach splątane myśli.

- Możesz mówić, co ci się podoba, ale nikt, nikt nie zmuszał cię, byś... byś przyszedł do mojego łóżka. Przyszedłeś z własnej woli, bez chwili namysłu nad tym, co ja będę potem czuła. Przyszedłeś, żeby zaspokoić swoją żądzę, podrzucić Julianowi bękarta za pomocą prymitywnego podstępu.

- To nie tak!

- Jakże jeszcze możesz temu przeczyć?

- Julian wiedział - wyjaśnił bez ogródek.

Spodziewała się tego, tylko że była to kolejna potwarz, której nie chciała zaakceptować.

- Zatem miałeś przyzwolenie mojego męża. Ale dlaczego nie zapytałeś mnie o zgodę? Ja nie miałam nic do powiedzenia?

Długą chwilę wpatrywał się w nią, wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił powietrze. Oderwał się od drzwi i ruszył w jej kierunku.

- Jesteś zdenerwowana, rozumiem to. Lepiej będzie, jeśli porozmawiamy przy innej okazji, gdy się uspokoisz.

Cofnęła się kilka kroków i odetchnęła, gdy jednak zatrzymał się w pewnej odległości od niej.

- Nie... nie ma o czym rozmawiać. Chcę, abyś zaręczył mi słowem, że już nigdy nie przyjdiesz. Nie chcę od ciebie niczego więcej.

- Amelio, bądź rozsądna. - Zrobił w jej kierunku kolejny krok.

- Daj słowo! - krzyknęła odskakując.

Światło lampy przemieniło jego twarz w maskę z brązu i zakołysało się w granatowym mroku jego oczu. Mimo że zaślepiła ją wściekłość, była całkowicie świadoma magnetycznej siły, jaką Robert miał w sobie. To nie strach przed nim kazał jej się wycofać, ale obawa o siebie, lęk, że okaże się zbyt słaba, że kiedy zapyta, czy może zostać, nie będzie w stanie mu odmówić.

- Amelio? - wypowiedział jej imię tonem łagodnej prośby.

- Wyjdź! Wyjdź stąd!

Podniósł głowę i zmrużył oczy.

- Odchodzę, ponieważ nie chcę mieć świadków tego, co nas wiąże. Ale porozmawiamy jeszcze, Amelio. Jedynie tyle ci obiecuję i nic ponadto. Więcej nie mogę.

Odwrócił się i spokojnie podszedł do zewnętrznych drzwi. Po chwili zamknęły się za nim cicho.

* * *

Amelia cieszyła się, że położyła kres tym potajemnym wizytom. Każda z nich była niczym innym jak tylko pozbawionym uczucia miłości albo małżeńskiego przywiązania, zwierzęcym obłapieniem się w ciemności. W

zaden sposób nie mogła pozwolić, by to trwało. To nie było w porządku, że jej zmysłowa wrażliwość, pobudzona do życia w sposób nadzwyczaj delikatny i pełny, sprawiała jej teraz tyle udręki. Dlatego daleka była od odczuwania triumfu.

Za dnia była silna i mogła z lekkim sercem pogardzać Robertem Farnumem. Dopiero przy księżycowym świetle nocy przewracała się niespokojnie z boku na bok i wtulała twarz w poduszkę, oddana na pastwę nie spełnionych pragnień, o których nawet nie śniła, zanim zaczął ją odwiedzać. Nocą pożądała go, nocą pamiętała jedynie, jak ekscytująco jej dotykał, jak delikatnie brał w posiadanie. Najbardziej jednak dręczyło ją wspomnienie wyrazu osamotnienia w jego oczach, gdy kazała mu odejść.

Minał tydzień, zaczął się drugi, a oni nadal nie zamienili ze sobą słowa mimo pewnych prób ze strony Roberta, który bywał często w Belle Grove. Od czasu wyjazdu Jerzego Chloe trzymała się ciągle w pobliżu, a niepohamowana ciekawość dziewczyny i taki sam język uniemożliwiały mu jakiegokolwiek próby nawiązania dyskretnej rozmowy z Amelią. A jeśli nawet Chloe zniknęła gdzieś na moment, zamiast niej zawsze była pani Declouet.

Gdyby sprawa nie wyszła na jaw, Amelii nigdy nie przyszłoby do głowy, że starsza pani mogła pokierować Robertem. Kiedy pani Declouet była w pokoju, nie dał poznać ani słowem, ani czynem, że z żoną kuzyna łączy go więzi wykraczające poza związek powinowactwa. Wydawało się, jakby takim postępowaniem starał się osłonić ciotkę. Ten motyw Amelia doskonale rozumiała. W tych dniach matka Juliana sprawiała wrażenie bardziej delikatnej, jakby bezbronnej. Na jej twarzy częściej malował się wyraz niepokoju, a oczy gasły przyćmione cierpieniem, gdy spoglądała na syna. Wiele godzin spędzała na modlitwach przy swoim klęczniku, kiedy zaś nie była tym zajęta, często siedziała nieruchomo ze wzrokiem utkwionym gdzieś w przestrzeń.

Nawet wiedząc o niegodziwym czynie teściowej, Amelia nie potrafiła zdobyć się na to, aby postawić jej zarzut albo chociaż otwarcie z nią porozmawiać. Częściowo można było to wytłumaczyć konwenansami: nie mówi się o tego rodzaju sprawach. Z drugiej strony jakże trudno byłoby dobrać odpowiednie słowa! Istniała też możliwość, że poczucie winy już i tak dostatecznie ciążyło starszej kobiecie. No i ostatnia okoliczność: wprawdzie sugestia pochodziła od pani Declouet, ale nie ona była wykonawcą, lecz Robert.

Pewnego razu Robert przekonał Lally, by przekazała Amelii liścik. Oczywiście zwróciła go bez czytania. Jednakże przy okazji tego incydentu niezwykle zaniepokoił ją wyraz zmieszania na twarzy pokojówki, kiedy na nią spojrzała. Skłoniło to Amelię do trzeźwego spojrzenia na kilka niemiłych faktów. Lally, zaprzyjaźniona z Tige'em, musiała wiedzieć, że Julian spędzał noce poza domem i nie mógł jednocześnie dzielić z Amelią łóża. A że ktoś z nią je dzielił, Lally przekonywała się rankami, chociażby zmieniając prześcieradła. Obecność Roberta i uwaga, z jaką obserwował Amelię, nie pozostawiała wiele miejsca na wątpliwości, czy to on jest tym mężczyzną. Jak długo trzeba będzie czekać, by wiedzieli o tym wszyscy mieszkający na plantacji? Ile czasu jeszcze upłynie, nim stanie się to przedmiotem plotek podczas śniadania w każdym domu położonym nad Teche?

Robert natknął się na nią w środku drugiego tygodnia, kiedy wychodziła z mleczarni. Opuszczała właśnie obszyte koronką rękawy, ponieważ przed chwilą pokazywała nowej pracownicy, jak odsączyć serwatkę, żeby masło było bardziej zwarte. Wyszła wprost pod słońce i nie widziała, że czeka tam, trzymając w ręku lejce. Gdy rozejrzała się za Isą, zobaczyła, że chłopiec stoi z kciukami wsuniętymi za pas spodni i z podniesioną głową rozmawia z Robertem. Wtedy dopiero uświadomiła sobie jego obecność.

- Dzień dobry - powiedział.

Aksamitna barwa jego głosu wywołała dreszcz na skórze Amelii, ale starała się nie zwracać na to uwagi. Odpowiedziała bezbarwnym tonem, a potem zwróciła się do chłopca:

- Chodź, Iso, czas na lekcję rysunku.

- Najpierw mógłbyś przeprowadzić mojego konia do słupka przed frontowym wejściem, gdy tymczasem ja zamienię parę słów z twoją panią. - Robert spokojnym, ale zdecydowanym ruchem podał chłopcu lejce.

Isa zerkał ze zmarszczonym czołem to na nią, to na Roberta. Dobrze wiedział, że *petite maitresse* nie pragnie pozostawać sam na sam z tym mężczyzną, ale trudno było mu przewyciężyć nawyk posłuszeństwa.

W końcu zwolniła go niechętnym skinieniem głowy, nie chcąc wplątywać chłopca w kłótnię. Chwilę przypatrywała się, jak Isa powoli odchodzi, prowadząc za uzdę dużego ogiera.

- Chciałbym, abyś zgodziła się na konną przejażdżkę w moim towarzystwie - powiedział Robert bez wstępów. - Moglibyśmy pojechać do The Willows. Nie widziałas ich jeszcze, zatem nikogo nie zdziwi, że zabawisz tam jakiś czas, by choć napić się czegoś po jeździe.

Odwróciła się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

- Musisz być szalony!

- Trudno zaprzeczyć. Twoje przekłete uniki doprowadzają mnie do szaleństwa. Dlaczego nie chcesz ze mną rozmawiać? Czego się boisz?

Zignorowała ostatnie pytanie. Z kamiennym wyrazem twarzy zaczęła zmierzać w stronę domu.

- Nie mamy o czym rozmawiać.

- Wiesz, że tak nie jest. - Dogonił ją i dopasował krok do jej kroku.

- Czemu miałyby służyć taka rozmowa?! - krzyknęła z rozpaczą w głosie. - Koniec z tym. Skończone raz na

zawsze.

- Ja tego tak nie zostawię - powiedział przez zaciśnięte zęby.

- Co jeszcze zamierzasz zrobić? Okazujesz względy już i tak zanadto widoczne. Nie wiem, co o tym paplają w czworakach.

- Co takiego?

Krótko opowiedziała o przyjaźni Lally z Tige'em o zmianie postawy pokojówki.

- Ciotka nie byłaby zadowolona, gdyby rozeszły się jakieś plotki - powiedział w zamyśleniu, marszcząc gęste brwi.

- Nie rozumiesz więc, że powinieneś odejść ode mnie?

- Nie jestem *M'mere*.

- To oznacza, że nie obchodzi cię, co o tobie mówią? Jaka to wspaniała sprawa być kawalerem, kpić sobie z zasad boskich i ludzkich!

- Nie obwiniaj mnie, *chère* - powiedział miękko. - Wydaje mi się, że ktoś inny jest odpowiedzialny.

Zbliżali się do domu. Praczka, która rozwieszała na sznurach ręczniki, podniosła głowę i przyglądała się im, jak obchodzili skraj podwórza przeznaczonego do suszenia bielizny. Inna, która ugniatała bieliznę gotującą się w ogromnym kotle nad płonącymi polanami, próbowała krzykiem przepłoszyć z utwardzonej ścieżki grupkę może dziesięcioletnich chłopców, zajętych zabawą drewnianą miniaturą wozu konnego. Kiedy zaczęli wstawać z kolan, Amelia powstrzymała ich ruchem dłoni i obeszła grupkę malców łagodnym łukiem.

- Więc co odpowiesz na moją propozycję przejażdżki? - zapytał niespodziewanie.

Pozostało im zaledwie kilka kroków do lodzii. Amelia milczała. Zdawało się jej, że słyszy głos Chloe, dochodzący z pokoju stołowego. Dziewczyna tłumaczyła Karolowi, co będzie jadła na śniadanie.

Robert wyciągnął rękę, pochwyił Amelię za nadgarstek i mocnym szarpnięciem obrócił ją do siebie twarzą tak gwałtownie, że aż jej spódnica wydeła się ponad stelażem, a najniższa obręcz uderzyła o jego buty.

- Postawiłem pytanie.

- Które nie zasługuje na odpowiedź - odpaliła.

- A jednak odpowiesz na nie. W tym miejscu i natychmiast. Chyba że wolisz, abym po odpowiedź przyszedł nocą?

- Moje drzwi zastaniesz zamknięte.

- To mnie nie zatrzyma.

Czy to ten sam mężczyzna zachowywał się wcześniej tak delikatnie? Jak to możliwe?

- Julian ostatnio częściej przebywa w domu. Nie wyobrażam sobie, aby dopuścił, żebyś nachodził mnie, jego żonę, kiedy przyjdzie ci ochota...

Ścisnął ją jeszcze mocniej.

- Otrzymam odpowiedź bez względu na konsekwencje.

Myśl o obu mężczyznach, zaprzyjaźnionych od dzieciństwa, szarpiających się o nią w środku nocy, nie należała do przyjemnych. Podobnie było z pomysłem ujawnienia wszystkiego między ich trojgiem. Amelia rzuciła spojrzenie spod przymkniętych powiek. Opóźniając podjęcie decyzji, narażała się na to, że wszyscy staliby się świadkami ich związku. Praczki i chłopcy na ścieżce przyglądali się im z nie ukrywanym zainteresowaniem.

- Dobrze - rzekła, a w jej głosie zabrzmiała fałszywa nuta. - Pojadę z tobą.

Skinął głową, ale na jego twarzy nie pojawił się nawet ślad ulgi.

- Zjawię się tutaj. Z samego rana.

Można mu było wierzyć. Kiedy następnego dnia wyszła na niższą galerię w stroju do jazdy i ze szpicrutą w rękę, już na nią czekał. Słońce jeszcze nie wzeszło. Nie był jednak sam. Mówił coś do Jerzego, podczas gdy jeden ze stajennych oprowadzał jego ogiera i klacz, którą kazał przygotować dla Amelii.

Anglik wrócił poprzedniego dnia późnym popołudniem. Wyprzedził cały transport, przyjeżdżając konno z St. Martinville. Barki, na których transportowano krzewy, holowano w górę rzeki pod opieką dwóch ludzi ze statku, ich zadanie polegało na pilnowaniu, żeby rośliny nie zostały uszkodzone. Miały przybyć na miejsce najpóźniej do południa. Jerzy chciał wcześniej upewnić się, że wszystko jest przygotowane na ich przyjęcie. Na opadającym w kierunku rzeki stoku uwijała się grupa mężczyzn, wykopując zagłębienia w miejscach pieczołowicie oznaczonych palikami.

Poprzedniego wieczoru Jerzy ze swadą opowiadał o urodzie i wyjątkowości poszczególnych gatunków, które miał szczęście nabyć w Nowym Orleanie. Mówił o nich wiele, żałując przy tym tych, którym nie było dane przetrwać niedogodności transportu, i piejąc z zachwytu nad różnymi odmianami, które już w niedalekiej przyszłości miały ukazać cały swój urok w Belle Grove. Chloe poczuła się całkowicie pominięta; posmutniała i siedziała nadąsana.

Julian był również obecny, jak zresztą codziennie już od tygodnia. Jego uszczypliwe komentarze w żadnym razie nie poprawiły sytuacji. Przeciwnie, najpierw swym zachowaniem sprawił, że Chloe wkrótce stała się ponura i w końcu wybuchnęła płaczem, po czym wstał i jakby nic się nie stało, poszedł poczytać do swojej sypialni.

Pani Declouet najpierw wypowiedziała wiele stosownych słów odnoszących się do sposobu, w jaki Jerzy

wypełnił zlecenie, wyraziła gorące pragnienie zobaczenia ukończonego ogrodu, a następnie udała się na spoczynek. Tym samym Amelia została zmuszona do pełnienia roli przyzwoitki, podczas gdy Jerzy ponownie wprawił Chloe w dobry nastrój. Wówczas jednak nie sprawiał wrażenia równie rozradowanego jak jeszcze kilka minut przedtem.

Tego rana na pierwszy rzut oka było widać, że w stanie ducha Anglika nie nastąpiły poważniejsze zmiany. Miał na sobie swoje najstarsze ubranie. Rozmawiając, stanął w takim miejscu, by patrzeć w kierunku, z którego mógł nadpłynąć parowiec z barkami. Nawet jeżeli w ogóle dostrzegał coś niewłaściwego w planowanej przejażdżce Roberta i Amelii, był człowiekiem zbyt dobrze ułożonym lub dobrodusznym, żeby to okazać. Pomachał im pogodnie, kiedy ruszyli brzegiem w dół rzeki, następnie zaś od razu powrócił do kierowania brygadą z wiadrami, której zadanie polegało na napełnieniu dużego zbiornika wodą z rzeki, potrzebną do podlewania sadzonek.

Machając ręką w odpowiedzi Jerzemu, Amelia zobaczyła Juliana, który stał na górnej galerii ze szpadą w dłoni. Z takiego oddalenia nie sposób było dostrzec wyrazu jego twarzy, ale widać było, że trzyma rękojeść broni jak sztylet, z końcem utkwionym w poprzecznej belce balustrady. Druga dłoń, zaciśnięta w pięść, opierała się na biodrze.

Amelia odwróciła twarz w kierunku jazdy, aby nie zwracać uwagi Roberta na swego męża. Chwilę później oboje zniknęli z widoku pod niskimi gałęziami dębów. Jednakże długo jeszcze miała przed oczami postać Juliana na galerii i nie przestawało ją dręczyć pytanie, co myślał, gdy przyglądał się jej, jak odjeżdża z mężczyzną, który okazał się wobec niego nielojalny.

Isa został w domu. Kiedy zaszła do pokoju stołowego na filiżankę kawy, chłopiec przyszedł, by zaprezentować dopiero co rozpoczęty rysunek przedstawiający Belle Grove i robotników przy pracy nad nowym ogrodem. Rysunek był dobry, zdumiewająco dobry, nie tylko ze względów estetycznych. Co ważne, ukazywał, jak obecnie wyglądał dom i najbliższa okolica. Coś, co pani Declouet zapewne niezwykle przypadłoby do gustu. Amelii wydało się ważniejsze, żeby pozostał na miejscu i rysował dalej, niż żeby mieć jego towarzystwo. Jakże było nie ulec prośbie chłopca, kiedy ten ze smutkiem opowiadał, że gdyby tylko mógł przedostać się na drugą stronę rzeki, miałby stamtąd dobry widok na dom. I dlatego ostatnią rzeczą, jaką zrobiła przed wyjściem z domu, było wydanie odpowiednich poleceń, aby po wschodzie słońca łodzią przetransportować Isę na przeciwny brzeg rozlewiska.

Poranek był przyjemny, powietrze przejrzyste i orzeźwiające, mimo że słońce przygrzewało coraz mocniej. Jakże przyjemnie było pokonywać otwartą przestrzeń, czuć pod sobą poruszenia wierzchowca! Jeśli nawet urok chwili pozwolił zapomnieć Amelii, dlaczego tutaj się znalazła, to jednak ani na moment nie potrafiła zapomnieć o mężczyźnie, który jechał przy jej boku.

Czuła się nieco dziwnie bez Isy. Bardzo przywiązała się do tego chłopca, może aż za bardzo, ale ujmowała ją jego umiejętność służenia jej i wdzięczność, jaką okazywał za poświęcaną mu uwagę. Zastanawiała się, czy Robert nie miał racji, twierdząc, że nadmiernie rozpieszcza chłopca i rozbudza w nim oczekiwania, które nigdy się nie spełniają; a to wszystko dla podbudowania swego ego, dla wykazania sobie, że oto ma kogoś na każde zawołanie i na każde skinienie. Nie zgadzała się z nim, ale cień podejrzenia pozostał. Pragnęła szczerze pomóc Isie, lecz niewykluczone, że osiągała przeciwny skutek. Chciała natchnąć go poczuciem własnej wartości, dodać pewności siebie. Wiedziała jednak, że te cechy wcale nie musiały mu wyjść na dobre. Odsunawszy na bok te myśli, Amelia odetchnęła głęboko i zaczęła mówić coś beztróskim tonem, byle tylko nie dopuścić do powstania intymnej atmosfery.

W samym środku The Willows stała dwukondygnacyjna rezydencja z bladurówkowej cegły, ze skośnym dachem i zielonymi okiennicami. Została wybudowana w stylu króla Jerzego, ale zawierała także elementy neoklasyczne, między innymi portyk od frontu, którego białe kolumny wyrastały z ziemi i sięgały do architrawu ponad wyższą i niższą galerię; ta wyższa miała balustradę z kutego żelaza, lekką i prostą. Z prawej strony odstawał od głównej bryły budynku drugi portyk - co umożliwiało uniknięcie zamieszania podczas przybywania i odjeżdżania gości. Z tyłu wychodził na rzekę jeszcze jeden, identyczny jak ten zwrócony w kierunku drogi; zatem nie sposób było orzec z całą pewnością, z której strony był przód, a z której tył budynku. Dookoła rosły potężne dęby, zapewniając chłód i oddzielając dom od otoczenia.

Zsiedli z koni przy bocznym wejściu. Minawszy drzwi, weszli do korytarza, który wiódł do prostokątnego holu. Robert pokazał Amelii salon, bibliotekę, pokój dzienny, a także tych kilka innych pomieszczeń, które dama mogła bez obawy obejrzeć w towarzystwie jakiegokolwiek mężczyzny. Wszystko błyszczało, a w powietrzu unosił się zapach pszczelego wosku i ciepłej oliwy, co oznaczało, że niewiele czasu upłynęło od dokładnego sprzątnięcia. Robert zachowywał się bez zarzutu, jak na uprzejmego gospodarza przystało, ale kiedy w saloniku przyglądała się różowym zasłonom i biało-złotej tapecie, dostrzegła kątem oka w lustrze, które wisiało przy skośnej ścianie nad kominkiem, że wpatruje się w nią intensywnie. Wyraz jego oczu sprawił, że nim odwróciła się pospiesznie, jej twarz spłonęła gorącym rumieńcem.

Na dolnej galerii, z której rozciągał się widok na zakole martwego koryta rzeki, podano kawę, lemoniadę i ciastka. Rozmawiali o rodzicach Roberta, o budowaniu przez nich domu wkrótce po ślubie, o trudnościach, na jakie się wówczas natknęli z transportem materiałów i mebli do tego odosobnionego miejsca. Mimo to wytworzyła się pomiędzy nimi atmosfera pełna skrepowania i Amelia zaczynała pragnąć, by Robert porzucił rolę dzentelmena i

przestał silić się na uprzejmości. Mogliby wówczas powiedzieć sobie wszystko, co musiało być powiedziane, a ona wróciłyby do domu.

Upłynął czas przeznaczony na picie kawy. Robert wstał, aby pomóc jej podnieść się z krzesła, i poprowadził ją na zewnątrz, do koni. Nadal zdawał się unikać decydującej rozmowy. Kiedy odjeżdżali, obrzuciła go spojrzeniem spod przymkniętych powiek. Dlaczego tak bardzo nalegał, aby tu przyjechała? Było aż nadto widoczne, że skłonił służbę do sporego wysiłku, aby wszystko było gotowe na jej przybycie. Nie zdziwiłaby się również, gdyby się dowiedziała, że wydał im polecenie trzymania się na odległość zaraz po podaniu kawy i słodyczy. Jednak mimo wszystko nadal pozostawał wzorem dobrych manier.

Jakie były jego intencje? Czyżby zdecydował, że nie powinien uwodzić jej we własnym domu, pomiędzy ludźmi, którzy mieli bliskie związki z mieszkańcami czworaków w Belle Grove? Jeśli tak, należała mu się jej wdzięczność. Ale jakby na przekór czuła się zawiedziona. Wyobrażała sobie, że to spotkanie będzie dla niej ciężką próbą. Była przygotowana na wykorzystanie całej swojej mądrości i wiedzy przeciwko jego sprawdzonym pochlebstwom i płomiennym zapewnieniom. Myślała też i o tym, że kiedy wszystko zawiedzie, być może użyje wobec niej przemocy fizycznej. Oto zaś powracała do Belle Grove bez sprawdzenia skuteczności swej broni, co zmieniło jej nastawienie na tyle, że zaczęła się zastanawiać, czy nie osądziła go źle albo czy przynajmniej źle go nie zrozumiwała.

Odczuła więc dziwną przyjemność, kiedy nagle pochwycił za jej lejce i pociągnął klacz na ledwie wydeptaną ścieżkę, która odchodziła od drogi w kierunku brzegu rzeki. Zaprotestowała, silnie zacisnęła dłoń na szpicrucie, jak gdyby zamierzała go uderzyć, ale był to raczej pozorny niż rzeczywisty opór. Uświadomiła sobie ze zdumieniem, że w ogóle nie ma nic przeciwko wyjaśnieniu wszystkiego poza zasięgiem ciekawskich oczu i uszu. Wręcz przeciwnie, wolała załatwić to w takich właśnie luksusowych okolicznościach.

Wjechali na małą polanę nad samym brzegiem, zasłaną koniczyną i ocienioną gałęziami dębów. Tu i ówdzie na płatkach koniczyny skrzyła się w słońcu rosa. Jej ciepłe kropelki trysnęły spod butów, gdy Amelia zeskoczyła na ziemię, przytrzymywana przez Roberta. Przeszła kilka kroków, stanęła pod największym z dębów, oparła się o pień i zapatrzyła na wodę. Robert odprowadził konie w bok i przywiązał je do niskiej gałęzi w ten sposób, by w miarę swobodnie mogły na skraju polany szczypać gęstą, soczystą trawę.

- Cieszę się, że przyjechałaś do The Willows.

Idąc w jej kierunku, wypowiedział te słowa spokojnie, choć wyczuwało się w tonie jego głosu pewne napięcie.

- Piękna okolica - odparła konwencjonalnie i dodała: - Rozumiem teraz, dlaczego jesteś taki dumny z tego miejsca.

Skwitował jej uwagę niecierpliwym machnięciem ręki.

- Często wyobrażałem sobie ciebie tam, w tych pokojach. Pragnąłem być tam z tobą. Sam na sam. W pełnym świetle dnia.

- Proszę - powiedziała przez ściśnięte nagle gardło - byłoby lepiej, gdybyś nie mówił takich rzeczy.

- Byłoby lepiej? Nie sądzę. Tak wiele pragnąłem ci wyznać, tak bardzo wiele. - Przerwał, ale ponieważ nie usłyszał nic w odpowiedzi, podjął na nowo: - Nie potrafiłem się na to zdobyć. Mógłbym powiedzieć, że nie chciałem zepsuć twoich wspomnień z pierwszej wizyty u mnie. Ale prawda jest inna: nie chciałem zniszczyć własnych wspomnień.

Na próżno usiłowała przywołać te wszystkie trafne, ostre słowa, których planowała użyć przeciwko niemu. Gdzieś zniknęły. Zwilżyła usta, zaczęła niezdecydowanie:

- Jestem kobietą zamężną...

- To wiem - uciął. - Nie ma nic bardziej pewnego. O, tak, wiem o tym bardzo dobrze. Nie powstrzymuje mnie to jednak przed pragnieniem, by widzieć cię w progach mojego domu. By obserwować, jak się rozbierasz, i by oglądać cię nagą, jak w świetle lampy kładziesz się na moim łóżku. By móc kochać się z tobą i jednocześnie patrzeć ci w oczy.

Na polanie zapadła cisza, i tylko długo jeszcze kołysał się w powietrzu, zabarwiony bólem wydzwięk tych słów.

- Nie możesz...

- Mówiłem tak do siebie niezliczoną ilość razy. Ale to żadna pociecha. Wszystkie moje myśli krążą nieustannie wokół ciebie, nie rozumiesz? Dobry Boże, gdybym choć przeczuwał, że może do tego dojść, uciekałbym przed tobą jak potępieniec. Nigdy, przenigdy nie dotknąłbym nawet twojej ręki.

- Dlaczego?

Spojrzał na nią nerwowo, jakby pytanie bardzo go poruszyło.

- Myślałem, że jesteś tego świadoma. Powodem jest pożądanie, czyż nie? Zawistna, nieokielzana, zdradziecka żądza.

- Ja tego nie powiedziałam - zaprotestowała, słysząc gorycz w jego głosie.

- Wystarczy, jeśli pomyślałaś.

- Co jeszcze mam myśleć? - zapytała, unosząc ręce i zaciskając je w pięści.

Przez dłuższą chwilę tylko patrzył na nią, potem wolno skinął głową.

- Pierwszy raz przyszedłem do ciebie, ponieważ... ponieważ poprosiła mnie o to ciotka Zofia - powiedział głosem

bez wyrazu. - Tylko o tę jedną rzecz poprosiła mnie w zamian za opiekę nade mną, w zamian za bezinteresowną miłość, jaką mnie darzyła, odkąd zabrakło mojej matki. Widziałem, jaka jesteś piękna i że marnujesz się przy Julianie. Zapamiętałem, co czułem, kiedy w dniu powodzi znalazłaś się na chwilę w moich ramionach. Byłem bezradny wobec szczególnego ciepła w twoim uśmiechu, gdy bawiłaś się z dziećmi w błocie po opadnięciu wody. Jestem mężczyzną, dla którego myśl o kobiecie tak pięknej i niedoświadczonej, będącej na wyciągnięcie ręki, niczym dar, była nie do zniesienia. Ponieważ... och, ponieważ spojrzałem na ciebie tamtego pierwszego dnia w pokoju ciotki; mokre kosmyki włosów opadały ci na twarz, krople deszczu spływały po policzkach jak łzy, a z oczu wyglądała troska, i wtedy przyszło olśnienie, że należysz do mnie. Należałaś do mnie, i chociaż było za późno, żebyś została moją żoną, mimo wszystko mogłaś rzeczywiście do mnie należeć, ponieważ tak mi właśnie powiedziano.

Serce w jej piersi biło jak oszalałe. Powoli, starając się trzymać w korbach, rozprostowała palce i złączyła je ze sobą. Przez jej ściśnięte gardło zdołał przedostać się jedynie szept:

- To było złe.

- Tak, ale w zamierzeniu miało skończyć się zaraz na wstępie, po kilku krótkich nocach miłości, zanim zdołasz cokolwiek odkryć. Stało się inaczej.

- Zatem przychodziłeś znowu.

- Nie potrafiłem trzymać się z daleka. Ciotka Zofia domyśliła się od razu, próbowała mnie ostrzec, ale było już za późno. Razem, ona i Julian, dali mi, zdrajcy, klucz do skarbcza, a potem nie mogli nic zrobić, by mnie powstrzymać.

- Zdrajcy? - zapytała, patrząc na niego uważnie.

- Miałem działać w ich interesie, ale zdezerterowałem na rzecz własnej korzyści.

Wykrzywiła usta w gorzkim uśmiechu.

- Tak naprawdę nawet nie próbowali cię powstrzymać, nawet po *soirée*. A przecież Julian mógłby bez trudu. Wystarczyłoby w zupełności, gdyby zamknął na klucz swoje drzwi.

- Według kodeksu honorowego, jaki on wyznaje, postąpiłby niestosownie, ponieważ zostałem poproszony z jego powodu. Chociaż później dostrzegłem u niego oznaki rosnącego niepokoju. Jego męska ułomność ma swoją przyczynę w umyśle, nie w organizmie. Najbardziej obawiałem się tego, że stwierdziwszy, jak bardzo jesteś według mnie godna pożądania, sam może poczuje się zdolny do potwierdzenia swych małżeńskich praw.

- Z zazdrości? - zapytała z powątpiewaniem.

- W pewnej mierze, ale także dlatego, że jesteś kobietą atrakcyjną. Gdybyś mu się nie podobała, nie zgodziłby się na małżeństwo z tobą, choćby nie wiem jak ciotka nalegała. W istocie uważam, że jako kobieta interesujesz go w ten sam sposób jak inne kobiety.

Kiedy umilkł, miał dziwny wyraz twarzy, jak gdyby żałował, że powiedział za dużo. Wolno potrząsnęła głową.

- Być może masz rację, nie wiem. Czasem mam wrażenie, że w ogóle nie znam Juliana.

- Niewielu go zna.

- A ty zaliczasz się do nich.

- Owszem - przytaknął i przeniósł spojrzenie na rzekę. - Znam go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że wasze małżeństwo to pomyłka. Jestem pewien, iż nigdy nie będziesz z nim szczęśliwa.

Nie mogła przyznać mu racji, bo nie chciała być nieoljalna. Wzruszyła lekko ramionami.

- Muszę być szczęśliwa; za późno już na cokolwiek innego.

- Nie jest za późno.

- Dlaczego tak mówisz?

Przybliżył się, ujął jej dłoń, jego wzrok spoczywał na jej ukrytych w rękawiczce palcach.

- Mogłabyś wyjechać ze mną.

Gwałtownym szarpnięciem wyswobodziła rękę. Kiedy się odezwała, ton jej głosu wyrażał pogardę:

- Jako kto? Proponujesz mi, bym rzuciła wszystko i wprowadziła się do ciebie... jako kto? Twoja metresa? A to wszystko z powodu kilku potajemnych nocnych wizyt.

- Udajmy się do Paryża. Tam jest zupełnie odmienny klimat dla związków podobnych do tego, który moglibyśmy oboje tworzyć.

- Ale tylko w niektórych kręgach! Nie wszyscy akceptują utrzymanki w swoich domach.

- Będzie ich dostatecznie wiele, byśmy nie czuli się jak wygnańcy. Nie należę do ludzi ubogich, więc nie myśl, że mieszkalibyśmy na jakimś poddaszu. No i będziemy razem.

Dopóki mówił o miłości, a nie o nieokreślonym pożądaniu, była nawet skłonna go słuchać. Nie do przyjęcia była jego sugestia, by zrezygnowała z szacunku, poczucia bezpieczeństwa, rodziny oraz przyjaciół i żyła z nim w grzechu tylko dlatego, że nie znalazła szczęścia w małżeństwie. Jak w ogóle śmiał sądzić, że cokolwiek był w stanie zmienić fakt, iż miał pieniądze?

- Proszę, nie mów już nic więcej - powiedziała rozdrażniona. Odwróciła się od niego gwałtownie. - Już i tak zostałam obrażona aż nadto dotkliwie.

Szybkim ruchem ręki zdążył pochwycić ją za ramię.

- W żadnym razie nie zamierzałem cię obrazić.

- Czyżby?! - krzyknęła. Jej oczy płonęły gniewem. - Pozwól, że ci przypomnę, iż nie jestem żadną... żadną kurtyzaną, która znalazła się tutaj dla twojej przyjemności! Nie zniosę, byś dłużej wykorzystywał mnie podług swej woli - kiedy chcesz i jak chcesz. Nie dlatego zgodziłam się pojechać z tobą, żeby ciągnąć coś, co postanowiłam przerwać. Wyraziłam to już dostatecznie jasno: zostaw mnie w spokoju! Niczego więcej od ciebie nie chcę.

- Nie myślisz tak - rzucił przez ściśnięte gardło.

- Nigdy nie byłam bardziej szczerą!

Oswobodziła się z jego uścisku i ruszyła w kierunku koni. Jeden długi krok wystarczył mu, by ją dogonić. Bezlitośnie wbił palce w jej przedramię i silnym szarpnięciem jeszcze raz odwrócił ją do siebie. Zachwiała się, aż spadł jej z głowy kapelusz z woalką, a upuszczony skraj spódnicy zaczął nasiąkać wilgocią rosy.

- Jeszcze nie tak dawno pragnęłaś ode mnie nieco więcej - powiedział, przenikając ją na wskroś spojrzeniem granatowych oczu.

- Nie! - krzyknęła, kiedy pojęła w pełni znaczenie jego słów. Próbowwała go odepchnąć. Wiła się w jego objęciach i wykręcała, ale trzymał ją niby w stalowych kleszczach.

- Tamtej nocy podczas *soirée* obejmowałaś mnie tak żarliwie, jak tylko potrafiały to robić kobiety w marzeniach mężczyzny.

- Wzięłam cię za Juliana.

Zaśmiał się krótko.

- Och, nie. Być może wcześniej, chociaż przypuszczam, że zaczynałaś się domyślać. Ale kiedy jak głupiec pocałowałem cię wówczas w mroku pomiędzy twoimi gośćmi, wiedziałaś już na pewno.

- Nie mogłam wiedzieć, przynajmniej nie na pewno - odparła, zdradzając niepokój tonem głosu. - Kiedy potem przyszedłeś do mnie, byłam rozespana, nieprzytomna...

- Czyżbym sobie schlebiał? Chyba nie. Oddałaś mi siebie wiedząc doskonale, że masz do czynienia ze mną. Pogodziłaś się z tym ze względu na czar chwili, ze względu na pożądanie i bez jednej myśli o Julianie. Przypomnij sobie dobrze, droga Amelio, zanim zaczniesz mnie oskarżać.

Unikając jego wzroku, znowu próbowała się wyrwać.

- Puść mnie!

- Nie. Dopóki tego nie przyznasz.

Pociągnął ją ku sobie. Oparła się o niego ciężarem całego ciała. Nie tak wiele dzieliło jej uda od napiętych mięśni jego nóg, ledwie cienki materiał amazonki i pojedyncza halka.

- Wcale tak nie było.

- Dlaczego więc próbowałaś zapalić lampę?

Przeszyła go niechętnym spojrzeniem.

- Skoro byłeś taki pewny, że wiedziałam, to dlaczego nie pozwoliłeś mi tego uczynić?

- Ponieważ - odrzekł ponurym głosem - piękna noc zakończyłaby się żalami. Czułabyś się zmuszona potępić mnie i tak jak teraz odegrać rolę osoby śmiertelnie obrażonej. Nie zniósłbym tego. Nie wówczas. Nie po tym, gdy byliśmy ze sobą tak blisko.

Przestała się wyrwać. Jej piersi to unosiły się, to opadały w rytm oddechu. Czują wyraźnie silne i szybkie uderzenia własnego serca. I teraz była blisko tego mężczyzny, tak bardzo blisko. Promienie słońca zamieniały się na jego włosach w niebieskawe refleksy wokół twarzy, która jaśniała wyrazem głębokiej ulgi. Widziała swe odbicie w bliźniaczych zwierciadłach jego oczu o głębokiej i kojącej barwie bezdennego morza.

- Nie odgrywam żadnej roli - powiedziała niepewnie drżącym nieco głosem.

- Czy rzeczywiście? - zapytał cicho, wpatrując się w subtelny zarys jej rozchylnych ust. Pochylił się, by ich dotknąć w delikatnym pocałunku, po czym szepnął: - Czy rzeczywiście?

Rozdział X

Musiała przyjąć wyzwanie, które poruszało nie tylko jej duszę i umysł, ale przede wszystkim zmysły. Gorące usta Roberta miały delikatny posmak kawy, gdy stopiły się z jej wargami. Jego język badał wrażliwą powierzchnię, aż w końcu wniknął głęboko, prowokując do odpowiedzi.

Pragnęła mu się przeciwstawić. Chciała utrzymać dystans, okazać postawą, że jest zagniewana, zachować odrobinę godności. Na próżno - zdradziło ją własne ciało, które w naturalny sposób odebrało jakże upragnione sygnały. Przytuliła się mocniej. Słońce raziło ją przez przymknięte powieki. Dotyk promieni był jak pieszczota. Jej poczucie dobra i zła zanikło, wyparte przez palące pożądanie. Amelia opierała dotychczas dłonie na piersi kochanka, teraz zaś zacisnęła je na klapach surduta. Wydając z głębi siebie zduszony odgłos, poszukiwała językiem drugiego języka, dotknęła go lekko, wycofała się, a potem z wolna pozwoliła, by się ze sobą splotły.

Wokół nich unosiła się coraz intensywniejsza woń gniecionej koniczyny, zmieszana z zapachem nakrochmalonego płótna, delikatnym aromatem wody kolońskiej oraz olejku wetiwerowego, który, od dawna używany w jej garderobie, dochodził spomiędzy zakładek amazonki. Zapach ten stał się intensywniejszy, gdy Robert uwolnił rękę Amelii, pogładził jej ramiona i powędrował dłońmi wzdłuż pleców do zaokrąglenia bioder. Przyciągnął ją do siebie mocno, dając jej odczuć siłę swego żarliwego pożądania. Głęboko, w środku poczuła gwałtowną potrzebę

spełnienia. Nagle ubranie stało się na niej zbyt ciasne i za ciężkie. Zateęskniła do odczucia promieni słońca i ciepłego wiatru na nagiej skórze.

Poczuła gorące i wilgotne wargi w kąciku swych ust, a potem na policzku i łagodnym łuku szczęki. Robert oddychał powoli i głęboko, wypełniając płuca subtelnym naturalnym zapachem jej ciała. Poglądził lekko jej kark i jego palce zanurzyły się w grubym splocie włosów. Po chwili z cichym szelestem spinki poupadały w trawę.

Jedwabiste warkocze rozwinęły się, opadając kaskadą na plecy. Zatopił w niej palce, przytulając twarz do szyi Amelii. Powędrował niżej w kierunku miejsca, gdzie przy płytkim zagłębieniu wyczuwało się pulsowanie krwi, ale natrafił na przeszkodę z koronkowych brzegów bluzki, spiętych broszką z małym ametystem.

- Amelio - wyszeptał. To imię zabrzmiało niby tęskna pieśń miłości.

I ona go pragnęła. Przez całe życie uczono ją, że okazywanie namiętności jest co najmniej nieprzyzwoite, zatem już była potępiona. I nie popełniała tego grzechu po raz pierwszy. Przeciwnie, ostatnio dopuszczała się go nawet często, przy czym z pewnością co najmniej częściowo świadomie. Chociaż cóż złego mogło być w błogim uniesieniu, które ogarniało najskrytsze zakątki jej ciała? Przecież niczego nie kalalo. Wydawało się naturalne i szczere, a przez to i uświęcone. Wprawdzie poślubiła Juliana, ale to Robert dokonał prawdziwego aktu małżeństwa. Przeto w pewnym sensie poślubiła obu mężczyzn: jednego duchem, drugiego ciałem. Nagle w przebłysku olśnienia przyszła jej do głowy przerażająca myśl: jeśli Julian kiedykolwiek zdobędzie się na wyegzekwowanie swego małżeńskiego prawa, owo połączenie bliskie będzie cudzołóstwa.

Odsunęła się, by zdjąć rękawiczki i unieść dłonie do broszki przy kołnierzyku. Tak bardzo nie panowała nad palcami, że upłynęła dłuższa chwila, nim zdołała ją rozpiąć; w końcu ametyst spoczął w jej ręce, mrugając lawendowoniebieskim światłem.

Robert opuścił wzrok. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, wreszcie ostrożnie wyjął z jej dłoni rękawiczki oraz broszkę i wsunął je sobie do kieszeni. Sięgnął palcami do maleńkich perłowych guziczków, na które była zapięta bluzka Amelii, i rozpiął je. Opuścił ręce niżej i zaczął uwalniać ze stalowych haczyków poły jej amazonki. Jeszcze tylko kilka guziczków, i bluzka była rozpięta na całej długości. Teraz powoli rozchylił ją na boki, odsłaniając błękitnokremową biel piersi nad brzegiem stanika, ich kształt oraz sterczące brodawki pod cienkim materiałem.

Położył rozprostowane dłonie na jej piersiach, by zamknąć nimi kobiece wypukłości.

- Wiedziałem, że będziesz piękna w świetle - szepnął - ale nie sądziłem, że tak olśniewająco.

Dotyk gorących dłoni oszałamiał ją. Ogromnym wysiłkiem woli zmusiła się, by unieść ręce, pochwycić go za nadgarstki i zatrzymać. Stłumionym, urywanym głosem powiedziała:

- Ktoś nas tutaj zobaczy. Czy nie moglibyśmy... to znaczy może moglibyśmy wrócić do The Willows?

- Tam również nie unikniesz ciekawskich oczu. Tutaj jesteśmy tak samo bezpieczni jak w każdym innym miejscu. - Poruszył dłonią, pocierając kciukiem wrażliwy wierzchołek jej piersi.

Miał rację. Otoczeni rodziną i służbą, nie mogli liczyć na zapewnienie sobie rzeczywistej intymności, na znalezienie takiego miejsca, w którym mieliby pewność, że nikt ich nie dostrzeże.

- Ten raz, tutaj i teraz, musi być ostatni. Nie sposób tego przedłużyć.

Nie odpowiedział, skrył oczy za gęstymi rzęsami obserwując jednocześnie, jak pod jego dłońmi przeją się dwie jędrne półkule.

- Rozumiesz, prawda? Pochlebiam ci, że jesteś gotowy tak wiele poświęcić, aby mnie stąd zabrać, ale to nie zakończyłoby się dobrze. Po jakimś czasie zacząłbyś się nudzić...

- Nigdy.

- Jestem przekonana - upierała się. - Ja nosiłabym w sobie poczucie winy, byłabym przybita. Po pewnym czasie zaczęlibyśmy się nienawidzić.

- Gdybym powiedział, że kocham cię i...

- Przestań! Nie musisz. Przynajmniej nie teraz. Nie zmieniliby to niczego, nie rozumiesz? - Z wysiłkiem przełknęła ślinę, walcząc z przyływem łez. - Och, Robercie, pocałuj mnie, i niech to będzie ostatni raz.

Przywarł zachłannie, niemalże z furją, do jej ust w namiętnym pocałunku. Wytłumaczyła to sobie swoim oporem. Uniosła ramiona i objęła go mocno za szyję. Jego dłonie ześlizgnęły się do jej uwolnionej z gorsetu talii. Poczuła, jak jej piersi rozplaszczają się na jego klatce piersiowej i ranią boleśnie o guziki surduta oraz spinki koszuli. Jęknęła.

Prawie od razu zwolnił uścisk, a wargami i językiem zaczął muskać jej usta w niemej prośbie o wybaczenie. Jednocześnie zsuwał jej z ramion baskijski żakiet i pozwolił mu opaść na ziemię. Podobny los spotkał bluzkę. Amelia powoli i nieśmiało pomogła mu uwolnić się z surduta, gdy tymczasem on próbował rozwiązać jedną ręką krawat. Wymagało to jednak więcej zręczności i uwagi. Powędrowała wargami do kącika jego ust, czując przy tym posmak wyciągu z wawrzynu i ledwie wyczuwalną szorstkość zarostu, by w końcu wesprzeć czoło na mocno zarysowanej szczęce.

Sama rozwiązała mu krawat, powyciągała spinki, pozwalając im zwisać w rzędzie po jednej stronie koszuli. Rozpięła kamizelkę i wsunawszy końce palców pod koszulę, rozsunała ją.

Głośno odetchnął, po czym szybko zrzucił z siebie surdut. Cofnął się o krok i rozłożył go na ziemi. Wziął jej

rękę, ukląkł, po czym pociągnął ją za sobą.

Pomagając sobie wzajemnie, powoli, a potem coraz spieszniej dokończyli rozbierania się. Zalewały ich potoki słonecznych promieni, okrywając nagie ciała pozłotą o odcieniu moreli i brzoskwiń, miedzi i brązu, lśniąc we włosach. Słońce, przyjazne i pogańskie, otulało ich ciepłem, oslepiało blaskiem. Odbijało się od gładkiej skóry ich ramion i nóg, gdy przywarli do siebie, migotało perłowym blaskiem wzdłuż ciała Amelii, kiedy Robert przekreślił się i pociągnął ją tak, że znalazła się nad nim.

Utrzymała równowagę, chwytając go za ramiona. Brzoskwiniowe szczyty jej piersi ocierały się o jego klatkę piersiową, włosy opadały w dół, tworząc połyskującą zasłonę. Chwycił jej biodra, zdusił je w uścisku i pociągnął ku sobie; jego oczy przybrały ciemnoniebieską morską barwę i skrzyły się pożądaniem. Zaczęła szybciej oddychać, odczuwając łagodny napór twardej męskości. Powolnym, falującym ruchem przesunęła się do tyłu, wytrzymując przez cały czas jego spojrzenie. Wolno, stopniując rozkosz, obejmowała go, wciągała w siebie coraz głębiej. Zatrzymała się, gdy wypełnił ją całą.

Rozchylił usta w uśmiechu, który zdradzał najprostszą radość. Oczami wyrażał nie tylko rosnące zadowolenie. Kryło się w nich coś więcej, coś, co sprawiało, że chwytala powietrze, jakby przejmował ją ból. Łzy, które połyskiwały w jej brązowych oczach, zawisły na rzęsach. Dreszcz przeszedł po jej ramionach, aby po chwili wstrząsnąć całym ciałem.

Wypowiadając niezrozumiałe słowa, przytulił ją gwałtownie do siebie, dźwignął i ułożył na plecach, uwalniając od wysiłku jej ręce. Wygiął się, nachylił, ustami pochwycił czubek jednej piersi, podrażnił brodawkę szorstkim językiem. Sięgnęła dłonią w górę do jego układających się w fale włosów, przymknęła powieki, nie uświadamiając sobie, że wypływają spod nich łzy i znaczą mokry szlak. Darzyła pieśczęcią mocną szyję, gładziła twarde mięśnie ramion. Rozłożyła palce na rozgrzanej słońcem skórze, świadoma witalnej siły męczyzny i jego władczygo panowania nad każdym nerwem jej ciała. Czula porywające pragnienie oddania mu się bez reszty, podczas gdy gdzieś w odległych zakątkach jej świadomości rodził się głęboki żal, że ich ciała już nigdy więcej się nie połączą.

Gdy ta myśl rozbłysła w głowie Amelii, ogarnęło ją jednocześnie podniecenie wywołane pieśczęcią, jaką Robert obdarzył najbardziej wrażliwą, ukrytą część jej ciała. Jęknęła cicho, zaciskając mocniej powieki. Traciła poczucie rzeczywistości; przestał dręczyć ją niepokój, nic już nie miało znaczenia, nic nie mogło odebrać jej tego cudownego przeżycia, nic nie mogło przeszkodzić oczekiwanej i nieuchronnej rozkoszy.

Opadł na jej usta w żarliwym pocałunku i zanurzył się w niej głęboko. Potem spętał ją siłą umięśnionych nóg i razem potoczyli się po wonnej, obficie zroszonej koniczynie. Jak poganie, pierwotni i błogosławieni zarazem, skapali się w rosie, zwiastunie poranka, zmagając się ze sobą, napierając na siebie.

Nigdy wcześniej w swoim życiu nie czuła się taka swobodna, taka wolna. Jej skóra płonęła gorącym rumieńcem namiętności. Krew krążyła w żyłach przyspieszonym rytmem, gdy Amelia pędziła w szaleńczym tempie nad Robertem, by po chwili znów znaleźć się pod nim. Do bólu napięła mięśnie i ścięgna. Zachłannymi dłońmi trzymała go kurczowo, wychodząc mu naprzeciw, zachęcając, żeby z każdym uderzeniem sięgał coraz głębiej. Pragnęła, aby ich ciała stopiły się, stały nierozdzielne. Chciała wykuć w swojej pamięci wspomnienie, które połączyłoby ich na zawsze.

Zaczęła się zatracać. Mrok przed jej oczyma gęstniał. Powietrze więzło w gardle. Ręce konwulsyjnie ścisnęły ramiona mężczyzny. Nagle pojawiło się w niej odczucie bliskiego spełnienia.

Nadeszło niby purpurowożółta eksplozja fajerwerków, magiczne światło, wieczne i bez granic. Było bezgłośnie burzą, wewnętrzną furią. W samym apogeum Robert, drżąc, zatopił się głęboko. Amelia krzyknęła cicho, wygięła się w łuk, po czym oboje zastygli w bezruchu.

Minęła długa chwila, zanim otoczył ją ramionami i przekreślił się w koniczynie na plecach, pozwalając jej odpoczywać na sobie. Oddychali coraz spokojniej. Połyskująca na ich ciałach mieszanina rosy i potu ochłodziła się i teraz schła. Gdzieś blisko odezwał się przedrzeźniacz. Z cichym traskiem wylądował obok nich konik polny. Strumień szemrał spokojnie.

- Mam nadzieję - powiedział głosem zdradzającym beztróskie, błogie rozbawienie - że tutaj akurat nie ma trującego bluszczu.

Amelia uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

- Albo, co gorsza, czerwonych robaczek.

- O, do diaska! - rzucił Robert sztywniej.

Czerwone robaczki były maleńkimi insektami z rodziny kleszczy. Ich ukąszenia nie należały do niebezpiecznych, ale wywoływały uciążliwe, utrzymujące się długo swędzenie. Amelia nie dziwiłaby się, gdyby Robert przeklinał teraz w duchu. Narastał w niej śmiech, ale nim zdołała wydać z siebie jakikolwiek dźwięk, zepchnięta, potoczyła się po trawie. Robert podniósł się i przykucnął, odwracając się szerokimi plecami do płynącej wody, osłaniając Amelię i sięgając jednocześnie po jej ubranie. Usiłowała usiąść, ale powstrzymał ją, chwytając za ramię. Kątem oka zerknął za siebie.

Teraz i ona dostrzegła prostokątny żagiel w kremowo-błękitne pasy. Po rzece pływała tylko jedna łódź o tak osobliwych barwach żaglowego płótna - barka Juliana. Właśnie przepływała obok, lśniąca w słońcu, wzbijająca w górę wodne ognie, równie wspaniała i bezużyteczna jak motyl. Tige'a przy rumplu zasłaniał żagiel, Julian

natomiast, oparty wygodnie na poduszkach, miał widok niczym nie przysłonięty. Wstając przesunął słomkowy kapelusz na tył głowy. Patrzył wprost na nich, a jego twarz powoli przybrała wyraz zaskoczenia i wściekłości.

Kiedy dojeżdżali do Belle Grove, barka ze zwiniętymi żaglami kołysała się przy nabrzeżu. Nie spieszili się z powrotem. Trochę czasu zajęło im odnalezienie drobiazgów Amelii i doprowadzenie do porządku jej wyglądu. Potem jechali wolno, by w gorących promieniach słońca powysychały ich zawilgocone ubrania. Amelia pomyślała, że nie podoba się jej ta cisza przed burzą. Uważała, że byłoby nawet lepiej, gdyby Julian przybił do brzegu tam, przy polanie w lesie, i od razu na miejscu wyładował swój gniew. Nie stało się tak prawdopodobnie z powodu obecności Tige'a. Służący najmniejszym nawet gestem nie okazał wtedy, czy coś zauważył, czy też nie. W każdym razie nie byłoby dobrze bez potrzeby zwracać uwagę służącego na ich jakże niestosowne zachowanie. Mimo wszystko myśl o zbliżającej się nieuchronnie konfrontacji napępiała ją przerażeniem i bezsilną złością.

Mówili niewiele, zatopieni we własnych myślach. Przez chwilę zastanawiała się, o czym on myśli, ale jego zastygłe rysy nie pozwalały niczego odgadnąć. Czy żałował tego, co się stało? Chyba nie. Czy sama żałowała? Nie potrafiła odpowiedzieć. Wiedziała tylko, że powinna żałować.

Tymczasem dotarł na miejsce transport krzewów. Wzniesienie przed domem było dokładnie zastawione setkami dużych i małych beczek oraz dzbanów. Jediną wolną przestrzeń stanowiło błyszczące lustro stawu. Parowiec, który przyciągnął płaskie barki, odpłynął już z powrotem do St. Martinville.

Pani Declouet, okryta chustą chroniącą ramiona przed promieniami słońca, przechadzała się pomiędzy roślinami w towarzystwie Jerzego, który zwracał jej uwagę na najciekawsze i najładniejsze okazy. W zasięgu wzroku nie było ani Chloe, ani Juliana.

Robert i Amelia zeszli z wierzchowców przed samym domem. Starsza pani podniosła dłoń w geście powitania. Jerzy krzyknął, aby podeszli obejrzyć jego skarby. Zdając sobie sprawę z tego, że mimo starań jej wygląd mógł nasunąć niepotrzebne przypuszczenia, Amelia potrząsnęła głową i zawołała, że musi najpierw zmienić strój. Przyjazne pozdrowienia obojga przyjęła z ulgą. Należało wnioskować, że Julian nie powiedział nikomu o tym, co zobaczył nad strumieniem. Amelia przerzuciła przez ramię tren spódnicy i ruszyła w kierunku schodów. Robert dotrzymywał jej kroku, więc zerknęła na jego nieruchomą twarz. Zanim odezwała się, odczekała, aż chłopiec stajenny, który odebrał od nich konie, znajdzie się poza zasięgiem jej głosu.

- Nie musisz wchodzić ze mną. Może nawet byłoby lepiej, gdybyś tego nie robił.

Utkwił w niej spokojne spojrzenie ciemnoniebieskich oczu.

- Nie mogę pozwolić, byś musiała sama stawić mu czoło.

- Możesz, tylko nie chcesz.

- Dobrze to ujęłaś.

Ton jego głosu nie pozostawiał wątpliwości, że nie zdoła go przekonać. Zatem nawet nie próbowała. Schyliwszy głowę, weszła przed nim na galerię. Kiedy zaczęła wspinać się po stopniach, ściągnęła z głowy kapelusz.

- Chyba na tym nie poprzestaniesz? - powiedział z sarkazmem Julian. Stał na górnej galerii i spoglądał w dół. - Możesz zdjąć całą resztę także publicznie. W istocie nie pojmuję, dlaczego zadałaś sobie trud powtórnego włożenia ubrania.

- Dosyć, Julianie! - przerwał mu stanowczo Robert.

- Dosyć - powiadasz? I jeszcze pewnie mam przymknąć oko na to, że harcujecie nadzy jak Adam i Ewa w miejscu dostępnym dla każdego?

- Zobaczyłeś nas przez przypadek.

- Przypadek niezbyt szczęśliwy - chciałeś powiedzieć! Nawet w najgorszym śnie nie przyszłoby mi nawet do głowy, że w taki sposób narazisz na szwank moje dobre imię, czy też, jak wolisz, dobre imię mojej żony. Miałem o tobie dużo lepsze zdanie, mój drogi kuzynie.

- Julianie, proszę - powiedziała Amelia, poruszona do głębi pogardą w jego głosie - nie było tak, jak sądzisz.

- Nie? Mam uwierzyć, że jedynie chwilowa pokusa uczyniła z was osoby tak beztroskie? Jakież to ujmujące! Nie zamierzam przyglądać się beczynnemu, jak was dwoje naznacza mnie piętnem rogowca, widocznym dla wszystkich z tej tylko przyczyny, że nie umiecie wykazać odrobiny więcej powściągliwości.

Robert ujął Amelię za ramię i razem weszli na górną galerię, tak że Julian musiał ustąpić im z drogi. Głosem ponurym i jakby nieco zmęczonym powiedział:

- To nie powtórzy się więcej.

- Już ja o to zadbam! Nadeszła pora zakończenia całej tej maskarady. Jak się zdaje, jej cel został osiągnięty. Tak przynajmniej mówi Tige, opierając się na opinii pokojówki mojej małżonki. Jeśli Amelia nosi w sobie dziecko, nie ma powodu, by to przeciągać.

Amelia czuła na sobie natarczywy wzrok Roberta, ale nie mogła zmusić się i spojrzeć mu w oczy. Jednocześnie uświadomiła sobie, że ku dolnej galerii zbliża się pani Declouet.

- Zgadza się - powiedział Robert.

Teraz Amelia gwałtownie odwróciła się w jego stronę. Piwnymi oczyma spoglądała badawczo na twarz całkowicie pozbawioną wyrazu. Przeniosła wzrok na męża, by ujrzeć, jak powoli jego zmysłowe usta rozchylają się w

uśmiechu złośliwej satysfakcji.

- Przyznam się, że po dzisiejszym przedpołudniu nie spodziewałem się odnaleźć w twoim zachowaniu tak wiele rozsądku - zauważył.

- Najpierw mnie wysłuchaj.

- Tak? - Nagle Julian stał się bardziej czujny.

- Zgadzam się, że nadszedł czas, aby zakończyć całą tę, jak to ująłeś, maskaradę. Nie powinienem był nigdy brać w niej udziału, ale teraz nie ma to żadnego znaczenia. Planowałem zabrać Amelię, zanim dowiedziałem się o dziecku, teraz już naprawdę nie istnieje nic, co by mogło mnie powstrzymać przed realizacją tego zamiaru.

- Nie! Nie, nie, nie! - krzyknęła pani Declouet w podnieceniu, pnąc się nieporadnie po stopniach. - Nie wiesz, co mówisz. Pomyśl tylko o skandalu. Nie może do niego dojść. Nie wolno dopuścić, aby ta sprawa stała się publiczną tajemnicą!

Robert odezwał się spokojnie, ale równie stanowczo jak przed chwilą:

- Przykro mi, ale pozostawienie wszystkiego w nie zmienionym stanie byłoby dla mnie nie do przyjęcia.

- Zgodziłeś się. Obiecałeś. Pomyśl tylko, co mówisz, *mon cher*. Potem już nigdy nie moglibyśmy chodzić z podniesionymi głowami. - Starsza pani wyciągnęła ku niemu drżące dłonie. Na jej bladej twarzy tuż nad górną wargą zebrały się krople potu.

- Przez myśl mi nie przeszło, że tak może się stać. Źle uczyniłaś, prosząc mnie o to, a ja byłem głupcem, kiedy sądziłem, że zdołam wywiązać się z danego słowa.

Julian jednym krokiem znalazł się przy Amelii, chwycił ją za ramię i przyciągnął do siebie. W jego oczach pojawił się jakiś szczególny wyraz, jakby przerażenia.

- Nie pozwolę ci jej zabrać! Słyszysz? Jest moją żoną. Zostanie przy mnie, bo tutaj jest jej miejsce.

Pani Declouet jęknęła, przyciskając dłoń do piersi. Robert złapał Amelię za drugi łokieć, i to chyba nie tylko z tego powodu, żeby nie straciła równowagi, gdy z przeciwnej strony szarpał ją Julian.

Amelia zawrzała gniewem. To, że spierali się o nią, jak gdyby pozbawiona była własnej woli, i że planowali jej życie bez pytania, co ona o tym sądzi, zwiększało jeszcze jej cierpienie. Jakby nie dość krzywdy wyrządzili jej aranżując całą intrygę! Julian coraz mocniej i boleśniej wbijał palce w jej ciało. Wyrwała mu się jednak i wpadła wprost w ramiona Roberta.

Julian nie dał za wygraną. Chwycił ją za nadgarstek, wykręcił rękę i brutalnie oderwał od kuzyna.

- Zatem jego wybrałaś, tak? Odkryłaś, kto zakradał się do twojego łóżka, i zdecydowałaś się zostać jego kochanicą? Powinienem cieszyć się, że nareszcie wiem, Jaką sukę poślubiłem. Wiarołomną cudzołożnicę, która ma za nic małżeńską przysięgę, która pobiegnie za każdym, kto nosi spodnie, byleby tylko dostać to, czego pragnie!

Ból wykręconej ręki wycisnął Izy z oczu Amelii. Wypowiedziane ustami męża jadownicze słowa oszołomiły ją. Tak bardzo miały się z prawdą i były tak krzywdzące, że jak bolesna zadra utkwily w jej sercu. Nagle rozległ się odgłos uderzenia. Julian potknął się, zatoczył do tyłu, by w końcu zatrzymać się na balustradzie.

Robert stanął nad nim, z dłońmi zaciśniętymi w pięści. Julian siedział na posadzce, obejmując jedną ręką słupek balustrady, drugą dotykając obolałego miejsca na policzku, gdzie już widniał siny ślad. Po chwili podniósł na kuzyna lodowaty wzrok.

- Odpowiesz mi za to.

- Julianie! - krzyknęła pani Declouet.

- Nie bądź głupcem - powiedział Robert przez ściśnięte gardło, wytrzymując przez cały czas jego spojrzenie.

- Dlaczegoż nie? Skoro już zdecydowałaś się uczynić go ze mnie... jeśli nie kogoś gorszego.

Robert wyprostował się.

- Nigdy nie miałem takiego zamiaru.

- Czym skłonię cię do walki? Czy staniesz naprzeciwko mnie w obronie honoru mojej żony czy też jego braku?

- Julianie, synu! - zawołała pani Declouet z wyrazem udreki na twarzy.

Nastąpił moment pełnej napięcia ciszy. Przerwał ją Robert bezbarwnym, spokojnym tonem.

- Wybór broni należy do mnie, jak mniemam?

Twarz Juliana rozjaśniła radość.

- Mam nadzieję, że będą to szpady.

- Nie - szepnęła starsza pani. Amelia z przerażenia tylko szerzej otworzyła oczy.

- Nie ma powodu, dla którego ja miałbym robić z siebie głupca tylko dlatego, że masz takie życzenie - odrzekł Robert. - Wybieram pistolety. Z dwudziestu kroków.

Julian uśmiechnął się z błyskiem satysfakcji w oczach. - Jutro o świcie. Tam, gdzie zwykle.

Pani Declouet bezgłośnie osunęła się na podłogę.

Robert przeniósł ciotkę do salonu. Amelia rozpięła jej kołnierzyk i poluźniła gorset, podczas gdy pokojówka postarała się o sole trzeźwiące. Po chwili starsza pani odzyskała przytomność. Odsunęła od siebie zarówno kieliszek wina, jak i pomarańczówki i szlochała, powtarzając ustawicznie jedno słowo: *le scandale*.

Robert odszedł, gdy tylko okazało się, że jego obecność nie jest niezbędna. Byłoby mu nadzwyczaj niezręcznie

pozostać, kiedy już sprawy przybrały tak dramatyczny obrót. Ponadto musiał przecież poczynić odpowiednie przygotowania: znaleźć sekundantów, medyka, który zgodziłby się przyjechać na miejsce potyczki, sporządzić testament. Amelia wolała o tym wszystkim nie myśleć.

Przez jakiś czas czuwała przy teściowej w jej sypialni. Starsza pani wyciągnęła się na wąskiej kozetce, ustawionej przed wielkim łóżem z baldachimem. W rozmowie ciągle wracała do Juliana. Mówiła bez związku o dniu jego narodzin: że przyszedł na świat na tej samej kozetce, na której właśnie teraz leżała, że sam poród był okropny, ale zakończył się cudownym rezultatem. Opowiadała, jakim pięknym dzieckiem był Julian, jakim psotnym, rozpieszczonym i jak bardzo kochanym. Wspominała dni, w których Julian i Robert nie rozstawali się ze sobą. Nie mówiła nic o swoich obawach, ale te kryły się za każdym jej słowem, w drżącym głosie, w niespokojnym spojrzeniu, które ciągle kierowało się w stronę klęcznika.

W końcu Amelii udało się wymknąć. W sypialni zadzwoniła po służbę i poleciła przygotować kąpiel. Potem złożyła strój do konnej jazdy i umieściła go na najwyższej półce w garderobie. Były na nim zielone plamy od trawy i ślady zabrudzeń, które należało wywabić od razu, jeżeli strój miał nadawać się jeszcze do włożenia. Ale nie obchodziło jej to. Byłaby tak samo szczęśliwa, gdyby nie miała go już nigdy włożyć.

Siedząc w balii przypominającej kształtem męski kapelusz, z główką wypełnioną wodą i szerokim rondem, który chronił podłogę przed pochłapaniem, obracała w dłoniach kawałek różanego mydła. Przedpołudniowe wydarzenia wydawały się jej teraz prawie nierealne. Nie mogła uwierzyć, że dała się nakłonić do miłości nad brzegiem rzeki, w jaskrawym świetle dnia, że widział ją Julian i że stanie on do pojedynku z jej kochankiem, by walczyć o nią. Takie rzeczy nie zdarzają się dobrze wychowanym damom. Jak to się stało, że przydarzyły się właśnie jej?

Usiłowała przypomnieć sobie, co w przeszłości mogłaby zrobić, żeby temu zapobiec. Zdawało się, że niewiele. Wszyscy od samego początku zawiązali przeciwko niej spisek: pani Declouet, Julian i Robert. Kiedy po raz pierwszy zaczęła podejrzewać, że padła ofiarą podstępny, próbowała porozmawiać z Julianem. Gdyby wówczas zakończył intrygę, prawdopodobnie nie doszłoby do sceny nad rzeką. Szkoda, że nie przebywał częściej w domu, zamiast pozostawiać ją Robertowi. Niestety, nie uświadamiał sobie, jaka głęboka uraza rodzi się w kuchni.

Czuła ból na wspomnienie obelg, którymi ją obrzucił. Nie zasłużyła na nie, a już na pewno nie przed tym rankiem. Do ostatniego przedpołudnia była zupełnie niewinna, lecz nie miała żadnego usprawiedliwienia tego, co wydarzyło się między nią a Robertem w pobliżu rzeki. Bez znaczenia była okoliczność, że nie doszłoby do tego, gdyby nie intryga, którą wcześniej uknuto. W końcu przystała na to świadomie, zgodnie z własną wolą, nie mogła w żadnym razie łudzić się, iż było inaczej. Wszakże grubiańskie i poniżające słowa, które wypowiedział Julian, nie miały nic wspólnego ani z nią, ani z tym, co łączyło ją z Robertem.

Było w tym coś dziwnego. Obwiniała Roberta za to, co się wydarzyło, a mimo wszystko nie czuła do niego pogardy. Czyżby wytłumaczeniem był sposób, w jaki ją potraktował - delikatnie i z bezmierną troską o jej odczucia? A może świadomość, jak wiele mogła stracić, gdyby okazał się większym dżentelmenem?

Tamtej nocy, kiedy przyłapała go w pokoju Juliana, zaczęła powątpiewać, czy jest człowiekiem honoru. Spotkał się wtedy z upokarzającą odprawą. A mimo wszystko próbował ochronić ją na każdym kroku. Nawet to spotkanie pomiędzy nim a Julianem...

Nie. Nie wolno jej było dłużej o tym myśleć. Powinna raczej postanowić, jak przeżyje resztę dnia oraz noc, czyli czas, który musiał upłynąć, nim miała poznać wynik pojedynku. Zamknęła oczy i zmusiła się do intensywnego myślenia o sprawach, które wymagały załatwienia. Miedź w kuchni należało oczyścić i wypolerować. Kończył się zapas łojowych świec przeznaczonych do czworaków, ale zgromadzono już dość tłuszczu do wyrobu nowych. Po południu mógł ktoś przyjechać z wizytą... chociaż nie, wszyscy przecież będą zajęci przygotowaniami do balu...

Bal u Morneyów. Miał odbyć się tego wieczoru. Zatem musieli natychmiast wysłać zawiadomienie, że nie wezmą w nim udziału. W tych okolicznościach nie mogli przecież się pokazywać. Przynajmniej nie teraz. Śmiać się, jeść, tańczyć ze świadomością, że o brzasku następnego dnia dwóch mężczyzn, dotąd oddanych sobie towarzyszy, będzie usiłowało zabić się nawzajem - to byłoby dla niej zbyt wiele. Nie, nie mogła tego zrobić. Nie sądziła również, by starsza pani zdobyła się na tak duży wysiłek.

Myliła się. Po kąpieli włożyła świeżą i chłodną batystową suknię i od razu poszła do pokoju teściowej. Zastała ją, jak siedząc prosto, przyglądała się przynoszonym kolejno przez pokojówkę balowym sukniom. Na widok Amelii podniosła głowę i zdobyła się na uśmiech. Poprzecinana zmarszczkami twarz nadal wyrażała strapienie, lecz ukryte pod maską udawanego spokoju.

- Zdecydowałaś już, *chère* - przywitała ją - w co ubierzesz się dzisiaj na bal?

Przez moment podejrzewała, że z jej teściową nie wszystko jest w porządku, tak zmylił ją jej spokojny i zrównoważony głos.

- Przecież chyba się nie wybierzemy?

- Ależ przeciwnie! Musimy jechać.

- A czy nie powinniśmy uważać się za wytłumaczonych?

- I narazić się na opinię, że zanadto się wstydzimy, by pokazywać nasze twarze? O nie, tego nie pragnę.

Amelia podeszła i usiadła obok teściowej.

- Nikt nie będzie wiedział, dlaczego zrezygnowaliśmy z udziału w balu.

- Jeśli tak naprawdę sądzisz, to znaczy jedynie, że niewiele wiesz o małej społeczności. Julianowi będzie towarzyszyło dwóch sekundantów, tak samo Robertowi, do tego medyk. Razem pięciu mężczyzn. Doprawdy zdziwiłabym się, gdyby żaden z nich nie szepnął słowa służącemu, żonie albo komuś innemu. Wierz mi: tylko to wystarczy, żeby już wieczorem zaczęły krążyć rozmaite plotki.

- Och, *M'mere*, i to jeszcze na domiar złego?

Musiała wytłumaczyć, co ma na myśli. Gdy skończyła, pani Declouet patrzyła surowo przed siebie.

- W dzisiejszych czasach już nie ma co liczyć na lojalność. Każdy plecie i plotkuje za plecami. Nic nie można temu zaradzić. Gdyby nas tam zabrakło tego wieczoru, wszyscy wiedzieliby, że to, co o nas słyszeli najgorszego, jest prawdą. Jeśli zaś pojedziemy i będziemy uśmiechać się jak zwykle, pojawią się przynajmniej pewne wątpliwości.

- Ale czy warto? - zapytała Amelia tonem prośby. - Nie czułaś się ostatnio dobrze.

- Nie powinnam była ingerować w cudze życie. Teraz już to wiem. Mogę tylko powiedzieć, że chciałam jak najlepiej.

- Zapewne.

Starsza pani chwyciła ją za rękę.

- Mówisz tak tylko dlatego, żebym czuła się mniej winna, ale ja swoje wiem. Wina spoczywa na mnie, i to od samego początku. Bardzo źle ci się przysłużyłam, moje drogie dziecko. Postaram ci się to wynagrodzić. Obiecuję. Modłę się tylko, abys któregoś dnia zechciała mi wybaczyć.

- Proszę, nie wolno mówić w ten sposób... - zaczęła Amelia, ale pani Declouet uniosła rękę w geście sprzeciwu, więc zamilkła. Wstała ze swojego miejsca.

- Jeśli rzeczywiście mam wziąć udział w tym balu, najlepiej będzie, gdy zacznę już przygotowania.

- Oczywiście. Czy byłabyś tak uprzejma i powiedziała Marcie, że zjem lekki lunch u siebie w saloniku?

Skinęła głową i właśnie odwracała się w kierunku drzwi, kiedy rozległo się pukanie. Otworzyła je i ze zdziwieniem ujrzała Patryka Dye'a.

Mężczyzna stał oparty o framugę, wydawało się, jakby cicho pogwizdywał. Rzucił w jej kierunku zuchwałe spojrzenie, które na dłuższą chwilę spoczęło na krągłościach jej piersi, potem skinął głową i przeniósł wzrok poza nią.

- Pani posyłała po mnie, *madame Declouet*?

- Owszem, *m'sieu* - potwierdziła starsza pani, ale nie powiedziała nic więcej, dopóki Amelia nie wyszła z pokoju i nie zamknęła za sobą drzwi.

Suknia Amelii była uszyta z opalizującego jedwabiu w kolorze znanym jako *l'heure bleu*, czyli szaroniebieskim, który w załamaniach przechodził w lawendowy. Dla podkreślenia oryginalności materiału krój sukni był prosty: jej dół miał kształt dzwonu, baskina dokładnie pasowała do wąskiej talii, jasnożółty kołnierz ozdobił owalne wycięcie przy szyi. Z nastrojem Amelii dobrze harmonizowała zarówno prostota sukni, jak i raczej smutna barwa.

Suknia leżała na łóżku, gdy tymczasem Amelia, ubrana jedynie w peniuar, siedziała przy toalecie. Poprosiła Lally, aby fryzura niewyszukanym stylem pasowała do sukni. Poza tym zaczynał jej dokuczać ból głowy i nie sądziła, aby zdołała znieść przygotowanie czegoś bardziej wyrafinowanego.

Pokojówka rozdzieliła na środku głowy długie, jedwabiste fale, rozczesała je na boki, potem utworzyła z nich na karku gruby węzeł. Wąską aksamitką oplotła fryzurę na podobieństwo pary pierzastych liści paproci. Skończywszy wręczyła swej pani lusterko.

Amelia obróciła się na krześle, żeby zobaczyć boki oraz tył głowy. Uśmiechnęła się do odbicia Lally w lustrze.

- Jak zwykle bardzo ładnie.

- Staram się. - Z rumieńcem zadowolenia na twarzy dziewczyna odwróciła się i nachyliła po jedwabne pończochy.

W tej samej chwili rozsunęły się drzwi. Do środka wszedł Julian w szlafroku w kolorze czerwonego wina. Na widok zdziwienia malującego się na twarzach obu kobiet podniósł do góry jedną brew i uśmiechnął się sardonicznie. Potem, pokazując ruchem głowy na drzwi, powiedział do Lally:

- Zostaw nas.

Amelia powoli wstała, uniosła dłoń, którą przytrzymała przy szyi brzegi peniuaru. Pierwsza myśl, jaka przyszła jej do głowy, była taka, że oto może Julian, zgodnie z obawami Roberta, zdecydował się mimo wszystko wyegzekwować swe małżeńskie prawa. Czyżby perspektywa utracenia jej podsunęła mu takie rozwiązanie? Czyż nie to właśnie zdradzały jego zacisnięte usta?

Kiedy drzwi zamknęły się za pokojówką, odwrócił się do żony i ochryplym głosem powiedział:

- Nie patrz na mnie w ten sposób. Dzisiaj rano nie chciałem cię urazić.

- To nic. - Szukała w myślach słów, którymi zdołałaby poprawić jego nastrój. - Z pewnością nie było ci miło widzieć nas oboje w tak jednoznacznej sytuacji.

- To żadne wytłumaczenie dla sposobu, w jaki ciebie potraktowałem. Ogromnie żałuję tego, co powiedziałem i co uczyniłem. Mając pełną świadomość, co ci wyrządzono, nie miałem żadnego prawa obrażać cię w taki sposób, w jaki to zrobiłem. Nie potrafię wyjaśnić, co mną kierowało. Nie bardzo rozumiem sam siebie. Pozostaje mi nadzieja,

że nie potraktujesz mnie nadmiernie surowo.

Mówiąc to, wbił oczy we wzór dywanu przy swoich stopach. Tak było mu łatwiej. Odpowiedziała mu głosem cichym i zdławionym:

- Nawet jeśli mogło się wydawać, iż nie mam szacunku dla nazwiska, które noszę, albo dla twojej pozycji w tutejszej społeczności, musisz wiedzieć, że to nieprawda. Nie zrobię ponownie niczego, co mogłoby narazić na szwank jedno albo drugie.

- Nie mogę prosić o nic więcej.

Zapadła cisza. Zmarszczywszy czoło, wsunął ręce do kieszeni szlafroka. Ona przełknęła ślinę. Na gzymsie kominka cicho rozdzwonił się zegar. Oboje spojrzeli w tamtą stronę. Julian odchrząknął.

- Zapewne wydaje ci się dziwne, że mąż pozwala innemu mężczyźnie odwiedzać swoją żonę.

- Tak... wydawało mi się dziwne, ale Robert objaśnił mi to.

- Doprawdy? Szkoda, że tego nie słyszałem. Powiedział ci dlaczego?

- Częściowo.

Podniósł głowę i spojrzął na nią. Zmrużył oczy, napotykać jej spokojny wzrok. Po chwili głęboko nabrał powietrza w płuca i powoli je wypuścił.

- Zatem powinienem być mu wdzięczny.

Postąpiła krok w jego kierunku, wyciągnęła rękę tak, że prawie go dotykała.

- Jeżeli tak, to może ten bezsensowny pojedynek mógłby być odwołany? Skoro ty jesteś stroną obrażoną, więc...

- Nie. Tobie mogę wybaczyć, ale jemu nie. Robert zawiódł zaufanie. Działał z pełnym rozeznaniem znaczenia swojego czynu. Nie mogę dopuścić, żeby ponownie poważił się na coś takiego.

- Proszę. Daj temu spokój. Mogłabym... zrobić wszystko, o co mnie poprosisz.

Wykrzywił kąciaki ust w nikłym uśmiechu.

- Z obawy o mnie czy o niego? A może nie powinienem pytać?

- O was obu. Cokolwiek się stanie, zaciąży na moim sumieniu. - Ledwie wypowiedziała te słowa, natychmiast zdała sobie sprawę, że były szczerze. Dotknęła jego ramienia, popatrzyła błagalnie swymi brązowymi oczyma.

Jego twarz rozchmurzyła się wyraźnie, kiedy zewnętrzną stroną dłoni musnął jej policzek.

- Jakże jesteś piękna! Taki właśnie jest ideał każdego mężczyzny: kobieta czarująca, pracowita, namiętna, niewiarygodnie słodka. Mógłbym się skusić.

Czekała, wstrzymując oddech. Jak zdoła dotrzymać obietnicy, którą złożyła, jak będzie potem żyła? Nie wiedziała. Jednakże nie cofnęła się.

Opuścił rękę.

- Mieć ciebie przy sobie jako małżonkę, która jest ozdobą mojego domu, która zaszczyca obecnością przy moim stole, choć nie w moim łóżku - to wszystko, o co cię proszę.

Rozdział XI

Dom Morneyów przypominał klasyczną grecką świątynię. Został zbudowany na planie kwadratu i z każdej strony zdobiła go kolumnada, która wspierała dach nad niską, parterową galerią. Budowla nie miała więcej niż dwa lata i jak na St. Martinville zdradzała nieco pretensjonalny, nowobogacki charakter. Jednakże nikt, kto zetknął się z gościnnością państwa Morneyów, nie wyrażał później takiej opinii. Gospodarz był wspaniałym człowiekiem, przy tym znakomitym znawcą win, który z większą ochotą mieszkał w miasteczku i doglądał ziem położonych wzdłuż Teche, niż troszczył się o znacznie większą część swego majątku, zlokalizowaną nad Missisipi. Pani Morney, jego żona, była pulchną, z natury pogodną kobietą, która prowadziła wyborną kuchnię i obdarzała go żywymi dowodami swojego uczucia przez wszystkie lata ich dwudziestoczteroletniego małżeństwa. W efekcie dochowali się dwóch synów i trzech gotowych do zamążpójścia córek. Właśnie dla nich oraz ich przyjaciół niestrudzenie urządzali rozmaite spotkania towarzyskie.

Dom składał się z trzech kondygnacji, przy czym na ostatniej mieściło się otwarte pomieszczenie z lakierowaną podłogą oraz ścianami wyłożonymi boazerią i obwieszonymi lustrami; wysokie okna o łukowatych szczytach otwierały się szeroko na zewnątrz. Ów przestronny pokój pełnił funkcję sali balowej. Jednakże wybór nie był najlepszy. O tej porze roku w ciągu dnia ciepło z niższych kondygnacji płynęło ku górze, gdzie utrzymywało się długo po zachodzie słońca. Tego wieczoru sprawę pogarszała obecność blisko dwóch setek gości. Dlatego też prawie wszystkie damy, które akurat nie tańczyły, wachlowały się energicznie, gdy tymczasem mężczyźni, ubrani w dopasowane surduty, co rusz ukradkiem ocierali chusteczkami spocone twarze.

Tłum wypełniający salę balową składał się nie tylko z ludzi bardzo młodych, były tam także osoby w różnym wieku - od świeżo poślubionych małżonków do ich dziadków. Salonik na parterze przekształcono w pokój karciany; grą zainteresowała się pewna grupa mężczyzn i starszych kobiet. Po imponująco szerokich schodach odbywał się ustawiczny dwustronny ruch, głównie do dwóch sypialni, które wraz z sąsiednimi salonikami przeznaczono na miejsca odpoczynku dla kobiet i osobno dla mężczyzn.

Muzycy grali z werwą, zasłonięci paprociami ustawionymi na stojakach. Dużym powodzeniem cieszył się poncz, schłodzony grzechoczącymi kawałkami lodu, który sporym kosztem sprowadzano parowcem. Płomyki świec w żyrandolach o skrzęcych się kryształowych powierzchniach migotały w podmuchach płynących z otwartych okien.

Zapach róży i lawendy rosnących w ogrodzie, mieszał się z perfumami. Jedwabne suknie w delikatnych pastelowych barwach połyskiwały, kontrastując z czernią wieczorowych strojów mężczyzn. W jednym z kątów stał gospodarz przyjęcia w towarzystwie ojca Jana oraz pewnego księdza, który wędrował od parafii do parafii, wygłaszając kazania. Dźwięki walca współzawodniczyły z gwarem rozmów i wybuchami śmiechu. Mimo że noc była duszna, uczestnicy balu sprawiali wrażenie, iż są w dobrych nastrojach i świetnie się bawią.

Siedząc na krześle pod ścianą, Amelia zastanawiała się, czy jej wrażenia nie mijają się z prawdą. Albo czy może ci, którzy tak beztrudnie wirowali dookoła sali, umieli po prostu lepiej niż ona ukryć przygnębienie?

Czy w tym tłumie znajdowali się wiarołomcy i cudzołóżnicy? Bardzo prawdopodobne, chociaż sytuacja niewielu kobiet mogła choć z grubsza przypominać jej położenie. Kobiety zwykle były otoczone służbą. Krępowano je wiele konwenansów, zgodnie z którymi nie mogły przebywać sam na sam z mężczyznami spoza kręgu najbliższej rodziny i nigdy nie wolno im było opuszczać domu bez męskiego opiekuna. Zatem los nie stwarzał im zbyt wielu okazji. Inaczej rzecz się miała z mężczyznami. Młodych i nieżonatych w pewnej mierze nawet zachęcano do miłosnych przygód, by oszczędzić damom ekscesów wynikających z ich nadmiernie rozbudzonych zmysłów. A i potem miewali niewiele mniej okazji, ponieważ niektóre żony widziały w tym sposób na odpoczynek od brzemiennego stanu.

Ale przecież i kobiety nie były wolne od namiętności, czego zresztą Amelia sama doświadczyła. Prawdopodobnie jakaś mądrość tkwiła w tym, aby powściągać emocje, gdy niewinność zostawała wystawiona na próbę. Nadrzędny cel polegał na zachowaniu czystości krwi w linii męskiej. Wzrastała pewność, że mężczyzna nie przekaze nazwiska obcemu dziecku. O ile prościej i rozsądniej byłoby wyznaczać potomków w linii żeńskiej. Nie byłoby różnicy, czyje dziecko kobieta wydawałaby na świat. Nagle Amelia podniosła się, powiodła dookoła nieśmiałym wzrokiem i ruszyła skrajem parkietu. Wcześniej tańczyła z Julianem walca oraz polkę. Przyniósł jej poncz, a potem zostawił w towarzystwie swej matki. Wkrótce siostry Oudry dostrzegły panią Declouet i zabrały ją do pokoju karcianego. W pewnym momencie pojawił się Jerzy, który szukał Chloe, lecz kiedy ujrzał ją w ramionach młodego Kreola z imponującymi wąsami, poprosił do tańca Amelię. Ostrożnie prowadził ją podczas gawota, nim pospiesznie pobiegł, by znaleźć się przy ukochanej Chloe, gdy ta schodziła z parkietu.

Wydawało się, że znowu byli w dobrej komitywie, ponieważ chwilę później oboje wesoło podskakiwali w szkockim tańcu. Chloe chichotała, przytulając się do Jerzego i sprawiając, że odchyłał się do tyłu, speszony prowokującą bliskością powabnego ciała. Anglik cierpiał bardziej niż inni, gdyż nie przywykł do tutejszego klimatu i pocił się tak bardzo, że trzymał w rękę chustkę, aby nie poplamzić jedwabnej sukni Chloe.

Muzyka umilkła. Chloe rozłożyła wachlarz i w drodze po poncz zaczęła machać nim przed twarzą partnera. Obserwując ich, Amelia uśmiechnęła się lekko. Żałowała, że Julian nie może dostrzec, jaka dobrana byłaby z nich para.

- Czy mogłabyś ofiarować mi następny taniec?

Odwrociła się, by stanąć twarzą w twarz z Robertem. Usiłowała nie stracić kontroli nad swoim zachowaniem, próbując jednocześnie nie zważać na szaleńcze tempo uderzeń własnego serca.

- Nie uważam, żeby to był rozsądny pomysł.

- Wszystko, co wydarzyło się pomiędzy nami, było mało rozsądne. Dlaczego akurat teraz mielibyśmy na to zważać?

- Ponieważ nie tylko my poniesiemy konsekwencje.

- Słusznie - powiedział, uśmiechając się sztucznie. - Czy zatem będzie mi wolno zostać i rozmawiać z tobą, czy też będzie lepiej, jeśli odejdę?

Amelia zdążyła już dostrzec kilka ukradkowych spojrzeń kierowanych w ich stronę. Nie mogło być wątpliwości, że powinien odejść i raczej poprosić do tańca jakąś inną młodą damę, nie skrepowaną więzami małżeństwa. Jednakże nie potrafiła się zmusić do powiedzenia tego.

- Zrób, jak uważasz za stosowne.

- Wolałbym zatańczyć z tobą. Nie istnieje w tej chwili doskonalszy pretekst, by trzymać cię w ramionach. - Zanim zdążyła zaprotestować, objął ją i poprowadził na parkiet przy pierwszych dźwiękach walca.

Oboje poruszali się z doskonałą naturalnością, jakby stanowili połówki tej samej całości. On prowadził, ona się poddawała. Kołysali się i płynęli, jak gdyby ich ciała układały się do jeszcze innego, bardziej pierwotnego rytmu. Oczy Roberta przybrały kobaltowy odcień, gdy wpatrywał się w Amelię. Brzeg jej spódnicy kręcił się, ocierał o jego spodnie, owijał w intymny sposób wokół jego nóg. Dzieliła ich od siebie stosowna odległość, jej dłoń spoczywała lekko i pod właściwym kątem w jego dłoni, drugą ręką ledwie dotykał ściśniętej gorsetem talii, mimo to ich ciała były jakby ze sobą stopione. Inne pary tłoczyły się w pobliżu, suknie szeleściły podczas obrotów, lecz oni w tej chwili istnieli tylko dla siebie.

W stanie prawie ekstazy uczynili z tańców całkowicie intymny obrzęd. Amelia była rozmarzona i bliska omdlenia. Tak bardzo pragnęła przytulić się do Roberta, że wysiłek, by się mimo wszystko powstrzymać, budził w jej duszy zamęt. Bliskość mężczyzny i jego dotyk przywoływały wspomnienia innych miejsc, innych chwil. Jego oczy swym wyrazem wabiły otwarcie i bez zahamowań. Skłoniła się ku niemu; usta miała zwilżone i rozchylone, chmury z jej oczu się rozpierzchły.

Jednakże jakaś cząstka jej świadomości ostrzegała ją przed widocznym lekceważeniem przez niego konsekwencji tego, co robili, i tego, co miało wydarzyć się następnego dnia. Amelia nie mogła opędzić się od natrętnej myśli, że wręcz chciał, aby wszyscy dowiedzieli się o ich romansie. Zadawała sobie pytanie, czy Robert również skrycie nie pragnął, by ich zauważono nad brzegiem rzeki. Czy nie bał się i dlatego oczekiwał na pojedynek o brzasku z takim spokojem, czy też dlatego, że pewien był rezultatu?

Nie podobał się jej tor, jakim biegły jej rozmyślenia. Jednakże nietrudno było znaleźć ich źródło. Pamiętając o sposobie, w jaki dostał się do jej łóżka, nie mogła mu w pełni zaufać. Uważała, że jest zdolny do wszystkiego, a zatem w pewien sposób podejrzany. Te myśli sprawiały jej ból, ale nie potrafiła przed nimi uciec.

Taniec zdawał się trwać bez końca. Targana sprzecznymi uczuciami, zaczęła odczuwać ból głowy. Dał o sobie znać już wcześniej, ale dopiero teraz stawał się naprawdę dotkliwy. Zmarszczyła czoło.

- Stało się coś? - zapytał Robert z troską w głosie.

- Żałuję, że nie mogę pojechać teraz do domu.

- Ja również żałuję, że nie możesz pojechać... ze mną - brzmiała natychmiastowa odpowiedź.

- Mówię poważnie.

- Uważasz, że ja nie?

- Nigdy nie mam pewności, gdy chodzi o ciebie - odparła, przyglądając mu się badawczo.

Teraz także on popatrzył uważnie, lecz zanim zdążył się odezwać, walc dobiegł końca. Od razu dołączyła do nich Chloe. Wpadła na Amelię, chwytając ją za ramię.

- Muszę chwilę z tobą porozmawiać. Najlepiej w saloniku.

Amelia pozwoliła się odprowadzić, zerknęła tylko jeden raz przez ramię na Roberta. Zdążyła jeszcze zauważyć, że odprowadzał ją wzrokiem. Odwróciła się w samą porę, by nie zderzyć się ze służącą, która właśnie zbierała szklance po ponczu. Kiedy schodziły, rzuciła okiem na Chloe, ale niewiele potrafiła odczytać z wyrazu jej twarzy o mocno zaciśniętych ustach. Domyślała się jednak, co ją gryzło: bez wątpienia doszła do niej wieść o pojedynku. Nie sposób było zgadnąć, czy wiedziała coś więcej.

W saloniku spotkały dwie matrony, które bynajmniej nie spieszyły się z odejściem. Po kolei przeglądały się w lustrze wiszącym nad empirowym stołem, zastanawiając się, jak sprawić, by ich mężowie nie chrapali, oraz wymieniając inne życiowe doświadczenia. Kiedy w końcu wyszły, wachlując się energicznie, Chloe sprawdziła, czy nie ma nikogo w sąsiednim pokoju, po czym odwróciła się do Amelii.

- Nigdy dotychczas w moim życiu nie byłam tak bliska omdlenia jak przed chwilą. Właśnie dowiedziałam się o pojedynku między Robertem a Julianem. To kłamstwo, prawda? Nie może być inaczej. Powiedz: czy wiesz coś o tym?

Amelia popatrzyła na zatroskaną twarz dziewczyny, potem zaś w nieokreślony punkt nad jej ramieniem.

- *M'mere* nic ci nie wspomniała?

Chloe odwróciła się i opadła na najbliższe krzesło.

- Zatem... zatem to prawda?

- Niestety tak.

- Dlaczego nic mi nie powiedziano? Dlaczego traktuje się mnie jak małe dziecko, którego nigdy się o nic nie pyta?

- Nie potrafię tego wytłumaczyć. Być może *M'mere* nie chciała cię martwić.

- Nie chciała mnie martwić?! A co się stanie, gdy jeden z nich zostanie zabity? Jak miałabym to przyjąć? Nawet przez myśl by mi to nie przeszło.

- Proszę, przestań!

- Nie zamierzam! To się może zdarzyć, jeżeli dojdzie do pojedynku! Nie wolno do niego dopuścić. Należy ich powstrzymać.

- Czy komuś kiedykolwiek udało się powstrzymać mężczyzn zdecydowanych na pojedynek? - W głosie Amelii pobrzmiwała gorzkość. Podeszła do otwartego okna. Z góry dochodziły dźwięki muzyki i odgłosy szurania butami o podłogę.

- Ach, Amelio, ty nie rozumiesz. Oni są jak bracia.

- Ludzie, którzy żyją blisko siebie, wiedzą najlepiej, jak jeden drugiego może dotkliwie zranić. Trudno im potem sobie wybaczyć. O wiele trudniej niż obcym.

- Dlatego nic obecnie nie jest ważniejsze od tego, żeby sobie przebaczyli. Póki jeszcze obaj żyją. Martwię się też o *M'mere*. Jeżeli któremuś z nich stanie się krzywda, ona już nigdy nie otrząśnie się z tego.

Amelia podniosła rękę, żeby rozetrzeć opuszkami palców czoło w miejscu, pod którym czuła największy ból.

- Masz chyba rację.

- Gdybyśmy знаły przyczynę, może znalazłby się sposób, by temu zaradzić. - Chloe najwyraźniej zachęcała do wyjawienia jej czegoś więcej. Amelia przyjrzała się jej bacznie.

- Twój informator nie zaryzykował żadnego domysłu?

- Nikt mnie nie informował. Niechcący usłyszałam, że w gronie pewnych osób rozmawia się na ten temat. Jednakże na mój widok natychmiast zmienili temat. Wątpię, czy wiedzieli coś więcej, sądząc po sposobie, w jaki

mówili.

- Zatem będziesz musiała zapytać panią Declouet.

Dziewczyna zmrużyła oczy.

- Miałam nadzieję, Amelio, że powiesz mi, jeżeli wiesz.

- Dlaczego tak sądziłaś?

- Nie jestem pewna - odparła wolno Chloe. - Po prostu odniosłam takie wrażenie.

Na tym skończyły, ponieważ do pokoju wtargnęła grupka roześmianych, podekscytowanych dziewcząt. rozpoznały Chloe i pociągnęły ją ze sobą do sypialni. wykorzystując sytuację, Amelia jak najszybciej opuściła salonik.

Wszystkie krzesła w pobliżu okien sali balowej były zajęte. Jedynie miejsca w kątach pozostawały wolne, ale tam wisiało duszne, nieruchome powietrze. Jerzy dostrzegł Amelię, gdy siadała; podszedł, przez chwilę bawił ją rozmową, po czym zaproponował przyniesienie szklaneczki ponczu. Napój był chłodny, ale zbyt słodki. Niewiele pomógł na ból głowy, a moment później sprawił, że poczuła się znacznie gorzej. Kiedy Jerzy po raz kolejny opuścił ją na widok Chloe, Amelia przez jakiś czas siedziała, trzymając małe naczynie w dłoni, potem zaś oddała je niskiej służącej, która akurat przechodziła, niosąc przed sobą srebrną tacę.

Obok usiadły dwie młode mężatki. Ich głosy wybijały się wyraźnie na tle dźwięków muzyki, kiedy rozmawiały o przepisach kulinarnych, o dziecięcych chorobach oraz bólach okresu ciąży podczas letnich miesięcy. Omawiały niebezpieczeństwa i zalety podróżowania w owym stanie, zastanawiały się, czy pobyt nad źródłami rzeczywiście zmniejsza prawdopodobieństwo poronienia.

Amelia, żywo zainteresowana tematem, słuchała uważnie, ale jednocześnie udawała, że nic ją to nie obchodzi, i dla pozorów poruszała leniwie wachlarzem. Jednakże kobiety, może dlatego że miały wspólnych znajomych w Nowej Hiszpanii, miejscowości położonej w dolnym biegu Teche, szybko przeszły do rozmaitych plotek. Obie zastanawiały się, czy latem pojedą na Isle Derniere, ponieważ wybierała się tam również jedna z najbardziej znanych pań z ich okolicy. Chodziło o Frances Prewett, córkę pani Moore, właścicielki kilku tysięcy akrów ziemi. Pani Moore niegdyś nosiła nazwisko Weeks, a nie tak dawno została wdową po raz drugi. Frances, rok tylko starsza od Amelii, również już dwukrotnie wyszła za mąż i dwukrotnie owdowiała. Z rozmowy wynikało, że mieszkała obecnie w swoim rodzinnym domu razem z dwójką dzieci z pierwszego małżeństwa. Chociaż nosiła jeszcze żałobę, już zaczynała przejawiać zainteresowanie ponownym wyjściem za mąż. Ta wyjątkowo atrakcyjna młoda kobieta, o tak wspaniałych perspektywach, zdaniem swoich przyjaciółek powinna dość szybko wyjść za mąż, choćby dlatego, żeby dać dzieciom ojca.

Temat rozmowy przypomniał Amelii, jak często śmierć nawiedzała tę okolicę, jak łatwo można było utracić ukochane osoby. Nie chciała jednak rozmyślać o tym teraz, kiedy Julian i Robert wyznaczili sobie spotkanie o wschodzie słońca. Wstała i bez celu ruszyła przed siebie. Z bólu ledwie widziała na oczy. Kiedy podszedł do niej Robert, wyciągnęła rozpaczliwie dłoń w jego kierunku.

- Co się stało? - zapytał z niepokojem, chwytając jej rękę.

- Mógłbyś zabrać mnie do domu? Głowa mi pęka, a Juliana nie widziałam już od wieków.

- I ja go nie widziałem. Odwiozę cię. Pozwól, że najpierw odnajdę *M'mere*.

Wrócił po chwili i powtórzył jej słowa starszej pani, która wolałaby, żeby Amelia została, chyba że rzeczywiście nie była w stanie. Sama zdecydowała się wytrwać na przyjęciu, by nie wywoływać pogłosek, że wszyscy salwowali się ucieczką.

Siedząc wygodnie w powozie, Amelia doszła do wniosku, iż teściowa nie zamierzała być wobec niej nieuprzejma. Przecież i ona przeżywała ogromny niepokój; tym większy, że Julian był jej jedynym dzieckiem. Mimo wszystko Amelia czuła się jak tchórz, choć zarazem miała świadomość, że dłuższy pobyt u Morneyów pogorszyłby tylko jej stan.

Nocne powietrze było zbawiennie świeże i chłodne. Obecność Roberta przy niej w słabo oświetlonym Powozie działała kojąco, choć przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Była zadowolona, że zachowywał wobec niej dystans, że nie dotknął jej nawet. Kiedy powóz zaturkotał, rzuciła w jego kierunku krótkie spojrzenie. Wyglądał na nieobecnego duchem, jakby błądził myślami gdzieś daleko. Przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie tak samo jechaliby razem, gdyby nic ich ze sobą nie łączyło, gdyby nie był dla niej nikim więcej niż kuzynem męża.

Szkoda wielka, że tak właśnie nie ułożyły się sprawy. Ale czy na pewno? Nie wiedziała. Zbyt mocno bolała ją głowa, by potrafiła to rozstrzygnąć.

Gdy dojechali na miejsce, Robert wyskoczył i pomógł jej wsiąść. Karol, który czekał na ich powrót, otworzył drzwi u podnóża schodów. Robert polecił mu, aby zawołał Lally, po czym podał Amelii ramię, kiedy oboje wchodzili po schodach.

Na górze przystanął.

- Nie wejdę z tobą, ponieważ muszę z powrotem odstawić powóz dla ciotki i Chloe.

- Rozumiem. To miło z twojej strony, że odprowadziłeś mnie aż na górę.

- Miło? - powiedział z nutą rozbawienia w głosie. - Wdzięczny jestem losowi za okazję. Żałuję jedynie, że przyczyną jest twoje złe samopoczucie.

Chwycił jej dłoń, przytrzymał ją w swych silnych palcach. Za nimi w salonie zapłonęły lampy. Żółte pasma światła ułożyły się na podłodze galerii. Oczy Roberta także odbijały to światło, lecz połyskiwały nadto innym jeszcze blaskiem. Amelia nie udawała przed sobą, że nie rozumie ich wyrazu.

- Zatem nie ma sposobu, by odwołać pojedynek.
- Nie ma, chyba że Julian uzna inaczej.
- To takie głupie - powiedziała impulsywnie.
- Zgadzam się, ale wybór nie należał do mnie.
- Ty jakoś umiałeś znieść jego zniewagi.
- Masz rację, ale winny mu jestem pewne zadośćuczynienie.
- To głupie!

Roześmiał się ponuro.

- Chyba głupie. No i trochę niezwykle. Miałem uwieść jego żonę; tak było ustalone. Gdyby na tym sprawa się zakończyła, wszystko byłoby w porządku. Nie może znieść, że my dwoje staliśmy się sobie bliscy.

- Sądziłam, że chodziło mu raczej o możliwość ujawnienia sprawy osobom postronnym.

- O to również, ale przede wszystkim o fakt, że nie potrafiłem utrzymać cię w przeświadczeniu, iż on jest twoim mężem i kochankiem. Pomimo niechęci do podstępu i kręctw bardzo mu zależało, abyś tak właśnie myślała.

- Jest człowiekiem bardzo dumnym - wyznała.

Ponieważ milczał, podniosła wzrok i uświadomiła sobie, że te słowa równie dobrze odnoszą się do Roberta Farnuma, który właśnie patrzył na nią granatowymi, niemal czarnymi w przyćmionym świetle oczyma.

- Jeśli nie wrócę... - zaczął.

- Proszę! Nie mów takich rzeczy.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że bez względu na to, co powinienem teraz czuć, niczego nie żałuję.

- Och, Robercie!

- Nie oczekuję, że powiesz mi to samo, pragnąłbym tylko odejść od ciebie z pocałunkiem na pożegnanie.

Przyciągnął ją, wzrokiem odszukał jej oczy i dopiero wtedy nachylił się do jej ust. Podała mu je z ochotą, dłonie kurczowo zacisnęła na kołnierzu jego koszuli, przywarła do niego mocno, pragnąc poczuć to silne męskie ciało i na zawsze je zapamiętać. Jakby pragnęła w ten sposób złagodzić dotkliwy ból zranionej duszy. Poczula ucisk w piersiach mocno przytulonych do jego torsu, w gardle czuła słony smak łez.

Ciężko oddychał, kiedy od niej odstąpił. Spuścił głowę, odwrócił się, a potem już szybko i zdecydowanie zszedł po schodach. Zza pleców Amelii wyszła Lally, podeszła do drzwi salonu i otworzyła je.

- Czy wszystko w porządku, *mam'zelle*? - zapytała łagodnie.

- Nie - odpowiedziała Amelia. Nie było w porządku we właściwym czasie i teraz już nigdy nie będzie.

Jeżeli Amelia tam, na galerii, nie wiedziała jeszcze, że kocha Roberta, powinna była uświadomić to sobie następnego dnia o poranku. Spała mało. Wracała wspomnieniami do wydarzeń, jakie rozegrały się, odkąd zamieszkała w Belle Grove. Starła się połączyć w jakąś całość ich strzępy i okruchy: uśmiechy, spojrzenia, słowa, fragmenty rozmów. Było tego wiele, a jednocześnie mało, najwięcej, a jednocześnie najmniej wspomnień dotyczących Roberta.

Jak to się działo, że tak bardzo pociągał ją ten mężczyzna? Nie tłumaczył tego dostatecznie fakt, że nocami w ciemności łączyły się ich ciała. Podziwiała jego oddanie ciotce, stałą troskę o sprawy plantacji, stosunek do ludzi, którzy pracowali pod jego kierunkiem. Być może uratował jej życie podczas powodzi, stanął po jej stronie w incydencie z Patrykiem Dye'em, a czasami bronił przed Julianem. Chodziło jednak o coś więcej, co tkwiło w nim samym: prawość, niezłomność, poczucie siły; ale także najpierwotniejszy, niewytłumaczalny urok.

Powinna myśleć o nim z pogardą, lecz nie była w stanie. Oczywista wyobraźni widziała jego twarz. Teraz zdawało się jej, że ani przez chwilę nie wyobrażała sobie, iżby mężczyzna, który się z nią kochał, mógł wyglądać inaczej. Na myśl, że już nigdy - bez względu na wynik pojedynku - tego nie zrobi, ogarniał ją bezbrzeżny żal. Jeżeli wszystko zakończy się lekkim zranieniem, a przy tym bez uszczerbku na honorze, Julian dopilnuje, aby Robert nigdy nawet nie zbliżył się do niej. Jeśli Robert zabije Juliana, może popaść w kłopoty z prawem. Co ważniejsze, nie mogłaby wówczas posłubić go, nawet gdyby nalegał. Innej możliwości - że to Julian zabije Roberta - nawet nie brała pod uwagę.

Słyszała, kiedy wróciły teściowa i Chloe, natomiast nie doszedł do niej żaden dźwięk z sypialni Juliana. Ból głowy nie ustępował, ale dokuczał nieco mniej. W końcu przed świtem zażyła kilka kropel laudanum i wreszcie zasnęła.

Obudziła się tknięta nagłym strachem. Serce biło jej przyspieszonym rytmem i miała nieprzyjemne odczucie, niemal pewność, że przespała coś istotnego. Za różowymi zasłonami przy oknach budził się dzień, złocąc brzeg horyzontu pierwszymi promieniami słońca. Pojedynek! O tej porze musiało już być po wszystkim.

Zsunęła się z łóżka, nie dzwoniąc wcześniej po Lally. Jednakże pokojówka widocznie czuwała, bo pojawiła się, ledwie Amelia zdążyła włożyć halki.

Amelia podniosła na nią wzrok.

- Wiadomo coś?

- Nie, *mam 'zelle*. Co pani włoży? Muślinową suknię w kropki czy różową w paski?

- Wszystko mi jedno, to bez znaczenia - odparła Amelia niecierpliwie, wsuwając stopy w ranne pantofelki.

Po chwili wyszła z sypialni i, szeleszcząc suknią w kropki, weszła do salonu. Ise, który z ołówkiem w ręku i szkicownikami przykucnął przy jej drzwiach, obdarzyła ledwie zdawkowym uśmiechem. Ruszyła w stronę sofy, na której kulila się ubrana w szlafrok Chloe. Pani Declouet stała przy otwartym frontowym oknie. Patrzyła w kierunku rzeki, podczas gdy od strony tylnej łodzi pojawił się Karol z tacą.

Amelia spojrzała na Chloe, a ta potrząsnęła głową. Po bezsennej spędzonej nocy oczy dziewczyny miały czerwone obwódki, splątane włosy opadały jej na plecy. Ponieważ nie zrobiła żadnego ruchu w kierunku tacy, którą lokaj zostawił na bocznym stoliku, Amelia podeszła, naląła kawy i podała jej parującą filiżankę. Zerknęła na teściową, następnie napełniła kawą drugą filiżankę i trzymając ją w ręku, stanęła przy starszej damie.

Pani Declouet miała w ręku różaniec z agatów połączonych srebrnym łańcuszkiem. Stała przez długą chwilę, poruszając bezgłośnie ustami, potem westchnęła, przeżegnała się i wsunęła różaniec do kieszeni suto marszczonej spódnicy. Biorąc kawę, zdobyła się na nikły uśmiech.

Amelia z całego serca pragnęła ją pocieszyć, ale cóż miała powiedzieć? Nie przychodziło jej do głowy nic, co nie zabrzmiałoby banalnie albo fałszywie. Znakając własne odczucia, wiedziała, że w tej sytuacji nie istnieją żadne słowa pocieszenia. Dlatego milczała, stała tylko obok teściowej, spoglądając na dęby i nowe krzewy przy cicho płynących wodach strumienia.

Jej uwagę rozproszył jakiś ruch. Opuściła wzrok, by zobaczyć Ise, który ostrożnie wyciągał rękę z filiżanką kawy przeznaczonej dla niej. Podziękowała mu uśmiechem i lekkim dotknięciem w ramię, po czym chłopiec wrócił na miejsce pod ścianą. Dłuższy czas słycać było jedynie brzęk porcelany, kiedy odstawiały filiżanki na spodki, ciche skrzypienie ołówka na papierze i śpiewy ptaków pośród drzew.

Odgłos szybkich kroków dobiegł do nich z dolnej galerii, potem zaś, już wyraźniejszy, z poszczególnych stopni schodów. Mogło się tak zdarzyć, że zwycięzca zбочzył z głównego traktu i przez pola dotarł do Belle Grove z miejsca, gdzie między dębami w pobliżu miasta miał się odbyć pojedynek. Amelia odstawiała filiżankę i postąpiła kilka kroków do przodu, akurat by dostrzec sam czubek głowy przybysza, który wchodził na pierwsze piętro.

- Jerzy! - zawołała, podnosząc głos niemal do krzyku. Za jej plecami Chloe pisnęła, postawiła filiżankę na spodku, drugą ręką przesunęła po swych starganych włosach. Poderwała się na równe nogi i zniknęła z pokoju dokładnie w chwili, kiedy Jerzy przekraczał próg.

Rozejrzał się dookoła, jakby spodziewał się dojrzeć pomiędzy obecnymi przynajmniej jednego uczestnika pojedynku. Ponieważ jednak nie znalazł go, grobowym głosem zapytał:

- Czy już coś wiadomo?

Amelia potrząsnęła głową podobnie, jak uczyniła to wcześniej Chloe. Żeby przerwać bezczynność, jak też ze względu na wymóg gościnności, usiadła i również Jerzemu naląła kawy. Wziął od niej filiżankę i trzymając ją w ręku, stał niepewnie, dopóki pani Declouet, spostrzegłszy jego rozterkę, nie poruszyła się, by usiąść i by on mógł uczynić to samo.

Prawie nie odzywali się do siebie. Chloe wróciła do salonu, ale już po niezbędnych porannych zabiegach. Karol przyniósł jeszcze więcej kawy oraz ciasto. Wszyscy wzięli sobie po kawałku i siedzieli, krusząc je na talerzach, z wyjątkiem Jerzego, który zjadł dwa kawałki i właśnie sięgał po trzeci, kiedy zauważył na sobie karcący wzrok Chloe.

Nikt nie drgnął na odgłos kopyt. Koń galopował szybko. Zabrzęczała uprzęż, kiedy ktoś ściągnął mu wodze i zmusił do zatrzymania się. Amelia spojrzała na starszą panią, ale teściowa patrzyła nieruchomo przed siebie, a jej twarz w jednej chwili stała się bielsza niż koronkowy kołnierzyk. Chloe chwyciła Jerzego za rękę. Amelia złożyła dłonie na piersiach i utkwiała wzrok w otwartych drzwiach.

Ktoś pokonywał schody krokiem pewnym i szybkim, takim samym przemierzał długość galerii. Prostokąt otwartych drzwi wypełniła sylwetka mężczyzny, który w ręku trzymał kapelusz i szpicrutę.

Chloe wydała z siebie zduszony krzyk. Pani Declouet zamknęła oczy. Amelia wolno wstała.

Robert wszedł do wnętrza. Marszcząc czoło, ponurym głosem zapytał:

- Gdzie jest Julian?

Rozdział XII

Ciszę przerwała Amelia.

- Cóż to ma znaczyć?

- Chciałem powiedzieć - oświadczył Robert surowym tonem - że Julian nie zjawił się w umówionym miejscu.

Pani Declouet siedziała wyprostowana, z dłońmi zaciśniętymi na poręczach krzesła. Chloe poderwała się z okrzykiem:

- To niemożliwe!

- Ależ tak było. - Odpowiedź Roberta była równie stanowcza, co lakoniczna.

- Co się za tym kryje?

Jerzy był nie mniej podniecony niż kobiety. Zmarszczywszy brwi, powiedział w swój typowy powolny sposób:

- Trudno sobie wyobrazić jaśniejszą sytuację. Po prostu uznał się za pokonanego, przyznał, że wina leży po jego stronie.

Chloe odwróciła się do niego.

- Istnieją inne sposoby wyrażenia tego. Po co tchórzyc? Mógłby porozmawiać z Robertem albo wystrzelić w powietrze.

- Dzisiaj byłoby już za późno na rozmowy. Przepraszam nie wygłasza się tuż przed pojedynkiem. Rzecz jasna, mógłby wystrzelić w powietrze, jeżeli jednocześnie chciałby dać swojemu przeciwnikowi szansę, by zrobił w nim dziurę na wylot.

- Właśnie tak by postąpił! Nie zawsze zgadzam się z Julianem, lecz wiem bardzo dobrze, że nigdy nie uciekłyby przed pojedynkiem.

Amelia wtrąciła:

- Wszyscy byliśmy przekonani, że pojechał na pojedynek z tobą. Ponieważ jednak nie pojawił się tam, więc może zasnął. Może nadal jest w swoim pokoju. Niewykluczone, że nawet zachorował.

- Właśnie tak sobie pomyślałem - przytaknął Robert. Odwrócił się, by zdecydowanym krokiem przeciąć salon i wejść do pokoju Amelii. Nie rozglądając się na boki, podszedł i rozsunął drzwi prowadzące do sypialni Juliana.

Wewnątrz panował spokój. Zasłony nadal nie były zaciągnięte. Łoże przykrywała narzuta bez najmniejszego nawet śladu zagniecenia, a zagłówki były na swoim miejscu pod poduszkami. O tak wczesnej porze pokojówki nie zdążyłyby jeszcze wypełnić swych obowiązków. Ostatniej nocy nikt w tym łóżku nie spał.

Wszyscy zebrali się za Robertem. Stali rozglądając się po pokoju. Wyjątkiem była pani Declouet, która zatrzymała się przy wezglowiu, wyciągnęła rękę i gładziła powierzchnię jednej z poduszek. Chloe pokręciła głową w zadziwieniu.

- Gdzie on może być?

- Doskonale pytanie. - Robert odwrócił się do Amelii. - Gdzie jest Tige? Może on będzie wiedział.

Zadzwonili po służącego, który wkrótce w pośpiechu nadszedł z kuchni. Na widok Roberta, skóra na jego twarzy stała się popielata. Jednakże spokojnie i w milczeniu czekał, by dowiedzieć się, po co został wezwany. Na pytanie gdzie może znajdować się jego pan, popatrzył z niedowierzaniem.

- Nie wiem, *m'sieu*. Czy to znaczy... że nie został ranny?

- Na pewno nie z mojej ręki - brzmiała ponura odpowiedź Roberta. - Nie wspominał, że nie wróci na noc?

- Nie, *m'sieu*. Powiedział tylko, że bym na niego nie czekał. Nic więcej. Wiele razy w przeszłości mówił mi to samo.

- A zatem często w ogóle nie wracał do domu?

- Czasami, *m'sieu*.

- Przyszło ci może do głowy, że twój pan z jakiegoś powodu nie stawia się na pojedynek?

- Nie stawia się? Ależ nie, *m'sieu*! - zaprzeczył służący, a w jego oczach pojawił się wyraz bezgranicznego zdumienia. - On nie zrobiłby czegoś takiego.

- Tak i ja uważam - oświadczyła Chloe.

- Czy nie wiesz przypadkiem albo czy nie domyślasz się - mówił wolno Robert - gdzie twój pan spędzał czas podczas pobytu w mieście?

Tige zerknął na Amelię.

- Nie wiem, *m'sieu*. Nie wiem od czasu, gdy pan się ożenił.

Amelia, podobnie jak pozostali obecni, nie przeszkadzała Robertowi w prowadzeniu przesłuchania. Jednakże teraz wystąpiła do przodu.

- Czy mam rozumieć, że Julian nie wrócił wczoraj razem z wami?

- Nie wrócił - odrzekł Robert.

- Nie słyszałam niczego, co mogło wskazywać na to, że wrócił później. Jeżeli jednak przyjechał zbyt późno, aby przed ponownym wyjazdem udać się na spoczynek, to pewnie nie znajdziemy jego pistoletów. - Odwróciła się do służącego. - Tige, czy one są w jego pokoju?

Chwilę trwało, nim służący sprawdził. Kiedy wrócił, skinął głową.

- Są, *mam'zelle*.

Julian opuścił dom poprzedniego wieczoru, udając się na bal. Spędził na nim niewiele czasu, po czym Fiknął. Od tamtej pory nikt go nie widział. Jego łóżko pozostało nie naruszone, w garderobie brakowało jedynie ubrania, które miał na sobie poprzedniego wieczoru, a pistolety przeznaczone do pojedynków spoczywały tam, gdzie zwykle, czyli w mahoniowej skrzynce na dnie jednej z szuflad komody. Nie stawiał się w miejscu, gdzie miał bronić swego honoru, nie zawiadamiając swego przeciwnika ani nikogo z rodziny. Pozostawało tylko jedno wytłumaczenie: na drodze stanęła mu jakaś poważna przeszkoda. Nic innego nie pasowało do okoliczności, a zarazem do charakteru Juliana.

Tige'owi pozwolono odejść. Popatrzyli po sobie. Pani Declouet odezwała się lekko drżącym głosem:

- Może jakiś wypadek?

- Oczywiście! - wykrzyknęła Chloe. - Nie inaczej!

Robert potrząsnął głową i zmarszczył brwi.

- Julian jest w okolicy osobą powszechnie znaną. Nikt nie musiałby pytać go, kim jest, nawet gdyby nie mógł tego powiedzieć sam. Otrzymalibyśmy jakąś wiadomość.

- Chyba że... - zaczęła Amelia - chyba że wypadek nie został jeszcze odkryty. Wczoraj jechał konno. Być może zrzucił go koń, a on leży gdzieś bez przytomności.

- Ostatnio częściej zdarzają się w okolicy napady rabunkowe na podróżnych - dodała Chloe. - Wystarczy trafić do jakiegoś podejrzanego zajazdu.

- Tak. - Widok ciotki, bladej i nieruchomo tkwiącej na krześle, kazał Robertowi uciąć ten temat. Przeniósł wzrok na Amelię, dając jej przez chwilę ujrzeć w nim niepokój. - Przede wszystkim należy pojechać naszą wczorajszą trasą, później zaś rozpytać o Juliana w mieście. Zrobię to natychmiast.

- Gdybyś nie miał nic przeciwko towarzystwu - odezwał się Jerzy - pojechałbym z tobą.

- We dwóch sprawdzimy większy obszar - zgodził się Robert.

Wyjechali w przeciagu niecałej godziny. Obserwując ich odjazd, Amelia pomyślała, że najtrudniej być kobietą właśnie w chwilach podobnych do tych, które teraz przeżywała. Pragnęła robić cokolwiek - wypytywać ludzi, przeszukiwać teren - byleby tylko nie siedzieć w miejscu i nie czekać beczynnie, aż ktoś odkryje coś, o czym chciała się dowiedzieć. Na pewno wywołałaby zgorszenie, gdyby udała się na poszukiwania w towarzystwie Roberta i Jerzego. Choć o tym nie wspomnieli, miała pewność, że odwiedzą najpodlejszą nawet tawernę w okolicy, każdy dom gry; jej obecność w tego typu podejrzanym miejscach byłaby szokująca, stanowiłaby dowód na to, że pozbawiona jest wrażliwości właściwej każdej damie.

Tak naprawdę wcale nie była pewna, czy jest obdarzona takim rodzajem wrażliwości. Powinna być raczej przybita faktem zniknięcia męża. Tymczasem była niespokojna, trawiona potrzebą udziału w poszukiwaniach. Dręczyła ją obawa o bezpieczeństwo mężczyzny, którego przecież darzyła już miłością, ale może bardziej dokuczalo jej poczucie winy. Ciągle na nowo stawiała sobie pytanie, jaki związek ze zniknięciem męża miał jej romans z Robertem. Wydawało się jej, że Roberta nurtuje podobne pytanie, co dostrzegała w wyrazie jego oczu tego rana.

Dochodziła jedenasta w nocy, kiedy obaj mężczyźni wrócili. Nikt jeszcze nie poszedł spać, chociaż Amelia i Chloe starały się przekonać panią Declouet, że rozsądek przemawia za tym, aby udała się na spoczynek. Starsza kobieta siedziała prosto, w rękę trzymała różaniec i w ogóle niewiele mówiła, zapewne zatopiona w modlitwie. Wydawała się mniejsza, jakby skurczona, a jej oczy sprawiały wrażenie głęboko zapadniętych.

Wystarczyło tylko spojrzeć na twarze obu mężczyzn, by od razu odgadnąć, iż wyprawa zakończyła się niepowodzeniem. Karol przy drzwiach odebrał od nich kapelusze i ociągał się z odejściem. Isa, który siedział rysując u stóp Amelii, podniósł głowę.

- Niestety - odezwał się Robert, kiedy już przeszedł przez salon i opadł na sofę.

- Myśleliśmy... to znaczy mieliśmy nadzieję, że wrócił, kiedy nas nie było - dodał Jerzy. Wysunął sobie krzesło, by usiąść w pobliżu Chloe. Uśmiechnął się blade, gdy położyła mu dłoń na ramieniu.

- Sprawdziliście...

- Sprawdziliśmy wszędzie - przerwał Robert wprawdzie spokojnie, ale tonem zniecierpliwienia.

St. Martinville zamieszkiwało nie więcej niż czterystu mieszkańców, kilkuset dalszych miało swoje siedziby wzdłuż brzegów rzeki, w jej górnym i dolnym biegu. Liczba miejsc, w których mógł przebywać Julian, była ograniczona.

- Tawerny? - upewniała się Chloe.

- Również. Widziano go w pewnym miejscu po drugiej stronie miasta, niedaleko Teche, ale to był jedyny ślad, na który natrafiliśmy.

- Jakby się zapadł pod ziemię - powiedział Jerzy.

- A jego wierzchowiec? - Chloe odwróciła się do niego.

- Z wierzchowcem sprawa przedstawia się dziwnie. Został znaleziony przed stajnią hotelu Broussarda. Nikt nie był w stanie powiedzieć, czy ktoś go tam odprowadził, czy też sam tam trafił, ponieważ dobrze znał to miejsce.

Robert wyprostował się, kierując zdecydowane spojrzenie na ciotkę.

- Jeśli do rana nie wróci, trzeba będzie powiadomić szeryfa.

- Nie! - rzuciła pani Declouet tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Podobnie jak większość plantatorów w okolicy nie cenili działalności stróżów prawa, chyba że zajmowali się powstrzymywaniem napływu osób niepożądanych. Ale akurat tego ostatnio nie robili. Zbyt oddaleni od miast, by liczyć na ochronę, plantatorzy zwykli bronić się sami. Istniały nocne patrole złożone z dorosłych mężczyzn. Prasa na Północy utrzymywała, że ich rola polega wyłącznie na wyłapywaniu uciekinierów i zapobieganiu otwartym zgromadzeniom niewolników, które mogłyby prowadzić do zamieszek. Patrole zapewniały jednak wiele innych rodzajów ochrony. Z czasów ustalania granic posiadłości w tym rejonie utrzymała się mocą tradycji zasada, że przy zetknięciu się z jakimikolwiek podejrzanymi zachowaniami należało najpierw strzelać, a dopiero później stawiać pytania. Wszelkie próby modyfikacji owej reguły spotykały się ze szczerym oburzeniem. Większość wysiłków przedstawicieli prawa nie została doceniona ze względu na ich zbyt łagodne i kompromisowe metody działania.

Efektem była niezależność, ale przy tym także arystokratyczne przeświadczenie plantatorów o możliwości działania ponad prawem.

- Bądź rozsądna, ciociu Zofio. Należy starannie przeszukać teren wzdłuż Teche, i to w obie strony. Poza tym trzeba postawić bardzo wiele pytań. Jeśli z tym pierwszym zadaniem od biedy poradziłoby sobie dwóch mężczyzn, o tyle drugie wymaga znacznie większej władzy niż ta, którą my dysponujemy.

- Do poszukiwań możemy wysłać wszystkich robotników z czworaków. Jeśli zaś chodzi o pytania, czegoż możemy się dowiedzieć? Nie sądzisz, że gdyby ktokolwiek wiedział, gdzie przebywa Julian, przesłałby nam wiadomość? Jeśli natomiast istnieje jakiś powód, dla którego nie chcą udzielić nam informacji, żaden szeryf od nich tego nie wydobędzie.

Robert zerknął na Amelię. Przez chwilę wytrzymała spojrzenie granatowych oczu z niemą prośbą o wsparcie, potem wstała i przeszła parę kroków, by klęknąć przy krześle teściowej.

- Proszę, *M'mere*. Nie wolno zwlekać. Każda stracona chwila może oznaczać mniejszą szansę odnalezienia Juliana żywego. Jeżeli szeryf i jego ludzie mogą pomóc, jeżeli mogą zmobilizować do pomocy szerszy krąg ludzi, pozwólmy im to zrobić.

Nie powiedziała tylko, choć taka myśl błąkała się zapewne w umysłach wszystkich, że szeryf mógłby także zorganizować grupę ludzi do przeszukania rozlewiska. Zdarzały się już przypadki uratowania zaginionych mężczyzn z pułapki mulistych bagnisk.

- Julian wróci - stwierdziła starsza pani, opanowując drżenie ust. - Nie ma potrzeby robić wielkiego zamieszania.

- Nie możemy mieć pewności.

- Pomyśl, *chère*, jaki podniesie się hałas. Szepty na temat pojedynku przerodzą się w wołania. Będziemy na językach wszystkich. Zaczną się spekulacje na temat przyczyny. Dojdzie do niesłychanego, głośnego skandalu.

Amelia ścisnęła szczupłe dłonie teściowej.

- Być może, ale nie wolno nam milczeć na temat zniknięcia Juliana jedynie z uwagi na ludzką opinię.

- Możliwe, że po prostu wyjechał. Możliwe, że nie chciał stanąć do pojedynku z Robertem, ale nie ufał sam sobie, nie wierzył, że zdolny jest mu o tym powiedzieć bez złości. Jutro albo pojutrze prześle list z wiadomością, gdzie jest, i prośbą, byśmy nie martwili się o niego.

- Na pewno wspomnieliby coś przed wyjazdem swojej matce, mnie, albo przynajmniej Tige'owi. Nie zrobił tego. Nic ze sobą nie zabrał.

Pani Declouet potrząsnęła głową, jęknęła cicho, a z jej oczu na pomarszczone policzki popłynęły łzy.

- Sama nie wiem. Nie wiem. Och, Julianie, mój synu, mój synu! Jak ja to zniosę? Jak?

Nie sposób było dłużej nalegać. Pozostawało jedynie mieć nadzieję, że następnego dnia uspokoi się i wstanie bardziej uległa.

Nadszedł świt. Matka Juliana nie podniosła się z łóżka, nie chciała też nikogo widzieć. Przez pokojówkę Paulinę przekazała, że nie czuje się na siłach rozmawiać i że prosi o wyrozumiałość. Robert rzucił cicho jakieś przekleństwo, ale znowu wyruszył z Jerzym na poszukiwania.

Następnego ranka Lally zapukała do drzwi sypialni Amelii. Weszła do środka z kawą na tacy, z tyłu za nią trzymał się jak cień Isa.

- *Au café* - powiedziała poważnym tonem.

Amelia usiadła prosto, odsunęła luźne włosy na ramiona i sięgnęła po szlafrok. Rzut oka w kierunku okna pozwolił jej stwierdzić, że słońce weszło dopiero niedawno. Pani Declouet zawsze wypijała pierwszą kawę w łóżku, podobnie Julian i Chloe, lecz Amelia nigdy nie przejęła tego obyczaju.

- Czemu zawdzięczam tę przyjemność?

- Muszę z panią porozmawiać. - Pokojówka postawiła tacę na stoliku przy łóżku, potem sięgnęła po jeden z dwóch srebrnych czajniczków i nalała kawy do filiżanki. Uzupełniła gorącym mlekiem z drugiego czajniczka. Rozłożyła przed Amelią kremową lnianą serwetkę, następnie ostrożnie podała swej pani gorący napój. Kiedy Amelia wzięła od niej filiżankę, dziewczyna odeszła kilka kroków i stanęła w nogach łóżka.

- O co chodzi? - Amelia wypila łyk kawy ze spojrzeniem utkwionym w twarzy pokojówki.

- O Tige'a. On tak bardzo przeżywa zniknięcie pana Juliana. Ostatniej nocy pojechał do miasta. Chciał sam sprawdzić, czy nie można się czegoś dowiedzieć.

- Bez przepustki? - zapytała Amelia ostrym tonem. Niewolnik nie mógł bezpiecznie podróżować, jeśli nie miał przy sobie pisma, w którym właściciel potwierdzał, że wysłał go w swojej sprawie. Patrole nie lekcewały najmniejszego nawet podejrzenia o tajną działalność.

- Był bardzo ostrożny. I odkrył coś. *M'sieu* Julian był w szynku należącym do pewnego wolnego człowieka o ciemnym kolorze skóry, którego zwą Bonhomme. Ten Mulat jest wujem Tige'a, bo wykupiwszy sobie wolność, zapłacił potem za uwolnienie siostry jego matki i ożenił się z nią.

- Rozumiem.

- *M'sieu* Julian często tam chodził, bo wuj Tige'a jest bardzo gościnnie i wesoły. Podobno spotkał tam jeszcze raz tych dwóch mężczyzn.

- Dwóch mężczyzn? - zapytała Amelia surowym tonem. - Jakich znowu mężczyzn?

- Tych ze statku. Dwóch siłaczy i prostaków.
- Ze statku?
- Tych samych, którzy opiekowali się krzewami, co przyplłynęły z daleka, i którzy mieli wyładować ciężkie pojemniki, jednak woleli przyglądać się, jak robią to nasi ludzie z czworaków.

Amelia wyprostowała się jeszcze bardziej, zapomniała o kawie.

- Tige rozmawiał z nimi?

- *Mais non, mam 'zelle*. Nie było ich. Nikt ich nie widział od dnia, kiedy odbywał się bal u państwa Morneyów.

- Najpewniej wrócili do Nowego Orleanu - powiedziała Amelia jakby do siebie, po czym dodała: - Może to wszystko nie miało znaczenia, ale przynajmniej pojawiła się nowa możliwość. Gdybyśmy mogli ich odnaleźć... Jednak nie wiemy nawet, jak wyglądają. Widzieli ich *M'mere* i Jerzy.

Tyle że na opisie pani Declouet nie można było polegać ze względu na jej stan, Jerzy zaś tak bardzo był wtedy pochłonięty swoimi drogocennymi roślinami, że z pewnością nie zapamiętał marynarzy - pomyślała.

- Ja ich widziałem, *petite maitresse*.

Isa przykuśtykał do brzegu łóżka i zza pleców wyciągnął zwiniętą w rolkę kartkę papieru rysunkowego. Podał rysunek Amelii, a kiedy ta go odebrała, pochylał głowę w lekkim, pełnym wdzięku ukłonie, będącym tak doskonałą imitacją zachowania Juliana, że aż musiała odchrząknąć, by mu podziękować.

Rozwinęła kartkę, i oto miała przed oczyma obydwu mężczyzn. Znajdowali się obaj pod drzewem, jeden stał, drugi siedział, oparci plecami o pień. Nie nosili surdutów, a rękawy pasiastych swetrów mieli podwiniete do łokci. Pasy, które podtrzymywały im spodnie, powykrzywiały się i pozawijały na brzegach pod wpływem słonej wody. Jednemu z nich kaskada włosów stapała się z bujną gęstwiną brody, drugi miał na głowie czapkę nasuniętą na czoło i przysłaniającą jedno oko.

Amelia podniosła wzrok i uśmiechnęła się do chłopca.

- Cudownie, Iso, doprawdy wspaniale. *M'sieu* Robert musi to zobaczyć. Przynies mi pióro oraz papier, a od razu do niego napiszę.

W ciągu godziny pismo zostało doręczone. Robert przybył bezzwłocznie, jak tylko skończył toaletę. Amelia przyjęła go na frontowej galerii, od razu wręczyła rysunek i kiedy mu się przyglądał, opowiedziała o odkryciu Tige'a. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

- Sugerujesz, że Julian zaprzyjaźnił się serdecznie z tymi dwoma i udał z nimi do Nowego Orleanu? Nie, to się nie składa w nic sensownego. Po pierwsze, Julian nie ma w zwyczaju nawiązywać znajomości ze zwykłymi marynarzami; po drugie, nigdy nie pozwoliliby sobie na zlekceważenie pojedynku.

- A jeśli został zmuszony? A jeśli porwali go i zabrali ze sobą?

- Dlaczego więc nie otrzymaliśmy wiadomości z żądaniem okupu?

Potrząsnęła głową.

- Nie wiem, ale odnoszę wrażenie, że mamy do czynienia z czymś więcej niż tylko zbiegiem okoliczności.

- Natomiast ja nie dostrzegam w tym niczego innego poza zbiegiem okoliczności.

Może miał rację, lecz dotychczas rozpatrzyli zaledwie jedną możliwość spośród tych, które mogły się nasunąć przy roztrząsaniu ujawnionych okoliczności. Dlaczego więc on tego nie widział? Oczekiwała, że zareaguje na odkryte fakty z takim samym podnieceniem, z jakim ona je przyjęła. Że natychmiast weźmie się do działania. Sposób, w jaki zareagował na nowinę, był dla niej większym rozczarowaniem, niż mogłaby się spodziewać. Na krótką chwilę opadła ją wątpliwość, czy Roberta rzeczywiście obchodzi, gdzie przebywa Julian, lecz prędko ją od siebie odsunęła.

- Jeśli tak sądzisz - powiedziała wreszcie bez przekonania.

Podłoga zaskrzypiała pod jego stopami, gdy zbliżał się do niej. Położył dłoń na jej ramieniu.

- Amelio, *chère*, wiem, że jest ci ciężko.

- Wiesz?

- Mam wrażenie. Jeżeli mógłbym zrobić cokolwiek...

Wyswobodziła się spod ciężaru jego ręki.

Nie patrząc na niego, powiedziała:

- Możesz odnaleźć Juliana.

Przez długą chwilę wpatrywał się w nią, potem odwrócił się i przeszedł do salonu. Chwilę później usłyszała odgłos pukania do sypialni teściowej, szmer ściszonej rozmowy, na koniec zaś trzask zamykanych drzwi.

Amelia udała się na poszukiwanie Jerzego. Anglik, wysłuchawszy jej, skłonny był przyjąć, że obecność obcych mężczyzn mogła mieć jakiś związek ze zniknięciem Juliana. Zmienił jednak zdanie, kiedy dowiedział się, iż różni się ono od opinii Roberta. Natychmiast wytoczył wiele zastrzeżeń. Dobrze pamiętał marynarzy. Jego zdaniem wyglądali raczej na przyjaznych niż groźnych. Zajmowali się przede wszystkim wypełnianiem swoich zadań: pilnowaniem, żeby krzewy nie wypadły za burtę i nie zostały zniszczone przez fale, żeby nie wypaliło ich słońce i miały dosyć wilgoci. Po skończonej pracy i odebraniu zgodnej z umową zapłaty zapewne zatrzymali się w mieście na kieliszek czegoś mocniejszego, aby następnie udać się do Nowego Orleanu, gdzie czekał na nich statek. Nie było w tym nic dziwnego ani nadzwyczajnego. Na koniec wyraził opinię, iż zamiast zadrećcać się bez końca

powinna całą sprawę pozostawić Robertowi Farnumowi. Taka była jego najlepsza rada zarówno dla niej, jak i dla Chloe.

W swojej sypialni Amelia krążyła niespokojnie z jednego krańca pokoju na drugi. O ile podejście Roberta do jej odkrycia rozczarowało ją, to pompatyczna reakcja Jerzego była irytująca w najwyższym stopniu. Im dłużej o tym myślała, tym większa wzbierała w niej złość. Wcale nie oczekiwała zachwytów nad swoją błyskotliwością, to Tige zasłużył na uznanie. Jednakże jej zdaniem nie należało zapominać, że właśnie w towarzystwie owych mężczyzn widziano Juliana po raz ostatni. Ani od Roberta, ani od Jerzego nie usłyszała nic, co przekonałoby ją, że tamci dwaj nie mogli mieć udziału w sprawie. Wydawało się jej, że warto odbyć wyprawę do Nowego Orleanu, aby ich odnaleźć. W dodatku nie należało zwlekać. Podobno ich statek miał niebawem odpłynąć. Gdyby była mężczyzną, Pojechałaby bez zastanowienia. Gdyby tylko była mężczyzną!

Tak, wprawdzie była kobietą, ale mimo to... Zaginął jej mąż. Czyż zatem nie stała się panią siebie? Jeżeli zdecyduje się na wyjazd, któż będzie śmiał ją powstrzymać? Już sama myśl o kobiecie podróżującej samotnie dla wielu zdalaby się szokująca. Jednakże w sytuacjach wyjątkowych również kobiety podróżowały samotnie, na przykład wdowy albo żony mężczyzn służących w wojsku. Te ostatnie widywano czasem na parowcach, gdy podążały na spotkanie ze swoimi mężami do fortów położonych daleko na zachodzie. W takich przypadkach towarzystwo sług uważano za wystarczające.

Miała jeszcze w garderobie czarną suknię, której nie pozbyła się po ślubie. Teraz, kiedy nie wiedziała nic o losach Juliana, powodowana jakimś przedziwnym impulsem, coraz uporczywiej myślała o jej włożeniu. Osoba przesądna uznałaby to za zły omen. Amelia uznała w duchu, że nie jest przesądna, i powróciła do swoich planów.

Żałobny czeppek z gęstą woalką - taki, jaki czasem nosiła teściowa - mógł chronić ją przed rozpoznaniem. Należało się liczyć z możliwością natknięcia się na kogoś znajomego. Z tego samego powodu powinna wejść na pokład parowca raczej w Nowej Hiszpanii niż w St. Martinville. Niewątpliwie najbezpieczniej byłoby mieć osobną kabinę, przynajmniej w drodze do początkowej stacji kolejowej. Podróż koleją trwała krócej. Wprawdzie wdowia żaloba w pewnej mierze stanowiła ochronę przed napastowaniem, ale obecność Tige'a oraz Lally dodawałaby powagi i wzbudzała większy respekt.

Nie miała pieniędzy. Myśl ta wstrzymała jej plany, ale na krótko, dopóki sobie nie przypomniała, że Julian trzymał w szufladzie komody szkatułkę, a w niej - karciane dochody. Ponieważ dopisywało mu szczęście, z pewnością była tam kwota wystarczająca na podróż.

Trochę niepokoiła ją myśl o teściowej. Jednakże starsza pani usiłowałaby powstrzymać ją jedynie wówczas, gdyby dowiedziała się o jej planach. A przecież Amelia nie zamierzała jej informować. Nie zamierzała informować jej nawet o dwóch podejrzanych mężczyznach widzianych z Julianem; będzie czas na to wszystko po ujawnieniu nowych faktów. Tymczasem postanowiła zostawić w swoim pokoju kartkę z wyjaśnieniem i obietnicą jak najszybszego powrotu.

Spodziewała się, że Robert wpadnie we wściekłość, może nawet furję. Na to już jednak nie było rady. Gdyby rzeczywiście zależało mu, aby nie jechała, sam poświęciłby czas i zajął się tym wszystkim. Ponadto wizyty w jej łóżku wcale nie dawały mu prawa, by sprawować kontrolę nad jej postępowaniem.

To nie było trudne. Siedząc w pociągu, który hałaśliwie dysząc i sapiąc, toczył się z Bayou Boeuf w kierunku Nowego Orleanu, Amelia po raz pierwszy od dłuższego czasu pozwoliła sobie odetchnąć spokojnie. Jak dotychczas wszystko przebiegało bez komplikacji. Ubrana we wdowią czerń, opuściła dom o świcie i udała się w kierunku stajni. Tam wsiadła do powozu, żeby uniknąć ryzyka ujawnienia jej planów. Wejście na pokład statku również odbyło się bez żadnych przeszkód, przy czym Tige poszedł przodem poczynić niezbędne przygotowania, podczas gdy Lally pozostała przy niej, niosąc jedną walizę. Najtrudniejsza chwila wiązała się z pozostawieniem w domu Isy. Obudzony Jej przygotowaniami, nie chciał uwierzyć, że go opuszcza. Czyż nie był jej prawą ręką i posłańcem? Jakżeby mogła dać sobie radę bez niego? Nie powiedziała tego głośno, wiedziała jednak, iż chłopiec jest najbardziej rozżalony z tego powodu, że nie zobaczy Nowego Orleanu. Odmawiając jego prośbie, czuła się jak okrutna czarownica. Zdawała sobie sprawę, że Isa pragnie nie Próżnych przyjemności, lecz nowych doświadczeń, tęskni do innych widoków, które przeniósłby ołówkiem na papier.

Co do niej, to ogarnęło ją lekkie podniecenie. Z jednej strony odczuwała satysfakcję, że oto nareszcie coś robi, zamiast siedzieć beczynn timer czekać. Z drugiej strony przeżywała niepokój, że w ogóle poważyła się na samotną wyprawę. Wprawdzie towarzyszyli jej Tige i Lally, ale przecież to oni od niej oczekiwali decyzji, a nie odwrotnie. Natomiast sama nie była zależna od nikogo. Nie wypadało jej mieć takich odczuć, kiedy Julian zaginął - może został porwany albo przytrafiło mu się coś jeszcze gorszego - nic jednak nie mogła na to poradzić.

Wagon, w którym jechała, przypominał wyglądem dużą karetkę, co nie mogło dziwić, skoro był na niej wzorowany. Przez otwarte okno wpadało do wnętrza świeże powietrze, a wraz z nim, gdy lokomotywa przyspieszała, tocząc się po krętych torach - kłęby dymu, pylista sadza, a czasem nawet iskra. Woalka okazała się bardzo użyteczną zasłoną przed dymem i popiołem, przy tym zaś nie wzbudzała podejrzeń, ponieważ wiele kobiet pozasłaniało sobie twarze w podobny sposób.

Wielu pasażerów wokół niej powracało z Isle Derniere. Obserwowała ich, jak wsiadali: mężczyźni, przeważnie

mocno opaleni, trzymali w rękach najprzeróżniejsze wędki i sprzęty służące rozrywce; dzieci dokazywały hałaśliwie; kobiety miały na sobie białe i pastelowe stroje, co było zupełnie naturalne latem, ale niezbyt odpowiednie na czas podróży. Z rozmów, którym się przysłuchiwała, wywnioskowała, że wszyscy znają się dobrze i należą w Nowym Orleanie do tego samego kręgu znajomych. Przebywali w nadmorskim kurorcie przez kilka tygodni, ale ostatecznie postanowili nie przedłużać pobytu na lato ze względu na plagę moskitów oraz gzów. W pewnym momencie dwóch mężczyzn zaczęło się gorąco spierać. Chodziło o to, czy przyczyną plagi insektów był wiatr, który je przywiał z miejsca wylęgu, czy też bagniste i podmokłe tereny na północnej stronie wyspy oraz zwierzęta należące do jej fauny. Zgody nie osiągnięto, a dyskusja powoli wygasła.

Przez pewien czas Amelię fascynowało pokonywanie pomostów nad mokradłami, ustawiczne poruszanie się między suchym łądem a rozlewiskami, obserwowanie żółwi, gdy zsuwały się do wody, zrywających się do lotu żurawi i czapli. Po prawie bezsennej nocy i wczesnej pobudce stawała się coraz bardziej senna. Jednostajnie turkotały koła, wagon kołysał się miarowo. Zamknęła oczy.

Nie wiedziała, czy nie zasnęła, czy też jednak zapadła w drzemkę. W każdym razie nagle odniosła wrażenie, że ktoś się jej natarczywie przygląda. Otworzyła oczy i rozejrzała się możliwie najostrożniej. Zrazu pomyślała sobie, że chodzi o kogoś znajomego, komu mogło się wydawać, że ją rozpoznaje. Na taką okoliczność miała przygotowaną wiarygodną historyjkę o kuzynie umierającym na febrę i o członkach rodziny, którzy mieli odebrać ją z pociągu. Uznała, iż wymyślenie pretekstu podróży jest konieczne. Wiele rodzin było ze sobą powiązanych tak, iż nie można było mieć pewności, że osoba napotkana po raz pierwszy nie okaże się znajomym albo krewnym kogoś z sąsiedztwa. Mimo wszystko wołała najprostsze rozwiązanie. Nie miała talentu do oszukiwania.

Nie zauważyła nikogo, kto zwracałby na nią szczególną uwagę. Dzieci w większości uspokoiły się, część z nich nawet zasnęła. Wielu ich ojców poprzysłańiało sobie twarze kapeluszami i chustkami. Niektóre kobiety również zasnęły, inne wzięły się do wyszywania, leszcze inne czytały książki albo periodyki. Amelia Potrząsnęła głową i sama sięgnęła do swej sznurowanej torby po robótkę, którą zabrała dla zabicia nudy w podróży.

Kiedy wreszcie wjechali na stację w Nowym Orleanie, zapadała ciemność. Szarówkę wypełniły krzyki, piski i płacz zmęczonych dzieci, syczenie lokomotywy, odgłosy zatraskiwanych drzwi. Amelia stanęła na peronie z Lally przy boku i walizą przed sobą. Wcześniej wysłała Tige'a po powóz, który miał ich przewieźć do miejskiego domu Declouetów. Rozważała też myśl, żeby zatrzymać się w hotelu i uniknąć w ten sposób plotek ze strony służby opiekującej się domem w okresach, kiedy nie przebywał w nim nikt z rodziny. Jednakże noclegi w zajazdach o dobrej sławie, na przykład St. Louis albo St. Charles, pochłonięłyby znacznie więcej pieniędzy, niż mogła przeznaczyć na ten cel, ale przede wszystkim oznaczałyby zwiększone ryzyko rozpoznania. W takim wypadku fakt, że nie skorzystała ze swego własnego domu, byłby aż nadto kompromitujący. Podrzędne natomiast hotele może chroniły przed tym niebezpieczeństwem, ale za to stwarzały inne, szczególnie groźne dla samotnej kobiety.

Od pewnego czasu zwracała uwagę na mężczyznę, który kręcił się w pobliżu drzwi na stację. Kiedy tłum zaczął rzędnąć, mężczyzna wyprostował się i ruszył w jej kierunku. Był przeciętnego wzrostu, miał szerokie ramiona, powiększone optycznie przez poduszki ciemnozielonego surduta, i szczupłą klatkę piersiową, co podkreślał wysoki pas jego żółtych spodni. Nosił krawat w zielono-żółtą kratę o czarnych konturach, żółtą kamizelkę oraz połyskujący czarny kapelusz. Twarz miał szczupłą, górną wargę ocienioną cienkim wąsikiem, a w oczach błysk osoby potrafiącej ocenić szansę zdobycia cennego łupu.

Skłonił się przed nią, zamiatając krawędzią kapelusza powierzchnię peronu i trzymając za sobą laskę.

- Szanowna pani - zaczął głosem miękkim i fałszywym - czy jest coś, w czym mógłbym służyć pani pomocą?

- Nie, dziękuję - odparła. Popatrzyła na jego długie, szczupłe dłonie i wypiełgnowane paznokcie, na krawat ze spinką w kształcie kowadła. Na próżno usiłowała wymyślić jakąś przyczynę, dla której mógł przebywać na dworcu, ale poszłaby o wysoki zakład, że stał przed nią zawodowy gracz.

- Czyżby ktoś miał przyjechać po panią, ale zawiódł? Jakież zaniedbanie! Gdybym mógł otoczyć panią opieką, z pewnością nie okazałbym się tak niedbały.

Zmrużyła oczy, pojmując sugestię, wyczuwając ironię w jego wyszukanych słowach.

- Na szczęście - odrzekła ostrym tonem - nie jestem przedmiotem pańskiej troski.

- Czyżby nie spodobał się pani mój wstęp? Czuję się urażony. Przecież niczego innego nie pragnę, jedynie pomóc pani.

- Niczego nie potrzebuję. Żegnam.

Odwrociła się do niego plecami, ale obszedł ją, spojrzął w jej twarz i położył rękę na ramieniu.

- Powóz mój czeka. Odwiózłbym panią do miejsca, które pani wskaże. Po drodze moglibyśmy porozmawiać o miłej, sympatycznej kolacyjce we dwoje.

Amelia odsunęła się od niego, rozejrzała z nadzieją ujrzenia Tige'a. Zobaczyła jedynie ciemną karetkę przy końcu peronu i woźnicę siedzącego wysoko na koźle. Zapewne ten właśnie powóz mężczyzna miał na myśli. Przy niej Lally stała jak zahipnotyzowana. Było w tym człowieku coś z węża może za sprawą zielono-żółtej barwy ubrania, szczupłej sylwetki i gładkiego sposobu wypowiedzenia się.

Pochwyił Amelię za nadgarstek.

- Moglibyśmy spędzić wieczór wcale interesująco. Pewnie wiele jest jeszcze przyjemności, których nie

zakosztowałaś, i być może w innych okolicznościach już nie zakosztowałabyś jako wdowa.

- Nie jestem wdową! - krzyknęła, próbując oswobodzić rękę. - Proszę mnie zostawić!

- Ach, proszę mi wybaczyć. Zobaczyłem obrączkę na pani palcu, tę Murzynkę, nie dostrzegłem przy boku mężczyzny...

Przesuwał się coraz bliżej. Powiedziała zdecydowanie:

- Mój sługa wróci lada chwila.

- Co tam sługa! - odrzekł, wzruszając ramionami i dając do zrozumienia, że ktoś taki nie ma żadnych szans w starciu z białym człowiekiem. - Ucieknij, ledwie mu to pokażę.

Przekręcił gałkę przy swojej lasce i uniósł ją lekko do góry, aby mogła zobaczyć wąskie stalowe ostrze wewnątrz drewnianej rurki.

- Może i ładna zabawka, ale na pewno nie dla mnie. Proszę odejść albo będę zmuszona wołać o pomoc.

- Mam wrażenie, *chère*, - powiedział, przeciągając głoski - że zwlekałaś z tym zbyt długo.

Nim zdążyła zrobić coś więcej, niż tylko rozejrzeć się, pochwycił ją w talii i pociągnął za sobą do karety. Lally krzyknęła. Amelia co sił szarpała się do tyłu, lecz w efekcie poczuła tylko, jak na ramionach pękają szwy jej sukienki. Palcami tak mocno wbił się w jej ciało, że jęknęła z bólu. Już nie ciągnął jej za sobą, ale prawie niósł. Wraz z przypływem wściekłości poczuła w uszach pulsowanie krwi. Kopnęła go i usłyszała zduszone przekleństwo, kiedy pantofelek na obcasie zetknął się z jego ciałem. Kopnęła ponownie, lecz tym razem chybiła. Natychmiast zahaczyła obcasem za jego kolano.

Przewrócił się, a ona wraz z nim, tylko nieco dalej. Spadła na peron akurat przy jakimś zagłębieniu, uderzając się boleśnie ramieniem. Przetoczyła się, wywinęła spod uścisku mężczyzny, ale dopadł ją znowu, zaciskając dłoń na jej przedramieniu. Nagle przypomniała sobie scenę walki pomiędzy dwoma robotnikami z plantacji, jaką niegdyś widziała. Wzorując się na niej, cofnęła rękę, aż do bólu ścisnęła dłoń w pięść i z całej siły uderzyła w nos natręta.

Trafiła znakomicie. Mężczyzna jęknął i zaczął krwawić. Amelia czym prędzej wyplątała się z fałd sukni. Podniosła się na nogi i z ponurym uśmiechem satysfakcji cofała krok po kroku.

Mężczyzna zerkał na nią nad chusteczką, którą przykładał sobie do twarzy.

- Ty mała suko - powiedział grubiańsko. - Tymczasem można ci pogratulować, ale jestem pewien, że pożałujesz...

Z tyłu Amelia usłyszała odgłos zbliżających się kroków. Zabrzmiął głęboki głos:

- Sądę, że poprzestaniemy na gratulacjach.

- Doprawdy? - Napastnik podniósł się, wyprostował i sięgnął po laskę. Z cichym świstem wyciągnął błyszczące ostrze.

Amelia krzyknęła ostrzegawczo. Dopiero wówczas odwróciła się, aby spojrzeć na mężczyznę, który nadchodził w jej kierunku. Światło od strony stacji wyraźniej wydobyło z mroku ogorzałą twarz pod rondem nasuniętego na oczy kapelusza. To był Robert.

Szybko zdjął surdut, owinał go sobie wokół ręki. Kiedy nieznajomy odrzucił na bok zbędną drewnianą część laski, Robert schwycił ją i przeturlał się po ziemi, unikając jednocześnie ostrza, które przecięło powietrze Ponad jego głową.

Potem obaj zaczęli krążyć wokół siebie, obserwując się uważnie. Mężczyzna w zielonym surducie dwa razy zamarkował uderzenie; ostrożnie, ale z przekonaniem, że do niego należy przewaga. Amelia, dostrzegłszy kątem oka jakiś ruch. Zobaczyła, że Tige już wrócił. Lally tuliła się do niego, przysłaniając dłonią usta, żeby stłumić okrzyki.

Nagłym ruchem niższy mężczyzna zaatakował. Robert ręką owiniętą surdudem sparował uderzenie, a potem natarł swym zastępczym orężem. Stalowe ostrze zadźwięczało glucho i upadło na ziemię. Mężczyzna znieruchomiał, stojąc w miejscu z usztywnionym nadgarstkiem i twarzą zastygłą w wyrazie zdumienia. Nagle zrobił krok do tyłu, potem jeszcze jeden, aż wreszcie odwrócił się i potykając, rzucił do ucieczki w kierunku swojego powozu. Zawołał coś do woźnicy, wskoczył do środka i po chwili rozpedzony powóz zniknął z pola widzenia.

Robert wyprostował się i wolno odwrócił do Amelii. Kiedy zbliżał się do niej, patrzyła na niego przez czarną woalkę. Zorientowała się, że z trudem tłumi wściekłość.

- Widziałem cię w pociągu - powiedział powoli - ale nie mogłem uwierzyć, że to rzeczywiście ty, dopóki przed chwilą nie natknąłem się na Tige'a. Co ty tu, do diaska, robisz?

- Pozwolisz temu mężczyźnie odjechać?

- Nie przejmuj się nim. Wątpię, byśmy kiedykolwiek spotkali go ponownie. Odpowiedz na moje pytanie.

- A twoim zdaniem co robię? Szukam Juliana czy może próbuję przekupić porywaczy, aby go zatrzymali?! - Nie kryła zdenerwowania. Zauważyła w jego głosie pogardliwy ton. Ponadto obawiała się, że być może obwinia ją w pewnym stopniu za to, co wydarzyło się przed chwilą.

Utkwił w niej zdziwiony wzrok, zmarszczył brwi.

- Ani przez chwilę się nad tym nie zastanawiałem.

- Zatem powinieneś powstrzymać się przed wyrażaniem dezaprobaty. To wyłącznie moja sprawa, co zdecydowałam się zrobić i gdzie jechać.

- Rzeczywiście tak sądzisz?
- Rzeczywiście. Zwróciłam się do ciebie o pomoc i dostałam odprawę. Nie jestem dzieckiem i nie oszalałam. Wiem, że tamci marynarze mają jakiś związek ze zniknięciem Juliana. Zamierzam dowiedzieć się, jaki to związek.
- Przebierając się za wdowę? Nie sądzisz, że to trochę niepoważne?
- Wdowy są mniej narażone na zaczepki - rzuciła, a następnie przygryzła dolną wargę. Pokazał kciukiem w kierunku, w którym odjechał powóz.
- Ktoś zapomniał o tym powiedzieć twojemu przyjacielowi.
- On nie jest moim przyjacielem! Nigdy wcześniej go nie spotkałam. Nigdy! Nagabywał mnie, choć nie dałam mu ku temu żadnego powodu!
- Jesteś młoda, piękna i właściwie byłaś sama. Nie potrzebował zachęty. Spod przymkniętych powiek posłała mu nieśmiałe spojrzenie, odetchnęła z ulgą.
- Nie mam pojęcia, co pozwoliło mu przypuszczać, że zgodziłabym się iść z nim.
- Nie myślał o tym. W jego pojęciu nadarzyła się okazja, by powiększyć swoją kolekcję.
- Co takiego?
- Uśmiechnął się na widok jej zdziwionej miny.
- Kolekcję kobiet, które zabawiają jego przyjaciół, kiedy ci nie są zadowoleni z utraty pieniędzy przy którymś z jego stołów.
- Znasz go? - zapytała szeptem, pojąwszy znaczenie jego słów.
- Z widzenia, jak to mówią.
- Skinęła głową.
- Powinam więc być ci wdzięczna za to, że nadszedłeś na czas.
- Nie ma potrzeby, abyś była - odrzekł oschle. - Nie chcę twojej wdzięczności. Nigdy mi na niej nie zależało.
- Dobrze - powiedziała - ale...
- Tutaj nie możemy o tym rozmawiać - przerwał jej. Wziął ją pod ramię i poprowadził w stronę miejsca, gdzie stała Lally, a za nią wynajęty powóz. - Musimy z tym poczekać, póki nie znajdziemy się w domu.
- My? - zapytała, patrząc na niego niespokojnym wzrokiem.
- Uniósł jedną brew i surowym tonem powiedział:
- A tak, my.

Rozdział XIII

Światło dwunastu świec stojących w dwóch kandelabrach odbijało się w biało-złotej zastawie z paryskiej porcelany, srebrnych utensyliach i w adamszkowym obrusie. Nadawało niebieski odcień jasnobrązowym włosom Amelii; mieniło się na kamieniach agatu, które zdobiły jej uszy i otaczały środek żałobnej broszy przy szyi, pozostawiając oczy w tajemniczym cieniu. Migotało na płaskich zapinkach przy koszuli Roberta, sięgało rzęs, kiedy przymykał powieki i przypatrywał się swym palcom, trzymającym filizankę. W tym przestronnym, mrocznym pomieszczeniu centralne miejsce zajmował długi stół. Srebrny serwis do kawy błyszczał na kredensie, kryształowe karafki skrzyły się na bocznym stoliku, pośrodku którego stała duża patera i kilka wazonów pełnych róż oraz lilii. Ich intensywny zapach unosił się w ciepłym powietrzu. Amelia siedziała mniej więcej pośrodku długiego stołu, Robert zaś po jej prawej stronie.

Po opuszczeniu stacji prawie ze sobą nie rozmawiali, po pierwsze z powodu sytuacji, w jakiej się znaleźli, a po wtóre - obecności służ. Zaskoczona ich przyjazdem służba, która w lecie troszczyła się o miejski dom Declouetów, w krótkim czasie musiała wykonać wiele nadzwyczajnych czynności. Dom wypełnił się odgłosami bieganiny i okrzykami. Trzeba było przewietrzyć Pomieszczenia, nagrzać wody do kąpieli, przygotować posiłek. Jednakże wszystkie te zajęcia nie przeszkodziły temu czy tamtemu spośród służby przyglądać się spod oka Amelii i Robertowi.

Aby zapobiec szalonym domysłom, Robert zaznajomił częściowo z prawdą kobietę w średnim wieku, która pełniła obowiązki gospodyni. Ta natychmiast poszła do holu, gdzie leżał list adresowany do Juliana. Amelia odczuła gwałtowny przypływ nadziei, ale była to jedynie wiadomość napisana przez Chloe pod dyktando pani Declouet i wysłana na wypadek, gdyby Julian przyjechał do Nowego Orleanu. Chyba tego nie uczynił, ponieważ gospodyni ani nie widziała go, ani o nim nie słyszała od czasu, kiedy z Amelią wyruszył stąd w podróż poślubną.

Po deserze postawiono przed nimi małe kieliszki z alkoholem. Robert uniósł głowę, uchwycił wzrok lokaja i dał mu znak, że nie będą go już więcej potrzebowali. Amelia dostrzegła ten gest, ale nic nie powiedziała. Kiedy mężczyzna zamknął za sobą drzwi, uniosła swój kieliszek do ust i upiła łyk rubinowoczerwonego likieru. Nie był to specjał, który zwykle podawano kobietom, ale tym razem potrzebowała czegoś mocniejszego.

Cisza, jaka zapadła po wyjściu lokaja, zaczynała im ciążyć.

Wreszcie przerwał ją Robert.

- Nie zlekceważyłem twojego spostrzeżenia na temat tych marynarzy - powiedział nieoczekiwanie. - Dlatego tutaj jestem.

Rzuciła mu wyzywające spojrzenie.

- Nie musisz udawać. Chętnie przyznam, że uradowałeś mnie podążając za mną.

- Nie podążałem za tobą. Jechaliśmy tym samym pociągiem, ponieważ przyplłynęliśmy tym samym parowcem, a przyplłynęliśmy tym samym parowcem, gdyż był to pierwszy statek płynący w dół Teche. Nie wiem dlaczego, ale nie dostrzegłem cię, jak wchodziłaś na pokład, ani nie widziałem podczas rejsu.

Przyznała się do fortelu z wejściem na statek w Nowej Hiszpanii i wspomniała o pozostawaniu w kajucie. Po tych wyjaśnieniach przyjmowała obecność Roberta zgoła inaczej, radośniej. Wcześniej było jej przykro myśleć, że mógł zachowywać się w podstępny sposób.

- Szkoda, że nie poinformowałaś mnie o swoich zamiarach - stwierdził obojętnym tonem.

- Próbowałbyś mnie powstrzymać - powiedziała, podnosząc brodę. - Poza tym sam zachowałeś się podobnie.

- Nie chciałem niepokoić ciotki. Prawda jest taka, że poszukujemy tylko jednego marynarza. Drugi został już odnaleziony.

- I powiedział coś na temat Juliana? - zapytała podnieconym głosem.

- Niestety nie. Ten człowiek nie żyje. Wyłowiono go martwego z Teche. Unosił się w wodzie tuż przy szynku, w którym widziano go z Julianem.

Jej głos zmienił się w ledwie słyszalny szept.

- Nie żyje? Jak to się stało?

- Dostał czymś w głowę i został wrzucony do wody. Oficjalnie będzie się mówiło o utonięciu.

- Czy sądzisz... czy to możliwe, żeby Julian...

- Żeby Julian zabił w obronie własnej, kiedy próbowali go porwać? - dokończył za nią. - Mogło tak być. Ale pewności mieć nie możemy.

Nie o to jej chodziło, lecz nie była w stanie ubrać swych obaw w słowa. Nieznacznie skinęła głową, gwałtownie odsuwając od siebie kieliszek. Zawartość przelała się nad krawędzią, plamiąc obrus na krwistoczerwone. Amelia utkwiała wzrok w płamie i zdławionym głosem zapytała:

- Gdzie on jest? Gdzie on może być?

- Gdybym wiedział - powiedział z naciskiem Robert - byłbym najszcześniejszym z ludzi.

Rzuciła w jego kierunku przelotne spojrzenie. Mówił w taki sposób, jakby uważał, że ona może podejrzewać go o udział w zaginięciu Juliana. Oczywiście nie przyszło jej to do głowy. W długiej historii pojedynkowania się aż zbyt często zdarzały się przypadki, kiedy mężczyzna, wiedząc o przewadze przeciwnika, wynajmował rzeźmieszków, by go zgładzili. Siły Roberta i Juliana były jednak wyrównane. Żywiła przekonanie, iż pewna cecha tkwiąca w naturze Roberta nakazywała mu odnosić się z pogardą do tego rodzaju wybiegów, choć już raz pomyliła się w ocenie jego osoby. Nigdy by nie przypuszczała, że dałby się namówić do odgrywania roli młodego małżonka.

Zwilżyła wargi.

- Skoro już tutaj jesteśmy, powiedz, w jaki sposób zamierzasz odszukać tego drugiego mężczyznę.

- Pójdę do portu, odnajdę statek i wypytam kapitana.

- Zabrałam ze sobą rysunek Isy.

- Nie widzę problemu, ponieważ kapitan powinien pamiętać, kogo wysłał do Belle Grove.

- A jeśli kompan zabitego nie powrócił na statek, wówczas...

- Tak, w tym wypadku rysunek mógłby okazać się pomocny.

Nie wiedziała, co jest przyczyną - może ton, jakim się wypowiadał, a może wspomnienie incydentu ze stacji albo wiadomość o śmierci marynarza - w każdym razie nagle zaczęła się obawiać, że przybyli na próżno, że będą szukać wiatru w polu. Odepchnęła do tyłu krzesło i podniosła się. Unikając wzroku Roberta, oznajmiła:

- Pójdę już do łóżka.

- Doskonały pomysł. - I on wstał, wychylił kieliszek do dna i odstawił, by dołączyć do niej w chwili, gdy mijają koniec stołu.

Kiedy zbliżali się do drzwi, zerknęła na niego kątem oka. Przyłapał ją na tym w momencie, gdy przystanął, aby przepuścić ją przed sobą przy drzwiach do holu. W kąciach jego warg pojawił się uśmiech. Zamiatając brzegiem spódnicy o jego buty, przeszła obok ze świadomością, że spojrzenie jego niebieskich oczu spoczywa na niej, a potem, intensywne i skupione, wędruje po jej sylwetce. Cieszyła się, że włożyła jedyny dodatkowy strój, jaki ze sobą zabrała: suknię z czarnej krepy, która od długiego noszenia stała się czarnobrazowa, a na szwach ciemniejsza. Wolalała tę niż jakkolwiek bardziej wyzywającą, lecz stosowną do obiadu. Nie domyślała się nawet, w jaki sposób Robert zamierza spędzić najbliższą noc, ale świadomość, że on to już wie, powiększała jeszcze jej niepokój. Piętro wyżej przygotowano osobne sypialnie. Najrozsądniej byłoby wykorzystać obie. Nie wiedziała tylko, czy on podzieli ten pogląd.

Przy schodach odwróciła się.

- Chcę życzyć ci dobrej nocy.

- Możesz mówić, co tylko zechcesz - odrzekł łagodnym głosem. - Cokolwiek powiesz, dla mnie będzie to bez znaczenia.

Światło świec, padające od strony mosiężnego kandelabra w kształcie odwróconego dzwonu, lśniło w niebieskoczarnych włosach Roberta i załamywało się na jego wyrazistych rysach. Gdzieś tam w głębinie jego oczu napotykało błądy płomień pożądania i nadawało mu nowy, żywy blask. Teraz Amelia nie miała już wątpliwości.

Szukając obrony przed własnym i Roberta požądaniem, powiedziała:

- Julian...

- Zapomnij o Julianie. Nie może mieć dla nas znaczenia, gdzie on jest i co akurat robi.

- Nie uważasz, że to trochę przypominałoby zdradę? - Słowa z trudem przechodziły jej przez gardło.

Chwycił za mankiet u jej sukienki.

- Nie wpadaj w żałobny lament. Julian ma doskonałą umiejętność przystosowywania się do każdego warunków.

Gdyby wiedział o twoich skrupałach, byłby dumny, ale przez to nie zacząłby cię kochać.

- Obchodzę go w pewien swoisty sposób. Sam mi o tym mówiłeś.

Robert westchnął. Na chwilę uciekł wzrokiem gdzieś w bok, potem znowu podniósł głowę.

- Owszem, ale czy tak, jak byś tego pragnęła?

Była pewna, że gdyby potwierdziła z przekonaniem, zostawiłby ją i poszedł spać w samotności. Spojrzała na jego twarz, zmysłowe usta, mocno zarysowaną brodę i niebieskawe ogniki płonące w oczach. Przesunęła wzrokiem po jego ramionach, by zatrzymać się na silnej, opalanej, ładnie ukształtowanej dłoni, która spoczywała na toczonym słupku poręczy.

Odchrząknęła, ale mimo to wydobyła z siebie cichy *głos*:

- Nie.

Podszedł z utkwionym w niej spojrzeniem. Ujął rękę Amelii i położył ją sobie na karku. Jednym ramieniem objął jej plecy, pochylił się i wsunął drugie ramię pod jej kolana. Dół sukni zbił się w kłęb ze sprężystej krynoliny i halek. Wolna część materiału dotykała podłogi, gdy Robert uniósł Amelię i ruszył po schodach do góry. Objęła go za szyję i przymknąwszy powieki, oparła głowę na jego policzku. Chciała protestować, wiedziała, że powinna, ale ogarnęło ją ogromne zmęczenie. Ramionami spinał ją dookoła niby stalową obręczą. Zmierzał do celu powoli i niezłomie, tak samo jak powoli i wytrwale wspinał się po stopniach schodów. Jej zdradzieckie ciało rozpoznało jego dotyk i zaczęło mu się poddawać. Jakżeby więc miała nie ulec?

W sypialni, którą przygotowano dla niej, paliła się jedna lampa. Krąg żółtego światła obejmował wysokie łóżko, osłonięte już ochronną siatką. Lally siedziała przy oknie na stołku. Na widok Roberta poderwała się. Spostrzegłszy swoją panią w jego ramionach, najpierw ze zdziwienia szeroko otworzyła oczy, potem szybko opuściła je wstydliwie.

- Przynies więcej świec i lamp - polecił Robert dziewczynie. - Wszystkie, jakie tylko uda ci się znaleźć. Potem możesz odejść. I powiedz Tige'owi, że nie będzie mi potrzebny.

Lally pobiegła czym prędzej wykonać zadanie. Robert postawił Amelię na podłodze, położył dłonie na jej ramionach i studiował uważnie jej twarz. Nie próbowała nawet unikać tego wzroku. Uśmiech najpierw błysnął w jego oczach, by po chwili, powoli, rozchylić jego usta.

Pokójówka wślizgnęła się do pokoju z lampą w rękę i trzema świecznikami przyciśniętymi drugą ręką do piersi. Poustawiała to wszystko i jeszcze raz wyszła. Za chwilę wróciła, tym razem z dwiema lampami.

- Czy mam je zapalić, *m'sieu*?

- Nie, ja to zrobię - rzucił przez ramię.

- Tak jest, *m'sieu* - powiedziała Lally. Zerkając z ukosa na Amelię, dygnęła i wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Amelia obserwowała poczynania Roberta, gdy ten krążył po pokoju: ustawiał świeczniki i lampy na mahoniowych i palisandrowych stołach, przytknął koniec świecy do jedynego palącego się płomienia, by następnie systematycznie, po kolei pozapalać wszystkie knoty. Sypialnia, w której przy oknie wisały nefrytowe, a przy łóżku bladezielone zasłony, powoli wypełniała się światłem, aż w końcu zniknęły cienie i spowiło ich ciepło pochodzące od świec i lamp.

Robert wstawił na miejsce świeczkę, którą dotychczas trzymał w rękę, następnie odwrócił się do Amelii. Głosem spokojnym, zrównoważonym powiedział:

- Czekałem na to bardzo długo. Marzyłem o zasypianiu i budzeniu się, po prostu o nas... żeby nie było mroku, byśmy nie musieli się spieszyć.

Głęboki tembr jego głosu działał jak pieścizna. Dźwięk i znaczenie słów przejmowały ją dreszczem, hipnotyzowały. W dalszym ciągu stała nieruchomo, zastygła w oczekiwaniu.

W oczach Roberta dostrzegała kobaltowy blask pożądania, w kącikach ust - uśmiech. Obserwowała, jak powoli ściga z siebie surdut i rzuca na fotel, a potem zaczyna rozwiązywać krawat.

Nigdy wcześniej nie widziała mężczyzny, który by się rozbierał. Julian zawsze krył się w swoim pokoju, Robert przychodził do niej w ciemności z wyjątkiem tamtego dnia nad brzegiem Teche. Teraz odczuwała przyspieszone bicie serca i sama przed sobą musiała przyznać się do fascynacji tym powolnym odsłanianiem męskiego ciała.

Czy o tym wiedział? Możliwe, że tak. Właśnie ciągnął za koniec krawata, którego jedwabny materiał sunął gładko wokół szyi. Upuścił go na surdut i nie zauważył, że krawat ześlizgnął się na podłogę. Spoglądając przed siebie z błyskiem w oczach, rozpiął dwa obszyte materiałem guziki bladej szarej, dwurzędowej kamizelki i poruszywszy ramionami, pozwolił jej opaść do tyłu. Odrzucił ją w kierunku krzesła, po czym zaczął manipulować przy spinkach z przodu koszuli. Światło lampy wyzłociło brązowe zagłębienie z czarnym zarostem przy jego szyi i wzniciło małe iskierki w gęstwinie włosów na piersi. Pragnienie dotknięcia tego miejsca Amelia odczuła jako

mrowienie opuszków palców, ale splotła dłonie przed sobą. Westchnęła głęboko, gdy uporał się z ostatnią spinką i upuścił na stolik dźwięczący grad złota, następnie rozchylił brzegi koszuli.

Obnażył pierś szeroką i umięśnioną, spaloną na słońcu, jak gdyby często w upalne dni pracował bez koszuli. Dwie brodawki, podobne do miedzianych monet, ginęły częściowo pod trójkątem włosów, który ku dołowi przechodził w wąską linię, ta z kolei przebiegała po zwartym brzuchu, by zginąć pod szerokim pasem spodni. Spodnie były tak doskonale dopasowane, tak dobrze leżały na mocnych udach, że do podtrzymywania nie wymagały szelek. Silne dłonie wyciągnęły na zewnątrz dolny brzeg koszuli. Amelia wstrzymała oddech, czekając, kiedy sięgną z powrotem do górnej krawędzi spodni.

Tymczasem Robert przeszedł kilka kroków, by oprzeć się plecami o bok wysokiego łóżka, gdzie zsunął *sous-pieds*, czyli skórzane paski, które przytrzymywały dopasowane spodnie pod podeszwami półbutów. Potem czubkiem jednego buta zepchnął z pięty drugi but. Robiąc to, mierzył Amelię lekko kpiącym, a zarazem pełnym obietnic, wabiącym spojrzeniem. Przyglądał się jej twarzy w kształcie serca - bladej, ale już z wypiekami na policzkach - lekko rozchylonym ustom, szybko unoszącym się i opadającym piersiom. Z nieco większym wysiłkiem strząsnął obuwie najpierw z jednej, później z drugiej nogi. Zrobione na drutach i sięgające łydek skarpety opadły do butów. Wyprostował się.

Ich spojrzenia zetknęły się, a Amelia poczuła, że zalewa ją fala gorąca - zwiastuna namiętności. Pewność, z jaką się zachowywał, zamierzona powolność - były oszałamiające, podobnie jak jej reakcje. Już tylko z wielkim trudem zachowywała spokój. Nie miała wielkiego doświadczenia z mężczyznami, to prawda, ale nie była też drżącą dziewczyną. Jeśli, Jak skądinąd słyszała, mężczyźni odczuwają przyjemność na widok rozbierających się kobiet, dlaczego by kobiety nie miały cieszyć oczu podobną sceną z udziałem mężczyzn? Uniósłszy brwi, posłała mu niepewny uśmiech, po czym podeszła do pobliskiego krzesła, usiadła. Choć ledwie panowała nad własnymi nerwami, pochyliła tułów i oparła brodę na dłoni, nie odrywając wzroku od rozgrywanego się przed nią widowiska.

Roześmiał się cicho, gdy tymczasem jego skóra pod opalenizną przybrała jeszcze ciemniejszy odcień. Śmiało i wprawne dłonie powędrowały do szerokiego pasa, zajęły się zrazu guzikami przy gładkiej zakładce z przodu, a następnie tymi, które poniżej spinały rozcięcie w spodniach. Pod spodem miał płócienne kalessony, które rozwiązał i ściągnął wraz ze spodniami.

Nagi i wspaniały w świetle lampy, odrzucił ostatnią sztukę ubrania i odwrócił się do niej twarzą. Przechylił głowę, ręce opuścił wzdłuż boków. Zniknął błysk uśmiechu w jego oczach, ustępując miejsca wyrazowi spokojnego wyczekiwania.

Mięśnie na brzuchu Amelii zaczęły się kurczyć, poczuła, jak napięcie sięga głębszych pierwotnych pokładów. Był potężny, absolutnie męski, piękny w proporcjonalnej budowie ciała, układzie żył, splocie mięśni, rozmieszczeniu oceniających skórę włosów. Wyraźna linia przebiegała między ciemną górną a bladą dolną częścią jego ciała, nadając mu wygląd osobliwego satyra - jednoczesnego mieszkańca dwóch krain: jednej słonecznej, drugiej tajemniczej, oświetlonej ledwie blaskiem księżyca. Ów najbardziej męski organ, sterczący dumnie ku górze, wydawał się jedwabisty, kuszący a zarazem groźny.

Zaschło jej w gardle. Jedyne słowo, jakie zdołała wypowiedzieć, zabrzmiało pośród ciszy niby szelest:

- Robercie...

Podszedł do niej, przyklęknął, uniósł jej rękę do swych rozpalonych ust. Był tak blisko, że obręcz cisnęła ją w kostkę, a rozpostarta spódnica spowiła jego uda. Gorejące niebieskim płomieniem spojrzenie tkwiło w jej brązowych oczach. Przysunął usta do wewnętrznej strony jej dłoni i wilgotnym, gorącym językiem dotknął tej wrażliwej powierzchni.

Przebiegł po niej dreszcz. Drugą dłoń zatopiła w jego włosach, opuszkami palców uniosła kędzierzawe fale przy skroni, odnalazła miejsce, w którym bił puls, potem powiodła nimi po policzku i w dół krawędzią niebieskawo ocienionej szczęki. Oczy Roberta ożywiły się. Odsunął się, pozwolił, by dłoń Amelii opadła na łono. Sięgnął pod skraj czarnej krepy, pod sfałdowany materiał halek, uchwycił szczupłą kostkę. Chwilę później zdjął pantofelek i zaczął masować stopę, czuła jego silne palce na pięcie, na wrażliwym śródstopiu. Po gładkiej powierzchni jedwabiu piął się dłonią do góry, ominął kostkę, dotarł do wąskiej nogawki pantalonów, przesunął ją wyżej, aż natrafił na podwiązkę i od tego miejsca w dół zaczął zwijać pończochę. Pochylił głowę i muskał ustami kolano, w miarę gdy je odsłaniał, i gładził jednocześnie kształtne łydki. Jego palce zamknęły się wokół kostki Amelii, kiedy ostatecznie ściągnął zrolowaną pończochę i odrzucił ją na bok. Powtórzył obrządek, po czym, podciągnawszy brzeg spódnicy, podniósł do ust małą stopkę. Amelia poczuła łaskoczące poruszenia gorącego języka między palcami stopy i wydała z siebie cichy, zduszony jęk. Miała świadomość, że jej pantalone mają pośrodku rozcięcie ułatwiające uczynienie zadość potrzebom natury, kiedy reszta ciała więzła w gorsecie i licznych warstwach halek. Miejsce to było wystawione na spojrzenia mężczyzny, który z lekkim uśmiechem na ustach opuścił wzrok i odnalazł ów sekretny zakątek.

Nachyliła się do Roberta, który, postawiwszy uprzednio na podłodze zgrabną stopkę, ujął jej dłoń i umieścił ją sobie na ramieniu. Otoczył Amelię w tali, przyciągnął do siebie, gdy tymczasem jego druga ręka powędrowała w poszukiwaniu rozcięcia, które wcześniej odkrył wzrokiem. Wślizgnął się do środka, docierając do najbardziej

wrażliwego miejsca kobiecego ciała. Dotykał delikatnie, hipnotycznie. Gdy zamknęła oczy, jej rzęsy drżały. Pochylił głowę, by powędrować wargami po zaokrągleniu jej policzka w kierunku powiek. Zwilżył językiem gładką powierzchnię, musnął długie rzęsy. Teraz ona powiodła jedną dłonią wzdłuż mięśni oplatających jego bark do wyraźnie zarysowanych ścięgien nieco poniżej karku, gdy tymczasem drugą zmierzała ku dołowi, przedzierając się paznokciami między włosami na torsie, a potem kierując się po coraz węższej ich linii na brzuchu, by wreszcie dotknąć sterczącej ku górze jedwabistej gładkiej męskości.

Zaczerpnął gwałtownie powietrza. Spokojnie, choć Z nutą niezadowolenia w głosie powiedział:

- Tak wiele obiecywałem sobie po tej nocy, myślałem o tym wszystkim, co pragnąłbym zrobić, że teraz nawet nie wiem, od czego zacząć... ani tym bardziej - na czym skończyć. Zanim zapędzimy się za daleko, pozwól, że całą cię obejrzę.

Nie byłoby jej łatwo wycofać się, porzucić go w tym momencie. Kiedy ich spojrzenia się zetknęły, w jego oczach płonęły niebieskawe ogniki. Wziął ją pod ramiona i pomógł stanąć obok siebie. Jak tylko mógł najostrożniej, odpiął kolczyk z płatka jednego ucha, potarł je lekko, nim sięgnął do drugiego. Następnie zajął się zapięciem przy żałobnej broszce z włosów matki Amelii, misternie splecionych i ułożonych w kształcie wierzby. Po chwili trzymał już i ten drobiazg. Odwrócił się i odłożył je wszystkie na najbliższe krzesło. Wyprostował się. Zatrzymał wzrok na jej twarzy, potem zaś powoli odwrócił ją do siebie plecami i zaczął rozpinać długi rząd guzików przy sukni. Rozpalonymi ustami musnął smukłą szyję, potem zajął się dopiero co odsłoniętymi plecami.

Kiedy rozpiął ostatni guzik, pomyślała, że rozwiąże taśmy przy stelażu i halkach. Ale nie zrobił tego. Chwycił za pas sukni z czarnej krey i łagodnie ściągnął ją przez głowę. Rzucił ubranie na krzesło i odwrócił się, by spojrzeć uważnie na Amelię, przebiec wzrokiem po plisowanym płótnie stanika, obszytych tasiemką miseczkach; zatrzymać się dłużej na wyrazistych krągłościach piersi, podniesionych do góry pod naporem gorsetu, i ciemnych aureolach brodawek, rysujących się pod cienkim materiałem; zerknąć na kibić mocno ściśniętą w pasie i górzystą obfitość halek.

Miała na sobie białą bieliznę, a nie czarną, jaką nosiłaby pewnie, gdyby rzeczywiście chodziła w żałobie. Nie było czasu troszczyć się o takie szczegóły, ale teraz, kiedy Robert oglądał ją wolno ze wszystkich stron, cieszyło ją to.

- Czy Julian widział cię taką? - zapytał, stanąwszy przed nią, raczej z ciekawości, gdyż jego głos nie zdradzał innych emocji.

Potrząsnęła głową. Zawsze, nawet na parowcu, był ktoś - służąca albo pokojówka - kto uwalniał ją z krępującego kokonu i zawiązywał węń z powrotem.

- Jakiż z niego głupiec, jeśli dobrowolnie zrezygnował z tej przyjemności... - Sięgnął do kabłaka, który podtrzymywał obrożę. Gdy odwiązał taśmy, opadła owa ciężka część ubioru wraz z kółkami ze sprężystej stali, zawadzając jedynie o marszczone halki pod spodem. Chwilę później i one ścieliły się wokół jej kolan niby biała piana. Podał Amelii dłoń. Pomógł jej wyjść z tej kipieli, po czym wydał z siebie okrzyk zaskoczenia, który zaraz zmienił się w westchnienie namiętnego pragnienia, kiedy pociągnął ją ku sobie tak, że opadła na jego tors. Zamknął ją w ramionach, przytulał mocno do siebie, gdy jednocześnie gładził Jej plecy, badając satynową gładkość skóry, delikatną konstrukcję kości, kształt bioder pod cienkim płótnem pantalonów.

Czuła w okolicach brzucha twardy, podniecający napór jego męskości. Poddała swe ciało, rozkoszując się jego zarem. Odczuwała coraz szybsze bicie własnego serca. Robert opadł wargami na jej lekko rozchylone, zwilżone usta, wsunął do środka język, próbując słodczy rosnącego uniesienia jako przedsmaku czekających ich rozkoszy.

Unióś rękę do jej włosów w poszukiwaniu spinek. Po chwili kawałki rzeźbionego szyldkretu z cichym grzechotem opadły na podłogę. Splot miękkich, błyszczących włosów poluźnił się, ześlizgnął z karku i rozwinął wzdłuż pleców, uwalniając swój naturalny aromat. Robert rozrzucił jedwabistą kaskadę, przysłonił policzki Amelii i nawet swoje ramiona.

- Gdybyś należała do mnie - powiedział tuż przy jej ustach - nie potrzebowałabyś pokojówki. Codziennie robiłbym to wszystko za nią albo pozostawiałbym cię właśnie w takim stanie, zawsze na wpół gotową.

Nuta rozpacz w jego głosie była przypomnieniem, że następna okazja mogła się już nie zdarzyć. Świadomość tego towarzyszyła im przez cały wieczór i stanowiła impuls - Amelia wiedziała o tym - dla magnetycznej siły, która przyciągała ich do siebie na przekór wszelkim zakazom. Jeżeli Julian wrócił, mogło już więcej nie być takich nocy. Jeżeli Julian wrócił...

- Proszę, nie trzeba... - szepnęła z bólem.

Nie odpowiedział, lecz zaczął ją gwałtowniej całować, po czym przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, tak że jej piersi wbiły się w jego tors. Gorset wpijał się w nią, ledwie mogła oddychać. Jęknęła. Robert natychmiast rozluźnił ramiona. Ostrożnie, jakby to była ceremonia godna uwiecznienia w pamięci, odwrócił ją do siebie plecami i zaczął rozwiązywać gorset.

Amelia tak bardzo przywykła do obcisłej bielizny na swym ciele, że na co dzień prawie jej nie dostrzegała. Oddychała płytko, co nie wydawało się jej niczym niezwykłym, póki nie uwolniono jej z krępujących więzów. Teraz wydała z siebie głębokie westchnienie ulgi, kiedy Robert poluźnił wiązanie. Rzucił cicho jakieś przekleństwo, przez głowę ściągnął z niej gorset, po czym otoczył ją ramionami.

- Mój Boże - powiedział łagodnie - gdybyś należała do mnie, raczej pozwoliłbym ci chodzić nago, niż więzić cię w czymś takim.

Zaśmiała się cicho i nienaturalnie.

- I wszyscy uważaliby mnie za kobietę rozwiązłą.

- Jeżeli ty jesteś rozwiązłą - powiedział, odwróciwszy ją i ujawszy w dłonie jej twarz, zaglądając jej głęboko w oczy - tym bardziej można powiedzieć to o wszystkich innych kobietach.

Opadł wargami na jej usta, koniuszkiem języka przebiegł wzdłuż miejsca, w którym się łączyły. Wsunął dłoń pod dolny brzeg stanika na plecach, rozłożył palce na powierzchni piersi.

Rozkosz przebiegła po niej dreszczem, rozgrzała krew w żyłach. Jedną rękę Amelia położyła na silnych, opalonych palcach, które dotykały jej policzka, drugą pogładziła brzuch kochanka, dotarła do kręgosłupa, stąd powiodła w dół ponad twardym, zwartym ciałem, by w końcu zamknąć dłoń na boku. Niewyraźnie zdawała sobie sprawę, że Robert szarpnął za jej stanik i wyciągnął go spod jej ramion do góry. Skreśliła ciałem, a po chwili swe obnażone, wezbrane podnieceniem piersi przycisnęła do torsu Roberta. Tymczasem on rozwiązał kokardę przy jej pantalonach i zsunął je tak, że ciepłe powietrze owiało jej biodra.

Westchnął, po czym z pewnym ociąganiem cofnął się pół kroku, pozwalając pantalonom opaść na podłogę, i ostatecznie ściągnął z niej stanik. Wolno podążył wzrokiem od czubka jej głowy, poprzez połyskujące pasma włosów, które otaczały zarumienioną twarz o kształcie serca, dumnie sterczące piersi, do wąskiego wcięcia w pasie. Dostrzegł zaczerwienione miejsce, gdzie najwidoczniej nadmiar materiału od staniczka wpijał się w skórę. Potem opuścił wzrok ku łukom bioder, białej skórze płaskiego brzucha i brązowawemu trójkątowi u wierzchołka długich, szczupłych nóg.

- Piękne... jakże są piękne - szepnął i sięgnął, jakby chciał zważyć w dłoniach ciężar obu piersi. Nachylił się, by spróbować smaku różowomorelowych brodawek. - Przypominają brzoskwinie, są twarde, dojrzałe i słodkie... jakże słodkie.

Ogarnęła ją upojna fala, która brała swój początek z kobiecego źródła rozkoszy. Tajemniczy uśmiech ukazał się na jej ustach. Dotknęła włosów Roberta, zgarnęła mu je ze skroni, musnęła ucho, wsunęła do środka koniuszek palca.

Jęknął cichutko. Pochylił się, wziął ją na ręce i ruszył w kierunku łóżka. Postawił stopę na najniższym stopniu schodków, wspiął się na następny, potem oparł kolano na bawelnianym materacu, który ugiął się pod ciężarem ich dwojga, i zabrał rękę spod kolan Amelii. Objął ją, a następnie pociągnął na siebie, kiedy sam opadał z wolna na miękką, sprężystą powierzchnię. Z twarzą zanurzoną w jej włosach trzymał ją i kołysał, by po chwili ułożyć na plecach obok siebie.

Podparłszy się na łokciu, położył dłoń na jej brzuchu i jeszcze raz poszukał spragnionych warg. Amelię przebiegł dreszcz. Opuszkami palców jął wodzić po łukowatych wyniosłościach i powilgotniałych zagłębieniach kobiecego ciała, badając, sondując, doprowadzając jej zmysły do takiego stanu pobudzenia, że zaczęła wić się na łóżku, pojękując z cicha. Na tym nie poprzestał, lecz odnalazł centrum jej kobiecości i gładząc je z magiczną delikatnością, rozmyślnie powoli, ustami zaczął znaczyć tę samą drogę, którą obrały sobie wcześniej jego dłonie.

Serce biło jej jak oszalałe. Słyszała w uszach pulsujące uderzenia. Jej piersi unosiły się i opadały w rytm przyspieszonego oddechu. Mięśnie brzucha oraz uda drgały kurczowo. Miała wrażenie, że jej ciało płonie. Rzuciła głową z jednej strony na drugą. Drżały jej ręce, zacisnięte na barkach mężczyzny. Wewnątrz była wilgotna, gorąca i spięta w oczekiwaniu.

Unióśł głowę, przyciągnął Amelię ku sobie. Przysunęła się skwapliwie, przywierając do silnego męskiego ciała, rozkoszując się jego żarem i mocą, widokiem połyskujących od potu mięśni. Dłoń, którą zacisnął na jej biodrze, lekko drżała. Amelia, wiedziona jej poruszeniem, rozchyliła uda i przeniosła jedną nogę nad zwartą sylwetkę Roberta. Syknęła cicho, czując, jak gładko w nią wchodzi. Przytuliła się mocniej, znajdując najbardziej dogodną pozycję, biorąc go tam w środku w inne objęcia.

- Spójrz na mnie - powiedział chrapliwym głosem, muskając ją kciukiem po policzku.

Posłuchała, ukazując mu twarz z oczyma szklistymi od pożądania i rozchylonymi ustami. On sam spoglądał w skupieniu. Głęboko westchnął.

- Kocham cię, Amelio.

- I ja ciebie kocham - odparła.

Przemienność radości rozjaśniła mu rysy. Przycisnął Amelię do siebie, zanurzając się w nią głęboko. Złączeni w szaleństwie rozkoszy i desperackiej żądzy, pozostawali w nieustannym ruchu, dysząc i ocierając się o siebie wrażliwymi i nabrzmiałymi częściami ciała. Robert przekreślił się na plecy. Amelia, trzymana w mocnym uścisku, znalazła się nad nim, ale już po chwili oboje, zaplątani w jej włosy, znowu przekreślił się na materacu.

Zatopili się w żywej, pulsującej ekstazie spełnienia, w której czas i rozkosz rozciągały się ponad wszelką miarę. Unosili się, oddawali pozornej walce, zachwycali wzajemnie dotykiem ust. Amelia poczuła, że z każdą chwilą narasta w niej napięcie. Trzymała Roberta coraz bardziej kurczowo. Zaczęła wydawać z siebie ciche, mimowolne westchnienia.

Jej kochanek uniósł się nad nią. Napierał w rytm uderzeń serca, silnie i równomiernie. Podniosła powieki, by go

widzieć: jego oczy płonęły, emanował siłą, okryty po złotą, połyskujący od potu, który zraszał ich oboje.

- Robercie... - westchnęła, kończąc słowo cichym krzykiem, wyginając ciało w łuk w eksplozji rozkoszy. Robert, dygocząc, wdierał się w nią tak, że musiała trzymać go mocno, aby nie dać się zsunąć z materaca. Z radością przyjmowała go. Wypełniał ją, sięgał dna. Palcami wpił się w jej biodra. Każde jego poruszenie przynosiło nowy cudowny wstrząs, który szybko rozprzestrzenił się po całym jej ciele.

To był z pewnością jakiś cud, nieskażony i wspaniały, gwałtowna sublimacja zmysłów, sięgająca poza wszystko, co zwykle zdarzało się śmiertelnikom. Poraził ją, oszołomił i sparaliżował. Po chwili ostatecznym, gwałtownym ruchem także Robert dołączył do niej w tym urzekającym magicznym misterium. Jakiś czas trwali w odrętwieniu. Potem ogarnęło ich błogie spełnienie. Nie wiedzieli nawet, kiedy, przytuleni do siebie, zasnęli w blasku świateł.

Kiedy ocknęli się, powietrze wypełniał zapach spalonego wosku i gorącej nafty. Jasne światło dnia zza szyb sprawiało, że płomienie dwóch lamp były teraz zaledwie bladeżółtymi plamkami. Orzeźwiająca bryza poruszała zasłonami przy oknach i niosła ze sobą zapach kwiatów i mułu, aromat smażonej cebuli i gotowanych ryb.

Amelia otworzyła oczy. Od razu uświadomiła sobie, że upłynęła już znaczna część dnia. Zaciśnęła zęby, czując obolałe mięśnie, spróbowała się poruszyć. Poczuła na sobie jakiś ciężar. Zerknąwszy w dół, uświadomiła sobie, że leżała w ciągu nocy bez żadnego przykrycia. Spoczywało na niej ciężkie ramię. Palce delikatnie obejmowały, jakby ważyły jej pierś. Robert leżał przywierając do jej pleców. Drgnęła, a potem z wolna uśmiech wypłynął na jej usta.

- Leż spokojnie - ochrypli głos Roberta zabrzmiał tuż nad jej głową.

Posłuchała go chętnie, zaintrygowana dotykiem jego ud, porośniętych z lekka włosami, i jeszcze czegoś innego, co było gładkie, a jednocześnie twardsze, u ich złączenia. Przesunął się wyżej. Kciukiem zaczął gładzić czubek jej piersi, rozsyłając od tego miejsca przyjemne mrowienie.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- *Mam'zelle?*

Głos należał do Lally. Robert poruszeniem nogi pospiesznie przykrył ich prześcieradłem i kołdrą, nie zmieniając przy tym nadmiernie swej pozycji. Amelia odchrząknęła.

- Tak?

Pokojówka otworzyła drzwi, ale nie weszła do środka ani nie pozwoliła sobie powieść wzrokiem po częściach garderoby porozrzucanych na podłodze. Cicho zapytała:

- Czy śniadanie podać na dole, czy też przynieść je na górę?

- Zjemy je tutaj - odpowiedział Robert.

- Reszta służby... - Lally urwała, najwyraźniej nie wiedząc, jak wyrazić swoje obiekcje.

- Powiedz im, że jestem jeszcze w łóżku. I że ponieważ mam bardzo lekki sen, to nie życzę sobie, aby ktokolwiek zapuszczał się na górę, dopóki nie zadzwonię.

Pokojówka skinęła głową.

- Tak jest, *m'sieu*.

- Jeszcze jedno, Lally.

Odwróciła się.

- Słucham, *m'sieu?*

- *Mam'zelle* bardzo zgłodniała, ma wilczy apetyt.

Przesłała mu szybki uśmiech zrozumienia i odeszła, zamknąwszy starannie za sobą drzwi. Ledwie trzasnęła klamka, Robert nachylił się nad Amelią, ponownie kładąc dłoń na jej piersi.

- Zatem - powiedział sugestywnym tonem - na czym to skończyliśmy?

Zanim wróciła Lally, Amelia, zarumieniona po spełnionej kolejno raz miłości, skorzystała z wody stojącej w dzbanku przy umywalce i zdążyła jeszcze odnaleźć koszulę nocną, która, pozostawiona dla niej poprzedniego dnia na łóżku, wsunęła się między materac a jedną z podpór baldachimu. Robert rzucił się w poprzek łóżka, żeby wyrwać ten strój z rąk Amelii i zachęcić ją, by nago wróciła na miejsce obok niego w łóżku. Ale ona potrząsnęła głową, rozejrzała się i w zamian zebrała z podłogi pantalon i stanik. Natychmiast skoczył i pochwycił bieliznę. Spierali się o nią w udawanej walce, kiedy znowu rozległo się pukanie do drzwi. Amelia pisnęła i wskoczyła do łóżka. Za nią popędził Robert, trzymając w ręku swój łup. Szarpnął prześcieradło do góry tak, że skłębiło się, kiedy się pod nie wślizgiwał. Wsunął pantalon i stanik pod poduszkę, na której następnie się położył. Ręce ułożył pod głową. Amelia zerknęła na niego z irytacją, choć już po chwili w jej oczach igrały iskierki rozbawienia, gdy pozwoliła Lally wejść do środka.

Śniadanie było lekkie. Składało się z kawy z mlekiem i pełnego koszyka ciepłych jeszcze bułeczek. Do tego dochodziła osełka świeżego masła oraz miseczka miodu od dzikich pszczół. Miseczka była porcelanowa, malowana w liście koniczyny, kwiaty jabłoni i pszczoły; przez otwór w pokrywie wystawała mała porcelanowa łyżeczka. Brzegi filiżanki z białej porcelany oraz spodka ozdobił wzorek z różowych kwiatów jabłoni, natomiast dookoła samych krawędzi biegł złoty pasek. Różowe kwiaty jabłoni wyraźnie rysowały się na powierzchni ciężkiej adamaszkowej serwety, na której stały też małe srebrne dzbanuszki z kawą i mlekiem. Umieściwszy tacę z posiłkiem między Amelią a Robertem, Lally sięgnęła do kieszeni fartucha i gestem magika wyciągnęła drugą

filizankę oraz podstawkę. Spojrzeniem upewniła się, że nic im więcej nie potrzeba, i szybko wyszła z pokoju.

Robert obserwował, jak zamykają się za nią drzwi.

- Ta dziewczyna jest ci bardzo oddana.

- Przesadzasz - odpowiedziała Amelia. Usiadła wyżej na łóżku, umieściła sobie poduszkę za plecami i okrywszy prześcieradłem nagie piersi sięgnęła po dzbanek z kawą.

- Nie sądzę. Zrobiłaby dla ciebie wszystko. Zresztą zauważyłem, że większość waszych ludzi w Belle Grove czuje podobnie.

- Na każdej plantacji jest chyba tak samo - zaprotestowała. - Cóż w tym dziwnego, skoro dają im jeść i opiekują się nimi?

- Nie tylko opiekujesz się, lecz naprawdę troszczysz się o nich. Nie traktujesz ich jak użyteczne zwierzęta, ale jak ludzi, którzy mają swoje potrzeby i uczucia.

Amelia potrząsnęła głową, a potem odrzuciła włosy do tyłu na ramiona. Nalała kawy, sięgnęła po drugi dzbanuszek i uzupełniła zawartość naczynka gorącym, pianistym mlekiem. Podała filizankę Robertowi, marszcząc nieco czoło. Dobrze wiedziała, że większość pań domu na plantacjach nie zezwalała służbie i robotnikom spoufaląc się. Pozycja małżonki właściciela nie dawała żadnego prawa do decydowania o losie osób pracujących na plantacji, a bliskie więzi mogły przeszkadzać w utrzymaniu dyscypliny. Zatem lepiej było ich nie rozwijać. Amelia często wyrzucała sobie, że nie potrafiła stworzyć nawet pozorów odpowiedniego dystansu.

- Chyba nie powinnam...

- Wcale nie. Miło wiedzieć, że ludzie w Belle Grove są całkiem zadowoleni, chociaż Dye bardzo się stara, aby tak nie było.

- Co masz na myśli? - W oczekiwaniu na odpowiedź zastygła nieruchomo z filizanką w ręku.

- Ostatnio narastają niepokoje w związku z aktywnością abolicjonistów. No i ciągle słyszy się o dążeniu do secesji. Od lat, wybac mi tę analogię, żyjemy wszyscy na beczce prochu. Dziwię się, że to wszystko nie miało dotychczas poważniejszych reperkusji. Co nie znaczy, iż zawsze tak będzie.

Podsunała mu koszyczek z bułkami, sama wzięła Jedną, posmarowała ją masłem, położyła na talerzu, potem nabrała pełną łyżeczkę miodu i grubo go rozsmarowała. Zanim podniosła bułkę do ust, zapytała poważnym tonem:

- Uważasz, że mogą pojawić się kłopoty?

- Któż to może wiedzieć? - W dwóch kęsach rozprawił się z bułeczką, popił łykiem kawy. - Oczywiście abolicjoniści mają nadzieję na coś w rodzaju powstania niewolników, jeżeli Południe zdecyduje się iść własną drogą. Liczą na to, że rząd w Waszyngtonie nie pozwoli nam oderwać się od Unii. Sam siebie przekonuję, że do tego nie dojdzie, że rozsądek i inteligencja ludzi, których wybraliśmy, aby nas reprezentowali, pomoże znaleźć właściwe rozwiązanie tych problemów. Tymczasem wszystkich nas powinno niepokoić niepotrzebne podgrzewanie atmosfery, mogące spowodować niebezpieczeństwo na tych, których kochamy.

Amelia pomyślała o Isie i Lally, o Tige'u i Marcie, Sir Bencie i o wszystkich z Belle Grove, którzy stali się jej tak bliscy. Były wśród nich osoby sprawiające kłopoty i takie, które wołały próżnować albo wiecznie utyskiwać, lecz poważną większość stanowili ludzie wiodący uczciwe, pożyteczne, bogobojne życie, dostosowane do warunków znanych im od urodzenia.

- Myślę czasem, że byłoby o wiele łatwiej, gdyby niewolnicy zostali uwolnieni, gdyby płacono im wynagrodzenie za ich pracę.

- Obawiam się, że to nierealne marzenie. Plantatorzy na całym Południu zbyt wiele w nich zainwestowali. Nie chodzi jedynie o cenę, jaką za nich zapłacili, ale również o pożywienie, ubranie, dach nad głową - o nakłady ponoszone niejednokrotnie przez wiele lat, a czasami i przez całe pokolenia. Nikt nie zechce pokryć właścicielom ich wydatków, większość zaś spośród nich nie może sobie pozwolić na taką stratę.

- Słyszałam argument, że plantatorzy już rekompensują sobie wydatki po sprzedaży plonów.

Skinął głową.

- Zdarzają się jednak lata nieurodzaju. Kaprysy pogody albo choroby roślin każdego mogą pozbawić plonów. Tymczasem koszty utrzymania ludzi w czworakach tak czy inaczej trzeba ponosić. Zresztą problemu nie stwarzają wcale osoby, które, korzystając z pracy niewolniczej, osiągnęły pewną materialną przewagę. Chodzi raczej o drobnych farmerów, którzy pragną się wzbogacić. Rozglądają się wokół i od razu widzą sposób powiększenia zyskowności swej ziemi: na początek wystarczy wydać raz na niewolnika albo najlepiej dwóch, potem systematycznie powiększać ich liczbę, żeby w końcu osiągnąć swobodę i pozycję wielkich plantatorów. To przybysze z odległych krajów, gdzie nie ma takiej szansy, optują za utrzymaniem niewolnictwa. Oni będą najbardziej zawzięcie walczyć, by nic się pod tym względem nie zmieniło.

Jego słowa brzmiały rozsądnie. Skinawszy głową, sięgnęła po następną bułkę.

- Zatem nie możemy beczynnie czekać. Musimy być przygotowani, uważać, by ludzie pokroju Patryka Dye'a nie narażali naszego życia. Pogardzam tym człowiekiem i mam wrażenie, że coś podobnego on czuje do mnie, ale nie mogę skłonić Juliana, by zechciał to dostrzec.

- Julian dostrzega rezultaty, a te nie są złe - odpowiedział poważnie, choć już od dłuższej chwili jego oczy błędziły po jej obnażonych ramionach, ponieważ prześcieradło osunęło się na łóżko. - Co do Dye'a, to mu

dopiekłaś. Tego rodzaju osobnicy źle to znoszą, zwłaszcza gdy cios zadaje kobieta. Poza tym jest jeszcze jedna istotna okoliczność. Traktujesz go jako nadzorcę, a on przyzwyczajony jest do pewnych sukcesów u kobiet, także tych spośród córek i żon swoich pracodawców.

- Nie żartuj ze mnie!

- Nie każda jest taka wybredna jak ty, kochanie - zauważył żartobliwie.

Już otwierała usta, by odpowiedzieć, ale się rozmyśliła. Uciekła wzrokiem w bok. Pochyliła twarz nad filiżanką i upiła łyk kawy, która nagle stała się gorzka.

- Co się stało? - zapytał.

- Nic.

- Nie wierzę. Przez pewien czas sądziłem, że w twoich oczach znaczą niewiele więcej niż Patryk Dye, i chciałbym znać powód.

Rozkazujący ton jego głosu dotknął ją do żywego.

- Bardzo dobrze - powiedziała napastliwie. - Rozumiem, że także ty cieszysz się sporym powodzeniem u kobiet.

- Któż ci to powiedział?

- Zaprzeczysz, że byłeś obiektem kobiecych westchnień, w szczególności jednej zamężnej damy, która z twojego powodu chciała popełnić samobójstwo? - Zawsze uważała zazdrość za uczucie niskie i naganne, ale nie zdołała zdusić w sobie słów, które padły z jej ust.

- Chloe? - zapytał z wyraźną niechęcią w głosie.

- No i co powiesz?

- Powinienem być wiedzieć, że powtórzy ci najbardziej rewelacyjne miejscowe plotki.

- Jakież to ma znaczenie, jeśli są prawdziwe?

- Ale nie są prawdziwe - powiedział, odstawiając filiżankę na tacę tak gwałtownie, że aż trochę kawy wylało się, tworząc maleńką, brązową kałużę. - Przynajmniej nie w pełni. Nie składałem nigdy ślubów zakonnych. Bawiłem się niewinnymi flirtami, ale nigdy młodej, niezamężnej dziewczynie nie pozwalałem mieć nadziei, że ożenie się z nią, ani nie zmierzałem do zniszczenia żadnego małżeństwa.

- Zasady chwalebne i godne polecenia - orzekła oschle.

Przesłał jej spojrzenie wyrażające jasno dezaprobatę dla jej sarkazmu.

- Incydent, o którym opowiedziała ci Chloe, wydarzył się przed wielu laty. Właśnie skończyłem naukę w Jefferson College w Natchez. Jako wolny ptak szukałem rozrywki w mieście. Wzbudziłem zainteresowanie pewnej młodej kobiety, o połowę młodszej od swego męża, który zresztą należał do przyjaciół mojego ojca. Dziewczyna była inteligentna. Miała zmienne usposobienie romantyczki, a przy tym przeżywała rozczarowanie małżeństwem i w ogóle swoim życiem. Problem polegał na tym, że w mojej uprzejmości wobec niej dopatrywała się czegoś znacznie więcej.

- W twojej uprzejmości? - zapytała. Zastanawiała się co mogło kryć się za tymi słowami. Pocałunek w dłoń, kurtuazyjna rozmowa czy może wieczór spędzony w pościeli? Może dla mężczyzny uprzejmością jest głównie mówienie o miłości, gdy spodziewa się, iż tego oczekuje od niego kobieta, którą właśnie zawiódł do łóżka?

- Trudno mi to wyrazić inaczej. Rozmawiałem z nią. Odprowadzałem na prośbę męża, gdy on sam był zajęty. Potem pewnego dnia zaczęła przysyłać mi liściki, które były raczej... prowokujące. A to zapraszała mnie na konną przejażdżkę, a to pod nieobecność męża do swojego domu, a raz nawet tak wszystko zorganizowała, że znaleźliśmy się sam na sam w łoży operowej. Byłem na tyle młody, że schlebiali mi to, choć jednocześnie czułem się nieswojo. Nie wiedziałem, co uczynić, aby zapobiec urządzeniu przez nią sceny. Wreszcie doszło do konfrontacji: o wszystkim dowiedział się jej mąż. Przybiegła do mnie z płaczem. Prosiła, bym ją przyjął do siebie, spakował się i byśmy razem pojechali do jej krewnych mieszkających w Karolinie Południowej. Byłem oszołomiony, lecz do głowy mi nie przyszło, by się zgodzić na tę propozycję. Powiedziałem jasno „nie”, ale ona nie chciała tego zrozumieć. Poszła do domu, a potem wypła całą butelkę laudanum.

- Kochałeś się z nią kiedykolwiek?

- Od tamtej pory minęło wiele lat. Nie znałem jeszcze ciebie. Po co się w to wgłębiać?

- Kochałeś?

Przeczesał palcami włosy.

- No dobrze, tak, jeden raz. Wróciłem do domu i znalazłem ją w moim łóżku, nagą, drżącą jak osika. Co miałem zrobić? Wyrzucić ją? Ponizenie całkiem by ją rozstroiło.

- Rozumiem. - Kochał się z nią powodowany litością. Amelia czuła, jak na samą myśl o tym przebiega po niej dreszcz. Tymczasem smarowała masłem i miodem następną bułeczkę, na którą już wcale nie miała ochoty. Jednocześnie nie mogła odpędzić myśli, czy jej własny romans - zainicjowany zgodnie z sugestią teściowej - nie trwa dalej tylko dlatego, że Robert obawia się, jak zareagowałaby, gdyby zechciał go zakończyć.

Obserwował ją z wyrazem oczekiwania na twarzy.

- Naprawdę? Pozwól, że powtórzę: to nie ma nic wspólnego z nami i w żaden sposób nie wpływa na moje uczucia do ciebie. Pobudzasz mnie do życia, powodujesz, że krew żywiej krąży w moich żyłach. Poszedłbym za tobą na sam kraniec świata. Zabrałbym tam ten moment, tę właśnie chwilę. To, co do ciebie czuję, sprawia, że

przeszłość zdaje się nie istnieć, więc i nie wpływać na przyszłość. Liczy się tylko to, co dzieje się teraz, każda minuta, każdy oddech, każde uderzenie serca. Proszę cię tylko o jedno, bo nie mam prawa prosić cię o nic więcej: dziel ze mną tę radość chociaż dzisiaj.

Pragnęła mu wierzyć, i to było najistotniejsze. Zapatrzyła się na niego, zatopiła wzrokiem w żywym lazurze jego oczu, czując powolny napływ fali gorąca, co niewiele miało wspólnego z rumieńcem zakłopotania, malującym się na jej twarzy. Z bułeczki, którą trzymała w ręku, spadła na jej pierś złota kropla miodu i roztopionego masła. Z okrzykiem sięgnęła po serwetkę.

Robert błyskawicznie pochwycił ją za nadgarstek. Nachylił się nad nią i głębokim niskim głosem powiedział:

- Pozwól, ja sam.

Dotyk języka na splamionej miodem piersi był niezwykle delikatny. Po chwili Robert odwrócił ku niej swą twarz, by zajrzeć w jej brązowe oczy.

- Wyborne - mruknął.

- Jeszcze się kleję - powiedziała i natychmiast przygryzła wargi, uświadomiwszy sobie, jak można zrozumieć te słowa.

- Bardzo proszę, ale będziesz zmuszona wziąć kąpiel. - Zmysłowy ton jego głosu powinien był wzbudzić w niej czujność, nawet gdyby w tym samym momencie nie wziął łyżeczki, nie zanurzył jej w miodzie, nie przechylił i nie pozwolił, by z samego końca spłynęła cieniutka strużka.

- Robercie, co ty robisz? - zapytała, wstrzymując oddech, a on spokojnie zaczął tworzyć miodową kompozycję na jej piersiach, brzuchu, a następnie, odchyliwszy prześcieradło, w miejscu, gdzie zbiegały się uda.

- Zgadnij - odrzekł.

Rozdział XIV

Minęło już południe, kiedy Amelia i Robert opuścili dom. Robert sam powoził. Lekka bryczka powoli toczyła się nagrzanymi ulicami. Były niemal opustoszałe, według starej hiszpańskiej tradycji nakazującej sjęstę po sutym południowym posiłku. Minęli kilku służących podążających ospałym krokiem za swoimi sprawami. W bocznej uliczce grupka krzyczących dzieci gonila za psem, który trzymał w pysku skórzaną piłkę. Niedawno padał deszcz i rynsztoki wzdłuż głównych ulic były zupełnie czyste, lecz w miarę jak zbliżali się do wąskich uliczek Francuskiej Dzielnicy, odór stawał się coraz bardziej dokuczliwy, aż w końcu Amelia podniosła do nosa chusteczkę skropioną fiołkową wodą.

Zmierzali do nabrzeża, gdzie cumowało wszystko, co tylko mogło pływać, poczynając od płaskodennych łodzi, na pełnomorskich statkach kończąc. Przejechali obok skweru u stóp katedry, który z inicjatywy baronowej de Pontalba otoczono nowym żelaznym ogrodzeniem, a wewnątrz ustawiono pomnik generała Jacksona, bohatera bitwy o Nowy Orlean. Po obu stronach skweru wznosiły się dwie okazałe budowle z apartamentami do wynajęcia, podobno pierwsze w bliższej i dalszej okolicy, które zbudowano w tym właśnie celu. Mury z jasnoczerwonej cegły i stalowe balkony tworzyły przyjemny dla oka widok. Samą katedrę także niedawno odrestaurowano. Dodano jej wcale imponujący zespół wieżyczek, a stare prezbiterium z prawej strony przebudowano, dla zachowania równowagi z harmonijną sylwetą pobliskiego ratusza. Prace konstrukcyjne prowadzono przez ostatnią zimę i w większości już je zakończono. Skwer był obecnie atrakcyjną promenadą, ale nie mieli czasu, by odbyć nią spacer.

W pobliżu biegła długa kolumnada Francuskiego Targu. I tutaj panował spokój, ponieważ o tej porze większość chętnych już dokonała zakupów mięsa, świeżych warzyw, ryb, owoców i innych produktów, niezbędnych do przyrządzenia codziennych posiłków. Niektóre ze straganów były puste, ale w innych na stołach można było jeszcze zobaczyć wędną zieleninę, kolby kukurydzy, kosze z ziemniakami, piramidy ułożone z główek kapusty, marchew, pomarszczone strąki fasoli, upstrzone przez muchy tusze zwierzęce i beczki z rybami zanurzonymi w śluzowatej wodzie. Nierzadko targ stawał się miejscem spotkań przyjaciół i znajomych, gdzie podczas hałaśliwych, ożywionych rozmów pośród świeżych kwiatów przeprowadzano transakcje handlowe. Tym razem jednak było inaczej.

Przejechali obok wydzielonej części nabrzeża, przy której cumowały parowce. Były to przeważnie statki pocztowe, których dzioby kołysały się miarowo w rytm rzecznych fal. Gorące promienie słońca odbijały się od powierzchni pomalowanych farbą. Tu i ówdzie pasażerowie stali na pokładzie, wiodąc blahe rozmowy, albo siedzieli w cieniu pod daszkami. Niektóre ze statków stały pod parą; z ich kominów na tle bezchmurnego, błękitnego nieba unosił się szary dym. Za nimi, z masztami rozłożonymi jak ramiona, unosiły się parowce, zdolne odbywać rejsy przez ocean.

W okolicy nabrzeża znajdowało się pięć dużych statków: dwa przycumowane do załadunku, trzy stojące na kotwicy. Ani jeden, ani drugi z położonych najbliżej nie był tym, którego szukali. Pozostawiwszy Amelię w powozie z podniesionym daszkiem jako ochroną przed słońcem, Robert wysiadł i udał się do biura armatora dowiedzieć się czegoś o kliperze, którego szukali.

Amelia siedziała, niespokojnie się wachlując, szarpiąc od czasu do czasu za suknię w miejscu, w którym padające ukośnie promienie słońca rozgrzały materiał. Krople potu zrosiły jej czoło. Dla zabicia czasu przyglądała się dokerom. Kilku z nich spało w cieniu bel bawełny, inni, rozebrani do pasa, z torsami błyszczącymi od potu, dźwigali na pokład parowca beczułki oraz skrzynie, większe zaś beczki toczyli. Ulicą od strony miasta nadeszła

sprzedawczyni pralinek, dość młoda Murzynka w białej chustce na głowie, odziana w nieskazitelnie biały fartuch i płócienną sukienkę. Opierała na biodrze plecioną ze słomy tacę, na której pod płótnem zabezpieczającym przed muchami leżały słodczyce i orzeszki. Otoczyli ją dokerzy, którzy, nie bacząc na przekleństwa nadzorca, zaczęli szperać po kieszeniach w poszukiwaniu monet. Minęła dłuższa chwila, nim ostatni mężczyzna zapłacił i odszedł, przeżuając czekoladkę.

Kobieta przez cały ten czas ustawicznie zerknęła w stronę Amelii. Teraz zmierzała w jej kierunku. Zatrzymała się obok bryczki i zachęcająco podniosła tacę.

- Może praliny, *mam 'zelle*? Nie ma lepszych w Orleanie.

Słodkomleczny zapach dotarł do nozdrzy Amelii. Zrobiło jej się niedobrze. Odwróciwszy głowę na bok, zaczęła szybciej poruszać wachlarzem.

- Dziękuję - westchnęła. - Nie czuję się dobrze.

Kobieta przykryła towar białą ściereczką, przypatrując się Amelii mądrymi oczyma.

- Wystarczy zjeść kawałek suchego chleba, *mam 'zelle* - orzekła. - Czy mam przynieść?

- Bardzo to miło z twojej strony, ale za chwilę dojdę do siebie.

- Raczej za kilka miesięcy, prawda? Nie trzeba się denerwować, *pauvre petite*, wszystkim nam się to przytrafia.

Amelia uśmiechnęła się blado. Kobieta skinęła głową i odeszła. Amelii nie dręczyły do tej pory żadne poranne dolegliwości. Jej samopoczucie pogarszało się później w ciągu dnia, co zazwyczaj wiązało się z jakimś zapachem, który wcale nie musiał być niemiły ani szczególnie silny i który innym razem mógł nie wywoływać podobnego skutku. Ale przecież tak naprawdę nie była chora. Odczuwała to inaczej, szczególnie: jako lekki ból w piersiach - niewielki zwiastun odmiennego stanu. Większość kobiet uznałaby, że zasługuje na gratulacje, ale ona w obecnych okolicznościach wcale tak nie uważała.

Podniosła głowę i dostrzegła Roberta. Miał ponurą minę. Stał przy powozie, zacisnął dłoń na krawędzi daszku. Nie czekając, aż sam zacznie, zapytała:

- Czego się dowiedziałeś?

- Przyjechaliśmy za późno. Kliper odpłynął.

- Kiedy? - Z trudem przyszło jej zadać pytanie.

- Wczoraj rano.

- Ach, tak.

- Nie obwiniaj siebie - powiedział stanowczo. - Nawet gdybyś przybyła tu w tej samej minucie, w której wysiadłaś z pociągu, i tak byłoby za późno.

Odetchnęła z ulgą. Zdobyła się nawet na uśmiech i wolno skinęła głową.

- Wypytywałem o tamtego marynarza, ale niczego nie mogłem się dowiedzieć - dodał, marszcząc czoło. - Zdaje się, że kapitan nawet nie zawiadomił o zaginięciu jednego ze swoich ludzi. Widocznie zdarza się to zbyt często, aby jeszcze kogoś dziwiło.

- Dokąd teraz pojedziemy?

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Co zrobiłabyś, gdybyśmy się nie spotkali?

- Nie wiem. W planach nie wybiegałam poza odbycie rozmowy z kapitanem statku. - Przez chwilę zastanawiała się, patrząc przed siebie w przestrzeń, potem powiedziała niezdecydowanie: - Powinniśmy chyba przyjąć, że drugi z marynarzy powrócił na statek i żegluje teraz w niewiadomym kierunku.

- To jest logiczne rozumowanie.

- Wobec tego możemy wracać do domu.

- Tak.

Wskoczył do powozu i odwinął lejce z trzonu bata. Przez moment siedział bez ruchu.

- Nie zaszkodzi popytać tu i ówdzie w gospodach i piwiarniach. Mogło się zdarzyć, że nasz marynarz zrezygnował z rejsu, bo miał swoje powody, żeby statek odpłynął bez niego.

Zamiast odpowiedzi Amelia sięgnęła po szkic Isy, który, zrolowany, leżał przy niej na siedzeniu. Rozwinęła go i zaczęła studiować, gdy tymczasem Robert szarpnął za lejce. Jakiś czas potem przyglądała się jeszcze rysunkowi, kiedy kątem oka złowiła sylwetkę jakiegoś budynku.

- Przecież nie tu mieliśmy jechać.

- Owszem, tu. Zabieram cię z powrotem do domu.

- Ale ja nie chcę.

- Mało prawdopodobne, aby ten człowiek zatrzymał się w jednym z takich hoteli jak St. Louis albo St. Charles. Raczej ukrył się w najobszerniejszej części miasta, gdzie rzadko widuje się damy i gdzie nie bardzo wiedzą, jak się wobec nich należy zachować.

- Wiem o tym równie dobrze jak ty, ale nie dbam o to. Nie zamierzam siedzieć w domu i beczynnie czekać na wiadomość. I tak zbyt długo godziłam się na to. Chcę ci towarzyszyć.

- W żadnym razie.

- Dlaczego? Jestem kobietą, a nie jakimś delikatnym kwiatem, który trzeba osłaniać. Mam prawo wiedzieć, co się

dzieje. Coś robić, zamiast tkwić w domu jak jakiś posąg!

Jego oczy spoglądały chłodno, gdy odwrócił się do niej twarzą.

- Doprawdy wiem, że nie idzie tu o kwestię woli, odwagi czy też możliwości. Amelio, jesteś damą, której należy jest szacunek. Nie możesz lekceważyć tego faktu.

- Tak myślisz? Mam wątpliwości. W szczególności po minionym tygodniu! - Rzuciła mu spojrzenie wyrażające zawiedzione nadzieje.

- Ja ich nie mam. To nie zależy od twojej nieposzlakowanej reputacji, lecz jest sprawą wewnętrzną prawości. Jeżeli pójdziesz ze mną do spelunki, gdzie można by znaleźć tego człowieka, bez wątpienia ściągniesz na siebie uwagę w taki sposób, który na pewno nie przypadnie ci do gustu. Z kolei ja będę zmuszony stanąć w twojej obronie. Gdybyś została na zewnątrz, byłabyś w jeszcze większym niebezpieczeństwie. Kobiety w tak nikczemnym towarzystwie uważa się za łatwą zdobycz, to oczywiste.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś odważył się mnie napastować przy twoim boku.

Uśmiechnął się z powątpiewaniem.

- Wdzięczny jestem za zaufanie, ale nie mógłbym dać ci żadnych gwarancji. Poza tym, gdybyśmy poszli razem, mogłoby się zdawać, że zbytnio zależy nam na uzyskaniu informacji. W tamtej części miasta grozi to otrzymaniem ciosu nożem między żebra. Gdybym przebrał się w coś bardziej zgrzebnego, poszedł sam, zamówił coś mocniejszego...

- Rozumiem - przerwała mu w środku zdania. Wprawdzie uznała jego rozsądne argumenty, ale przez to wcale nie poczuła się lepiej. - A więc zabierz mnie do domu.

Po jego odjeździe czas upływał jej bardzo wolno, godzina wlokła się za godziną. Amelia nie mogła usiedzieć spokojnie na miejscu. Spacerowała po domu tam i z powrotem, od okna do okna. Spoglądała na trawniki oraz sąsiednie domy, na biegnące eleganckim kłusem konie i szykowne ekwipaże, w których pod parasolkami, ozdobionymi koronkami oraz paciorkami, siedziały damy w lekkich, letnich jedwabiach, a obok nich dżentelmeni pocili się w surdutach i krawatach.

Złorzeczyła konwenansom. To właśnie one, nie zaś niemożność zapewnienia sobie bezpieczeństwa, sprawiły, że ponownie czuła się uwięziona. Dopóki mężczyźni traktowali obronę kobiet jako punkt honoru, dopóty te, które poruszały się samotnie, musiały liczyć się z tym, że będą uznawane za cel obelżywych ataków. I dopóki mężczyzna musiał narażać życie w obronie kobiety, dopóty ta kobieta była moralnie zobowiązana nie robić nic, co bez potrzeby wystawiałoby go na ryzyko z jej powodu. To był jakiś ponury żart losu, jakaś paradoksalna pułapka. Gdyby mogła, natychmiast rozprawiłaby się z tego rodzaju przesadami.

Z drugiej jednak strony, jeśli nie konwenanse, to co powściągało ludzi, których jedynie obawa o własne życie odstraszała przed realizacją swych najbardziej prymitywnych pragnień? Dla jednych była to chyba pięść, ostrze szpady albo bykowiec, dla innych - pojedynki. Ten ostatni zwyczaj zaczynał się szerzyć w zastraszającym tempie. Wystarczyło powiedzieć jedno słowo niedbałym tonem lub trącić kogoś przez nieuwagę, żeby odpowiadać za swój czyn w obecności sekundantów; wielu młodych mężczyzn zginęło w ten sposób. Toteż wiedzeni obawami mężczyźni starali się poruszać ostrożnie i zachowywać stosownie zarówno wobec kobiet, jak i mężczyzn.

Nadeszła pora kolacji, a Robert nadal nie wracał. Amelia próbowała coś zjeść, ale skończyło się na tym, że tylko pogrzebała widelcem na talerzu. Ożywiło ją nieco wypicie dwóch kieliszków czerwonego wina, lecz jedynie do czasu, kiedy w końcu zdecydowała udać się do łóżka.

Siedziała prosto z poduszkami włożonymi pod plecy i książką od dwóch godzin otwartą na pierwszej stronie, kiedy dobiegł do niej z dołu jakiś hałas. Sięgnęła po szlafrok, ześlizgnęła się z łóżka i w pośpiechu wyszła z sypialni. Jeszcze nie zdążyła wsunąć ramion w rękawy, a już była przy szczycie schodów.

U ich podnóża, rozstawiwszy szeroko nogi, stał Robert. Włosy miał zmierzwiłone, na sobie zaś brudną koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, nogawki spodni uszytych ze zgrzebnego płótna były wsunięte w buty, które wyglądały, jak gdyby ktoś umyślnie stał z nich połysk. W dłoni trzymał srebrny świecznik. Słychać było jeszcze kroki służącego, który zapewne otworzył mu drzwi i teraz wracał do siebie. Amelia najwyraźniej nie zjawiała się bezgłośnie, ponieważ Robert, bardzo powoli i niezgrabnie, odwrócił się i podniósł na nią wzrok.

- Robercie - zawołała cicho - nic ci nie jest?

- To za... leży, jak na to spojrzeć...

- Upiłeś się! - Starła się nie podnosić głosu. Zeszła kilka stopni niżej. Świecznik, który trzymał w ręku, był jedynym źródłem światła prócz lampy naftowej widocznej w uchylonych drzwiach do sypialni Amelii. Pojedynczy płomyk migotał na tle jego twarzy, podkreślając zarys kości policzkowych i ust, pozostawiając oczy w głęboko zacienionych wgłębieniach.

- Uznaałem za nie...niezbędne postawienie kilku ko...kolejek. - Starł się wypowiadać wszystkie głoski z nadzwyczajną starannością, ale i tak gubił się i plątał.

- Dowiedziałeś się czegoś o marynarzu?

- Nie... niestety, muszę ogłosić klęskę. - Wyciągnął rękę przed siebie, ale zachwiał się, więc opuścił ją z powrotem.

- Żadnego śladu?

- Nie - odparł i natychmiast, jednym tchem i takim samym tonem, dodał: - *Mon Dieu*, ale ty pięknie wyglądasz! Zerknęła w dół i spostrzegła, że światło z sypialni przesączało się przez koszulę nocną i szlafrok, rysując jej sylwetkę na tle luźnego, przezrystego materiału. Zeszła kilka stopni niżej, czując, że jej policzki oblewa rumieniec. Mimo wszystko z nutą rozbawienia w głosie powiedziała:

- Bardzo się dziwię, że mnie widzisz.

- Nie jestem ślepy... lecz tylko pijany.

- Zatem chodź do łóżka.

Łobuzerski uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Toż to nieprzyzwoite. Jesteś pewna?

- Nigdy niczego nie byłam bardziej pewna.

- W takim razie przychyliam się z całego serca, bo... bo sam nie śmiałbym prosić.

Kołysząc się na boki, ruszył w kierunku schodów. Chciał sięgnąć do poręczy, ale spostrzegłszy, że w dłoni trzyma srebrny świecznik, utkwiał w nim zdumiony wzrok, jak gdyby zastanawiał się, skąd ów przedmiot mógł się tu znaleźć. Amelia pospiesznie zbiegła na dół. Najpierw odebrała od niego świecznik, potem chwyciła go pod ramię, i stopień po stopniu zaczęli wspinać się do góry. Wreszcie dotarli na szczyt, by przejść przez hol do jej sypialni. Niezgrabnie weszli do środka.

Oceniła szybkim spojrzeniem fotel, ale uznała, iż Jeśli posadzi w nim tego rosnącego mężczyznę, to nie zdoła go później podnieść. Wybrała więc łóżko. Oparła o nie dość bezwładne ciało. Rozpięła na nim spodnie oraz koszulę i ściągnęła je. Robert patrzył przed siebie nieco otepiałym, ale przyjaznym wzrokiem. Kiedy pchnęła go lekko w stronę materaca, był jeszcze na tyle przytomny, żeby stanąć na stopień, i dopiero wówczas opadł do tyłu. Podparty na rękach, nawet nie próbował jej pomóc, kiedy szarpała się z jego butami.

Gdy już poradziła sobie z nimi i wyprostowała się z drugim butem w rękę, Robert pochylił się do przodu. Sięgnął dłonią po pasmo włosów, które opadało na jej pierś, i pocierając je delikatnie między palcami, powiedział zwyczajnie:

- Moja kochana Amelia.

Obdarzyła go drżącym uśmiechem. Powodowana impulsem, upuściła but, ujęła jego twarz w swoje dłonie i przycisnęła usta do jego ust. Poczowała smak taniej whisky i zapach tytoniu, ale nie przeszkadzało jej to. Robert otoczył ją rękoma, przytulił i pociągnął za sobą, opadając do tyłu na materac.

Zachichotała, ponieważ utkwiała w nieprawdopodobnej pozycji na krawędzi łóżka i między nogami Roberta. Poruszyła się energicznie, wówczas uwolnił ją, opuszczając ramiona na boki w ten sposób, że leżał w pozycji szybującego ptaka, i tylko nogi poniżej kolan kołysały mu się na zewnątrz. Podniosła się nad nim, zsuwając jednocześnie w tył, aż stopami dotknęła podłogi. Chwyciła go za nogi i mrucząc przy tym w sposób, który na ogół damie nie przystoi, uniosła je z wysiłkiem i przesunęła na materac.

Podążał za nią wzrokiem, gdy przechodziła dookoła i stanęła z drugiej strony. Oczy mu rozbłysły, kiedy zrzuciła szlafrok, aby wskoczyć na łóżko i przykleknąć obok niego. Szarpiąc za ubranie, pomogła mu ułożyć się wyżej i wygodniej, z głową na poduszce. Już zaczęła układać się przy nim, ale spostrzegła, że nie zmniejszyła płomienia lampy. Wstała, aby to zrobić. Zdmuchnęła też świecę, potem idąc w mroku po omacku, wróciła do łóżka i przykryła się prześcieradłem.

Pochwyciły ją silne ramiona. Przysunęła się bliżej, przywierając do Roberta, który delikatnie i tkliwie zaczął gładzić jej włosy, odgarniając je za uszy i na ramiona. Jego palce, w żadnym razie nie ospałe, obrysowywały kształt jej twarzy, wędrując od czoła, poprzez wyniesienie nosa, po linię ust. Westchnął głęboko.

- Amelio, kochanie, nie chcę wracać do domu.

Patrząc otwartymi szeroko oczyma w ciemność i czując, jak w jego ramieniu, w miejscu, gdzie złożyła głowę, żywo pulsuje krew, odpowiedziała szeptem:

- I ja nie chcę.

Wrócili, rzecz jasna, ponieważ nic innego nie mogli już zrobić. Podróż powrotna stanowiła niemal proste odwrócenie podróży do Nowego Orleanu, tyle że Robert siedział przy niej w pociągu, a tylko na parowcu w trakcie rejsu w górę Teche skorzystał z własnej kajuty.

W Belle Grove nie zaszły żadne istotne zmiany; nad starym budynkiem i nowymi ogrodami nadal tak samo świeciło słońce, rozlewisko niezmiennie toczyło swe wody wewnątrz głębokiej doliny, niewolnicy podczas pracy śpiewali te same co zawsze pieśni. Jedyna różnica polegała na tym, że Chloe miała posępną minę, a pani Declouet była bardziej milcząca. Podczas nieobecności Amelii Isa zużył prawie cały papier rysunkowy. Poza tym nie pozwolono mu malować wewnątrz domu, lecz jedynie na podłodze w galerii.

Jerzy przywitał się z nimi z wyraźną ulgą, ponieważ musiał się troszczyć o dwie kobiety i zarazem odgrywać rolę pocieszyciela. Na ich widok starsza pani podniosła się, a splecione dłonie ścisnęła tak mocno, że aż zbiełały. Natomiast Chloe poderwała się i wybiegła im naprzeciw, Pytając o wieści. Uzyskały dostateczną odpowiedź w wyrazie twarzy i Roberta, i Amelii. Zanim jednak oboje mogli udać się na spoczynek, musieli zdać sprawę ze swoich wysiłków.

Zmianę sytuacji przyniósł następny dzień. Robert zastosował się do prośby ciotki i spędził noc w *garçonnière*. Przy stole podczas śniadania z dużym taktem przedstawił znane okoliczności zaginięcia Juliana, wspominając również o odnalezieniu zwłok marynarza. Na koniec jeszcze raz wyraził opinię, iż należy zawiadomić szeryfa. Pani Declouet w dalszym ciągu była przeciwna, ale w końcu wyraziła zgodę. Robert sporządził pismo, w którym uprzejmie prosił szeryfa o przybycie do Belle Grove. Z listem wysłano chłopca stajennego. Nie minęły dwie godziny, kiedy wzbijając tumany kurzu, pojawił się na podjeździe powóz i zajechał przed frontowe drzwi.

Robert powitał przedstawiciela prawa na frontowej galerii, po czym poprowadził go w stronę salonu. Szeryf zdjął kapelusz i z pewną nieśmiałością, zachowując rezerwę, wszedł do środka. Był człowiekiem średniego wzrostu, zbliżał się do sześćdziesiątki. Miał przyprószone siwizną, proste brwi nad przenikliwymi szarymi oczyma i kanciastą szczękę. Czerwona pęga na jego wysokim czole wskazywała, jak głęboko nasuwał na głowę kapelusz. Skinął głową w ukłonie, pełnym szacunku, ale bez śladu uniżoności.

- Przykro mi było usłyszeć o pani zmartwieniu, pani Declouet - powiedział. - Proszę mi wierzyć, że mój urząd zrobi wszystko, by dowiedzieć się o miejscu pobytu pani syna.

- Zechce pan usiąść - odrzekła na to starsza pani i dała znak Karolowi, który w gotowości czekał przy tylnych drzwiach, żeby podał przekąski. - Zapewne nie miał pan jeszcze okazji poznać małżonki mego syna, Amelii Declouet, z domu Peschier? Natomiast moją chrześniaczkę, Chloe, powinien pan znać. I chyba przynajmniej słyszał pan o naszym gościu z Anglii, Jerzym Parkmanie.

Szeryf rozejrzał się dookoła, po kolei skinął każdemu głową. Następnie wziął krzesło i usiadł na nim. Niezręcznie ciszę przerwał Jerzy uwagą na temat upałów, tak kontrastujących z wilgotnym i chłodnym klimatem Anglii. Amelia oraz Chloe wspierały go w prowadzeniu konwencjonalnej rozmowy, dopóki nie przyniesiono kawy, herbaty, wina i ciasta. Karol postawił ciężką tacę przed panią Declouet, ale ta ruchem ręki pokazała, że Amelia powinna zająć się nalewaniem napojów. Stary sługa z kamienną twarzą przesunął tacę, po czym dostojnym krokiem wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Robert wstał. Napełnił winem kieliszek swój oraz Jerzego, gdyż szeryf odmówił wypicia alkoholu, decydując się na kawę. Zajął się rozstawianiem talerzyków, które kolejno przekazywała mu Amelia po nałożeniu na każdy kawałek ciasta, potem zaś filiżanek, które napełniała kawą. Pani Declouet siedziała nieruchomo z dumnie podniesioną brodą, zapatrzona w przestrzeń. Chloe i Jerzy cicho rozmawiali ze sobą.

Szeryf wypił łyk gorącej czarnej kawy i odchrząknął.

- W żadnym razie nie zamierzam być obcesowy ani urazić kobiecej wrażliwości, ale chciałbym dokładnie dowiedzieć się, kiedy ostatni raz widziano Juliana Decloueta i w jakich okolicznościach.

Robert zerknął na ciotkę, a kiedy ta skinęła głową, podjął się roli narratora. W miarę opowiadania każdy dorzucał jakiś szczegół, który uzupełniał rozwój wydarzeń. Robert dość otwarcie, ale bez podawania przyczyn poinformował o zwadzie ze swym kuzynem i o zamiarze rozwiązania sprawy przez pojedynek. Nie spekulował nad powodem zniknięcia Juliana z balu u Morneyów tamtej nocy. Zasugerował natomiast istnienie związku między zniknięciem Juliana a marynarzem, którego ciało wydobyto z Teche. Nie potrafił tego uzasadnić w inny sposób poza wskazaniem na fakt, że obu widziano w tej samej gospodzie.

Szeryf wyjął mały notes i słuchając, robił sobie notatki. Kiedy Robert skończył, podniósł głowę.

- Osobliwe, nadzwyczaj osobliwe. Mam nadzieję, iż nie wezmą mi państwo za złe, jeżeli zauważę, że mówiło się w okolicy o tym pojedynku.

- Zdaję sobie z tego sprawę - zauważył chłodno Robert.

- Chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żeby w związku z tym odpowiedzieć mi na kilka pytań? Na osobności, jeśli pan woli.

Szeryf ani razu nie spojrzął w kierunku Amelii, a ponieważ spoglądał na pozostałych zupełnie normalnie, było w tym coś znaczącego. Skierowała wzrok na tacę przed sobą. Nie tknęła jeszcze swojej filiżanki z kawą. Sięgnęła po nią, ale ponieważ drżały jej dłonie, więc wzięła kawałek biszkoptu. Tak zaschło jej w ustach, że ledwie zdołała przełknąć jeden kęs. Filiżanka zagrzechotała głośno, gdy w końcu zdecydowała się ją podnieść. Hałas ściągnął na Amelię surowe spojrzenie szarych oczu szeryfa.

Głos Roberta ledwie wzniósł się ponad ciszę, gdy odpowiedział na pytanie gościa:

- Przykro mi. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

- Nie może pan czy nie chce? - zapytał bez ogródek szeryf.

- Zmuszony jestem prosić, by nie nalegał pan dłużej.

- Zdaje pan sobie sprawę, jak tego typu postawa może być rozumiana?

Robert skinął głową.

- Zechciałby pan przynajmniej wskazać przyczynę swej odmowy.

- Obawiam się, że nie mogę.

- Czy wobec tego mam rozumieć - pytał szeryf łagodnym tonem - że w grę może wchodzić reputacja kobiety?

Riposta Roberta była natychmiastowa.

- Może pan myśleć, co pan chce.

- Bardzo dobrze. - Szeryf odstawił na bok pustą filiżankę i wstał. Najpierw skłonił się pani Declouet, a potem

wszystkim pozostałym. - Rozpocznę dochodzenie. Będę państwa informował o wszystkich istotnych szczegółach, które ewentualnie wyjdą na jaw. Jeżeli ktokolwiek chciałby coś dodać, może nadesłać do biura pisemną relację.

- Robercie, bądź tak dobry i zadzwoń po Karola, żeby odprowadził szeryfa do powozu - powiedziała starsza pani.

- Dziękuję pani, *madame* Declouet, sam znajdę drogę.

Siedzieli bez słowa, dopóki nie ucichł odgłos kroków na schodach i nie rozległ się turkot kół odjeżdżającego powozu.

- Jestem pewna - oświadczyła Chloe, mrużąc oczy - że jeżeli Juliana w ogóle można znaleźć, to ten człowiek go znajdzie.

- I ja mam takie przekonanie - powiedziała Amelia zdławionym głosem.

- Tak - zgodziła się pani Declouet i westchnęła.

Robert jeszcze przed południem opuścił Belle Grove i udał się do swoich *The Willows*. Ponownie nadszedł czas oczekiwania. Minęły dwa długie dni. Kiedy trzeciego dnia Amelia z Isą idącym za nią jak cień zeszła na śniadanie, zobaczyła, że przy stole w pokoju stołowym siedzi Patryk Dye.

Zatrzymała się w progu tak gwałtownie, że Isa nastąpił na brzeg jej różowej sukienki. Choć odwróciła się, żeby z nawyku przesłać chłopcu uśmiech, prawie nie dyszała jego przeprosin.

Nadzorca podniósł wzrok znad talerza, nad którym był pochylony. Na chwilę przerwał jedzenie, a puszysty kawałek omlęta zawisł na widelcu w połowie drogi do ust. Uśmiech rozchylił mu zbyt zmysłową dolną wargę, ale oczy pozostały zimne.

- Wyglądasz na zdziwioną moim widokiem, *mam'zelle*. Zapewniam, że korzystam z pozwolenia starszej pani. Przypadkiem wspomniałem, że burczy mi w brzuchu, a ta dobra, pocziwa kobieta poleciła, żebym się poczęstował.

Lekceważący ton, w jakim się wypowiadał, był obraźliwy. Zrobiła gest, jakby zamierzała odejść.

- Proszę zostać. Trochę to smutne - tak jeść w samotności. - Kpił z niej, jakby był przekonany, iż powodem jej odejścia była obawa, a nie pogarda.

- Gdzie jest *M'mere*? - zapytała przystając. Nie chciała pozostawić go w przekonaniu, że się go boi. Odwróciła się i wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Stwierdziła, że nie dopisuje jej apetyt. Nie była na nogach od świtu tak jak ja. Dla mnie jest to akurat już drugie śniadanie.

- Sądziłam, że ma pan kobietę, której zadaniem jest gotowanie panu - powiedziała uszczypliwym tonem. Usiadła na krześle, które wysunął dla niej Isa.

- Racja, mam, ale jej prawdziwy talent nie objawia się w kuchni - odrzekł nadzorca z lubieżnym błyskiem w oczach, błędząc nimi po modnie dopasowanym staniku jej sukni.

Nie raczyła zaszczycić go odpowiedzią. Tak bardzo zapragnęła odejść z tego miejsca, że postanowiła zmusić się do przyjęcia od Isy kawy i dwóch bułeczek. Słowa podziękowania uwięzły jej w gardle.

- O tak, przednie życie - ciągnął Patryk agresywnie. - Lubię tryb życia wielkich państwa. Ot, wypić pierwszą kawę o brzasku, a koło południa, po objechaniu pół, zjeść porządny posiłek.

- Taki pożyczony luksus? - zapytała, nim zdążyła nad sobą zapanować. Do żywego poruszył ją tym tonem kogoś bardzo z siebie zadowolonego, toczeniem dookoła wzrokiem posiadacza.

Lekki rumieniec wystąpił mu na policzki.

- Być może - prychnął. - Mniemam, że wspólny posiłek z pracownikiem najemnym nie jest czymś nie do zniesienia dla pani tego domu.

- Myślę, że jakoś to przeżyję.

- Właśnie. W końcu obecność przy tym stole angielskiego ogrodnika też nikomu nie przeszkadza, i to od wielu już tygodni.

- Pańskim zdaniem pani Declouet wymówiła się od stołu z powodu swej niedyspozycji? - Amelia nie spuszczała oczu z bułki, którą akurat smarowała masłem. Nagle ożyło w niej wspomnienie innego poranka, innej bułki posmarowanej masłem i ociekającej miodem. W brzuchu poczuła uderzenie ciepła, które wolno zaczęło się rozprzestrzeniać ku dolnym partiom jej ciała, ale czym prędzej postarała się uciec od tego wspomnienia.

Dye mruknął:

- A wchodzi w grę jakiś inny powód?

- Nie sędzę, lecz gdyby jednak tak było, nie powinien pan mieć jej tego za złe. Osoby o pańskiej pozycji zwykle nie jadają wspólnie z rodziną.

- Bez względu na to, jak wiele innych przypadkowo napotkanych osób uczestniczy w każdym posiłku? Och, tak, rozumiem to bardzo dobrze - powiedział tonem wymówki; jedzenia wszakże nie odsunął.

- Jeżeli nie odpowiada panu posada nadzorcy na naszej plantacji, to dlaczego pan tutaj pozostaje?

- Co innego miałbym robić? Poza tym mnie się tu podoba.

- Skoro pan tak mówi... Odniosłam jednak odmienne wrażenie. - Zaczęła ubolewać nad tonem wyższości, który usłyszała we własnym głosie. Był on jednak rodzajem obrony przed arogancją i manierami Dye'a.

Z tyłu doszedł do niej szelest ubrania Isy. Chłopiec nie lubił Dye'a tak samo jak ona i w jego obecności stawał się

znacznie bardziej nerwowo. Gdyby tylko o to chodziło, dawno posłałaby go gdzieś pod błahym pretekstem, ale zaudowała potrzebowała jego niemej wsparcia, aby to zrobić. Liczyła na nadejście Chloe oraz Jerzego. Nie domyślała się nawet, co mogło ich zatrzymać, jeżeli oczywiście nie zjedli posiłku wcześniej. Nieznacznie podniosła głowę i zerknęła w kierunku stosu naczyń na bocznym stoliku. Nie, zastawa przeznaczona dla nich była nie ruszona, podobnie jak komplet przygotowany na wszelki wypadek dla Roberta. A Patryk najwidoczniej korzystał z nakrycia dla pani Declouet. Nagle uwagę Amelii przyciągnęły słowa wypowiedziane przez nadzorcę.

- Nie wiem, po co tak pani dba o pozory. Wie pani, o co chodzi, lepiej niż wszyscy.

Spojrzała na niego badawczo.

- Obawiam się, że nie bardzo pojmuję, co pan sugeruje.

- Nie wie pani? Po cóż dłużej udawać? Męża pani nie ma i trzeba się z tego cieszyć.

- Wypraszam sobie!

Roześmiała się.

- Ja to rozumiem. Na tym etapie właśnie tak trzeba było odegrać to przedstawienie, pewnie. Wcielić się w rolę opuszczonej, lojalnej, zdezorientowanej żony. Ale muszę powiedzieć, że nie ma sensu grać dalej, kiedy zapadła kurtyna.

Odsunęła od siebie talerz, dotknęła warg serwetką i położyła ją obok swego talerza, i

- Pańskie uwagi i sugestie uważam za wysoce obraźliwe, Dye. Ufam, że nie zdziwię pana, jeżeli się oddalę.

- Ależ proszę dać spokój. Przede mną nie ma czego ukrywać. Jestem jednym spośród tych, którzy dokładnie wiedzą, kim jest Julian Declouet.

Sposób, w jaki się zachowywał, osobliwa pewność siebie wyrażana w postawie i w oczach błysk satysfakcji z własnej przewagi sprawiły, iż zdecydowała się pozostać na miejscu.

- Nie rozumiem.

- Nie ze mną ta zabawa w ciuciubabkę. Wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi, a my właśnie mamy okazję cokolwiek zbliżyć się do siebie. Ale jeśli pragniesz usłyszeć to w prostych słowach, czemu nie? Wiesz równie dobrze jak ja, że twój drogi mąż nie cenił sobie kobiet, nawet jeżeli były twojej urody.

- Już jeden raz dostatecznie jasno pokazałam...

- Nie ma sensu udawać, że ten człowiek odmienił się dla ciebie. Ja w to i tak nie uwierzę. Przecież jeszcze przed kilkoma tygodniami nie wracał do domu na noc. Nie wspomnę o kilku wieczorach, które spędziłem razem z nim przy kieliszku.

Amelia pobladła tak, jakby cała krew odpłynęła jej z twarzy. Szepnęła:

- Co?

- Nie wierzę, że nie wiedziałas o skłonności Juliana do chłopców - powiedział, choć błysk okrucieństwa w jego oczach przeczył słowom. - Nie pomyślałbym nawet, sądząc po tych wszystkich rozmowach. Skoro jednak zabrnąłem już tak daleko, to chyba powinienem dopowiedzieć resztę?

Używał słów dosadnych, ale plastycznych w opisie. Amelia przeżyła dwadzieścia cztery lata, ledwie zdając sobie sprawę, że tego rodzaju odmiennosć w ogóle istnieje. Zrobiło jej się słabo i przejął ją ogromny żal niemal natychmiast ustępując miejsca gwałtownej złości.

- Kłamiesz! - krzyknęła, zrywając się na nogi. - Julian nie mógł być taki.

- Nie? Chcesz może powiedzieć, że był dla ciebie kochającym mężem?

- Nic o tym nie możesz wiedzieć!

- Doprawdy? - powiedział tonem pełnym sarkazmu. - Mieszkam tutaj trochę dłużej od ciebie i nieraz towarzyszyłem Julianowi do miejsc, gdzie pił, gawędził i rozglądał się za chłopcami, którzy chcieliby zarobić kilka srebrnych monet. Tam do licha, nawet siedłem razem z nim, kiedy udawało mu się znaleźć więcej niż jednego, chociaż - przyznam szczerze - wolałem mieć jakąś delikatną dziewczynę.

Popatrzyła na niego z odrazą, odepchnęła do tyłu krzesło i ruszyła w stronę drzwi.

- Jak myślisz, czemu ożenił się z tobą?! - zawołał za nią. - Dlaczego, twoim zdaniem, taki przystojny, majątny mężczyzna, musiał pozwolić matce, aby za niego zaaranżowała małżeństwo? Powiem ci. Byłaś dobrą kandydatką, ponieważ mieszkałaś daleko i nie słyszałaś plotek na temat Juliana, ponieważ nie miałaś ojca ani braci, którzy mogliby je słyszeć. A starsza pani wzięła sprawę w swoje ręce, bo on nie przejawiał ku temu chęci!

W jego opowieści znajdowała odpowiedzi na wiele pytań, które dotychczas ją dręczyły. Zatrzymała się gwałtownie, jej spódnica zakołysała się jak dzwon.

- W ogóle nie musiał się żenić - rzuciła przez ramię.

- Ożenił się dla zachowania pozorów. Starsza pani pragnęła dziedzica dla Belle Grove. Żywiła nadzieję, że syn postara się o niego, by miała komu przekazać wszystko, czego dorobiła się wraz ze swym zmarłym mężem. Jak się zdaje, dla niektórych mężczyzn pokroju Juliana tego rodzaju zadanie nie jest niewykonalne. Mogą nie przepadać za kobietami, ale zamykają oczy i robią, co do nich należy.

Mocno zacisnęła szczęki. Z trudem zbierała myśli. Nagle coś sobie przypomniała. Odwróciła się gwałtownie, przejęta odczuciem ulgi, niemal uradowana.

- A co stało się z tą Mulatką, jego metresa? Usunąłeś ją ze swojej nikczemnej historyjki?

- W żadnym razie. Została zaangażowana, by zamknąć ludziom usta i stworzyć pozory. Juliana interesował raczej jej młodszy brat, piętnastoletni, kiedy to się zaczęło. Właśnie ten chłopak stał się przyczyną, dla której ty pojawiłaś się na scenie jako panna młoda.

- Nie rozumiem...

- Pewnie, że nie rozumiesz. Chłopiec po kilku latach popełnił samobójstwo. Biedny dzieciak nie mógł znieść myśli, kim się stał. Kogo z niego zrobił taki bogaty człowiek jak Julian. To się zdarza. Ale perspektywa skandalu ponownie przestraszyła panią Declouet, toteż czym prędzej zaczęła szukać mu żony. Jej zamiarem było ukrócenie plotkarskich języków, chociaż liczyła również i na to, że może Julian się zmieni, ustatkuje. Może nawet on sam tak myślał, nie wiem. Ale nie udało się, prawda?

Nie udało się. Amelia w oszołomieniu zaczęła sobie przypominać te noce, kiedy Julian przychodził do niej, jego delikatność, tkliwość, sposób, w jaki płakał nad swym niepowodzeniem, leżąc bez ruchu i dusząc całą rozpacz w sobie. Gdyby tylko wiedziała, starałaby się mu pomóc. Dostrzegała jedynie cząstkę jego udręki. Ileż więcej musiał znosić, wiedząc, że jest inny niż mężczyźni, którzy go otaczali; podejrzewając brak tolerancji z ich strony, gdyby to się wydało. Jakże się starał, by podtrzymywał swój wizerunek mężczyzny silnego, sprawnego, potrafiącego biegle posługiwać się bronią! Żył przecież w społeczności, gdzie liczyły się cechy męskie, gdzie ceniono wyłącznie odwagę, honor i powodzenie u kobiet. W dodatku próbował uchodzić za władczygo i zazdrosnego małżonka. Jak wiele musiało go to wszystko kosztować!

I gdzie się teraz znajdował? Czy zdecydował, że gra nie jest już dłużej warta świeczki? Czy usunął się, aby nie stawać do walki ze swoim kuzynem o kobietę i rozstrzygnięcie sytuacji, która nie miała dla niego żadnego znaczenia? A może wybrał najbardziej radykalny sposób, by położyć kres swemu cierpieniu?

Skrzypnęło krzesło. To Patryk dzwignął się z niego, wyprostował. Ruszył dookoła stołu w jej stronę.

- Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca. Co to za różnica? Mówi się w czworakach, że już i tak znalazłaś sobie mężczyznę. Wiele razy leżałem rozbudzony w nocy, rozmyślając o tym, co powiedziałaś: że przestałaś już być dziewicą w małżeństwie. Prawie byłem pewny, że to nie Julian przyczynił się do tego; a po krótkim dochodzeniu chyba już domyślałem się sprawy. W porządku, w końcu nie z mojego dzbana wylała się woda.

- Dziękuję za wyrozumiałość - rzuciła lodowato i odwróciła się w kierunku drzwi, przy których czekał na nią przestraszony Isa.

Patryk wyciągnął rękę i zacisnął palce na jej ramieniu.

- Nie tak szybko. Mamy jeszcze do pogadania.

- Puść mnie! - powiedziała, próbując uwolnić się z mocnego uścisku.

Przytrzymał ją silniej obiema dłońmi, uśmiechając się przy tym z takim przekonaniem o swojej przewadze fizycznej i własnej atrakcyjności, że zacisnęła zęby.

- Pewnie, pewnie, ale stań spokojnie i wysłuchaj mnie. Jak już powiedziałem, wiele nocy myślałem o tobie, o tobie wdychającej pode mną. Zrobisz to, będziesz dla mnie miła, a ja zapomnę, co wiem o twoim mężu.

Ręce jej drżały, gotowe w każdej chwili uderzyć go w twarz. Nie stała dostatecznie pewnie, by to uczynić z odpowiednią siłą. Jednakże ton jej głosu pełny był tłumionej wściekłości.

- Nie należę do kobiet rozwiązłych, nie jestem też głupia. Jeżeli usłyszę chociaż jedno słowo godzące w dobre imię Juliana, zostaniesz zwolniony bez zwłoki. Ostrzegam.

- Już raz próbowałaś tego dokonać.

- Tamtego dnia powstrzymał mnie Julian, ale dzisiaj go nie ma. Pani Declouet jest chora i mnie obarczyła odpowiedzialnością za prowadzenie spraw plantacji. Jestem przekonana, że robotnicy posłuchają mnie, kiedy każę im wynieść ciebie wraz z dobytkiem poza obręb posiadłości. Co więcej, wiesz, że w razie potrzeby wesprze mnie Robert Farnum. Jeżeli rzeczywiście lubisz swoją pracę, nigdy mnie już nie dotkniesz, lecz będziesz traktował z szacunkiem należnym twojej własnej matce. Życzę dobrego dnia, Dye!

Stał nieruchomo, kiedy wyszła na galerię i z podniesioną głową oraz płonącymi policzkami szybko ruszyła w stronę schodów. Wspięła się na górę i pozostawiwszy Isę w salonie, zamknęła się w swojej sypialni. Przebywała tam aż do wczesnego popołudnia, gdy do drzwi zapukał Isa, aby poinformować o przybyciu gościa.

Przyjechał szeryf Tatum. Ze względu na upał zaprowadzono go na frontową galerię. Poza nim był tam jeszcze tylko Isa, który leżał w półśnie, oparty o ścianę i z nowym szkicownikiem na kolanach.

Szeryf wstał na jej widok. Przyjął podaną mu na powitanie dłoń, odpowiedział na pozdrowienie, podziękował jednak za propozycję podania czegoś do jedzenia albo do picia. Wyjął z kieszeni chustkę i zaczął ostrożnie coś z niej rozwijać.

- Proszę wybaczyć, że osmielam się niepokoić panią - powiedział - ale zaistniała konieczność, by ktoś zechciał to zidentyfikować.

Podał jej, a ona odebrała od niego paski nasiąkniętej wodą skóry. Czerniały i zniszczone, nie należały do tego rodzaju rzeczy, które mężczyzna normalnie wręcza damie. Przyjrzała się im uważnie. Minęła dłuższa chwila, nim dostrzegła złote kółka, a na nich niewyraźny zarys wyrytych liter.

Gwałtownie wciągnęła powietrze do płuc.

Trzymała w rękę zdobioną iniejałami sprzączkę i paski od butów Juliana.

Rozdział XV

- Potrafię je zidentyfikować, szeryfie - wyjaśniła spokojnie, jak gdyby to obojętność mogła odwrócić cios, który musiał na nią spaść. - Należą do mojego męża.
- Tak właśnie myślałem. Przykro mi jest zakomunikować pani, że dzisiaj około południa odnaleźliśmy w Teche ciało pani męża; było zaczepione o gałąź pod powierzchnią wody. Julian Declouet został zabity ciosem w głowę. Zamilkł, jakby chwilą ciszy czcił pamięć zmarłego. Zwilżyła wargi, które nagle stały się suche, i spojrzała panu Tatumowi prosto w oczy.
- Jak długo...
- Kiedy urwała, nie będąc w stanie dokończyć pytania, szeryf odpowiedział mrukliwie:
- Najprawdopodobniej od tamtej nocy, kiedy zniknął.
- Odwróciła się, przeszła kilka kroków i usiadła ciężko na krześle.
- Isa odłożył szkicownik, przesunął się na czworakach, by przykleknąć u jej stóp. Nie odezwał się, tylko położył dłoń na jej kolanie. Pustym wzrokiem popatrzyła na rysunek przedstawiający Roberta z łopata w dłoni podczas oczyszczania jednego z rowów odpływowych na skraju pola w pobliżu domu.
- Odwróciła wzrok i głęboko zaczerpnęła powietrza. Był to już drugi wstrząs tego dnia. Poczula się kompletnie zagubiona.
- Gdzie znajduje się jego ciało?
- W mieście u koronera. Zostanie wydane rodzinie w stosownym czasie, chociaż radzę oszczędzić widoku starszej pani.
- Oczywiście. - Rozdęte ciała ofiar utonięcia zawsze stanowiły straszny widok, przynajmniej tak jej mówiono. Jednakże troska szeryfa odnosiła się nie do niej, wdowy, niedawno jeszcze panny młodej, lecz wyłącznie do matki Juliana. Jak gdyby Amelia, jego zdaniem, była w pewien sposób winna tej śmierci.
- Staramy się prowadzić dochodzenie jak najstaranniej. Sprawa nie jest prosta, wzięwszy pod uwagę upływ czasu między zniknięciem pani męża a odnalezieniem ciała. Pewnie zainteresują panią rezultaty.
- Podniosła swe brązowe, zgaszone teraz oczy na stojącego przed nią mężczyznę.
- Tak, naturalnie.
- Moi ludzie przesłuchali wszystkich stałych klientów tawerny, gdzie ostatnio go widziano. Uzyskali informację, że pani mąż rozmawiał z dwoma marynarzami, którzy wcześniej w ciągu dnia pracowali w Belle Grove. Dowiedzieli się również, że obaj, jakiś czas przedtem i w innym miejscu, wdali się w rozmowę z pewną kobietą w długiej, czarnej pelerynie. Chciałbym wiedzieć, czy jest pani w posiadaniu takiego stroju.
- Obok niej Isa niezgrabnie poderwał się na nogi. Pokuśtykał w kierunku schodów, potem odwrócił się i w pośpiechu zaczął schodzić w dół. Amelia słyszała tupot bosych stóp na dolnej galerii, a potem już tylko widziała, że chłopiec wbiegł na trawnik. Jego zachowanie było dziwne, ale nie miała czasu się nad tym zastanawiać.
- Nie, szeryfie - odparła spokojnie. - Nie mam czarnej peleryny. - Jej peleryna była uszyta z ciemnoszarego materiału, ale nie uważała, że należało o tym wspomnieć.
- Proszę mi wybaczyć tę uwagę, ale nie wydaje się pani przybita wiadomością, którą przyniosłem.
- Spodziewał się, że z rozpaczy będzie lamentować, jęczeć i rwać sobie włosy z głowy? Takie zachowanie nie przystoi damie. Czula w sobie ogromną, rozdzierającą pustkę i ściskanie w gardle, lecz na zewnątrz okazywała spokój.
- To... to dla mnie ogromny wstrząs. Nie mogę jeszcze uwierzyć.
- A może od jakiegoś czasu spodziewała się pani takiej wieści?
- Spojrzała mu prosto w oczy.
- Nie ma pan prawa czynić tego rodzaju insynuacji.
- Być może powinienem był wcześniej wspomnieć, że do moich ludzi dotarły pogłoski łączące osobę pani z kuzynem męża, Robertem Farnumem. Podobno pani była powodem pojedynku, który miał się odbyć między nim a pani mężem. Potwierdza to odmowa złożenia dodatkowych wyjaśnień przez pana Farnuma właśnie na temat pojedynku.
- Spojrzała ponad balustradą w stronę wolno toczących się wód Teche. Po chwili uniosła dłoń w geście wyrażającym bezradność.
- Nic pan nie wie, niczego pan nie rozumie.
- Rozumiem znacznie więcej, niż pani sądzi. Tamtego dnia udała się pani na bal do domu państwa Morneyów w towarzystwie męża, jego matki, jej chrzestnej córki, niejakiego Jerzego Parkmana i pana Farnuma. Wymówiła się pani historyjką o bólu głowy. Opuściła pani salę balową wczesnym wieczorem.
- To wszystko prawda, lecz ja nie zabiłam swojego męża!
- Och, przecież nie mówię, że pani zabiła. Jestem zwolennikiem zasady głoszącej, iż ilekroć jednego z małżonków spotyka nagła, nienaturalna śmierć, tylekroć dokładnie należy przyjrzeć się temu, który pozostał przy życiu. Pozwolę sobie zaprezentować przypuszczalny przebieg wypadków. Otóż, moim zdaniem, pani, wiedząc, jaką przewagę miałyby pani mąż w pojedynku, przestraszyła się o życie kochanka. Zamiast pozostawić rozstrzygnięcie losowi wynajęła pani dwóch marynarzy do zgładzenia męża, następnie opuściła bal u Morneyów,

aby uregulować rachunek za wykonane zadanie. Pani mąż, w końcu przecież silny mężczyzna, rozprawił się z jednym napastnikiem, ale został zdradziecko zamordowany przez drugiego. Dla zatarcia śladów zbrodni oba ciała zepchnięto do rzeki.

Po wysłuchaniu bulwersujących rewelacji Dye'a wiadomość o śmierci Juliana była już wystarczająco wstrząsająca, by nie dodawać do niej absurdałnego oskarżenia. Nie zastanawiała się nad własną obroną; pomyślała jedynie z ulgą o tym, że szeryf nie odkrył tajemnicy Juliana.

- Dosyć tego!

Wypowiedziane podniesionym głosem słowa dobiegły z salonu. Kiedy Amelia odwróciła się, zobaczyła w drzwiach Roberta i Isę. Weszli do budynku od tyłu i przeszli na frontową galerię najkrótszą drogą. Teraz obaj ruszyli do przodu. Robert miał na sobie surdut, rękawy podwinięte do łokci, a czoło zroszone potem po niedawnym wysiłku.

- Miło mi widzieć pana, panie Farnum. Panu również chciałbym zadać kilka pytań.

- Proszę pytać do woli, ale przestać zadrezczać żonę mojego kuzyna.

- Wdowę po pańskim kuzynie.

- Ach, to tak - powiedział cicho. Poblądł nieco na twarzy, ale wyraz jego oczu pozostał surowy.

- Właśnie pytałem tę damę, co robiła tego wieczoru, kiedy odbywał się bal u Morneyów.

- Słyszałem.

- Przeto pewnie pan zrozumie, że pragnąłbym dowiedzieć się, gdzie była i co robiła po wyjściu stamtąd?

W tonie szeryfa kryła się sugestia, że oto dwaj mężczyźni wspólnie omawiają chimeryczne zachowanie zmiennej i prawdopodobnie rozhisteryzowanej kobiety. Robert odciął się od tego zdecydowanym ruchem dłoni. Głosem pozbawionym wyrazu oznajmił:

- Amelia była ze mną.

- Co takiego? - Szeryf wlepił wzrok w Roberta, ściągając brwi.

- Zawiozłem Amelię bezpośrednio do Belle Grove, potem wróciłem po panią Declouet, Chloe i pana Parkmana. Nie miałyby nawet okazji, by zaaranżować śmierć Juliana. Była tu, w domu, kiedy przyjechałem ze wszystkimi, i tu przebywała całą noc.

- Chce pan powiedzieć, że był pan z nią bez przerwy od północy do świtu?

- Właśnie tak. To niemożliwe, by zdołała opuścić dom, pojechać do miasta na spotkanie z marynarzami, jak pan sugerował, i jeszcze powrócić przed moim przybyciem z resztą towarzystwa. Wydaje mi się zatem, że nie ona była ową kobietą w czarnej pelerynie.

Kłamał. Więcej nawet, kłamał, pograżając ich oboje. Naznaczył ją piętnem cudzołożnicy, siebie - wiarołomnego kuzyna i przyjaciela. Doceniała pobudkę, jaka nim powodowała - pragnął ją osłonić - ale czy nie można było zrobić tego w inny sposób? Zresztą martwiła się nie tylko o siebie. Nie ośmielała się nawet myśleć, co dla teściowej będzie oznaczało życie w społeczności, gdy ta informacja z szeptanej plotki przekształci się we wszystkim znany fakt.

Mogłoby się zdawać, że jej myśli miały jakąś czarodziejską moc, bo przy drzwiach prowadzących z salonu na galerię coś się poruszyło. Stała w nich Pani Declouet, zaciskając dłoń na framudze. Mężczyźni nie zauważyli jej, gdyż zbyt pochłaniała ich słowna utarczka.

- Może to, co pan przed chwilą zrobił, inni uznaliby za chwalebne, panie Farnum - oświadczył ponuro szeryf - ale nie ja. Pan również nie jest poza podejrzeniami. Wprawdzie miał pan okazję i wyznaczoną porę pozbycia się kuzyna tak zwanymi honorowymi środkami, ale to nie zwolni pana od odpowiedzialności za współudział w zamordowaniu Juliana Decloueta.

- Zamordowany?! - krzyknęła starsza pani, postępując krok do przodu na chwiejnych nogach. - Mój syn zamordowany? Tylko nie to, nie, nie! Nie Julian!

Robert cicho wyrzucił z siebie jakieś przekleństwo, odwrócił się, jednym skokiem znalazł przy ciotce i pochwycił ją w ramiona. Uniosła wzrok ku jego twarzy. Jej usta przybrały pergaminową barwę policzków, oczy znieruchomiały, dłonie drżały, gdy je podnosiła na jego ramiona.

- Nieprawda - szepnęła. - To nie mogło się stać. Powiedz, że to nieprawda.

- Ciociu Zofio - powiedział głosem przepelnionym bólem.

- Powiedz! - W głęboko osadzonych, ciemnych oczach pojawił się błysk szaleństwa.

- Znaleźli go w rzece. Mają skórzane paski i sprzączkę z inicjałami od jego butów.

- Nie, nie... och, nie!

- Niestety, to prawda. - Odwrócił się i sięgnął po wilgotne kawałki skóry.

Pani Declouet potoczyła dookoła nieprzytomnym wzrokiem, jej rysy wykrzywiła udręka i rozpacz.

- Och, Robercie - szepnęła.

- To prawda.

Oczy miała zamknięte, gdy z jej piersi wyrwał się jęk:

- Mój syn, mój ukochany syn...

Robert podtrzymał ją i po chwili podniosła powieki.

- Czy ja dobrze zrozumiałam? Uważają, że ty zabiłeś Juliana... i Amelia? - Łzy wezbrały w jej oczach, a potem spłynęły w zagłębienia oczodołów i sieć delikatnych zmarszczek na twarzy.

- Nie. To jedynie ich przypuszczenia - stwierdził spokojnie, kołyszając ją delikatnie w ramionach.

- Wstyd, skandal - powiedziała cicho z wykrzywioną twarzą. Wydawało się, jakby nie usłyszała jego słów. Nagle zeszytniała, jej dłoń powędrowała do serca. Wydała z siebie cichy okrzyk bólu, przerażenia i żalu, po czym osunęła się bezwładnie.

Wszystkie zegary w Belle Grove zatrzymano, lustra odwrócono do ścian. Ze skrzyń oraz szaf powyciągano czarne ubrania. Mieli je wszyscy Kreole; nie bez powodu mówiło się o nich, że przywdziewają żałobę nawet po śmierci ulubionego kota. Z poddasza zniesiono długie wstęgi czarnej krepy, które zachowano na wszelki wypadek po śmierci ojca Juliana. Po przewietrzeniu na galeriach zostały zawieszono w oknach. Flagi z czerni, udrapowanej w letnim słońcu na balustradach, stanowiły sygnał dla każdego przechodnia lub podróżnego, że ktoś z tego domu wyszedł na spotkanie śmierci. Potem rozpoczęły się wizyty kondolencyjne.

Amelia była tak bardzo zajęta pielęgnowaniem teściowej, że rzadko widziała, kto przyjechał, kto zostawił kondolencje na piśmie lub kto zdecydował się zostać na filiżankę kawy, kieliszek pomarańczówki albo czegoś mocniejszego. Na Chloe spadł obowiązek reprezentowania całej rodziny: w zaciemnionym salonie odpowiadała na słowa współczucia, udzielała wymijających odpowiedzi na zbyt natręcyjne pytania, informowała o stanie zdrowia pani Declouet. Także ona dopilnowała, by w mieście porozwieszano klepsydry, aby powysyłano zaproszenia na ceremonię pogrzebową oraz aby otrzymali zawiadomienia ci spośród krewnych, którzy mieszkali zbyt daleko i nie mogli uczestniczyć w obrzędzie.

Ciotki, wujowie, kuzyni i kuzynki mieszkający w promieniu do czterdziestu pięciu kilometrów zaczęli się gromadzić na czas czuwania. Ponieważ musieli przenocować, na poddaszu i w *garçonnières* szybko zabrakło miejsca. Wkrótce na ich potrzeby przystosowano pokój Juliana, a następnie porozkładano dodatkowe materace we wszystkich sypialniach prócz sypialni starszej pani. Izby w czworakach również były wypełnione do granic możliwości liczną służbą, przybyłą wraz z państwem do obsługi i opieki nad jak zwykle zbyt żywymi dziećmi.

Ustawicznie nadjeżdżały i odjeżdżały powozy, tak więc nad drogą wisiały chmury kurzu, spowijając szarością ciemnozielone liście dębów. Ludzie starali się rozmawiać przyciszonymi głosami stosownie do obyczaju panującego w domach żałobnych, lecz mimo wszystko zdarzały się krzyki i nawoływania dzieci, służby na zewnątrz budynku, i tych niewielu, którzy czasem się zapomnieli. Nie mniej dokuczliwy był odgłos schodzenia i wchodzenia po schodach oraz szmer rozmów w salonie, przypominający bzyczenie natrętnych much.

Służba Belle Grove, wspomagana sporą grupą mężczyzn i kobiet z czworaków, miała kłopoty, żeby nadażyć z odbieraniem, przenoszeniem i przygotowywaniem pod kierunkiem Marty nadzwyczajnych ilości jedzenia, które opuszczały kuchnię. Amelię zaczynało irytować ciągłe wyczekiwanie na wykonanie tych niewielu poleceń wydawanych przez nią dla zapewnienia wygody teściowej. Coraz częściej znajdowała ulgę w myśli, że z powodu upału i znacznego upływu czasu do chwili odnalezienia ciała nie można było zwlekać z pogrzebem.

W powietrzu unosił się zapach śmierci: woń starej krepy i tytoniu, używanego dla odstraszania moli, zapach kwiatów, ogromnej ilości róż, stokrotek i gałązek jaśminu, poumieszczanych w wazonach dookoła trumny z cedrowego drewna; i, niestety, fetor dochodzący z rozkładającego się ciała w przejściu pomiędzy pokojem stołowym a dolną galerią. Wyczuwało się także powiew skandalu, tropionego chciwie w kątach za plecami służby.

W przeddzień pogrzebu wieczorem Amelia siedziała przy starszej pani, przyglądając się drobnej sylwetce zarysowanej pod prześcieradłem i otoczonej przejrzystą moskitierą, kiedy usłyszała przy drzwiach jakiś hałas. Podniosła wzrok i zobaczyła, że stare przyjaciółki pani Declouet, siostry Oudry, zaglądają do środka przez lekko uchylone drzwi. Sądząc, iż chcą odwiedzić chorą, zachęciła je skinieniem głowy do wejścia. Starsze kobiety zeszytniały, jakby je ktoś uraził, i czym prędzej się wycofały. Jedywn wniosek, jaki się Amelii narzucał, był taki, że ona właśnie stała się przyczyną owego osobliwego zachowania.

W tych trudnych chwilach siły dodawał jej Robert, chociaż nigdy nie znalazła się z nim na osobności i w ogóle rzadko rozmawiali. Krążył ustawicznie po domu, pełniąc rolę gospodarza. Był spokojny i opanowany, samym zachowaniem zniechęcając innych do mówienia otwarcie tego, o czym szeptało się potajemnie, i tym samym nie dopuszczając, by hańba okryła dom, w którym mieli schronienie. Często odwiedzał ciotkę, ale tylko wtedy, gdy Amelia odpoczywała. O zdrowie starszej pani pytał przede wszystkim często przyjeżdżającego do Belle Grove doktora.

Medyk, siwowłosy, tęgi mężczyzna o szorstkim usposobieniu, był zdania, że pani Declouet ucierpiała od wylewu krwi do mózgu. Twierdził, iż z czasem stan Jej zdrowia będzie się poprawiał, ale utraciła władzę w lewej ręce i miała paraliż lewej strony twarzy, który objawiał się zakłóceniem mowy. Istniała pewna szansa, że paraliż się cofnie, ale równie dobrze mogło to nigdy nie nastąpić. Ową szansę dostrzegał w odpowiednim nastawieniu i woli pacjentki oraz opiece nad nią.

Amelia z wielką troską zajmowała się doглядaniem teściowej. Żywiła dla niej szczere uczucie. Pamiętała, co starsza pani uczyniła, ale w jej machinacjach nie dostrzegała złej woli. Wprawdzie przeciwko niej przemawiał argument, że w całej sprawie niewiele dbała o uczucia Amelii, lecz usprawiedliwiały ją okoliczności. Jeżeli

kochała syna ponad miarę, to pewnie w takim samym stopniu cierpiała, bolejąc nad jego ułomnością.

Poza tym Amelia znajdowała w pokoju chorej schronienie. Była zadowolona, iż ma zajęcie, które daje jej okazję do unikania obecności zgromadzonych członków rodziny. Mogła też odsunąć niepokojące myśli i uczucia w najdalszy zakątek umysłu, dodając sobie sił i energii wykonywaniem bieżących obowiązków. Nigdy nie odczuła tego bardziej niż w dniu pogrzebu.

W kreolskiej społeczności Luizjany panował obyczaj, że kobiety nie uczestniczyły w pogrzebach, choć dopuszczano ich obecność na mszach za dusze zmarłych. Mogły rodzić, pławiąc się we krwi, pielęgnować nie panujących nad funkcjami organizmu starców w ostatnich dniach ich życia, przyglądać się z bliska rozkładowi ciała, powodowanego przecież przez większość chorób, a potem jeszcze usuwać produkty tego rozkładu. Uchodziły jednak za zbyt delikatne, aby znieść widok swoich bliskich opuszczanych w trumnach do grobów. Obyczaj był niezrozumiały, ale mimo wszystko czegoś kobietom oszczędzał. Amelia i za to była wdzięczna losowi, kiedy obserwowała, jak karawan o przeszklonych bokach, z czarnymi piórami kołyszącymi się przy wszystkich bogato zdobionych narożnikach, toczy się po drodze, ciągnięty przez czwórkę koni z takimi samymi pióropuszcami przy uzdach. Pożegnała się z Julianem wczesnym rankiem i nie chciała tego przedłużyć.

W tym czasie, kiedy prócz kilku osób, które czuwały, wszyscy jeszcze spali, zesłała na dół i przyklękła przy trumnie. Modliła się o wieczny spokój duszy Juliana i płakała. Miała go przed oczyma takim, jaki był, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy - poważny, przystojny, uprzejmy. Wróciła pamięcią do przyjemnych chwil spędzonych z nim w Nowym Orleanie, zwłaszcza wówczas, gdy pomagał jej uzupełniać garderobę. Wspominała też jego troskliwość podczas podróży poślubnej i dumę, kiedy w Belle Grove po raz pierwszy usiedli przy stole na honorowych miejscach.

Pamiętała spokojny tembr jego głosu, gdy czytał swe ulubione poezje, i wspaniałość przedstawień zaaranżowanych przez niego. Zamiast o gwałtownej awanturze po jej powrocie z The Willows wołała myśleć o subtelności, z jaką ją później przeprosił. Starła się nie rozpamiętywać oskarżeń wysuniętych pod jego adresem przez Patryka Dye'a.

Ale one uparcie drażniły jej umysł.

Jeśli odpowiadały prawdzie, tajemnica Juliana była początkiem wszystkiego: małżeństwa, cudzołóstwa, wyzwania na pojedynek i najprawdopodobniej jego śmierci. Z tego samego powodu zbliżyła się do Roberta, a potem zakochała w nim. Teraz zaś bała się o niego.

Robert skłamał.

Nie spędził z nią nocy po balu u Morneyów. Zażyła wówczas kilka kropel laudanum na ból głowy i położyła się do łóżka, kładąc sobie na czoło chustkę nasączoną wodą kolońską. Była przekonana, iż przenocował w *garçonnière*. Równie dobrze mogło być inaczej, ale Pozostawało faktem, iż ona spała sama.

Dreczyło ją pytanie o cel tego kłamstwa. Robert pragnął osłonić ją czy też siebie?

A może Robert udał się na spotkanie z Julianem, aby porozmawiać na temat pojedyнку, zdenerwował się, nawet wystraszył, ponieważ przeciwnik miał nad nim przewagę w umiejętności posługiwania się pistoletem, i zabił go? Czy rano poszedł na umówione miejsce, wiedząc, że jemu samemu nie grozi już żadne niebezpieczeństwo?

Jakże miałyby w to uwierzyć? Na korzyść Roberta przemawiało wiele: sposób, w jaki zareagował na nieobecność Juliana; wysiłek, jaki włożył w jego odnalezienie; ustawiczne nalegania, aby zawiadomić szeryfa; tropienie wszystkich śladów, choćby tego, który ich oboje zawiódł do Nowego Orleanu. A przy tym wielokrotnie odnosiła wrażenie, że wie więcej, niż pragnie wyjawic. Bez wątpienia sekret Juliana był tego częścią. Nadal jednak pozostawała niepewność.

Jednocześnie zaobserwowała, że ostatnio Robert traktował ją chłodno. Jeśli nawet jej nie unikał, to rozmawiał z nią raczej zdawkowo. W ich obecnej sytuacji musieli zachowywać się wyjątkowo stosownie, lecz takie postępowanie w żadnym razie nie pasowało do żarliwego kochanka, za jakiego wcześniej go uważała. Czyż nie mogło być i tak, że wprawdzie bronił jej i skłamał dla niej, ale zarazem nie miał pewności, czy aby to nie ona była tamtą kobietą w długiej pelerynie? Nie umiała znaleźć żadnego innego wytłumaczenia.

Ktoś lekko zapukał do drzwi. Amelia rzuciła okiem na panią Declouet, pogrążoną w spokojnym śnie. Nie chcąc jej budzić, wstała i podeszła, by je otworzyć. Tuż za progiem stała Chloe, jej ruchliwe, czarne oczy płonęły. Z palcem przytkniętym do ust poprosiła Amelię o przejście z nią do salonu. Uśmiechnąwszy się blade, Amelia posłuchała.

- Nigdy byś nie zgadła, co się wydarzyło - zaczęła dziewczyna.

- Nie, powiedz mi.

- Jerzy zgodził się, byśmy pobrali się bez zwłoki! Podkreśliłam jedynie, że ponieważ zamieszani jesteśmy w ten okropny skandal, nie może już teraz powiedzieć, iż jestem dla niego niedostępna. Rozumiesz, on przecież potrzebował odrobiny zachęty.

- Wspaniale! Cieszę się razem z tobą.

- O, tak. Jestem szczęśliwa. Gdyby Julian żył, w końcu także nie odmówiłby swego pozwolenia, ale ponieważ nie żyje, to w ogóle nie ma już żadnej przeszkody.

- Chloe!

- Och, przepraszam! Wierz mi, nie chciałam tego powiedzieć. Ale nie wyobrażasz sobie, jak boleśnie to odczuwałam, że stał mi na przeszkodzie. Nie chciał ze mnie uczynić swojej narzeczonej ani też nie chciał oddać mnie żadnemu innemu mężczyźnie. I to wszystko przez dumę, przez głupią dumę.

- On chciał, abyś była pewna swego wyboru.

- Jestem pewna! Jerzy i ja zostaniemy małżeństwem tak prędko, jak to tylko będzie możliwe.

Amelia położyła rękę na ramieniu dziewczyny.

- Rozumiem, co czujesz, lecz teraz jesteśmy pogrążeni w żałobie. Musicie poczekać.

- Dlaczego? Julian nie jest nawet moim krewnym.

- Zawsze byłaś traktowana raczej jak jego siostra, a nie wyłącznie jako chrzestna córka *M'mere* - zauważyła Amelia możliwie najdelikatniej. - Powinnaś czuć się odrobinę związana z rodziną i nie dawać innym tematów do plotek.

- Doprawdy? Amelio, gdyby ludzie uważali mnie za siostrę Juliana, perspektywa naszego małżeństwa wywołałaby znacznie większe poruszenie niż obecnie twój zamiar poślubienia Jerzego. Poza tym ty nie należysz do osób, które mogą pouczać mnie, jak mam postępować.

Amelia spojrzała na nią przygastymi oczyma.

- Pragnę jedynie ostrzec cię przed popełnieniem jakiegoś błędu.

Twarz Chloe wykrzywił płaczliwy grymas.

- Ach, wybacz mi! - zawołała, obejmując Amelię rękoma. - Sama nie wiem, dlaczego to powiedziałam! Przecież ja w to nie wierzę, tak samo jak nie wierzę w te wszystkie plotki i pomówienia. Ludzie ciągle mówią takie ohydne rzeczy i nie troszczą się wcale o to, że mogą kogoś boleśnie zranić.

Amelia zniosła atak Chloe zupełnie dobrze, a teraz rozbroił ją jeszcze ufnym wyrazem twarzy dziewczyny.

- Już dobrze. Rozumiem.

- Jesteś pewna? - Chloe cofnęła się o krok. - To wszystko było takie straszne, śmierć Juliana, choroba *M'mere* i te stare kwoki ostrzegające mnie przed tobą. Czasem mam wrażenie, że już nic nie jest takie samo, z wyjątkiem Jerzego. Chciałabym stąd uciec, po prostu uciec dokądkolwiek i nigdy nie wrócić.

Chloe wyrażała głośno te same odczucia, które Amelia przetrwała w duchu w przeciągu ostatnich dni. Badanie okoliczności zamordowania Juliana utkwilo w martwym punkcie. Nie natrafiono na żaden nowy ślad, który rzuciłby więcej światła na przebieg wypadków podczas tej ostatniej nocy w jego życiu. Tymczasem w lokalnej społeczności wzmagano się przekonanie, że Amelia miała jakiś udział w tej sprawie. Zdania były podzielone mniej więcej po połowie. Jedni uważali, że Amelia działała samodzielnie, inni natomiast wyrażali przekonanie, iż Robert jest zarówno współsprawcą morderstwa, jak i jej kochankiem. Kilka razy szeryf przyjeżdżał zadawać jej pytania, ale zawsze wracał rozczarowany.

Stan zdrowia pani Declouet stopniowo się poprawiał. Starsza dama siadała w łóżku i zaczynała jeść, ale nie próbowała mówić. W końcu po jakimś tygodniu nadszedł dzień, kiedy już nie potrzebowała stałej opieki. Amelia mimo wszystko przesiedziała u niej cały ranek, kończąc czytanie książki pod tytułem „Jane Eyre”, którą rozpoczęła przed dwoma dniami. Kiedy po lekkiej drzemce starsza pani zapadła w głęboki sen, Amelia poszła do swojego pokoju. Założyła kapelusz z czarną woalką i posłała Isę do stajni z poleceniem, aby powóz zjechał przed frontowe drzwi.

Czekała na dolnej galerii, kiedy pojawił się pojazd. Właśnie ruszyła w tamtą stronę, wciągając rękawiczki, gdy na zewnątrz wyszedł Karol. Sprawiał wrażenie, jakby chciał się dowiedzieć, dokąd zamierza jechać, lecz ostatecznie zapytał, na którą godzinę zaplanowała powrót.

- Nie wiem dokładnie, wrócę za kilka godzin - odpowiedziała, wygładzając zmarszczki na powierzchni rękawiczek z cielej skóry.

- Gdyby chodziło o jakieś zakupy, *mam'zelle*, może Lally okazałaby się pomocna.

Najwidoczniej obawiał się, z jakim przyjęciem spotka się w mieście. Ujęła ją okazana przez Starego służącego troska.

- Nie jadę po zakupy.

- Czy wobec tego zabrała pani ze sobą wizytówki?

Nim ruszyła w swoją stronę, uśmiechnęła się i potrząsnęła głową.

- Nie będą mi potrzebne.

Ucieszyła się, że zdołała wyjechać nie czyniąc przy tym większego zamieszania. W innych okolicznościach musiałaby jakoś ułagodzić Isę. Na szczęście chłopiec podczas choroby pani Declouet odzwyczaił się od nagłego przebywania w pobliżu Amelii. Nie wolno mu było wchodzić do pokoju chorej, a siedzenie pod drzwiami znudziło mu się. Kiedy w posiadłości przebywał Robert, wtedy Isa chodził w ślad za nim, ale gdy go nie było, chłopiec bawił się z innymi dziećmi, które zaakceptowały go jako kogoś, kto ma specjalną pozycję wśród służby.

Amelia poleciła woźnicy jechać do St. Martinville, po czym opadła na siedzenie obite szarym aksamitem. Zamierzała zrobić coś szalonego i prawdopodobnie zupełnie niepotrzebnego, ale nie mogła wciąż siedzieć beczynnie i rozmyślać o śmierci Juliana, pozwalając, by bez litości rzucono na nią oszczerstwa.

Dama w czarnej pelerynie. Była to postać, o której Amelia obsesyjnie myślała i która zdawała się kluczem do

rozwiązania zagadki. Większość okolicznych mieszkańców najwyraźniej zadowalała się myślą, że to Amelia była ową damą. I jedynie ona sama wiedziała na pewno, iż prawda jest inna.

Kim była tamta kobieta? Najbardziej prawdopodobna odpowiedź mogłaby brzmieć, że damą wieczornych uciech, osobą niewinną, jeśli tak można zaszeregować kogoś tego pokroju. Inne możliwości wydawały się mniej prawdopodobne.

Mogłaby nią być Chloe. Dziewczyna nie cierpiała Juliana, a przynajmniej tak utrzymywała, i była bardzo rozczarowana, że ten nie chciał wyrazić zgody na jej małżeństwo. Chloe miała chwiejne i chimeryczne usposobienie, ale kto wie, czy w przypiływie gwałtownej złości nie zdobyłaby się na wynajęcie mężczyzn, by zgładzili człowieka, który stał na drodze do jej szczęścia.

Wreszcie nie musiała to być wcale kobieta, lecz mężczyzna w pelerynie. Niektórzy nosili przecież płaszcze z kapturem, które przypominały arabskie burnusy. W takim płaszczu mężczyzna mógłby uchodzić za kobietę. Może zatem ktoś o podobnych do Juliana skłonnościach zapłacił za pozbycie się go?

Wszelako istniał ktoś znacznie bardziej podejrzany. Mulatka, którą Julian otaczał opieką, miała kilka powodów, aby życzyć mu śmierci. Odprawił ją tuż przed swoim ślubem po latach, gdy mogła już nabrać pewności, że zawsze będzie się nią opiekował. Ignorował ją wybierając jej młodszego brata, co chyba tylko niewiele kobiet potrafiłoby zrozumieć, a jeszcze mniej wybaczyć. Co więcej, spowodował samobójczą śmierć chłopca. Żal tej kobiety do Juliana Decloueta był bez wątpienia ogromny.

Amelia właściwie nie pamiętała dokładnie, kiedy w jej umyśle zrodził się pomysł odwiedzenia ciemnoskórej piękności. Po prostu któregoś ranka odniosła wrażenie, że wersji z udziałem Mulatki nikt nie bierze pod uwagę. Amelia знаła ten typ kobiet z czworaków i nie patrzyła na nie w taki sposób. Uważała je za natury niespokojne, osoby serdeczne i dobre w głębi serca, ale skłonne do szybkiego wpadania w gniew, dumne ze swej mieszanej krwi i szczególnych względów, jakimi właśnie z uwagi na to je obdarzano, przy tym gotowe bronić się przed zniewagami. Co do kobiety, która korzystała z opieki Juliana, Amelia liczyła się z tym, że niczego się od niej nie dowie. Uznała wszakże, iż nie zaszkodzi spróbować.

Wreszcie dotarła do tego spokojnego, z pozoru zamkniętego na głucho domu z werandą i zewnętrznymi schodami na poddasze. Na chwilę została jeszcze w powozie, wspominając dzień, kiedy przejeżdżała tędy w towarzystwie Chloe. Dostrzegając w tym coś w rodzaju przeznaczenia albo może tylko wołała tak myśleć, żeby usprawiedliwić swoją decyzję. Kątem oka złowiła Poruszenie zasłony w jednym z okien. W tym samym momencie chłopiec stojący przy całym czasie jechał przy woźnicy, otworzył drzwiczki powozu i nie pozostawało jej nic innego, jak wysiąść.

Na jej pukanie frontowe drzwi z białego cyprysu ledwie się uchyliły. Ze środka dobiegi beztroski, trochę urywany głos.

- Słucham, pani szuka...?

- Chciałabym porozmawiać z właścicielką tego domu. - Amelia z satysfakcją stwierdziła, że jej własny głos brzmi zdecydowanie.

- Proszę?

- To ty właśnie?

- Tak, *mam'zelle*.

- Jak ci na imię?

- Violet.

- Pozwolisz, Violet, że wejdę do środka?

- Kim pani jest? - Teraz głos dziewczyny wyraźnie zdrzał ze zdenerwowania. Trudno się było temu dziwić.

- Amelia Peschier-Declouet, żona Juliana. Pragnęłabym porozmawiać z tobą o moim mężu.

Wewnątrz rozległo się gwałtowne westchnienie, po czym drzwi zatrzasnęły się. Amelia zdążyła szarpnąć za klamkę i pchnąć je, nim z drugiej strony ktoś zdążyłby przekreślić klucz bądź założyć zasuwę. Dziewczyna cofnęła się. Szeroko otworzyła oczy, rzuciła przestraszonym wzrokiem w stronę drzwi do sypialni - jednego z dwóch pomieszczeń jej małego domu.

Dawna *placée* Juliana nie była mocno zbudowana, lecz miała zgrabną sylwetkę złożoną z kształtnych krągłości. Włosy, zaczesane do tyłu, zdobił kordonkowy koszynek. Nieco różu na policzkach przykrywało cerę koloru kawy z mlekiem. Jej dłonie o długich palcach były starannie wypielęgnowane, szczególnie paznokcie w kształcie migdałów. Miała na sobie sukienkę z muślinu w żółte stokrotki na niebieskim tle, ale, najwidoczniej z powodu upału, nie używała stelaża i włożyła najwyżej jedną halkę. Wyglądała na lat dwadzieścia, zatem prawdopodobnie nie miała ich więcej niż szesnaście, kiedy została dla pozorów metresą Juliana, lecz nadal jej twarz zachowała dziecienny wygląd.

Panowała głucha cisza, gdy obie bez słowa wpatrywały się w siebie. W końcu odezwała się Amelia:

- Wybacz, że cię niepokoję, ale naprawdę muszę porozmawiać z tobą na temat śmierci mojego męża.

Oczy dziewczyny zrobiły się jeszcze większe, cofnęła się kilka kroków.

- Niczego nie wiem. Przysięgam!

- Nie wierzę ci. Jakaś kobieta rozmawiała z dwoma podejrzanyymi mężczyznami. Przypuszczam, że to byłaś ty.

- Nieprawda! Och, nie!
- Dlaczegoż by nie? Na pewno życzyłaś mu śmierci z wielu rozmaitych powodów.
- Nigdy, przenigdy. Och, proszę... - Znowu zerknęła w kierunku lekko uchylonych drzwi.
Amelię ogarnął niepokój. Dziewczyna zachowywała się nienaturalnie. Była wyraźnie przestraszona, i to nie tylko z powodu jej obecności.

- Czy jest tam ktoś u ciebie?
- Proszę, *mam'zelle*, niech już pani idzie. Nic nie mogę powiedzieć.
Byłoby roztropnie przyjąć tę sugestię, zapomnieć o szalonym pomysle. Mulatka nie mogła być winna - okazała się zbyt młoda i bojaźliwa. Mimo wszystko Amelia nie chciała dać za wygraną. Odetchnęła głęboko.

- Uważam, że powinnaś pojechać ze mną do szeryfa.
- Nie! Proszę, nie!
Drzwi do sypialni otworzyły się szeroko. Amelia gwałtownie odwróciła głowę, spodziewając się ujrzyć kogoś tej samej rasy co dziewczyna. Lecz mężczyzna, który wyszedł z sąsiedniego pokoju, był biały. Chwycił Violet, przyciągnął ją do siebie, otoczył ramieniem i dłoń zamknął na jej dorodnej piersi.
- Nie sądzę, aby ta mała gołąbeczka chciała opuszczać swoje gniazdko - powiedział Patryk Dye.

Rozdział XVI

- Co tutaj robisz? - Głos Amelii zabrzmiał gniewnie.
- O to samo mógłbym zapytać ciebie... w dodatku, jak widzę, wybrałaś się bez towarzystwa. - Nadzorca ścisnął rękę dziewczyny i z uśmiechem patrzył prosto w oczy Amelii, jak gdyby jej zmieszanie sprawiało mu dużą przyjemność.

- Dokąd się udaję i w jakim celu, to nie twoja sprawa. A jednocześnie...
- Jednocześnie mam nie zapominać, że mnie zatrudniasz, prawda? Odpowiadam przed Farnumem jako administratorem majątku, nie zaś osobiście przed tobą, *mam'zelle*.

Przypuszczalnie miał rację. Nie pomyślała o tym, ale według wszelkiego prawdopodobieństwa Patryk dobrze wiedział, co mówi. Zapewne należał do tego typu mężczyzn, którzy nie lubią być poddani władzy kobiet. Nie pozwalała im na to absurdalna męska duma.

- Nie widzę żadnej różnicy.
- Zatem jesteś w błędzie. Może sama niewiele dbasz o honor rodziny, ale nasz Robert ceni tego rodzaju wartości. Tak samo niechętnie będzie chciał mnie zwolnić jak twój nieodżałowany mąż. I to nie bacząc na swoje przekonania.

Amelia spojrzała na niego hardo.
- Nie byłabym taka pewna.
- Ja jestem.
- Domyślam się powodu ich wyrozumiałości.
- Spodziewam się. Jesteś pojętną dziewczyną.
- Ty zaś jesteś szantażystą.
- Bardzo to przedsiębiorcze z mojej strony, nieprawdaż?
- Nie to miałam na myśli.
- A teraz? - Patryk uwolnił Violet. Pchnął dziewczynę, aż ta zatoczyła się, pisnęła z przestachu i opadła bezwładnie na stojącą pod ścianą, wyblakłą sofę. Dłonią przysłoniła oczy, jakby chciała oszczędzić sobie widoku Patryka zbliżającego się wolno do Amelii.

Amelia nie ruszyła się z miejsca, mimo że instynkt nakazywał jej wycofać się.
- Wołałabym powiedzieć: perfidne, podstępne, zdradzieckie.
- Być może znasz się na ludzkich charakterach, ale widocznie zawodzi cię rozsądek, skoro przyszłaś tutaj samotnie. Czego chciałaś się dowiedzieć?

W rękę trzymała parasol, który podniosła tak, że czubek dotykał piersi mężczyzny.
- Na początek: kto był tamtą kobietą w czarnej pelerynie?
Roześmiał się, chwycił za parasol i odepchnął go na bok.
- Ach, to.
- Dlaczego mówisz o tym w ten sposób? - Cofnęła się i jeszcze raz uniosła parasol.
- Szeryf Tatum zrobił z niej wielce tajemniczą postać, podczas gdy chodzi tylko o zwykłą ladacnicę, która próbowała zwrócić uwagę na swój towar. Jeśli byłaby cokolwiek podobna do ciebie, sprawy mogły przybrać całkowicie odmienny obrót.

- Co takiego?
- Ci dwaj marynarze byliby wówczas zaniepokojeni zdjęciem czarnej peleryny, aby zawracać sobie głowę jakimś tam Julianem Declouetem, to znaczy, aby mieć jakikolwiek związek z faktem odnalezienia w strumieniu jego ciała.

- Więc twoim zdaniem to nie oni? - Celowo przez cały czas podczas rozmowy napierał, jakby chciał dać się przebić końcem parasola. Coraz więcej wysiłku musiała włożyć w to, aby utrzymać zaciśniętą dłoń na drewnianej

rączce.

Wzruszył ramionami, rozłożył szeroko ręce.

- Nie wiem, ale nie widzę powodu, by łączyć te dwa fakty - odkrycie w rzece unoszących się do góry brzuchem zwłok jakiegoś tam marynarza i zabójstwo Juliana.

- St. Martinville jest małym miastem. Trudno sobie wyobrazić, aby tego typu zdarzenia nie miały ze sobą związku.

- Mogły mieć związek. Ja tylko mówię, że nie musiały. - Sięgnął ponad parasolem i pochwycił ją za ramię.

Miał rację, choć godziła się z tym niechętnie. Szarpnięciem uwolniła się z uścisku.

- Będę wdzięczna, jeżeli będziesz trzymał ręce z daleka ode mnie. Zdaje się, że tutaj zająłeś już miejsce Juliana, i tyle powinno ci wystarczyć.

- Miejsce Juliana? - zapytał, a w jego głosie silniej zaznaczył się twardy irlandzki akcent. - Zdaje mi się, iż wspominałem ci już, że Julian nie znajdował upodobania w kobietach. Violet należy do mnie. Nikt jej nie miał przede mną i nikt jej jeszcze nie miał po mnie. Co wcale nie znaczy, że nie mam czasem ochoty na niewielką odmianę.

- Jestem zdziwiona, że możesz sobie pozwolić na utrzymywanie tej Mulatki. A może była ona częścią zapłaty za milczenie?

- Masz rzeczywiście ostry język, a przecież mogłabyś używać go w znacznie bardziej przyjemny sposób, zamiast tylko mnie krytykować.

Rumieniec, który wykwitł na jej twarzy, miał swe źródło nie tylko w gniewie i wysiłku utrzymania Patryka na długość parasola, lecz także w sugestywnie wypowiedzianych słowach. Zjadliwym tonem powiedziała:

- W żadnym razie nie chciałabym przerywać idylli, jaką sobie tutaj urządziłaś. Jednak muszę podkreślić, że po śmierci Juliana nie masz co liczyć na dopłatę do utrzymania swojej Mulatki. Nie ma też dla niej żadnych apanaży w testamencie, co z pewnością potwierdzi Robert. Jak więc sobie teraz poradzisz?

Znieruchomiał i popatrzył na nią z uwagą. W tej samej chwili cofnęła się szybko, sprawiając, że zatoczył się do przodu, utraciwszy nagle podporę. Nie czekając, aż odzyska równowagę, jednym skokiem znalazła się przy drzwiach. Szarpnęła za klamkę, otworzyła je i wybiegła na werandę. Przypuszczała, że nie zdecyduje się biec za nią, na pewno nie na oczach stangreta, ale też nie odwróciła się, by to sprawdzić. Spokojnie, na ile tylko pozwalała jej na to pośpiech, przeszła do kroku spacerowego, wspięła się do powozu przez otwarte dla niej drzwiczki i poleciała zawracać do Belle. Grove.

Kiedy powóz wtoczył się na podjazd, Robert już na nią czekał. Stał na górnej galerii, wsparty rękoma o balustradę. Nie drgnął nawet, kiedy szła w stronę domu. Minęła dolną galerię i w końcu zaczęła wchodzić po schodach. Dopiero gdy się zbliżyła, odwrócił się do niej. Stał nad nią, wysoki, prosty i barczysty; światło późnego popołudnia odcinało na tle nieba jego ładnie ukształtowaną sylwetkę, przesyscało włosy niebieską poświatą. Poczula w okolicach serca znajomy ucisk.

- Gdzie byłaś?

Wypowiedziane spokojnym tonem pytanie pobrzmiwało troską, ale też zdradzało nieufność. Przystanąła na chwilę, by ściągnąć rękawiczki, następnie ruszyła dalej, odłożywszy je wraz z parasolem na wyplatane krzesło. Nim się odezwała, sięgnęła do kapelusza z woalką.

- Pojechałam do miasta.

- Wiem o tym. Poinformowano mnie również, że pojechałaś sama. Ponadto nikomu nie chciałaś powiedzieć dokąd.

- Nieprawda. Nikt mnie o to nie pytał, a ja po prostu nikomu się nie zwierzałam.

- Bardzo subtelne rozróżnienie - burknął, układając usta w ponury grymas. - Wybacz, ale nie jestem specjalnie zachwycony.

Odwróciła się w stronę Roberta. Ciągle jeszcze była niespokojna po incydencie z Patrykiem.

- Jeżeli już musisz wiedzieć, to przyznam się, że byłam na spotkaniu z Violet.

- Z Violet? - zapytał zdziwiony, choć po chwili skinął głową, jakby sobie przypomniał, o kim mówiła. - W jakim celu?

Zirytowało ją badawcze spojrzenie jego niebieskich oczu.

- A jak myślisz? Żeby spiskować z nią i pogratulować jej sukcesu w realizacji naszego planu zamordowania Juliana. Po cóż by innego?

Znieruchomiał, szokowany, po chwili ściągnął brwi.

- Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Czy tak właśnie myślisz?

- Nie bądź śmieszna.

- Och, daj spokój. Unikasz mnie, obchodzisz z daleka, Jakbyś miał pewność, że ja i kobieta w pelerynie to jedna i ta sama osoba. Nie musisz zaprzeczać.

Na moment ich spojrzenia się spotkały, po czym jego wzrok powędrował gdzieś w dal ponad jej ramieniem.

- Dobrze wiem, że nie mogłaś nią być. Sam odprowadziłem cię do domu, nie pamiętasz?

- Ale nie możesz wiedzieć, czy tam zostałam! - Nie była w stanie powstrzymać się, by go nie prowokować, by nie zadawać sobie bólu ujawnienia wszystkich swoich podejrzeń.

- Gdybym pomyślał, że nie zostałam, pozwoliłbym szeryfowi Tatumowi postawić cię przed ławą przysięgłych.

- Dlaczego więc nie uczyniłaś tego? Dlaczego kłamałaś, żeby go powstrzymać? - Wyraźnie zbladła, lecz jej oczy patrzyły z dumą i jednocześnie płonęły groźnym blaskiem. Czarna sukienka kontrastowała z białą jej skóry i doskonałością kształtu nadal szczupłej sylwetki. Drżały jej dłonie, ale złożyła je tak, żeby nie były widoczne.

- Ponieważ... - zaczął surowym tonem, ale urwał. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym zaczął ponownie: - Nie mogłem znieść myśli, że mogłoby cię spotkać upokorzenie z mojego powodu.

- A może sam potrzebowałeś alibi?

Żyłka na jego czole drgnęła. Głosem ścisłym i jakby w zamyśleniu dodał:

- Tak, no i właśnie dlatego.

- Nie odpowiedziałeś mi.

- Tego typu posądzenie nie zasługuje na odpowiedź.

- Tak? - Uniosła brwi, choć jej serce biło jak oszalałe. - Ty możesz posądzać mnie o najgorsze, i wszystko jest w najlepszym porządku, ponieważ pewnie ja popełniłabym niegodziwość z twojego powodu, lecz nie mogę tego samego pomyśleć o tobie, gdyż motywy twojego postępowania byłyby, z natury, bardziej zasadnicze?

- Nie jestem tchórzem. Nie paliłem się do potyczki z Julianem, to prawda, ale nie zabiłem go, żeby jej uniknąć.

- Oczekujesz, że dam wiarę twoim słowom?

- Szeryf Tatum nie miał żadnych obiekcji - przypomniał - kiedy go okłamywałem ze względu na ciebie.

- Rzecz jasna, wszystko odbyło się w sposób honorowy! Szeryf potraktował cię jak człowieka honoru, jak kogoś, kto ma ustaloną pozycję społeczną, a ty ryzykujesz to wszystko i przysięgasz fałszywie jedynie ze względu na kobietę? Jakże mogło do tego dojść?

Głęboko zaczerpnął powietrza.

- Posłuchaj, Amelio, jest mi bardziej przykro z powodu niesławy, którą na ciebie ściągnąłem. Zrobiłbym wszystko, żeby tylko cofnąć to, co się stało, i zacząć wszystko od początku. Wszystko ułożyć tak, by nie stawić cię w tym okropnym położeniu. Ale, niestety, już jest za późno. Stało się. Będziemy musieli z tym żyć. Starłem się jak najwięcej ci zaoszczędzić, jak najszybciej uciąć rozmowę. Wyprawy podobne do tej, którą dzisiaj przedsięwzięłaś, niczego nie polepszą; mógł cię ktoś widzieć, pojawią się domysły, plotki. Rozumiem, że żyłaś w ustawicznym napięciu, a godziny, które poświęciłaś *M'mere*, z pewnością jeszcze pogłębiły ten stan. Mimo wszystko nie ma o co się kłócić.

- Nic nie rozumiesz! - wybuchła, ledwie pozwalając mu skończyć. - Nie chcę, byś mnie osłaniał ze względu na to, co się wydarzyło między nami, lecz co najwyżej dlatego, że mi po prostu wierzysz. Zamiast się niepokoić, czym mogę na siebie ściągnąć jeszcze większą hańbę, lepiej pomóż mi znaleźć mordercę Juliana!

- Nie jesteś zhańbiona, dopóki...

- Dopóki nie czuję się zhańbiona? Dlaczegoż by nie? Jeżeli mogłaś pomyśleć, że... że dla ciebie byłabym zdolna do pozbycia się własnego męża!

- Jakżeby miał nie pomyśleć, skoro ty aż nazbyt skwapliwie pomyślałaś to samo o mnie?

I znowu znaleźli się w punkcie wyjścia. Amelia odwróciła się, robiąc przy tym gest, który miał oznaczać, że nie należało przywiązywać nadmiernej wagi do jej słów.

- W rzeczywistości wcale tak nie myślałam.

Skrzyżował ręce na piersiach.

- Chyba jednak tak. Gdzieś tam w głębi duszy obawiałaś się, że ja zabiłem Juliana. Trudno mi jednak zrozumieć, jak mogłaś, skoro wiedziałaś, że obaj zawsze byliśmy ze sobą bardzo blisko.

- Może właśnie dlatego - szepnęła.

- Co masz na myśli?

Tak bardzo zaschło jej w gardle, że nie mogła mówić. Wolałaby, żeby te słowa nie padły z jej ust, żeby mogła je cofnąć, ale było już za późno.

Podszedł do niej, położył dłoń na jej ramieniu i odwrócił ją do siebie.

- Co mówiłaś?

Zwilżyła wargi.

- Patryk... Patryk powiedział mi o Julianie.

Spojrzeniem ciemnoniebieskich oczu omiotł jej skupioną twarz, po czym utkwiał wzrok w jej przygasłych, brązowych oczach. Minęła wieczność, nim opuścił ramię, popatrzył gdzieś w bok.

- Dlaczego on to zrobił? Nie istniała żadna poważniejsza przyczyna, dla której musiałabyś wiedzieć. W każdym razie nie teraz.

- W końcu byłam jego żoną. Czyż nie jest to dostatecznie poważna przyczyna?

- Ale co dobrego mogłoby z tego wyniknąć?

- Przede wszystkim już nie muszę dochodzić, dlaczego nie interesował się mną jako kobietą.

Zerknął na nią spod oka.

- Powinnaś była to widzieć.
- Ponieważ ty mnie pragnąłeś? To nie ma nic do rzeczy. Nie masz pojęcia...
- Ani nie chcę mieć - powiedział, wpadając w złość. - To, kim byłaś dla Juliana albo też kim on był dla ciebie, nie ma nic wspólnego ze mną. Bardziej mnie ciekawi, co takiego dostrzegłaś w mojej przyjaźni z Julianem, co cię tak zaniepokoiło.

- Nie mogę ci powiedzieć.

- Musisz. Zaczęłaś, to teraz skończ.

Czyż kiedykolwiek kochała tego mężczyznę o stalowej woli, który używał wobec niej tak ostrego tonu i żądał, by ujawniła swoje najskrytsze myśli? Nie, miała wrażenie, że to było niemożliwe. Przelknęła ślinę, zapatrzyła się w dal na zakola rzeki, toczącej swe wody tak leniwie, że sprawiały wrażenie, jakby się wcale nie poruszały.

Nadal zwlekała. Jeszcze raz przelknęła ślinę.

- Zgodziliśmy się, że Julian kochał mnie, tyle że w pewien osobliwy sposób.

- Tak - uciał krótko.

- Nie wiem, mogę się mylić. W obecnej chwili bardzo chciałabym wiedzieć, czy aby nie kochał ciebie w jeszcze inny, szczególny sposób? Czy zazdrość o mnie doprowadziła do pojedynku, czy też jego zazdrość o ciebie i o wszystko, co was przez cały czas łączyło.

- *Dieu* - westchnął i zaczął cofać się krok po kroku, zaciskając dłonie w pięści. Patrzył na nią, jak gdyby nigdy przedtem jej nie widział. Nagle ruszył gwałtownie w stronę schodów, minął ją i zaczął zbiegać po stopniach.

Amelia nie poruszyła się z miejsca, aż odgłosy jego kroków ucichły. Oddychała powoli i na tyle głęboko, na ile pozwalał jej ból w piersiach. Oczy ją piekły od długiego patrzenia bez zmruczenia powiek. Dłonie, które zaciskała na poręczy balustrady, teraz bezkrwiste i poszarzałe, zdrętwiały aż po czubki palców. Naraz westchnęła, a gorące, słone łzy wypełniły jej oczy, po czym stoczyły się po policzkach.

Upływały dni, każdy następny jeszcze bardziej upalny i wilgotny od poprzedniego. Z Nowego Orleanu dochodziły wieści o przypadkach febry, cholery, a nawet dżumy, lecz na szczęście wszystkie te choroby dotychczas omijały okolice Teche. Był to okres rozmaitych spotkań politycznych, którym towarzyszyły przyjęcia pod gołym niebem i *barbecue*, wieczorki przy świetle pochodni, występy klubów śpiewaczych oraz inne jeszcze atrakcje. Tego roku przypadały wybory, w których kandydat Południa, James Buchanan, rywalizował z republikaninem J.C. Fremontem oraz Miliardem Filmore'em. Spodziewano się raczej zwycięstwa Buchanana. W Europie wracali do domów ostatni żołnierze, który brali udział w wojnie krymskiej. Liczne angielskie regimenty wysłano do Indii, gdzie brytyjskim rządowi poddano kolejny stan indyjski, co wywołało tam poważne wstrząsy i niepokoje.

W Belle Grove zapanował względny spokój. Nie burzyły go żadne odwiedziny. Plotki stopniowo stawały się coraz mniej zjadliwe, aż w końcu ucichły. Nie zapomniano o skandalu, ale tak dokładnie omówiono wszystkie aspekty sprawy, że przestała ona już kogokolwiek interesować. Nie ujawniono już więcej żadnych nowych faktów mających związek ze śmiercią Juliana. Zaangażowanie szeryfa w wyjaśnienie zagadki słabło, w miarę jak dni stawały się bardziej duszne, a poszlaki mniej jednoznaczne. Z czasem przestał przyjeżdżać do Belle Grove. Nim zajął się czymś innym, podobno narzekał gderliwie na coraz większy napływ podejrzanego elementu na teren, nad którym sprawował pieczę.

Pani Declouet na tyle odzyskała dawną sprawność, że zdolna była zajmować się sama sobą, choć nieczęsto opuszczała swoje pokoje. Teraz cierpiała już jedynie na lekki niedowład mięśni po lewej stronie twarzy, ale z uwagi na niewyraźną wymowę w ogóle starała się nie odzywać. Modliła się bezgłośnie, chociaż ustawicznie, na klęczniku spędzała znacznie więcej czasu niż powinna. Spała źle. Często krzyczała przez sen, budząc tym Amelię, która przychodziła i siedziała obok niej do samego rana. Jednakże mimo wszystko matka Juliana powoli otrząsała się z szoku.

Tak przynajmniej sądziła Amelia, dopóki pewnej nocy po wejściu do sypialni teściowej nie zobaczyła, jak ta rzuca się na łóżku, oblana potem, zaplątana w prześcieradła. Szczelnie zamknięte okna powstrzymywały napływ dokuczliwie wonnego powietrza z zewnątrz, a pani Declouet miała na sobie zapinaną wysoko pod szyją flanelową koszulę, której rękawy sięgały nadgarstków. Splątane, mokre włosy otaczały starczą twarz, zarumienioną pod wpływem gorąca panującego w dusznym pokoju. Duże krople potu wystąpiły na czoło i górną wargę, staczały się w dół po policzkach.

Amelia odstawiła świecę, podeszła do francuskiego okna, pchnęła je i pozostawiła szeroko otwarte, potem to samo zrobiła z bocznymi oknami. Odwróciwszy się w stronę teściowej, podniosła moskitierę i ściągnęła ją na jedną stronę. Pochyliła się nad starszą kobietą, zamknęła dłoń na jej ramieniu i potrząsnęła lekko.

Pani Declouet otworzyła oczy, poderwała się, potem opadła bezwładnie na plecy i z powrotem zamknęła powieki.

- Ach, to... ty, *chère*.

- Tak, ja. Powiedz, co usiłujesz ze sobą zrobić - łajdała ją Amelia - z własnej woli dać się żywcem ugotować? To nierozsądne, nie wolno...

- Nie rozumiesz. Tak być... powinno.

- Trudno uwierzyć, by taki brak wygody mógł wyjść na zdrowie - powiedziała Amelia, podciągając rękawy od koszuli, nocnej teściowej. Sięgnęła do guzików przy szyi.

- Zostaw!

Ponieważ starsza pani była chora, ostry ton jej głosu brzmiał tak niezwykle, że Amelia zerknęła na nią ze zdziwieniem.

- Chciałam jedynie pomóc.

- Pozwól, że sama... będę decydowała, co... jest dla mnie dobre. - Słowa wypowiadała z trudem, ale dostatecznie wyraźnie, aby je zrozumieć.

- Ależ tak, oczywiście, przepraszam - wyjąkała Amelia, cofając ręce. Przypadkiem dłonią otarła o powierzchnię cienkiego materiału flanelowej koszuli teściowej, wyczuwając tuż pod nim coś sztywnego i sprężystego. Jeszcze raz, tym razem świadomie, przesunęła dłonią nad klatką piersiową starszej pani.

- Co to? - zapytała, ośmielając się chwycić opuszkami palców za materiał. - Co na siebie włożyłaś?

- Nic, nic - mruknęła pani Declouet.

- Niemożliwe... to... włosienica! Och, *M'mere*, dlaczego?

Włosienica była ubiorem z podszytym szorstkim, kłującym i uwierającym włosiem, noszonym jako strój pokutny, przeważnie przez członków wspólnot zakonnych. Ogromnie niewygodny w umiarkowanych warunkach, podczas upału stawał się prawdziwą udręką. Decyzja włożenia czegoś takiego przez panią Declouet, kobietę przecież chorą, była zdumiewająca, wprost nie do uwierzenia.

- To ciebie... nie dotyczy. Nikomu o tym... nie powiesz.

- Ale nie możesz tego robić!

- Nie mów tak do mnie!

- A co, według ciebie, miałabym powiedzieć?

- Nie spodziewałam się... - wyznała starsza kobieta, nie odpowiadając na pytanie - że to odkryjesz.

Amelia milczała chwilę, zacisnąwszy usta.

- Ale odkryłam, a skoro już wiem, nie mogę zachowywać się spokojnie. Nic dziwnego, że nie możesz spać! Dziwię się nawet, że do tej pory nie dostałaś gorączki. Ciekawe, co powie na to lekarz.

- Nic, ponieważ mu... nie powiesz. - Trudności z mówieniem nie przeszkodziły pani Declouet nadać słowom onieśmielającej stanowczości, ale Amelia już wcześniej nauczyła się bronić przed tym.

- Muszę. Gdybyś ponownie zachorowała, czułabym się odpowiedzialna. Najbardziej zaś z tego powodu, że pozwoliłam ci na dalsze stosowanie tej barbarzyńskiej praktyki.

- Mam swoje... powody.

- Niczego już tym nie zmienisz. Nic, co było niewłaściwe, nie stanie się przez to właściwe. Teraz, proszę, usiądź prosto i pozwól mi to ściągnąć.

- Nie!

Amelia wycofała się.

- Oczywiście nie mogę cię zmusić. Chyba jednak zmienisz zdanie, kiedy ci powiem, że zamierzam posłać po Roberta i prosić go, żeby spróbował cię przekonać.

- Czemu by nie? Jeśli w ten... sposób skłoniłabyś go do przyjazdu. Ostatnio... prawie go nie widzimy. - Starsza pani przenikliwym wzrokiem zaczęła badać spokojną twarz Amelii.

- O tej porze roku na plantacji jest najwięcej pracy.

- Czy ja wiem? Nie tak znowu wiele... teraz, kiedy trzcina jest na tyle wysoka, że... przerasta trawę.

Bez wątpienia była w tym racja.

- Jestem przekonana, że prócz tego ma jeszcze wiele ważniejszych obowiązków do wypełnienia.

- Nie... Wy oboje... pokłóciliście się, prawda?

- Nie ma o czym mówić - odrzekła Amelia, wruszając ramionami.

- Jest... jest, i ty o tym dobrze wiesz.

Dzieliła je przeszłość, dzieliły przeżycia, o których nigdy nie rozmawiały. Początkowo dlatego, że chodziło o doznania zbyt osobiste, zbyt bolesne, potem zaś myśli Amelii znacznie bardziej zaprzętnął niepokój o rezultat pojedynku i losy Juliana. Jeszcze później na Przeszkodzie stanął stan zdrowia teściowej. Amelia gdy nie wtajemniczała jej w swoje najbardziej intymne sprawy, nigdy nie mówiła o radości i rozkoszy, jakie przeżywała. Czasami miała wrażenie, że jej teściowa i tak wie o wszystkim, że wyciąga wnioski z obserwacji, albo nawet że wprost zapytała o to Roberta. Mimo swych ustawicznych obaw związanych z wywołanym skandalem nigdy otwarcie nie wyjaśniła, na czym on polegał, ani nie wspomniała o swojej w nim roli.

Czyżby do włożenia włosienicy popchnęło ją poczucie winy z tego właśnie powodu? Czy obwiniała się za incydent pomiędzy Robertem i Julianem, który w konsekwencji, pośrednio bądź bezpośrednio, doprowadził do śmierci jej syna? Nic nie było w stanie uwolnić od tego ciężaru, ale możliwe, iż coś mogło go odrobinę zmniejszyć.

Amelia popatrzyła na swoje dłonie.

- Gdybym powiedziała ci coś... co by cię ucieszyło, czy wówczas zgodziłabyś się zdjąć tę koszulę?

Pani Declouet odwróciła się, by spojrzeć na nią. Mrużąc oczy, powędrowała wzrokiem do talii Amelii.

- Powiedz.

- Najpierw musisz mi obiecać.

Cienkie przypominające krepę powieki zamknęły się.

- Zrozum, że robię to wszystko dla dobra mojej duszy.

Czy był sens, by zauważyć, że zbyt wiele cierpienia z łatwością mogło oddzielić od tej duszy zbyt kruche ciało?

- Moja wiadomość z pewnością dodałaby ci sił.

- Jeżeli chodzi o to, o co... modłę się, może... Dobrze, zgadzam się.

Amelia zwilżyła usta.

- Teraz mam już pewność. Spodziewam się dziecka.

Radość, która rozbłysła w jasnych, zmęczonych oczach, była tak wielka, że wzruszenie ścisnęło Amelię za gardło. Podjęła po chwili:

- Ze względu na wcześniejsze plotki znajdują się na pewno tacy, którzy będą mówić, że to nie Julian jest ojcem.

- Nie ma się czym przejmować. Nikt nie może tego dowieść - powiedziała pani Declouet.

- Wolałabym...

Starsza kobieta powstrzymała Amelię uniesieniem ręki.

- Nie musisz... tego mówić, ponieważ... jestem pewna twojej niewinności. W każdym razie pozostaje faktem, że... dziecko urodzi się w okresie... dziewięciu miesięcy od śmierci mojego syna. Będzie tak, nieprawdaż?

W jej oczach nagle pojawił się niepokój. Amelia czym prędzej uspokoiła ją:

- Tak, z pewnością.

- W takim razie... w rzeczy samej... będzie jego pogrobowcem i spadkobiercą majątku, ponieważ ty jesteś jego prawowitą żoną. Przynajmniej tego... nikt mu nie odbierze. - Pani Declouet opadła na poduszki i zamknęła oczy, jakby nagle wyczerpał ją wysiłek związany z mówieniem.

- Tak - mruknęła Amelia. Podeszła do szafy, z półki wyjęła jasną i chłodną batystową koszulę. Rozwinęła ją, a następnie rozłożyła na materacu. Jeszcze raz odwróciła się. Przeszła do umywalki, z dzbana nalała wody do miski. Do wody wrzuciła płócienną ściereczkę, potem przeniosła naczynie na stolik przy łóżku. Kiedy wszystko było gotowe, pochyliła się nad starszą kobietą i zaczęła rozpinać guziki jej flanelowej koszuli. Pani Declouet nie uczyniła żadnego ruchu, aby ją powstrzymać, jej pierś unosiła się i opadała równym, spokojnym rytmem, ręce spoczywały wzdłuż ciała na prześcieradle. Spała już.

Amelia nic nie powiedziała Robertowi o włosienicy. Nie miała ku temu okazji, ponieważ nigdy nie byli sami, zresztą i tak uważała, że skoro pokutna koszula została zdjęta, to już nie ma potrzeby o niej wspominać. W paru słowach opisała zdarzenie lekarzowi, który pokręcił głową, drapiąc się bezwiednie w bokobrody. Był mile zdziwiony znaczną poprawą samopoczucia pacjentki od czasu swej ostatniej wizyty, ale wyraził niezadowolenie w związku z jej ogólnym stanem. Upał, przy tym zaś wilgoć, plaga moskitów i much, szkodliwe wycieki z mokradeł hamowały postęp w leczeniu. Poprawę mogła przynieść zmiana klimatu. Dobrze wpłynęłoby na chorą opuszczenie miejsca związanego z tragedią. Istniała szansa, że w innej okolicy i pośród innych ludzi starsza dama uwolni się od dręczących pytań związanych ze śmiercią syna i takich samych wspomnień.

Zdaniem Karola, który wszedł do pokoju z kieliszkiem wina dla „dobrego” doktora, istniało takie idealne miejsce, mianowicie Isle Derniere. Stary sługa zauważył, iż *grande maitresse* zawsze była tam szczęśliwa. Dodał, iż dobrze wpłynęłoby na nią już sama świadomość, że stan jej zdrowia nie jest przeszkodą, by udała się tam jak co roku, choć tym razem nieco później niż zwykle. Z aprobatą doktora pomysł zaakceptowano.

Jednakże już samo przewiezienie nie w pełni sprawnej osoby wydawało się trudnym przedsięwzięciem. A zestawienie na piśmie koniecznych do zabrania przedmiotów zajęłoby kilka stron. Nim jednak w ogóle można było chwycić za pióro, należało rozwiązać bardziej podstawowy problem: wyprawie musiała towarzyszyć męska eskorta.

- Sądzę, że na wyjazd nie pozwalają mi moje obowiązki - powiedział Jerzy.

Siedzieli na galerii w porze obiadu; powoli dokuczliwy upał zaczął ustępować. Ciepłe, poruszane leniwą bryzą powietrze wypełniało się nieregularnym brzęczeniem moskitów.

- Pomyślałam, że odwiedzenie naszego wybrzeża byłoby dla ciebie sporą atrakcją - powiedziała Amelia ze zdziwieniem. - Na pewno różni się od tego w Anglii.

- W innych okolicznościach na pewno skorzystałbym z propozycji, ale jak zrozumiałem, zamierzacie spędzić poza Belle Grove kilka tygodni. Nie można wymagać ode mnie, żebym na tak długo zostawił krzewy. Trzeba je ustawicznie nawadniać, a nie ma tutaj nikogo, komu mógłbym powierzyć to odpowiedzialne zadanie. Nadto muszę mieć na względzie panujące obecnie warunki atmosferyczne.

Wiedziała, z jaką starannością Jerzy dba o swoje rośliny. Każdego dnia podlewał inną ich część, tak że kiedy nie było deszczu, w pięciodniowych odstępach każda roślina była zraszana wodą. Wcześniej niemal co dnia padał wieczorem rześisty deszcz, który dostarczał może aż za dużo wilgoci, lecz od dwóch tygodni prawie nie było opadów.

- Czy Sir Bent nie mógłby doglądać ogrodu?

- Starałby się, nie wątpię. Ale jest zbyt niedołężny, aby temu podołać. Wątpię również, czy zdołałby znaleźć

kogoś młodszego do pomocy.

- Jeżeli Jerzy nie pojedzie, ja również zostanę - oznajmiła Chloe, opuszczając na kolana swoją robótkę i patrząc spod oka wyzywająco.

Amelia odwróciła się do niej.

- Mogłabyś zostać, ale nie bez damy do towarzystwa.

- Doprawdy nie rozumiem dlaczego.

- Ponieważ jesteś zbyt młoda, aby wyjść za mąż - rzuciła Amelia, po czym podniosła rękę do głowy. - Przepraszam, Chloe. Naprawdę nie wiem, co ostatnio we mnie wstąpiło.

- Moim zdaniem potrzebujesz zmiany klimatu tak samo jak *M'mere* - odrzekła Chloe, potem przesadnie gwałtownie uderzyła otwartą dłońią w moskita, który brzęczał tuż przy jej ramieniu.

- Masz rację, powinnam wyjechać. Oczywiście zrobię to, co jednocześnie oznacza, że nie pozostanie tutaj nikt w roli przyzwoitki. Musisz jechać.

- Nie musiałabym - odrzekła dziewczyna, przelotnie spoglądając na Amelię - gdybyśmy przed waszym wyjazdem wzięli ślub.

Jerzy wydal z siebie cichy dźwięk, jak gdyby się zakrztusił, ale nie wyraził żadnego sprzeciwu. Amelia podjęła temat.

- Nie mamy wiele czasu - powiedziała.

- Ileż czasu potrzeba na to, aby ojciec Jan dał nam swoje błogosławieństwo? Mógłby przybyć do naszej kaplicy, jak bym wolała, albo my pojedziemy do kościoła w mieście.

- Twoja wyprawa...

- Jest gotowa od przeszło trzech lat, włącznie z wyhaftowaną we Francji koszulą nocną, dzisiaj już może zbyt małą, ale bardzo ładną. Jerzemu bardzo się podobała. *M'mere* zadbała o to wszystko, kiedy miała nadzieję, że wyjdę za Juliana.

Amelia zaczęła się zastanawiać, dlaczego dziewczyna tak bardzo była przeciwna małżeństwu z dalekim kuzynem. Czy domyślała się czegoś, miała jakieś przeczucie? Amelia zdawała sobie sprawę, że wypytyując sama naraziłaby się na pytania, na które nie chciała odpowiadać.

- Nie wspomnę już o fakcie, że żyjemy w rodzinie pogrążonej w żałobie.

- Nie ma o czym mówić. Z tej właśnie przyczyny uroczystość będzie cicha i skromna.

Oto żywa, uwielbiająca splendor Chloe chciała zrezygnować ze wszystkich luksusów, które wiązały się z weselem. Amelia westchnęła.

- Wiesz dobrze, że nie ja jestem osobą, której zgody potrzebujesz. Jeżeli *M'mere* da swoje przyzwolenie, pomogę ci, w czym tylko będę mogła.

Dziewczyna poderwała się z krzesła i przyklekła przy krześle Amelii.

- I ja ci pomogę! Co każesz mi zrobić?

Chwilę trwało, nim Amelia zdołała wydobyć z siebie cichy głos.

- Prześlij Robertowi wiadomość. Napisz, że *M'mere* i ja bardzo byłibyśmy rade, gdyby zgodził się towarzyszyć nam w drodze na Isle Derniere. Jeżeli znajdzie na to czas, oczywiście.

Rozdział XVII

Isle Derniere, czyli Ostatnia Wyspa, należała do większego archipelagu, który chronił brzeg Luizjany przed atakami fal od strony Zatoki Meksykańskiej. Była to wyspa najbardziej wysunięta na zachód w całym łańcuchu, który otaczał nizinę delty Missisipi i obejmował na wschodzie Chandeleurs Islands, a na zachodzie nisko położone masywy Grande Terre, Grand Isle i Cheniere Caminada. Po ich jednej stronie znajdowało się morze, po drugiej zaś skupisko płytkich zatok i jezior, które przechodziły w bagna i moczary poprzecinane starorzeczami oraz rzekami spływającymi z najżyźniejszych obszarów na świecie.

Jean Laffitte właśnie gdzieś na tych wyspach znajdował schronienie, gdy panował nad zatoką zarówno przed, jak i po 1812 roku, kiedy to jego rzezimieszki przybyli na pomoc mieszkańcom Nowego Orleanu. Wyspy we wczesnych latach osadnictwa służyły jako azyl dla ludzi marginesu i przemytników, dopiero od ośmiu, dziewięciu lat wzbudziły zainteresowanie luizjańskiej socjety.

Zrazu główną atrakcją wysp było łowienie ryb, zarówno w zatoce, jak i w słodkowodnych zatoczkach. W ciągu kilku lat dość popularne stały się wycieczki parowcem w tym właśnie celu. Pasażerowie jadali i sypiali na statku, podczas gdy wyspy wykorzystywali jako wygodne miejsce do połowów, pikników, kąpieli morskich i spacerów. Potem odkryto lecznicze działanie słonego powietrza, ponieważ zauważono, że malaria rzadko nawiedzała małe wysepki graniczące z pełnym morzem.

Do fatalnego lata 1853, słynnego ze szczególnie nasilonej inwazji chorób, na Isle Derniere przyjeżdżała regularnie już wcale pokaźna liczba gości. Od tego czasu podwoiła się, a wkrótce potroiła, ponieważ ukończono linię kolejową łączącą Nowy Orlean z Bayou Boeuf. Goście mieli do dyspozycji dość skromny hotel, należący pierwotnie do pani Pecot, i kilka pensjonatów, położonych między domostwami stałych mieszkańców. Znajdowało się tu również ponad trzydzieści prywatnych domów letniskowych. Jednakże wszystkie te zasoby były niewystarczające, dlatego powstały plany budowy dużego hotelu, którą sfinansowałyby grupa inwestorów

zaangażowanych wcześniej w powstanie St. Charlesa w Nowym Orleanie. Spodziewano się, że hotel o nazwie Trade Wind, zaprojektowany na podobną skalę, pomieści po ukończeniu około pięciuset osób.

Większość głównych budynków na wyspie znajdowała się na zachodnim krańcu długiego i wąskiego skrawka lądu. Rozproszone bez żadnego planu, stały frontem w stronę otwartego morza, ze względu na piękny widok i dostęp do wody, oraz tyłem do strumienia, który przechodził w zatoczkę o nazwie Village Bayou. Skąpa roślinność składała się z kolczastych gruszy, karłowatych palm, pożółklej szorstkiej trawy, kilku bananowców i małych dębowych zagajników o niskich drzewach z powyginanymi gałęziami.

Spod wszechobecnego piasku o kremowej barwie wystawały tu i ówdzie kawałki drewna świadczące o tym, że podczas gwałtownych zimowych sztormów przez wyspę przelewały się morskie fale.

We wtorki i soboty przybywały na wyspę parówki na zmianę Star albo Major Aubrey. Podchodziły od strony Caillou Bay, płynęły w górę Village Bayou, by w końcu przybić do nabrzeża dokładnie za hotelem.

Amelia kończyła podróż parowcem późnym popołudniem w trzecią sobotę lipca. Stała na pokładzie oparta o barierkę i błyszczącymi z zachwytu oczyma obserwowała krajobraz. Tak wiele słyszała o tym miejscu i oto nareszcie tu była.

Przed nią znajdował się zbudowany na kwadratowych słupach, dwukondygnacyjny hotel o stromym dachu, z mansardowymi pokojami, kominami na każdym krańcu i kwadratowymi kolumnami, podtrzymującymi dolną i górną galerię z przodu oraz z tyłu budynku. Żaluzje osłaniały okna, ale służyły też tworzeniu przytulnej atmosfery przy jednym końcu każdej z dwóch górnych galerii - zarówno od strony zatoki, jak i od nabrzeża. Szerokie zewnętrzne schody po obu stronach hotelu układały się na dole w kształt rozchylonych w powitalnym geście ramion. Na przewiewnych galeriach ludzie, skupieni w grupy - w większości mężczyźni z kieliszkami w rękach - rozmawiali ze sobą, zażywając świeżego powietrza. Promienie zachodzącego słońca rzucały tajemnicze cienie na ich twarze i zmieniały poszarzałą biel budynku w przygaszoną lawendową szarość. Za domem znajdował się zawieszony na słupie spory dzwon, jakiego zwykle używało się na plantacjach w celu przywoływania niewolników lub ostrzegania przed niebezpieczeństwem, ale ten na wyspie służył najprawdopodobniej do ogłaszania pory posiłków.

Na rozlewisku dookoła płynącego wolno parowca kołysały się łodzie żaglowe najrozmaitszych rozmiarów i kształtów, w tym również odpowiednio dostosowane pirogi, a nawet wyżłobione w środku kłody drewna. Pływali nimi przeważnie młodzi mężczyźni albo chłopcy. Niektórzy spośród nich starali się wykorzystać ciągłą bryzę i prześcignąć parowiec. Na krawędzi nabrzeża siedzieli rzędem mali chłopcy. Trzymali w rękach prowizoryczne wędziska i dzielili swoją uwagę między przybijający statek a zrobione z korka szałwiki.

W oddali za hotelem widać było turkusowe wody pełnego morza, biegnące w kierunku plaży falami, których spienione grzbiety tu i ówdzie przenikały purpurą promienie gasnącego słońca. Grupka ludzi spacerowała skrajem plaży; spódnice i poły surdutów łopotały na wietrze. Droga biegnącą równoległe do strumienia nadjeżdżało konno czworo młodych ludzi, w tym dwie damy w dobrze skrojonych strojach i lekkich kapeluszach z piórami. Hałaśliwa gromadka minęła kilka zagród dla zółwi. Gęsty parkan z drewnianych pali sięgał wody, zatrzymując biedne stworzenia, dopóki nie stały się głównym składnikiem lubianej na wyspie zupy.

Niesione wiatrem przez wyspę powietrze było słonawe i orzeźwiające. Pachniało morzem, świeżo złowionymi rybami, pieczonym chlebem, gotowanymi morskimi przysmakami i dojrzałymi owocami z małego targu pod gołym niebem; wyczuwało się w nim także lekki odór dolatujący od strony ustępów i chlewów położonych dalej nad strumieniem. Mieszanka tych zapachów była na tyle obca, by intrygować.

Amelia uśmiechnęła się i odwróciła, aby spojrzeć na mężczyznę, który stał tuż obok niej, lecz on pochylił się nad balustradą i nieobecny wzrokiem wpatrywał się we własne dłonie. Poczula, jak w jednej chwili jej entuzjazm gaśnie, ustępując miejsca znajomemu uczuciu przygnębienia. Przestała się również uśmiechać. Odkąd opuścili St. Martinville, Robert tak właśnie się zachowywał: był blisko ciałem, ale nie duchem. Nie potrafiła rozstrzygnąć, czy przybrał taką pozę, czy też w ten sposób wyrażał się jego rzeczywisty nastrój. Tę ostatnią możliwość mogła jeszcze jakoś zaakceptować. Gdyby jednak w jakikolwiek sposób dał jej do zrozumienia, że w grę wchodzi pierwsza z nich, wówczas miałaby mu co nieco do powiedzenia. Sytuacja, w jakiej się znajdowali, nie była łatwa, ale przecież co najmniej w takim samym stopniu dla niego jak i dla niej. To nie Amelia sprawiła, że wziął udział w podróży. Powody tkwiły w obyczajach, w tym, co uchodzi za stosowne. Gdyby była sama, czułaby się nie mniej, a może nawet bardziej szczęśliwa.

Spojrzała w stronę teściowej, która siedziała na krześle pod przeciwsłoneczną zasłoną. Starsza pani miała twarz całkowicie spokojną. Z zainteresowaniem spoglądała na znajome okolice. Z uwagi na stan zdrowia miała przy sobie swoją służącą, Paulinę, co było wyjątkiem, ponieważ służba w większości zajmowała niższy pokład, łącznie z Martą, Lally, Tige'em i nawet Isą. Musieli tam pozostać do czasu, gdy opróżni się górny pokład, a potem doglądać rozładunku bagażu.

Isa nie sprawiał najmniejszych kłopotów podczas podróży w dół Teche i Atchafalaya, a także w trakcie dziewięciogodzinnej przeprawy przez zatokę na wyspę. Niemal cały czas przesiedział ze szkicownikiem w rękę oparty o beczkę z gwoździami, starając się uchwycić widoki, które przesuwały się przed jego oczyma. Nawet w tym momencie robił to samo. Wychyliwszy się poza barierkę, Amelia widziała czubek jego głowy.

Podróż odbyła się bez przygód. Przez cały czas mieli przed sobą nie kończącą się panoramę jasnego nieba, spokojnych, ciemnych wód, pól uprawnych i wspaniałych domów, otoczonych drzewkami pomarańczowymi i mahoniowymi, magnoliami oraz jaśminem. Pojawiały się lasy, których widok przywodził na myśl strofy poematu Longfellowa o „lesie dziewiczym”: potężne cyprysy, czasem katedra z dębów. Pradawne drzewa splatały ze sobą mocne konary, zostawiając poniżej dostatecznie wiele miejsca, by mogli przepłynąć. Zdarzało się, że mężczyźni strzelali do aligatorów leżących w wodzie lub do wielkich białych żurawi stojących na powalonych pniach drzew. Kiedy wpłynęli do zatoki, próbowali swoich sił w celowaniu do mew, ale ponieważ ptaki podążały za nimi zgodnie z kierunkiem, w którym zmierzał statek, trudno było je trafić. Większość pasażerów spędzała czas na grze w karty, czytaniu książek, rozmowach i jedzeniu; morską bryza najwyraźniej pobudzała apetyt. Młodzieży zdarzyło się nawet zaimprovizować tańce, kiedy okazało się, że wśród podróżnych jest skrzypek.

Amelia nie przesiadywała w swojej kajucie ani też nie próbowała przyłączyć się do żadnej z grup okupujących pokład. Powstrzymywała ją zarówno obawa przed przyjęciem ze strony innych, jak i świadomość, że będąc w żalobie, nie powinna brać udziału w życiu towarzyskim. Zatem czytała teściowej książkę, dwa razy zagrała z nią w wista, spacerowała w towarzystwie Roberta.

Przechadzki te byłyby znacznie przyjemniejsze, gdyby nie wcześniejsze wydarzenia. Amelia wahała się pomiędzy pragnieniem podzielenia się z nim odczuciem radosnej ulgi a ciągle żywą świadomością istnienia podejrzeń, które ich od siebie oddzielały.

Sztucznie spokojnym głosem powiedziała:

- Lepiej pójdę zobaczyć, jak się czuje *M'mere*.

- Dobrze - odrzekł i wyprostował się, by razem z nią podejść do starszej pani.

Przez chwilę Amelia zastanawiała się, czy jego krótka odpowiedź nie oznaczała, że jego zdaniem zanieczyściła teściową, ale zaraz porzuciła tę myśl. W końcu nie można dopatrywać się w każdym słowie i w każdym spojrzeniu podtekstu. Czyż jednak byłoby dla niej ważne, co sobie pomyślał, gdyby nie miała czym się przejmować?

To prawda, że nie było jej lekko. Ustawicznie Powracała pamięcią do przykrych słów, które wypowiedziała pod jego adresem, a które tak mocno zaważyły na ich wzajemnych stosunkach. Jednakże nie mogła się z nich wycofać, dopóki istniało prawdopodobieństwo, że okażą się prawdziwe. Nie potrafiła też przestać myśleć o oskarżeniach, jakie wobec niej wysunął, choć była gotowa w jednej chwili o wszystkim zapomnieć.

Musiała przyznać, że niemal bez przerwy pozostawał do usług pani Declouet; zawsze był na miejscu, by podać ciotce ramię, gdy chciała przejść parę kroków po rozkołysanym pokładzie, by porozmawiać z nią i rozbawić żartobliwymi uwagami. Jedynie wobec Amelii zachowywał rezerwę.

Statek przybił do nabrzeża. Rzucono cumy. Kiedy ludzie zaczęli po kładkach schodzić na ląd, przywitała ich wcale spora gromadka oczekujących. Rozległy się okrzyki radości i głośnie przywitania, ściskano się i poklepywano po plecach, co świadczyło o tym, że spotkali się krewni albo przyjaciele.

O wizycie mieszkańców Belle Grove nikt nie był poinformowany. Amelia prawie się nie rozglądała, gdy podchodziła przy boku teściowej do kładki. Pierwszym sygnałem ostrzegawczym był dla niej dziewczęcy okrzyk:

- Ojej, spójrz tam! *Mesdames Declouets*, mamó, i *M'sieu Far*...

Amelia podniosła głowę, by ujrzeć Luizę Callot, która stanęła jak wryta z szeroko otwartymi ustami. Dziewczyna ruszyła z miejsca dopiero wtedy, kiedy jej matka szarpnęła ją za ramię. Żona pośrednika w handlu bawełną zmroziła Amelię lodowatym spojrzeniem, lekko skinęła głową pani Declouet, natomiast Roberta zignorowała całkowicie. Następnie odwróciła się żywo ciągnąc za sobą córkę, odmaszerowała w przeciwnym kierunku.

Cała scena trwała zaledwie parę sekund. Większość osób z otoczenia zachowała się obojętnie, lecz znaleźli się także tacy, którzy swoje zaciekawienie zdradzali szeptem za zasłoną z dłoni i błyskami wścibskiej ciekawości w oczach. Pani Declouet potknęła się. Robert zaklął cicho pod nosem i zaczął rozglądać się za jakimś powozem. Dostrzegł zniszczony pojazd, który stał nie opodal i najwyraźniej był do wynajęcia. Pomógł wsiąść ciotce, odsunął się na bok, by przepuścić Amelię oraz Paulinę, po czym, wydawszy dyspozycje woźnicy, sam wskoczył do środka.

- A co będzie z Isą, całą resztą i bagażami? - zaniepokoiła się Amelia.

- Pojadą następnym kursem.

Nie odezwała się więcej, choć wiedziała, że zastaną dom zamknięty, wewnątrz zaś wszystko pokryte grubą warstwą kurzu i prawdopodobnie będą kłopoty ze znalezieniem chociaż jednego czystego prześcieradła do nakrycia łóżka, choćby jednej czystej szklanki albo kropli wody nadającej się do użytku, nie wspominając już o odrobinie czegoś mocniejszego. Cieszyła się jednak, że opuszcza nabrzeże, oddala się od natarczywych i oskarżycielskich spojrzeń. Myślała wcześniej, że może wreszcie na Isle Derniere coś się zmieni. Wszystko wskazywało na to, że się pomyliła.

Jak wszystkie inne budynki na wyspie ich jednokondygnacyjny dom został wzniesiony na słupach. Był dość obszerny, ale na pewno daleki od ostentacyjnego przepychu. Składał się z sześciu pokoi oraz frontowej i tylnej galerii. Poddasze pełniło funkcję sypialni dla służby. Wchodziło się do niej po zewnętrznych schodach, prowadzących z tylnej galerii. W środkowej części budynku znajdował się szeroki hol, który jednocześnie służył jako miejsce odpoczynku z uwagi na przepływający tędy strumień świeżego powietrza. Z tyłu znajdował się wyłożony ceglami mały ogród, a w jego bezpośrednim śledztwie - kuchnia pod gołym niebem i prowizoryczna

pralnia.

Robert zajął się otwieraniem domu. Odryglował solidne okiennice, które stanowiły jednocześnie osłonę przed sztormowym wiatrem, i otworzył je szeroko. Wyniósł na galerię fotele na biegunach, odszukał i uzupełnił paliwem lampy naftowe. Sprawdził zbiornik i układ rynien, które biegły od szarego dachu z cyprysowych deszczulek, aby mieć pewność, że zagwarantują właściwe uzupełnianie zapasów wody. Nikogo nie pytał o wskazówki, co świadczyło o tym, że najprawdopodobniej często odwiedzał ten dom wraz z ciotką i Julianem.

Amelia zostawiła teściową na galerii w jednym z foteli, wróciła do domu i pootwierała okna, by rozproszyć duszący zapach stęchlizny, który unosił się we wszystkich pomieszczeniach. Po jednej stronie holu znajdował się salon, w którym przyjmowano gości. Tutaj był jedyny w całym domu kominek. Dalej mieściła się mała biblioteka i pokój karciany, natomiast na końcu urządzono pokój stołowy i małą spiżarnię. Po przeciwnej stronie trzy kolejne pomieszczenia pełniły funkcję sypialni, przy czym dla lepszej wentylacji wszystkie łączyły się wewnątrz. Taki układ wydawał się Amelii nieco kłopotliwy. Nie była pewna, czy będzie mogła spać spokojnie, mając świadomość, że Robert jest tak blisko i że kiedy obudzi się wcześniej, jak to miał w zwyczaju, będzie ją widział.

Problem częściowo rozwiązała pani Declouet oświadczając, że ona zajmie środkowy pokój, natomiast Amelia stosownie do swego wyboru albo pokój od frontu, albo od strony zatoki. Starsza dama stwierdziła, że odgłosy fal źle na nią wpływają oraz że nie może znieść słonego pyłu wodnego, który nocą napływał do wnętrza domu z podmuchem powietrza.

Powóz przybył z Martą, Lally, Tige'em i Isą. Wkrótce ze ściereczkami w rękach, pokaślując i prychając, rozeszli się po domu. Po naprędcie przygotowanym posiłku Amelia z Isą u swych stóp przesiadła pewien czas na galerii, wsłuchana w nieustanny pomruk wody, obmywającej w mroku piaszczysty brzeg, i płynące z odległego hotelu śpiewne dźwięki skrzypiec. Księżyc znaczył świetlistą, mieniącą się wstęgę na ruchliwej powierzchni wody. Z wolna gasły światła w domach letniej osady, a Amelia nadal była samotna. Wreszcie wstała. Westchnęła, przeciągnęła się, zmierzwiła mocno poskręcane włosy na głowie Isy i poszła do łóżka.

Było oczywiste, że Robert miał towarzyszyć im w podróży na wyspę, potem zaś wrócić do domu. W tego rodzaju środowisku samotnym kobietom nie groziło większe niebezpieczeństwo. Ludzie tutaj w większości znali się wzajemnie, poza tym dostęp do wyspy był z natury rzeczy ograniczony. Najbardziej podstawowe obowiązki miał wypełniać Tige: nadzorować służbę, starać się o przedmioty, których nie zabrali ze sobą, kupować świeże warzywa, mięso, owoce morza, gdyby Amelia nie miała ochoty podjąć się tego zadania.

Jednakże Robert nie znalazł się na pokładzie odpływającego parowca. Nadszedł wtorek, a on nawet nie zaczął się pakować do rejsu kolejnym statkiem. Spędzał czas na łowieniu ryb z wynajętej pirogi albo na żeglowaniu wzdłuż brzegu jedną z mniejszych łodzi. Przynosił do domu kiełbise, pompano, flądry, mnóstwo mniej znanych gatunków ryb oraz mięsiste żółwie, co Marta błyskawicznie zamieniała w wyśmienite potrawy.

Skóra ściemniała mu na słońcu. Na co dzień chodził w koszuli bez spinek i z rękawami podwiniętymi powyżej łokci. Bywały dni, podczas których włosy miał matowe od soli i splątane po morskiej kąpieli, chociaż z łatwością można było dostrzec, że starał się je doprowadzić do porządku, przeczesując palcami.

Stopniowo pozbywał się rezerwy, ale od Amelii wciąż trzymał się z daleka. Czasami, gdy podnosiła głowę, zauważała na sobie jego wzrok, twarz z wyrazem zadumy i, mimo wszystko, szafirowy błysk w głębi oczu. W takich chwilach traciła nad sobą kontrolę, nie potrafiąc zapanować nad odczuciem przemożnej siły, która ją ku niemu popychała. Często przyłapywała się na wspomnianiu jego pocałunków, dotknięć, wędrowek rozpalonego języka na jej wezbranych piersiach, przedłużanej w nieskończoność rozkoszy, którą oboje dzielili. Wówczas szybciej niż zwykle poruszała wachlarzem z palmowego drewna, jej policzki oblewał rumieniec, bielizna zdawała się za ciasna. Nic nie mogła na to poradzić.

Zdarzało się, że w nocy leżała bezsennie, nasłuchując odgłosów jego kroków. Przychodziło jej na myśl, by wstać, pójść do niego, wślizgnąć się w jego objęcia, poszukać ustami jego ust. Tęskniła za kojącym odczuciem jego obecności przy sobie, wokół i wewnątrz siebie. Była samotna, niezwykle samotna i spragniona miłości. Cierpiała. Rzucała się na łóżku, przekręcała z boku na bok, wciskała głowę w poduszkę, przymykała mocno powieki i przykrywała dłońmi uszy, aby nie słyszeć cichych stąpanięc.

Pewnego ranka podczas śniadania pani Declouet zapytała rozczulającym tonem osoby mającej wciąż kłopoty z wymową, lecz mimo wszystko płynnie:

- Czy nie wybralibyśmy się na piknik pod dęby?

Mówiła o dębowym zagajniku, położonym w głębi wyspy. Był to dość popularny zakątek, chroniący przed jaskrawym słońcem i stanowiący oświetlone miejsce odpoczynku po konnych przejażdżkach wzdłuż plaży. Robert nie wyraził żadnych obiekcji, poza tym nie miał innych planów, zatem przygotowano koszyki z niezbędnymi rzeczami. Tige'a wysłano z poleceniem wynajęcia powozu dla pani Declouet i dwóch koni pod wierzch dla Roberta i Amelii, po czym wszyscy wyruszyli.

Isa z ołówkiem w ustach i szkicownikiem w ręku dołączył do nich w ostatniej chwili, sadwiąc się w powozie obok starszej pani, jakby to było najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Amelia roześmiała się, ściągając cugle klaczy. Nie musiała patrzeć na Roberta, aby zdawać sobie sprawę, że uważa jej postępowanie za nieodpowiedzialne. Coś należało uczynić z Isą, ale nie potrafiła zdobyć się na właściwą reakcję i nie chciała

widzieć wyrazu oczu chłopca, gdyby zajął się tym ktoś inny.

Dzień był cudowny, wprawdzie upalny, ale z owiewającą twarz chłodniejszą bryzą od morza i szumem wody o barwie akwamaryny u ich stóp. Powóz toczył się po twardym piasku, z którego raz po raz cofała się fala. Wewnątrz siedziała sztywno pani Declouet, a ponad jej głową trzepotały frędzle parasolki. Isa przechylał się na jedną stronę, a lejcami zajmował się Tige. Amelia i Robert jechali osobno po obu stronach bryczki. Spod końskich kopyt wylatywały do góry strumienie mokrego piasku. Skinęli uprzejmie głowami na widok czworga jeźdźców, których widzieli już w dniu przybycia na wyspę. Odpowiedziały im uśmiechy, uniesione w geście pozdrowienia dłonie. Jednakże zauważyli jeszcze, że ostatni jeździec odwrócił się w siodle i kiedy ich mijają, patrzył ponad nimi.

Trawiasty dywan w cieniu dębów stanowił niezwykle miłą odmianę. Od początku pobytu piasek już wystarczająco dawał się we znaki: był w butach, przywierał do twarzy, wciskał z wiatrem do wnętrza domu, sprawiając, że ciągle trzeba było zamiatać. Tige wziął ze sobą stos kanapek, kufel warzonego w domu piwa i poszedł odprowadzić konie w chłodniejsze miejsce. Isa położył się na trawie, ślinił koniec ołówka, potem rysował nim coś na papierze. Robert pomógł ciotce zejść z powozu i usiąść na zabranym dla jej wygody krześle, następnie wrócił we właściwej chwili, by wyręczyć Amelię i zdjąć z bryczki koszyk.

Kiedy ich dłonie zetknęły się na pałku koszyka, serce Amelii zaczęło bić szybciej. Wiedziała, że mogła i powinna puścić koszyk, lecz stała w miejscu i zaciskała na nim palce. Czuła zapach krochmalonego płótna i męskiego ciała. Robert miał surdut rozpięty, a wokół kołnierzyka koszuli zgodnie z radą ciotki nie było krawata. Wyłaniała się stamtąd opalona szyja i kępką czarnych włosów u jej podstawy. Odczuła tak silny impuls, by wyciągnąć rękę, powieść opuszkami palców po płytkim wgłębieniu i porastającym je puchu, a potem jeszcze niżej, że zrobiło się jej słabo.

- Pozwól - mruknął do niej.

- Dziękuję - odrzekła bez tchu, zwolniła uścisk i gwałtownie odwróciła się plecami. Zupełnie przypadkowo napotkała wzrokiem spojrzenie teściowej. Starsza dama obserwowała ich z wyrazem troski w oczach.

Kiedy rozłożono przywiezione specjały i każdy zgodnie ze swoim apetytem otrzymał napełniony talerz, na krótko zapadła cisza. Isa zabrał się do obgryzania nogi pieczonego kurczęcia; trzymał ją jeszcze w dłoni, kiedy już sięgał po następną. Robert siedział z podciągniętym do góry kolanem na brzegu rozłożonej w zastępstwie stołu serwety i w zamyśleniu jadł kanapkę z szynką. Po jego prawej stronie Amelia wybierała z talerza swoją ulubioną sałatkę z pomidorów, tymczasem naprzeciwko pani Declouet wytwornym ruchem sięgała po zimne krewetki i spod przymkniętych powiek przyglądała się parze niedawnych kochanków.

- Moja droga Amelio, na pewno jest ci bardzo gorąco - powiedziała wreszcie starsza dama. - Sądzę, że byłoby ci miło, gdybyś mogła kąpać się w morzu tak samo jak Robert. Kiedyś chyba nawet wspominałaś coś o uszyciu odpowiedniego stroju, czyż nie?

- Tak. Tylko że nigdy nie znalazłam okazji.

- Ale obecnie ten problem nie istnieje.

Kostiumy kąpielowe noszone na wyspie przez większość kobiet były uszyte z czerwonej, zielonej albo niebieskiej materii i przypominały stroje upowszechnione przez Amelię Broomer: obszerne pantalone wieńczyła nieco krótsza spódniczka oraz dopasowana bluzka z owalnym wykończeniem przy szyi i rękawami sięgającymi łokci. Na wyspie mieszkała kobieta, która za niewielkie pieniądze szyła je z własnego materiału.

- Nie chce mi się wierzyć, abym dostała strój w kolorze czarnym - powiedziała Amelia, starając się nie dać poznać po sobie, jak bardzo nęci ją ta myśl. - Poza tym kąpiel w morzu w żadnym razie nie jest zajęciem, które przystoi wdowie.

- Gdybyś pozostawała w obrębie plaży przylegającej do domu, nie byłoby żadnych problemów.

- Ale czarny...

- Może ta kobieta z osady będzie potrafiła ufarbować kawałek materiału? Każdy ma czarny barwnik właśnie na takie okazje.

- Nie wydaje mi się...

- Jeśli boisz się wody, to Robert na pewno dotrzyma ci towarzystwa.

- Nie o to chodzi - rzuciła pospiesznie.

- Oczywiście - odrzekł jednocześnie Robert.

- Zatem ustalone - obwieściła pani Declouet triumfalnie.

Amelia, rozdarta pomiędzy pragnieniem a nakazem obyczaju, nie powiedziała nic więcej. Po chwili milczenia starsza pani podjęła na nowo:

- Doprawdy to bardzo miło z twojej strony, Robercie, że poświęcasz nam tak wiele czasu. Wierz mi, obie Jesteśmy ci wdzięczne.

- To dla mnie przyjemność.

Szczerść brzmiąca w jego głosie nie była udawana. Amelia zbyt długo zwlekała, by potwierdzić słowa teściowej. Pani Declouet zmarszczyła brwi, potem odezwała się ponownie:

- Jednakże nie chciałabym dłużej podejrzewać, *mon cher*, że zaniedbujesz swoje sprawy z powodu... z powodu tamtego niefortunnego incydentu przy nabrzeżu.

Podniósł wzrok, uśmiechnął się do ciotki.

- Nie ma obawy. Robię tylko to, co mi odpowiada.

Starsza kobieta ściągnęła usta.

- Cieszę się zatem, ponieważ właśnie tak pragnęłabym myśleć.

Czyżby była to jakaś gra słów? Amelia nie umiała tego rozstrzygnąć. Wydawało się, że Robert nie widzi podobnego problemu. Po chwili powiedziała cicho:

- Nie zgadzam się.

- Co takiego? - zapytała teściowa, patrząc przymglonym wzrokiem.

- Nie zgadzam się. Już dosyć uczyniłaś.

Skurecz ściągnął twarz pani Declouet. Upuściła widelec, opadła na oparcie krzesła i przymknęła oczy.

- *M'mere?* - spytała niespokojnie Amelia, chwytając ją za ramię.

Robert podniósł się na jedno kolano.

- Ciociu, co się stało?

Starsza dama otworzyła oczy, co, jak się zdawało, przyszło jej z trudem. Uniosła dłoń w uspokajającym geście.

- Nie martwcie się tak bardzo o mnie, nie zasłużyłam sobie na tyle troski z waszej strony. Ale proszę, pozwólcie tu do mnie oboje.

Zbliżyli się i klękli przy niej z obu stron. Starsza dama jedną ręką pochwyciła dłoń Amelii, drugą - Roberta. Połączyła je obie, przytrzymując mocno w uścisku, aby nie mogli się wycofać.

Głosem pełnym smutku powiedziała cicho:

- Mam wobec was dług nie... nie do spłacenia. Wyrządziłam wam krzywdę, zraniłam was, ale z całego serca pragnęłabym wierzyć, że można coś jeszcze naprawić. Nie mam żadnego wytłumaczenia poza tym, że zestarzałam się i dlatego nie dostrzegłam, jak potwornie egoistyczna była moja prośba. Chciałabym coś wam powiedzieć, a potem już nigdy nie będziemy do tego wracać. Żal, jaki odczuwam, i wdzięczność towarzyszą mi w każdej chwili, są częścią każdej mojej modlitwy. To wszystko.

Amelia popatrzyła ponad złączonymi dłońmi na Roberta. Spoglądał na nią oczyma przepelnionymi bólem. Potem przymknął powieki. Delikatnie uwolnił swą dłoń, pochylił się nad panią Declouet, by złożyć pocałunek na jej czole.

- Niepotrzebnie, zupełnie niepotrzebnie - powiedział.

Amelia zamknęła dłonie starszej pani w swoich rękach.

- Tak, zupełnie niepotrzebnie.

Trzy dni później kostium kąpielowy był już gotowy. Amelia, mierząc go w swojej sypialni, nie mogła wyjść z podziwu nad praktyczną użytecznością stroju i swobodą ruchów, na jaką pozwalał. Bez wątplenia pani Broomer miała rację. Noszenie tego rodzaju kostiumów, bez gorsetu i niewygodnych halek, byłoby dla kobiet znacznie zdrowsze już choćby z tego powodu, że w mniejszym stopniu na przykład narażało na stanięcie w płomieniach od otwartego ognia. Ponadto tego typu krój korzystnie podkreślał jej wiotką figurę, chociaż miała wątpliwości co do efektów oddziaływania wody na tani materiał. Mogło się zdarzyć, że pod wpływem wilgoci rozciągnie się i odsłoni więcej, niżby opadało.

Zrozumiała, że niepotrzebnie się zamartwiała, gdy zobaczyła, w jakim kostiumie Robert zamierzał wybrać się na plażę. Miał na sobie po prostu starą parę spodni z odciętymi powyżej kolan nogawkami. Stał na galerii i czekał na nią. Przewieszony przez ramię ręcznik niemal wcale nie przysłaniał widoku ładnie ukształtowanego, umięśnionego torsu, nagiego jak tamtej nocy w Nowym Orleanie. Patrzyła na niego z zapartym tchem. Chciała zobaczyć, czy to zauważył. Podniosła oczy i spostrzegła, że on także przygląda się jej, wędrując wolno skupionym wzrokiem po zarysie jej piersi pod cienkim materiałem, po zwężeniu w talii i krągłościach bioder okrytych miękką spódnicą ponad bombiastymi pantalonami.

- Je... jesteś gotowy? - zapytała.

Ich oczy spotkały się na chwilę.

- Jeśli ty już jesteś gotowa.

Nie dotknął jej, gdy wychodzili z domu, ani nawet kiedy schodzili po schodach. Nie było takiej potrzeby, ponieważ nie miała na sobie zwykłej sukni, w którą mogłaby się zaplątać; mimo wszystko takie niedopatrzenie było znaczące. W stronę skrzacej się wody szli w napięciu wywołanym odczuciem mimowolnego pożądania. Nigdy w swoim życiu nie miała do czynienia z tego rodzaju emocjami, z pierwotną, nagłą żądzą.

Na samym brzegu morza wsunęła starannie włosy pod czarny czepek o marszczonych brzegach. Strząsnęła ze stóp lekkie pantofelki i weszła do wody w zrobionych na drutach skarpetach, które osłaniały łydki przed obcym wzrokiem.

Chłód wody i siła przybrzeżnej fali sprawiły, że krzyknęła, oszołomiona. Stała przez chwilę w miejscu, gdzie wokół jej kolan wirowała czysta, turkusowa woda z plamami piany na powierzchni. Na twarzy czuła powiew bryzy ciągnącej z odległego Jukatanu, na czubku głowy - ciepły dotyk promieni słońca. Nieustanne falowanie morza było niby pulsowanie krwi w jej żyłach. Miała słone usta. Spod jej stóp morze wypłukiwało piasek w rytmie przypływu

i odpływu przybrzeżnych fal, igrało z brzegiem spódnicy. Zaczęła zapadać się głębiej.

Rozkołysane, darzące pieszczotą wody zatoki nie przypominały niczego, co wcześniej знаła. Była zauroczone, wyciągała ręce ku napływającym falom. Ruszyła naprzód do miejsca, w którym na ich szczytach pojawiały się białe grzywy i potem toczyły się w kierunku piaszczystego brzegu. Uderzały w nią z taką siłą, że chwiała się, ale za każdym razem prostowała ze śmiechem. Woda sięgała jej coraz wyżej, dochodząc do ramion, chwilami zaś znacznie powyżej głowy, tak że musiała podskakiwać, żeby utrzymać się nad powierzchnią. Dla Amelii czystą radością były chwile, kiedy fale unosiły ją i cofały kilka metrów w stronę plaży.

Kątem oka zauważyła obok siebie cień. Robert zjawił się przy niej.

- Nie idź dalej! - krzyknął ponad szumem wody.

Odwróciła się do niego twarzą, spojrzała na jego włosy błyszczące w słońcu, krople wody połyskujące na brwiach i rzęsach, paciorki wilgoci na ramionach. Znienacka uderzyła w nią potężna fala, zbiła ją z nóg, przelała się ponad nią i przycisnęła swym ciężarem do piaszczystego dna. Amelia poderwała się do góry. Odzyskała niepewny grunt pod nogami i zdołała wychylić głowę nad niespokojną powierzchnię, ale straciła czepek, i włosy w nieładzie oblepiły jej twarz. Zakrztusiła się, odgarnęła do tyłu mokre pasma. Atak następnej fali przetrwała w uścisku silnych ramion, podczas gdy jej włosy wirowały w wodzie i niby wodorosty owijały się wokół obojga, wokół niej i Roberta.

Kiedy ponownie poczuła twarde dno pod stopami, woda sięgała do jej piersi. Mimo to Robert nie uwolnił jej jeszcze. Fale popychały ich ku sobie delikatnymi, sugestywnymi poruszeniami. Od soli piekły Amelię oczy, głęboko w nosie czuła szczypanie, ale zaśmiała się, gdy spojrzała w górę na mężczyznę, który ją trzymał.

W odpowiedzi nie zdobył się nawet na uśmiech. Wpatrywał się w jej twarz o perłowym połysku, patrzył na ramiona skąpane w słońcu, cudowne wyniesienia piersi doskonale zarysowanych pod wilgotnym materiałem. Czuła na sobie jego twarde uda oraz rozpaloną męskość. Mocniej zacisnął dłonie na jej ramionach. Jego twarz odzwierciedlała obsesyjne pożądanie, a zarazem samopotępienie.

Drgnęła i zdecydowanie postąpiła krok w tył. Uwolnił ją z objąć bez żadnego sprzeciwu. Potem jeszcze raz skierował gorejące spojrzenie na jej sylwetkę w mokrym, ściśle przylegającym ubiorze, a następnie zaczął się od niej oddalać, nurkując w fale i płynąc zdecydowanie w stronę brzegu. Wyprostował się, wyszedł z wody, przeszedł krótki odcinek w głąb plaży, po czym wyciągnął się na piasku i ukrył twarz w ramionach.

Poruszenia morskich fal były kojące, przyjemne, jednakże straciły swą ekscytującą moc. Amelia jeszcze chwilę zabawiła w wodzie, ale zaraz i ona ruszyła do brzegu. Przystanąła na moment, wykręciła wodę ze spódnicy i pantalonów i rozłożyła je tak, aby nie przylegały; podobnie postąpiła z włosami. W końcu zaczęła iść w stronę Roberta. Leżał przy nim ręcznik, którym, przykłęknawszy, osuszyła sobie twarz.

- Powinnaś już iść do domu, bo słońce spali ci skórę - powiedział Robert, nie poruszając się.

Ostre, ochryple brzmienie jego głosu odebrała jak policzek.

- Dobrze - odparła ze spokojnym naciskiem. - Tak będzie chyba najlepiej.

Do końca dnia już go nie widziała, chociaż kiedy słońce chowało się za wody zatoki, słyszała, jak wrócił, a potem rozpoznała odgłosy przygotowań do kąpeli. Wcześniej miała nadzieję, że nie nadejdzie przed obiadem. Pani Declouet nie czuła się dobrze i zamierzała poprzestać na lekkiej przekąsce w swojej sypialni, przeto Amelia i Robert mieli sami zasiąść przy stole.

Zaintrygowana wyrazem oczu, z jakim wczesnym popołudniem teściowa przyglądała się jej podczas czytania na głos książki, Amelia rozmyślała bez przerwy, czy rano starsza pani widziała ją i Roberta. Z jakiego powodu pragnęła zbliżyć ich do siebie? Czy byłoby jej lżej na sumieniu, gdyby oboje zdecydowali się pobrać? Na pewno nie zdawała sobie sprawy, jak płonne są jej nadzieje. Na pewno nie wiedziała, że kłamstwem było oświadczenie Roberta, iż noc, podczas której zamordowano Juliana, spędził z Amelią. Nie domyślała się, że tragiczny sekret jej syna zniszczył przyjaźń między dwoma mężczyznami.

Żeby zapanować nad wewnętrznym drżeniem i podnieść się na duchu, do obiadu ubrała się bardzo starannie. Włożyła na siebie czarną jedwabną sukienkę z dość głębokim dekoltem, lamówką z cienkiej koronki i bufiastymi rękawami. Dolna część była zebrana na austriacką modłę i wykończona falbaną. Dzieło nowoorleańskiej krawcowej, która bezpośrednio po pogrzebie spędziła tydzień w Belle Grove, szyjąc stroje dla Chloe i Amelii, było godne Paryża, ale w nadmorskiej osadzie mogło uchodzić za zbyt szykowne.

Siedząc przy stole w towarzystwie Roberta, była zadowolona z ubioru i fryzury, którą Lally ułożyła w opadającą kaskadę loków. Robert sprawiał wrażenie, jakby pragnął spieszyć ją wzrokiem. Udzielał jedynie zdawkowych odpowiedzi, sam natomiast nie podejmował żadnego tematu. Poszedł łowić ryby, nic nie złapał, nikogo nie widział, z nikim nie rozmawiał. Nie interesowało go, kto jeszcze przebywa na wyspie, a jego ton sugerował, że istotnie niewiele go to obchodzi. Owszem, dzień był upalny. Nie, jako chłopiec nie miał kolekcji muszli i nic o nich nie wiedział.

W końcu Amelia powiedziała w rozdrażnieniu:

- Jeżeli tak ogromnie nudzi cię wyspa i towarzystwo mojej osoby, dlaczego jeszcze tutaj jesteś? Doprawdy, trudno mi to pojąć.

- Czyżby? - zapytał z błyskiem w niebieskich oczach. - Przebywam na wyspie, ponieważ jestem do tego

zmuszony. Ponieważ splamiałem twoje dobre imię i czuję się teraz odpowiedzialny za to, żeby z tego powodu żaden mężczyzna o niegodnych intencjach nawet myślami nie skalał pięknej młodej wdowy po moim kuzynie.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- A więc to tak.

- Właśnie.

- Zatem postaram się przekonać ciebie, iż stać mnie na przeciwstawienie się niepożądanym awansom.

- Czy rzeczywiście?

- Jeśli uważasz tak dlatego, że pozwoliłam ci... dotykać mnie tak, jak nie pozwoliłabym nikomu innemu, to jesteś w błędzie! - Bładość jej twarzy zastąpił ognisty rumieniec wściekłości, upokorzenia i bólu.

Gwałtownie machnęła ręką w geście zniecierpliwienia.

- Nie to miałem na myśli. Sugerowałem jedynie, że byłabyś bezbronna. W tego rodzaju przypadkach niektórzy mężczyźni nie mają skrupułów, zwłaszcza gdy sądzą, że ich zaloty spotkają się z życzliwym przyjęciem.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za lekcję perfidii charakteryzującą męską płeć. Jednakże pamiętaj, że mam jeszcze do obrony Tige'a oraz Isę.

- Każdego z nich bez żadnych dochodzeń można byłoby odstawić do szeryfa za uderzenie białego człowieka.

- Urzędnik, który oskarżyłby ich za obronę swojej pani, musiałby wykazać się nadzwyczajnym tupetem.

- Byłoby potrzebne twoje zeznanie, a ten dżentelmen, rzeczywisty winowajca, już potrafiłby dopilnować, żeby wszyscy zainteresowani nie uważali cię za prawdziwą damę.

Popatrzyła na niego ze złością, że już przesądził sprawę, nie dając jej czasu na odpowiedź.

- Rozważamy przypadek całkowicie hipotetyczny. Nigdzie nie czułam się bardziej bezpieczna niż na Isle Derniere.

- Czuć się bezpiecznie i być bezpiecznym to dwie całkowicie odmienne kwestie.

Przeszkodził im Tige, który na wyspie zastępował Karola w roli lokaja. Zaczął wynosić naczynia. Jeśli słyszał ich podniesione głosy, nie dał tego po sobie poznać. Jego twarz nie wyrażała żadnych szczególnych odczuć, kiedy się odezwał:

- Jest taki piękny wieczór, *mam'zelle*. Może mam podać kawę na galerii?

Łatwiej byłoby sprzątać pokój stołowy, gdyby nikogo w nim nie było. Potem zaś Tige miałby więcej czasu na spacer w mroku skrajem plaży z Lally, nim ta zostałaby wezwana do pomocy Amelii przy rozbieraniu. Tego rodzaju myśli błąkały się w jej głowie, gdy zdobyła się na uśmiech mówiąc:

- Byłoby całkiem miło.

Na zewnątrz Tige postawił tacę z kawą na wyplatany stoliku. Robert przeszedł na koniec galerii. Położył sobie dłoń na karku i skierował wzrok w stronę plaży i hotelu o rozświetlonych wszystkich oknach. Potem odwrócił się, spojrzał w lewo, do tyłu na zatokę.

- Star spóźnił się nieco.

Czyżby to znowu była sobota? Czy to możliwe? Amelia podeszła do niego z cichym szelestem jedwabiu, czemu niby echo towarzyszył szum morskich fal. Ich spienione grzbiety były niewyraźnie widoczne w światłach budynku. Parowiec z wolna zmierzał do ujścia Village Bayou, kręcąc wielkimi kołami napędu i rozsyłając z pokładów świetliste strumienie. Przy poręczach ustawili się już ludzie, gotowi do zejścia na ląd, gdy tymczasem wysokie kominy jakby sunęły po nocnym niebie, wyrzucając w górę pióropusze dymu wraz z pomarańczowymi iskrami. Słychać było niewyraźne dudnienie balansjera i odgłos wibrującej maszynerii silników.

- Co mogło być przyczyną opóźnienia?

- Prawdopodobnie problemy z silnikiem - odrzekł. - Ale kto to wie? Może spóźnił się pociąg z Nowego Orleanu.

Wszystko było możliwe, ale przynajmniej parowiec dotarł na miejsce. Nie wszystkim to się udawało. Katastrofy statków parowych zdarzały się dość często. Amelia odwróciła się.

- Kawa stygnie.

Pili gorący, aromatyczny napar w milczeniu. Zapadała noc. Powoli gasły światła w innych domach z wyjątkiem hotelu. Amelia dostrzegła Tige'a i Lally wychodzących zza domu; para służących szła przez piasek, minęła hotel od frontu i podążała ku plaży, by po chwili zniknąć im z oczu. Pod wpływem wiatru, który owiewał jej twarz, a może też szumu morskich fal, ogarniała Amelię jakaś przedziwna tęsknota. Była ciekawa, czy mężczyzna, który siedział w skupieniu naprzeciwko niej, odczuwa to samo, co ona.

W hotelu zaczęła rozbrzmiewać muzyka - na początek żywy refren polki. Po drugiej stronie drogi w nowej sali balowej hotelu co wieczór zbierali się goście na radosnej i beztroskiej zabawie. Mówiło się, że niemiecki skrzypek, choć grał tam dla pieniędzy, nie miał sobie równych w interpretacji straussowskich walców, był na wyspie powszechnie znaną osobistością, równie popularną jak sam pan Muggah, obecny właściciel hotelu.

Na chwilę muzyka ucichła, a potem łagodnie przerwały ciszę dźwięki instrumentu Niemca. Były takie śpiewne i nostalgiczne, że Amelia poczuła, jak ze wzruszenia coś ścisną ją za gardło. Mimo woli odżyły w niej wspomnienia ostatniego tańca z Julianem na balu u Morneyów, niezwyklej lekkości, z jaką się poruszał, zadziwiającego wycucia rytmu, wyrazu dumy w jego oczach. Tamtej nocy Julian został śmiertelnie zraniony i wrzucony jak śmieć do rzeki. Czy wówczas żył jeszcze, a potem zginął przez utonięcie? Czy też był już martwy, z bladą twarzą

poznaczoną strużkami krwi?

Wstała z krzesła, uniosła do góry spódnicę, przecięła galerię, zbiegła na dół po schodach. Robert wykrzyknął za nią jej imię, ale nie odpowiedziała ani nie zatrzymała się. Weszła na piasek, nie zwracając uwagi na to, że jego drobiny wpadały jej do butów i przywierały do ubrania. Nieświadomie szła w kierunku wody, choć wcale nie miała takiego zamiaru, gdy opuszczała dom.

Piasek skrzypiał pod stopami Roberta, gdy długimi krokami zbliżał się do niej. Najmniejszym nawet gestem nie próbował jej zatrzymać, tyle tylko, że dostosował swój krok do jej kroku i szedł obok. Amelia zerknęła na niego, zwolniła i w końcu się zatrzymała. Był dla niej ciemną sylwetką, lecz mimo wszystko czuła emanujące od niego ciepło i z wysiłkiem zapanowała nad sobą. Serce zaczęło jej bić mocniej, kołatać się w piersi. Zęby zaczęłyby szczerkać, gdyby ich mocno nie zacisnęła. Chciała poprosić go, aby odszedł, ale nie mogła się nawet poruszyć. Z hotelu nadal dobiegały dźwięki muzyki.

- Pozwolisz? - zapytał Robert cicho i łagodnie.

Objął ją w pasie, przyciągnął do siebie, a potem zaczął poruszać się falującymi krokami walca, który rozbrzmiewał pośród nocy. Odetchnęła głęboko, ulegając rytmowi melodii, do której, czuła to, nastroiło się jej ciało. Wirowali po piasku niby w somnambulicznym transie. Morska bryza kłębiła wokół nich jej spódnicę i halki, wzburzała fale u ich stóp. Oszołamiał ich słony wiatr, odurzał urok nocy. Dryfowali złączeni ze sobą, poruszali się poza przeszłością i przyszłością, bez pamięci. Dopóki nie zamilkła muzyka.

Rozdział XVIII

Nie puścił jej. Stał nieruchomo, potem uwolnił dłoń Amelii, by móc objąć ją w talii obiema rękoma.

- Amelio, *mon coeur* - powiedział cichym głosem - odrzuć moje awanse, jeśli potrafisz, bo chyba ja najbardziej ci zagrażam.

Zamierzał ją pocałować, wiedziała o tym, lecz nie zrobiła najmniejszego gestu, aby go powstrzymać. Tęskniła za jego dotykiem. To nic, że zapomniała o poczuciu przyzwoitości, że nie chciała pamiętać, kim jest Robert i na co mógł się poważyć. To wszystko nie miało znaczenia. Nie liczyło się nic poza dojmującym pragnieniem miłości i ogromnym bólem w sercu, który jedynie on mógł ukoić.

Jego usta były gorące i zdecydowane. Miały smak soli od niesionego wiatrem wodnego pyłu. Rozkoszowała się ich żarem. Uniosła rękę, by zarzucić je kochankowi na ramiona i przywrzeć do niego. Słyszała, jak westchnął głęboko. Na delikatnej powierzchni warg czuła muśnięcia jego rozpalonego języka. Rozchyliła zachęcająco usta, roztapiając się w zmysłowych doznaniach, zwielokrotnionych długim okresem rozdzielenia.

Przyciągnął ją do siebie, zamykając w objęciach. Uniosła się na palcach, wygięła ciało w łuk, pragnąc być jeszcze bliżej, choć spinki jego koszuli boleśnie ją uwierały i z trudem łapała oddech, uwięziona w gorsecie. Przestała zważać na otaczającą rzeczywistość. Nie istniało nic prócz ich dwojga, nocy i morza.

Przesunął się nieznacznie i po chwili poczuła jego dłoń skradającą się i zamykającą na jej piersi. Kciukiem podrażnił wierzchołek. Niepokojące dreszcze, które zrodziły się pod wpływem pieszczoty, zaczęły przebiegać całe ciało Amelii, by skoncentrować się w źródle kobiecej rozkoszy. Jęknęła, wsuwając palce we włosy Roberta, obejmując jego kark.

Pociągnął ją w dół tak, że przyklekła na piasku, następnie sam osunął się przy niej na kolana. Rozpiął jej stanik i zsunął go z ramion. Nachylił głowę, by zakosztować smaku jej bladych piersi. Poczuła na skórze łagodny powiew wiatru, dotyk gorących warg, ciepło oddechu. Ofiarowała kochankowi siebie, kierując w przyptywie oddania jego usta ku swej stwardniałej brodawce. Westchnęła, kiedy wreszcie zwilżył i zaczął ssać wrażliwą powierzchnię. By nie upaść, chwyciła go w pasie. Skoro już tak daleko się posunęli, odważyła się powieść dłonią i wyczuć dotykiem męskość gotową do miłości.

Pod naporem Roberta przewróciła się do tyłu na plecy. On również osunął się na piasek. Objął jej kibić, podparł się na łokciu i pociągnął ją na siebie. Przesunął ją niżej w stronę rozłożonych w kształcie wachlarza fałd spódnicy. Skłonił głowę i odnalazł jej usta, a jednocześnie sięgnął ręką, aby podciągnąć wyżej skraj halki.

Drżała już tak intensywnie, że ledwie odczuła silniejszy dreszcz, jaki przebiegł po niej, kiedy dłoń męczyzny znalazła wolne przejście w rozcięciu jej pantalonów. Jej nabrzmiałe, gorejące i spragnione ciało powilgotniało w odpowiedzi na ekscytującą pieszczotę. Chwyciła się kurczowo kochanka.

- *Dieu*, miej nas w swojej opiece - szepnął Robert i przekręcił się na bok. Rozległ się szelest zdejmowanych spodni. W chwilę potem Robert znalazł się nad nią i muskał rozpalonymi ustami pełne piersi, łącząc jej Ciało ze swoim.

Eksplzja rozkoszy wygięła jej ciało w łuk. Zaciskała powieki, Ignąc do kochanka, pragnąc stopić się z nim w jedno. Zagłębiał się w niej bez końca, a ona wychodziła mu naprzeciw, jak gdyby gwałtowne zjednoczenie ich ciał mogło ukoić żal, który tlił się na dnie duszy, jak gdyby w zamian za osobliwy kompromis w tym rozpaczliwym miłosnym intermezzo czekała ich sowita nagroda.

Szukali siebie, gdy tymczasem morze huczało im w uszach, a fala przyptywu sięgała coraz bliżej. Ślepi i głusi, niebaczni na wszystko poza chwilą wszechogarniającej ekstazy, tulili się do siebie, łącząc z pierwotną siłą życia i śmierci, gdyż dane im było doświadczać bólu miłości.

A ponieważ źródło życia jest łaskawe, otrzymali to, czego pragnęli. Poczuli, jak wraz z gwałtowną eksplozją

rozkoszy ogarnia ich radość spełnienia, po chwili zaś nareszcie dostrzegli mrok, który spowijał ich błogim spokojem.

Amelia leżała bez ruchu. Nie potrafiłaby powiedzieć, jak wiele czasu upłynęło, nim Robert drgnął i wycofał się. Raczej domyśliła się, niż zobaczyła, że pochylił się nad nią. Poczowała w ciemności dotyk jego palców na swojej twarzy.

- Nic ci nie jest?

Jej usta rozchylily się w uśmiechu.

- Nie, wszystko w porządku.

- Lepiej już wracajmy.

Z trudem wyprostowała się i zapięła guziki przy staniku. Robert pomógł jej podnieść się i otrząść piasek. Zanim ruszyli z powrotem w stronę domu, chwyciła go pod ramię, nie mając pewności, czy jej to zaproponuje. Po drodze kilka razy zerknęła w jego stronę, lecz w ciemności nic nie mogła odczytać z jego twarzy. Odnosiła jedynie wrażenie, że idzie krokiem nieco ociężałym ze zmęczenia.

Przy drzwiach do domu zatrzymał się. Wierzchem dłoni przesunął po jej policzku i musnął jej usta pocałunkiem. Potem uwolnił ją i cofnął się.

- Życzę ci dobrej nocy, Amelio.

- Nie wejdiesz? - Nagle się zaniepokoiła. Pocałunek wydał się jej nazbyt zdawkowy.

- Jeszcze nie teraz.

Cóż miała powiedzieć? Bezpowrotnie minął moment, w którym była w stanie otwarcie zaprosić go do swojego łóżka.

- Zatem dobranoc.

Przez kilka sekund jeszcze zwlekała, po czym nie doczekawszy się odpowiedzi, weszła do środka.

Lally nie było. Amelia rozebrała się nie bez trudności i z pewnym poczuciem winy zostawiła strój na podłodze, mając nadzieję, że ta odrobina niedbalstwa będzie uchodzić za główną przyczynę zagniecień jedwabnego materiału. Uklękła i umyła się w balii, do której naląła letniej wody z dzbana. Potem osuszyła się ręcznikiem, nałożyła koszulę nocną. Ziewając wskoczyła do łóżka. Jednakże nie zasnęła od razu. Przez pewien czas czuwała w oczekiwaniu na powrót Roberta.

Nie usłyszała, kiedy wrócił. Była zmęczona i syta wrażeń, więc w końcu zapadła w głęboki sen. Kiedy obudziła się późnym rankiem, Robert zdążył już wyjść po raz drugi. Spakował swoje rzeczy i kazał багаż zanieść na nabrzeże. Pożegnał się z ciotką, nie chciał jednak niepokoić Amelii. Statek miał odpłynąć w południe, zatem za niespełną godzinę, i podążyć w stronę krainy Teche.

Następne dni upływały niezwykle powoli. Pani Declouet, zapewne pragnąc zająć czymś Amelię, zdobyła się na wysiłek i zaproponowała jej zwiedzenie atrakcji Little Deauville, miejsca, które swą nazwą nawiązywało do nadmorskiego uzdrowiska we Francji. Starsza dama przedstawiła Amelię swojemu dobremu znajomemu, właścicielowi hotelu, Dave'owi Muggahowi, który szarmancko poprosił, aby zechciały dotrzymywać mu towarzystwa podczas tradycyjnej herbaty na galerii. Spędziły pół godziny w bardzo miłym nastroju i tym samym zapoczątkowały okres bardziej ożywionych kontaktów towarzyskich.

Wpłynęło też na to pewne zdarzenie, które rozegrało się dwa dni później. Amelia w towarzystwie Isy wybrała się na spacer wzdłuż plaży. Przechodzili przez teren między ich domem a hotelem, przeznaczony na plac zabaw dla dzieci. Kilku malców kręciło się na sporej karuzeli przeznaczonej raczej dla starszych dzieci. Składała się ze stalowego, wpuszczonego głęboko w ziemię słupa i poprzeczek stabilizowanych drutem. Poprzeczki znajdowały się na tyle wysoko nad ziemią, żeby podczas obracania się nie uderzyły maluchów. Przy każdej spośród czterech par poprzeczek znajdował się przypominający ostrogę pręt; wchodziło się po nim, by stanąć na niższej z nich, a trzymać się wyżej. Całe urządzenie było rozpędzane siłą mięśni wyższych dzieci, które następnie wieszały się u stalowych ramion.

Kilka razy, kiedy w pobliżu nie było dzieci, Amelia pozwalała pokręcić się Isie, przy czym sama wprawiała w ruch karuzelę. Wówczas chłopiec niemal piał z zachwytu, jednakże teraz nie wykazywał żadnej chęci do tego rodzaju zabawy. Mogło się zdawać, że dostateczną Pojemność sprawia mu kuśtykanie przy boku swej Pani ze szkicownikiem pod pachą.

Za karuzelą pod dębem siedziały dwie kobiety, jedna z małym dzieckiem na kolanach, druga, w czerni, z dziewczynką przy boku, ubraną również w czerń, ale rozjaśnioną białym fartuszkim. Amelia uśmiechnęła się i skinęła im głową, otrzymując uprzejmą odpowiedź. Nie oczekiwała niczego więcej i już z powrotem patrzyła przed siebie, kiedy od strony wirującej i skrzypiącej karuzeli dobiegi krzyk.

Chłopcu na karuzeli obsunęła się noga z poprzeczki w ten sposób, że wisiał tylko na jednej ręce. W chwili gdy Amelia na niego spojrzała, dłoń nie wytrzymała naporu i chłopiec odpadł. Runął na piasek, potoczył się i zastygł z twarzą do ziemi. Kobiety krzyknęły, dzieci wrzasnęły przenikliwie, przywierając kurczowo do poprzeczek i zaciskając palce. Amelia uniosła spódnicę i zaczęła biec. Ponieważ była najbliżej, pierwsza znalazła się przy malcu i bardzo ostrożnie przekręciła go na plecy.

Miał rozcięte i zakrwawione czoło, ale natychmiast otworzył oczy.

- Upadłem. Nie... nie mogę oddychać.

- Uderzyłeś się mocno. Nie martw się, oddech zaraz wróci - powiedziała Amelia. Jej spokój najwyraźniej podziałał na niego kojąco, bo ponownie przymknął oczy, odprężył się, a już po chwili jego pierś unosiła się i opadała dość miarowym, może nieco tylko przyspieszonym rytmem. Wyciągnęła chusteczkę z za mankietu sukni i przyłożyła ją do rozcięcia na czole.

W tym samym momencie kobieta w żalobie przyklękła obok Amelii. Zza niej wyłoniła się zalana łzami twarzyczka dziewczynki. Kobieta wykrztusiła łamiącym się głosem:

- Czy... czy... on...

- Ależ nie - pośpiesznie odrzekła Amelia.

- Dzięki Bogu - powiedziała kobieta żarliwie. - Och, nie powinnam była pozwolić mu na tę zabawę, jest na nią jeszcze zbyt mały, ale tak mnie prosił. Och, ile tu krwi!

- Rany na głowie krwawią zwykle obficie. - Amelia odwróciła się, by ujrzeć z tyłu drugą kobietę, a tuż za nią rysującego zawzięcie Isę. Z powrotem spojrzała na kobietę, którą z racji uderzającego podobieństwa uznała za matkę chłopca. - Jeżeli ktoś ma jeszcze chusteczkę, może zrobiłabym zastępczy opatrunek, chyba że pani się tym zajmie?

- Nie... nie, proszę robić, co pani uzna za stosowne. - Kobieta w czerni wyjęła z podręcznej torby chusteczkę obszytą czarną koronką.

Chwilę później chłopiec siedział prosto z prowizorycznym opatrunkiem na głowie. Był nieco blady, ale uśmiechnął się mężnie i grzecznie podziękował.

- O, tak - dodała jego matka - oboje serdecznie pani dziękujemy. Proszę pozwolić, że się przedstawię: Frances Prewett. A to mój syn, Augustyn, oraz córka - Maria Idą. - Kiedy kończyła mówić, przyciągnęła do siebie dziewczynkę, która nadal płakała, trąc małymi piąstkami oczy, podczas gdy matka poklepywała ją uspokajająco po plecach.

Amelia popatrzyła na to trio z zainteresowaniem. Przecież już o nich słyszała podczas balu u Morneyów. Kobieta była krewną rodziny Weeksów z Nowej Hiszpanii i podobno owdowiała już dwukrotnie. Amelia przedstawiła się również. Frances Prewett nie dała po sobie poznać, czy już słyszała jej nazwisko. Kiedy jednak odwróciła się, by zaprezentować swoją przyjaciółkę, ta zeszytniała i mocniej przytuliła do siebie dziecko.

Frances jeszcze raz otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale płacz jej córki był tak rozpaczliwy, że zagłuszał wszystko. Ona i Amelia spojrzały na siebie bezradnie. W tym samym momencie Isa postąpił naprzód z wyciągniętym przed sobą szkicownikiem. Amelia wzięła od niego rysunek, ale nie przyglądała mu się specjalnie. Natomiast gdy zobaczyła go dziewczynka, natychmiast przestała płakać.

- O, Tin-Tin! - zawołała ze zdziwieniem, nazywając brata zdrobniale, co było zresztą powszechnym zwyczajem w rodzinach kreolskich i wśród tych, którzy mieszkali w ich pobliżu.

Isa narysował karuzelę i chłopca z szeroko otwartymi oczyma, ustami zaciśniętymi w wąską linię, który, było to widać, stara się ze wszystkich sił utrzymać jedną ręką poprzeczki. Twarz chłopca uderzająco kontrastowała z wyrazem podniecenia i radości na twarzach pozostałych dzieci; karuzela służyć miała przecież zabawie, a nie przysparzać zmartwień.

Tymczasem dzieci właśnie zeskakiwały z poprzeczek. Podbiegły, otoczyły Amelię i zaczęły wyciągać szyje, żeby zobaczyć, co przedstawia rysunek. Ranny chłopiec wstał i też chciał się przyjrzeć, więc Amelia wręczyła mu cały szkicownik.

- Bardzo udany rysunek - powiedziała Frances Prewett.

- O tak, Isa jest bardzo utalentowany - potwierdziła Amelia.

- To miłe, że go pani zachęca.

- Talent Isy jest całkowicie samorodny, zapewniam. Z przyjemnością przyglądam się jego próbom.

- Mam wielką nadzieję, że pani nie odmówi i odwiedzi mnie w porze picia herbaty. Tak bardzo chciałabym w stosowniejszym otoczeniu wyrazić swą wdzięczność za to, co pani zrobiła.

- Dziękuję za zaproszenie, lecz, prawdę mówiąc, zrobiłam niewiele, a poza tym na wyspie przebywam z moją teściową, panią Declouet.

- Zatem cieszyłabym się, gdybym zobaczyła ją również. Proszę też pamiętać o pani młodym artyście. Liczę, że da nam jeszcze próbki swoich umiejętności. - Pokazała na róg rysunku z podpisem Isy, zgrabne zakrętasy, których nauczyła go Amelia.

- Jeśli pani nalega - wyraziła zgodę po krótkiej chwili wahania. Pomyślała, że powinien istnieć jakiś sposób ostrzegania ludzi, iż nie jest się uważanym za odpowiedniego kandydata na znajomego, ale takiego nie знаła. Powiedziała więc: - Lecz... lecz jeśli pojawi się jakaś niespodziewana przeszkoda, proszę przesłać wiadomość do naszego domku.

Jednakże nie pojawiła się żadna przeszkoda. Wybrali się w trójkę - ona, pani Declouet oraz Isa - i zostali przyjęci przez Frances Prewett, której zaraz po przybyciu do hotelu opowiedziano o Amelii, ale nie dała wiary tym rewelacjom. Juliana i Roberta znała od wielu lat i uważała, że każdy głupiec dostrzegłby, iż obaj byli ze sobą zbyt blisko, aby doszło między nimi do skrytobójczego przelewu krwi. Jak na prawdziwą damę przystało, spokojnie i

gładko zmieniała temat. Dość dawno temu miała krewną w jednej z gmin Florydy, przyrodnią siostrę jej dziadka. Nazywała się O'Connor; czy Amelia kiedykolwiek o niej słyszała? Owszem, słyszała. Dama ta była ukochaną przyjaciółką jej ciotki, ale biedaczka odeszła z tego świata przed wielu laty. Jednakże wszyscy wiedzieli, że plantacja należąca do pani Rachel O'Connor dała początek całemu majątkowi Weeksów.

Amelia i Frances były mniej więcej w tym samym wieku, obie zostały wdowami, Frances już nawet dwukrotnie. Przy tym dawała do zrozumienia, że łączy je wiele wspólnego, a Amelia podzielała to odczucie. Frances miała dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa, wkrótce miało przyjść na świat dziecko Amelii. Frances po raz kolejny była zależna od swojej matki, ponieważ nadal nie weszła w posiadanie własnego domu; Amelia znajdowała się w podobnej sytuacji. Po odkryciu tych wszystkich podobieństw młode kobiety odnalazły wiele wspólnych tematów do przedyskutowania. Czas mijał im szybko.

Już następnego dnia Amelia stwierdziła, że częściej spotyka się z życzliwymi spojrzeniami rzucanymi w jej kierunku. Zjawili się z wizytą najbliżsi sąsiedzi, włączając w to państwa Pughów, przewodniczącego Stanowej Izby Reprezentantów, jego małżonkę Józefinę i kilkoro ich dzieci. Zaszczycił ją również pan Michael Schlatre w towarzystwie żony. Pani Declouet powitała ich bardzo gościnnie, ale z odrobiną dystansu. Nie byłoby w dobrym tonie - utrzymywała - sprawiać wrażenie, że zbyt usilnie zabiega się o ponowne przyjęcie do towarzystwa.

Amelia nie zaprzętała sobie głowy subtelnościami tego rodzaju. Uśmiechała się i prowadziła rozmowy tonem uprzejmym, starając się spędzać wolno upływające dni w pogodnym nastroju. Stale gdzieś na obrzeżach jej świadomości pojawiało się jedno pytanie: dlaczego Robert ją opuścił?

Poszukiwanie możliwych odpowiedzi zaprzętało Amelię zarówno wtedy, gdy przechadzała się brzegiem morza, kopiąc od czasu do czasu pokruszone muszle, wyrzucone na piasek wodorosty i kawałki drewna, jak i kiedy jechała konno, czując na twarzy uderzenia ciepłego wiatru, gdy tymczasem nad jej głową krążyły z przenikliwym krzykiem mewy. Również gdy przed zaśnięciem leżała do późna w łóżku i kiedy budziła się rano.

Czyżby uznał, że wypełnił do końca swoje obowiązki wobec ciotki? Czy też był zde gustowany nieobliczalnym postępowaniem Amelii i pełen obaw, że przez swoją słabość pogłębi jeszcze dezaprobatę, z jaką spotykali się ze strony otoczenia? A może przestraszył się, że po nocy na plaży będzie oczekiwała od niego, iż zgodzi się na przywrócenie między nimi bliskich kontaktów, czego nie chciał robić ze względu na zmarłego kuzyna? A czy nie mogło być i tak, iż wykorzystawszy ją, stwierdził, że już nie pociąga go jak dawniej, że jedynie pewne poczucie niebezpieczeństwa zaostrzyło mu apetyt na jej powaby? Albo czy nie odkrył, że pamięć o Julianie psuje ich związek? Że jego pożądanie skażone jest poczuciem winy? Mógł także dojść do wniosku, że po zabiciu Tuliana lub spowodowaniu jego śmierci z jej powodu osiągnął efekt niewart poniesionych wysiłków.

Zadreczała się takimi pytaniami bez końca. Wyspa przestała już mieć dla niej jakiegokolwiek urok i mało interesowało ją, czy będzie uczestniczyć w życiu wypoczywającej tu socjety. Jakież mogły mieć znaczenie te wszystkie herbatki, przyjęcia i inne rozrywki urządzone w kręgu ludzi, którzy swymi sztywnymi manierami sprawiali wrażenie, jak gdyby sami byli o krok od śmierci! Jeśli kiedykolwiek dane im było poznać namiętność albo najwyższą ekstazę miłości, znakomicie to ukrywali. Byli tacy dostojni, napuszeni i pompatyczni, uwięzieni w krawatach i halkach, ze swymi parasolkami i laseczkami, że ta chmara dzieci biegających po wyspie zdawała się skutkiem nadzwyczajnego przypadku.

Cudem było to, że w niej samej rozwijało się maleństwo. Trochę się obawiała, czy podczas namiętnych zmagania z Robertem nie uczyniła mu krzywdy, ale nie. Ani ono nie ucierpiało, ani też jej nic się nie stało. Przypuszczała, że tego typu niewygody mieściły się jeszcze w naturalnych granicach tolerancji jej organizmu.

Czekała na narodziny dziecka z prawdziwą radością. Wreszcie będzie miała coś, a raczej kogoś najbardziej własnego. Z niecierpliwością wybiegała myślami w przyszłość. Wyobrażała sobie, jak tę istotę będzie darzyć bezgraniczną miłością, będzie się z nią bawiła i pomagała dorastać. Nie było dla niej ważne, czy urodzi się chłopiec jak Augustyn, czy też dziewczynka jak Maria Idą. Chciała jedynie ujrzeć to dziecko.

Nie zauważyła, aby Roberta nadmiernie poruszał fakt, że wkrótce zostanie ojcem. Gdyby okoliczności były inne, nadawałby się dobrze do tej roli. Być może przez jakiś czas jako bliski krewny pomoże jej wychowywać dziecko. Ojca potrzebowałby zarówno chłopiec, jak i dziewczynka.

Robert.

Chyba ja najbardziej ci zagrażam.

Byłoby najlepiej, gdyby potrafiła nauczyć się w ogóle o nim nie myśleć. I nie płakać. Chyba że po stracie Juliana. Wtedy byłoby to właściwe. A Julian zasłużył sobie na jej łzy.

Podczas jednej z przejażdżek, kiedy skręciła w drogę, która wiodła w stronę osady składającej się z kilku sklepików, małego targowiska, zaniedbanych pensjonatów i chat należących do stałych mieszkańców wyspy - dostrzegła, tak się jej zdawało, Patryka Dye'a. Nie miała całkowitej pewności, że to on, ponieważ patrzyła w tamtą stronę za ledwie przez chwilę. Stał w drzwiach, rozmawiając z łysiejącym, brzuchatym, nie ogolonym mężczyzną, który miał na sobie parę zabrudzonych spodni na szelkach i wyblakłą czerwoną bieliznę z plamami potu pod pachami. Nadzorca z Belle Grove wyglądał niewiele lepiej, z tą tylko różnicą, że na głowie nosił sfatygowany i brudny kapelusz ozdobiony otokiem z muszli. Patryk, jeżeli to rzeczywiście był on, wyprostował się na jej widok i cofnął do wnętrza gospody, znikając jej z oczu. Mimo wszystko poczuła mrowienie między łopatkami, dopóki nie

zostawiła gospody daleko za swoimi plecami. Była tak zaniepokojona, że wieczorem przy obiedzie opowiedziała o zdarzeniu pani Declouet.

- Och nie, na pewno nie, *ma chère*. Gdyby rzeczywiście zjawił się na wyspie, uprzednio pokazałby się u nas. Po co miałyby tu przybyć, jak nie w sprawach dotyczących plantacji? Nadzorcy nie odbywają podróży dla przyjemności.

- Pewno masz rację, ale widziany przeze mnie mężczyzna był do niego bardzo podobny.

- Nie rozpoznał cię?

Amelia potrząsnęła głową.

- Umknął na mój widok.

- Przesadzasz. Bez wątplenia zobaczyłaś jakiegoś miejscowego rybaka. Mówiono mi, że niektórzy spośród nich nie są lepsi od pospolitych kryminalistów i przed wielu laty schronili się tutaj przed wyrokiem prawa. Z obawy przed rozpoznaniem nieufnie odnoszą się do przybyszy.

- O tak, ostatni piraci - zażartowała Amelia ponurym tonem. - Człowiek, o którym mówię, byłby za młody na podobny życiorys.

- Istnieją inne niegodziwości, za które człowiek pragnąłby uniknąć kary - powiedziała pani Declouet z wyrazem rozpaczy w oczach.

- Na pewno - odparła Amelia, zamykając na razie ten temat.

Jadły ostrygi w sosie szpinakowym, pieczone w skorupkach na podkładzie z soli. Ostrygi łowiono w pobliżu wyspy i świeże dostarczano każdego ranka na targ. Miały wspaniałe, delikatny i łagodny smak. Następną potrawą był smażony na ruszcie kurczak. Lekki posiłek zakończył krem z polewą karmelową i odrobiną brandy. Mówiąc to o tym, to o tamtym, starsza pani odczekała do chwili, kiedy podano kawę, by powrócić do tematu Patryka Dye'a.

- Nie lubisz, zdaje się, naszego nadzorcy?

Amelia podniosła na nią zdziwiony wzrok.

- Nie lubię.

- Uważam, że należy do gatunku najpodlejszego robactwa - stwierdziła otwarcie starsza pani - dokuczliwego jak mysz, która grasuje w zbożu, ale która w gruncie rzeczy nie jest niebezpieczna. Jaka jest twoja opinia?

- Nie bardzo wiem - odrzekła wolno Amelia. - Chyba jest człowiekiem gruboskórnym, bez żadnych manier, zuchwałym, niegodnym zaufania.

- Obawiasz się go?

- Obawiałabym się, gdybym nie miała ochrony.

- Rozumiem - powiedziała pani Declouet. - Albo gdybyś była mu coś winna bądź jakoś inaczej była w jego mocy.

Amelia pochyliła się nad stołem, by dotknąć ręki teściowej.

- Czy nie znalazłaś się właśnie w takiej sytuacji, *M'mere*?

- Ach, nie martw się o mnie, *chère*. Mogę być niedołączna, ale nadal potrafiłabym poradzić sobie z jakimś tam *parvenu*.

Amelia zawahała się, ale w końcu porzuciła swój zamiar. Nie mogła przypierać do muru teściowej już choćby z uwagi na jej dumę i honor rodziny Declouetów.

- Gdybyś mnie potrzebowała - powiedziała łagodnie - zawsze jestem do dyspozycji.

Pani Declouet skinęła głową powolnym ruchem.

- Wiem, że zawsze przy mnie jesteś, gdy tego potrzebuję. Jestem ci za to wdzięczna. Kiedy chorowałam, zajmowałaś się mną jak rodzona córka. Byłaś prawdziwym aniołem, choć nie zasługiwałam na nic więcej niż na wyrzuty. Cierpię teraz, widząc, jak się zadreczasz. Czy pozwolisz, że powiem ci coś bardzo osobistego?

- Ależ tak, oczywiście.

- Nie mam prawa wkraczać w te sprawy, ale skoro nie powstrzymało mnie to w przeszłości, dłaczegóż zatem miałabym mieć skrupuły obecnie? Chodzi o drogiego mi Roberta, siostrzeńca mojego męża. On nie opuścił ciebie z własnej woli, prawda?

- Proszę, zostawmy to - powiedziała Amelia, sztywniejąc na krześle.

- Nie, pozwól mi skończyć. Opuścił cię, ponieważ obawiał się o ciebie i lękiem napawała go siła własnego pożądania. Wrócił do domu, bo wiedział, że nie zdoła nad sobą zapanować; było tak na początku waszej znajomości i jest tak nadal. Nie chciał pograżać cię w udreće, narażać na większą hańbę. Zrobił jedynie to, co mógł w tych okolicznościach. Usunął się.

Jakże uspokajające było to wytlumaczenie! Amelia żałowała, że nie potrafiła dać mu wiary.

- Zrozumiałam. Miło, że mówisz mi o tym.

Twarz pani Declouet zmarszczyła się w smutnym uśmiechu. Lekko potrząsnęła głową.

- Uważam, że koniecznie musisz o tym wiedzieć.

Później, kiedy leżała w łóżku, nagle, tuż przed zaśnięciem, przypomniała sobie te słowa. Zaczęła się zastanawiać, jak to możliwe, by matka Juliana znała myśli Roberta, skąd wiedziała, co czuje, skoro nawet Amelia nie mogła tego wiedzieć. Wkrótce jednak uspił ją panujący wokół spokój.

Wczesnym świtem zerwał się porywisty wiatr. Ciągnął z północy przez małą zatokę, burzył powierzchnię wody,

którą zamieniał w grzywiaste fale, te zaś, z każdą chwilą wyższe, docierały daleko w głąb plaży. W sypialni przy oknie zasłony wydymały się i kłębiły, a wewnątrz wypełniało się bardziej ożywczym powietrzem.

Amelia zadrżała, ale się nie obudziła.

Rozdział XIX

To było wprost fascynujące. Ciemnoniebieskie fale narastały od linii horyzontu. Potężne i wysokie, nadciągały w kierunku wyspy. W połowie drogi zaczynały się załamywać i przelewać, a na ich grzbietach pojawiała się piana. Z wściekłym rykiem uderzały w piaszczysty brzeg, zamieniając jasnozieloną teraz wodę we wrzącą kipiel. Trwała nieustająca procesja: poprzednią falę goniła następna. Wyglądało to tak, jakby każda miała własne życie, syciła się radością krótkiej chwili istnienia, zamierzała roztoczyć swój majestat przed obecnymi na plaży, po czym rozbijała się w pył u ich stóp.

Brzeg był pełen ludzi. Kilkoro miało na sobie stroje kąpielowe i spróbowało kąpieli, ale kiedy jeden po drugim zostali wyrzuceni na piasek przez wściekłe fale, inni stracili odwagę. Wszyscy obserwowali ten przedziwny spektakl jak zauroczeni, wymieniając uwagi ściszonymi głosami. Przez cały czas mieli wiatr w plecy, wiatr, który, ciągnąc od północy, atakował czoła fal oraz spychał wzbijające się strugi wody i piany z powrotem w stronę pełnego morza.

Amelia i pani Declouet siedziały na galerii, przyglądając się podobnie jak cała reszta. Starsza pani miała na ramionach ciepły szal, co dziwnie nie pasowało do tej pory roku. Nie było specjalnie chłodno, tyle że temperatura obniżyła się znacznie po wcześniejszych upałach. Amelia w ogóle nie odczuwała chłodu. Kołysanie morza wprawiało ją w stan osobliwego, ale i przyjemnego podniecenia. Siedząc wygodnie z głową spoczywającą na oparciu plecionego krzesła i z dłońmi opartymi na poręczach, spoglądała w skupieniu na wzburzone wody.

- Ach, *chère*, nie podoba mi się to, bardzo mi się to nie podoba - powiedziała pani Declouet, z większym niż zwykle trudem wypowiadając słowa. - O, tam na plaży jest *m'sieu* Muggah. Z pewnością zna zatokę lepiej niż ktokolwiek inny. Czy nie zechciałabyś zapytać go o opinię?

Amelia ucieszyła się, że będzie mogła przejść się po piasku. Już wcześniej pragnęła poczuć na skórze podmuchy wiatru, ale jednocześnie nie chciała pozostawić zaniepokojonej teściowej samej. Teraz zbiegła po schodach i ruszyła w głąb plaży, gdzie korpulentny właściciel hotelu rozmawiał ze swoimi gośćmi, żywo gestykulując i od czasu do czasu pokazując na wodę.

Na widok Amelii lekko skinał głową.

- Dzień dobry, *madame* Declouet - powiedział. - Co pani myśli o przedstawieniu, które zaaranżowałem dla rozrywki gości przybyłych na naszą wyspę?

- Godne podziwu, sir - odrzekła - tyle że wzbudza niepokój mojej teściowej. Ona obawia się, że skończy się to wszystko potężnym sztormem, i chciałaby poznać pańskie zdanie.

- Jest bardzo mądrą kobietą. Niewątpliwie wygląda to niepokojąco, lecz można ją uspokoić: od sztormu na Karaibach dzieli nas jeszcze znaczna odległość. W końcu do nas dotrze najwyżej deszcz, co będzie bardzo korzystne, bo w cysternach nie ma już wiele wody. Zresztą przeżyliśmy tutaj wiele sztormów i przeżyjemy wiele następnych.

- Nie sądzi pan... że należy spodziewać się huraganu?

Niezwykle gwałtownych wiatrów września z całą pewnością można było się obawiać. Dave Muggah rozejrzał się nieznacznie dookoła siebie, a potem odpowiedział ściszym głosem:

- Któż to może wiedzieć? Mamy dopiero dziewiąty dzień sierpnia, ale huragany zdarzały się i wcześniej. Nie dowiemy się, póki jakiś nie nadciągnie.

- Północny wiatr jest osobliwością o tej porze roku.

Uśmiechnął się pocieszająco.

- Zgadza się. Ale z drugiej strony mamy interesującą odmianę, prawda?

Musiła przyznać mu rację. W tej samej chwili jakaś młoda kobieta, jedna z grupy osób uwielbiających konne przejażdżki po wyspie, zbliżyła się stępa na tyle, że było słyhać jej głos.

- Rozmawiają państwo o sztormie? Jeśli chodzi o mnie, byłabym rozczarowana, gdyby ominął wyspę.

- Doprawdy chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz, moja droga - wtrącił jeden z towarzyszących jej mężczyzn. - Swego czasu znalazłem się na statku podczas znacznie słabszej wichury i nie było to przeżycie, które chciałbym kiedykolwiek powtórzyć.

- Ani ja - dodała kobieta przy jego boku, najwidoczniej jego żona. - Nie chcę przebywać na tym nisko położonym skrawku lądu, gdy morze stanie się bardziej wzburzone. Jeśli do jutra nic się nie zmieni, opuszczam wyspę najbliższym statkiem.

- Och, nie ma powodu do podejmowania aż tak radykalnych kroków, prawda, panie Muggah? - zapytała pierwsza amazonka, zwracając się do właściciela hotelu.

- Mam taką nadzieję. Ludzie mieszkają tutaj od przeszło siedemdziesięciu lat, a to jest już kilka pokoleń. Nie widziałem, aby ktokolwiek z nich szykował się do opuszczenia wyspy. Dotychczas hotel przetrzymał wiele, bo to solidny budynek, mocny i stabilny, podobnie jak większość tutaj. Nie dostrzegam większego niebezpieczeństwa.

Jego słowa zabrzmiały pocieszająco. Amelia popatrzyła w stronę, gdzie kierował swój wzrok - na kłębiaste

chmury ponad ich głowami, pędzone przez wiatr, nieustannie zmieniające kształty i odcienie, od bladej szarości do bieli, poprzetykane srebrnymi promieniami słońca. Wracła do domu, obserwując je i nie mogąc oprzeć się wrażeniu, że one również, tak jak morze, niepokoiły, choć jednocześnie fascynowały.

Następnego dnia, w sobotę, wiatr zmienił nieco kierunek na północno-wschodni. Chmury pociemniały, otulając wyspę szarym kirem, odbierając barwy falom, które stały się jeszcze bardziej potężne i przerażające i toczyły się z większym impetem, by uderzać w brzeg. Od strony ujścia strumienia pchane wiatrem fale wdzierały się na nabrzeże, sięgając coraz dalej i dalej. W powietrzu rozchodził się niewyraźny grzmiący dźwięk, który nie miał swego źródła ani w poruszeniach wody, ani wiatru.

Amelia wstała wcześniej, przeszła wolnym krokiem wzdłuż plaży i pokonała zwężenie łądu, które prowadziło w stronę zatoczki. Mijając zagrodę dla bydła, zobaczyła, że zwierzęta stłoczyły się w zbitą gromadkę i pospuszczały łby. Przez całą drogę towarzyszył jej odgłos łopotania ubrania na wietrze.

Kiedy dotarła na miejsce, stanęła i zapatrzyła się w stronę, gdzie w odległości około dwudziestu, dwudziestu kilku kilometrów rozpoczynał się stały łąd. Brunatne wody zatoczki unosiły się, toczyły i rozlewały na błotnistym brzegu przy jej stopach. Czowała zapach ryb i mułu, jak gdyby poruszenia wody sięgały samego dna. Piskliwe krzyki nad jej głową sprawiły, że spojrzała w górę, by ujrzeć stadko rybitw walczących z przeciwnym wiatrem, ale mimo wszystko zmierzających ku bagnistym brzegom Luizjany.

Zawróciła do domu i szła, skrzyżowawszy ręce przed sobą. Wiatr popychał ją tak silnie, że od czasu do czasu potykała się i podbiegała parę kroków. Porywał piasek, który wzbijał się przy każdym jej ruchu. Kiedy zdarzało jej się odwrócić twarz, czuła na policzkach piekące uderzenia drobin piasku i wodnego pyłu, słyszała odgłos, jaki wydawał obsypywany ziarenkami jedwab sukni.

Po powrocie zastała zaproszenie na bal kotyliowy, który miał się odbyć tego wieczoru w hotelu. Do tego dołączony był bilecik od Frances Prewett z prośbą o niezawodne przybycie. Młoda wdowa stwierdziła w nim, że powinny trzymać się razem w obliczu groźnych sił natury i dodawać sobie wzajemnie sił. Podkreśliła, iż nie należało do dobrego tonu, by damy w ich sytuacji pojawiały się na tego rodzaju imprezach, lecz tym razem okoliczności były szczególnie i zaproszenie można było przyjąć. Ponieważ obie nie miały brać udziału w tańcach, mogły sobie dotrzymywać towarzystwa.

Pani Declouet nie potrafiła od razu rozstrzygnąć, czy powinny wieczorem wybrać się do hotelu. Pomogły jej w tym własne obawy związane z coraz bardziej mrocznym popołudniem. Obecność w większej grupie ludzi pozwoliłaby jej ukoić nerwy, a Amelii nieco się rozerwać, co z pewnością było lepszym rozwiązaniem niż siedzenie w nienaturalnie ciemnym domu i słuchanie, jak wiatr wali w okiennice.

Kiedy już decyzję ostatecznie podjęto, reszta dnia upłynęła na przygotowaniach do wizyty. Pozamykano okiennice, wyniesiono z galerii krzesła i poduchy, przygotowano większą ilość pożywienia, zebrano więcej świec, aby mieć je pod ręką; uzupełniono naftę w lampach. To samo działo się chyba we wszystkich domach wzdłuż wybrzeża, nie wyłączając hotelu, pomimo demonstrowanego optymizmu właściciela.

Tige zabrał ze sobą latarnię, żeby poprowadzić je piaszczystą drogą do hotelu. Pani Declouet przytuliła się do Amelii, żałując z każdym krokiem, że nie została w domu. Z oddali po prawej stronie dochodził do nich gniewny ryk morza i szum spienionych fal. Słyszały również dźwięki kotyliowej kapeli, która grała żwawą, beztroską w nastroju polkę, stanowiącą jak gdyby wyzwanie dla żywiołów nacierających ustawicznie na okna sali balowej, rozświetlonej setkami świec. Światła te, jedyne widoczne z zewnątrz, służyły za drogowskaz i pocieszenie.

Sala balowa, niedawno dobudowana część hotelu, była urządzona zgodnie z aktualną modą. Wisiały w niej mosiężne żyrandole z kryształowymi ozdobami, podłoga z drewnianych klepek była wywoskowana i wypolerowana do olśniewającego blasku, ściany przykrywała tapeta w kolorze morskiej zieleni. Pozostawiono kilka stołów pod ścianami pomieszczenia, ponieważ zwykle służyło ono jako miejsce spożywania posiłków. Wbrew oczekiwaniom Amelii zebrał się całkiem spory tłum. Mogło się wydawać, że wszystkich ogarnęła przemożna potrzeba bliższego kontaktu z innymi ludźmi.

Panowała pogodna atmosfera, a ponad dźwiękami muzyki słychać było rozmowy i śmiechy. Wyczuwało się swoiste sztuczne ożywienie, wywołane zapewne zagrożeniem, z którego wszyscy zdawali sobie sprawę, ale o którym starali się nie myśleć. Głosy kobiet brzmiały czasem nieco zbyt piskliwie, mężczyźni podczas rozmowy gestykulowali za gwałtownie, tańczący na parkiecie przechodzili przez kolejne figury z wielką werwą, patrząc na siebie roziskrzonymi oczyma. Rozmawiano o tym, co się stanie, jeżeli woda znacznie zalewać wyspę. Pewien żartowniś, młody mężczyzna o czarnych oczach i sterczących zawadiacko wąsach, Przedmiot westchnień wielu kobiet, zasugerował, żeby po prostu tańczyli na stołach, dopóki nie zostaną zmyci do morza.

Nie wszystkim dopisywał taki humor. Kilka osób stało przy oknach i wpatrywało się we wzburzone wody zatoki. Oczekiwali na przybycie parowca i zamierzali raczej wejść na jego pokład od razu, niż ryzykować, aż sztorm rozszałeje się na dobre. „Star” ponownie nie przybył na czas, ale nie było w tym nic dziwnego. Niektórzy poddawali myśl, że kapitan Smith ze względu na pogodę w ogóle nie wyszedł z portu albo stanął na kotwicy gdzieś w bezpiecznym miejscu, aby przeczekać nawałnicę. Gdyby to była prawda, musieliby zapomnieć o powrocie i stawić czoło wszystkiemu, co ich tutaj miało spotkać.

W każdym razie Frances Prewett okazała się na tyle spokojna, by serdecznie powitać Amelię i znaleźć dla pani

Declouet miejsce w stosownym dla niej kręgu osób. Oświadczyła, że z przyjemnością przygląda się falom, choć denerwuje się przy tym, lecz co do przebiegu wydarzeń pokłada nadzieję w Stwórcy. Oczywiście byłoby jej lżej na sercu, gdyby Augustyn i Maria Idą pozostali w rodzinnym majątku, ale jej syn tak radośnie przeżywał ostatnie wydarzenia, zwłaszcza od czasu, gdy jakiś džentelmen powiedział mu, że fale są morskimi wierzchowcami, a piana - końską grzywą.

Dla podtrzymania dobrego nastroju Dave Muggah kazał podać szampana; skoro statek wiózł na pokładzie nowy ładunek, można było wykorzystać wszystkie zapasy. Potem muzykanci zaczęli grać żywiej, ponieważ również ich uwzględniono przy roznoszeniu trunku. Pianista uderzał w klawisze ze zwiększoną siłą, pragnąc, by dźwięki fortepianu wyraźniej brzmiały na tle szumu morza i rytmicznego szurania butów, waltornista dał w swój instrument, aż mu powilgotniały oczy; niemiecki skrzypek tak szybko machał smyczkiem, że wkrótce chusteczka, którą podłożył sobie pod brodę, stała się mokra.

Kiedy muzyka na chwilę milkła, z nieodległego pokoju dał się słyszeć stukot kuł bilardowych, a wokół rozeszły się niebieskie smugi aromatycznego, niezwykle wonnego dymu, którego źródłem był słynny lujzański tytoń Perique. Z pokoju karcianego dochodziły odgłosy rzucania kart na stół, co oznaczało, że niektórzy znaleźli jeszcze inny sposób walki ze strachem przed żywiołem.

Szampana podano również do kolacji, na którą złożyły się wszystkie możliwe do pomyślenia gatunki owoców morza, podane zarówno jako dania na gorąco, jak na zimno, w sosach i w majonezach, jako nadzienie w muszelnkach i osobne przekąski. Ludzie tłoczyli się przy zastawionych stołach, jak gdyby byli o krok od śmierci głodowej i mieli już niczego nie wziąć w życiu do ust. W ciągu półgodziny nie pozostał ani jeden kęs, ani pół kieliszka musującego trunku.

Ta chwila okazała się punktem kulminacyjnym wieczoru. Wkrótce potem ktoś zwrócił uwagę na fakt, że „Star” jeszcze się nie pojawił. Stało się jasne, że prawdopodobieństwo przybycia statku było już niewielkie. Zatem znajdujący się na wyspie nie mieli wyboru, musieli tu pozostać.

Stopniowo wesoły nastrój wygasł całkowicie. Goście zaczęli opuszczać hotel. Posłano po Tige’a, który przebywał w kuchni, gdzie służba miała swoje własne przyjęcie. Razem z Lally poszedł przodem, niosąc latarnię, a tuż za nimi podążały Amelia i pani Declouet.

Prawie dochodzili do domu, kiedy Tige drgnął, a następnie zatrzymał się.

- O co chodzi? - zapytała Amelia ściszym instynktownie głosem.

- Nie wiem, *mam’zelle*. Wydawało mi się, że za kuchnią coś się poruszyło.

Amelia wyczuła wzrok, ale poza niewyraźnym zarysem budynku kuchni w bladym świetle latarni nie dostrzegła niczego szczególnego. Niebo było tak zachmurzone, że wszystko inne tej wietrznej nocy tonęło w mroku.

- Może było to coś, co przygnał wiatr?

- Zdawało mi się, że widzę człowieka.

- Wejdźmy do środka - wtrąciła się pani Declouet.

Poszli dalej, ale tym razem znacznie wolniej i czujniej. Amelia nie odrywała oczu od ciemności za kuchnią. Mógł tam się schronić ktoś ze służby, kto chciał ukryć fakt, iż wymknął się bez pozwolenia, albo człowiek wysłany z jakimś sekretnym zleceniem. Mogło być też i tak, że jakieś zwierzę - koń albo krowa - wydostało się z zagrody i błąkało w ciemności, a widziane niewyraźnie pod jakimś kątem, mogło przypominać postać ludzką. Jeśli było to jeszcze coś innego, nie mieli lepszego rozwiązania jak zamknięcie się czym prędzej w domu. Dotychczas żaden letni dom nie został naruszony podczas sezonu zimowego, Amelia o tym wiedziała, ale w samej osadzie na Isle Derniere mieszkali ludzie, za których zapewne nikt nie chciałby ręczyć.

Wewnątrz domu pani Declouet zatrzymała się, położyła dłoń na sercu i westchnęła z ulgą. Amelia również odetchnęła. Kręcąc głową i kpiąc z Tige’a, że widzi rzeczy, których nie ma, czekała, aż Lally przyprowadzi służącą teściowej. Posłała obie do sypialni starszej pani, po czym odwróciła się i odeszła do swojego pokoju.

Nie mogła zasnąć. Wybiło ją ze snu narastające zawrodoenie wiatru, stukanie okiennic. Huk morza zdawał się trząść fundamentami domu, wprawiać w drżenie moskitierę. Z szeroko otwartymi oczyma wpatrywała się w ciemność; myślała, choć starała się nie myśleć.

Jakże byłoby inaczej, gdyby Robert znajdował się przy niej! Mogłaby położyć dłoń na jego piersi, opuszkami palców przesunąć w dół po płaskim brzuchu, i jeszcze niżej, do miejsca, które świadczyło o tym, że jej pragnie. Przytuliłaby się do niego, oplotła nogami, naga, oddana mu bez reszty. Stopiłaby się z jego ustami, wdarła do środka językiem. Zanurzyła palce w jego włosy, wdychała jego zapach, upajała jego siłą, rozczulającą delikatnością, mocą lędźwi, kiedy przyjmowałaby go w sobie. Tak bardzo go pragnęła, że zanurzyła twarz w poduszce, przycisnęła ją do siebie i rozplakała się, zwilżając łzami płócienną poszewkę i puch wewnątrz.

Tuż przed świtem zaczęło padać. Lekka, rozpraszana wiatrem mżawka padała z ołowianego nieba. Jednakże chmury nadal były skłębione, a morze przy brzegu kipiało, niszcząc bezlitośnie piaszczystą plażę. Każda następna fala była potężniejsza od poprzedniej. Tymczasem wody Caillou Bay, stale przybierając, atakowały północny brzeg wyspy. Zdawało się, że nic nie jest w stanie powstrzymać dwustronnego ataku żywiołu, zapobiec utracie kolejnych połaci ładu, w końcu zaś całkowitemu pochłonięciu.

Amelia, która w szlafroku kręciła się po domu od kilku godzin, ubrała się w światło lampy. Zdecydowała się na

jedną ze starszych, ale wygodnych sukni żałobnych z pojedynczą halką i zrezygnowała ze stelaża. Spakowała bagaże na wypadek, gdyby „Star” wreszcie przybył, a teściowa zdecydowała się wracać do Belle Grove. Poczuvszy zapach kawy, wyszła z pokoju i przeszła do salonu, gdzie Marta przygotowywała aromatyczny napar nad małym ogniem w kominku.

Śniadanie Amelii składało się z bułki popitej większą ilością kawy. Czas upływał powoli. Pani Declouet nie czuła się dobrze. Leżała na sofie w salonie, napomykając od czasu do czasu o przeniesieniu się do hotelu. Uważała, że tak będzie bezpieczniej. Amelia nie podejmowała tematu, bo chociaż w pełni zdawała sobie sprawę, że Jedne domy lepiej znoszą ataki wiatru niż inne, to jednak była głęboko przekonana, iż starsza kobieta wcale nie musi podejmować trudu przeprawy przez piasek do największej budowli na wyspie. Takie samo zdanie miała na temat próby dostania się na statek, gdyby nawet przybył.

Nie mając po porannym posiłku niczego innego do roboty, Marta usiadła w fotelu na biegunach i zaczęła się kołysać tuż przy strzelających w górę płomieniach, mrużąc pod nosem jakąś pieśń. Zaraz potem dołączyła do niej Paulina i obie kobiety cicho podjęły melodię. Lally i Tige, ściskając się za ręce, skulili się w kącie. Natomiast Isa chodził za Amelią od jednego okna do drugiego i naśladował ją, wyglądając na zewnątrz przez szpary w okiennicach. Płatał się Amelii pod nogami, ilekroć się odwracała. W końcu, aby nie musieć na niego krzyczeć, zachęciła go do narysowania wzburzonego morza.

Około południa przez jedno z okien złowiła wzrokiem coś, co wyglądało na światła parowca, przebijające się poprzez prawdziwą już teraz ulewę. Odwróciła się, podbiegła do drzwi i wypadła na galerię, nim ktokolwiek spostrzegł, co robi. Pani Declouet zawołała za nią z sofy, na której leżała z różańcem w ręku, ale Amelia nie odpowiedziała.

Gdy stanęła przy skraju galerii, już wyraźnie widziała statek - ciemny kształt z punktami światła za szarą zasłoną deszczu. Parowiec stał na kotwicy przy ujściu rzeki, dym z komina kładł się płasko, zdmuchiwany porywami wiatru. Wyglądało na to, iż kapitan Smith nie spieszył się z przybijaniem. Być może miałby kłopot z dokładnym określeniem ujścia Village Bayou, a obawiał się, żeby z powodu deszczu i wysokiego poziomu wody wiatr nie zepchnął na ląd statku o dużej przecież powierzchni bocznej. Amelia podejrzewała, iż kapitan prawdopodobnie czeka, aż sztorm nieco osłabnie, by spróbować przybić do brzegu.

Poza statkiem stojącym na kotwicach nie było widać nic więcej. Amelię po kilku minutach wystawania pod gołym niebem zmusiły do powrotu padający deszcz i niesione wiatrem ostre drobiny piasku, od których piekła ją twarz. Minęło południe, ale nikt nie odczuwał głodu. W końcu jednak zjedli coś, ponieważ uznali za ważne, żeby w rozkładzie dnia zachować jakiś porządek.

Potem Amelia ponownie wyszła na galerię, tym razem z opiekany w cieście jabłkiem w jednej ręce i filiżanką kawy - w drugiej. Skończyła posiłek, stojąc w miejscu najbardziej osłoniętym od wiatru, mocno przytrzymując naczynie. Obserwowała spienione, skotłowane przybrzeżne fale. Docierały bliżej domu, mniej więcej do połowy odległości między domem a linią dzielącą zazwyczaj brzeg i morze. Zadrżała lekko, ścisnęła pustą filiżankę, odbierając jej ostatek ciepła, i przeszła na drugi koniec galerii rzucić okiem na parowiec.

Stał w tym samym miejscu, widoczny jako niewyraźny kształt za mniej lub bardziej przejrzystą zasłoną deszczu. Amelia spoglądała w tamtą stronę, nie zważając na wilgoć, którą przesiąkało jej ubranie. Parowiec kołysał się na kotwicy, podczas gdy nadbudówka przypominała żagiel przed nabraniem wiatru.

Nagle bez żadnego ostrzeżenia pękł łańcuch przytrzymujący statek na przedniej kotwicy. Żaden szczególnie odgłos nie doszedł do Amelii, zobaczyła tylko, jak ciężki łańcuch niby bat zawinął się do góry, a potem opadł luźno na burtę, statek zaś odwrócił się gwałtownie. Druga kotwica nie była w stanie utrzymać w miejscu obciążonego maksymalnie parowca i również się zerwała. Duża łódź jak dziecięca zabawka ruszyła popychana wiatrem w stronę brzegu. Uderzyła w błotniste nabrzeże z trzaskiem, który wprawdzie niewyraźnie, lecz dobiegł do uszu Amelii. Parowiec przechylił się nieco na jedną burtę, ale się nie przewrócił.

Szkoda wydawała się niewielka, jednakże po chwili mężczyźni - prawdopodobnie załoga statku oraz męska część pasażerów - zaczęli wychodzić na zewnątrz z narzędziami w rękach: piłami, młotami, drągami. Zabrali się do niszczenia nadbudówki, uderzając w kolejne segmenty bogato zdobionych kabin, rozbijając poręcze. Tymczasem wiatr targał ceratowe okrycia, a nawet zerwał pelerynę jednemu z mężczyzn. Amelia nie miała pewności, ale zdawało się jej, że ich zamiarem jest zmniejszenie podatności statku na podmuchy wiatru, by nie był spychany głębiej w stronę lądu ani z powrotem w głąb zatoki, gdzie mógłby zatonać ze względu na uszkodzenie poszycia.

Spojrzała w kierunku hotelu. Spodziewała się, że dostrzeże tam wielu pragnących wejść na pokład statku. Jeśli tak nawet było, nic na to nie wskazywało. Najsolidniejszy budynek na wyspie miał szczelnie pozamykane okiennice, pobliskie drzewa palmowe kołysały się gwałtownie w podmuchach wiatru. W pewnej chwili duży zielony liść odłączył się od jednej z gałęzi i poszybował do góry w stronę burych chmur.

Nagle Amelia poczuła, że na jej ramieniu zamyka się czyjaś dłoń. Drgnęła i mrużąc oczy przed wiatrem, odwróciła się gwałtownie, gotowa złajać Isę za to, że wyszedł za nią.

Przed nią z uśmiechem na twarzy stał Patryk Dye. Poły jego ceratowej peleryny łopotały, drgało skrzydło zniszczonego, mokrego kapelusza. Oczy błyszczały mu dziko, policzki miał ocienione kilkudniowym zarostem. Wpatrując się w jej przerażone oczy, mocniej zacisnął palce na jej ramieniu.

Szarpnęła się, cofając o krok; oparła się o balustradę.

- Co tutaj robisz?

- Załatwiam interesy - odparł, przeciągając głoski i nachylając się, by mieć pewność, że go słyszy. Chuchał jej przy tym w twarz oparami whisky. - Wejdźmy do środka.

Ruszyła w kierunku drzwi, lecz kiedy znalazła się poza zasięgiem deszczu, zatrzymała się.

- Nie najlepsza teraz pora na podobne dyskusje - powiedziała, unosząc głowę. - Nie można tego odłożyć?

- Nie mam ochoty niczego odkładać. - Irlandczyk zbliżył się, chwycił ją za łokieć i pchnął ku drzwiom. - Straciłem już prawie dwa tygodnie, myśląc, że Farnum ciągle jest tutaj. Nie zamierzam więc dłużej stać z boku.

- Tige widział cię ubiegłej nocy. Szpiegowałeś nas. - Nie umiałaby powiedzieć, dlaczego była tego pewna.

- O tak, to byłem ja - przyznał. Zuchwały, porozumiewawczy uśmiech wykrzywił mu kąciki ust. - Również ja zaglądałem przez szpary w okiennicach do twojego pokoju. Nie wiedziałaś o tym?

Zmroziła go spojrzeniem, szarpnęła się, ale nie zdołała wyswobodzić ręki. Nagle przyszło jej do głowy, że rozsądniej będzie stawić czoło intruzowi w obecności innych, niż pozostawać z nim w ciemnej galerii.

- Zatem wejdźmy do środka.

- Wejdźmy - zawtórował z lisim uśmiechem na twarzy.

Ruszyła do drzwi, a on podążał za nią, dopóki nie zatrzymała się, żeby je przed nią otworzył. Uspokoila się nieco, gdy zastosował się do obyczaju. Ostrożnie, żeby się o niego nie otrzeć, przekroczyła próg.

Aby oszczędzić teściowej zaskoczenia, nim przeszli, do salonu, powiedziała podniesionym głosem:

- Spójrz, *M'mere*, kogo znalazłam na zewnątrz: *m'sieu* Dye we własnej osobie.

Starsza pani spojrzała w górę, a jej pergaminowa cera przybrała żółtawy odcień. Jednakże opanowała się na tyle, żeby w miarę spokojnym tonem powiedzieć:

- To niespodzianka, jestem doprawdy zdziwiona.

Nadzorca stanął z szeroko rozstawionymi nogami i rękoma opartymi na biodrach.

- Pewnie, pewnie. Przypuszczam jednak, że nie jestem zupełnie nieoczekiwanym gościem.

- Nie spodziewałam się żadnych odwiedzin - odrzekła z godnością pani Declouet. - Mimo to zechce pan usiąść.

- Wolałbym raczej zamienić z panią słowo na osobności, *madame* Declouet.

- To niemożliwe! - wykrzyknęła Amelia. - Nie istnieje nic, czego nie mógłbyś powiedzieć tutaj w obecności wszystkich.

Patryk spojrzał na nią gniewnie, potem z powrotem przeniósł wzrok na starszą kobietę.

- No tak, nic o tym nie wiem. Przyznam się, że nawet nie bardzo rozumiem. Chyba czegoś nie dosłyszałem.

Amelię wyprowadzał z równowagi bezczelny ton głosu tego człowieka, nie podobał się jej również wyraz twarzy teściowej, pełen przerażenia i rezygnacji. Już otwierała usta, aby zdecydowanie dać wyraz swoim odczuciom i uświadomić nadzorcy niewłaściwość jego postępowania, kiedy odezwała się pani Declouet:

- Chyba będzie lepiej, jeśli przejdziemy do mojej sypialni.

Propozycja starszej pani, niestosowna pod każdym względem, zdumiewała bardziej niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Głos Amelii zabrzmiał ostro:

- To nie będzie konieczne. Ja pójdę do swojej sypialni, a pozostali udadzą się do pokoju stołowego.

W swoim pokoju Amelia stanęła za drzwiami i przysłuchiwała się bez najmniejszych skrupułów. Dochodził do niej wyłącznie chropawy głos Patryka. Nie zdołała rozróżnić poszczególnych słów. Na zewnątrz wiatr zaczął zawodzić jeszcze głośniejsze, hucząc pod okapem domu i zagłuszając inne dźwięki. Wiele mogło być powodów przybycia nadzorcy: kłopoty w Belle Grove, wiadomość o zabójcy Juliana, niebezpieczeństwo grożące Robertowi. Odrzuciła je wszystkie. Miała głębokie przeczucie co do prawdziwej przyczyny jego odwiedzin, czekała jedynie, by je potwierdzić i dopiero wówczas zaatakować.

Ostrożnie przekreśliła mosiężną gałkę, uchyliła ciężkie skrzydło drzwi. Teraz słyszała lepiej.

- ...nie zostałem powiadomiony o tym wyjeździe. Jak można było mnie tak zaskoczyć? Jakbym i tak nie miał dość kłopotów, to na dodatek muszę wlec się do tego miejsca na krańcu świata i czekać nie wiadomo ile, żeby rozmówić się z tobą, szanowna pani, bez udziału ukochanego siostrzeńca. Winna mi jesteś co nieco, zjawiam się więc, aby się o to upomnieć.

- Dobrze ci zapłaciłam...

- Za mało i nie za wszystko. Omal nie straciłem życia!

- To Julian stracił życie - wtrąciła pani Declouet drżącym głosem.

Amelia zmarszczyła brwi. Nie tego się spodziewała.

- Nie moja wina. To bez różnicy, bez najmniejszej różnicy. Trzymałem język za zębami i coś mi się za to należy. Jesteś bogata jak krezus. Nie zdołałabyś tego roztrwonić.

- Nie mam wiele przy sobie - powiedziała starsza pani z wahaniem. - Nie jesteśmy w Belle Grove.

- Wezmę tyle, ile masz. Resztę przekażesz mi, kiedy wszyscy powrócimy nad Teche. - Patryk sprawiał wrażenie, jakby napawał się brzmieniem swojego głosu, w którym wyczuwało się wyraźnie triumfalne tony, rozkoszował dominującą pozycją wobec kobiety, która była przeciwieństwem jego pracodawczynią.

Amelia nie była w stanie dłużej tego słuchać. Otworzyła drzwi na oścież, przecięła hol i wkroczyła do salonu.

- A więc - zaczęła oskarżycielskim tonem - zjawiłeś się tutaj, aby szantażować moją teściową. Tego się właśnie spodziewałam. Wiedziałam, że jesteś nikczemnikiem, ale nie znałam granic, do jakich możesz się posunąć.

Pani Declouet przycisnęła dłonie do piersi, jej twarz wykrzywił grymas bólu. Patryk najpierw skulił się, potem powoli wyprostował, gdy dostrzegł, że przyszła sama i bez broni.

- Zdaje się, że postanowiłaś wściubić swój nos w moje osobiste sprawy - powiedział wolno.

- Te twoje obrzydliwe, ciemne sprawy są tego rodzaju, że uznałam to za konieczne!

- Bardzo łatwo mogę cię wprowadzić w te ciemne sprawy. Nie będziesz musiała podsłuchiwać rozmów na tematy, które ciebie w ogóle nie dotyczą. - Przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, ruszając w jej kierunku.

- Dziękuję, obejdzcie się. Chcę, abyś opuścił ten dom i przestał zadrećzać moją teściową wypominaniem przeszłości Juliana, przestał ją nagabywać o pieniądze. Radzę ci udać się do Belle Grove, spakować rzeczy i wynosić się, ponieważ kiedy Robert usłyszy o tym, i tak stracisz pracę.

- Amelio, nie, proszę - szepnęła starsza pani, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Patryk z satysfakcją roześmiał się wprost w rozgniewaną twarz Amelii.

- W tej kwestii mam inne zdanie.

- Nie znasz więc Roberta Farnuma.

- Znam go dobrze. Nie będzie chciał, aby tajemnica Juliana wyszła na światło dzienne. A już na pewno nie puści w świat prawdziwej opowieści o śmierci swego drogiego kuzyna.

Amelia oniemiała z przerażenia:

- Co... co masz na myśli? - wykrztusiła.

- Nie wiesz?

Czyżby nadzorca chciał przez to powiedzieć, że Robert zabił Juliana? Niepodobna! Nagle zrodziła się w jej duszy niezachwiana wiara, niemal pewność, że jednak prawda musiała być inna.

- Moim zdaniem nie może być nic bardziej okropnego, niż pozwolić takiemu łajdakowi, jakim ty jesteś, rządzić nami przez szantaż i insynuacje!

- Jaka potrafisz być żywiołowa pod tą maską chłodu i sztucznego dostojeństwa - powiedział, zniżając głos, w miarę jak podchodził do niej coraz bliżej. - Przeczuwałem to. Nie trzeba było marnować tego dla Farnuma. Ale w porządku, nie mam pretensji. Nigdy nie wybrzydzałem na resztki z pańskiego stołu. A już na pewno nie będę wybrzydzał, jeżeli idzie o kobietę taką jak ty. Myślę, że z przyjemnością cię obłaskawię, nauczę mnie zadawałać. Tak, będziesz miała swój udział w całym przedsięwzięciu. Wydaje się, że możesz być moją zapłatą.

- Nie! - krzyknęła pani Declouet, odrzucając na podłogę szal, którym była przykryta, i podnosząc się na nogi.

- Oszalałaś, jeżeli sądzisz, że się zgodzę - rzekła stanowczo Amelia, wydymając pogardliwie wargi. - Opowiadaj swoje obrzydliwe historyjki. Ciekawe, kto ci uwierzy, kiedy wszyscy będą widzieli, że noszę w sobie dziecko Juliana.

Patryk najpierw otworzył szeroko oczy ze zdziwienia, potem roześmiał się chrapliwie.

- Juliana? Już prędzej Farnuma.

- Juliana zgodnie z prawem i Juliana, ponieważ potwierdzę to, gdybyś zdecydował się powiedzieć coś przeciwko mojemu mężowi. - Kiedy to mówiła, czuła się silna i pewna siebie.

- A co powiesz o jego zabójcy?

- Och nie, nie! - błagała pani Declouet, idąc chwiejnym krokiem w ich kierunku.

- To... to był wypadek... - zaryzykowała Amelia, speszona ostrym spojrzeniem jego zielonkawobrazowych, wyrażających satysfakcję oczu.

Patryk odchrząknął.

- Czyżby?

- Nie mogło być inaczej.

- Nie bądź dzieckiem. Julian nie musiał obawiać się wody. Pływał w Teche prawie od urodzenia. Myślał, że jest niepokonany, że może wydzielać pieniądze jak jałmużnę według swego upodobania. Uważał, że zdoła ukrywać swój sekret przez całe życie, postara się o ojca dla swoich dzieci, utrzyma pozycję w otoczeniu, będzie miał ciebie jako żonę bez wyrzekania się swoich nienormalnych upodobań. Chciał tego wszystkiego jednocześnie i uznał, że to wszystko mu się słusznie należy. Mój Boże, co za bękart! Ale ja mu jeszcze pokażę. Będę miał wszystko, co do niego należało, włącznie z tobą.

Jedną ręką objął ją za szyję, pociągnął do siebie. Wilgotnymi ustami przesunął po jej policzku, gdy próbowała się uwolnić z uścisku; drugą rękę położył i zamknął na wypukłości jej piersi.

- Przestań! Powiedziałam: przestań! - zawołała pani Declouet, szarpiąc go za ramię.

Odepchnął ją.

- Trzymaj się z daleka, damulko!

- Nie, nie pozwolę ci na to! - Ponownie chwyciła go za rękę.

- Zejdź mi z drogi! - Zamachnął się i ugodził starszą kobietę łokciem w klatkę piersiową, aż krzyknęła i zatoczyła się. Zaczepiła o krawędź sofy, potknęła się i upadła na podłogę. Próbowiła się podnieść, ale tylko wydała z siebie charczące westchnienie i opadła bezwładnie. Potem już leżała bez ruchu.

- Coś ty zrobił?! - zawołała Amelia. Wyszarpnęła się wreszcie i chciała podbiec do teściowej. Zdążył ją jednak pochwycić i przesunąć pod ścianę. Napierał na nią całym ciężarem ciała, naciskał biodrami, pokonując opór materiału jej spódnicy i halki.

- Zapomnij o niej - mruknął - ty masz inne zmartwienia.

Odpychała go od siebie, wykręcała twarz z jednej strony na drugą, gdy próbował złączyć swe wargi z jej ustami.

- Jest chora, trzeba...

- Jest starą suką, która chciała wysłać Juliana na drugi koniec świata dla jego dobra i tym samym przyczyniła się do tego, że go zabito.

- Co takiego? Nie...

- Ależ tak! Wiem dobrze, bo sam narailem jej dwóch mężczyzn, którzy mieli go zabrać.

Wykorzystał moment, kiedy znieruchomiała w zdumieniu, by wreszcie zamknąć jej usta gorącym i wilgotnym pocałunkiem. Oddech miał kwaśny, zalatujący whisky, usta odpychające. Kopnęła go, a kiedy odwrócił się bokiem, żeby uniknąć jej kolana, pochyliła głowę i wykręciła się z uścisku. Rzucił się za nią, ale odskoczyła w bok i stanęła za sofą. Domyślała się, że mówił o marynarzach, których niegdyś szukała w Nowym Orleanie.

Oddychając szybko i płytko, wykrztusiła:

- Umawiałeś się z mężczyznami, którzy go zabili. Twoja wina jest taka sama jak ich.

Powoli skradał się w jej kierunku, szeroko rozłożył ramiona i błyszczącymi oczyma obserwował, kiedy ruszy do ucieczki.

- Och, oni go przecież nie zabili. Był zbyt sprytny, żeby mu dali radę. Jednego nawet powalił i zepchnął do rzeki. Dopiero ja musiałem uderzyć go lufą mojej strzelby.

Na moment zaniemówiła, potem z trudem, ochryplym głosem wykrztusiła:

- I to właśnie ty zdecydowałeś się wrzucić go do rzeki.

- Nic lepszego nie przychodziło mi do głowy, skoro już wszystko zostało powiedziane i sprawy zaszły tak daleko. Zagroził, że przestanie mi płacić. Z twojego powodu. Poza tym zawsze istniało niebezpieczeństwo, że nie zdołają go zatrzymać, jeżeli statek nie będzie na pełnym morzu. Pod jego nieobecność starsza pani byłaby w moich rękach.

Nie spuszczała z niego posmutniałego, lecz mimo wszystko uważnego wzroku.

- Jeżeli statek nie będzie na pełnym morzu?

- Miał popłynąć do Chin. Wspaniały pomysł, prawda? Jego kochająca *maman* liczyła, że nim stamtąd wróci, pozbędzie się swej niefortunnej skłonności do chłopców.

Amelia rzuciła okiem na teściową. Usta starszej kobiety były blade, bezkrwiste i sinawe. Najwyraźniej potrzebowała pomocy. Na końcu pokoju coś się poruszyło. Amelia zobaczyła, że Isa wyszedł z pokoju stołowego i zatrzymał się w drzwiach do salonu, jego ręka nadal jeszcze spoczywała na gałce.

Patryk uśmiechnął się, szczerząc zęby. Nagle wskoczył jedną nogą na sofę, podparł się rękoma i przeniósł ciężar ciała na drugą stronę. Dopadł do Amelii, nim zdążyła ruszyć się choćby o krok. Porwał ją w ramiona, przyciągnął do siebie, potem przechylił przez oparcie sofy i zmusił, by na nią opadła.

- Chciałem dostać się pod twoją spódnicę od chwili, kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy. Wiedziałem, że tak czy inaczej, wcześniej albo później osiągnę cel.

Kolanem przytrzymał jej nogi, nadgarstki zamknął w uścisku jednej dłoni, drugą ręką zaczął manipulować przy dekolcie.

Czując jego palce wpijające się w jej ciało, Amelia wygięła plecy w łuk, obróciła się, wykręciła nadgarstki. Puścił ją na moment, ale tyle wystarczyło, żeby zdążyła rozorać mu twarz paznokciami. Odrzucił głowę do tyłu, ale na jego policzku pojawiły się cztery krwawe rysy.

Rzucił jakieś przekleństwo, wykrzywił twarz w grymasie bólu, zamierzył się szeroko i otwartą dłonią uderzył Amelię w twarz. Głowa odskoczyła jej na bok, poczuła w ustach smak krwi z rozciętej wargi. Jak rozwścieczona pantera skoczyła, zrzuciła go z siebie, podniosła się na kolana. Patryk stracił równowagę i upadł do tyłu na podłogę. Błyskawicznie zsunęła się z sofy i prawie się o niego potykając, rzuciła się do drzwi.

Już po chwili był za nią, słyszała za sobą tupot jego butów. Przebiegła przez próg, pomknęła przez hol, wpadła do swojej sypialni, przytrzymała plecami skrzydło drzwi, by je docisnąć i przekręcić klucz w zamku, ale już nie zdążyła. Została odrzucona w tył, kiedy drzwi gwałtownie ustąpiły pod naporem męskiego ramienia. Zaczęła się cofać, czując, jak jej włosy uwalniają się z luźnego koka, gubią spinki i spływają w dół na piersi.

Patryk zbliżał się do niej. Z jego oczu odczytywała radość z tego, że będzie mu się opierała, i pewność ostatecznego triumfu. Rozejrzała się na boki w poszukiwaniu jakiejś broni, czegokolwiek, czym mogłaby mu pokrzyżować szyki. Nie obawiała się, że może ją posiąść fizycznie, ale raczej tego, iż byłaby poddana jego władzy i widziałyby błysk satysfakcji z tego powodu w jego oczach.

Rzuciła się do łóżka, skąd podniosła ciężki wałek, który służył do wygładzania materacy. Wyglądał na groźną broń. Uderzyła nim gwałtownie, z dziką radością, czując, że trafia w ramię. Nie miała okazji powtórzyć ataku, gdyż Patryk wyszarpnął jej wałek z rąk i cisnął nim o ścianę. W rozpaczliwym pośpiechu chciała uciec w bok, ruszyła nawet, lecz jej prześladowca zdążył chwycić ją za włosy i owinać je sobie wokół dłoni.

Ból wycisnął jej z oczu łzy. Zamrugła, palce zacisnęła w pięści, zwarła szczęki i z wysokości piersi wyprowa-

dziła cios, celując przy tym w brodę. Nie trafiła dokładnie, ale przynajmniej zyskała tyle, że głowa Patryka odskoczyła do tyłu, a on sam zachwiał się i uwolnił jej włosy. Jeszcze raz spróbowała zostawić go za sobą, jednak skoczył za nią, zagarnął ją w pasie, po czym oboje runęli na podłogę. Upadł na nią z taką siłą, że z jej płuc uleciało powietrze, a w oczach pojawiły się wirujące cienie.

Leżała jak ogłuszona, bez tchu. Czuła, że rozrywa na niej materiał stanika, obnażając piersi. Przywarł do jednej z nich ustami, a jego ręka powędrowała niżej, by podciągnąć do góry skraj spódnicy.

Wówczas rozległ się piskliwy, przejmujący dźwięk. Z krzyku powstały słowa:

- Nie, nie, nie, tylko nie *petite maitresse!*

To wołał Isa, który nadbiegł z niebieskim wazonem w rękę. Uniósł naczynie do góry i opuścił na kark Patryka. Wazon rozbił się na kawałki, a na kołnierzyk koszuli nadzorcy zaczęła spływać krew. Za chłopcem ukazał się Tige z krzesłem trzymanym za oparcie i Lally dzierżąca żelazko. Przy drzwiach czuwała Paulina ze szkatułką zdobioną muszlami w obu dłoniach i Marta z przekrzywioną chustką na głowie, szeroko otwartymi oczyma, ale ściskająca w masywnej dłoni uchwyt srebrnego dzbana.

Patryk zaklął głosem przepelnionym wściekłością. Poderwał się na nogi, stanął nad Amelią. Sięgnął do karku i jeszcze raz zaklął, kiedy na palcach zobaczył krew.

Amelia odetchnęła, powoli wyprostowała się, trzymając Isę za rękę. Zebrała z przodu jedwabny materiał, wsparła na kolanie, a potem, nie bez trudności, wstała.

Obserwując Isę, który objął Amelię w pasie i przytulił się do niej, Patryk sięgnął do kieszeni po chusteczkę, by przyłożyć ją sobie do rany. W momencie, kiedy uwaga pozostałych była rozproszona, ze złożonej chusteczki wy dobył błyskawicznym ruchem scyzoryk. Odepchnął Isę, chwycił Amelię za ramię i przyłożył do jej gardła dość długie, wąskie ostrze.

- Wynoście się! Wynoście się, czarnuchy. Wracajcie, skąd przyszliście, i pomyślcie choć przez chwilę, jak wam wygarbuję grzbiety za przeszkadzanie, kiedy biały człowiek zażywa przyjemności.

- A co ja mam sobie pomyśleć?

Słowa te, choć wypowiedziane spokojnym tonem, zabrzmiały ostro i groźnie. Wypowiedział je Robert.

Wszyscy zamarli. Isa nie uwolnił Amelii, którą trzymał, jak gdyby brał udział w grze, przeciwko Patrykowi, polegającej na tym, kto przeciągnie ją na swoją stronę. Nadal trzymał w rękę szyjkę od rozbitego wazonu. Amelia czuła, że kanciasta krawędź naczynia wpija się jej w biodro. Powoli sięgnęła do tyłu i wyjęła spomiędzy palców chłopca kawałek wazonu.

- Cokolwiek, stosownie do uznania - warknął Patryk - ale lepiej usuń się, chyba że chcesz patrzeć, jak potnę żonę twojego kuzyna.

- Późne słowa - odrzekł Robert, przechodząc między Paulina i Martą. Obszedł Lally i stanął przy Tige'u.

- Ostrzegam cię - powiedział Patryk. Mocniej zacisnął dłoń na ramieniu Amelii; ostrze noża drżało tuż przy jej szyi.

Z powodu swej bezsilności, przez którą znalazła się w takim położeniu, wpadła w furję. Kurczowo zacisnęła palce na skorupie wazonu, podniosła lewą rękę, odchyliła się i ruchem jak na osobę praworęczną nietypowym dźgnęła ostrą krawędzią w ramię, które ją więziło. Patryk zawył z bólu, jednym ruchem wytrącił Amelii narzędzie ataku z dłoni, potem kiedy zobaczył krew na swoim nadgarstku, skierował ostrze noża ku jej białej i gładkiej szyi.

Lecz nie dosięgnęło celu. Robert zdążył zatrzymać rękę nadzorcy w stalowej obręczy palców, a zaraz potem uderzył go pięścią w twarz. Patryk zatoczył się do tyłu, by w końcu trafić całym ciałem w okno. Szyba rozprysła się z melodyjnym brzękiem, a do wnętrza pomieszczenia przez szpary w okiennicach wdarło się chłodniejsze powietrze. Nadzorca zatoczył się, potrząsnął głową, a gdy uświadomił sobie, że Robert zbliża się do niego z wyrazem pogardy na twarzy, zdecydował się na ucieczkę. Odepchnął Lally i rzucił się do wyjścia. Tupot jego nóg rozległ się w holu, potem trzasnęły za nim drzwi pchnięte gwałtownym podmuchem wiatru.

Robert pozwolił mu uciec. Odwrócił się do Amelii. Chwilę później znalazła się w jego ramionach, ciepłych, silnych i bezpiecznych. Muskał wargami czubek jej głowy, podczas gdy dłonią gładził włosy, które miękkimi falami spływały na jej ramiona i plecy. Odetchnęła głęboko, zadrżała po raz ostatni i uspokoiła się.

Dopiero wówczas spostrzegła, jak bardzo był przemoczony: włosy ociekały mu wodą, płaszcz i spodnie kleiły się do ciała, buty zrobiły się ciemne. W tej samej chwili zauważyła, że od drzwi do wnętrza domu napływa woda i rozlewa się po podłodze. Wyspę zalewał potop. Ludzka potęga przestała się liczyć, ciepło zginęło razem z letnim słońcem, poczucie bezpieczeństwa okazało się iluzją.

Rozdział XX

Pani Declouet nadal leżała tam, gdzie upadła. Dźwignęli ją z podłogi zalanej kilkucentymetrową warstwą wody, ostrożnie przenieśli i ułożyli na sofie. Wkrótce starsza kobieta zaczęła dawać oznaki życia. Z pewnością była oszołomiona i wprawdzie otwierała na krótko oczy, ale nic nie mówiła. Amelia pobiegła po lekarstwa, które zaraz podała teściowej. Potem przyniosła dla niej suchą bieliznę. W przebieraniu pomogły Amelii Paulina i Lally.

Na ten czas Tige oraz Isa ponownie zostali wyproszeni do pokoju stołowego. Robert pozostał w salonie, ale z twarzą odwróconą do ściany. Relacjonował przebieg wydarzeń, w których uczestniczył. Powrócił na Isle Derniere z powodu przestrogi Sir Benta, który zapowiadał zbliżanie się niezwykle gwałtownego sztormu. Podróż od strony

stałego lądu była tak trudna, że kilkakrotnie zachodziła obawa, iż kapitan Smith zdecyduje się na powrót. Kapitan dobrze jednak wiedział, iż na wyspie znajdują się ludzie, dla których był jedyną nadzieją wobec szalejącego żywiołu.

Na nieszczęście statek zerwał się z kotwicy. Robert razem z innymi rozbijał górny pokład, żeby wszystko, co pozostało z parowca, słabiej reagowało na podmuchy wiatru, nie zaczęło dryfować i tonąć. Kiedy już nie można było nic więcej zrobić, Robert bezzwłocznie przedostał się do letniego domu. Zdławionym, niskim głosem powiedział:

- Przykro mi, Amelio, przykro mi bardziej niż jestem to w stanie wyrazić, że nie przybyłem wcześniej.

Właśnie zapinała guziki przy suchej sukni pani Declouet.

- Jesteś jednak - odrzekła cicho - i tylko to się liczy.

Tak wiele mieli jeszcze sobie do powiedzenia, lecz pora nie była na to odpowiednia teraz, gdy brodzili w wodzie i kiedy wiatr szarpał okiennice.

- Co z nami będzie? - zapytała, kiedy nie zareagował na jej słowa.

- Wszystko zależy od pogody. Ze względu na *M'mere* zostaniemy tutaj tak długo, jak tylko okaże się to możliwe.

Amelia okryła szalem kruche ramiona starszej kobiety, potem wyprostowała się. Właśnie na wypadek, gdyby musieli opuścić dom, pani Declouet miała na sobie sukienkę, a nie koszulę nocną i szlafrok, i znajdowała się w salonie, a nie w swoim łóżku.

- Możesz się już odwrócić.

Światło lampy podkreśliło rysy twarzy Roberta, sięgnęło głębi granatowych oczu, którymi omiół sylwetkę Amelii, zatrzymując wzrok na rozerwanym przedzie sukni. Choć prawie natychmiast uciekł spojrzeniem w bok, zdążyła to zauważyć i uświadomić sobie, że wprawdzie zapięła staniczek, ale trochę niżej trzy haftki zwisały luźno.

Pospiesznie owinięła się własnym szalem i na nowo podjęła rozmowę.

- Nie sądzisz, że byłoby rozsądniej przejść do hotelu właśnie teraz, kiedy jeszcze możemy to uczynić?

Przez chwilę stał z napiętą uwagą, wsłuchany w wycie wiatru, potem wyszedł z pokoju, kierując się do frontowych drzwi. Trzasnęły z hukiem o ścianę, kiedy je otworzył. Wiatr wzburzył mu włosy i ubranie, powiał w głąb długiego korytarza. Pochyliwszy się, by pokonać jego opór, wyszedł na galerię. Amelia, mocno przytrzymując szal przy szyi, skłoniła głowę i podażyła za nim.

Budynek hotelu miał dwie pełne kondygnacje i dodatkowe pokoje na poddaszu, a tym samym większą powierzchnię wystawioną na atak huraganu. W miejscu po mansardowych oknach ziały ciemne dziury, a kiedy spoglądali w tamtą stronę, dach uniósł się nieco, opadł, by po chwili ze zgrzytem oderwać się od podstawy i poszybować w mrok. Dobiegły do nich przytłumione krzyki. Ściany hotelu jak kowalskie miechy odkształciły się najpierw do wewnątrz, potem na zewnątrz, szyby zabrzęczały, okiennice powyskakiwały z zawiasów i także pofrunęły z wiatrem. Chwilę później północny szczyt budynku zawalił się do wewnątrz, tworząc rumowisko.

Silny huk zatrzęsł ziemią i rozniósł się echem ponad ich głowami. Niebo przecięły zygzaki błyskawic. Za hotelem w wodzie widać było grupkę ludzi: mężczyzn, kobiety, dzieci. Unosili się na powierzchni, trzymając się drewnianych beczek i drzwi, krzycząc do siebie.

- *Mon Dieu* - powiedziała Amelia jakby do siebie - czy nie możemy im pomóc?

- Wracaj do środka! - zawołał Robert, przytrzymując ramieniem drzwi i zmagając się z wiatrem, by mogła schronić się wewnątrz.

- Tamci ludzie... - zaczęła z przerażeniem Amelia.

- My możemy być następni.

Ledwie to wypowiedział, a wicher wyrwał okiennice w sypialni Amelii. Jednakże szyby pozostały nietknięte. Amelia wbiegła tam i przez okno zobaczyła, co się stało z domem sąsiadów - został zniesiony z fundamentów, stał teraz wprost na piasku, a pod jego oknami chlupotała woda.

- Amelio! - ostrzegł ją krzykiem Robert. - Chodź szybko...

Ostatnie jego słowa zginęły w huku uderzenia pioruna. Amelia czuła, że pod jej stopami podłoga najpierw unosi się, potem gwałtownie opada, zwalając ją z nóg. Przewróciła się i potoczyła pod łóżko. Szybko przekreśliła się na brzuch, podparła na rękach i kolanach. Słyszała huk fal i ryk morza. Wyprostowała się, uchwyciła framugi, podciągnęła i wydostała do holu. Stał tam Robert. Dla zachowania równowagi miał szeroko rozstawione nogi, na rękach trzymał panią Declouet.

Starsza kobieta patrzyła przytomnie, chociaż wypowiadała jakieś niezrozumiałe słowa. Część domu, w której znajdowała się służba, zsunęła się z pali. Dobiegały stamtąd jęki i okrzyki przestachu. Amelia rzuciła okiem w tamtą stronę. Isa powoli wspinał się ku niej po pochyłej powierzchni podłogi. Paulina nieporadnie podnosiła się spod fotela na biegunach, który wniesiono tutaj wcześniej z galerii. Rękę miała wykręconą pod nienaturalnym kątem, twarz wykrzywioną grymasem bólu. Nagle rozległ się brzęk tłuczonego szkła. Zawył wiatr, wdzierając się przez rozbite okno. W niższej części domu zaczęła się podnosić woda. Tige, Lally i Marta musieli pomóc Paulinie przejść do wyższej części korytarza. Robert spojrzął do góry. Amelia podażyła za jego wzrokiem i zobaczyła, że sufit pęka. Z góry niby śnieg zaczął się sypać tynk. Rozległ się przeraźliwy łoskot, potem zaś dało się słyszeć uderzenia kropel deszczu o zewnętrzną stronę sufitu. Wiatr zerwał dach.

- Musimy wydostać się na zewnątrz, zanim runą ściany! - zawołał Robert. - Tige, chodź tutaj!

Amelia przyklekła na podłodze. Robert ułożył przy niej ciotkę. Na jego zwięzłe polecenie Tige, Marta i Lally zaczęli wyjmować z zawiasów drzwi od pokoju stołowego i sypialni, które następnie ustawiali przy frontowych drzwiach na krzywej posadzce. Nie dane im było zrobić więcej. Sztorm niby diabelskie monstrum niszczył dom kawałek po kawałku. Ściany chwiały się, woda kapłała z sufitu, sięgając coraz wyżej i wyżej. Robert pochylał się, aby ponownie wziąć panią Declouet na ręce. Służba zgromadziła się przy nim. Przez chwilę stali w miejscu, patrząc na siebie wzrokiem pełnym napięcia. Robert skinął głową i Tige pchnął drzwi.

Amelia zawahała się. Rzuciła okiem na zrujnowane wnętrza, myśląc o pożywieniu, ubraniach, cennej biżuterii teściowej. Krzyknęła do Roberta:

- Co mam zabrać?

- Nic! - zawołał. - Potrzebujesz tylko dwojga rąk i dużo siły.

Miał rację. Wicher uderzył w nich z wielką mocą, ledwie zeszli z galerii. Gwałtowna fala w jednej chwili zmoczyła im ubrania. Panią Declouet ułożono na drzwiach, Amelia znajdowała się po jednej, a Robert po drugiej ich stronie. Isa koniecznie chciał być przy swojej pani. Chwycił się drzwi obiema dłońmi, jak gdyby zamierzał je podtrzymywać, a nie trzymać się ich, gdyby powierzchnia wody sięgała wyżej niż jego głowa. Tige podtrzymywał Paulinę, ponieważ pokojówka potrzebowała jego pomocy. Z pewnością wołałby opiekować się Lally, ale dziewczyna miała towarzyszyć Marcie przy trzecich drzwiach.

Amelia czuła coraz bardziej gwałtowny napór wody, która teraz sięgała jej piersi. Wiatr rozwiewał jej luźne włosy, przysłaniał twarz. Dlatego nie dostrzegła, kiedy nadciągnęła fala znacznie wyższa i potężniejsza od innych. Nagle znalazła się pod wodą, straciła grunt pod nogami, zaplątała się w bieliznę, ale dość szybko zdołała wrócić do pionowej postawy. Isa wpadł pod drzwi, ale na szczęście nie puścił ich krawędzi, więc przytrzymała go za rękę i pomogła mu wydostać się na powierzchnię.

- Wszystko w porządku?! - zawołał Robert z drugiej strony. Niebo poprzecinały zygzaki błyskawic. W niebieskawym świetle jego skupiona twarz wyglądała upiornie. Efekt pogłębiały mokre włosy przyklejone do czoła.

- Tak! - krzyknęła, przywiązując do siebie Isę szalem, który chyba jakimś cudem znalazła jeszcze na swoich ramionach. Rzuciła okiem na starszą panią, pobladałą, bezbronną, prawie całą zanurzoną w wodzie, kiedy jej drobny ciężar spoczywał na dryfujących drzwiach. Zerknęła do tyłu na pozostałych. Byli tam wszyscy, walcząc z wiatrem. Za nimi ściany domu najpierw zachwiały się, potem zaś runęły, poczynając od strony wschodniej. W jednej chwili wiatr pochwycił drzazgi, deski, kawałki stolarki i najbardziej niebezpieczne kawałki szkła. Ułamana deska trafiła Tige'a w głowę i obracając się, poleciała dalej w szarość. Kiedy coś drobnego ugodziło także w nią, odwróciła się do teściowej i starała się osłonić własnym ciałem starszą kobietę przed mogącym nastąpić uderzeniem.

Kiedy już ta groźba minęła, przetoczyła się ponad nimi kolejna fala. Byli na to przygotowani, ale z trudem utrzymali grunt pod nogami. Wiatr w sojuszu z wodą spychał ich z wyspy. Niewiele czasu dzieliło ich od chwili, kiedy mogli się znaleźć w nurtach zatoki. Jedyna szansa polegała na znalezieniu czegoś, czegokolwiek, żeby się uczepić i nie dać się zepchnąć.

- Dokąd chcemy się dostać?! - krzyknęła Amelia.

- Na statek! - w odpowiedzi zawołał Robert.

„Star” nie sprawiał wrażenia bezpiecznej przystani, ale co innego mogli zrobić?

Wokół na powierzchni unosiły się drewniane części domu. Zerknąwszy do tyłu, Amelia stwierdziła, iż jedynie murowany zbiornik na wodę został jeszcze na swoim miejscu oraz kilka sterczących do góry elementów konstrukcyjnych tam, gdzie przedtem ciągnął się wzdłuż plaży rząd letnich domków. Zamiast hotelu była teraz pustka.

Na domiar złego wiatr odpychał ich od statku. Wysiłki Roberta nie wystarczały, aby przeciwstawić się owej potwornej sile, która ciskała w ich twarze mieszaniną wody z piaskiem. Coraz bardziej oddalali się od białych świateł okrętowych latarni.

Z prawej strony dobiegł krzyk. Amelia odwróciła się, by ujrzeć mężczyznę i kobietę zmagających się z wodnym żywiołem. Na jej oczach spory kawałek drewna uderzył mężczyznę w głowę. Nie wydawszy żadnego dźwięku, mężczyzna natychmiast poszedł pod wodę. Następna fala przetoczyła się nad sparaliżowaną strachem kobietą, która nie wynurzyła się już więcej.

Powoli, obserwując nadciąganie następnej fali, Amelia uświadamiała sobie, że płacz, krzyki i wołania dochodzą ze wszystkich stron, są prawie stopione z wyciem wiatru, szumem deszczu, trzaskiem piorunów, nieustannym rykiem wody. Widziała dziecko przytulone do swojej niani, która trzymała się deski; parę młodych ludzi, chyba małżonków, splecionych w kurczowym uścisku, których ciała unosiły kolejne fale; starszego, brodatego mężczyznę o siwych, długich i prostych włosach, który jedną ręką trzymał się beczki, przyciskał twarz do jej powierzchni i modlił się głośno ochryplym głosem.

Wołała nie patrzeć na to wszystko. Zamknęła oczy, ale tylko na chwilę, do czasu gdy tuż za jej plecami rozległy się wyraźniejsze krzyki. Odwróciła głowę. Obie kobiety, Marta i Lally, wołały, pokazując jednocześnie na puste drzwi. Obok Tige płynął w kierunku Pauliny, która zsunęła się do wody. Służąca, będąca niemal rówieśniczką swojej pani, nie mogła nic zrobić ze względu na chorą rękę i naturalne osłabienie.

Amelia słyszała, jak Robert w bezsilnej wściekłości wyrzuca z siebie przekleństwa. Moment później zorientowała się, co również i on dostrzegł, że porywa ich i oddziela od innych jakiś dziwny prąd. Usłyszała jeszcze, jak Lally woła za nią, a potem wykrzykuje imię Tige'a, ale po chwili jej świat jakby się skurczył. Składał się wyłącznie z deszczu i wiatru, poruszeń wody, drewnianych drzwi, których się trzymała, oraz coraz większego wysiłku, by się ich nie puścić.

- Uważaj - krzyknął Robert - karuzela! Dasz radę?

Konstrukcja wyłoniła się z mroku na tle ciemnoszarego nieba. Złożona z kątowników, poprzeczek i stalowego drutu, nie budziła zaufania. Jednakże centralny słup tkwił głęboko w ziemi i trzymał się mocno. Amelia nie zdobyła się na odpowiedź, lecz po prostu postarała się zrobić możliwie najlepszy użytek z resztki energii, jaka jej została.

Woda sięgała do pierwszej poprzeczki. Amelia zdołała chwycić się jej. Przytrzymała drzwi, gdy tymczasem Robert mocno uchwycił panią Declouet. Gestem dał znać Amelii, żeby weszła pierwsza. Niechętnie rezygnowała z zabezpieczenia w postaci namiastki drewnianej tratwy na rzecz mało stabilnej karuzeli. Zdołała uwolnić się od Isy, upewniwszy się wcześniej, czy chłopiec się trzyma. Potem znalazła pod wodą oparcie dla stopy i ostatecznie puściła się drzwi. Uderzenie wody niemal pozbawiło ją równowagi, ale złapała za drążek nad głową, następnie pochyliła się, by podać rękę Isie. Chłopiec wszedł na poprzeczkę zgrabnie i lekko pomimo niesprawnej nogi, a następnie ustąpił z drogi Robertowi, który podążał za nim, niosąc na ramieniu ciotkę.

Amelia pomogła Robertowi ustawić panią Declouet pomiędzy nim a sobą. Starsza pani starała się dzielnie, mimo to nie zdołała unieść jednej ręki, sięgnęła do poprzeczki drugą, ale i ta była za słaba. Zachwiała się, nie mogąc poradzić sobie z wichrem, który szarpał na niej ubranie i na którym pozegłował w chmury jej szal. Byłaby wpadła w wodną kipieli, gdyby Robert jej nie przytrzymał.

Ponad ich głowami mignęła błyskawica. W jej blasku Amelia zerknęła na Roberta. Jego wzrok nie wyrażał nic więcej poza przejmującym bólem. Bez słów oboje uświadomili sobie, że pani Declouet właśnie przeżyła kolejny wylew, że z pomocą huraganu wymyka się im, odchodzi, że już się poddała i nie będzie walczyć.

Czas przestał mieć znaczenie. Deszcz zaczął, a wiatr powoli zamieniał ich ubrania w łachmany. Zbliżał się wieczór, choć nie sposób było zauważyć tej przemiany z powodu błyskawic, które raz za razem rozświetlały niebo i okolice białoniebieskim blaskiem. Wkrótce następny mężczyzna znalazł schronienie na karuzeli, potem kobieta i mężczyzna, kobieta i młoda dziewczyna. W końcu na karuzeli zebrało się czternaście osób. Woda podnosiła się nadal, sięgając zrazu kostek, później łydek. Służąca zabawie konstrukcja na razie utrzymywała bez uszczerbku ludzki ciężar.

W pewnym momencie nadpłynęły ku nim jakieś ciemne kształty. Były to pnie drzew wymytych z brzegów głównego łądu. Przechodziły poprzez przestrzenie między poprzeczkami karuzeli, tak więc ludzie musieli albo usunąć się na bok, albo dać się trafić jak ptaki siedzące na grzędzie strzałą. Najbardziej obawiali się, żeby kłody nie trafiły bezpośrednio w słup, który stanowił bazę całej konstrukcji, gdyż wówczas wszyscy znaleźliby się w wodzie na łasce żywiołu. Amelia wypatrywała w mroku kłód, wspominając dzień, kiedy w Belle Grove zobaczyła Roberta i kiedy ją uratował, gdy woda przerwała tamę z powalonych drzew. Teraz nie mógłby jej pomóc; cały swój wysiłek musiał poświęcać ciotce.

Pnie zniknęły równie szybko, jak się pojawiły. Wiatr ucichł na chwilę, by jednak zaraz zerwać się i zawirować z siłą tornada. Karuzela wolno ruszyła, po czym stopniowo przyspieszała. Nabierała prędkości jak czasem w trakcie zabawy, kiedy dzieci pragną się nawzajem przstraszyć. Kręciła się prędzej i prędzej. Ludzie w milczeniu, ale ogarnięci przerażeniem, coraz silniej Legalii działaniu siły odśrodkowej, potykając się, chwiejąc, z powrotem wracając do równowagi.

Trwało to zaledwie kilka sekund, dopóki wiatr nie Przeniósł się dalej, a karuzela nie zaczęła hamować. W samą porę, w przeciwnym wypadku kolejno wszyscy znaleźliby się w wodzie.

Już po tym zdarzeniu Amelia zerknęła nieco w dół na teściową i zobaczyła jej szeroko otwarte oczy. Dotknęła chłodnej skóry; chwyciła za nadgarstek, ale nie znalazła pulsu.

Przepętna bólem, przez długi czas nie była w stanie się poruszyć, w oczach czuła piekące łzy. W końcu przesunęła się nieco w stronę Roberta i ręką odnalazła jego ramię, którym otaczał starszą panią, potem dłoń. Spróbowała odgiąć jego zaciśnięte palce. Przekrzykując wiatr, głosem pełnym cierpienia i ochryłym od słonej wody zawołała:

- Puść ją!

- Słucham?

Nie zrozumiał.

- *M'mere* nie żyje. Musisz ją puścić.

Spojrzał na kobietę, którą trzymał, którą z takim poświęceniem pragnął ocalić. Jego twarz stężała, tak mocno zacisnął szczęki, że na policzkach zaznaczyły się mięśnie. Kurczowo zacisnął dłoń.

- Chciała tego i na to czekała - powiedziała Amelia, żałując, że nie może wypowiedzieć tych słów szeptem. W ogóle nie chciałyby ich wypowiadać. - Tak jest lepiej. Puść ją.

Stał nieruchomo, zamarty w bezruchu. Potem usłyszała jego głęboki oddech. Zamknął oczy, po chwili je

otworzył. Skłonił głowę, przycisnął usta do czoła kobiety, która była jego ciotką. Potem, znowu wstrzymując oddech i zapewne lży, wychylił się możliwie najdalej i przysunął panią Declouet do powierzchni żarłocznych fal. Ostrożnie rozluźnił rękę i uwolnił ciało, które natychmiast pochłonęła wściekła kipiela.

Wyprostował się. Amelia przywarła do niego, złożyła moką od łez twarz na jego ramieniu. Dookoła ryczał wiatr. Stali przytuleni do siebie, czując w sobie żywsze krążenie krwi, radość i jednocześnie poczucie winy. po jakimś czasie Amelia uniosła głowę, rozejrzała się za Isą. Zobaczyła go i wyciągnęła ku niemu rękę. Powoli przysunął się i zastygł otoczony jej ramieniem.

Niedługo później, w porze zachodu słońca, wiatr zamarł, deszcz przeszedł w drobny kapuśniaczek. Chmury nie wisiały już nad samą ziemią. Nad zachodnią linią horyzontu pojawiły się pasma niesamowitej, jaskrawej, podbarwionej na zielono czerwieni. Woda zaczęła się cofać, choć nadal była wysoka i pofałdowana spienionymi falami.

Na karuzeli poruszyło się kilkanaście przemoczonych, żalonych sylwetek, przypominających strachy na wróble. Kobieta z córką wybuchnęły niepohamowanym śmiechem. Jeden z mężczyzn odmawiał modlitwę dziękczynną, podczas gdy inni zaczęli rozglądać się za jakimikolwiek znakami orientacyjnymi.

Nie było ich wiele. W zasięgu wzroku nie mieli ani jednego domu, ani jednego drzewa. Jedyne w oddali ponad powierzchnię wody wystawały, tak im się zdawało, czubki słupków od zagrody dla morskich żółwi. Dalej i nieco z tyłu kołysał się statek niby współczesna odmiana Arki Noego.

Amelia przebiegła wzrokiem po sylwetkach kobiet w wilgotnych, przylegających ubraniach, a właściwie strzępach ubrań wokół ramion i kolan. Ich włosy opadały w splecionych strąkach na plecy i śmiertelnie pobladłe twarze. Mężczyźni byli w nieco lepszym stanie z uwagi na bardziej wytrzymały materiał ubrań. Zerknąwszy na siebie i Roberta musiała stwierdzić, że oboje wyglądają nie lepiej od innych. Tyle tylko, że sytuacja nie sprzyjała przejawom ani wstydu, ani próżności.

- Spróbuję dostać się na statek - powiedział mężczyzna z żoną stojącą przy jego boku.

- Odradzałbym - odrzekł Robert. - Być może znajdujemy się w czymś na podobieństwo oka cyklonu, nim wiatr zmieni kierunek. Gdyby tak było, pański zamiar trudno byłoby zrealizować.

- Raczej zaryzykuję, niż miałbym wisieć tutaj jak skazaniec na szubienicy - odparł mężczyzna.

Jeden ze starszych mężczyzn potrząsnął głową.

- Można by chwilę poczekać i przekonać się.

Mężczyzna i jego żona nie zwrócili uwagi na te słowa, tylko bezzwłocznie wskoczyli do wody, która sięgała kobiecie po szyję, i zaczęli zmierzać w stronę parowca.

- Moglibyśmy teraz postarać się o bardziej równomierne rozłożenie ciężaru - powiedział Robert. - Byłoby dobrze, żeby na każdym krańcu były trzy osoby.

Poprzemieszczali się w ten sposób, że wyżsi i ciężsi znaleźli się na jednym drążku z osobami o skromniejszej posturze. Amelia, Robert oraz Isa nie musieli zmieniać miejsca. Ledwie inni poprzesuwali się nieco, kiedy wiatr zerwał się ponownie, atakując teraz z południowego wschodu. Jeszcze raz zapadła ciemność.

Noc zdawała się trwać bez końca, podobnie jak ich walka o życie. W ciągu tych długich godzin był taki moment, że Amelia z podziwem myślała o nadzwyczajnej żywotności dziecka, które nosiła w sobie. Mimo że Dye potraktował ją tak brutalnie, że była świadkiem tylu okropności, że narażała się podczas sztormu, maleństwo bezpiecznie przeżyło w jej łonie. Trzymało się jej tak mocno, jak mocno ona trzymała się drążka karuzeli.

W końcu nadszedł świt. Koło północy wiatr zaczął słabnąć, a woda opadać, nadal jednak siąpił deszcz. Dopiero w bladym świetle dnia spostrzegli, że pod karuzelą nie ma już wody, tylko piasek. Byli zbyt wyczerpani, żeby cieszyć się albo choć komentować ten fakt. Po prostu zeszli z karuzeli i ruszyli w kierunku, gdzie spodziewali się zastać statek.

Sztorm przeminął ostatecznie. Żywioty uspokoiły się. Od strony zatoki brzeg obmywały niewielkie, delikatne fale. Od strony oceanu woda atakowała gwałtowniej, ale w żadnym razie niebezpiecznie. Wszędzie widać było ślady zniszczenia: kawałki desek i pokryć dachowych, rozbite krzesło, przewróconą na bok szafę, powalone drzewa. Między długimi pasmami wodorostów i kory leżały butelki, gwoździe, drewniane drzazgi, jedna doskonale zachowana porcelanowa filiżanka. Minęli małego konia na biegunach, parę kroków dalej natknęli się na ciało blisko czteroletniego chłopca z rozrzuconymi rączkami, którego długie, jasne loki stapiały się z piaskiem.

Następne trupy, młodych i starych, ludzi wolnych i służących, leżały przy brzegu, gdzie morze oddało ludziom swe ofiary. Niektóre leżały na granicy łączącej wodę z lądem, niektóre tkwiły głęboko w piasku i tylko wystające tu i ówdzie kończyny wskazywały dokładnie te miejsca. Przechodzili obok, nie zwracając na nie większej uwagi. Tym ludziom nie mogli pomóc.

W miarę jak zbliżali się do parowca, wyraźniej wyczuwali zapach gotowanego pożywienia, w szczególności smażonego boczku, najbardziej smakowitego zapachu na świecie. Jacyś ludzie wyszli im naprzeciw, by przyjrzeć się ich twarzom w nadziei, że ujrzą znajome rysy; dowiedzieć się, kogo widzieli, gdzie i kiedy. Do rąk włożono im chleb z boczkiem, wsunięto kieliszki z winem dla odprężenia po szoku.

- Mam 'zelle!

Amelia odwróciła się, by ujrzeć Lally i Tige'a. Za nimi stała Marta w fartuchu na postrzępionej sukience i z

kuchennym widelcem w rękę. Przywitali się, chwytając wzajemnie za dłonie, płacząc i śmiejąc się. Potem spoważniali, żeby wspomnieć o tych, których utracili, o Paulinie i pani Declouet.

Podobna scena powtarzała się jeszcze wielokrotnie, kiedy z głębi wyspy zaczęli napływać ludzie. Niektórzy znaleźli schronienie w zagrodach dla morskich zółwi i byli świadkami, jak ogromne zwierzęta uciekały, gdy woda przybrała na tyle, że mogła unieść je ku wolności. Jeden mężczyzna przetrwał całą noc na słupie ogrodzenia, cała rodzina uratowała się za cysterną. Pewna kobieta utworzyła ze starszymi dziećmi łańcuch. Trzymali się mocno za ręce, pochylali głowy przed każdą falą, by osłabić siłę uderzeń. Wszyscy bez wyjątku oplakiwali utratę przyjaciół, członków rodziny, sług. Młode małżeństwo, szlochając, opowiadało o zaginięciu dwojga dzieci, niemowlęcia i kilkulatek. Kiedy zaś podnieśli głowy, zobaczyli swego sługę idącego w ich kierunku za rękę z malcem. Niewielu miało takie szczęście.

Na pokładzie statku znaleźli schronienie przed deszczem i pożywieniem. Kapitan Smith oraz jego załoga rozdali potrzebującym prześcieradła i koce, a także zawartość swych kufrów. Opatrzyli rannych, ciężiej poszkodowanych pielęgowali z największą troską. Tych ostatnich nie było wielu, gdyż poważnie ranni po prostu nie zdołali przeżyć. Na koniec zabrali się do zbierania ciał.

Liczba zmarłych złożonych na piasku ciągle rosła. Prawie na samym początku poszukiwań znaleziono Augustyna i Marię Idę Magill, dzieci Frances Prewett z pierwszego małżeństwa. Jej samej nie było na statku, ale też nie natrafiono na jej ciało. Panią Declouet odnaleziono późnym wieczorem, natomiast nikt nie natknął się na Paulinę. Patryka odkryli o zmroku. Miał dużą ranę w głowie, jak gdyby został uderzony sporym kawałkiem drewna. Wprawdzie ogłoszono, że w porze nocnej nie będą prowadzone poszukiwania, ale prawie przez całą noc widziało się w mroku światła pochodni. Ranek przyniósł przerażające opowieści o ograbianiu zmarłych z obrączek przez odcinanie palców i innych okropieństwach, których mieli rzekomo dopuścić się ludzie z osady i okolicznych wysepek.

W ten sposób zakończył się poniedziałek jedenastego sierpnia. We wtorek przez chmury przebiły się wreszcie promienie słońca. Zaczęły się kurczyć zapasy wody. Z braku cienia zdarzyło się kilka przypadków udaru słonecznego. Muchy stawały się coraz bardziej dokuczliwe. Ostatecznie zdecydowano się na pogrzebanie zmarłych w płytkich grobach. Grupa osób zgromadziła się na brzegu od strony zatoki, czekając na pomoc, która musiała nadejść, jeżeli mieli pozostać przy życiu. Czas spędzali na rozważaniu, czy na głównym lądzie ktokolwiek choć przypuszcza, w jakim znaleźli się położeniu na Isle Derniere.

Nadal trwały poszukiwania ciał. Robert oraz kilku innych mężczyzn w najgorętszej porze dnia przyłapali przy zachodnim krańcu wyspy parę złodziejasków. Nie chcieli mówić, co widzieli i co zrobili, ale w pobliżu tego miejsca pozostały dwa płytkie groby.

W środę przyplłynął parowiec „Major Aubrey”.

Z pierwotnej liczby około czterystu gości zgodnie ze skrupulatnymi obliczeniami zginęło stu siedemdziesięciu czterech. Liczba ofiar spośród stałych mieszkańców wyspy była nieznaną. Należało teraz zabrać stąd około dwustu osób, czyli więcej, niż pomieściłoby się na statku podczas pojedynczego rejsu. W pierwszej kolejności i bez żadnych warunków przyjęto na pokład dzieci, rannych oraz samotne kobiety. Pozostali mieli ciągnąć losy. Robert nie wziął udziału w losowaniu, Amelia zaś mimo jego sprzeciwu dobrowolnie zrezygnowała z przyznanego jej prawa. Złożywszy obietnicę rychłego przysłania następnego statku, kapitan „Majora Aubreya” odpłynął.

Wcześniej wobec natłoku wydarzeń i pracy nie mieli czasu ani na myślenie, ani tym bardziej na rozmowy. Teraz było inaczej. Robert odwrócił się tyłem do wraku „Stara” i ruszył wzdłuż brzegu w stronę otwartego morza. Po chwili wahania Amelia podążyła za nim. Zatrzymali się w okolicy miejsca, gdzie jeszcze nie tak dawno wznosił się hotel. Zerknął na nią przelotnie, nim utkwiał wzrok w jakimś dalekim punkcie w przestrzeni.

Twarz miał opaloną jeszcze bardziej niż zwykle, ale oczy zmęczone i podpuchnięte. Delikatnie dotknęła jego ramienia.

- Nie ma w tym twojej winy.
- Doprawdy?
- Nie przez ciebie Julian miał swoje skłonności. *M'mere* nie z twojego powodu cierpiała.
- To nie takie proste - odrzekł, unosząc dłoń, by uderzyć się w kark.
- Ale nie ma powodu, żebyś sam komplikował wszystko jeszcze bardziej.
- Gdybym nie zostawił ciebie i ciotki bez opieki tutaj, gdzie Patryk mógł was łatwo znaleźć, albo gdybym na samym początku nie dotknął cię nawet, wówczas może nie doszłoby do tego.
- Jesteś normalnym człowiekiem. W każdym momencie wybierałeś to, co wydawało ci się najlepsze. Czego więcej mogłeś od siebie wymagać?
- Powinienem kierować się czymś innym, a nie tylko namiętnością... ale kiedy nawet próbowałem i zostawiłem cię, znowu okazało się, że uczyniłem źle.

Pani Declouet miała chyba rację, gdy wyraziła przypuszczenie co do powodu, dla którego opuścił Isle Derniere. Jednakże szkoda było czasu, by cieszyć się tą myślą.

- Już po wszystkim. Może tak właśnie to się miało skończyć. Nie wolno ci się zdręzczać.
- Nie jest po wszystkim - mruknął, schylił głowę, popatrzył na ręce. - Nie jest, dopóki osoby pokroju *madame*

Callot będą cię obrażać, patrząc ci prosto w oczy. Nie jest, dopóki stare kobiety będą wytykać cię palcami i szeptać za twoimi plecami.

- Co się stało, to się nie odstanie. Nie cofniemy przeszłości.

- Nie przyczynię ci już więcej bólu i poniżenia.

Mówił bez emocji, monotonicznie. Spojrzała na niego i zobaczyła kogoś obcego. Trudno było uwierzyć, że ten sam człowiek kochał się z nią tak czule i namiętnie.

- Nie... nie ja pierwsza zostałam poniżona czy urażona. Powiedziałam może coś, czego nie powinnam. Teraz tego żałuję. W głębi serca zawsze jednak uważałam...

- Daj spokój. Zapomnij o tym, jak ja zapomniałem.

- Naprawdę? - zapytała tonem powątpiewania.

Podniósł głowę i rozprostował ramiona, zapatrzył się na błękitną wodę.

- Już dawno - odparł. - Nie miało to nigdy żadnego znaczenia. Chciałbym, żebyś wróciła do Belle Grove. Należy teraz do ciebie, wyłącznie do ciebie. Możesz sprzedać plantację i wyjechać. Pozostawić za sobą... wspomnienia. Albo też jednak zostać. Huragan sprawił, że usuniesz się w cień jako przedmiot konwersacji. A po jakimś czasie, jeśli nic się nie zdarzy, będziesz mogła żyć w spokoju.

W spokoju. Samotnie. Czy poświęcał się dla niej, czy też po prostu mówił o jej możliwościach życiowych, kiedy już nie czuł się wobec niej zobowiązany? Skąd mogła wiedzieć?

- A dziecko, które w sobie noszę?

- Jeśli będzie chłopcem, daj mu na imię Julian.

W Belle Grove panował chaos. Trzcina wyległa i więcej niż jedna trzecia już się nie podniosła. W rowach odpływowych stała woda. W oszałamiającym tempie mnożyły się moskity. W czworakach zdarzały się przypadki żółtej febry i dyzenterii. Stajnia utraciła dach, a dwa ogromne dęby zostały wyrwane z korzeniami. W kilku miejscach było uszkodzone pokrycie dachowe głównego budynku, w związku z czym deszcz zniszczył spore kawałki tynku w górnych pokojach. Tylko krzewy Jerzego nie doznały żadnego uszczerbku, a nawet skorzystały na obfitym nawodnieniu.

Początek wszelkich prac naturalną kolejną rzeczą przesunął się na czas po pogrzebie pani Declouet, której ciało odkopano z płytkiego grobu na Isle Derniere i przetransportowano do Belle Grove. Potem Amelia spędziła wiele godzin z adwokatami, przeglądając niezliczone dokumenty, odczytując je, podpisując, usiłując pojąć, na czym polegają jej nowe obowiązki oraz pozycja. Wiele wysiłku kosztowało ją poznanie sytuacji finansowej majątku, i to nie tylko z powodu poniesionych podczas sztormu szkód. Musiała znaleźć w Nowym Orleanie nowego pośrednika handlowego albo jakoś dojść do porozumienia z panem Callotem, którego współpracę z Amelią zapewne ograniczałaby jego małżonka. Należało też pomyśleć o dalszej przyszłości, zaplanować uprawy na kolejne dwa lata, przygotować się do urodzenia dziecka. Potem przyszła kolej na Isę. Jego talent zasługiwał na wsparcie. Mogła coś dla niego zrobić. Postanowiła napisać do krewnych Juliana we Francji, a gdyby wyrazili zgodę, za jakiś czas wysłałaby do nich chłopca na rok albo dwa. Studiowałby sztukę w środowisku, w którym bardziej liczy się talent niż kolor skóry. Ponadto byłby tam człowiekiem wolnym.

Po zakończeniu papierkowej pracy nadszedł czas na zajęcia bardziej konkretne i odpowiadające jej naturze, które miały doprowadzić plantację do poprzedniego, normalnego stanu.

Za sprawę najbardziej podstawową uznała zdrowie mieszkańców czworaków. Zarządziła rygorystyczną kwarantannę. Odesłała wszystkich, którzy wzbudzali najmniejsze choć podejrzenie o chorobę, do pomieszczenia szpitalnego pod opiekę trzech starszych kobiet, pełniących rolę pielęgniarek. Kiedy już miała to za sobą, rozpoczęła poszukiwania nadzorcy, a więc osoby, która odpowiadałaby za wykonywanie najcięższych prac na plantacji.

Z tym miała prawdziwy kłopot. Nikt nie chciał pracować dla kobiety, podlegać jej rozkazom i być narażonym na kobiece kaprysy. Już prawie wpadła w rozpacz i złość, gdy pewnego ranka przyjechał Robert z pewnym młodym Szkotem. Nie minęło południe, kiedy rozpoczęto pierwsze prace przy oczyszczaniu rowów odpływowych, kilku robotników zabrało się do piłowania powalonych drzew, jeszcze inni wzięli się do kładzenia dachu nad stajnią.

Po tym zdarzeniu Robert zaczął pojawiać się w Belle Grove prawie codziennie, choć rzadko zachodził do domu. Jeśli chciała prosić go o radę albo pomoc w rozwiązaniu jakiegoś problemu, musiała rozmawiać z nim na frontowej galerii, podczas gdy on stał na schodkach. Marcie udawało się czasem namówić go na kawę, ale zwykle wypijał ją stojąc w drzwiach kuchni. Natomiast konsekwentnie odmawiał, gdy na jakąkolwiek przekąskę albo coś do picia zapraszała go Amelia. Nie wszedł do środka domu, aby ocenić szkody spowodowane deszczem, choć z największą uwagą i w skupieniu przyjrzał się zewnętrznym uszkodzeniom. Po odpowiedź na pytanie, z jakiego materiału dach byłby lepszy, z cyprysowego drewna czy stali, odesłał ją do bankiera, bo jego zdaniem tamten lepiej orientował się, na co ją było stać.

Jeśli Chloe i Jerzy zdawali sobie sprawę z surowej powściągliwości w stosunkach między Amelią a Robertem, nie dawali tego po sobie poznać. Wiedząc, że dawniej nic nie wstrzymywało Chloe przed zadawaniem śmiałych

pytań, Amelia mogła tylko przypuszczać, że małżeństwo nauczyło dziewczynę dyskrecji lub że to, co wydawało się Amelii oczywiste, nie było takie oczywiste dla innych.

Sprawa rozstrzygnęła się podczas zwyczajowej wizyty księdza. Akadycyzyści zamieszkujący nad mokradłami i rozlewiskiem wiele ucierpieli podczas sztormu. Drogi długo były trudne do przebycia, dlatego wysłano wikarego, by jako osoba duchowna brał udział w ceremoniach pogrzebowych i udzielał ślubów oraz chrztów tym, którym trudno było dostać się do miasta. Zwykle uważano za zaszczyt możliwość podejmowania duchownego posiłkiem albo przyjęcia go na noc. Ojciec Francis, młody człowiek, który niedawno przyjął święcenia kapłańskie, obiecał skorzystać z obu propozycji i odprawić w kaplicy mszę dla Amelii oraz mieszkańców czworaków.

Tego popołudnia Amelia odwiedziła izbę szpitalną w towarzystwie młodego księdza. Pokazała mu też budowany właśnie żłobek i kołyski, jakie wyrabiali jej pracownicy. Jej cioteczna babka po powrocie ze szpitala zawsze brała kąpiel i przebierała się, który to zwyczaj Amelia przejęła. Kiedy Lally przygotowywała wodę, Amelia przez okno zobaczyła Roberta, który prowadził spokojnie konia przez pola w kierunku bocznej drogi. Tego dnia zamierzała zaprosić go na obiad. Miała przecież gościa, z którym na pewno chętnie by porozmawiał. Jednakże do tej pory nie miała okazji, aby zamienić z nim choćby jedno słowo na ten temat. Wcześniej już zdjęła ubranie, teraz tylko zarzuciła na siebie szlafrok i przez dawny pokój Juliana wybiegła na lodzie.

- Robercie! - zawołała, wychyliwszy się nad balustradą, przytrzymując poły szlafroka przy szyi.

Właśnie pojawił się między domem a *garçonniere*, trzymając konia za uzdę. Zatrzymał się i popatrzył w górę. Kiedy spostrzegł, w co jest ubrana, jego twarz natychmiast straciła jakikolwiek wyraz.

- Słucham?

- Chcę zaprosić cię na obiad. Ojciec Francis będzie moim gościem.

Powoli, spokojnie wspiał się na wierzchowca. Z wysokiego siodła jeszcze raz zwrócił na nią wzrok. Krótkim spojrzeniem objął łagodną wypukłość jej piersi, kształt brodawek, zarysowanych pod cienkim i miękkim materiałem. Zerknął na nagą łydkę w rozchyleniu szlafroka. Jego twarz stała się o pół tonu ciemniejsza, gdy zauważył:

- Wychodzisz półnaga, żeby mi o tym powiedzieć?

- Czyż nie widziałeś mnie ubranej jeszcze bardziej skąpo? - zapytała, dotknięta oskarżycielskim tonem jej głosu.

- Zawołaj głośniej. Powiedz to całemu światu!

- Nie wstydzę się tego, nawet jeżeli ty uważasz to za naganne!

- Nie uważam, Amelio.

Ściągnął wodze i pogalopował w stronę pól. Amelia przyglądała się mu długą chwilę. A potem powoli rozchyliła usta w uśmiechu.

Do zmroku wszystko przebiegało według planu. Porozmawiała z księdzem, wyspowiadała się, otrzymała rozgrzeszenie i usłyszała słowa pocieszenia. Poprosiła Lally o wyjęcie amazonki i przekazanie polecenia, aby przygotowano dwa wierzchowce do poobiedniej przejażdżki. Zasiadła do obiadu, ale jadła niewiele. Tymczasem ksiądz, z pewnym wdziękiem partnerując w rozmowie Jerzemu i Chloe, jadł za dwóch. Przez jakiś czas siedzieli w salonie nad kieliszkami wina, gdy nagle Amelia zerknęła nerwowo na młodego duchownego, przeprosiła i poszła do siebie.

Przebrała się w strój do konnej jazdy, po czym przez pusty teraz salon przeszła do frontowych schodów. Ksiądz już na nią czekał.

- Powiedział im ksiądz? - zapytała szeptem.

- Pojadą powozem, godzinę po nas.

Skinęła głową, podeszła do podwyższenia, przy którym z parą koni czekał chłopiec stajenny. Twarz miała spokojną, tylko w jej oczach palily się iskry ciekawości. Wahała się przez chwilę, potem wyprostowała i sprawnie dosiadła klaczy. Tymczasem ksiądz również usadowił się w siodle. Powoli zaczęli oddalać się od Belle Grove.

Kiedy znaleźli się w The Willows, zapadał zmierzch. Nie skierowali się do głównych drzwi mrocznego, pogrążonego w ciszy budynku, lecz zatrzymali konie w cieniu starego, potężnego dębu, nad którym wisiał sierp księżycy. Zeszli na ziemię. Amelia wyciągnęła dłoń w kierunku księdza.

- Dziękuję.

- Podziękujesz mi, kiedy będzie po wszystkim, moje dziecko. Do tego czasu będę się za ciebie modlił. - Uścisnął i uwolnił jej rękę.

Nagle odczuła skrupuły. Ten szlachetny człowiek nie wiedział nic o metodach, jakimi zamierzała się posłużyć. Nie mogła też mu ich wyjawić. Zapewne nie akceptował zasady, że cel uświęca środki. Nie chciała nikogo skrzywdzić i miała nadzieję, że do tego nie dojdzie.

- Oczywiście - powiedziała - jeżeli ksiądz pozwoli.

Ruszyła w kierunku domu, ciemniejącego w mroku nocy. Szła krokiem równym i pewnym. Przystanąła, nasłuchując, przy frontowych schodach, które wiodły na górną galerię. Zaczęła się po nich powoli wspinać. Przed nią w poprzek szerokiej werandy znalazł się rząd francuskich okien, ale tylko jedno z nich było otwarte. Poruszała się bardzo ostrożnie, ponieważ nie chciała obudzić Roberta, a przynajmniej jeszcze nie teraz.

Stała w drzwiach. Oczy miała przyzwyczajone do ciemności, więc bez trudu wewnątrz dostrzegła łóżko za

przejrzystą draperią moskitiery. Postąpiła jeden krok do przodu, potem drugi. W bladym świetle księżyca zobaczyła zarys jego sylwetki i wyraźny kontrast między brązem nagiej skóry a białą pościeli. Leżał na plecach z jedną ręką otaczającą głowę i drugą odrzuconą na bok. Prześcieradło zakrywało go mniej więcej do wysokości pasa. W pomieszczeniu unosił się nikły zapach brandy. Na stoliku połyskiwało lekko szkło butelki i kieliszka, co dawało nadzieję, iż zadanie mogło okazać się łatwiejsze do wykonania.

Serce coraz mocniej biło jej w piersi, miała spocone ręce. Bała się. Musiała zacisnąć szczęki, żeby nie dzwonić głośno zębami. Powoli zdjęła kapelusz i pochyliła się, żeby położyć go na podłodze. Jeden po drugim rozpięła guziki przy żakiecie, który moment później znalazł się obok kapelusza. Z lekkim szelestem wylądowała na nim popelinowa bluzka. Amelia zsunęła z nóg buty przeznaczone do jazdy, odstawiła je, potem ściągnęła kolejno pończochy, pantalon i stanik. Wreszcie powyciągała z włosów spinki, po czym energicznie poruszyła głową, strząsając do dołu długie, jedwabiste pasma, aż poczuła w powietrzu ich zapach, a na biodrach ciepły, łaskoczący dotyk.

Zbliżyła się do łóżka ukradkiem jak łasica i odsunęła moskitierę. Kiedy wspinała się na materac i stopniowo, ostrożnie kładła się na nim, zaczęła się zastanawiać, czy Robert w podobny sposób przychodził do niej i czy jemu, jak jej teraz, tak samo szybko krążyła krew w żyłach i tak samo z nadmiaru emocji brakowało powietrza.

Robert nie poruszył się nawet, gdy oparła głowę na łokciu ani gdy delikatnie położyła rękę na jego torsie. Pod opuszkami palców czuła nagą skórę i nieco szorstkie włosy, które łaskotały wewnętrzną stronę jej dłoni. Wolno powiodła palcem do jednej z brodawek, potarła jej czubek i nachyliła się, by językiem znaleźć drugą. Jej włosy opadły mu na ramię, gdy poruszając głową to w przód, to w tył sprawiła, że brodawka zamieniła się w mały, twardy pączek.

Podniosła się wyżej i muśnięciami ust zawędrowała do zagłębienia przy jego opalonej szyi, potem do gładkiej powierzchni jego ust. Powiodła koniuszkiem języka po linii, gdzie stykały się w najbardziej wrażliwym miejscu jego wargi, a jednocześnie sięgnęła dłonią niżej, ponad pępkiem i płaską powierzchnią brzucha.

W tej samej chwili wokół jej nadgarstka boleśnie zamknęła się dłoń Roberta. Zagrały jego mięśnie, kiedy najpierw dźwignął się do góry i przekreślił na bok, następnie zaś błyskawicznie przycisnął nadgarstek Amelii do łóżka. Nachylił się nad nią, spojrzał jej w oczy.

- Na Boga jedyne, co ty tutaj robisz?

Chyba nigdy jeszcze serce nie biło jej tak gwałtownie, mimowolnie drżała, a jednak panowała nad głosem, gdy odrzekła:

- Właśnie staram się zrewanżować za okazane mi względy.

Odchylił się nieco do tyłu.

- Co takiego?

- Niegdyś ty odwiedzałaś mnie nocami. Teraz ja będę odwiedzała ciebie.

- Nie możesz - powiedział krótko i kategorycznie.

- Tak myślisz? A co mnie powstrzyma?

- Ja.

- W jaki sposób? Za każdym razem zjawię się w chwili, gdy będziesz się tego najmniej spodziewał, gdy będziesz bezbronny i pogrążony we śnie. Nie dam ci spokoju. W końcu rozejdą się kompromitujące pogłoski o tym, jak to biednego Roberta Farnuma odwiedza systematycznie żona jego zmarłego kuzyna. Wybuchnie skandal. Trudno jest mi wyrazić, jak bardzo żałuję słów, którymi cię uraziłam. Jak bardzo jest mi przykro że zwątpiłam w ciebie. Ale kocham cię i tylko ciebie kocham duszą, sercem i ciałem. Pragnę cię tak bardzo, jak nigdy nie pragnęłam żadnego mężczyzny. potrzebuję cię, byś trzymał mnie nocą w objęciach. Byś mógł być przy moim boku, kiedy spodziewam się twojego dziecka. Potrzebuję twojego ramienia, by się na nim wesprzeć w latach starości. Nie jestem Evangeline i nie zamierzam zostać zakonnica. Nie jestem też Emmeline i nie chcę usychać z braku miłości, skoro wystarczy mi jedynie przyjść do ciebie. Zaprzeczysz?

Dowód na to, że nie mógł tego zrobić, znajdował się między nimi, rozpalony i drżący.

- Tak lekko mówisz o skandalu, a ja nie mogę dopuścić, by znowu coś takiego zawisło nad twoją czy nad moją głową. Nigdy więcej.

- Do licha, nie bądź aż taki nobliwy! - zawołała ze złością. - Wszyscy - i ty, i ja, i Julian, i *M'mere* - staraliśmy się zawsze dostosować do wymagań innych. To oni wyznaczali granice naszemu postępowaniu, oni decydowali, jacy powinniśmy być. Gdybyśmy stosowali inne zasady, może twoja ciotka i twój kuzyn jeszcze by żyli. Wiem, ile dla ciebie znaczy honor. Nie wolno ci poświęcać tak wiele. Za taką cenę ja tego nie chcę. Pragnę ciebie, Robercie. Otwarta jest tylko kwestia, czy wolimy obecny status, czy może zdecydujemy się na małżeństwo.

- Bardzo jesteś pewna swych powabów, prawda? Co mnie powstrzymuje przed wyniesieniem cię na zewnątrz?

Poderwał się, stanowczo pociągnął ją do siebie, wziął na ręce, po czym zsunął się z łóżka i stanął na podłodze. Odwrócił się w stronę okien tak szybko, że włosy Amelii na chwilę zamieniły się w chmurę połyskującą księżycowym światłem.

Gdy pojęła jego zamiary, zeszywniała, przywarła do niego.

- Nie! Proszę, nie. Robercie! Tam jest ksiądz.

Stanął w miejscu jak wryty.

- Co takiego?

- Ksiądz - powiedziała jednocześnie nieśmiało i błagalnie - a być może również Chloe z Jerzym... w charakterze świadków.

Ścisnął ją mocniej.

- Co to ma znaczyć?

- Chyba ślub...

- Jesteś tego pewna? - zapytał bez cienia gniewu w głosie.

- Niczego w życiu nie byłam bardziej pewna.

Opuścił ją na posadzkę, chociaż jeszcze jej nie uwolnił. Trzymał ją za ramiona. Kciukami gładził jej skórę, jakby w żaden sposób nie potrafił oprzeć się impulsowi, który go do tego skłaniał.

- Tamten mężczyzna, którego znałaś, za którego ja uchodziłem, zgodziłby się.

- Zgodziłby się również mężczyzna, jakim możesz być, jeżeli naprawdę pragniesz uchronić mnie przed pogardą i jeżeli nie kłamałeś mówiąc, że mnie kochasz.

- Nie kłamałem, Amelio. Naprawdę cię kocham. Kocham cię od chwili, kiedy weszłaś do saloniku ciotki Zofii w ociekającym wodą płaszczu i z włosami wilgotnymi od deszczu. Czy gdyby było inaczej, zgodziłbym się na udział w tak okrutnej maskaradzie? Czy tak bardzo pragnąłbym cię chronić i osłaniać? Jesteś w mojej krwi jak narkotyk. Zjawiasz się w moich snach i nie pozwalasz zapomnieć o chwilach największej radości, jakie były moim udziałem. Bez ciebie nie mam już po co żyć, nie mam żadnego celu poza tym, żeby ci z poświęceniem służyć.

- Ani nie potrzebuję twojego poświęcenia, kochany, ani go pragnę.

- Cóż kiedy ciągle trzeba się poświęcać.

Serce zamarło jej z rozpaczy. Myślała, miała nadzieję, niemal pewna, że się zgodzi.

- Nie powinienem był brać cię w ramiona akurat tej chwili - powiedział tonem ponurym, a zarazem ciepłym, pełnym miłości. - Ileż cierpienia mnie czeka, kiedy rozstaniemy się, choć przecież na chwilę, żeby się pobrać!

Ze łzami radości w oczach rzuciła mu się w ramiona. Objęła go za szyję i złożyła głowę na jego piersi. Kołysał ją delikatnie i tkliwie, przytulając policzek do gładkich włosów. Po dłuższej chwili Amelia głośno przełknęła ślinę. Zdławionym nieco głosem powiedziała:

- Minie trochę czasu, zanim zjawią się nasi świadkowie. Ceremonia nie może rozpocząć się wcześniej niż za pół godziny.

Robert odetchnął głęboko.

- To niewiele - rzekł obiecującym tonem. - Naprawdę niewiele.